

OSTATNIA WYROCZNIA

JAMES ROLLINS



JAMES ROLLINS

SIGMA 05

OSTATNIA WYROCZNIA

Nota historyczna

*Największe błogosławieństwa darowane ludzkości
przekazywane są za pośrednictwem szaleństwa,
które jest boskim darem.*

SOKRATES O WYROCZNI DELFICKIEJ

Starożytni Grecy z całym panteonem swoich bogów święcie wierzyli w potęgę przepowiadania przyszłości. Czcili ludzi, którzy widzieli przyszłość w splotach kozich wnętrzności albo z kształtu dymu ogni ofiarnych umieli ją przewidzieć czy też zapowiadali nadejście wydarzeń na podstawie układu rozrzuconych kości. Spośród tych obdarowanych umiejętnościami jasnowidzenia ludzi najwyższym szacunkiem obdarzono jedną osobę - mistyczną wyrocznię z Delf.

Przez prawie dwa tysiące lat zastępy pilnie strzeżonych kobiet zamieszkiwały świątynię Apollina na zboczach góry Parnas. Spośród nich tylko jedna kobieta zasiadała na tronie wyroczni i przyjmowała imię Pytii. Znajdując się w stanie odurzenia oparami, Pytia odpowiadała na pytania dotyczące przyszłości - zarówno te przyziemne, jak i te bardziej wnikliwe.

Pytię podziwiała najznamienitsze postacie z historii Grecji i Rzymu: Platon,

Sofokles, Arystoteles, Plutarch, Owidiusz. Nawet pierwsi chrześcijanie oddawali jej cześć. Michał Anioł umieścił jej wizerunek na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej - przepowiada nadejście Chrystusa.

Pojawiają się jednak wątpliwości, czy nie była ona tylko szarlatanem, wróżką ogłupiającą ludzi enigmatycznymi odpowiedziami. Bez względu na to, czy przepowiadała prawdę, należy zwrócić uwagę, że jeden fakt jest całkowicie bezdyskusyjny. Pytia była wielbiona przez władców i zdobywców całego, antycznego świata, a jej proroctwa zmieniały losy ludzkości i świata.

O ile większość faktów z jej życia okryta jest tajemnicą albo stanowi jedynie część mitologii, o tyle jedna rzecz jest pewna. W 2001 roku archeolodzy odkryli niezwykle układ warstw tektonicznych pod Parnasem, wskazujący, że w tym miejscu uchodziły z wnętrza ziemi gazy złożone z prostych węglowodorów, a wśród nich etylen, który powoduje u ludzi stany pobudzenia przypominające euforię oraz halucynacje. Te gazy doskonale odpowiadają historycznym opisom oparów, którymi spowita była Pytia podczas przepowiadania przyszłości.

Mimo że nauka odkryła jedną z tajemnic Pytii, to nadal pewna rzecz pozostaje największą zagadką: Czy wyrocznia faktycznie przepowiadała przyszłość? Czy było to tylko boskie szaleństwo?

*Człowieku, poznaj siebie, a poznasz prawdę
o wszechświecie i tajemnice bogów.*

NAPIS NA MURACH ŚWIĄTYNI W DELFACH

398 rok
Góra Parnas
Grecja

Przyszli, by ją zabić.

Stała na stopniach prowadzących do świątyni. Drżała pod cienką szatą z białego lnu okręconą wokół talii, ale to nie chłód nadchodzącego poranka przenikała jej ciało.

Poniżej, po stoku Parnasu, niczym rzeka ognia, płynęła procesja pochodni. Wspinała się serpentynami wyłożonego kamieniem Świętego Traktu w kierunku świątyni Apollina. Marszowi towarzyszyły uderzenia mieczy o tarcze pięciuset rzymskich legionistów. Droga wiła się, omijając powalone posągi i dawno ograbione skarby przeszłości. Żołnierze podkładali ogień pod wszystko, co jeszcze dało się spalić.

Przedzierając się przez ruiny blask pożogi tworzył migocącą iluzję lepszych czasów, jakby nagle odrestaurowany ognisty obraz minionej świetności: dawne bogactwo iskrzyło się złotem i srebrem, zastępy posągów wyrzeźbionych przez najznamienitszych artystów, tłumy ludzi zbierające się, by wysłuchać prorocत्व wyroczni.

Nadchodził ostateczny koniec.

Przez cały miniony wiek Delfy były nękanie i rujnowane napadami Galów, plądrowane przez Traków, ale najbardziej dawały im się we znaki zwykle zaniedbanie i zapomnienie. Niewielu ludzi docierało tu, by wysłuchać wyroczni: czasami pojawiał się pasterz chcący dowiedzieć się, czy zdradza go żona, albo żeglarz szukający potwierdzenia dobrych omenów przed rejssem po Zatoce

Korynckiej.

Nadchodzi koniec dziejów; koniec wyroczni delfickiej. Po przepowiadaniu przyszłości przez trzydzieści lat ona właśnie będzie ostatnią noszącą imię Pytia.

Ostatnie chwile wyroczni z Delf.

Z tą wiedzą spadło na nią ostatnie wielkie wyzwanie.

Pytia odwróciła się na wschód, gdzie nieboskłon zaczynał się powoli rozświetlać.

Och, moja różano palca bogini jutrzeźki Eos spieszy, by Apollo okulbaczył cztery rumaki do swojego rydwanu Słońca.

Jedna z sióstr Pytii, młoda akolitka, wyszła ze świątyni i stanęła za jej plecami.

- Uchodź z nami, pani - próbowała ją ubłagać. - Jeszcze nie jest za późno. Nadal możemy uciec z pozostałymi do wysokich jaskiń.

Pytia położyła dłoń na jej ramieniu. Nocą reszta kobiet wyniosła się już do niedostępnych jaskiń Dionizosa, dających im bezpieczne schronienie. Jednak Pytia miała do wypełnienia swoje ostatnie posłanie.

- Pani, nie ma już czasu na ostatnie prorocstwo.

- Ale ja muszę.

- Zatem niech to odbędzie się teraz, zanim będzie za późno.

- Muszę poczekać na świt siódmego dnia. To nasza powinność.

Gdy słońce zachodziło poprzedniego wieczoru, rozpoczęła już ostanie przygotowania. Wzięła kąpiel w srebrzystym źródle Kastylii, napiła się ze źródła Kassotis i spaliła liście wawrzynu na ołtarzu z czarnego marmuru na zewnątrz świątyni. Postąpiła dokładnie według ustalonego rytuału, tak samo jak pierwsza Pytia tysiące lat wcześniej.

Tylko że tym razem wyrocznia nie była sama podczas oczyszczania.

Razem z nią w rytualnych ablucjach udział wzięła dziewczynka mająca zaledwie dwanaście wiosen.

Takie młode stworzenie, a taka silna osobowość.

Dziewczynka stała nago w wodzie źródła, gdy starsza od niej kobieta obmywała ją i namaszczała olejkami. Nie wyrzekła nawet słowa, stała jedynie z wyciągniętą ręką, prostując i zaciskając palce dłoni, jakby chciała uchwycić coś, co tylko ona mogła zobaczyć. Któryż to bóg skłonił ją do cierpienia, a jednocześnie obdarował taką mocą? Z pewnością nie był to tylko Apollo. Bo słowa wypowiedziane przez dziewczynkę trzydzieści dni wcześniej mogły pochodzić tylko od bogów. To były słowa, które przemieniły się w ogień pełną teraz w stronę Delf.

Och, że też to dziewczę tutaj trafiło.

Pytia była nawet zadowolona, że Delfy pogrążyły się w zapomnieniu. Pamiętała o porażającej przepowiedni wypowiedzianej wieki wcześniej przez jedną z jej poprzedniczek.

Cesarz August zapytał onegdaj jej dawano nieżyjącą siostrę:

- Dlaczego wyrocznia tak ostatnio ucichła?

- Hebrajski chłopiec, Bóg, który będzie rządzić wśród sprawiedliwych, nakazuje mi opuścić to miejsce...

Te słowa okazały się prawdziwą przepowiednią. Wiara w Chrystusa ogarnęła całe imperium i zniszczyła wszelkie nadzieje na powrót dawnych, dobrych czasów.

Mniej więcej przed miesiącem do progów świątyni przyprawiono tę dziwną dziewczynkę.

Pytia odwróciła się od morza płomieni w stronę adytonu, sanktuarium świątyni Apollina. Dziewczynka już czekała w środku.

Była sierotą, pochodziła z odległego miasta Chios. Przez wieki przyprawiano kapłankom Apollina takie dzieci, gdy chciano pozbyć się kłopotu. Większość z nich odprawiano z powrotem. Jedynie najbardziej odpowiednim dziewczętom pozwalano tu pozostać - musiały mieć smukłe członki, czyste spojrzenie i niezepsuty charakter. Apollo nigdy nie zaakceptowałby osoby bez odpowiednich przymiotów jako kapłanki wyroczni.

Zatem gdy tę delikatną jak gałązki wierzby dziewczynkę przedstawiono Pytii, wyrocznia ledwie na nią spojrzała. Dziecko było zaniedbane, ciemne włosy miało rozczochrane i skołtunione, a skóra nosiła ślady przebytej ospy. Gdzieś w głębi duszy Pytia jednak poczuła, że w tym dziecku jest coś dziwnego. Może to przez to jej kiwanie się tam i z powrotem. Oczy dziecka wpatrywały się w przestrzeń, ale sprawiały wrażenie, że nic nie widzą.

Jej opiekunowie twierdzili, że była dotknięta przez bogów. Że umiała policzyć oliwki na drzewie, obrzucając je zaledwie jednym spojrzeniem. Że potrafiła określić, kiedy owca urodzi jagnię, nawet jej nie dotykając.

Te opowieści zaintrygowały Pytię. Zawołała dziewczynkę, by podeszła do wejścia do świątyni. Dziecko posłuchało polecenia, ale poruszało się bezwiednie, jakby w reakcji na podmuch wiatru. Pytia musiała pociągnąć ją za ramię, by ta usiadła przy niej na najwyższym stopniu schodów.

- Jak na ciebie wołają? - zapytała.

- Na imię ma Anthea - odpowiedziało jedno z jej opiekunów, stojące u podnóża schodów.

- Antheo, czy wiesz, dlaczego cię tutaj przyprawiono? - Pytia ze skupieniem wpatrywała się w dziecko.

- Twój dom jest pusty - wybełkotało dziecko, wbijając wzrok w ziemię.

Przynajmniej umie mówić. Pytia spojrzała do wnętrza świątyni. W palenisku głównej sali płonął ogień. Rzeczywiście w środku teraz nikogo nie było, ale zdawało się, że wyszeptane słowa dziecka mają zgoła głębsze znaczenie.

A może ona tylko tak się wyrażała. To było niezwykle, takie odległe, jakby sama stała jedną nogą w jakimś innym świecie, poza otaczającą ich rzeczywistością.

Dziecko uniosło głowę i spojrzało na nią niebieskimi, niewinnymi oczyma, które tak niezwykle kontrastowały z tym, co po chwili powiedziała.

- Jesteś już stara. Niedługo umrzesz.

Stojąca poniżej opiekunka dziecka próbowała je zganić, ale Pytia przemówiła miękko głosem.

- Kiedyś wszyscy umrzemy, Antheo. Taka jest naturalna kolej rzeczy.

- Hebrajski chłopiec nigdy nie umrze - odparło dziecko kręcąc głową.

Dziwne oczy wwiercały się w wyrocznię. Pytia poczuła, jak dostaje gęsiej skórki. To było oczywiste, że dziewczynkę uczono o kulcie Chrystusa i jego krwawej śmierci na krzyżu. Ale te jej słowa. Wypowiadane z taką mocą.

Hebrajski chłopiec...

Kiedyś jedna z poprzedniczek przepowiadała nadejście dnia Sądu Ostatecznego.

- Ale pojawi się jeszcze jeden - przemawiała dziewczynka. - Drugi chłopiec.

- Jeszcze jeden? - Pytia przysunęła się bliżej. - Kto? skąd?

- Z moich snów. - Dziewczynka potarła koniuszek ucha.

Czując, że istnieją głębsze warstwy tej przepowiedni, Pytia postanowiła je poznać.

- Ten drugi chłopiec? Kim on jest?

Gdy zebrani ludzie usłyszeli następne słowa dziewczynki, z ich piersi wyrwało się westchnienie, bo nawet oni uznali te słowa za bluźniercze.

- On jest bratem hebrajskiego chłopca. - Dziecko przytuliło się mocno do rąbka szaty Pytii. - Płonie w moich snach... i on wszystko spali. Nic nie przetrwa. Nawet Rzym.

Przez cały uprzedni miesiąc wyrocznia usiłowała dowiedzieć się więcej o przeznaczeniu, nawet wciągnęła dziewczynkę do grona kapłanek. Ale dziecko jakby zamknęło się w sobie i stało się nieme. Nadal jednak istniał sposób na poznanie prawdy.

Jeśli dziewczynka była rzeczywiście obdarzona boskim błogosławieństwem, to moc oddechu Apolla - cudowne opary dające dar przepowiadania - mogła uwolnić to, co było zamknięte w umyśle dziewczynki.

Tylko czy starczy im czasu?

Poczuła, że ktoś dotyka jej łokcia, i to wyrwało ją z rozmyślań.

- Pani, słońce... - przypomniała jedna z kapłanek.

Pytia spojrzała w niebo, które na horyzoncie zaczęło rozbłyskiwać światłami poranka, zwiastując wschód słońca. Ze stoku góry dobiegały pokrzykiwania legionistów. Najwyraźniej słowa dziewczynki odbiły się szerokim echem. Proroctwa o końcu świata rozchodziły się daleko... i dotarły do uszu samego cesarza. Cesarski posłaniec twierdził, że dziewczynka została opętana przez demona, i domagał się, by ją wydano i wysłano do Rzymu.

Pytia odmówiła. Bogowie zesłali jej tę dziewczynkę, przywiedli do świątyni Apollina. Nie porzuci tego dziecka bez wcześniejszego sprawdzenia jego wiarygodności.

Na wschodzie pierwsze promienie słońca zaczęły penetrować poranny nieboskłon.

Rozpoczął się siódmy dzień siódmego miesiąca.

Kapłanki czekały na tę chwilę wystarczająco długo.

Pytia odwróciła się plecami do nadciągających legionistów.

- Chodźcie. Musimy się spieszyć.

Weszły do wnętrza świątyni. Tutaj też przywitały je płomienie, ale one dawały radosne ciepło powitania i wydobywały się ze świętego paleniska ku czci Apolla. Dwie starsze kapłanki dbały o podtrzymanie ognia, były jednak zbyt stare, by

wspiąć się po skałach do jaskiń.

Pytia ukloniła się każdej z nich, wyrażając swą wdzięczność, i w pośpiechu minęła święty ogień.

Na tyłach świątyni znajdowały się schody wiodące w dół do jej osobistego sanktuarium. Wstęp do podziemnego adytonu miały jedynie te kapłanki, które służyły bezpośrednio Pytii. Marmur zamienił się w surową skałę wapienną. Schody prowadziły do niewielkiej jaskini. Wieki temu odkrył to miejsce pasterz kóz, który zbliżając się do jej wylotu, poczuł oddech Apollina i pod wpływem jego słodkiej woni zaczął mieć dziwne objawienia.

Czy ten dar przetrwa do następnego ranka?

W środku jaskini czekała już na nią dziewczynka. Ubrana była w za dużą tunikę. Siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami obok trójnogu z brązu wspierającego omfalos - symbol pępka świata - umieszczony na wysokości bioder półokrągły kamień.

Poza nim jedyną inną dekorację jaskini stanowił trójnóg. Ustawiono go nad naturalnym pęknięciem w skale podłoża. Pytia, choć przyzwyczajona do oddechu Apolla, za każdym razem poddawała się czarowi oparów wydobywających się ze szczeliny, które przypominały zapach kwiatów migdałowca.

- Już czas - powiedziała do młodszej kapłanki, która zeszła za nią na dół. - Przyrowadź do mnie dziecko.

Pytia podeszła do zydła na trzech nogach i usiadła nad wydobywającymi się ze szczeliny oparami.

- Pospieszcie się.

Młodsza kapłanka przyproceedziła dziewczynkę i usadowiła na kolanach Pytii. Wyrocznia przytuliła ją delikatnie, jak matka tuli niemowlę, ale dziewczynka nie zareagowała najmniejszym ruchem.

Pytia już zaczęła odczuwać wpływ boskiego tchnienia wydobywającego się spod ziemi. Przeszedł ją znajomy dreszcz. Jej krtań ogrzewał oddech Apollina, który zaczął przenikać ciało. Utraciła wizję.

Ale dziecko było mniejsze, bardziej podatne na boskie tchnienie.

Głowa dziewczynki odchyliła się do tyłu; opadły jej powieki. Było oczywiste, że długo nie wytrzyma spowijającego ją oddechu Apolla. Jednak by wykorzystać ostatnią szansę, należało teraz wypytać dziewczynkę o szczegóły jej wizji.

- Dziecko - zaczęła Pytia. - Opowiedz nam więcej o tym chłopcu i o Sądzie Ostatecznym. Skąd on wyjdzie?

- Ze mnie. On powstanie z moich snów - wyszeptały drobne usta dziewczynki.

Jej delikatne palce odnalazły dłoń Pytii i zacisnęły się, usta nadal wypowiadały słowa.

- Twój dom jest pusty... twoje źródła wyschły. Ale popłynie nowe źródło prorocstwa. - Ramiona Pytii mocniej przygarnęły dziewczynkę. Zdawała sobie sprawę, że otaczające świątynię ruiny już od wielu lat zwiastowały koniec wyroczeni.

- Nowe źródło. - W jej głosie zabrzmiała nadzieja. - Tu, w Delfach?

- Nie...

Oddech Pytii przyspieszył.

- Skąd wybije to źródło?

Usta dziewczynki poruszały się, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa.

Wyrocznia potrząsnęła ciałem dziecka.

- Skąd?

Ten ruch sprawił, że Pytia zaczęła mieć wizję srebrnych wód wychodzących z łona dziewczyny. Nowe źródło. Ale czy ta wizja pochodziła od Apolla czy była wynikiem jej nadziei?

Krzyk zaburzył jej trans. Z oddali dobiegały podniesione głosy i wrzask. Na schodach pojawiła się jakaś postać. To jedna ze starszych sióstr, która pilnowała ognia. Przyciskała rękę do barku. Purpurowy kwiat rozkwitał pod jej dłonią. Spomiędzy palców wystawał czarny grot strzały.

- Za późno! - zawołała staruszka i padła na kolana. - Rzymianie...

Pytia usłyszała słowa kapłanki, ale wciąż była pod wpływem oparów. Pod powiekami widziała wody wypływające ze źródła w brzuchu dziewczyny, nową krynicę proroctwa. Wyczuła przebijający się przez boskie opary zapach dymu z rzymskich pochodni. Krew i dym przeniknęły do jej wizji. Srebrne źródło było teraz także cienkim czarno-purpurowym strumykiem, który przelewał się w przyszłości.

Dziecko nagle stało się całkowicie bezwładne, otumanione oparami wydobywającymi się ze szczeliny w skale. Pytia nadal pogrążona była w swojej wizji; dostrzegła, że ten ciemny strumień zaczął materializować się w czarną postać... cień chłopca. Za nim widziała płomienie.

Przypomniała sobie słowa dziewczynki sprzed miesiąca.

On jest bratem hebrajskiego chłopca... wszystko spali.

Pytia podtrzymywała wiotkie ciało dziewczynki. Proroctwo dziecka dotyczące dni ostatnich dawało także nadzieję na wybawienie. Może faktycznie najlepiej byłoby przekazać małą w ręce Rzymian i w ten sposób zakończyć niepewną przyszłość tego miejsca. Głosy z wnętrza świątyni docierały echem do groty. Nie było już ucieczki. Jedynie w śmierć.

Nadal jednak miała wizję.

Apollo przysłał tu tę dziewczynkę. Przysłał ją Pytii.

Wybije nowe źródło.

Zaciągnęła się głęboko oddechem Apollina.

Co mamy zrobić?

Centurion przeszedł główną salę. Miał konkretne rozkazy. Zabić dziewczynkę, która prorokowała o końcu cesarstwa. Uprzedniej nocy złapali służkę świątynną. Po obiciu jej batami - zanim darował ją żołnierzom, by się z nią zabawili - wyznała, że cudowne dziecko chowa się w świątyni.

- Dajcie tu pochodnie! - zawołał. - Przeszukajcie każdy kąt!

Poruszenie na końcu sali przykuło nagle jego uwagę, mocniej ścisnął rękojeść miecza.

Po schodkach, słaniając się, z cienia wyszła kobieta. Zrobiła dwa kroki w stronę światła i stanęła niepewnie, jakby czymś odurzona. Była odziana w białą szatę; na jej skroniach spoczywał wieniec z gałązek wawrzynu.

Zdał sobie sprawę, kim ona jest.

Wyrocznia z Delf.

Centurion zwalczył obawy. Jak wielu legionistów w tajemnicy czcił dawnych bogów. Nawet uczestniczył w zarzynaniu byków na cześć Mitry i kąpał się w ich krwi.

Wiedział jednak, że nadszedł zmierzch rzymskich bogów.

Nikt już nie mógł powstrzymać nowej wiary.

- Kto śmie naruszać spokój świątyni Apollina? - zawołała kobieta.

Czując ciężkie spojrzenia swoich ludzi, centurion podszedł marszowym krokiem do kobiety.

- Wydaj mi dziecko - zażądał.

- Ona odeszła. Jest już poza waszą mocą.

Centurion wiedział, że to niemożliwe. Świątynia była przecież otoczona.

Obawa, że mogło być inaczej, pchała go do działania.

Wyrocznia zasłoniła swoim ciałem wejście na schody prowadzące do grotty. Oparła dłonie na napierśniku legionisty.

- Mężczyźni mają zakaz wchodzenia do audytonu.

- Ale nie cesarz. A ja działałam z jego rozkazu.

Wyrocznia nie ruszyła się z miejsca.

- Nie wejdiesz tam.

Rozkaz centuriona nosił pieczęć cesarza Teodezjusza, a przekazał mu je syn władcy - Arkadiusz. Starzy bogowie mieli zamilknąć, a ich świątynie należało zburzyć. W całym cesarstwie. I w Delfach też. Centurion otrzymał jeszcze jedno polecenie.

I wiedział, że je wykona.

Aż po rękojęć wbił miecz w ciało wyroczni. Z westchnieniem padła mu w ramiona jak kochanka obejmująca swojego oblubieńca. Krew zbryzgała jego pancerz i podłogę.

Wyrocznia osunęła się na marmur i upadła na bok. Trzęsącą się dłoń umoczyła w kałuży własnej krwi.

- Nowe źródło... - wyszeptwała, jakby była to jakaś obietnica.

Jej ciało zwiotczało i umarła.

Centurion przeszedł nad zwłokami i trzymając miecz przed sobą, ruszył po schodach do małej, ślepej jaskini. Zobaczył przebite strzałą zwłoki starej kapłanki leżące w kałuży krwi. Trójnogi zydeł leżał przy niej na szczelinie w podłodze. Przeszukał dokładnie całą pieczarę.

To niemożliwe.

Grota była pusta.

Marzec 1959 rok
Karpaty

Rumunia

Major Jurij Rajew wysiadł z wojskowej ciężarówki ZiS-151 i zeskokczył w wyżłobione koleiny polnej drogi. Nogi mu zadrżały. Dla złapania równowagi oparł się o zielone drzwi poobijanego zisa. Nieźle go wytrzymało podczas tygodniowej wspinaczki w górach, aż poczuł ból w kręgosłupie. Wydawało mu się, że od tej jazdy nawet zęby trzonowe poluzowały mu się w szczęce. Ale jedynie tej terenowej ciężarówce, która dzielnie spisywała się na kamienistych serpentynach i przemienionych w potoki górskich traktach, zawdzięczał dotarcie do odizolowanego od świata zimowego obozu.

Spojrzał przez ramię, gdy otwierały się tylne drzwi i żołnierze w czarno-białych mundurach zaczęli wyskakiwać z wozu. Zimowe kombinezony doskonale maskowały ich sylwetki na tle ośnieżonych granitowych skał w porośniętych lasem górach. Poranna mgła nadal stała w zagłębieniach terenu, przypominając ponure duchy.

Mężczyźni przeklinali i przytupywali. Co chwila któryś gasił na ziemi papierosa. Słysząc było szcęk zamków kałasznikowów. Żołnierze stanowili tylną straż, której zadaniem było odpędzanie ciekawskich.

Jurij podniósł wzrok, gdy podszedł do niego jego zastępca, porucznik Dobricki. Był dobrze zbudowanym Ukraińcem ze śladami po ospie na twarzy i złamanym nosem i jak pozostali żołnierze miał na sobie zimowy strój maskujący. Czerwone krawki wokół oczu zdradzały, że jeszcze przed chwilą nosił gogle.

- Towarzyszu majorze, melduję, że obóz jest zabezpieczony.
- Czy to ich szukamy?

Dobricki wzruszył ramionami, pozostawiając Jurijowi osąd. Już raz po fałszywym alarmie wpadli do zimowego obozu na wpół zagłodzonych wieśniaków, którzy ledwo wiązali koniec z końcem, pracując w kamieniołomie.

Mieszkańcy tych gór byli jak z innej epoki, może kamiennej, zacofani, zabobonni i biedni. Porośnięte lasami urwiste zbocza dawały doskonale schronienie tym, którzy chcieli pozostać w ukryciu.

Zszedł na bok i zaczął przypatrywać się śladom pozostawionym na górskiej drodze. Błoto i śnieg ugniecione zostały w koleiny przez pojazdy szpicy oddziału. Przez drzewa dostrzegł grupę motocykli IMZ-Ural z koszami, w których siedzieli uzbrojeni żołnierze. Ciężkie motory wypuszczono wcześniej, by zabezpieczyły teren, odcinając wszelkie możliwe drogi ucieczki.

Do tego odległego miejsca przywiodły ich plotki i wymuszone torturami zeznania. Mimo posiadanych informacji i tak musieli zasięgać języka po drodze. W tym celu spalili kilka domostw, by ich mieszkańcy nabrali chęci do mówienia. Nikt nie chciał opowiadać o karpackich Cyganach. Bano się tego odizolowanego klanu ze względu na historie o *strigoi* i *moroi* - strzygach i czarownicach.

- Czy wreszcie ich odnalazł?
- Porucznik Dobricki zaszurał butami.

- Co robimy, towarzyszu majorze?

Uwagę Jurija zwrócił cierpki ton Ukraińca. Chociaż służył w randze majora w armii radzieckiej, nie był żołnierzem z powołania. Był o głowę niższy od Dobrickiego, miał niewielki brzusek i dość okragłą twarz. Ściągnięto go do wojska wprost z Uniwersytetu Leningradzkiego, a awansował dzięki pracy naukowej dla armii. W wieku dwudziestu ośmiu lat był szefem laboratorium biofizyki w Państwowym Instytucie Badań Medycznych i Przyrodniczych.

- Gdzie jest kapitan Martowa? - zapytał Jurij. Martowa, oficer wywiadu, rzadko oddalała się od boku porucznika; starała się widzieć i słyszeć wszystko.

- Czeka na nas przy wejściu do obozu.

Dobricki ruszył z mozołem środkiem drogi. Jurij zdecydował się iść bokiem, gdzie grunt był nadal zamrożony. Po dojściu do ostatniej serpentyny porucznik wskazał na obóz schowany pod stromą granią i osłonięty ciemnym borem.

- Cyganie - mruknął Dobricki. - Tak jak sobie towarzysz życzył, da?

Ale czy to jest ten właściwy klan?

Przed nimi stały tabory pomalowane na zielono i czarno, a ich koła sięgały głowa Jurija. W niektórych miejscach farba się łuszczyła, odsłaniając jaskrawsze kolory będące pamiątką po radośniejszych czasach. Wysokie drewniane wozy były zasypane śniegiem, a ich dachy otoczone wianuszkami sopli. Okna pokrywał szron. Czarne miejsca na ziemi znaczyły ślady dawnych ognisk. W głębi obozu paliły się jeszcze dwa ogniska, a płomienie strzelały ponad najwyższy wóz. Obok stał spalony wóz, przy którym konie pociągowe zwieszały łby nad korytami zbitymi z resztek ocalałych z pożaru desek. Po obozie włóczyły się ospale kozy i kilka owiec.

Żołnierze otoczyli cały obóz. W paru miejscach leżały ciała odziane w stare szmaty i futrzane kurty. Pozostali przy życiu wyglądali trochę lepiej.

Mieszkańcy obozu zostali wyciągnięci z wozów mieszkalnych i namiotów

Krzyki dobiegające z głębi obozu świadczyły o tym, że spędzono już ostatnich Cyganów. Ktoś puścił serię z kałasznikowa. Jurij przypatrywał się stłoczonym Cyganom, w których oczach dostrzegł zaciętość. Część kobiet klęczała i łkała. Mężczyźni o ciemnych twarzach zdążyli już poznać siłę intruzów; wielu z nich było rannych; kilku miało połamane kończyny.

- Gdzie są wszystkie dzieci? - zapytał Jurij.

Odpowiedź dobiegła zza jego pleców.

- Zabarykadowane w kościele.

Jurij odwrócił się i zobaczył Kapitan Sawinę Martową. Chowała twarz pod kapturem obszytym futrem. Jej ciemne włosy pasowały do futra rosyjskiego czarnego wilka, którym obszyty był kaptur.

Wyciągnęła szczupłe ramię w kierunku budynku stojącego za wozami taboru. Kościółek wybudowany z górskiego kamienia zlewał się z otaczającymi go skałami.

- Dzieci zebrały się tam, zanim się tu pojawiliśmy - wyjaśniła Sawina.

- Musieli usłyszeć motocykle. - Dobricki kiwnął głową.

Sawina i Jurij popatrzyli na siebie. W jej zielonych oczach tańczyło poranne

słońce. Pochłonięta była własnymi rozmyśleniami. To ona dostarczyła do instytutu, w którym pracował Jurij, teczkę z dokumentami naukowymi, zawierającą notatki i informacje z Auschwitz-Birkenau, dotyczące głównie pracy doktora Josefa Mengelego, zwanego w tym obozie koncentracyjnym Aniołem Śmierci.

Jurij miał kilka koszmarów sennych po zapoznaniu się z dostarczonym materiałem. Doktor Mengele przeprowadzał wiele okrutnych doświadczeń na więźniach obozu. Ten naukowiec - potwór najbardziej upodobał sobie Cyganów, a szczególnie ich dzieci. Rozpieszczał je słodyczami i czekoladkami. Dzieci zaczęły nazywać go Wujek Pepe. Robił to wszystko, by je trochę zjeść. W końcu i tak wszystkie uśmiercił, ale dopiero jak odnalazł wśród nich szczególną parę cygańskich bliźniąt.

Jednojąkowe bliźnięta, dziewczynki - Sasza i Mina.

Jurij czytał te sprawozdania z mieszaniną fascynacji i przerażenia.

Mengele sporządził skrupulatne notatki dotyczące tych niezwykłych bliźniąt: ich wiek, historię rodziny, rodowód. Torturował rodzinę i krewnych dziewczynek, by wydobyć od nich więcej szczegółów, które później sprawdzał. Mengele przyspieszył tok swoich badań. Lecz gdy zbliżał się koniec wojny, musiał przedwcześnie zakończyć wszelkie testy. Zabił obydwie dziewczynki, wstrzykując im fenol w serce.

Mengele wyraził swoją żalność w zapiskach.

Wenn ich nur mehr Zeit hatte...

Gdybym miał tylko więcej czasu...

- Jesteś gotowy? - zapytała Sawina.

Jurij skinął głową.

W towarzystwie Dobrickiego i jeszcze jednego żołnierza udali się do obozu. Jurij przeszedł nad zwłokami, leżącymi twarzą do ziemi w kałuży zamarznętej krwi.

Kościół wznosił się przed nimi. Kamienna budowla nie miała żadnych okien. Jedyne drzwi wiodące do środka były zamknięte. Zrobione zostały z grubo ciosanych belek z twardego drewna z mocnymi okuciami z miedzi. Budynek wyglądał bardziej jak forteca niż świątynia.

Dwaj żołnierze stanęli przy drzwiach ze stalowym taranem.

Dobricki spojrział na Jurija.

Ten skinął głową.

- Rozwalić - polecił porucznik.

Żołnierze rozbujali taran. Drewno wytrzymało tylko trzy uderzenia. Drzwi puściły i rozwarły się z hukiem.

Jurij wszedł do środka tuż za Sawiną.

Małe lampy naftowe rozświetlały ciemne wnętrza. Rzędy ławek po obu stronach wiodły do ołtarza na podwyższeniu. W ławkach w dziwnym milczeniu kuliły się dzieci w różnym wieku.

Idąc w stronę ołtarza, Jurij przyglądał się dzieciom. Wiele z nich miało mikrocefalię, zajęczą wargę lub były karłami. Jedno dziecko nie miało zupełnie ramion. To wynik kojarzenia krewniaczego, pomyślał Jurij i wzdrygnął się z

odrazą. Nic dziwnego, że okoliczni wieśniacy bali się Cyganów i powtarzali historie o duchach i potworach.

- Skąd mamy wiedzieć, że to są właściwe dzieci? - zapytała Sawina z widoczną odrazą w głosie. Jurij zacytował zdanie z zeznań wymuszonych torturami przez Mengelego: „Legowisko wróżek”. To tutaj urodziły się bliźniaczki i to był sekret utrzymywany przez Cyganów powracających w te strony.

- Czy to te dzieci? - naciskała Sawina.

- Skąd mam wiedzieć? - Jurij pokręcił głową.

Szedł dalej w kierunku dziewczynki siedzącej przy ołtarzu. Przyciskała do siebie szmacianą lalkę, choć jej własny ubiór był niewiele lepszy od szmatek lalki. Gdy Jurij się zbliżył, dostrzegł, że na pierwszy rzut oka dziewczynka była doskonała, pozbawiona wszelkich deformacji. W przyćmionym świetle błyszczały jej krystaliczne czyste niebieskie oczy.

To było tak rzadkie zjawisko u Cyganów.

Zupełnie jak bliźniaczki, Sasza i Mina.

Jurij uklęknął przed dziewczynką. Wydawało się, że ona wcale go nie dostrzega, jakby patrzyła przez niego. Wyczuł, że dziewczynkę dotknęło coś dziwnego, prawdopodobnie gorszego niż deformacje widoczne u pozostałych dzieci.

Choć jej wzrok nie skupił się na nim nawet na moment, wyciągnęła w jego kierunku rękę.

- *Unchi Pepe* - wysepleniała po romsku.

Jurij poczuł dreszcz grozy. *Wujek Pepe*. Tak dzieci mówiły na Mengelego. Tego określenia używały wszystkie cygańskie dzieci. Ale te tutaj były za młode, żeby przebywać w obozie koncentracyjnym.

Jurij spoglądał w jej patrzące w pustkę oczy. Czy dziewczynka wiedziała, co Jurij i jego zespół zamierzali zrobić? Niby skąd miałyby wiedzieć? Mimo to wciąż do niego wracały słowa Mengelego:

Gdybym tylko miał więcej czasu...

To już nie jego zmartwienie. Jego Zespół dostanie tyle czasu ile będzie potrzebował. Laboratorium już budowano. Z dała od wścibskich.

Podeszła Sawina. Chciała usłyszeć odpowiedź.

Jurij znał prawdę, odkąd tylko spojrzął w oczy dziewczynki, ale nadal się wahał.

Sawina trąciła go w ramię.

- Towarzyszu majorze. Nie było dla niego odwrotu, więc Jurij skinął głową, zgadzając się na horror, który miał nastąpić.

- *Da*, to te wróżki.

- Jest pan pewien?

Jurij jeszcze raz skinął głową, wciąż wpatrując się w oczy dziewczynki. Ledwo usłyszał, jak Sawina wydaje rozkaz Dobrickiemu:

- Załadujcie wszystkie dzieci do ciężarówek. Pozostałych zabijcie.

Jurij nie odwołał tego rozkazu. Zdawał sobie sprawę, po co tutaj przyjechali.

Dziewczynka nadal wyciągała do niego rękę.

- *Unchi Pepe* - powtórzyła.

Wziął jej drobne palce w swoją dłoń. Nie mógł zaprzeczyć, nie miał odwrotu.

- Tak. To ja.

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Teraźniejszość
5 września, 13.38
Waszyngton, D.C.

Nie codziennie ktoś umiera na twoich rękach.

Komandor Gray Pierce szedł właśnie, gdy zaczepił go jakiś bezdomny. Gray był w paskudnym nastroju, właśnie uspokajał się po jednej awanturze i szykował na następną. Popołudniowy upał tylko wzmacniał jego irytację. Dzień jak to zwykle w Waszyngtonie latem był upalny i wilgotny. Pierce miał na sobie granatową marynarkę narzuconą na wciśniętą w dzinsy bawełnianą koszulkę. W tym stroju jego wewnętrzna temperatura podniosła się od przysłowiowego średnio wysmażonego steku do dobrze wysmażonego.

Gdzieś w połowie kwartału dostrzegł wynędzniałego człowieka machającego

ręką w jego stronę. Bezdomny miał na sobie workowate dżinsy z nogawkami podwiniętymi do kostek, spod których widać było wojskowe buty zasznurowane tylko do połowy, oraz wygniecioną starą marynarkę. Gdy mężczyzna się do niego zbliżał, Gray zauważył, że jego potargana broda jest poprzetykana siwizną, a przekrwione oczy rozglądają się nerwowo dookoła.

Tacy poszukiwacze skarbów nie byli niezwykłym widokiem na promenadzie, szczególnie po świątecznym weekendzie i obchodach Dnia Pracy. Turyści wrócili już do swoich codziennych obowiązków, policjanci udali się do barów na pączki i kawę, a sprzątacze oczyścili okolice z pozostałości po weekendowych festynach. Ostatni opuszczali promenadę bezdomni żebracy liczący na kilku centowy datek albo szukający w koszach na śmieci butelek i puszek po napojach, które później zanosili do skupu. Byli jak kraby obierające z resztek mięsa martwe żyjątko.

Idąc Jefferson Drive w stronę siedziby Sigmy, Gray nie ustąpił na bok, gdy włóczęga szedł prosto na niego. Nawiązał nawet z nim kontakt wzrokowy, by zbadać poziom ewentualnego zagrożenia i dać do zrozumienia mężczyźnie, że jest na jego kursie. Choć większość takich zbieraczy to byli więźniowie, to jednak wśród nich znajdowali się mężczyźni i kobiety, którzy żyli na ulicy, bo mieli mniej szczęścia w życiu niż normalni obywatele, byli uzależnieni od narkotyków czy też zostali wypuszczeni ze szpitali psychiatrycznych. Niestety część z nich stanowili także weterani wojskowi. Gray nie odwrócił wzroku - i może właśnie dlatego oczy włóczęgi błysnęły silniej.

Komandor dostrzegł na tej brudnej pooranej zmarszczkami twarzy ulgę i nadzieję. Krok bezdomnego stał się bardziej zdeterminowany. Może bał się, że obiekt jego zainteresowania zniknie w drzwiach Smithsonian Institution, zanim uda mu się go zaczepić. Ciało mężczyzny przebiegł dreszcz. Najprawdopodobniej był pod wpływem jakichś środków odurzających albo miał napad delirium.

Wyciągnął rękę otwartą dłonią skierowaną ku górze. To był uniwersalny gest - od faweli Brazylii po zaułki Bangkoku.

Pomóż mi, proszę.

Gray sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po portfel. Wielu przechodniów mogło pomyśleć, że daje się naciągnąć żebrakowi na datek. Przecież oni za te pieniądze kupują gorzałę albo narkotyki. Ale miał to gdzieś. Nie jego sprawa. To był dla niego po prostu człowiek w potrzebie. Wyjął portfel. Jeśli facet go poprosi, da mu jakieś pieniądze. Takie właśnie miał podejście do życia. Poza tym jeśli komuś wyświadczył uprzejmość, od razu poprawiało mu się samopoczucie. A cały koszt takiej operacji to jeden albo dwa dolary. W sumie niezły interes.

Zajrzał do portfela. Same dwudziestki. Dopiero co wybrał gotówkę z bankomatu przy stacji metra. Wzruszył ramionami i wyciągnął banknot z podobizną Andrew Jacksona.

No dobra, czasem kosztuje to więcej niż dwa dolce.

Podniósł głowę dokładnie w momencie, gdy stanęli naprzeciwko siebie. Gray wyciągnął rękę z dwudziesto-dolarowym banknotem, ale spostrzegł, że dłoń

żebraka nie jest pusta. Spoczywała w niej zaśniedziała moneta wielkości pięćdziesięciocentówki.

Komandor zmarszczył czoło.

Po raz pierwszy przydarzyło mu się, że to bezdomny chciał mu coś wręczyć.

Zanim zdążył zrozumieć, co się dzieje, mężczyzna padł w jego ramiona, a jego usta otwarły się, wyrażając nieme zdziwienie.

Gray instynktownie złapał starca, który był niespodziewanie lekki.

Pod marynarką miał chyba samą skórę i kości. Jego ręka otarła się o policzek komandora - była nienaturalnie gorąca. Przez chwilę Gray z obawą pomyślał o AIDS, ale zignorował zagrożenie. Jego dłoń natrafiła na mokrą, gorącą plamę w dolnej części pleców bezdomnego. Poczul na plecach ciepłą ciecz - krew. Instynktownie rzucił się w bok, wciąż trzymając mężczyznę.

Gęsta trawa zamortyzowała upadek.

Nie usłyszał kolejnych strzałów - ale dwa rykoszety zaiskrzyły na betonowych płytach w miejscu, gdzie przed chwilą stał. Przeturlał się dalej w bok, aż pod stalowo-betonowy postument stojący na trawniku przed zamkiem - siedzibą Smithsonian Institution. Na tablicy przymocowanej do betonu widział napis:

Centrum Informacyjne Smithsonian Institution.

Gray właśnie potrzebował informacji. Choćby takiej, kim był strzelec.

Postument stał pomiędzy nim a promenadą. Dawał przynajmniej tymczasowe schronienie. Zaledwie dziesięć metrów dalej znajdowały się łukowate drzwi Smithsonian Castle. Sam budynek zwieńczony był wieżyczkami wybudowanymi z czerwonego piaskowca wydobytego z kamieniołomu w Seneca Creek w Marylandzie. Wyglądał jak prawdziwy normański zamek, jak forteca. Oferował im pewne schronienie, ale przejście tych kilku kroków naraziłoby ich na dalszy ostrzał snajpera.

Zamiast rzucać się przez trawnik, Gray odbezpieczył pistolet - niewielkiego sig sauera P229 - który wyjął z kabury przymocowanej do paska spodni na krzyżu. Choć nie widział napastnika, to wołał jednak mieć broń w pogotowiu.

Leżący obok niego mężczyzna jęczał. Już całe plecy miał we krwi. Biedny włóczęga oczekiwał jałmużny, a zamiast tego dostał kulkę. Przypadkowa ofiara zamachu na Graya.

Ale kto próbował go zabić? I dlaczego?

Bezdomny z trudem podniósł drżący palec. Sądząc po ranie wlotowej i ilości krwi, pocisk trafił w nerkę, a taka rana była śmiertelna dla schorowanego człowieka. Mężczyzna złapał Graya za udo. Jego palce rozwarły się i wypuściły zaśniedziałą monetę, którą cały czas trzymał w zaciśniętej dłoni. Moneta odbiła się od nogi Graya i upadła w trawę.

Upominek na pamiątkę.

Jak zwrot jałmużny.

Głowa bezdomnego opadła na ramię Graya, a ciało zwiotczało. Komandor zaklął cicho. Przykro mi, staruszk.

Wolną ręką sięgnął po komórkę. Podniósł klapkę kciukiem i nacisnął guzik szybkiego wybierania. Natychmiast uzyskał połączenie z numerem alarmowym.

Poprosił centralę o pomoc.

- Ekipa w drodze - oznajmił dyrektor. - Widzimy cię na monitorach. Dużo krwi. Jesteś ranny?

- Nie.

- Nie ruszaj się stamtąd.

Gray nie dyskutował z przełożonym. Nie usłyszał już, by jakieś pociski rykoszetowały, żaden nie trafił w zasłaniający go postument. Istniała pewna szansa, że strzelec już zrezygnował. Gray jednak nie miał zamiaru się ruszać do momentu, aż przybędzie kawaleria.

Schowwał telefon i poszukał ręką monety leżącej w trawie. Podniósł ją i wytarł o spodnie. Była ciężka, gruba i niezbyt precyzyjnie wybita. Umoczył ją w krwi nieboszczyka i dokładniej wytarł brud z jej powierzchni, odsłaniając wizerunek czegoś, co wyglądało na grecką lub rzymską świątynię - budynek z sześcioma kolumnami i dwuspadowym dachem.

Co to jest, do licha?

W środku monety widniała pojedyncza litera.

To chyba grecka litera.

Sigma.

W matematyce sigma oznacza sumę elementów, ale był to też symbol organizacji, w której pracował Gray: Sigma - elitarny zespół byłych żołnierzy służb specjalnych, których przeszkolono w różnorodnych dziedzinach nauki, by mogli odbywać służbę jako zbrojne ramię DARPA - Agencji do Spraw Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych.

Gray spojrział w stronę zamku. Tam właśnie mieściła się siedziba Sigmy, głęboko pod fundamentami Smithsonian Castle w bunkrze z czasów II wojny światowej. Była to doskonała lokalizacja ze względu na bliskość wszystkich budynków rządowych, Pentagonu i różnych prywatnych i państwowych instytucji naukowych.

Skupiając wzrok z powrotem na monecie, Gray zdał sobie sprawę, że się pomylił. To nie była Sigma - tylko zwykła duża litera E. To przez tę sytuację oczy zwiódły umysł i zobaczył literę, która mocno tkwiła w jego umyśle.

Zacisnął palce na monecie.

Zwykle E.

Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich kilku tygodni Gray założył istnienie związków, których tak naprawdę nie było - przynajmniej tak uważali wszyscy jego koledzy. Przez cały miesiąc szukał informacji potwierdzających, że jego zaginiony przyjaciel, Monk Kokkalis, nadal żyje. Ale do tej pory, choć mieli do dyspozycji wszystkie środki Sigmy, trafiali tylko w ślepe zaułki.

„To jak poszukiwanie duchów”, ostrzegł Painter Crowe po kilku pierwszych tygodniach poszukiwań.

Może szukał tych duchów.

Kilka kroków dalej przed wejściem do zamku otwarły się z łoskotem drzwi samochodów. Tuzin postaci ubranych na czarno i uzbrojonych w długą broń wyskoczyło z samochodów. Zbili się w gromadki i odwróceni do siebie plecami, stojąc ramieniem przy ramieniu, wzajemnie się ubezpieczali.

Kawaleria.

Poruszali się ostrożnie, lecz nikt nie oddał w ich stronę strzału. Szybko doszli do Graya i zasłonili go. Jeden z komandosów klęknął obok bezdomnego i położył na ziemi podręczną apteczkę.

- Chyba nie żyje - powiedział Gray. Sanitariusz sprawdził tętno i potwierdził jego słowa. Komandor podniósł się z ziemi.

Zdziwił się, widząc swojego szefa, Paintera Crowe'a, który bez marynarki, z rękawami koszuli podwiniętymi do łokci wypadł przez drzwi. Miał marsową minę. Choć był dziesięć lat starszy od Graya, nadal miał sprężyste ruchy. Dyrektor musiał uznać, że bezpośrednie zagrożenie minęło, albo też, podobnie jak jego podwładny, doszedł do wniosku, że snajper już zwiął.

No tak, czy było coś, na czym ten człowiek się nie znał? Pewnie tylko na robocie papierkowej i na nierespektowaniu niektórych procedur.

Painter podbiegł do Graya. W dali rozbrzmiewały syreny policyjne.

- Poinformowałem lokalną policję. Obstawiają promenadę.

- To nic nie da, za późno.

- Najprawdopodobniej. Przeprowadzimy badania balistyczne i dowiemy się, skąd padły strzały. Czy ktoś cię śledził?

- Sądzę, że nie.

Dyrektor omiatał wzrokiem promenadę i widać było, że się zastanawia. Kto chciałby zabić Pierce'a? Na schodach ich siedziby. Było to jasne ostrzeżenie, ale przed czym? Pierce nie brał udziału w żadnej operacji od czasu swej ostatniej misji w Kambodży.

- Na wszelki wypadek zapewniłmy bezpieczeństwo twoim rodzicom - oznajmił Painter.

Komandor skinął w podziękowaniu głową. Jego ojciec na pewno niezbyt się z tego ucieszy. Ani matka. Ledwo się pozbierali po brutalnym uprowadzeniu sprzed dwóch miesięcy.

Teraz, bezpośrednio po zamachu, Gray zaczął się zastanawiać, kto i dlaczego próbował go zabić. Do głowy natychmiast przyszedł mu jeden powód - próbował dowiedzieć się czegoś o losie przyjaciela i nadepnął komuś na odcisk.

- Dyrektorze, czy ten zamach...?

Painter podniósł rękę, widać było, że jest zmartwiony. Uklęknął przy bezdomnym i delikatnie odwrócił jego głowę. Po chwili zmrużył oczy. Wyraźnie był przygnębiony.

- O co chodzi, dyrektorze?

- Wydaje mi się, że to nie ty byłeś celem.

Gray spojrział na chodnik i przypomniał sobie, jak rykoszetujące obok jego stóp pociski krzeszały iskry.

- Przynajmniej nie pierwszym celem - ciągnął dyrektor. - Snajper przypuszczalnie chciał cię wyeliminować, bo byłeś świadkiem.

- Skąd ta pewność?

- Bo znam tego człowieka. - Painter wskazał głową na denata.

Gray był zaszokowany.

- Nazywa się Archibald Polk, był profesorem neurologii na MIT.

Gray popatrzył sceptycznie na żółtawą cerę denata, brud, rozczochraną brodę, ale dyrektor był pewien, że ma rację. Jeśli to prawda, to profesora musiał ostatnio los ciężko doświadczyć.

- Ale jak on mógł się znaleźć w takim stanie? - zapytał.

Painter podniósł się i pokręcił głową.

- Skąd mam wiedzieć? Nie widziałem go od dziesięciu lat. Ale ważniejsze jest: dlaczego ktoś chciał go zabić.

Komandor spojrział na ciało. Powinien właściwie się cieszyć, że to nie on był celem zamachu, a jeśli Painter miał rację, to prywatne śledztwo Graya nie miało nic wspólnego z zamachem.

Poczuł złość i żal, że nie uratował tego człowieka.

Profesor umarł na jego rękach.

- Pewnie szedł, żeby się ze mną spotkać - mruknął Painter i spojrział na zamek. - Ale po co?

Gray wyciągnął brudną od krwi dłoń, na której spoczywała antyczna moneta.

- Myślę, że chciał panu to przekazać.

14.02

Gdy w oddali wyły policyjne syreny, wzdłuż Pennsylvania Avenue szedł powoli starszy mężczyzna w szarym, zakurzonym garniturze. W jednej ręce niósł starą, poobijaną walizkę, drugą trzymał za rączkę dziewczynkę. Dziewięcioletka ubrana była w szarą sukienkę pasującą do garnituru mężczyzny. Ciemne włosy kontrastujące z jasną skórą miała związane w kucyk czerwoną tasiemką. Jej czarne lakierki uwalane były błotem z placu zabaw, na którym dokazywała jeszcze przed chwilą.

- Papa, czy spotkałeś swojego przyjaciela? - zapytała po rosyjsku.

Mężczyzna ścisnął jej dłoń i odpowiedział zmęczonym głosem:

- Tak, spotkałem, Sasza. Ale pamiętaj, kochanie, rozmawiamy po angielsku.

Dziewczynka zaszurała butami, słysząc tę reprimendę.

- Czy ten przyjaciel cieszył się ze spotkania? Przypomniał sobie padającego mężczyznę, którego dokładnie widział w celowniku teleskopowym karabinu.

- Tak, kochanie. Choć chyba był trochę zdziwiony.

- Czy pojedziemy teraz do domu? Marta za mną tęskni.

- Już niedługo.

- Ale kiedy? - zapytała nadaśana i podrapała się za uchem. Między włosami błysnęło coś metalowego.

Mężczyzna puścił jej dłoń i delikatnie poprawił jej włosy.

- Musimy wpaść w jeszcze jedno miejsce, a potem pojedziemy do domu.

Zbliżali się do Dziesiątej Ulicy. Po prawej stronie wyrósł przed nimi wysoki, brzydki betonowy budynek, który ktoś próbował udekorować rzędem flag.

Mężczyzna skręcił z chodnika w stronę wejścia.

To był jego docelowy punkt.

Główna siedziba Federalnego Biura Śledczego.

15.46

Coś zabręczczało w szafce Graya.

Rzucił się do niej, ślizgając się na mokrej podłodze. Dopiero co wyszedł spod prysznic i miał na sobie tylko ręcznik owinięty wokół bioder. Po przekazaniu dyrektorowi Crowe'owi wszystkich szczegółów dotyczących zamachu poszedł do wewnętrznej szatni pracowniczej znajdującej się na najniższym poziomie bunkra Sigmy. Już raz wziął prysznic, następnie poszedł na ostry trening do siłowni, gdzie wyciskał sztangę i ćwiczył hantlami przez dobrą godzinę. Po siłowni znowu się wykapał. Wyczerpujące ćwiczenia pomogły mu oczyścić umysł.

Ale nie do końca.

Nie uspokoi się, dopóki nie zdobędzie kilku odpowiedzi na pytania związane z morderstwem.

Sięgnął do metalowej szafki i wyciągnął blackberry, który wibracjami informował o połączeniu. To pewnie Crowe. Wibracje ustały, nim odebrał. Przycisnął guzik „Nieodebrane połączenia” i zmarszczył brwi ze zdziwieniem.

Dzwonił: R. Trypol.

Prawie o nim zapomniał.

Kapitan Ron Trypol z Wywiadu Marynarki Wojennej.

Kapitan dowodził operacjami ratunkowymi na indonezyjskiej wyspie Pusat. Miał na dziś sporządzić raport o efektach podnoszenia z dna statku wycieczkowego Mistress of the Seas. Dysponował dwoma batyskafami, które przeszukiwały miejsce zatonięcia statku.

W pobliżu wyspy Pusat po raz ostatni widziano Monka Kokkalisa, gdy wciągała go pod wodę obciążona sieć, w którą się zaplątał. Kapitan Trypol podjął się poszukiwania ciała. Był starym przyjacielem i dawnym kolegą wdowy po Monku, Kat Bryant. Tego ranka Gray udał się do siedziby Narodowego Centrum Wywiadu Marynarki Wojennej w Suitland, w Marylandzie, mając nadzieję, że zdobędzie jakieś informacje o tej operacji. Kazano mu czekać na oficjalny raport. To właśnie dlatego wracał w pośpiechu do siedziby Sigmy, chciał poprosić dyrektora, by przycisnął ludzi z Wywiadu Marynarki Wojennej.

Dreńczyły go wyrzuty sumienia, że zupełnie zapomniał o tej sprawie. Przycisnął klawisz oddzwaniania i podniósł telefon do ucha. Czekając na połączenie, usiadł na ławce i wpatrywał się w szafkę po drugiej stronie szatni. Czarnym markerem na papierowej taśmie napisano nazwisko jej użytkownika.

KOKKALIS.

Choć Monk najprawdopodobniej zginął, nikt nie chciał odkleić tej taśmy. Wszyscy mieli cichą nadzieję, którą Gray wciąż podsyczał. Był to winien przyjacielowi.

Monk awansował w Sigmie równo z Grayem. Został zwerbowany z Zielonych

Beretów w tym samym czasie, gdy Graya wyciągnięto z więzienia Leavenworth, gdzie był przetrzymywany za uderzenie starszego stopniem oficera podczas swojej służby wojskowej w Rangersach. Szybko się zaprzyjaźnili, choć wyglądali jak Flip i Flap, bo Monk był niski, miał zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, dość korpulentny i wyglądał jak pitbull, a Gray był wysoki, żyłasty i szczupły. Ale prawdziwa różnica między nimi leżała znacznie głębiej. Monk miał w sobie życzliwość, którą temperował bezkompromisową naturę przyjaciela. Gdyby nie Monk, Gray pewnie wyleciałby z Sigmy na zbity pysk tak jak wcześniej z Rangersów.

Czekając na połączenie, komandor rozmyślał o swoim koledze. W ciągu ostatnich kilku lat przeżyli razem wiele przygód. Monk miał kilka blizn po ranach od kul. Podczas jednej z misji stracił lewą dłoń i założono mu protezę. Siedząc na ławeczce i rozpamiętując wspólne wyprawy, Gray niemal słyszał szczekliwy śmiech Monka... człowieka o ilorazie inteligencji geniusza, mającego dyplom z medycyny sądowej i olbrzymią wiedzę z różnych dziedzin nauki.

Jak to się mogło stać, że człowiek tak silny i pełen życia nagle zginął bez śladu?

Wreszcie ktoś odebrał.

- Kapitan Ron Trypol, słucham - odezwał się w słuchawce ostry głos.

- Kapitanie, tu Gray Pierce.

- A to pan, komandorze. Świetnie. Miałem nadzieję, że złapię jeszcze pana po południu. Zaraz mam następne spotkanie.

- Co nowego, kapitanie?

- Powiem szczerze: otrzymałem rozkaz zaprzestania poszukiwań.

- Słucham?

- Udało nam się wydobyć dwadzieścia dwa ciała. Porównanie dokumentacji stomatologicznych nie wskazało, żeby wśród nich był pański przyjaciel.

- Tylko dwadzieścia dwie ofiary? - zdziwił się Gray, bo zginęło znacznie więcej osób.

- Wiem, że to mało, komandorze. Ale proszę pamiętać, że nasze poszukiwania utrudniała duża głębokość i ciśnienie. Całe dno jest pełne podwodnych jaskiń i tuneli lawowych, wiele z nich tworzy kilometrowe labirynty.

- No, ale przecież...

- Komandorze, dwa dni temu straciliśmy płetwonurka. To był dobry człowiek. Zostawił żonę i dwoje dzieci.

Gray przymknął powieki, znał ból po stracie bliskiej osoby.

- Przeszukiwanie tych jaskiń to ryzykowanie życia kolejnych ludzi. I po co?

Cisza.

- Komandorze Pierce, zakładam, że nie otrzymał pan żadnych innych zaszyfrowanych wiadomości?

Gray westchnął.

By zapewnić sobie współpracę kapitana, wykorzystał jedną wiadomość, którą otrzymał... przynajmniej tak mu się wydawało. Przyszła kilka tygodni po zaginięciu Monka. Po tragicznych wydarzeniach na wyspie jedyną rzeczą ocalałą po przyjacielu była proteza jego dłoni, dzieło sztuki biotechnologii,

stworzone przez naukowców DARPA, którzy nawet wbudowali w nie bezprzewodowy interfejs radiowy. Podczas przewożenia protezy na miejsce pogrzebu Monka sztuczne palce zaczęły wystukiwać sygnał SOS. Transmisja trwała zaledwie kilka sekund - i tylko Gray ją widział. Potem już nie było żadnego sygnału. Technicy przebadali protezę i doszli do wniosku, że było to jakieś zakłócenie. Cyfrowy rejestrator nie odebrał żadnego sygnału. Czyli było to krótkie spięcie. Nic więcej. Elektryczny duch urządzenia splątał figła.

Mimo to Gray wciąż miał nadzieję - nawet po kolejnym tygodniu bezowocnych poszukiwań.

- Komandorze?

- Nie, nie dostałem już żadnych wiadomości - odparł ze smutkiem.

Trypol milczał przez chwilę, po czym powiedział powoli uspokajającym tonem:

- Może trzeba porzucić płonne nadzieje, komandorze. Dla obopólnego dobra. A co z żoną pańskiego przyjaciela? Co ona na to wszystko?

To dopiero była bolesna sprawa. Gray żałował, że w ogóle wspomniał o Kat w rozmowie z kapitanem. Ona i Monk mieli dziecko, małą Penelope. Może jednak nie powinien o tym mówić? Kat wysłuchiwała sprawozdania Graya ze stoickim spokojem. Stała w czarnej, żałobnej sukience, jakby kij połknęła, z oczami przepełnionymi bólem. Niemal straciła już nadzieję, ale Gray rzucił jej linę ratunkową, bardzo cienką linę. Spojrzała na Penelope siedzącą w czarnej limuzynie i po chwili popatrzyła na Graya. W milczeniu pokręciła przecząco głową, nie potrafiła pogodzić się z tym, że może go stracić po raz drugi. Była psychicznie rozbita. I jeszcze miała Penelope, krew z krwi i kość z kości Monka.

Rozumiał ją ale kontynuował prywatne śledztwo. Nie rozmawiał z nią od dnia pogrzebu. Zawarli obustronny, cichy pakt. Nie chciała słyszeć żadnych wieści, dopóki nie będzie ostatecznie wiadomo, co tam się naprawdę wydarzyło. Matka Graya spędziła kilka dni z Kat i jej dzieckiem. Nie wiedziała nic o sygnale SOS, ale wyczuwała, że żona Monka nie pogodziła się do końca z losem.

„Jest przybita”, powiedziała o Kat.

Gray doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Mimo wszystko Kat kurczowo trzymała się tej liny ratunkowej, w głębi duszy wciąż żywiła nadzieję. I właśnie dlatego cierpiała.

Dla jej dobra, dla dobra rodziny Monka, trzeba wreszcie pogodzić się z brutalną rzeczywistością.

- Dziękuję za pana starania, kapitanie - mruknął w końcu.

- Zrobił pan wszystko, co możliwe, komandorze. Obaj o tym wiemy. Ale życie toczy się dalej.

Gray chrząknął.

- Proszę przyjąć szczere kondolencje z powodu straty przyjaciela, komandorze.

- Dziękuję i wszystkiego najlepszego, kapitanie.

Pierce się rozłączył. Wstał i głęboko odetchnął. Podeszedł do szafki Monka i przyłożył palce do chłodnej stalowej powierzchni. Tak mi przykro.

Zdrapał koniuszek taśmy z nazwiskiem i oderwał ją z szafki. Przestał uganiać się za duchami. Żegnaj, Monk.

16.02

Painter zakręcił antyczną monetą na blacie biurka. Patrzył, jak się srebrzy, zastanawiając się, jaką kryje tajemnicę. Przyniesiono ją z laboratorium pół godziny wcześniej. Zapoznał się z raportem na jej temat. W poszukiwaniu odcisków palców przeprowadzono mapowanie laserowe; jej metaliczną powierzchnię oraz znajdujący się na niej osad poddano analizie w spektrometrze masowym; zrobiono mnóstwo fotografii, nawet przy użyciu mikroskopu stereoskopowego.

Moneta zwolniła i opadła płasko na mahoniowy blat. Jej starannie oczyszczona powierzchnia błyszczała, ukazując wizerunek frontonu greckiej świątyni z sześcioma doryckimi kolumnami.

Na tle świątyni wybito dużą literę.

E

Grecka litera epsilon.

Na rewersie znajdowało się popiersie kobiety i dwa słowa pod spodem: DIVA FAUSTINA. Z otrzymanego raportu wynikało, że pochodzenie monety nie stanowiło tajemnicy.

Ale co znaczyło...?

Zabrzączał interkom.

- Dyrektorze Crowe, przyjechał komandor Pierce.

- Bardzo dobrze. Niech wejdzie.

Painter przysunął raport, gdy otwarły się drzwi. Wszedł Gray. Jego czarne włosy były uczesane, choć jeszcze mokre po prysznicu. Zmienił zakrwawione ubranie na zielony T-shirt z napisem ARMY na piersiach, czarne dżinsy i buty wojskowe. Painter zauważył na twarzy podwładnego cień smutku, ale jednocześnie w jego szaroniebieskich oczach dostrzegł ulgę, że nadszedł kres mitręgi. Domyślił się, o co chodzi. Własnymi kanałami dowiedział się o wszystkim z Biura Wywiadu Marynarki Wojennej.

Wskazał ręką krzesło, by komandor usiadł.

Gray z uwagą i zainteresowaniem przyglądał się leżącej na biurku monecie.

To dobrze, pomyślał Painter i przesunął monetę po blacie w jego kierunku.

- Gray, wiem, że złożyłeś wniosek o urlop bezpłatny bez podania terminu powrotu, ale chciałbym, żebyś zajął się tą sprawą.

Komandor nie wykonał żadnego ruchu, by dotknąć monety.

- Czy mogę najpierw o coś spytać? Dyrektor skinął głową.

- Chodzi o tego zabitego mężczyznę. Tego profesora.

- Archibalda Polka.

- Wspomniał pan, że wyglądało na to, jakby szedł właśnie do nas, by się z panem spotkać.

Painter skinął głową. Podejrzał, że właśnie tego będzie dotyczyło pytanie.

- Więc profesor Polk wiedział o Sigmie? Jej istnienie utrzymywane jest w tak wielkiej tajemnicy, a on coś wiedział?

- Tak. Poniekąd. Komandor zmarszczył brwi.

- Poniekąd?

- Sigma to jego pomysł.

Painter z satysfakcją przyglądał się zdziwieniu podwładnego. Gray był zaszokowany tą informacją. Otrząsnął się i wyprostował na krześle.

Dyrektor uniósł rękę.

- Odpowiedziałem na twoje pytanie, Gray. Teraz ty odpowiedz na moje. Weźmiesz tę sprawę?

- Po tym jak profesor został zastrzelony i skonał na moich rękach, też chciałbym poznać odpowiedzi na wiele pytań.

- A co z twoimi... działaniami pozaprogramowymi? W oczach Graya pojawił się ból.

- Podejrzewam, że pan już wszystko wie, dyrektorze.

- Tak. Marynarka zakończyła poszukiwania. Pierce westchnął głęboko.

- Próbowałem wszystkiego. Więcej nic nie zdziałałem.

- Nadal myślisz, że Monk żyje?

- Nie... nie wiem.

- I mimo to poradzisz sobie?

Popatrzyli sobie w oczy i Gray nie odwrócił wzroku.

- Będę musiał. Painter kiwnął głową.

- W takim razie porozmawiajmy o tej monecie.

Gray wziął ją do ręki. Obracał między palcami i z uwagą przyglądał się oczyszczonym powierzchniom.

- Czy udało się panu coś konkretnego o niej dowiedzieć?

- Nawet sporo. Pochodzi z czasów rzymskich, wybito ją w drugim wieku naszej ery. Przyjrzyj się piersiowi kobiety. To Faustyna Starsza, żona cesarza Antoninusa Piusa. Była patronką osieroconych dziewcząt i wspomagała wiele kobiet. Fascynowała się też kapłankami Sybilli, wieszczkami z pewnej świątyni w Grecji.

Painter palcem wskazał, by Gray spojrział na rewers.

- To jest właśnie świątynia w Delfach.

Leżący na biurku dowódca raport o monecie zawierał także historyczne informacje o wyroczni, wyczerpująco opisujące, w jaki sposób kobiety poddawały się halucynogennemu działaniu oparów wydobywających się ze szczeliny w skale, dzięki czemu odpowiadały na pytania o przyszłość. Ich przepowiednie były czymś więcej niż tylko wróżbiarstwem, ponieważ wyrocznie miały olbrzymi wpływ na życie w starożytności. W ciągu tysiąca lat istnienia świątyni przepowiednie wyroczni odegrały znaczącą rolę w uwolnieniu tysięcy niewolników, pozwoliły na zasianie idei demokracji i głosiły świętość życia ludzkiego. Niektórzy naukowcy twierdzili, że słowa wyroczni w dużej mierze

przyczyniły się do przejścia Grecji od barbarzyńskiej przeszłości do nowoczesnego systemu społecznego.

- Ale co znaczy ta duża litera E na tle świątyni? - zapytał Gray. - Domyślać się mogę jedynie, że jest to epsilon.

- Tak. Ona też ma związek ze świątynią delficką. Na jej ścianach odkryto kilka różnych napisów, jeden z nich: Gnothi seauton, znaczy...

- „Poznaj siebie” - dokończył Gray.

Dyrektor przytaknął. Przypomniał sobie właśnie, że Gray nieźle się zna na starożytnych filozofach. Gdy Painter go wyciągał z więzienia Leavenworth, Gray studiował na własną rękę chemię i taoizm. Jego niezwykły, intrygujący umysł od razu zafascynował Paintera. Ale coś za coś. Gray nie zawsze potrafił działać w zespole, co udowodnił w ciągu ostatnich kilku tygodni. Painter ucieszył się, że Gray w końcu się skoncentrował.

- Ta tajemnicza litera E - ciągnął dyrektor, wskazując głową na monetę - była wryta na ścianie wewnętrznego sanktuarium.

- Ale co ona znaczy? Painter wzruszył ramionami.

- Nikt tego nie wie. Nawet Grecy. Historycy przez wiele wieków, począwszy od Plutarcha, głowili się nad jej znaczeniem. Najnowsza teoria wysunięta przez współczesnych badaczy głosi, że kiedyś musiały być tam dwie litery: G i E, oznaczające Boginię Ziemi, Gaję. Najstarsza świątynia w Delfach została poświęcona Gai.

- No dobrze, ale skoro to znaczenie nie zostało przez nikogo odkryte, po co umieszczono literę na monecie?

Dyrektor pchnął raport w stronę Graya.

- Poczytaj więcej na ten temat. Wraz z upływem czasu litera E stała się symbolem kultu wieszczek. Przez kolejne stulecia ten symbol pojawiał się na różnych obrazach, łącznie z malowidłem Nicolasa Poussina Wyświęcenie, na którym litera E pojawia się nad głową Jezusa wręczającego klucze do królestwa świętemu Piotrowi. Ten symbol miał oznaczać olbrzymie zmiany dla ludzkości zapoczątkowane przez jednego człowieka bez względu na to, czy miała nim być Pytia, czy też Jezus z Nazaretu.

Gray odłożył teczkę z dokumentami na biurko i pokręcił głową.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z naszym denatem? - Wziął srebrną monetę do ręki. - Czy ona jest tak cenna? Czy była warta czyjejś śmierci?

Painter pokręcił głową.

- Z pewnością nie. Ma swoją wartość, ale to żadne wielkie pieniądze.

- Więc o co w tym wszystkim chodzi? Zabrzęczał interkom na biurku.

- Dyrektorze Crowe, przepraszam, że przeszkadzam - odezwała się sekretarka.

- Co się dzieje, Brant?

- Dzwonił doktor Jennings z laboratorium kryminalistycznego. Prosił o zorganizowanie pilnej telekonferencji.

- Dobrze. Przełącz go na pierwszy monitor.

Gray wstał, szykując się do wyjścia, ale Painter ruchem ręki nakazał mu, by został, a sam obrócił się w fotelu. Biuro wewnątrz bunkra nie miało okien, ale

za plecami dyrektora wisiały na ścianie trzy olbrzymie ekrany plazmowe. To były jego okna na świat. Podczas rozmowy pozostawały wyłączone, ale teraz na tym z lewej strony pojawił się obraz.

Ujrzeni wewnątrz jednego z laboratoriów medycyny sądowej. Na pierwszym planie stał doktor Jennings. Ten sześćdziesięcioletni szef działu badawczo-naukowego pracującego na potrzeby Sigmy miał na sobie chirurgiczny strój. Przezroczystą plastikową osłonę chroniącą twarz zsunął na czubek głowy. Za nim widać było typowe laboratorium lekarza sądowego: betonową podłogę, rzędy cyfrowych urządzeń diagnostycznych, a pośrodku, na stole zwłoki z szacunkiem okryte prześcieradłem.

Ciało profesora Archibalda Polka.

Malcolm Jennings musiał się pospierać trochę przez telefon z kolegami z kostnicy miejskiej, zanim wydano mu ciało, ale był na tyle znanym specjalistą medycyny sądowej, że nie miał z tym większych problemów.

Z wyrazu jego twarzy można było odczytać, że dzieje się coś niedobrego.

- Co słyhać, Malcolmie?

- Musiałem ogłosić kwarantannę w laboratorium.

- Zagrożenie skażeniem? - zapytał Painter, wyczuwając powagę sytuacji.

- Nie jest aż tak źle, ale zdecydowanie mamy pewien problem. Pokażę ci. -

Zniknął z monitora, ale słyhać było jego głos. - Pewnych podejrzeń nabrałem już po wstępnych oględzinach ciała. Odkryłem fragmenty skóry pozbawione włosów, zęby bez szkliwa, oparzenia ciała. Nawet gdyby ofiary nie zastrzelono, to idę o zakład, że umarłaby w ciągu kilku dni.

- Co masz na myśli, Malcolmie?

Musiał się przesłyszeć. Lekarz znowu pojawił się na monitorze, ale tym razem ubrany w ciężki fartuch ochronny. W ręce trzymał detektor połączony kablem z czymś przypominającym czarną różdżkę.

Gray wstał i przysunął się do monitora.

Doktor Jennings poruszał pałeczką nad zwłokami. Skrzynka w drugiej ręce zaczęła wydawać wściekle trzaski. Lekarz odwrócił się do kamery.

- To ciało jest napromieniowane.

2

5 września, 17.25
Waszyngton, D.C.

Gray ruszył chodnikiem wzdłuż Smithsonian Castle, promenadę miał po

lewej stronie. Żar lejący się z nieba sprawił, że była prawie pusta.

Minął oddzielone policyjną taśmą miejsce przestępstwa. Ekipa z laboratorium kryminalistycznego zakończyła swoje działania, ale teren pozostał oznaczony i był strzeżony przez posterunkowego.

Gray szedł wzdłuż Jefferson Drive. Za plecami miał potężnego ochroniarza, którego obecność starał się ignorować. Nie prosił o ochronę, a szczególnie nie przez takiego typu. Dotknął mikrofonu przyłączonego do szyi na wysokości krtani i cicho powiedział:

- Mam trop.

Szum w bezprzewodowej słuchawce wetkniętej do ucha zagłuszył odpowiedź. Przechylając głowę, poprawił jej położenie.

- Słucham? - zapytał szeptem.

- Czy możesz iść za tropem?

- Tak... tylko nie wiem, jak daleko nas to prowadzi. Odczyt jest słaby. - To właśnie Gray zaproponował ten plan. Przyglądał się urządzeniu trzymanemu w ręce - przenośnemu detektorowi promieniowania Gamma-Scout. Był to licznik Geigera-Mullera składający się z charakterystycznej tuby wypełnionej halogenem. Licznik był bardzo czuły, szczególnie że dostosowano go specjalnie do wylapywania strontu-90, który wykryto w ciele profesora Polka. Gray miał nadzieję, że profesor zostawił za sobą radioaktywny ślad umożliwiający prześledzenie jego wędrówki.

- Postaraj się, Gray. Każda informacja o miejscach przebywania profesora w ostatnich dniach może mieć dla nas kluczowe znaczenie. Próbujemy dodzwonić się do jego córki, ale nigdzie nie możemy jej złapać.

- Pójdę tym tropem, póki będzie odczyt. - Gray szedł chodnikiem, spoglądając na licznik. - Zgłoszę się, gdy tylko coś znajdzie.

Rozłączył się i kroczył dalej chodnikiem promenady. Przeszedł połowę kwartału, detektor zamilkł. Gray zaklął i zaczął się cofać, wpadł przy tym na ochroniarza, który podążał za nim jak cień.

- Do cholery, Pierce - mruknął zezłoszczony facet. - Dopiero co wypastowałem buty.

Gray spojrzał przez ramię na byłego marynarza Joego Kowalskiego, którego ubranie zupełnie nie pasowało do postury. Z cieniem zarostu na twarzy i złamanym nosem wyglądał jak ogolony goryl wciśnięty w pognieciony sportowy garnitur.

Kowalski pochylił się i brzegiem rękawa marynarki wypolerował półbuty.

- Zapłaciłem za nie trzy stowy. To ręcznie szyte buty Chukkas importowane z Anglii. Musiałem zamówić specjalny rozmiar.

Gray oderwał wzrok od licznika promieniowania i spojrzał spod oka na ochroniarza.

Kowalski chyba się zorientował, że powiedział za dużo. Wyglądał na zmieszanego.

- No dobra, po prostu kocham buty. No i co z tego? Miałem mieć randkę, ale... ona ją odwołała.

Inteligentna dziewczyna.

- Przykro mi.
- W porzo... nie są porysowane - odparł Kowalski.
- Miałem na myśli, że przykro mi, że cię wystawiła do wiatru.
- No cóż. - ochroniarz wzruszył ramionami. - Nie wie, co straciła.

Gray nie miał zamiaru ciągnąć tego dialogu. Przeniósł swoją uwagę z powrotem na licznik i zrobił małe kółko. Po kroku w prawo złapał sygnał. Ślad skręcał z chodnika i ciągnął się przez trawnik na środek promenady.

Trasa marszu Polka wiodła przez Ogród Rzeźb do Hirshborn Museum. Idąc po śladach profesora, Gray wszedł do zacienionego zagłębienia w terenie - oazy, przeszedł ją i znowu wydostał się na płaski teren. Za ogrodem ślad ciągnął się wzdłuż promenady, dotykając terenu, gdzie właśnie rozmontowywano sceny, na których odbywały się imprezy związane z Dniem Pracy.

Gray obejrzał się na Ogród Rzeźb, zastanawiając się nad trasą profesora.

- Chyba próbował się przed kimś ukryć - wywnioskował.
- Albo po prostu było mu za gorąco - skomentował Kowalski, wycierając spoconą twarz.

Komandor rozejrzał się dookoła. Na zachód od nich stał strzelisty obelisk Waszyngtona, na wschodzie widać było kopułę Kapitolu.

Szukając odpowiedzi, Gray ruszył dalej. Cyfrowy odczyt licznika promieniowania zaczął wskazywać coraz słabszy poziom. Z każdym krokiem rejestrował coraz mniej miliremów.

Po dojściu do przeciwnego skraju promenady Gray przeszedł na drugą stronę Madison Drive i złapał sygnał po wejściu do przylegającego parku. Sygnał uległ wzmocnieniu, gdy Gray zbliżył się do zagajnika derenia i lagerstremii. Wśród sięgających kolan hortensji stała ławka. Gray podszedł do niej.

W tym odludnym zakątku wzrosło promieniowanie.

Czy Polk tu na coś lub na kogoś czekał? Czy to dlatego radioaktywny ślad był tutaj silniejszy?

Pierce uniósł pokrytą kwiatami gałąź lagerstremii i ujrzał promenadę i kwaterę Sigmy. Czy profesor czekał tutaj, myśląc, że jest bezpieczny? Gray zmrużył oczy przed rażącym słońcem. Przypomniał sobie diagnozę Malcolma - postępujące osłabienie, powolne umieranie. Polk ledwie trzymał się na nogach. Musiał być wyjątkowo zdesperowany, skoro ruszył w dalszą drogę. Ale dlaczego?

Komandor odsunął się na bok, gdy usłyszał za sobą chrząknięcie Kowalskiego, który klęczał, czyszcząc dłonią but, ale drugą ręką sięgał pod ławkę.

- Proszę spojrzeć - powiedział i podniósł się. W ręce trzymał małą lornetkę. Gray przystawił licznik do lornetki. Odczyt błyskawicznie wzrósł.
- Jest napromieniowana.
- Kowalski skrzywił się i podniósł lornetkę za pasek.
- Proszę ją ode mnie wziąć.

Pierce odebrał lornetkę. Strach ochroniarza był nieuzasadniony. Nawet jeśli była nieznacznie napromieniowana, to poziom skażenia niewiele przewyższał promieniowanie tła.

Komandor odwrócił się, podniósł lornetkę do oczu i spojrzął przez nią na zamek. Obraz był znacznie powiększony. Widział osoby przechodzące przed zamkiem. Przez te soczewki mógł nawet dostrzec twarze przechodniów. Gray przypomniał sobie, jak Polk przyspieszył, gdy zaczęli się do siebie zbliżać. To nie był pośpiech żebraka liczącego na jałmużnę. Zaczął podejrzewać, że profesor go rozpoznał. Może to nie desperacja wyciągnęła go z tej kryjówki. Czy on czasem mnie nie obserwował, gdy przemierzał promenadą, i nie wyszedł stąd, by się ze mną spotkać?

Schował lornetkę do lnianej torby przewieszzonej przez ramię.

- Chodźmy.

Po opuszczeniu zagajnika Gray szedł wzdłuż promieniotwórczego tropu po Madison Drive, aż dotarł do wielkich schodów. Ślad prowadził do góry.

Gray znalazł się przed jednym z najsłynniejszych muzeów Smithsonian Institution: Muzeum Historii Naturalnej, które w olbrzymich salach wystawiało dziesiątki tysięcy eksponatów z całego świata - od niewielkich skamieniałości po olbrzymiego tyranozaura.

Komandor zadarł głowę. Kopia muzeum wznosiła się nad trójkątnym portykiem podpartym sześcioma korynckimi kolumnami. Zdał sobie sprawę, że wejście do tego muzeum bardzo przypomina mu fronton greckiej świątyni wybitej na monecie.

Czy to ma jakiś związek?

Zanim ruszył w dalsze poszukiwania, postanowił poinformować o swoich poczynaniach centralę. Odszedł na bok, oparł się o kamienną balustradę i włączył radio z urządzeniem szyfrującym. Natychmiast połączono go z dyrektorem Crowe'em.

- Znalazłeś coś? - zapytał Painter.

- Wygląda na to, że ślad profesora prowadzi prosto do Muzeum Historii Naturalnej - odparł Gray szeptem.

- Muzeum Historii...?

- Poszukam śladów w środku. Czy istnieje jakiś związek między muzeum a profesorem?

- Nie podejrzewam, ale sprawdzę w jego życiorysie. Gray przypomniał sobie fragment wcześniejszej rozmowy o przeszłości profesora Polka.

- Panie dyrektorze, jeszcze jedna sprawa. Nigdy nie wyjaśnił mi pan jednej kwestii.

- O co chodzi?

- Powiedział pan, że Sigma to pomysł Polka. Co pan miał konkretnie na myśli?

Nastąpiła cisza w słuchawce.

- Gray, co wiesz o organizacji zwanej Rodziną Jasonów? Komandor poczuł się zbity z tropu, ta nazwa z niczym mu się nie kojarzyła.

- Nie rozumiem.

- Rodzina Jasonów to naukowa organizacja badawczo-rozwojowa utworzona podczas zimnej wojny. Należą do niej liderzy wszystkich dziedzin nauki, wielu z nich to laureaci Nagrody Nobla. Ich rolą jest doradzanie najwyższym dowódcom

wojskowym w sprawach technicznych.

- Polk był członkiem tej organizacji?

- Tak. Armia bardzo skorzystała na współpracy z Jasonami.

Spotykali się latami i zastanawiali się nad wykorzystaniem nowych wynalazków. Właśnie podczas jednego z takich spotkań Archibald Polk zasugerował, że warto by stworzyć zmilitaryzowany zespół śledczych, którzy wypełnialiby zadania DARPA i działali w terenie jako jej agenci.

- I tak powstała Sigma.

- Właśnie. Ale nie jestem pewien, czy cokolwiek z tego ma związek z jego zamordowaniem. Z tego, co słyszałem, Polk już od wielu lat nie był aktywnym członkiem zespołów badawczych Jasonów.

Gray spojrzał w górę na zarysy frontonu.

- Może któryś z tych Jasonów, jego kolegów, pracował w muzeum? Może dlatego tutaj się skierował?

- Postaram się to sprawdzić, ale dotarcie do źródła pewnie trochę potrwa. W miarę zacieśniania współpracy z siłami zbrojnymi coraz bardziej utajniano działania Jasonów. Często dzielili się na grupy zainteresowań i realizowali różne projekty, jedni Jasonowie nie wiedzieli, czym zajmują się pozostali. Ale spróbuje się czegoś dowiedzieć.

- Ruszam dalej po śladzie. - Gray rozłączył się i machnął na Kowalskiego. - Raz dwa. Wchodzimy do środka.

- Wreszcie schowamy się przed tym cholernym słońcem.

Pierce nie zamierzał wdawać się w dyskusję o pogodzie. Przeszedł przez drzwi i z radością powitał chłodne, klimatyzowane powietrze w holu. Muzeum było otwarte dla publiczności, ale Gray i tak pokazał strażnikowi przy wykrywaczu metalu swoją czarną, błyszczącą legitymację służbową.

Strażnik machnął ręką, że mogą przejść.

Okrągła sala znajdująca się za holem wejściowym zaskoczyła Graya swoim ogromem. Rotunda była w zasadzie ośmiokątem i wznosiła się na trzy piętra w górę. Każda kondygnacja ozdobiona była kolumnami, które wspierały kopułę wyłożoną kafkami zgodnie z systemem budowania sklepień słynnego architekta Guastavino. Promienie słońca wpadały do środka przez okna nawowe i przez okna w sklepieniu.

W samym środku rotundy stał jeden z symboli muzeum, figura ośmiotonowego słonia afrykańskiego z podniesioną trąbą i dwoma zakrzywionymi, potężnymi ciosami. Ślad Polka wiódł koło słonia i dalej do schodów dla odwiedzających.

Gray zauważył olbrzymi transparent wiszący wysoko na ścianie po lewej stronie. Zapowiadał on otwarcie w przyszłym miesiącu nowej wystawy. Na transparencie widniała okrągła tarcza z głową Meduzy, która zamiast włosów miała wijące się węże.

Mając przed oczyma dziwną monetę profesora Polka i czując, że jest na właściwym tropie, odczytał nazwę przyszłej wystawy:

ZAPOMNIANE TAJEMNICE MITOLOGII GRECKIEJ

18.32

W zaciemnionym pokoju dwóch mężczyzn spoglądało przez lustro weneckie w głąb dziecięcego pokoju. Siedzieli w skórzanych klubowych fotelach. Za ich plecami na biegnącej po skosie podłodze stały dwa rzędy pustych krzeseł kinowych.

To było poufne spotkanie.

Pokój za szybą był jasno oświetlony. Ściany pomalowano na biało z delikatnym odcieniem błękitu. Kolor ten, zdaniem psychologów, miał uspokajająco wpływać na ludzi, zapewniając im atmosferę do medytacji. W pokoju umieszczono leżankę, na niej leżała kołderka w kwiaty; na podłodze stało otwarte pudło z zabawkami, a pod ścianą dziecięce biurko.

Starszy z mężczyzn siedział wyprostowany w fotelu. Z boku fotela stała stara walizka, w której przechowywał rozebrany na części karabin wyborowy Dragunow.

Drugi mężczyzna, pięćdziesięciosiedmiolatek, był o dwadzieścia lat młodszy od swojego rosyjskiego towarzysza. W świeżo wyprasowanym garniturze siedział zgarbiony w fotelu. Przyglądał się dziewczynce, która stała przed plastikową dziecięcą sztalugą i szperała wśród pastelowych pisaków. Przez ostatnie pół godziny w skupieniu rysowała zielony prostokąt na białym papierze rozwijającym się z rolki przymocowanej do sztalugi. Rytmicznie kreśliła markerem krawędzie prostokąta, jakby znajdowała się w transie hipnotycznym.

- Doktorze Rajew - odezwał się mężczyzna. - Nie mam zamiaru pana dręczyć, ale czy jest pan absolutnie pewien, że doktor Polk nie miał tego przy sobie?

Doktor Jurij Rajew westchnął.

- Temu projektowi poświęciłem całe życie. - I moją duszę, uzupełnił w myśli. - I nie mam zamiaru go zepsuć, gdy jesteśmy już tak blisko.

- Więc gdzie to jest? Przewróciliśmy do góry nogami cały pokój w tym tanim motelu, w którym nocowałem, i nic nie znaleźliśmy. Jeśliby to wpadło w ręce nieprzyjaciół, z pewnością zaczęto by zadawać pytania.

Jurij spojrział na mężczyznę siedzącego w sąsiednim fotelu. John Mapplethorpe, szef jednego z wydziałów Agencji Wywiadu Obronnego - DIA, miał pociągłą twarz z obwisłymi policzkami i workami pod oczami. Sprawiała wrażenie, jakby była z wosku, który za długo leżał na słońcu. Nawet farba do włosów, jakiej użył do przykrycia siwizny, była zbyt ciemna jak na jego wiek. Jurij nie miał nic przeciwko temu, że mężczyzna próbował powstrzymać upływ czasu. Pod warstwą własnej obwisłej skóry Jurij zachował wytrenowane mięśnie; jego zmysły działały bez zarzutu, a umysł był błyskotliwy i żywy jak zawsze. Też nieugięcie walczył z postępującym wiekiem, stosując ostre ćwiczenia i biorąc zastrzyki z androgenów i hormonu wzrostu. Ale to nie próżność nim kierowała.

Spojrział na jasny pokój.

Nie, nie próżność.

Mapplethorpe stukał palcami o podłokietnik fotela.

- Musimy odzyskać to, co ukradł Polk.

- Nie miał tego przy sobie — zapewnił go Jurij. - Nie mógł tego po prostu schować pod marynarką, jest za duże. Miałem szczęście zatrzymać go raz na zawsze. Zanim zdążył komuś o tym powiedzieć.

- Mam nadzieję, że ma pan rację. Dla naszego wspólnego dobra. -

Mapplethorpe zwrócił swoją uwagę z powrotem na pokój. - I udało jej się go namierzyć? Całą drogę z Rosji?

Jurij skinął głową.

- Dzięki niej i jej bratu bliźniakowi chyba już pokonaliśmy pewne granice. - W jego głosie zabrzmiała ojcowska duma.

- Szkoda, że nie była szybsza - skomentował Mapplethorpe lekceważącym tonem. - Córka mojego szwagra ma autystycznego chłopca. Mówiłem to już kiedyś panu? Ale on nie jest idiotą-sawantem. Ledwo potrafi zasnurować buty.

- Wolę określenie autystyczny sawant - odparł zirytowany Rosjanin.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

Niechęć Jurija do Amerykanów rosła z każdym dniem. Podobnie jak Mapplethorpe niewielu ludzi tak naprawdę rozumiało autyzm; nawet lekarze mieli z tym problemy. Jurij dokładnie zgłębił to zaburzenie. W rzeczywistości było to wiele zaburzeń charakteryzujących się słabymi umiejętnościami komunikacji z otoczeniem i interakcji społecznej, a także anormalnymi reakcjami na odczucia. Takie dzieci z opóźnieniem uczyły się mówić i przyswajały mniejszy zasób słów i struktur gramatycznych, miały nieregularny chód i różne tiki nerwowe, skupiały się nadmiernie na tych samych wybranych przedmiotach, a często też nie rozumiały wydarzeń dziejących się dookoła i nie potrafiły nawiązywać relacji z innymi ludźmi.

Ale czasem taka wada tworzyła cuda.

W rzadkich wypadkach autystyczne dziecko było zadziwiająco błyskotliwe w wąskiej, specjalistycznej dziedzinie, takiej jak matematyka, muzyka lub sztuka. Dziesięć procent autystycznych dzieci demonstrowało jedynie pewien stopień takiego naukowego lub artystycznego utalentowania, ale Jurija interesowały najrzadsze przypadki określane terminem „cudowny sawant” - uzdolnienia tych dzieci w określonych dziedzinach przekraczały nawet definicję pojęcia geniusz. Na całym świecie żyje mniej niż czterdziestu takich ludzi. Lecz nawet wśród nich zdarzają się jeszcze perły, które blaskiem przyćmiewają osiągnięcia pozostałych.

Wywodzą się z jednej tylko linii genetycznej. Z cygańskich wróżbitów.

Jurij spojrział przez okno na ciemnowłosą dziewczynkę.

- Nie powinniśmy pozwolić, by ktokolwiek dowiedział się o tym, co robimy - mruknął Mapplethorpe. - Gdyby nas złapano, to procesy norymberskie wyglądałyby jak sądy dla piratów drogowych.

Jurij nie odpowiedział na ten sarkazm. Mapplethorpe nie pojmował pełnego zakresu jego badań. Ale po upadku muru berlińskiego Jurij potrzebował zastrzyku finansowego, by kontynuować swoje prace. Całe dziesięć lat

pochłonęło badanie gruntu w Ameryce. Gdy już myślał, że mu się nie uda, nagle zmienił się klimat polityczny. Globalna wojna z terroryzmem wykuła nowe sojusze i układy lojalności. Dawni wrogowie stali się sojusznikami. Ale, co najważniejsze, zniknęły ograniczenia w działalności gospodarczej, która była do tej pory powiązana z polityką. To była zupełnie nowa era i miała nową moralność. Stare przysłowie „Cel uświęca środki” stało się teraz prawem.

Jakiegokolwiek środki.

Dopóty je uświęca, dopóki służą wspólnej sprawie.

Rząd kraju, z którego pochodził Jurij, stosował tę zasadę już od dawna. Tylko Amerykanie przekonali się o słuszności tego starego porzekadła zbyt późno i przez to musieli teraz stawić czoło najeżonej problemami rzeczywistości.

- Co ona teraz robi? - zapytał Mapplethorpe.

Jurij wyrwał się z zamyślenia. Wstał. Sasza stała przy sztaludze z czarnym pisakiem w ręce. Jej ręka wznosiła się i opadała, rysując coś na papierze. Uderzała w papier i pociągała pisakiem według jakichś ściśle określonych kątów. Wydawało się, że w jej rysowaniu nie ma żadnego celu. Rysowała coś w jednym rogu, potem przerzucała się na inny.

Mapplethorpe chrząknął, widząc takie gryzmoły.

- Powiedział pan, że jest utalentowana artystycznie.

- Bo jest.

Sasza nadal rysowała. Prostokąt, który wcześniej miał zielone krawędzie, zaczął się wypełniać czarnymi kształtami i bohomazami. Drugą rękę trzymała wyprostowaną z boku, sztywną, tak jakby pragnęła zrównoważyć jakąś siłę działającą na nią spoza tego świata.

W końcu obydwie ręce opuściła.

Odwróciła się od sztalugi, usiadła po turecku i zaczęła się lekko kołysać. Czoło miała pokryte kropelkami potu. Sięgnęła po leżący obok drewniany klocek i zaczęła go rytmicznie przewracać między palcami, jakby chciała rozwiązać sobie tylko znaną zagadkę.

Jurij skupił się na jej rysunku.

Mapplethorpe też spojrzął na dzieło Saszy.

- O co tu chodzi? Przecież to jakaś bazgranina.

- Niet - odparł Jurij niechcący po rosyjsku, ale był zaniepokojony... bardzo zaniepokojony.

Rzucił się do drzwi pokoju za szybą. Mapplethorpe poszedł za nim. Gdy wchodzili do pokoju Saszy, dziewczynka nadal bujała się rytmicznie i przewracała klocek między palcami. Jurij wiedział z doświadczenia, że dziewczynka będzie teraz przez jakiś czas wyłączona.

On też nauczył się czegoś o talentach Saszy.

Sięgnął ręką do sztalugi i oderwał planszę papieru z rolki.

- Co pan robi? - zdziwił się Mapplethorpe.

Rosjanin obrócił rysunek „do góry nogami” i przyczepił go klipsami na powrót do sztalugi. Sasza czasem rysowała wszystko na opak. Nie było to nic nadzwyczajnego wśród autystycznych sawantów. Oni często postrzegali świat zupełnie innymi zmysłami niż ludzie. Numery miały dźwięki, a słowa zapachy.

Jurij spojrział na Saszę.

Jej cudowne błękitne oczy nadal wpatrywały się w klocek.

Jurij odwrócił się i dostrzegł zdumienie na twarzy Mapplethorpe'a. Mężczyzna podszedł do rysunku. Zdziwiony wskazał na rysunek.

- Mój Boże... to w środku wygląda jak słoń - wykrztusił.

Rosjanin także studiował rysunek. Serce podeszło mu do gardła. Ona nie powinna była tego rysować sama z siebie, bez stymulacji. Już wcześniej tworzyła rysunki, które zawiodły ich do profesora Polka — szkice promenady, Smithsonian Castle - i pozwoliły na umieszczenie snajpera w zupełnie niepilnowanym systemami ochrony zakątku promenady. Musieli szybko reagować na zmieniającą się sytuację, mieli maksimum dwie godziny. Tylko tak daleko Sasza sięgała w przyszłość.

Mapplethorpe zbliżył się jeszcze bardziej do rysunku.

- A ta sala... ze słoniem. Wydaje mi się, że znam to miejsce. Wziąłem tam swoją wnuczkę jakieś dwa tygodnie temu. To rotunda w Muzeum Historii Naturalnej.

Rosjanin zmarszczył czoło.

- To muzeum tuż przy promenadzie?

Właśnie tam, gdzie jego ofiara ukrywała się dziś tak długo. Mapplethorpe skinał głową.

Jurij spojrział w szybę i zobaczył swoje odbicie. Czy Sasza chciała ich z powrotem tam skierować? I była jeszcze ważniejsza kwestia: Czy odbierała obawę Mapplethorpe'a o przedmiot skradziony przez profesora Polka?

Był tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

Wskazał na rysunek i powiedział do Mapplethorpe'a:

- Proponuję, by wysłał pan tam swoich ludzi. I to natychmiast.

18.48

Gray kontynuował poszukiwania w muzeum. Przeszedł przez środek rotundy zajmowany przez wypchanego słonia. Radioaktywny ślad po profesorze Polku wiódł prosto na klatkę schodową dla zwiedzających. Komandor wszedł po schodach na wyższe piętro i wspinał się na kolejne, aż trop skończył się na zamkniętych drzwiach z napisem: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU MUZEUM.

Spróbował otworzyć drzwi. Były zabezpieczone elektronicznym systemem dostępu, który działał w momencie przesunięcia przez szczelinę czytnika karty. Gray się zdziwił. To jak Polk tu się dostał? Dotknął mikrofonu na krtani i wywołał centrum dowodzenia.

- Komandorze? - odezwał się natychmiast Painter.

- Dyrektorze, potrzebuję pomocy. - Gray wyjaśnił, gdzie kończył się ślad. - Muszę mieć prawo dostępu poza ten punkt.

- Czekaj na miejscu. Załatwiam rozszerzenie twojej legitymacji, byś zyskał dostęp do wszystkich muzeów Smithsonian Institution. - Przez chwilę w

słuchawce było cicho. Gray zobaczył w wyobraźni swojego szefa stukającego w klawiaturę komputera. Obok niego stał Kowalski i opierając się o ścianę, pogwizdywał przez zęby.

- Spróbuj teraz - odezwał się w końcu Painter.

Gray przesunął kartę przez szczelinę czytnika i usłyszał, jak elektromagnes odciąga zapadkę zamka.

- Działa. Odezwę się, jak tylko coś znajdę.

Komandor wszedł do pomieszczeń niedostępnych dla zwiedzających. Nie różniły się specjalnie od sal przeznaczonych dla turystów, były tylko trochę bardziej użytkowe: marmurowe podłogi wypolerowane przez dziesięciolecia pocierania podszewkami butów, blade światło jarzeniówek i drewniane drzwi z matowymi szybami wiodące do sal, w których pracowali naukowcy.

ENTOMOLOGIA, ZOOLOGIA - BEZKREĞOWCE, PALEOBIOLOGIA,
BOTANIKA.

Ślad wiódł przez labirynt eksponatów - odczyt wzrósł, gdy Gray dotarł do nieoznaczonych drzwi. Skierował detektor na gałkę drzwiową. Wyświetlacz ciekłokrystaliczny pokazał wzrost poziomu skażenia. Gray cofnął się i zaobserwował, że słabszy ślad prowadził także w głąb korytarza. Przejście było zamknięte olbrzymią opuszczoną stalową roletą antywłamaniową. Rampa rozładunkowa muzeum. Tędy pewnie profesor dostał się do muzeum i siedł dalej aż do głównego wejścia.

Czy obrał taką trasę, by zgubić ogon?

Kowalski przekręcił gałkę drzwi.

- Otwarte.

Ciemna przestrzeń pachniała kurzem, sianem i drewnem cedrowym.

Gray sięgnął ręką do włącznika światła. Szeregi półek wypełniały drugą połowę olbrzymiej sali. Pod jedną ścianą stała piramida drewnianych skrzyń transportowych z przybitym oznakowaniem spedycyjnym. Wiele z nich było otwartych. Słoma pakunkowa i groszek styropianowy zaśmiecały podłogę.

Magazyn.

Na lewo od drzwi stało pojedyncze biurko z komputerem i drukarką. Po drugiej stronie sali przestrzeń wypełniały stoły, na których stały przedmioty garncarskie i bloki kamienne pokryte płaskorzeźbami. Ktoś najwyraźniej przeprowadzał inwentarz dostawy. Głębiej, na drewnianych paletach stały większe eksponaty: marmurowy posąg kobiety z utraconymi rękami, rzeźba głowy byka z brazu pokryta patyną, podstawa kamiennej kolumny.

Gray szedł dalej promieniotwórczym tropem, zastanawiając się, co sprawiło, że profesor Polk znalazł się w tej sali. Czy tylko chciał się schować przed przechodzącym strażnikiem? Ale marszruta profesora miała jasno określony cel. Prowadziła prosto do jednego z eksponatów stojących na drewnianych paletach. Było to coś w rodzaju kamiennej kopuły - sięgającej do bioder - z otworem w szczycie. Wyglądała jak wyrzeźbiony w skale model wulkanu, tyle że ten stożek był cały pokryty pismem. Gray pochylił się nad inskrypcją.

Starożytna greka.

Marszcząc brwi, zbadał wyryte litery licznikiem promieniowania.

Ślad profesora Polka wiódł wokół eksponatu.

Gray szedł dokładnie po tropie starca. Dlaczego akurat ten eksponat tak go zafascynował?

Zanim zdążył się głębiej nad tym zastanowić, po lewej usłyszał brzęk tłuczonego naczynia. Odwrócił się i zobaczył, jak Kowalski cofa się od jednego ze stołów. W ręce trzymał ucho wazy. Reszta leżała rozbita u jego stóp.

- Ona się... zbiła. Ten facet to miał talent.

Gray pokręcił głową. Powinien był zostawić Kowalskiego na korytarzu. Był jak słoń w składzie porcelany - tylko że słoń lepiej by kontrolował swoje ruchy.

- Cholera, chwiała się. - Całe szczęście, że przynajmniej sam był zły na siebie. - Proszę tu podejść i coś zobaczyć. - Wskazał oderwanym uchwytem na stół.

Na stole leżały klasery ze starożytnymi greckimi monetami. W kieszonce w drugim rzędzie brakowało jednej sztuki. Czy to była właśnie moneta Polka? Czy to stąd ją zabrał?

- Traciłem tylko stół. Próbowałem łapać. - Kowalski delikatnie odłożył uchwyt na stół. - Po prostu rozleciała mi się w rękach.

- Nie martw się. Odliczą ci od poborów.
- Cholera. Nie wie pan, ile mogła kosztować?
- Kilkaset. Odetchnął z ulgą.
- To jeszcze nie tak źle.
- Kilkaset tysięcy.
- Oż, kurwa...

Kowalski natychmiast zamilkł, gdy tylko usłyszał skrzypnięcie gałki w drzwiach. Gray zaczął się odwracać, ale wielka jak bochen chleba dłoń ochroniarza złapała go za ramię i pociągnęła do tyłu. Zasłonił Graya własnym ciałem i błyskawicznie wyciągnął czterdziestkępiątkę z kabury pod pachą.

Do środka weszła delikatnie zbudowana kobieta. Grzebała w torebce nieświadoma obecności intruzów. Na pamięć sięgnęła do przełącznika światła i nagle dotarły do niej dwie rzeczy: światło już było zapalone i jakiś potężny mężczyzna trzymał pistolet skierowany w jej pierś.

Stęknęła i zaczęła się cofać w stronę otwartych drzwi.

- Przepraszam - powiedział Kowalski i skierował lufę pistoletu do góry.

Gray wynurzył się zza jego pleców.

- Wszystko w porządku, proszę pani. Jesteśmy z ochrony muzeum.

Prowadzimy dochodzenie w sprawie włamania.

Kowalski wskazał pistoletem potrzaskaną wazę na podłodze.

- No właśnie. Ktoś zbił wazę. - Chowając broń do kabury, spojrzał na Graya, szukając w jego oczach zrozumienia i zapewnienia o lojalności.

Kobieta przycisnęła torebkę do piersi. Wolną ręką poprawiła okulary. Dzięki kasztanowym włosom spiętym w mały kok i drobnej sylwetce mogła uchodzić za studentkę drugiego roku, ale przebiegłe spojrzenie i niedowierzanie malujące się na twarzy dodawały jej dziesięć lat.

- Czy mogę zobaczyć jakąś legitymację służbową? - zapytała zdecydowanym głosem, stojąc blisko otwartych drzwi.

Gray podniósł na wysokość jej oczu swoją czarną legitymację, na której było jego zdjęcie i wielka pieczęć prezydenta Stanów Zjednoczonych w złotej obwódce.

- Mogę podać pani numer telefonu, pod którym potwierdzą naszą tożsamość.

Kobieta zmrużyła oczy, skupiając wzrok na legitymacji, i po chwili trochę się rozluźniła. Rozejrzała się po sali.

- Czy coś skradziono?

- Chyba pani mogłaby lepiej odpowiedzieć na to pytanie - rzekł Gray, mając nadzieję, że kobieta mu pomoże. - Zauważyłem, że brakuje chyba jednej monety.

- Co?! - Kobieta krzyknęła przerażona i nie obawiając się już niczego, podbiegła do stołu. Spojrzała na monety i wyraźnie się zmartwiła.

- Och nie... Tę kolekcję wypożyczyliśmy z muzeum w Delfach. Znowu Delfy.

Popatrzyła na rzeźbiony kamień, ten, który także przyciągnął uwagę profesora Polka. Może tylko dlatego, że Kowalski właśnie się o niego opierał.

- Proszę tego nie dotykać.

Kowalski stanął prosto. Spojrzał na swoją dłoń, jakby to ona zawiniła. Trochę

się zaczerwienił.

- Przepraszam.

- Czy mogę się zapytać, co to jest? - zapytał Gray, wskazując głową na kamień.

Załamano ręce zakłopotana.

- To najcenniejsza rzecz w całym zbiorze. Przygotowujemy się do następnej wystawy. Dzięki Bogu, że włamywacze nie zniszczyli tego eksponatu. - Obeszła kamień, by się upewnić. - Ma ponad tysiąc sześćset lat.

- Ale co to jest? - dopytywał się Gray.

- To omfalos. Tłumaczy się to z greki potocznie jako „pępek świata”. W starożytnej Grecji omfalos był uważany za punkt, wokół którego obraca się wszechświat. Istnieje wiele mitów i historii z nim związanych. Przypisywano mu wielką moc.

- A jak muzeum go zdobyło? Kobieta wskazała głową na stół.

- Pochodzi z tych samych zbiorów co reszta. Wszystko wypożyczyliśmy z muzeum w Delfach.

- Delf? Tam gdzie wyrocznia delficka przepowiadała przyszłość?

Spojrzała na Graya zdziwiona.

- Właśnie stamtąd. Omfalos stał w wewnętrznym sanktuarium świątyni. W najświętszym miejscu.

- I to jest właśnie ten kamień?

- Nie. Muszę z przykrością przyznać, że to tylko replika. Aż do niedawna myślano, że to jest oryginalny omfalos, opisany przez Plutarcha i Sokratesa. Zakon wyroczni delfickich powstał trzy tysiące lat temu, a ten kamień ma zaledwie półtora tysiąca lat.

- A co z oryginałem?

- Zniknął. Nikt nie wie, co się z nim stało. Wyprostowała się i podeszła do kitla wiszącego na haczyku koło drzwi. Zawiązała go w pasie, zdjęła identyfikator z bluzki i przyczepiła do klapy kitla.

Dopiero wtedy Gray zwrócił uwagę na identyfikator. Widniało na nim zdjęcie i nazwisko pod spodem.

POLK, E.

- Polk... - przeczytał z identyfikatora.

- Doktor Elizabeth Polk - przedstawiła się rozmówczyni. Graya zmroziło. Nagle zrozumiał, dlaczego profesor przyszedł właśnie w to miejsce.

- Czy zna pani przypadkowo niejakiego Archibalda Polka? Doktor Polk popatrzyła na Graya.

- To mój ojciec. A dlaczego pan pyta?

5 września 19.22
Waszyngton, D.C.

- Nie żyje?

Gray przysiadł na krawędzi skrzyni w muzealnym magazynie. Elizabeth Polk zapadła się w fotelu, jakby się skurczyła. Nie uroniła ani jednej łzy, ale wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

- Słyszałam o strzałach na promenadzie - wymamrotała. - Ale nigdy bym nie pomyślała, że... - Pokręciła głową. - Cały dzień przesiedziałam w piwnicach muzeum.

Gdzie telefony komórkowe nie mają zasięgu, pomyślał Gray. Painter wspomniiał, że próbował dodzwonić się do córki profesora. A ona przez cały czas była po drugiej stronie promenady.

- Bardzo mi przykro, że muszę panią o to spytać, Elizabeth - powiedział - ale proszę mi powiedzieć, kiedy widziała się pani po raz ostatni z ojcem.

Z trudem przełknęła ślinę, powoli tracąc nad sobą kontrolę. Jej głos zadrżał.

- Nie... nie wiem. Może rok temu. Pokłóciliśmy się. O, Boże! Ile ja mu wtedy nagadałam... - Przyłożyła dłoń do czoła.

Gray dostrzegł w jej oczach żal i ból.

- Z pewnością wiedział, że pani go kocha. Przeszyła go spojrzeniem.

- Dziękuję za słowa pocieszenia. Ale przecież pan go nie znał, prawda?

Komandor wyczuł, że za tym wyglądem szarej myszki i mola książkowego kryje się twarda kobieta. Na jej twarzy malowała się złość, ale Elizabeth Polk była zła na siebie, nie na niego. Kowalski cofnął się w kąt sali, gdy sytuacja stała się niezręczna.

Gray wskazał ręką na blat stołu, na którym leżały rzędami ułożone greckie monety.

- Znaleźliśmy przy nim jedną z tych monet. - Przypomniał sobie, co Painter opowiadał mu o monecie. - To moneta z popiersiem Faustyny Starszej na awersie i świątynią delficką na rewersie.

Jej źrenice rozszerzyły się ze zdziwienia. Wpatrywała się w miejsce, w którym ta moneta niedawno leżała. Komandor podniósł rękę.

- On przyszedł tutaj, zanim go zastrzelono. Do pani biura.

- To nie jest moje biuro - wymruczała, rozglądając się dookoła, jakby szukała ducha swojego ojca. - Zbieram materiały do pracy doktorskiej. Tak naprawdę to ojciec użył swoich znajomości i załatwił mi staż naukowy w Muzeum Delfickim w Grecji. Wróciłam stamtąd przed miesiącem. Doglądałam tutaj instalacji wystawy. To ojciec wiedział, że ja tu teraz pracuję? Nie przypuszczałam. Szczególnie że po naszej... - Machnęła ręką.

- Musiał jednak panią obserwować.

Kilka łez spłynęło jej po policzku. Szybko wytarła je rękawem kitla.

Gray dał jej chwilę na dojście do siebie. Rzucił okiem na Kowalskiego, który krążył wokół omfalosa jak księżyc wokół planety. Gray wiedział, że ojciec

Elizabeth też to robił. Tylko po co?

- Dlaczego mój ojciec tu przyszedł? - spytała ponownie Elizabeth. - Dlaczego zabrał monetę?

- Nie mam pojęcia. Jedno jest pewne: zdawał sobie sprawę, że jest śledzony, że na niego polują. - Oczyma wyobraźni zobaczył Polka ukrywającego się na obrzeżach w krzakach promenady, wypatrującego kogoś z Sigmy. - Mógł wziąć tę monetę właśnie na wypadek, gdyby go zamordowano. Brudną monetę łatwo pominąć podczas przeszukania ubrania. Ale znaleziono by ją przy dokładniejszym przeszukaniu w kostnicy. Myślę, że chciał, by moneta przywiodła nas tutaj. Przecież na pewno zgłosilibyście jej zaginięcie.

- Ale dlaczego miałyby to robić? - spytała.

Gray przymknął powieki i zamyślił się głęboko; próbował postawić się w sytuacji Polka.

- Podejrzewam, że pani ojciec obawiał się rewizji. Miał coś, co chcieli odzyskać polujący na niego ludzie.

To oczywiste.

Komandor wstał i w tym momencie poderwała się też Elizabeth. Omiotła spojrzeniem pokój, ale tym razem nie w poszukiwaniu ducha. Zrozumiała wywód Graya. Poprawiła okulary na nosie.

- Ojciec pewnie ukrył tutaj coś, czego szukali jego mordercy. Gray ruszył do półkolistego kamienia, gdzie stał Kowalski.

- Pani ojciec był szczególnie zainteresowany omfalosem. Te słowa zdziwiły Elizabeth.

- Skąd pan to wie?

Szybko opowiedział jej o napromieniowaniu i pokazał detektor Gamma-Scout.

- Ślad pani ojca przyprowadził nas tutaj, a skoro mam taki silny odczyt, oznacza to, że spędził sporo czasu przy tym eksponacie.

Elizabeth pobladła, słysząc o cierpieniach ojca. Mimo to wskazała ręką na ścianę.

- Tam jest latarka. Chociaż wygląda na pełny, to w środku jest wydrażony. W zasadzie jest granitową rzeźbioną misą odwróconą do góry nogami. - Wskazała na dziurę w szczycie kamienia.

Gray zrozumiał. Jej ojciec mógł łatwo coś wrzucić do środka. Wziął latarkę od Kowalskiego, oparł się o kamień i skierował promień światła do jego wnętrza. Zobaczył deski palety. Przesunął światło latarki i po jednej stronie zobaczył coś ciekawego. Wyglądało to jak oszlifowany kamień wielkości melona.

- Nie mam pojęcia, co to jest - mruknął i wyprostował się. - Musimy podnieść kamień.

- Jest ciężki - ostrzegła Elizabeth. - Sześciu ludzi wyciągało go ze skrzyni. Wśród narzędzi na zapleczu jest łom. Może uda nam się go lekko dźwignąć. Tylko musimy być ostrożni.

- Przyniosę go - zaferował się Kowalski.

Gdy odszedł, na biurku Elizabeth zadzwonił telefon. Przeszła przez salę i sprawdziła na wyświetlaczu, kto dzwoni.

- To ochrona. - Spojrzała na zegarek, potem na Graya. - Już po godzinie zamknięcia. Pewnie sprawdzają, jak długo jeszcze zostanie.

- Proszę im powiedzieć, że przynajmniej z godzinę. Kiwnęła głową i podniosła słuchawkę. Jej oczy rozszerzyły się z wrażenia.

- Rozumiem. Zaraz wychodzimy. - Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Graya: - Ktoś zadzwonił i poinformował o podłożeniu bomby w muzeum. Ewakuują cały budynek.

Pierce nic nie odpowiedział. Zdał sobie sprawę z tego, że taka groźba, szczególnie teraz, nie była zbiegiem okoliczności.

- Ktoś wie - wycedził. - Po dzisiejszych strzałach na promenadzie nikt nie zlekceważy zagrożenia bombą. To doskonała przykrywka, żeby przeszukać cały budynek.

Odwrócił się i dalej przyglądał omfalosowi.

Czas skończyć z delikatnością.

Kowalski też to zrozumiał. Wrócił z zaplecza.

- Słyszałem - powiedział. Zamiast łomu przyniósł olbrzymi młot kowalski. - Odsuńcie się.

- Nie! - krzyknęła Elizabeth.

Kowalski najwyraźniej nie wiedział, co to znaczy nie. Szybko podszedł do kamienia, uniósł młot nad głowę i opuścił z pełnym impetem.

Elizabeth aż zatkało z przerażenia.

Ale zamiast uderzyć w antyczny kamień, młot opadł na deski palet, na których stał omfalos. Drewno rozprysło się na boki. Kowalski ponownie uniósł młot i opuścił go, łamiąc kilka desek po tej samej stronie palety.

Połowa artefaktu nie miała już żadnego podparcia, więc omfalos zaczął przechylać się na zmiażdżoną stronę palety, aż obrócił się do góry nogami, miażdżąc przy tym kolejne deski. Na szczęście sam pozostał nieuszkodzony.

Kowalski zarzucił młot na plecy.

Elizabeth patrzyła na niego z mieszaniną przerażenia i podziwu.

Gray przyklęknął przy palecie. Przedmiot ukryty pod omfalosem był teraz doskonale widoczny. To nie był oszlifowany kamień. Przytknął do niego licznik. Odczyt był spory, ale nie większy niż przy lornetce, którą znaleźli wcześniej.

Komandor podniósł przedmiot i wstał.

Elizabeth zrobiła krok do tyłu, gdy się prostował.

Kowalski zmrużył oczy.

- Czaszka? I o nią tyle krzyku?

Gray przyjrzał się jej z bliska. Czaszka była mała i brakowało jej zuchwy. W wystającej górnej szczęce wyróżniały się duże kły.

- Nie jest ludzka. Sądząc po wielkości i kształcie, powiedziałbym, że małpia, najprawdopodobniej szympansia.

- Świetnie. Znowu małpy. - Skrzywił się Kowalski. Gray wiedział, że niechęć ochroniarza do małp zrodziła się podczas poprzedniej misji. Nigdy jednak nie udało mu się wycisnąć z niego prawdy o tej przygodzie.

- Co jest przyklepione do czaszki? - Elizabeth wskazała palcem.

Trudno było to pominąć przy oględzinach. Do kości skroniowej, tuż nad

kanalem usznym, była przyczepiona jakaś kostka z nierdzewnej stali.

- Nie mam pojęcia - odparł Gray. - Może to aparat słuchowy. Pewnie jeden z tych implantów ślimakowych.

- Implant u małpy? - zapytał zdziwiony Kowalski. Pierce wzruszył ramionami.

- Zbadamy to później.

- Po co mój ojciec przyniósł to tutaj? Pierce pokręcił głową.

- Nie wiem. Ale ktoś chciał go przed tym powstrzymać. I ten ktoś chce to odzyskać.

- To co teraz robimy?

- Musimy stąd zwieźć. Zanim ktokolwiek dowie się, że to znaleźliśmy.

Gray zbadał resztę palety, na wypadek gdyby profesor coś jeszcze zostawił. Na przykład karteczkę z informacją wyjaśniającą tajemnicę. Zawsze trzeba mieć nadzieję, pomyślał. Skierował strumień światła latarki na wydrążoną przestrzeń przewróconego do góry nogami omfalosa.

Nic nie znalazł.

Gdy omiatał światłem ściany kamienia, jego wzrok natrafił na coś ciekawego. Wyglądało to jak nacięcie w powierzchni - zaczynało się na krawędzi i ciągnęło spiralnie w stronę dziury. Zbadał szczelinę palcem i zrozumiał, że jest to pojedyncza linia pochyłego pisma. Pochylił się i zaczął je oglądać.

Elizabeth spostrzegła jego zainteresowanie.

- To sanskryt.

- Ale co sanskrycki napis robi na wnętrzu...? Rozważania przerwał im Kowalski.

- A co to, do licha, ma za znaczenie? - Wskazał kciukiem na drzwi. - Pamiętajcie o zagrożeniu bombowym? Nie powinniśmy przypadkiem zabierać stąd tyłków?

Gray się wyprostował. Ochroniarz miał rację. Stracili już sporo czasu. Przeszukiwanie budynku prawdopodobnie już...

Przytłumiony krzyk dobiegł z korytarza. Kowalski wywrócił oczami, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

- Co robimy? - spytała Elizabeth.

19.37

Painter zapukał w uchylone drzwi biura lekarza sądowego.

- Proszę! - zawołał Malcolm. - Jones, czy masz te dane z... Painter pchnął drzwi szerzej w momencie, gdy lekarz obrócił się w okręcanym fotelu. Nadal miał na sobie niebieski fartuch. Okulary opierały się na czubku głowy. Podrapał się po nosie, gdy zobaczył, kto wchodzi, i szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

- Dyrektor... - Wykonał ruch, jakby chciał wstać, ale Painter machnął ręką, by dał sobie spokój.

- Brant wspomniała, że dzwoniłeś. Właśnie wracałem do biura.

- Czy mamy już obraz strzelca?

- Na razie nie. Cały czas przeglądamy nagrania. Niestety, to góra materiału wideo, a niektórzy właściciele kamer i systemów monitoringu niezbyt szybko odpowiadają na nasze prośby.

Po jedenastym września 2001 roku rozbudowano system monitoringu wideo w stolicy. Obszar w promieniu piętnastu kilometrów wokół Białego Domu został naszpikowany najnowszymi kamerami obserwującymi ulice, parki i miejsca publiczne. Sześćdziesiąt procent budynków miało już wewnętrzny dozór kamer wideo. Wiele kamer sfilmowało część marszruty Archibalda Polka przemierzającego promenadę. Nagrania potwierdziły to, co pomógł wysledzić licznik promieniowania. Ale nadal istniały istotne braki. Choć zdobyli zapis ukazujący, jak Polk pada w ramiona Graya, to żadna kamera nie zarejestrowała błysku towarzyszącego wystrzałowi snajpera.

A to napawało obawami.

Painter zaczął podejrzewać, że strzelec wyborowy znał rozkład kamer, znalazł dziurę w systemie dozoru i wiedział, gdzie się ustawić, żeby pozostać niezauważonym. Albo, co gorsza, ktoś usunął kluczowy dowód.

Nasuwał się wniosek, że morderca Polka miał dobre kontakty w Waszyngtonie. Ale z kim i gdzie? Jeśli historia Polka jako jednego z Jasonów miała coś wspólnego z jego zamordowaniem, to otworzono puszkę Pandory, bo Jasonowie maczali palce w każdym najtajniejszym projekcie.

Painter obawiał się, że ani on, ani żaden z jego ludzi nie pójda spać tej nocy.

- Jakież wieści od Graya? - zapytał Malcolm, zabierając stertę papierów z fotela, by Painter mógł na nim spocząć.

- Przeszukuje Muzeum Historii Naturalnej. Ślad Polka tam go doprowadził.

- Miejmy nadzieję, że coś znajdzie. Za to ja próbowałem złapać cię telefonicznie, bo chyba znalazłem drobne fragmenty układanki, które będziemy mogli wykorzystać w śledztwie.

Zainteresowany Painter rozsiadł się w fotelu. Malcolm przekreślił monitor w jego stronę.

- Co znalazłeś? - zapytał.

- Coś naprawdę interesującego. Nie wiem, co o tym myśleć, ale niewykluczone, że dochodzenie należy kontynuować w innym miejscu. Ponieważ ofiara cierpiała na chorobę popromienną, skupiłem się na poszukaniu źródła promieniowania. Wstępne badanie przewodu pokarmowego Polka i jego wątroby wskazało, że nie przyjął żadnego napromieniowanego środka.

- Więc nie domieszano mu do obiadu polonu-dwieście dziesięć ani niczego podobnego?

Malcolm skinął przytakująco głową.

- Biorąc pod uwagę stopień oparzeń popromiennych skóry, skłonny jestem twierdzić, że musiał przebywać w jakimś skażonym środowisku. Mikroanaliza włosów potwierdziła duże napromieniowanie, do którego doszło co najwyżej przed tygodniem.

- Gdzie to mogło być?

Malcolm podniósł rękę, prosząc o cierpliwość. Na ekranie pojawiła się mapa świata.

- Znaleźliśmy śladowe ilości radioaktywnych cząstek w jego pęcherzykach płucnych. W miejscach gdzie zwykle u górników osiada pył węglowy. Wprowadziłem próbkę do spektrografu, a następnie ustaliłem przybliżony czas połowicznego rozpadu tego izotopu.

Wskazał palcem na ekran. Zakładka po lewej stronie obrazu na ekranie zaczęła przewijać strony z danymi.

- Taka informacja jest niepowtarzalna jak odciski palców. Wystarczyło tylko wejść do bazy danych IAEA w Wiedniu.

Na górze ekranu Painter dostrzegł pełną nazwę organizacji:
MIĘDZYNARODOWA AGENCJA ENERGII ATOMOWEJ.

- Agencja monitoruje miejsca narażone na skażenie promieniotwórczością na całej kuli ziemskiej: kopalnie, reaktory atomowe, zakłady przemysłowe. Bez względu na to, co laicy mogą sobie myśleć, nie każdy rodzaj promieniowania jest jednakowy. Mówimy przecież o stałym rozpadzie materiału promieniotwórczego, a w nim zawartość izotopów może być różna w zależności od tego, gdzie został wydobyty i jakiej obróbce go poddano. Ostatecznym wynikiem przerobu jest promieniotwórczy „odcisk palca” charakterystyczny dla danego miejsca.

- To skąd pochodzi osad w płucach profesora?

- Przeszukałem bazę danych IAEA i trafiłem w dziesiątkę. Skinął głową w stronę ekranu, zatrzymał przewijanie danych i powiększył mapę na cały ekran. W podświetlonym okienku pojawiła się nazwa miejscowości, która była synonimem katastrofy jądrowej.

CZARNOBYL

Co Archibald Polk robił w Czarnobylu? W jaki sposób otrzymał dawkę śmiertelnego promieniowania od nieczynnego i zatopionego w betonie reaktora? W tym tygodniu reaktor miał właśnie dostać nowy stalowy sarkofag. Czy podczas jego budowy Polk otrzymał śmiertelną dawkę promieniowania?

Painter poczuł wibracje telefonu komórkowego. Dzwoniła jego asystentka. Marszcząc brwi, podniósł klapkę.

- Co się dzieje, Brant?

- Panie dyrektorze, otrzymałam wiadomość z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Ogłoszono alarm w związku z rzekomym podłożeniem bomby w Muzeum Historii Naturalnej.

Palce Paintera zacisnęły się na telefonie.

Muzeum Historii Naturalnej... tam gdzie jest teraz Gray.

To nie wróżyło nic dobrego.

- Połącz mnie z Grayem.

Czekał z telefonem przy uchu. Malcolm spoglądał na dyrektora. Czy to Gray poinformował, że podłożono bombę? Czy może ktoś inny?

Bez względu na to, kto to zrobił, coś tu nie grało. Sekundę później otrzymał potwierdzenie swoich domysłów. Brant odezwała się w słuchawce.

- Dyrektorze, komandor nie odpowiada.

19.56

Elizabeth Polk zlustrowała sylwetkę Graya Pierce'a, gdy zbliżali się do rampy rozładunkowej muzeum. Zauważyła zanikające siniaki po jednej stronie jego twarzy. Dodatkowo maskowała je opalenizna. Musiały powstać z miesiąc wcześniej i nadawały skórze miedziany odblask, podkreślający błękit jego oczu. To był ten sam odcień błękitu oczu co u wielu facetów, którzy przewijali się przez doki rozładunkowe muzeum, a których zaloty odrzuciła w przedbiegach.

- Coś tu jest nie tak - powiedział Gray.

Rozejrzała się po magazynie. Oświetlone jarzeniówkami pomieszczenie wypełniały regały zastawione środkami czystości i produktami niezbędnymi do prowadzenia sklepików z pamiątkami rozsianych po muzeum. Koło wózków do przewożenia eksponatów stał podnośnik widłowy. Stalowa roleta zamykająca dok po prawej stronie była podniesiona. Na zewnątrz oświetlony światłem jarzeniówek stał kordon funkcjonariuszy w czarnych mundurach jakiejś formacji antyterrorystycznej. Przy dźwiękach alarmu pożarowego przeszukiwali pracowników muzeum, którzy tamtędy ewakuowali się z budynku.

Szczupły mężczyzna w niebieskim garniturze stojący kilka stopni dalej nadzorował całą operację. Najwyraźniej był to jakiś ważniak. Gray popchnął Elizabeth w głąb korytarza. Poprawił na ramieniu torbę z logo muzeum, w której niósł dziwną czaszkę ukrytą w magazynie przez jej ojca. Myśl o utracie ojca wywoływała w piersi Elizabeth tępy ból mogący w każdej chwili przerodzić się w wybuch płaczu. Na szczęście potrafiła nad sobą zapanować, zachowując chwile rozpacz na bardziej odpowiedni moment.

Z głębi korytarza po przeciwnej stronie rampy wyładowczej dobiegało nawoływanie ludzi sprawdzających każde pomieszczenie. Na schodach dudniły kroki.

- Czy jest stąd jakieś inne wyjście? - zapytał Gray.

- Tunele serwisowe. Tam są! - odparła Elizabeth i poprowadziła ich z powrotem.

Gray obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Niektórzy pracownicy przychodzą tu na papierosa - przyznała ze skruchą w głosie. Wspólne palenie papierosów pozwalało jej jednak nawiązywać koleżeńskie stosunki z innymi naukowcami. To był ich taki sekretny klub. Niestety, ceną było ryzyko dostania rozedmy i raka płuc. - W muzeum jest oczywiście całkowity zakaz palenia ze względu na zagrożenie pożarowe. Ale tutaj ściany są murowane, a na dodatek cała ta para unosząca się rur...

Prowadziła ich dalej aż do nieoznakowanych drzwi, które otworzyła karta magnetyczną. Kręte betonowe schody na dalekim końcu korytarzyka były zabezpieczone z jednej strony stalową balustradą i prowadziły ostro w dół.

Zanim weszli, ich uwagę przykuło niskie warczenie dochodzące od strony doków. W szerokim korytarzu trzydzieści metrów dalej pojawił się owczarek

niemiecki. Miał na sobie czarną kamizelkę i był na smyczy trzymanej przez kogoś nadal niewidocznego.

Elizabeth zamarła z przerażenia.

Pies zauważył ich i rzucił się do przodu, naciągając smycz.

- Szybciej - popędził wszystkich Gray i pchnął Elizabeth przez drzwi klatki schodowej. Jego przyciężki partner deptał mu po piętach. W środku było gorąco i ciasno. Nie docierało tu chłodne powietrze z systemów klimatyzacyjnych muzeum. Jedyne oświetlenie stanowiła obudowana siatką lampa.

Gray zamknął drzwi. Dźwięk alarmu przycichł. Komandor wskazał ręką na schody.

- Dokąd prowadzą te tunele?

- Nie jestem pewna. - Elizabeth pokręciła głową. - Nigdy się tu nie zapuszczałam. To prawdziwy labirynt rozciągający się we wszystkie strony. Plotka głosi, że mogą prowadzić nawet pod Biały Dom. Ale z pewnością musi być z nich jakieś wyjście na ulicę.

Coś ciężkiego uderzyło w drzwi i usłyszeli ujadanie psa. Nawoływania odbijały się od ścian klatki schodowej.

- Czy to pies wytresowany do wykrywania bomb? - zapytała Elizabeth. - Może zagrożenie jest prawdziwe?

Kowalski parsknął śmiechem.

- Przy boku Pierce'a zagrożenie bombowe można uważać za coś dobrego.

Na dole klatki schodowej natrafili na drzwi. Gray pchnął dźwignię otwierania awaryjnego i drzwi ustąpiły. Tunel rozchodził się w dwóch kierunkach. Jego końce pogrążone były w kompletnym mroku. Czuli zapach wilgotnego betonu i słyszeli kapanie kropli wody na podłogę.

- Mam nadzieję, że ktoś wziął latarkę? - zapytał z przekąsem Kowalski.

Gray zaklął po cichu. Zostawił latarkę w magazynie.

Elizabeth sięgnęła do torebki i wyciągnęła niemalże zabytkową srebrną zapalniczkę. Zapaliła ją i zwiększyła płomień.

- Jak miło - skomentował Kowalski. - Szkoda, że nie wziąłem cygara.

- Też bym zapaliła - wymamrotała Elizabeth. Kowalski przyjrzał jej się uważnie.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zalało ich światło latarki z góry klatki schodowej. Znowu usłyszeli alarm. Ścigający musieli przedostać się przez drzwi.

- Pospieszmy się - zakomenderował Gray i ruszył w prawo. - Trzymajcie się blisko siebie.

Elizabeth szła tuż za Grayem, a Kowalski dreptał za nią. Uniosła wyżej zapalniczkę. Migotliwy płomyk rozświetlił zaledwie kilka metrów korytarza przed nimi. Komandor ruszył szybciej. Posuwał się, trzymając jedną rękę w górze i dotykając biegnących nad głową rur. Skręcił w pierwszy poprzeczny korytarz, by ukryć się przed ludźmi, którzy weszli do głównego tunelu.

Za nimi rozległo się pojedyncze szczeknięcie.

Laboratoryjny fartuch Elizabeth ocierał się z szelestem o ściany. Od płomienia jej zapalniczki zajmowały się ogniem wiszące pajęczyny. Znowu

skręcili.

- Co teraz? - zapytał Kowalski.
- Zwiewamy stąd - odparł Gray.
- I to jest ten wielki plan?

Ujadanie psa coraz bardziej się zbliżało. Rozległy się krzyki ścigających. Odkryto ich trasę ucieczki.

- Proszę zapomnieć o moim pytaniu - rzucił Kowalski. - Nie mam nic przeciwko ucieczce.

Ruszyli szybko w głąb labiryntu.

Kilka kilometrów dalej w śródmieściu Jurij siedział na ławce pod gałęziami drzewa wiśniowego i odpoczywał. Bolały go kolana i krzyż. Połknął bez popijania cztery tabletki przeciwbólowe.

W domu miał silniejsze środki, ale bał się je przemycić do Stanów Zjednoczonych. Dobrze byłoby już wrócić do Warren, pomyślał.

Wyprostował nogę i pomasażował kolano.

Słońce chyliło się ku zachodowi i cienie się wydłużały. Kilka kroków dalej rozciągał się betonowy murek. Dzieci i dorośli opierali się o niego i wskazywali rękami na wybieg dla zwierząt, którym był zrekonstruowany fragment chińskiego lasu. Znajdowały się tam małe grotty, stawy i strumyki. Na zboczach pagórków posadzono krzewy, wierzby płaczące i kilka gatunków bambusa. Dwoje mieszkańców habitatu stanowiły wypożyczone z Chin pandy wielkie. Nazywały się Mei Ksiang i Tian Tian. To właśnie one przykuwały uwagę odwiedzających zoo.

Wśród nich była Sasza.

Dziewczynka stała z rękami opartymi o krawędź muru. Czubkiem jednego bucika rytmicznie uderzała o beton. Uderzenia były coraz wolniejsze. Na to liczył.

Jurij wziął dziewczynkę do ogrodu zoologicznego po seansie dla Mapplethorpe'a. Ze swojego doświadczenia wiedział, że zwierzęta działały uspokajająco na jego obiekty. A szczególnie na Saszę. Jurij nie musiał przeprowadzać testu poziomów BDNF płynów rdzenia kręgowego. Po tak intensywnym epizodzie stężenie hormonów w neurotronalnych czynnikach pochodzenia mózgowego z pewnością podskoczyło do niebezpiecznej wartości. Jurij nie był na to przygotowany. Ta nagła sesja go zaskoczyła, ale wiedział, że należy szybko uspokoić dziewczynkę. Ponieważ znajdowała się daleko od domu, mogła czuć się dodatkowo pobudzona i nieodporna na zmiany. Istniało ryzyko wystąpienia trwałych zmian neurologicznych. Jurij już miał z tym do czynienia w przeszłości. Odkrycie wewnętrznego związku między zdrowiem psychicznym autystycznych dzieci a paliatywnym efektem ich interakcji ze zwierzętami zabrało jego grupie badawczej dziesiątki lat.

W czasie gdy Mapplethorpe przeszukiwał ze swoimi ludźmi Muzeum Historii Naturalnej, Jurij wziął Saszę do jednego z najsłynniejszych ogrodów zoologicznych świata. Był bardzo podobny do menażerii, którą znała Sasza.

Stukanie nogą o mur stało się jeszcze wolniejsze. Niestety pozdzierała czubki lakierków. Ale lepiej, żeby miała zniszczone buciki niż mózg.

Jurij poczuł, że ból pleców ustępuje. Zabierze ją z powrotem do Rosji, a po powrocie do Warren zarządzi pełne badania medyczne: analizę krwi, moczu i tomografię mózgu. Musi się upewnić, czy nie doszło do żadnych zmian.

Ważniejszą jednak kwestią było ustalenie, dlaczego sama wprowadziła się w trans. To nie powinno się wydarzyć. Implant mózgowy zapewniał stały poziom stymulacji dostosowany do możliwości dziecka. Wejście w trans Saszy podczas wizyty w biurze Mapplethorpe'a nie powinno się przydarzyć, chyba że implant nie został pobudzony przez czynnik zewnętrzny.

Co takiego się przydarzyło? Doszło do awarii implantu? Ktoś obcy zdalnie wywołał trans? A może, co było jeszcze bardziej niepokojące, Sasza wyrwała się spod jego kontroli?

Choć było gorąco i ból minął, nadal czuł chłód.

Coś było nie tak.

Jakiś hałas wyrwał go z zamyślenia. Dochodził z tłumu stojącego przed wybiegiem dla pand. Szum narastał. Zaczęto robić zdjęcia. Ludzie stawali się podekscytowani. Jurij usłyszał imię powtarzane kilka razy:

- Tai Szan... Tai Szan...

Wyprostował się na ławce, choć jego kręgosłup ostro zaprotestował. Skojarzył to imię, bo czytał broszurę reklamową zoo. Tai Szan była dzieckiem Mei Ksiang, które przyszło na świat kilka lat wcześniej. Najwyraźniej młoda panda pojawiła się na wybiegu.

Tłumek ludzi przysunął się bliżej do murku, by lepiej widzieć. Lampy aparatów fotograficznych błyskały jak szalone. Jurij poderwał się z ławki zdziwiony tak silną reakcją zwiedzających.

W zbitym tłumie stracił Saszę z oczu. Pamiętał, że ona nie lubi, gdy dotykają jej ludzie.

Przekroczył alejkę i przepchnął się przez tłum. Za kilka minut zamkną zoo. Czas do domu.

Dotarł do murku, przy którym wcześniej stała Sasza.

Nie odnalazł jej.

Serce zaczęło mu walić. Przeszedł wzdłuż muru tam i z powrotem. Nie dostrzegł jej mahoniowych włosów i czerwonych kokardek. Wydostał się z tłumem, rozpychając się łokciami, co spowodowało głośne protesty turystów narzekających na jego chamskie zachowanie. Komuś aparat fotograficzny upadł na chodnik.

Ktoś złapał go za ramię i szarpnął.

- Panie, lepiej, żeby miał pan jakiś dobry powód tego... Jurij uwolnił rękę z uścisku. Zmartwiony spojrzął na potężnie zbudowanego mężczyznę.

- Moja... moja wnuczka... Zgubiła się moja wnuczka. Złość zmieniła się w troskę.

Byli to głównie rodzice z dziećmi, więc wiadomość szybko się rozniosła. Dla każdego z nich bezpieczeństwo dzieci było najważniejsze. Zadawali mu pytania. Jak wyglądała? Co miała na sobie? Inni oferowali pomoc przy szukaniu, uspokajając go, że na pewno się znajdzie.

Ich słowa ledwo docierały do Jurija, który głównie słyszał bicie własnego

serca. Nie powinien zostawić jej samej. Nie powinien był siadać na tamtej ławce.

Tłum powoli się rozchodził.

Jurij obszedł cały wybieg dla pand. Nadal szukał Saszy, ale zdał sobie sprawę, że zniknęła.

4

5 września, 20.12 Waszyngton D.C.

- Drzwi! - krzyknął Kowalski z tyłu.

Gray zatrzymał się. Elizabeth Polk podniosła wyżej zapalniczkę i oświetliła małe drzwi ukryte z boku ciemnego tunelu, którym się poruszali. Gray je ominął, gdyż uwagę skupił na suficie i poszukiwaniach wyjścia na ulicę.

Za nimi odbijały się echem krzyki ścigających. Pojedyncze ostre szczekanie oznajmiło, że odkryto ich ślad. Gray prowadził ich różnymi tunelami, próbując zgubić grupę pościgową, ale najwyraźniej nie dało to efektu.

Kowalski sięgnął do klamki i zaczął się z nią siłować.

- Zamknięte - oznajmił i sfrustrowany walnął w drzwi. Gray dostrzegł elektroniczny czytnik kart dostępu pod klamką.

Blask płomyka zapalniczki pozwolił na odczytanie małej tabliczki z wygrawerowanym napisem w stylu art deco:

MUZEUM HISTORII AMERYKI

Drzwi były podziemnym wejściem do kolejnego z muzeów Smithsonian Institution. Stojąca najbliżej drzwi Elizabeth przesunęła swoją kartę magnetyczną przez czytnik, ale drzwi pozostały zamknięte. Kowalski znowu szarpnął klamkę, ale nic to nie dało.

- Moja karta otwiera jedynie drzwi Muzeum Historii Naturalnej, ale miałam nadzieję, że...

Rozległo się ostre szczeknięcie psa i spojrzeli w głąb tunelu, gdzie krzyżowały się promienie światła latarek.

- Lepiej się ruszajmy - rzucił Kowalski i odsunął się od drzwi.

Rozległ się strzał. Coś zaiskrzyło o metalową powierzchnię, gdzie Kowalski stał przed chwilą. Pocisk zrykoszetował o drzwi i obracał się na cementowej podłodze, wypływając niebieskie iskry ładunków elektrycznych.

Kowalski odskoczył na bok niczym słoń, który zobaczył mysz.

Gray rozpoznał ładunek - to był taser XREP. Wystrzelony ze strzelby kalibru

12 pocisk poraziłby układ nerwowo-mięśniowy goryla górskiego.

- Departament Bezpieczeństwa Krajowego! Zatrzymać się, albo strzelam!

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział Kowalski i podniósł ręce. W połowie ukryty za szerokimi plecami partnera, Gray przesunął swój identyfikator Sigmy przez czytnik zamka. Z boku zapaliła się zielona dioda.

Dzięki Bogu.

- RĘCE NA KARK. NA KOLANA!

Gray nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Za nimi rozpościerała się ciemność. Sięgnął ręką do tyłu i złapał Elizabeth za łokieć. Wzdrygnęła się, ale uspokoiła, gdy tylko dostrzegła uchylone drzwi. Chwyciła za pasek Kowalskiego, który trzymał ręce na karku i zamierzał uklęknąć.

Spojrzał na nich. Gray plecami pchnął drzwi i pociągnął za sobą Elizabeth. Kowalski stracił równowagę i klęknął na jedno kolano, po czym odepchnął się od podłogi i zanurkował za nimi przez drzwi.

Gray usłyszał kolejny strzał.

Kowalski wpadł na nich, popychając ich na ciemne schody poza platformę wejściową. Nogą zatrzaskał drzwi, ale mimo to wciąż nią wierzgał.

- ...urwa mać...! - wystękał przez zaciśnięte zęby.

Iskrzący pocisk paralizatora wbił się w but Kowalskiego. Elizabeth przytrzymała nogę olbrzyma i obcasem rozdeptała pocisk. Kowalski przeklinał jak szewc.

Gray wyciągnął rękę, by mu pomóc wstać.

- Masz szczęście, że trafili cię w but. Skóra zatrzymała kolce.

- Szczęście?! - Kowalski pochylił się i potarł miejsce, gdzie wbił się pocisk. - Te gnoje zniszczyły moje chukkasyl!

Przez zamknięte drzwi dobiegały przytłumione krzyki.

- Idziemy! - popędził ich Gray i ruszył pierwszy. Kowalski wciąż narzekał, gdy biegli po schodach.

- Crowe kupuje mi nowe buty! Komandor go zignorował. Kowalski ciągnął tyradę.

- Po prostu zostawmy im tę małą czaszkę. Niech ją sobie wezmą.

- Nie! - krzyknęli jednocześnie Elizabeth i Gray. Pierce wychwycił złość w głosie Elizabeth. On też był zły.

Jej ojciec umarł, by zatrzymać czaszkę, umarł na jego rękach. Dlatego nie miał zamiaru jej nikomu oddawać.

Doszli do drzwi u szczytu klatki schodowej. Też były zamknięte. Z dołu usłyszeli walenie. Wkrótce pewnie postarają się o kartę dostępu.

- Tutaj! - Elizabeth wskazała palcem czytnik kart. Gray wsunął identyfikator w szczelinę czytnika i otworzył drzwi. Obejrzał się. Domyślał się, że ten, kto ich ściga, wie już, że przedostali się do Muzeum Historii Ameryki.

Weszli do oświetlonej sali. Wyglądała prawie tak samo jak piwnica Muzeum Historii Naturalnej, tylko że była bardziej zawałona pudłami, których stosy piętrzyły się dookoła. Gray próbował uruchomić swoje radio, ale znajdowali się jeszcze zbyt głęboko pod ziemią, by nawiązać kontakt.

- Tędy - zakomenderował i ruszył w kierunku schodów.

Prawie wpadli na elektryka w kombinezonie roboczym niosącego zwój przewodów przewieszonych przez plecy i obciążonego dodatkowo pasem z narzędziami.

- Uważajcie, jak chodzicie!

Coś w wyrazie twarzy komandora powstrzymało go od dalszych uwag. Cofnął się pod ścianę. Przebiegli koło niego i ruszyli po schodach w górę. Im wyżej wchodzili, tym większy chaos oglądali: grupy robotników, nagie ściany, odkryte instalacje. Na kolejnym poziomie musieli przeciskać się między stosami marmurowych płyt. Dźwięk silników narzędzi elektrycznych i jęk pił odbijały się echem, powietrze pachniało świeżą farbą i pyłem.

Gray przypomniał sobie, że Muzeum Historii Ameryki przechodziło generalny remont polegający na modernizacji czterdziestoletniej infrastruktury, wszystko po to, by w jak najlepszy sposób wyeksponować trzy miliony historycznych skarbów, od kapelusza Abrahama Lincolna po rubinowe trzewiki Dorotki z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”. Muzeum było zamknięte dla publiczności przez ostatnie dwa lata, ale jego podwoje miały zostać ponownie otwarte już w przyszłym miesiącu.

Gdy znaleźli się w głównym atrium, Gray rozejrzał się i doszedł do wniosku, że wielkie otwarcie chyba przesunie się w czasie. Folie ochronne okrywały niemalże wszystkie powierzchnie; rusztowania sięgały drugiego piętra. Schody główne docierały tylko do pierwszego piętra. Bezpośrednio nad ich głowami olbrzymi świetlik dachowy nadal był osłonięty papierem.

Komandor zaczął pierwszego z brzegu robotnika, cieślę, z twarzą zasłoniętą maską przeciwpyłową.

- Wyjście! Gdzie jest najbliższe wyjście? Mężczyzna spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- To na Constitution Avenue jest zamknięte. Będziecie musieli wejść na drugie piętro i dojść do głównego wyjścia na promenadę - wyjaśnił i wskazał palcem na schody.

Gray spojrzał na Elizabeth, która skinęła głową. Sprawdził swoje radio. Nadal nic. Coś blokowało sygnał.

Wbiegli schodami na górę. Tutaj panował mniejszy chaos. Wyglądająca na świeżo umytą zielona marmurowa posadzka kontrastowała z umieszczonymi w niej srebrnymi gwiazdami. Po przeciwnej stronie głównego atrium Gray dostrzegł szklane drzwi wychodzące na promenadę. Musiał się stąd wydostać, zanim...

Za późno.

Grupa funkcjonariuszy w czarnych mundurach i z bronią długą wbiegła do atrium.

Gray pociągnął do tyłu Kowalskiego i Elizabeth.

Z tyłu, na niższym poziomie usłyszeli szczekanie psa. Robotnicy krzyczeli ze zdziwienia.

- I co teraz? - zapytał Kowalski.

Od wejścia wiodącego na promenadę odezwał się głos przez megafon:
DEPARTAMENT BEZPIECZEŃSTWA KRAJOWEGO! NATYCHMIAST

EWAKUOWAĆ SIĘ Z BUDYNKU PRZEZ GŁÓWNE WEJŚCIE!

- Tędy - zarządził Gray.

Poprowadził ich w bok do największego dzieła sztuki przechowywanego w galerii na piętrze - flagi zrobionej z piętnasta wstęg lustrzanego poliwęglanu.

- Nie możemy ciągle uciekać - rzekła Elizabeth.

- Nie uciekamy.

- To chowamy się? - zapytał Kowalski. - A co z psami?

- Nie uciekamy ani się nie chowamy - zapewnił ich Gray. Przeszedł obok połyskującej flagi. W jej lustrzanej powierzchni odbijał się porozszczępiany obraz wnętrza muzeum. W tych kawałeczkach Gray dostrzegł, że przed jedynym wyjściem funkcjonariusze tworzą kordon.

Z jednego z rusztowań, na którym leżały materiały do remontu i kombinezony malarskie, komandor zabrał to, czego potrzebował: puszkę farby i czterolitrowy plastikowy kontener z rozpuszczalnikiem. Skierował się w stronę flagi. Kowalski przeczytał tabliczkę przed wejściem do galerii i gwizdnął pod nosem.

- Pierce, co zamierza pan zrobić?

Gray prowadził ich do serca najcenniejszej wystawy muzeum.

Właśnie to miejsce było głównym powodem renowacji całego budynku. Weszli do długiej zaciemnionej sali. Naprzeciw szklanych paneli chroniących jeden z głównych skarbów narodowych stał rząd krzeseł. Na pochylej wystawie leżał rozwinięty płat materiału utkanego z bawełny i wełny, wielkości ćwiartki boiska do futbolu. Kolory wyblakły, ale nadal flaga, która zainspirowała powstanie amerykańskiego hymnu narodowego, pozostała najważniejszą częścią historii Ameryki.

- Pierce...? - jęknął Kowalski, do którego dotarło, co Gray chce zrobić. - To nasz sztandar narodowy.

Komandor położył puszkę farby na podłodze i zaczął odkręcać korek łatwopalnego rozpuszczalnika.

- Pierce... nie może pan... to zły sposób odciążenia ich uwagi.

Ignorując go całkowicie, Gray zwrócił się do Elizabeth:

- Czy ma pani jeszcze swoją zapalniczkę?

20.32

Siedząc w biurze ochrony ogrodu zoologicznego, Jurij poczuł ciężar swoich siedemdziesięciu siedmiu lat. Wszystkie te androgeny, środki stymulujące i operacje plastyczne nie mogły pomóc słabnącemu sercu. Przez tępy ból czuł, że jego kończyny są ciężkie jak ołów; zmartwienie pogłębiło zmarszczki na twarzy.

- Znajdziemy pana wnuczkę - obiecał szef ochrony. - Obstawiliśmy wyjścia z ogrodu. Wszyscy jej teraz szukają.

Jurija zostawiono w biurze ochrony w towarzystwie atrakcyjnej blondynki, która miała najwyżej dwadzieścia pięć lat. Ubrana była w uniform khaki -

służbowy strój pracowników zoo. Przeczytał imię na identyfikatorze - TABITHA. Wydawała się lekko zdenerwowana jego obecnością; nie wiedziała, jak mu dodać otuchy. Wstała zza biurka.

- Chce pan może do kogoś zadzwonić, do rodziny?

Jurij podniósł głowę. Przez moment przyglądał się kobiecie.

Jej młodości - pięknej jak jabłko w sadzie. Pomyślał, ile ona ma jeszcze przed sobą życia... Był niewiele starszy od niej, gdy wyskoczył z ciężarówki wojskowej w Karpatach. Teraz żałował, że udało im się odnaleźć cygański obóz.

- Chciałby pan skorzystać z telefonu? - zapytała. Powoli skinął głową.

- Da.

Nie mógł tego dłużej odkładać. Już poinformował o wszystkim Mapplethorpe'a, nie dlatego że czuł się w obowiązku złożyć sprawozdanie, ale żeby uzyskać współpracę policji i służb porządkowych. Agent był teraz zajęty poszukiwaniem ukradzionej czaszki. Mapplethorpe wspomniał coś o córce profesora Polka. Ale Jurija już to nie obchodziło. Mimo to Mapplethorpe obiecał, że ogłosi pomarańczowy alarm w związku z zaginięciem dziecka. Wszystkie służby dystryktu Kolumbii i przylegających hrabstw zostaną postawione na nogi. Dziewczynka musi zostać odnaleziona.

Sasza...

Zobaczył jej okrągłą buzię i jasnobłękitne oczy. Nie powinien odstępować jej na krok. Modlił się, żeby nic się jej nie stało, żeby okazało się tylko, że po prostu odeszła. Ale tutaj, wśród dzikich zwierząt w zoo wszystko mogło się wydarzyć. A co gorsza: ktoś mógł ją uprowadzić i skrzywdzić. W jej obecnym stanie można by zrobić z nią wszystko, jak z kawałkiem plasteliny. Jurij zdawał sobie sprawę z zagrożenia pedofilią. Nawet w Warren mieli kłopoty z niektórymi pracownikami. Było tam tak dużo dzieci... za dużo. Popelniano błędy.

Ale nie wszystkie wypaczenia były błędami.

Zawstydził się swoją ostatnią myślą.

Tabitha przyniosła mu słuchawkę telefonu.

Jurij pokręcił głową i wyciągnął komórkę.

- Dziękuję, ale muszę zadzwonić za granicę - wyjaśnił. - Do Rosji. Do jej babci. Skorzystam z własnego telefonu.

Tabitha skinęła głową i wycofała się.

- Zostawię pana samego. - Wyszła do sąsiedniego pokoju.

Jurij wystukał numer. Wmontowany chip stworzony na potrzeby rosyjskiego wywiadu prześle sygnał radiowy do kilku wież przekaźnikowych, uniemożliwiając namierzenie, i dodatkowo zaszyfruje rozmowę.

Nie chciał wykonać tego telefonu, ale nie mógł już dłużej zwlekać. Należało zaalarmować Warren, choć było tam jeszcze bardzo wcześnie, chyba nawet przed czwartą. Niemniej natychmiast odebrano. Głos w słuchawce był suchy i szorstki:

- O co chodzi?

Jurij wyobraził sobie kobietę po drugiej stronie linii, swoją bezpośrednią szefową, doktor Sawinę Martową. Wspólnie dobierali dzieci, wspólnie założyli Warren, ale kontakty Martowej z dawnym KGB sprawiły, że to ona została

szeffową Jurija. W Rosji było takie powiedzenie: „Nikt nie odchodzi sam z KGB”. I bez względu na to, co myśleli szefowie rządów na Zachodzie, to przysłowie dotyczyło także obecnego rosyjskiego prezydenta. On nadal otaczał się byłymi członkami radzieckiego wywiadu. Najważniejsze zadania i kontrakty nadal zlecano dawnym współpracownikom.

A doktor Sawina Martowa nie była w tym wypadku żadnym wyjątkiem.

- Sawina, mamy poważny problem - powiedział Jurij po rosyjsku.

Oczywiście wyobraźni widział, jak jej twarz zastyga w przerażeniu. Podobnie jak Jurij przeszła wiele kuracji hormonalnych, operacji plastycznych i zabiegów kosmetycznych, ale trzymała się lepiej niż on. Nadal miała ciemny, naturalny kolor włosów, a jej skóry nie znaczyły plamy wątrobowe. Można było uznać, że ma niewiele ponad czterdzieści lat. Ale Jurij wiedział, że po prostu nie dręczyły jej wyrzuty sumienia. Miała jasną wizję działania i swój nadrzędny cel. Gdyby ktoś jednak zajrzał jej głęboko w oczy, dostrzegłby prawdziwą Martową pod tą maską. Żadna liczba zabiegów medycznych nie ukryje zimnej kalkulacji.

- Nadal macie kłopoty ze znalezieniem tego, co nam ukradziono? - zapytała szorstkim tonem. - Dotarło już do mnie, że Polk został wyeliminowany. Więc po co dzwonicz?

- Chodzi o Saszę. Zniknęła. W słuchawce nastała cisza.

- Sawina, jesteś tam?

- Tak. Właśnie dostałam raport od jednego z pracowników naszego hoteliku. To dlatego jestem tak wcześnie na nogach. Donieśli, że trzy łóżka są puste.

- Czyje?

- Konstantina, jego siostry Kiski i Piotra.

Sawina opowiadała dalej o tym, jak przeszukiwane jest całe Warren, ale jej głos zaczął się oddalać i brzmiał jak echo dobywające się z głębokiej studni, gdy Jurij skupił się na ostatnim imieniu.

Piotr.

Brat bliźniak Saszy.

- Kiedy? Kiedy diety zniknęły?

Sawina westchnęła.

- Były w łóżkach podczas ostatniej kontroli przeprowadzonej przez opiekunkę. Musiało się to wydarzyć w ciągu ostatniej godziny.

Jurij spojrział na zegarek.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zniknęła Sasza.

Czy to tylko zbieg okoliczności, czy też Piotr wyczuł, że jego siostrze coś zagraża? Czy właśnie dlatego wpadł w panikę? Przecież Piotr nigdy nie okazywał takich talentów w przeszłości. Jego wskaźniki empatii były wysokie - szczególnie jeśli chodzi o zwierzęta - ale nigdy nie ujawnił zdolności, które miała jego siostra. Wiąż ich łącząca była silniejsza niż u zwykłego rodzeństwa. Rozwinęli nawet własny język, zupełnie niezrozumiały dla innych ludzi.

Gdy przyciskał słuchawkę do ucha, zaczął podejrzewać, że dzieje się coś bardziej złowieszczo, że ktoś zaczął manipulować wydarzeniami. Ale kto?

- Znajdź tę dziewczynkę - rozkazała ostro Sawina. - Dopóki nie jest za późno. Wiesz, co będzie się działo za dwa dni.

Doskonale wiedział. Zacznie się to, nad czym pracowali przez całe dziesięciolecia, to, z powodu czego popełnili tyle okrucieństw. W wszystko w jednym celu...

Trzasnęły drzwi. Wrócił szef ochrony zoo. Jego opalona twarz miała ponury wygląd i zdradzała troskę i niepokój. Jurij odezwał się do telefonu:

- Znajdę ją - oznajmił stanowczo, ale obietnicę tę raczej kierował do siebie niż do przełożonej.

Rozłączył się, spojrzął na wysokiego mężczyznę i przeszedł na angielski.

- Czy odkryliście jakiś ślad mojej wnuczki?

- Niestety nie. Przeszukaliśmy cały ogród. Bez skutku. Rosjanin poczuł ssanie w żołądku.

W głosie szefa ochrony można było wyczuć pewne wahanie.

- Muszę panu coś wyznać. Dostałem informację o dziewczynce pasującej wyglądem do pana wnuczki. Ktoś ją zabrał do vana przy południowym wyjściu.

Jurij wstał i szeroko otworzył oczy. Mężczyzna podniósł rękę, chcąc go uspokoić.

- Policja zajmuje się już tą sprawą. Poza tym niewykluczone, że to fałszywy alarm. Nic więcej nie możemy zrobić.

- Na pewno możecie.

- Przykro mi. Poinformowano mnie także, że FBI przyśle po pana eskortę. Będą tutaj za chwilę. Zabiorą pana do hotelu.

Jurij wyczuł, że to Mapplethorpe zorganizował ten transport.

- Dziękuję państwu. Dziękuję za okazaną pomoc. - Podszedł do drzwi i sięgnął do klamki. - Muszę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

- Oczywiście. Na zewnątrz jest ławka.

Rosjanin opuścił biuro ochrony. Dostrzegł ławkę, doszedł do niej, ale gdy się zorientował, że nie zobaczą go z okien biura ochrony, skierował się do wyjścia z ogrodu.

Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby znaleźć się pod kontrolą Mapplethorpe'a. Nawet w takiej chwili. Ten głupiec wiedział wprawdzie niewiele, ale to i tak wystarczyło, by postawić w stan pogotowia amerykańskie służby wywiadowcze. Nie mieli najmniejszego pojęcia, że w ciągu najbliższych kilku dni wszystko na świecie ulegnie zmianie.

Musiał odnaleźć Saszę, zanim Mapplethorpe to zrobi. Istniał tylko jeden sposób.

Wyszedł z ogrodu, minął kordon policji, wstukał numer w klawiaturę komórki, uruchomił szyfrowanie. Ponownie szybko się połączył, tyle że tym razem z automatyczną sekretarką: Dodzwoniliście się państwo do automatycznej sekretarki firmy Argo, Inc. Prosimy o pozostawienie wiadomości...

Firma Argo, Inc. była przykrywką dla Rodziny Jasonów. Wybrano pseudonim Argo, bo była to nazwa statku, na którym Jazon wyruszył po złote runo.

Jurij potrząsnął głową na taką głupotę i czekał na sygnał rozpoczęcia nagrywania. Zamordował jednego z Jasonów kilka godzin temu. A teraz potrzebował pomocy tej sekretnej organizacji amerykańskich naukowców. I wiedział, jak ją otrzymać. W czasach zimnej wojny obie strony starały się za wszelką cenę zdobyć przewagę techniczną; obie strony miały wsparcie swoich rządów i służb wywiadowczych. Narzędziami tej wojny był nie tylko wyścig

intelektualny, ale też sabotaż, wymuszanie, szantaż. Po obu stronach ośrodki naukowe działały niezależnie od sił zbrojnych. Przez dziesiątki lat ludzie biorący udział w tym wyścigu nauczyli się dwóch rzeczy: że od czasu do czasu można znaleźć wspólną płaszczyznę porozumienia oraz że istnieje pewna linia, której żadna ze stron nie ośmieli się przekroczyć.

Na wszelki wypadek ustanowiono możliwość komunikacji, taki przycisk alarmowy. Mówiąc do słuchawki, Jurij podał numer swojej utajnionej komórki oraz hasło, które wymyślono jeszcze w czasach zimnej wojny.

- Pandora.

20.38

Z galerii Gwiazdzistego Sztandaru zaczął wydobywać się dym. Gray i reszta jego grupki stłoczyli się w westybulu tuż obok centralnego atrium muzeum. Nałożyli kombinezony malarskie i przykryli twarze maskami. Gray rozmazał trochę farby na ich tymczasowym odzieniu.

Wychylił się i spojrzął w głąb galerii flagi narodowej. Dym zaczął gryźć go w oczy, ale udało mu się dojrzeć płomienie tańczące na kałużach rozlanego na drewnianej podłodze rozpuszczalnika. Kilka chwil później zadziałały czujki dymowe, rozległ się ostry dźwięk syren pożarowych i ze zraszaczy umieszczonych pod sufitem trysnęła woda.

Gray popatrzył jeszcze przez chwilę, by upewnić się, że szklana witryna zasłaniająca flagę narodową pozostała sucha. Wiedział, że witryna jest hermetycznie zamknięta, a powietrze w niej ma kontrolowaną temperaturę i wilgotność, by zachować flagę w doskonałym stanie dla przyszłych pokoleń. Na razie taki dym i woda w niczym jej nie zagrażają.

Zadowolony z tego, że skarb narodowy jest bezpieczny, Gray zwrócił swoją uwagę na główne atrium. Usłyszał okrzyki i nawoływania zaniepokojonych robotników, których nerwy już i tak były nadszarpnięte przez informację o podłożeniu bomby.

A teraz jeszcze dym i alarm pożarowy.

Komandor rozejrzał się wokół wyjścia z westybulu do atrium.

Robotnicy, już wcześniej wezwani do opuszczenia budynku przez funkcjonariuszy Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, teraz kłębili się i przy wyjściu. Wielu miało ze sobą narzędzia i plecaki. Panika pchnęła ludzi do drzwi, gdzie uzbrojeni funkcjonariusze systematycznie przeszukiwali każdego członka ekip remontowych. Ewakuujący się robotnicy byli dodatkowo obwąchiwani przez parę owczarków niemieckich.

- Idziemy - rozkazał Gray.

Cała trójka wmieszała się w przepychający się do wyjścia tłum. Rozdzielili się, by ich podobne przebrania nie wzbudziły podejrzeń. W tłumie poczuli się tak, jakby znaleźli się na brzegu morza, gdzie rozszalałe fale rozbijają się o skaliste wybrzeże. Popychany, ciągnięty, zgniatany, potracany Gray wciąż

obserwował towarzyszy.

Ewakuujący się robotnicy nacierali na drzwi. Mimo naporu uzbrojonym funkcjonariuszom udawało się zachować porządek na zewnątrz. Kontynuowano przeszukania, ale stawały się one coraz bardziej pobieżne. Zdenerwowane hałasem i zamieszaniem psy szczekały i ciągnęły się na smyczach.

Gray jeszcze mocniej przycisnął naramienną torbę do piersi. Jeśli zajdzie potrzeba, to sforsuje kordon ochronny jak futbolista przedzierający się przez defensywę przeciwników do strefy przyłożenia.

Z boku dostrzegł, że Elizabeth przepchnęła się przez drzwi i zajmuje się nią jeden ze strażników. Przeszukano ją pobieżnie i nakazano szybkie opuszczenie terenu. Przeszła obok psów, które szczekały i wyrywały się, ale nie rozpoznały jej zapachu. Były zdezorientowane, a świeża farba i zapach dymu dodatkowo zamaskowały zapach Elizabeth. Wydostała się poza kordon funkcjonariuszy prosto na promenadę, po której ślizgały się promienie zachodzącego słońca.

Z drugiej strony Kowalski akurat doszedł do przeszukujących ludzi. By dodatkowo uwiarygodnić swe przebranie, w obydwu rękach niósł kilkilitrowe bańki z farbą, których używał głównie do torowania sobie drogi. Jego też przeszukano. Kazano mu nawet otworzyć bańki z farbą.

Gray nabrał głęboko powietrza. Nie jest dobrze. Mimo paniki przeszukania były dokładniejsze, niżby sobie życzył.

Po rewizji Kowalski wyszedł poza kordon na promenadę.

Gray pchnął drzwi i trafił na rękę jednego z funkcjonariuszy.

- Ręce do góry! - usłyszał ostre polecenie. Komendę wzmocniła lufa karabinu przystawiona do jego piersi przez drugiego mężczyznę.

Ręce szybko go ogólnie przeszukały. Od stóp do czubka głowy. Na szczęście kaburę z bronią schował w koszu na śmieci w galerii na górze, ale mimo to...

- Otworzyć torbę!

Gray zdawał sobie sprawę, że nie może stawiać oporu. Rzucił torbę na ziemię i rozsunał suwak. Ze środka wyciągnął tylko jedną rzecz, która się w niej kryła: małą szlifierkę elektryczną. Strażnik potrząsnął torbą by przekonać się, czy jest pusta, a następnie machnął ręką i kazał mu odejść.

Przechodząc obok szczekającego psa, Gray zauważył pewnego mężczyznę stojącego z boku, ubranego w garnitur. Nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej. Do ucha miał przyzcpioną słuchawkę Bluetooth. Wydawał rozkazy szczekliwym głosem; widać było, że on tu rządzi. Komandor rozpoznał w nim tego samego faceta, którego widział koło rampy rozładunkowej Muzeum Historii Naturalnej.

Mijając go, dostrzegł identyfikator przyzcpiony do kieszonki marynarki.

DIA.

Gray odczytał nazwisko wydrukowane pogrubioną czcionką:
MAPPLETHORPE.

Zanim dostrzeżono jego zainteresowanie, był już na promenadzie. Z dala od muzeum ostrożnie dołączył do swojej grupki. Stanowili teraz trójkę robotników, którzy spotkali się po ewakuacji. Gray przyzcpił sobie mikrofon do krtani. Zaczął wywoływać dowództwo Sigmy.

W końcu usłyszał znajomy głos.

- Gray! Gdzie jesteście? - odezwał się Painter Crowe.

- Później wszystko wyjaśnię. Potrzebuję nieoznakowany samochód na róg Czternastej i Constitution Avenue.

- Już jadę.

Zmierzając do punktu spotkania, Gray wyciągnął rękę do Kowalskiego.

Wielkolud podał mu jedną z czterolitrowych baniek z farbą.

- Niesienie tego świństwa przyprawia mnie o gęsią skórkę. Gray przyjął pojemnik z farbą z wielką ulgą. Na jego dnie leżała dziwna czaszka. Miał nadzieję, że nikt nie będzie wkładał ręki do gęstej farby lateksowej, szczególnie że była niesiona przez robotnika, którego kombinezon był nią mocno przybrudzony. Po oczyszczeniu czaszki może się czegoś dowiedzą.

- Udało się - powiedziała Elizabeth z ulgą. Grayson Pierce milczał, wiedział, że gra nie jest jeszcze skończona.

Po drugiej strony świata pewien mężczyzna przebudził się w ciemnym pokoju bez okien. Niewielkie światło dochodziło jedynie ze stojących obok urządzeń medycznych. Rozpoznał mruganie i stukanie elektrokardiografu. Jego nos wyczuł woń środków dezynfekujących i jodyny. Oszołomiony podniósł się zbyt szybko i światelka rozplynęły się na boki jak ryby w ciemnym morzu.

Ten obraz pobudził jego pamięć.

...leżąc w ciemnych wodach...

Próbował usiąść na łóżku, ale jego łokcie przywiązane były do metalowych poręczy szpitalnego łóżka. Nie mógł nawet wyciągnąć rąk spod kołdry. Był za słaby. Położył się z powrotem.

Czy miałem jakiś wypadek?

Oddychając głęboko, wyczuł, że ktoś go obserwuje. Przekreślił głowę i ledwo dostrzegł zarys drzwi. Na progu pojawił się ciemny kształt. Usłyszał ukradkowy szept. W obcym języku. Chyba po rosyjsku.

- Kto tam? - zapytał ochryple. Gardło go paliło. Cisza. Ciemność dookoła. Czekał, wstrzymując oddech.

Nagle koło drzwi coś błysnęło. Światło raziło go w oczy. Instynktownie próbował osłonić twarz, zapominał, że ręce ma przywiązane do łóżka.

Zamrugał. Okazało się, że źródłem światła była latarka ołówkowa. W jej świetle dostrzegł trzy niewielkie postacie wkradające się do pokoju. Dzieci. Latarkę trzymał dwunasto-, trzynastolatek i zasłaniał dziewczynkę o rok lub dwa lata młodszą. Za nimi krył się mniejszy chłopiec, który nie miał więcej niż osiem lat. Zbliżali się do łóżka, jakby skradali się do legowiska lwów.

Wyższy z chłopców, najwyraźniej przywódca, przysunął się do młodszego. Wyszeptał do niego coś po rosyjsku; niezrozumiałe słowa brzmiały jak troskliwe pytanie. Zwrócił się do młodszego chłopca po imieniu. Brzmiało podobnie jak Peter. Dziecko skinęło głową, wskazało na łóżko i mruknęło coś po rosyjsku.

- Kim jesteście? Czego ode mnie chcecie? - zapytał. Starszy chłopiec uciszył go wzrokiem i spojrzął w otwarte drzwi. Dzieci rozdzieliły się i stanęły dookoła łóżka. Ich przywódca i dziewczynka zaczęli rozwiązywać taśmy przytrzymujące jego kończyny. Mniejszy chłopiec obserwował ich poczynania z pewnej

odległości. Tak jak jego towarzysze, chłopiec ubrany był w luźne spodnie i ciemny golf z nałożoną na niego kamizelką. Na głowie miał czapkę z włóczki. Chłopiec intensywnie mu się przyglądał, jakby chciał wyczytać coś z jego twarzy.

Z uwolnionymi rękoma mężczyzna mógł wreszcie usiąść. Pokój znowu zawirował, ale już nie tak bardzo jak wcześniej. Uniósł rękę do twarzy, próbując opanować zawroty głowy. Pod opuszkami palców wyczuł gładką skórę i szwy za lewym uchem, co utwierdziło jego podejrzenia. Czyżby ogolono go do operacji? Gdy jednak przejechał dłonią po ogolonej głowie, czynność ta wydała mu się znajoma, wręcz naturalna.

Zanim zdążył zastanowić się nad tymi przeciwnymi wnioskami, wyciągnął drugą rękę spod kołdry i spostrzegł, że kończy się kikutem powyżej nadgarstka. Serce zabiło mu szybciej. Musiał przeżyć straszny wypadek. Dotknął delikatnych blizn po szwach za uchem, jakby czytał pismo Braille'a. No tak, musiał niedawno przejść operację. Ale przecież jego kikut był gładki i wyglądał na zagojony już dawno temu. Odnosił jednak wrażenie, że czuje ruch brakujących palców. Z frustracji zacisnął fantomową pięść.

Wyższy chłopiec odsunął się od łóżka.

- Chodź - powiedział po angielsku.

Zachowanie dzieci wskazywało, że zagraża im wszystkim jakieś niebezpieczeństwo. Ubrany tylko w szpitalną koszulę nocną aż podkurczył palce stóp, gdy stanął na zimnych płytkach podłogowych. Pokój znowu zawirował mu przed oczami.

- Auu... - Złapała go czkawka.

- Szybciej - ponaglił go wyższy chłopiec.

- Chwileczkę - odparł, łapiąc powietrze, by uspokoić żołądek. - Powiedz mi, co się dzieje.

- Nie ma czasu. - Wysoki chłopiec odstał na bok. Był kościsty i szczupły. Chciał zachowywać się jak przywódca, ale łamiący się głos zdradzał zarówno jego młodzieńczy wiek, jak i przerażenie. Dotknął swojej klatki piersiowej i przedstawił się. - Mienia zawut Konstantin. Musisz iść, zanim będzie za późno.

- Ale ja... ja nie wiem...

- Da. Jesteś oszołomiony. Teraz musisz wiedzieć, że twój zawut Monk Kokkalis.

Jęknął zdziwiony i potrząsnął głową. Monk Kokkalis. To nazwisko nic mu nie mówiło. Usiłując to sprostować, zrozumiał, że w pamięci, tam gdzie powinno znajdować się jego nazwisko, jest pustka. Wpadł w panikę. Co mu się przydarzyło? Jeszcze raz dotknął blizn na głowie. Czy uderzył się w głowę? Miał wstrząśnienie mózgu? Usiłował sięgnąć pamięcią poza moment przebudzenia się w pokoju, ale nic z tego nie wyszło,

Co się stało?

Spojrzał jeszcze raz na monitor EKG podłączony do jego piersi ołowianymi przewodami. W rogu pokoju stał przyrząd do mierzenia ciśnienia krwi i stojak na kroplówkę. Skoro bez trudu rozpoznawał przedmioty znajdujące się wokół, dlaczego nie pamiętał swojego imienia i nazwiska? Poszukiwał w pamięci

jakiegokolwiek przeszłości, czegoś, czego mógłby się ucześcić. Pamiętał jednak tylko ten ciemny pokój.

Młodszy chłopiec chyba wyczuł jego nastrój, bo podszedł bliżej, a jego niebieskie oczy błysnęły w świetle małej latarki. Monk - jeśli to było jego prawdziwe imię - wyczuł z kolei, że chłopiec wie o nim więcej niż obecnie on sam. Jakby na dowód tego dzieciak wyciągnął ku niemu dłoń.

- Uratuj nas - poprosił.

5

5 września, 21.30 Waszyngton, D.C.

- Czarnobyl? - zapytała Elizabeth. - Co mój ojciec robił na Ukrainie?

Spoglądała na dwóch mężczyzn, którzy zajęli miejsce po przeciwnej stronie stolika do kawy. Siedziała w fotelu tyłem do panoramicznego okna wychodzącego na lasy Rock Creek Park. Przyjechali tutaj po ucieczce z muzeum. Gray użył określenia „bezpieczny dom”, co wcale nie zwiększyło jej poczucia bezpieczeństwa. To wszystko zaczęło przypominać jakieś historie z powieści szpiegowskiej. Jednakże sam urok tego domu, wybudowanego z klinkierowej cegły, o ścianach wyłożonych dębowymi boazeriami, faktycznie pomógł jej się trochę uspokoić.

Po przyjeździe spędziła kilkanaście minut w łazience; wyszorowała ręce i umyła twarz. Niestety jej włosy śmierdziały dymem, a paznokcie były nadal ubrudzone farbą. Później usiadła na pięć minut na ławeczce i ukryła twarz w dłoniach, próbując ogarnąć wydarzenia z ostatnich kilku godzin. Nawet nie wiedziała, że płacze, dopóki nie poczuła, że ma mokre dłonie. To jednak nie wystarczyło, żeby otrząsnąć się po śmierci ojca. Choć nie wątpiła, że on nie żyje, nie chciała zaakceptować rzeczywistości.

Musiała najpierw uzyskać odpowiedzi na kilka pytań. Wyszła z łazienki.

Przy stoliku do kawy dostrzegła przybysza. Mężczyzna został przedstawiony jako szef Graya, Painter Crowe. Obserwowała go. Miał wyraziste rysy i opaloną skórę. Jako antropolog wyczytała z jego lodowato błękitnych oczu, że ma w sobie indiańską krew. Ciemne włosy miały siwy kosmyk z boku nad uchem, jakby ktoś zatknął tam pióro.

Gray siedział z nim na sofie; pochylał się nad stołem i grzebał w papierach

rozłożonych na blacie.

Zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, Kowalski wrócił z kuchni w samych skarpetach. Jego świeżo wyczyszczone buty stały na zimnym palenisku.

- Znalazłem krakersy i coś, co wygląda na ser. Nie jestem pewien. Ale na pewno jest tu salami. - Pochylił się i postawił paterę z przekąskami przed Elizabeth.

- Dziękuję, Joe - odpowiedziała wdzięczna za uprzejmość. Wielkolud zaczerwienił się lekko.

- Proszę bardzo - odparł, prostując się. Wskazał na tacę i chyba zapomniał z przejęcia, co chciał jeszcze powiedzieć. Potrząsnął tylko głową i odszedł dokonać inspekcji swoich butów.

Painter się wyprostował, przyciągając uwagę Elizabeth.

- Jeśli chodzi o Czarnobyl, to nie wiemy, dlaczego pani ojciec tam pojechał. Zbadaliśmy jego paszport. Nie ma w nim śladu po wizycie na Ukrainie, a nawet po jego powrocie skądkolwiek do Stanów Zjednoczonych. Możemy jedynie podejrzewać, że podróżował z fałszywym paszportem. Ostatni zapis jego podróży pochodzi sprzed pięciu miesięcy. Poleciał wtedy do Indii.

Elizabeth skinęła głową.

- Często tam jeździł. Przynajmniej dwa razy do roku.

- Do Indii? Po co? - spytał Gray.

- Dostał grant naukowy. Jako neurolog badał biologiczne podstawy instynktów. Współpracował z profesorem psychologii z uniwersytetu w Mumbaju.

Gray spojrział na szefa.

- Sprawdzę to - oświadczył Painter. - Słyszałem o badaniach pani ojca nad instynktem i intuicją. Właśnie te zainteresowania sprawiły, że zaczął współpracować z Jasonami.

Te ostatnie słowa były skierowane do Graya, ale Elizabeth zeszywniała, gdy usłyszała nazwę organizacji. Nie potrafiła ukryć niechęci.

- Więc wiecie o Jasonach.

Painter spojrział na Graya, potem znowu na nią.

- Tak, wiemy, że pani ojciec z nimi współpracował.

- Tylko współpracował? On miał obsesję na ich punkcie.

- Co pani ma na myśli?

Elizabeth wyjaśniła, w jaki sposób praca dla wojska pochłonięła ojca bez reszty. Każdego lata znikał na cały miesiąc, czasami na dłużej. Reszta roku pracy była poświęcona obowiązkowi profesora - wykładowcy na MIT. Jako człowiek całkowicie oddany pracy na uczelni rzadko bywał w domu. To pogorszyło relacje między jej rodzicami. Podejrzenia przerodziły się w awantury. Matka była święcie przekonana, że ma kochankę.

Kłótnie jeszcze bardziej oddaliły ojca od domu. Małżeństwo się rozpadało. Matka wpadła w alkoholizm. Gdy Elizabeth miała szesnaście lat, matka upiła się i wjechała rodzinnym SUV-em do Charles River. Nigdy nie udało się ustalić, czy był to wypadek, czy samobójstwo.

Elizabeth wiedziała jednak, kogo można było winić za tę tragedię.

Od tego dnia rzadko odzywała się do ojca. Każde z nich żyło we własnym świecie. A teraz już ojca nie było. Na zawsze. Nie potrafiła jednak pozbyć się złości, którą do niego czuła. Nawet jego śmierć była tajemnicza.

- Czy uważacie, że praca dla Jasonów mogła mieć jakikolwiek związek z jego śmiercią? - zapytała w końcu.

Pointer pokręcił głową.

- Trudno powiedzieć. Jesteśmy dopiero na początku śledztwa. Ale dowiedziałem się, że pani ojciec zajmował się tajnym projektem wojskowym. Był to projekt...

- Gwiezdne Wrota - dokończyła Elizabeth. Poczowała satysfakcję, gdy zobaczyła zdziwienie w oczach swojego rozmówcy.

Kowalski wyprostował się przy kominku.

- Hej, widziałem film o tym... jacyś kosmici i takie tam...

- Nie, Joe. To nie te Gwiezdne Wrota - odparła. - I niech się pan nie martwi, panie Crowe. Mój ojciec nie zdradził żadnej tajemnicy państwowej. Słyszałam tylko, jak kilka razy wspomniał samą nazwę projektu. Jakies dziesięć lat później, dzięki Ustawie o Wolności Informacji, przeczytałam odtajniony raport CIA.

- O co chodziło w tym projekcie? - zapytał Gray. Painter wskazał głową na stertę dokumentów leżących na stoliku.

- Tam są wszystkie szczegóły, aż do czasów zimnej wojny. Projekt był oficjalnie nadzorowany przez drugą co do wielkości w kraju organizację naukowców: Instytut Badawczy Stanforda, który miał docelowo wspomóc tworzenie tajnych technologii. Ale w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku CIA zleciła instytutowi zbadanie możliwości wykorzystania parapsychologii do wspomagania działań wywiadowczych.

- Parapsychologii? - Gray uniósł brwi ze zdziwienia. Painter skinął głową.

- Telepatia, telekineza... ale najbardziej koncentrowali się na zdolności do zdalnej obserwacji, wykorzystywali jasnowidzów do szpiegowania obiektów i działań z dużych odległości. Coś w rodzaju telepatii na odległość.

- Psychiczni szpiedzy - rzucił Kowalski z końca sali.

- To może wydawać się kompletnie szalone, ale trzeba pamiętać, że w czasach najczarniejszych dni zimnej wojny każde osiągnięcie radzieckiego wywiadu musiało koniecznie być zrównoważone naszym sukcesem. Nie tolerowano żadnych dziur technologicznych. Związek Radziecki był pionierem w tej dziedzinie. Dla Ruskich parapsychologia było dziedziną interdyscyplinarną, w której udział miała bionika, biofizyka, psychofizyka, fizjologia i neurofizjologia.

Painter skinął w stronę Elizabeth.

- Właśnie czymś takim zajmował się pani ojciec, neurofizjologicznym podłożem intuicji i instynktu.

Elizabeth spojrzała na Graya. W jego wzroku wyczytała, że podchodzi z rezerwą do tych objawień, ale słuchał dalej w milczeniu. Też postanowiła się nie odzywać.

- Według raportów CIA Rosjanie zaczęli osiągać pewne wyniki. Nagle, w

tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, radziecki program został całkowicie utajniony. Wszystkie źródła informacji wyschły. Mogliśmy tylko podejrzewać, że badania w ZSRR cały czas trwały i były finansowane przez KGB. Musieliśmy w jakiś sposób reagować albo pozostałobyśmy w tyle. Instytut Badawczy Stanforda dostał zlecenie przeprowadzenia badań.

- I jakie uzyskali wyniki? - spytał Gray.

- Niejednoznaczne - przyznał Painter. Elizabeth też czytała te odtajnione raporty.

- Tak naprawdę nie odniesiono żadnych poważnych sukcesów - wtrąciła.

- To nie jest do końca prawda - oświadczył Painter. - Oficjalne raporty ujawniały, że zdalna obserwacja dawała dobre wyniki w piętnastu procentach przypadków, czyli i tak powyżej prawdopodobieństwa statystycznego. I zdarzyły się rzeczy nieprawdopodobne. Na przykład ten nowojorski artysta Ingo Swann opisywał budynki w najdrobniejszych szczegółach, gdy podało mu się jedynie długość i szerokość geograficzną. Prawdziwość jego opisów sięgnęła poziomu osiemdziesięciu pięciu procent.

Painter musiał dostrzec niedowierzanie w ich oczach. Stuknął palcami w stos raportów.

- Wyniki Instytutu Badawczego Stanforda zostały powtórzone w testach w Fort Meade oraz w Laboratorium Badawczym Anomalii Inżynieryjnych Uniwersytetu Princeton. Ponadto odniesiono wiele znaczących sukcesów. Jeden z najczęściej cytowanych przypadków dotyczył porwania generała Jamesa Doziera. Kierujący projektem fizyk twierdził, że jeden z jasnowidzów poznał nazwę miasta, gdzie przetrzymywano generała, a inny opisał szczegóły budynku oraz wygląd łóżka, do którego został przywiązany porwany. Takie wyniki trudno tak po prostu odrzucić.

- Ale wiem, że jednak zrezygnowano z kontynuowania badań - wtrąciła Elizabeth - w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i zakończono program.

- Niezupełnie - odparł tajemniczo Painter. Zanim zdążył dokończyć, przerwał mu Gray.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z Jasonami?

- No tak, właśnie do tego zmierzałem. Instytut Badawczy Stanforda, podobnie jak Rosjanie, najprawdopodobniej rozszerzył pole swoich badań na kolejne dyscypliny naukowe.

- Jak neurofizjologia - wtrącił Gray. - Czyli dziedzina profesora Polka. Painter skinął głową.

- Projekt był kontynuowany w tajemnicy. Prace zlecono dwóm członkom Rodziny Jasonów, którzy przeprowadzali równoległe doświadczenia. Jednym z nich był pani ojciec, Elizabeth. Drugim doktor Trent McBride, specjalista inżynierii biomedycznej ze specjalnością fizjologia mózgu.

Elizabeth знаła to nazwisko. Pamiętała wizyty późno w nocy, zamykanie się ojca z obcymi ludźmi w gabinecie. Między innymi z doktorem McBride'em. Trudno było zapomnieć jego głośny, przekonujący głos, o brzmieniu miłym dla ucha. Gdy była mała, przynosił jej upominki. Pierwsze wydania książek o

Nancy Drew.

- Próbowałem skontaktować się z doktorem McBride'em - ciągnął Painter. - Niestety dowiedziałem się tylko, że nikt o nim od pięciu miesięcy nie słyszał.

Elizabeth poczuła, jak po jej ciele rozchodzi się chłód.

- Właśnie pięć miesięcy temu mój ojciec poleciał do Indii. Spojrzała na Graya, który też wyglądał na przejętego.

O co w tym wszystkim chodzi?

21.40

Jurij Rajew wyszedł z windy na podziemnym poziomie laboratorium. Po odebraniu telefonu dotarcie do Wojskowego Instytutu Badawczego im. Waltera Reeda w Marylandzie zabrało mu czterdzieści pięć minut. W budynku było prawie pięć tysięcy metrów kwadratowych powierzchni laboratoryjnych, z czego znaczną część stanowiły badania zagrożeń biologicznych na poziomie BL-3, i prowadzono tam doświadczenia z chorobami zakaźnymi.

Jurij skorzystał z hasła alarmowego - Pandora, by skontaktować się z Jasonami. Dziesięć kolejnych minut zabrało przekazanie alertu osobom, z którymi pragnął się spotkać, stanowiącymi wewnętrzną grupę w ramach organizacji współpracującej z Rosjanami przy projekcie służącym dobru obydwu narodów. Jurij miał nadzieję, że uda mu się nakłonić Jasonów, by mu pomogli, bo musiał wyciągnąć Saszę z łap Mapplethorpe'a. Naukowcy z grupy Jasonów rozumieli, jak delikatnie należało postępować z tym dzieckiem.

Z kolei Mapplethorpe'a przede wszystkim interesowała kariera, wejście w świat polityki i ślepe podporządkowanie wszystkiego własnym interesom. Jurij zupełnie mu nie ufał.

Po zaginięciu Saszy Jurij potrzebował sprzymierzeńców na amerykańskiej ziemi.

Poinstruowano go, by spotkał się z doktorem Jamesem Chenem, neurologiem i członkiem wewnętrznej grupy, w celu opracowania strategii. Do nich dołączają kolejni naukowcy. „Ktoś, kto będzie mógł pomóc”, powiedziano mu tajemniczo.

Wskazano mu, dokąd ma się udać, dając jednocześnie przepustkę tylko do miejsca spotkania. Ruszył w głąb korytarza. O tej porze wszystkie drzwi były zamknięte. Na tym poziomie znajdowało się niewiele sal laboratoryjnych. Idąc wzdłuż korytarza, czuł żrącą woń środków odkażających, maskujących zapach piżma. Za jednymi z drzwi usłyszał pohukiwanie małych zwierząt. Na tym poziomie znajdowały się pomieszczenia dla żywych zwierząt - obiektów doświadczalnych, pozostawionych bez personelu, który udał się już do domów.

Sprawdził numer pokoju.

B-2 340.

Znalazł drzwi z matowym przeszkleniem i zapukał. Przez szybę dostrzegł cień i drzwi się otwały.

- Doktor Rajew. Miło, że pan do nas wpadł.

Jurij ledwie zdążył się przyjrzeć młodemu naukowcowi pochodzenia azjatyckiego, zanim ten się odwrócił. Miał na sobie fartuch laboratoryjny, a pod spodem niebieskie dżinsy.

Pod jedną ścianą pokoju stał stół laboratoryjny, a pod drugą klatki z nierdzewnej stali. Kilka wąsatych pyszczków wychylało się przez siatkę, a ze środka dochodziło skrobanie pazurków. Szczury laboratoryjne. Z tą różnicą, że te były bezwłose, jeśli nie liczyć wąsów.

Doktor Chen zaprowadził go przez kolejne otwarte drzwi do zagraconego pokoiku z metalowym biurkiem zawalonym czasopismami, z tablicą z planem dnia i zadaniami do wykonania oraz z regałem wypełnionym słoikami z okazami.

Jurij był zaskoczony, że za biurkiem siedzi znajoma mu osoba z telefonem komórkowym przy uchu. Wygląd męczyzny zdradzał jego szkockie pochodzenie: miał olbrzymią sylwetkę, czerwone policzki i elegancko przystrzyżoną rudo-siwą brodę. Był szefem grupy wyodrębnionej z Jasonów desygnowanej do współpracy z Rosjanami, a także kolegą i wieloletnim przyjacielem Archibalda Polka.

Doktor Trent McBride.

- Właśnie wszedł - powiedział do słuchawki i kiwnął na Jurija. - Złożę sprawozdanie w ciągu godziny.

McBride odłożył telefon, wstał i wyciągnął rękę do powitania.

- Poinformowano mnie o pańskiej sytuacji, Jurij. Biorąc pod uwagę kruche zdrowie dziewczynki, znalezienie jej będzie naszym priorytetem. Zrobimy wszystko co w naszej mocy.

Jurij uściśnął jego dłoń i usiadł. Choć na początku był zdziwiony, to jednak ucieszył się ze spotkania McBride'a. Za zasłoną dobrotliwej ostentacyjności krył się bystry i praktyczny umysł.

- Rozumie pan moją sytuację - powiedział Jurij - i wie pan, że muszę ją odzyskać. I to jak najprędzej.

- Ile dziewczynka wytrzyma bez leków?

- Trzydzieści dwie godziny.

- A kiedy dostała ostatni zastrzyk?

- Siedem godzin temu - odpowiedział przygnębiony Rosjanin.

To daje trochę ponad dzień na znalezienie Saszy.

- Będziemy musieli działać szybko - rzekł McBride. - Domyśla się pan, że Mapplethorpe już się ze mną skontaktował. Tak naprawdę to właśnie dzięki niemu jestem teraz tutaj.

- Sądziłem, że przebywa pan w Genewie. Nie zdecydował się pan pozostać w ukryciu?

- Tylko do momentu, kiedy wyjaśni się sprawa Archibalda. - Spojrzał twardo na Jurija. - I wyjaśniła się. Choć jej wynik mnie nie cieszy. Był moim przyjacielem.

- Wie pan tak jak ja, że Polk i tak miał tylko kilka dni życia przed sobą. Zrobiłem to, co uznałem za konieczne.

McBride trochę się uspokoił.

- Jeśli pan pamięta - dodał Jurij - głosowałem przeciwko angażowaniu profesora Polka.

McBride opadł na fotel.

- Naprawdę sądziłem, że Archibald będzie bardziej ugodowy, szczególnie że pierwszy zapoznał się z projektem. W końcu to była jakby kontynuacja jego dotychczasowej pracy. Ale biorąc pod uwagę, jakie stanowił zagrożenie, nie było innego wyjścia, tylko...

McBride się zasmucił.

Polk był bardzo blisko jądra projektu badawczego. Bliżej, niż McBride zdawał sobie sprawę. Dlatego istniały tylko dwie możliwości: albo go przyjąć do zespołu, albo wyeliminować.

Rekrutacja się nie powiodła... i następstwa były tragiczne.

Zaproszony do Warren Polk uciekł stamtąd z cennym przedmiotem. Nie mieli innego wyjścia, jak tylko podjąć ostateczne działania.

- Przykro mi z powodu Archibalda - wyznał Jurij.

I tak naprawdę było. Śmierć Polka, tragiczna konieczność, stanowiła znaczącą stratę dla nauki. Profesor osiągnął bardzo wiele, zbliżył się nawet do ujawnienia tego, co Rosjanie trzymali w tajemnicy przed Amerykanami. Obydwie strony nie doceniły bystrości i zdolności Polka.

Zarówno przed jego porwaniem, jak i później.

- W związku z zaginioną dziewczynką... - ciągnął Jurij.

- Domyślam się, że jest ona jednym z naszych obiektów Omega? - przerwał mu McBride.

Jurij skinął głową.

- Testy wykazały dziewięćdziesięciosiedmioprocentową skuteczność. Ona jest kluczowa dla powodzenia naszego przedsięwzięcia. Naszej wspólnej pracy. Boję się, że Mapplethorpe nie rozumie delikatnej równowagi, którą należy utrzymać, by obiekt Omega przeżył i prawidłowo funkcjonował. McBride podrapał się po nosie.

- Gdy z nim rozmawiałem, nawet zasugerował, że może powinniśmy przejąć tę dziewczynkę.

- Podejrzywałem, że mogłby być do tego zdolny. Otworzyły się drzwi za plecami Jurija. Usłyszał, że doktor Chen wita się z kimś formalnie.

Jurij odwrócił się i zaszokowany rozpoznał Mapplethorpe'a. Widok jego obwisłej twarzy nie sprawił mu przyjemności. Jurija przeszedł dreszcz. Miał złe przeczucie.

McBride wstał z krzesła.

- John, właśnie o tobie rozmawialiśmy. Czy twojemu zespołowi udało się odzyskać utraconą czaszkę ze stalową kostką?

- Nie. Choć przeszukaliśmy obydwa muzea.

- To przykre. - McBride zmarszczył czoło. - A jakieś wiadomości o dziewczynce?

- Helikoptery przeczesują każdy kwartał miasta, od zoo w kierunku granic. Nie mamy też żadnych sygnałów z urządzenia śledzącego.

Jurij skupił się na ostatniej informacji.

- Śledzące... jakie urządzenie śledzące?

McBride obszedł biurko. Wyciągnął w stronę Jurija zaciśniętą pięść, rozwarł palce, a na wewnętrznej części jego dłoni leżał przedmiot niewiele większy od główki od szpilki.

Jurij musiał się pochylić, by go w ogóle zobaczyć.

- Cud nanotechnologii - oświadczył McBride. - Pasywny mikroprzełącznik o osłabionym działaniu pulsacyjnym zatopiony w sterylnym polimerze. Podczas mojej ostatniej wizyty w Warren kazałem wstrzyknąć je wszystkim dzieciom.

Jurij nie wiedział nic o takich środkach zapobiegawczych, ale przecież nie musiał wiedzieć wszystkiego.

- Czy Sawina wyraziła na to zgodę? - Spojrzał na McBride'a. Ten tylko podniósł brew, jakby chciał powiedzieć: Przecież jesteś bystrzejszy, niż udajesz, doktorze Rajew.

Jurij zdał sobie sprawę, że Amerykanin musiałby odpowiedzieć, że Sawina o niczym nie wiedziała. To McBride zrobił dzieciom zastrzyki, w tajemnicy, nikogo o tym nie informując. Miał wolny dostęp do dzieci, choć zawsze był nadzorowany. Jurij skupił wzrok na przełączniku - był wystarczająco mały, by podać go dzieciom na sto różnych sposobów.

Po co McBride miałby to robić?

Mózg Jurija szybko przeanalizował wszystkie możliwe konsekwencje. McBride umieścił przełączniki w ciele wszystkich dzieci. Po zaimplantowaniu dzieci wystarczyło zrealizować jakiś scenariusz ucieczki zakładający, że jedno lub kilka dzieci opuści gniazdo.

Jurij przywołał w wyobraźni twarz Archibalda Polka. Gdy zrozumiał, co się stało, poczuł się, jakby dostał cios w splot słoneczny.

- To od samego początku była zmowa - wyrzucił z siebie Jurij. - Ucieczka Polka...

- Brawo. - McBride się uśmiechnął.

Jurij został wystrychnięty na dudka. Spojrzał na McBride'a.

- Pan był w Warren, gdy Archibald uciekł. To pan pomógł mu uciec.

- Musieliśmy znaleźć jakiś sposób, by pozwolić jednemu z obiektów Omega wydostać się na wolność - przyznał McBride.

- Pan wykorzystał Polka jak przynętę. Swojego kolegę i przyjaciela.

- Niestety, to było konieczne.

- Czy Archibald wiedział, że... jest wykorzystywany? McBride wydał z siebie bolesne westchnienie.

- Myślę, że mógł coś podejrzewać... choć i tak nie miał wielkiego wyboru. Umrzeć lub rzucić wam wyzwanie. Trzeba być patriotą, czy to się komuś podoba, czy nie. Muszę przyznać, że dobrze się spisał. Prawie mu się udało.

- To wszystko tylko po to, żeby porwać jedno dziecko? McBride podrapał się w nos.

- Podejrzewaliśmy, że wy, Rosjanie, coś ukrywacie. A nie jest tak?

Jurijowi nie drgnął żaden mięsień twarzy. McBride nie mylił się, ale nie miał najmniejszego pojęcia, jak wiele Rosjanie ukrywają.

- Wykorzystamy dziecko - ciągnął - by rozpocząć własny program w Stanach Zjednoczonych. Dokładnie dowiemy się, co z nim zrobiliście. Pomimo naszych usilnych starań wasza strona nie kwapiła się ze składaniem nam pełnych sprawozdań. Od samego początku ukrywaliście przed nami kluczowe informacje.

Tak było - i ukrywaliśmy nie tylko informacje naukowe, ale także plany na przyszłość.

- A co z lekami dla Saszy? - zapytał Jurij.

- Damy sobie radę. Z pana pomocą.

- Nigdy.

- Bałem się, że pan tak zareaguje.

Błysk w oku McBride'a zwrócił uwagę Rosjanina na to, co działo się za jego plecami.

Mapplethorpe trzymał pistolet tuż przy jego głowie. I nacisnął spust.

21.45

Gray nie wierzył w zbiegi okoliczności. Dwóch naukowców pracujących nad tym samym projektem ginie w tym samym czasie - z tego jeden nagle pojawia się w Waszyngtonie, napromieniowany, i spotyka go śmierć.

Pomasował skronie, żeby pozbyć się bólu głowy.

- Elizabeth, to wszystko musi się w jakiś sposób łączyć z badaniami naukowymi pani ojca.

Painter pokiwał potakująco głową.

- Ale w jaki sposób? Gdybyśmy tylko znali więcej szczegółów... może coś pozostało z pracy pani ojca?

Pytanie zawisło w powietrzu.

Elizabeth spojrzała na kolana, na których złożyła mocno splecione dłonie. Chyba zdała sobie sprawę, jak jest spięta, bo rozluźniła i wyprostowała palce.

- Nie wiem. Przez te ostatnie lata... nie rozmawialiśmy zbyt często. Nie podobało mu się, że studiowałam antropologię. Chciał, żebym kontynuowała jego... - Pokręciła głową. - A zresztą to bez znaczenia.

Gray sięgnął po dzbanek, nalał kawy do kubka i postawił przed nią na stole. Podziękowała skinieniem głowy. Nie upiła ani kropli, ale trzymała kawę w dłoniach, rozgrzewając palce.

- Chyba jednak pani ojciec nie był aż tak bardzo nieszczęśliwy z powodu pani wyboru. Przecież pomógł pani załatwić stypendium naukowe w muzeum w Grecji - rzekł Gray.

Potrząsnęła głową.

- Jego pomoc wcale nie była taka bezinteresowna, jak by mogło się wydawać. Ojciec zawsze pasjonował się wyroczniami delfickimi. Przepowiadające przyszłość kobiety pasowały do jego badań naukowych związanych z intuicją i instynktem. Wierzył, że musi je łączyć jakaś wewnętrzna cecha. Jakieś

genetyczne podobieństwo. A może i neurologiczne anomalie. Załatwił mi pracę w Delfach tylko dlatego, żebym pomogła mu w jego pracy naukowej.

- A czym się dokładnie zajmował? - zapytał Gray zachęcająco. - Wszystko, co pani wie na ten temat, może okazać się nam przydatne.

Westchnęła.

- Mogę tylko opowiedzieć, jak mój ojciec nabawił się obsesji badania intuicji i instynktu. - Spojrzała na nich. - Czy słyszeliście, panowie, o pierwszych eksperymentach Rosjan z intuicją?

Obydwaj pokręcili przecząco głowami.

- To był okropny eksperyment, ale łączył się z interesującą ojca gałęzią neurofizjologii. Jakies dwadzieścia lat temu Rosjanie rozdzielili kotkę od jej kociąt. Zabrali małe kotki na pokład okrętu podwodnego. Monitorując funkcje życiowe matki, kazali marynarzom zabić jedno kocię. W momencie kiedy marynarz uśmiercał kotka, podskoczyło tętno matki, a jej fale mózgowo potwierdziły wystąpienie wielkiego bólu. Powtórzyli doświadczenie z pozostałymi kociakami w ciągu kolejnych kilku dni. Za każdym razem otrzymywali identyczne wyniki. Choć między nimi była olbrzymia odległość, kocica w jakiś sposób wyczuwała śmierć swoich kociąt.

- To jakaś forma instynktu macierzyńskiego - wtrącił Gray.

- Tak - zgodziła się Elizabeth. - Albo intuicji. Jakkolwiek na to spojrzeć, dla mojego ojca był to potwierdzony dowód na istnienie jakiegoś biologicznego związku. Skupił się w swoich badaniach na poszukiwaniach neurologicznych podstaw tego dziwnego zjawiska. W końcu nawiązał współpracę z tym profesorem z Indii, który badał podobne zdolności wśród joginów i mistyków w swoim kraju.

- Jakie to zdolności? - zapytał Painter. Elizabeth upiła łyk kawy.

- Mój ojciec zaczął czytać anegdotyczne historyjki o ludziach obdarzonych zdolnościami pozazmysłowymi. Odrzucał na bok historie o kuglarzach i szarlatanach i szukał przypadków, w których mógłby istnieć jakiś weryfikowalny dowód. Skupiał się na przypadkach uznawanych przez prawdziwych naukowców. Takich jak Albert Einstein.

- Einstein? - Gray nie mógł ukryć zdziwienia.

- Tak. Na przełomie wieków pewną Hinduskę o nazwisku Shakuntala wożono po uniwersytetach całego świata, żeby zaprezentować jej dziwne umiejętności. Zakończyła naukę na poziomie naszej szkoły średniej, ale miała niewytłumaczalne zdolności matematyczne. Potrafiła robić niezwykle skomplikowane obliczenia w pamięci.

- Miała zdolności sawanta? - zapytał Painter.

- To było coś więcej. Ta kobieta potrafiła napisać na tablicy odpowiedź, zanim zadano jej pytanie. Nawet Einstein był tego świadkiem. Zadał jej pytanie, nad którego odpowiedzią głowił się przez trzy miesiące i która wymagała od niego pokonania wielu etapów myślowych. I także w tym wypadku, zanim skończył mówić, ona zaczęła pisać odpowiedź na tablicy. Zapytał jej, w jaki sposób to osiąga, a ona odrzekła, że nie wie, a liczby po prostu pojawiają jej się przed oczyma i ona je tylko szybko zapisuje.

Elizabeth przyglądała się ich reakcji, oczekując zwykłego niedowierzania. Lecz Gray poprosił, by mówiła dalej. Jego ugodowość ją irytowała, jakby oczekiwała, że Pierce odrzuci takie historyjki.

- Były też inne przypadki - kontynuowała. - Także w Indiach. W Madrasie pewien chłopiec ciągnął riksze. Potrafił rozwiązywać zagadki matematyczne, nie słysząc nawet pytania. Wyjaśniał, że po prostu wyczuwał myśli ludzi wokół siebie, którzy szukali matematycznych rozwiązań, a on się temu tylko poddawał. Odpowiedź maszerowała po głowie „jak żołnierze”. W końcu zabrano go do Oksfordu, gdzie poddano badaniom. By udowodnić swoje zdolności, rozwiązywał zagadnienia matematyczne, na które w tamtych czasach nie znano jeszcze odpowiedzi. Dopiero dziesiątki lat później, gdy matematyka znacznie się rozwinęła, okazało się, że jego odpowiedzi były prawidłowe. Ale w tym czasie chłopiec już nie żył. Umarł ze starości.

Elizabeth odstawiła kubek z kawą na stół.

- Te przypadki faktycznie były niesamowite i niezwykle frapowały mojego ojca. Ale on szukał żyjącego obiektu do przeprowadzenia badań. Zbierając i studiując podobne anegdotyczne historie, zauważył, że najbardziej intrygujący ludzie żyli w Indiach. Wśród joginów i mistyków. W tym czasie inni naukowcy zaczęli odkrywać fizjologiczne podstawy niezwykłych umiejętności joginów, takich jak znoszenie skrajnego zimna przez wiele dni poprzez odpowiednie kierowanie przepływem krwi do kończyn i skóry. Albo poszczenie przez wiele dni możliwe dzięki spowolnieniu metabolizmu.

Gray skinął głową ze zrozumieniem. Sam czytał o nauczaniu technik joginów. Wszystko sprowadzało się do pełnej kontroli umysłu nad ciałem, szczególnie tam, gdzie odruchy były bezwarunkowe.

- Mój ojciec zagłębił się w historię Indii, studiował ich język, nawet czytał starożytne Wedy dotyczące przepowiadania przyszłości. Znalazł niezwykłych joginów i zaczął przeprowadzać na nich badania medyczne: robił analizy krwi, EEG, mapowanie mózgu, pobierał nawet próbki DNA, by śledzić rodowody osób o największych umiejętnościach. Szukał naukowego dowodu, że w naszych mózgach istnieją organiczne podstawy tego, co Rosjanie zademonstrowali na kotach.

Painter rozsiadł się wygodniej na sofie.

- Nic dziwnego, że wybrali go do realizacji projektu Instytutu Stanforda. Jego badania zdecydowanie pokrywały się z dziedziną, która ich interesowała.

- Dlaczego mieliby go za to zamordować? Przecież to było tak dawno temu. - Spojrzała na Graya. - I co z tym wszystkim wspólnego ma ta dziwna czaszka?

- Tego jeszcze nie wiemy - odparł Painter - ale do rana dowiemy się więcej o czaszce.

Gray miał nadzieję, że tak właśnie będzie. Do Sigmy wezwano zespół ekspertów, by zbadali czaszkę. Nie bez pewnych oporów Gray zgodził się na wysłanie jej specjalnym kurierem do głównego dowództwa. Czując, że jest to klucz do rozwiązania zagadki, wolałby mieć ją cały czas na oku.

Pukanie przerwało dalszą rozmowę. Painter spojrział na drzwi. Kowalski wstał z jednym butem w ręce.

Gray zerwał się na równe nogi.

Na zewnątrz domu wystawiono dwóch strażników po cywilnemu. Gdyby były jakieś problemy, to mieli im dać znać przez radio. Na wszelki wypadek Gray odpiął kaburę i wyjął pistolet. Skoro mieli radio, to po co pukali?

Machnął na resztę, by odsunęli się do tyłu, i podszedł do wejścia. Stał z boku przy małym monitorze wideo podzielonym na cztery sekcje ukazujące obraz z zewnętrznych kamer. Lewa górna ćwiartka pokazywała przekaz z ganku.

Dwoje ludzi stało na zewnątrz, kilka kroków od drzwi.

Żyłasty mężczyzna w czerwonej wiatrówce trzymał za rękę małe dziecko. Dziewczynkę. Palcami tarłosiła czerwoną kokardkę wplecioną we włosy. Przybysz nie sprawiał wrażenia groźnego. W drugiej ręce ścisnął grubą kartkę papieru. Może to była koperta. Mężczyzna się schylił.

Gray spał się, ale to była tylko żółta kartka papieru. Kartka przesunęła się po wypastowanej drewnianej podłodze wprost pod nogi komandora.

Popatrzył w dół na dziecięcy rysunek wykonany czarnymi kredkami. Lekko niezdarna, lecz świadomie prowadzona kreska przedstawiała główny pokój w bezpiecznym domu. Kominek, fotele, sofę. Dokładnie tak pokój był umeblowany. Na rysunku widniały też cztery postacie. Dwie siedziały na sofie, jedna na fotelu. Jedna zwalista postać siedziała przy kominku i trzymała w ręce but. To Kowalski. To był dziecięcy rysunek pokoju, w którym się znajdowali.

Gray spojrzał z powrotem na monitor. Ruch przyciągnął jego uwagę na trzy pozostałe ćwiartki ekranu. Mężczyźni w czerwonych wiatrówkach trzymali pod bronią obydwu strażników.

Kowalski podszedł bezszelestnie do Graya w samych tylko skarpetach. Też popatrzył na ekran i westchnął.

- Świetnie. To czym wy się w końcu zajmujecie? Umieszczacie w Internecie adresy waszych kryjówek?

Na zewnątrz zmuszono strażników, by uklękli.

Dom był otoczony.

Znaleźli się w pułapce.

Po drugiej stronie świata Monk szukał własnej drogi do wolności.

Gdy trójka dzieci pilnowała drzwi jego pokoju szpitalnego, on wbijał się w grube granatowe drelichowe spodnie ogrodniczki pasujące do koszuli z długimi rękawami, którą miał na sobie. To nie było łatwe zadanie, gdy miało się tylko jedną w pełni sprawna rękę. Na krześle została jeszcze wełniana czapka zrobiona na drutach i para grubych skarpet. Nałożył czapkę na ogoloną głowę i wsunął stopy w skarpety. Znoszone buty były za małe, ale skóra była rozciągnięta, więc jakoś udało mu się wcisnąć je na nogi.

Ubierając się, przyjrzał się samemu sobie, ale nie pomogło to w wypełnieniu luk w pamięci. Nadal nie pamiętał niczego, co wydarzyło się przed przebudzeniem. Przynajmniej podczas ubierania nauczył się utrzymywać równowagę.

Podszedł do starszego chłopca, Konstantina, który stał przy stalowych drzwiach wyposażonych z zewnątrz w sztabę do ich blokowania. Masywność

drzwi zdradziła, że był tu raczej więźniem niż pacjentem, a teraz po prostu uciekał.

Najmłodszy z trójki, Piotr, wziął Monka za rękę i ciągnął go w głąb korytarza, byle dalej od światła wydobywającego się z pokoju pielęgniarek. Pamiętał błaganie, które usłyszał wcześniej od chłopca.

Uratuj nas.

Monk nie potrafił tego zrozumieć. Dziewczynka, która przedstawiła się jako Kiska, prowadziła ich do tylnej klatki schodowej oznaczonej czerwoną świetlówką i tabliczką informującą że jest to wyjście ewakuacyjne. Przechodząc pod lampą, spojrzał na napis.

Cyrylica.

Musiał być w Rosji. Chociaż nic nie pamiętał, wiedział, że to nie jego ojczyzna. Myślał po angielsku, ale mówił bez brytyjskiego akcentu. To znaczyło, że jest Amerykaninem, nieprawdaż? Skoro potrafił aż tyle skojarzyć, to dlaczego nie...

Kaskada obrazów nagle przeleciała mu przed oczami, zatrzymane w czasie fotografie jakby z innego życia, pojawiające się w pamięci jak rozbłyski flesza...

...śmiech... kuchnia: ktoś stoi tyłem... stalowe ostrze siekiery świecącej na tle błękitnego nieba... światełka w głębinie morskiej...

Po chwili to wszystko zniknęło.

Coś waliło mu w głowie. Próbował uchwycić się poręczy, instynktownie wyciągając rękę, ale kikut dłoni tylko się po niej prześlizgnął. Monk ledwie utrzymał równowagę. Popatrzył na ramię z amputowaną dłonią i przypomniał sobie jeden z obrazów, jaki mu się przed chwilą pojawił w pamięci.

...stalowe ostrze siekiery świecącej na tle błękitnego nieba...

Czy to właśnie tak się wydarzyło?

Przed nim dzieci zbiegały ze schodów. Poza najmniejszym chłopcem. Piotr trzymał się jego zdrowej ręki. Spojrzał na Monka, a małe palce ścisnęły jego dłoń, dodając mu otuchy. Poszedł za dziećmi.

Nikogo nie spotkali na schodach i bez problemów wyszli z budynku w bezkسیężycową, ciemną noc. Powietrze było lekko mroźne, bezwietrzne i wilgotne. Monk wziął kilka głębszych oddechów, by uspokoić łomocące serce.

Głęboki szum generatorów wypełniał okolicę. Monk spojrzał na szpital, oceniając jego wielkość. Składał się z dwóch czteropiętrowych budynków głównych i niskich bocznych skrzydeł.

- Chodź. Tędy! - zawołał Konstantin, obejmując przywództwo.

Szli pospiesznie wzdłuż ciemnej wybrukowanej alejki pomiędzy szpitalem a murem wysokości dwóch kondygnacji ciągnącym się po lewej stronie. Monk spojrzał do góry, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. Kilka lamp za murem oświetlało dachówki ukrytych po drugiej stronie budynków. Doszli do narożnika domu i przecisnęli się przez dziurę w murze. Pod nogami mieli gołą skałę śliską od rosy. Po drugiej stronie nie było oświetlenia. Monk widział wokół siebie tylko mur zbudowany z betonowych bloków. Biegając, dotykał palcami jego powierzchni. Z nierównego osadzenia bloków i kiepskich spoin wywnioskował, że mur budowano w pośpiechu.

Nagle usłyszał przejmujący grozą skowyt, który odbijał się echem od muru. Towarzyszyły mu przytłumione szczeknięcia i ostrzejsze krzyki.

Zwolnił. To odgłosy zwierząt. Czy znajdowali się w jakimś zoo?

Wysoki chłopiec z przodu, Konstantin, zupełnie jakby czytał w jego myślach, odwrócił głowę, powiedział „menażeria” i machnął, żeby iść dalej.

Menażeria?

Doszli do odległego narożnika i ścieżka zaczęła ostro opadać. Z góry Monk zobaczył dolinę i malowniczą wioskę z brukowanymi uliczkami, przy których stały domy o dwuspadowych dachach i ze skrzynkami kwiatowymi. W ozdobnych latarniach ulicznych połyskiwały gazowe płomienie. Dostrzegł dwupiętrowy budynek szkolny otoczony boiskami do gry w piłkę. Obok znajdował się odkryty amfiteatr. Pośrodku wioski znajdował się kwadratowy rynek z wysoką fontanną.

Dalej ciągnęło się osiedle czteropiętrowych prostopadłościennych bloków mieszkalnych. Ciemne, pozbawione oświetlenia, sprawiały wrażenie zupełnie pozbawionych życia.

Zupełnie inaczej niż wioska, bo w niej tłoczyli się zaniepokojeni ludzie. Słyszał krzyki. Dostrzegł wyrwane ze snu dzieci i dorosłych w piżamach. Inni ludzie mieli na sobie szare mundury i kanciaste czapki wojskowe. Światła reflektorów omiatały wąskie uliczki.

Coś musiało obudzić mieszkańców.

Usłyszał nawoływania - niektóre serdeczne, inne wypowiedane ostrym tonem. - Konstantin! Piotr! Kiska! To te dzieci.

Czerwona flara wystrzeliła z centrum wioski, oświetlając domy, bloki i betonowy mur.

Wzrok Monka śledził lot flary aż do momentu, gdy otworzył się maleńki spadochron i zaczęła swobodnie opadać.

Monk skupił uwagę na tym, co znajdowało się powyżej światła flary.

Niebo... nie było po prostu bezkسیężycowe. Niebo w ogóle nie istniało.

Rudawa poświata flary oświetliła sklepienie potężnej betonowej kopuły, rozciągającej się we wszystkich kierunkach i obejmującej cały teren dookoła. Monk rozglądał się w osłupieniu, obracając się i potykając z wrażenia. Wcale nie wydostali się na zewnątrz. Znajdowali się we wnętrzu jakiejś gigantycznej groty.

Sądząc po gładkości sklepienia i murów, prawdopodobnie było to dzieło rąk ludzkich.

Spojrzał na perfekcyjną wioskę, zachowaną we wnętrzu kopuły jak stateczek w butelce. Ale czas na podziwianie widoków się skończył.

Konstantin pociągnął go na dół między wapienne skały. Trzy samochody terenowe po cichu wspinały się stromą drogą w ich kierunku. Minęły ich i pojechały dalej w stronę szpitalnych zabudowań. Załogi elektrycznych pojazdów miały na sobie mundury i były uzbrojone.

Niedobrze.

Gdy samochody zniknęły z widoku, Konstantin wskazał ręką na ciemniejszy teren w głębi kopuły. Przecięli skaliste zbocza i trafili na rzadko używaną wąską

drogę.

Trzymając się górnych krawędzi grotu, obeszlą wioskę. Monk dostrzegł tunel daleko na końcu oświetlony światłem elektrycznym i zakończony potężną pancerną bramą na tyle szeroką że mogły się w niej minąć dwie betoniarki. Tamtędy można było opuścić grocie. Ale dzieci prowadziły go w przeciwnym kierunku. Dokąd?

Za ich plecami rozległ się ogłuszający dźwięk alarmu; syreny zaczęły wyc, jakby zbliżał się nalot. Na dachu szpitala błyskały i wirowały czerwone lampy.

Mieszkańcy wioski poznali kolejną prawdę.

Nie tylko dzieci uciekły ze szpitala.

Monk usiłował skłonić dzieci do dalszego marszu, ale ten hałas zupełnie je sparaliżował. Zakryły uszy i zacisnęły oczy. Kiska wyglądała, jakby miała wymiotować. Konstantin klęczał i kołysał się. Piotr przytulił się mocno do Monka.

Były nadwrażliwe.

Nie zważając na to, Amerykanin ciągnął je do przodu, niósł Piotra i podtrzymywał Kiskę.

Obejrzał się w stronę mrugających świateł i wyjących syren. Może i stracił całą pamięć - albo, co bardziej prawdopodobne, usunięto mu wspomnienia - ale jednego był pewien na sto procent: straci o wiele więcej niż tylko pamięć, jeśli zostanie złapany. I bał się, że dzieci spotka jeszcze większe okrucieństwo.

Musieli iść dalej. Tylko dokąd?

6

6 września, 05.22

Kijów, Ukraina

Nikołaj Sołokow czekał na ustawienie kamer telewizyjnych. Przygotowano go już do wystąpienia i miał jeszcze na sobie kołnierzyk z bibuły wciśnięty za wykrochmalony kołnierz białej koszuli, by puder nie zabrudził jego granatowego garnituru. Zaszył się w jednym z oddalonych oddziałów szpitalnych, by przez chwilę w samotności się zastanowić. Międzynarodowe ekipy wiadomości były w trakcie przygotowań do porannej transmisji ze schodów sierocińca.

Przez duże okna promienie słońca wpadały do oddalonej sali Kijowskiego Domu Dziecka. Pielęgniarka poruszała się bezgłośnie wśród łóżek. Tutaj ukrywano przed publiką najgorsze przypadki: dwuletnią dziewczynkę z

nieoperowalnym guzem krtani, dziesięcioletniego chłopca z wodogłowiem, kolejnego chłopca, którego oczy zdradzały głębokie upośledzenie. Ten chłopiec był przywiązany do łóżka za ręce i nogi.

Pielęgniarka, tęgawa Ukrainka w niebieskim fartuchu, dostrzegła zainteresowanie mężczyzny.

- To po to, by nie zrobił sobie krzywdy, panie senatorze - wyjaśniła. Jej oczy wyrażały zmęczenie zbyt częstym oglądaniem cierpienia ludzkiego.

Kiedyś trafiały się jeszcze gorsze przypadki. W 1993 roku w Mołdawii urodziło się dziecko o dwóch głowach, dwóch sercach, dwóch kręgosłupach, ale tylko z jedną parą kończyn górnych i jedną dolnych. Było tu też dziecko, którego mózg rozwinął się poza czaszką.

To wszystko był spadek po Czarnobylu.

Wiosną 1986 roku w środku nocy eksplodował czwarty reaktor elektrowni atomowej w Czarnobylu. W ciągu dziesięciu dni promieniowanie radioaktywne osiągnęło poziom porównywalny do wybuchu czterystu bomb atomowych nad Hiroszimą i chmura pyłu radioaktywnego przeszła nad całą kulą ziemską. Według raportu Rosyjskiej Akademii Nauk Medycznych już ponad sto tysięcy ludzi umarło z powodu promieniowania, siedem milionów odczuwa skutki promieniowania; większość z nich to dzieci chorujące na raka i rodzące się z wadami genetycznymi.

Teraz rozpoczęła się druga fala tragedii: dzieci wcześniej napromieniowane dorosły i same zaczęły rodzić dzieci. Donoszono o trzydziestoprocentowym wzroście występowania wad wrodzonych.

Z tego właśnie powodu wybuchowy i charyzmatyczny przywódca wyższej izby rosyjskiego parlamentu tutaj przyjechał. Choć własny region wyborczy Nikołaja Sołokowa ze stolicą w Czelabińsku leżał tysiące kilometrów stąd, ta sprawa też go dotyczyła. Na Uralu w granicach jego rejonu wydobywano większość paliwa dla elektrowni atomowej w Czarnobylu. Kopalnie uranu należały do najbardziej skażonych promieniotwórczo miejsc na ziemi.

- Wszyscy już na pana czekają, senatorze - poinformowała go kobieta stojąca za jego plecami.

Odwrócił się do niej.

Elena Ozierowa, szczupła, o kruczoczarnych włosach i ciemnej karnacji kobieta po dwudziestce miała na sobie czarny, biznesowy strój, który krył jej mały biust i zmieniał ją w istotę całkowicie aseksualną. Była poważna, małomówna i zawsze stała przy jego boku. Media nazywały ją Nikołaj Rasputin.

Jej wygląd pasował nawet do jego politycznego planu jako odważnego reformatora, choć jednocześnie wzdychał do dawnej carskiej świetności Wielkiej Rosji. Nawet jego imiennik - Nikołaj II, ostatni car z dynastii Romanowów, został uwięziony i zamordowany w Jekaterynburgu, mieście, w którym urodził się Sołokow. Choć car był kiepskim wodzem za życia, to po śmierci został kanonizowany przez rosyjską cerkiew. Nad domem, w którym został rozstrzelany wraz ze swoją rodziną, wzniesiono ku jego czci zwieńczoną złotą kopułą Katedrę Świętych Carskich Męczenników, która jest symbolem odrodzenia się Romanowów.

Niektórzy twierdzili, że czterdziestojednoletni senator Nikołaj Sołokow ze swoimi prostymi czarnymi włosami i kędzierzawą krótką bródką jest wcieleniem samego cara.

Nie obrażał się na takie porównanie.

W tych czasach podnosząca się z trudem z kryzysu Rosja - obciążona zadłużeniem międzynarodowym i biedą, przeżarta korupcją - potrzebowała nowego przywódcy na nowe tysiąclecie.

Nikołaj pragnął być tym przywódcą, a w zasadzie kimś więcej.

Pozwolił, by Elena zdjęła mu kołnierz z bibuły. Zlustrowała go wzrokiem i kiwnęła głową.

Nikołaj ruszył w stronę oczekujących go na zewnątrz światła i kamer.

Pchnął drzwi, tuż za nim ostrożnie przeszła Elena. Mównica została ustawiona na szczycie schodów. Za nią znajdowała się tablica z nazwą sierocińca.

Podszedł rażnym krokiem do gąszczy mikrofonów na podium i podniósł dłoń, chcąc powstrzymać pytania. Usłyszał, jak jeden z dziennikarzy pyta o jego wcześniejsze powiązania z KGB, inny interesował się finansowymi związkami rodziny z szeroko zakrojonymi operacjami górniczymi na Uralu. Wraz z jego dojściem do władzy do głosu doszli też jego przeciwnicy.

Zignorował wszystkie pytania i przystąpił do realizacji własnego planu wystąpienia.

Pochylając się nad mikrofonami, odezwał się silnym głosem, pozwalając, by wzmocniony odbił się echem.

- Już czas, by zatrzasnąć te drzwi! - wykrzyczał, wskazując na wejście do domu dziecka za plecami. - Dzieci Ukrainy, Białorusi i Matki Rosji cierpią za grzechy przeszłości. Nigdy więcej!

Nikołaj pozwolił, by jego gniew wybrzmiał. Doskonale wiedział, jak wygląda w obiektywach kamer. Pełen pasji opowiadał o nowej wizji dla Rosji i Ukrainy, wzywał do działania, mówił o potrzebie patrzenia w przyszłość bez zapominania o przeszłości.

- Za dwa dni czwarty reaktor Czarnobyla zostanie osłonięty nową stalową kopułą. Nowy sarkofag będzie znakiem końca tragedii i wiecznym pomnikiem wszystkich tych dzielnych ludzi, którzy poświęcili swoje życie, by bronić nie tylko naszej ojczyzny, ale też całego świata. Strażacy nie poddawali się i gasili pożar, gdy promieniotwórczość spalała ich przyszłość. Piloci ryzykowali, lecąc przez toksyczną chmurę, by dostarczyć beton i zaopatrzenie. Górnicy przybyli z całego kraju, by zbudować pierwszą osłonę do pokrycia reaktora. Ci wspaniali ludzie, wypełnieni narodową dumą, są prawdziwym sercem narodów Rosji i Ukrainy! Nigdy nie zapomnimy ani ich, ani ich poświęcenia!

Podczas przemówienia za reporterami zaczął gromadzić się tłum ludzi. Gdy Sołokow zrobił przerwę, został nagrodzony aplauzem i oklaskami.

To było pierwsze z wielu przemówień, które zamierzał wygłosić, aż do czasu ceremonii w Czarnobylu, kiedy to nowy sarkofag zostanie zainstalowany nad toksycznym rdzeniem wygasłego reaktora. Pierwsza betonowa pokrywa zaczynała się kruszyć, ale zasadniczo była przewidziana jako krótkotrwałe zabezpieczenie, a przecież minęło już dwadzieścia lat. Nowy sarkofag ważył osiemnaście tysięcy ton i wysokością sięgał do połowy wieży Eiffla. Był największą ruchomą konstrukcją na świecie.

Inni politycy też wykorzystywali tę okoliczność, biorąc udział w podobnych wydarzeniach i spotkaniach z mieszkańcami. Ale Nikołaj był najgłośniejszym z nich i najbardziej wymownym. Pragnął reformy polityki energii atomowej, głosił potrzebę oczyszczenia kraju z ognisk promieniotwórczości. Wielu przeciwnych mu polityków argumentowało, że jest to nierealne, bo zbyt kosztowne. Członkowie parlamentu wyśmiewali się z jego planów i krytykowali go w mediach.

Ale Nikołaj wiedział, że postępuje słusznie.

Sami się o tym pewnego dnia przekonają.

- I zapamiętajcie moje słowa! - ciągnął przemówienie. - Zakończenie pewnego rozdziału naszej historii to w zasadzie początek dalszych działań. Boję się, że my dopiero raczkujemy w tej kwestii. Nasza atomowa przeszłość jeszcze z nami nie skończyła... ani z całym światem. Gdy nadejdzie taki dzień, to mam nadzieję, że wszyscy będziemy mogli udowodnić, iż mamy mężne serca, tak jak ci odważni mężczyźni i kobiety, którzy poświęcili swoją przyszłość tego tragicznego dnia. Nie zaprzepaśmy zatem szansy, jaką oni nam dali. Rozpocznijmy nowy renesans. Z ognia powstanie nowy świat.

Wiedział, że jego oczy błyszczały, gdy wypowiadał te słowa. To było hasło jego zmian. Nowy renesans. Rosyjski renesans.

Potrzebne było tylko lekkie pchnięcie we właściwym kierunku.

Elena przysunęła się do niego, dotknęła jego łokcia, jakby chciała przekazać mu jakąś wiadomość. Obrócił się do niej, gdy nagle padł strzał z parku po przeciwnej stronie ulicy. Kątem oka dostrzegł błysk, na ułamek sekundy, zanim coś przeleciało mu koło ucha.

Snajper.

Zabójca.

Elena ściągnęła go z podium wśród zgiewku i krzyków zgromadzonego tłumu. Przez chwilę zapanował chaos. Nikołaj wykorzystał tę chwilę, by musnąć wargami usta Eleny. Palcami dłoni przeczesał jej długie włosy; jednym palcem przeciągnął po krawędzi stali chirurgicznej, która otulała tył jej ucha.

- Dobrze wyszło - szepnął w trakcie pocałunku.

22.25

Waszyngton, D.C.

Painter podszedł do Graya stojącego obok drzwi frontowych i spojrzał w ekran. Zobaczył, że w strażników wymierzono broń.

Mężczyzna stojący na ganku zawołał przez drzwi, jakby wyczuwał ich obecność:

- Nie chcemy zrobić nikomu krzywdy! - krzyknął z ostrym akcentem, który zdradzał jego pochodzenie ze wschodniej Europy.

Painter przyglądał się obcemu na monitorze. Potem spojrzał na dziewczynkę, która trzymała go za rękę. Patrzyła prosto w obiektyw ukrytej kamery.

- Jesteśmy przyjaciółmi Archibalda Polka! - zawołał jeszcze raz, ale jakby mniej pewnie, jakby nie do końca był przekonany, czy dla ludzi wewnątrz domu cokolwiek to znaczy. - Mamy mało czasu!

Elizabeth stanęła za Painterem. Spojrzeli po sobie. Jeśli mieli zdobyć jakieś informacje o jej ojcu, to należało zaryzykować. Byleby nie za bardzo. Painter nacisnął przycisk interkomu.

- Jeśli jesteście naszymi sprzymierzeńcami, to uwolnijcie naszych ludzi i

opuśćcie broń - powiedział do mikrofonu.

Mężczyzna na ganku pokręcił głową.

- Nie, dopóki nie pokażecie, że można wam ufać. Bardzo dużo ryzykowaliśmy, przywożąc tutaj dziewczynkę. Naraziliśmy się na zdemaskowanie.

Painter spojrział na Graya, który wzruszył ramionami.

- Wpuścimy was - odparł Painter - ale tylko pana i dziewczynkę.

- A ja zatrzymam pańskich ludzi na zewnątrz, dla naszego bezpieczeństwa.

- I będziemy jedną wielką, szczęśliwą rodziną - skomentował Kowalski.

Painter wskazał ręką, by Gray ukrył Elizabeth.

Sam stanął z boku drzwi. Kowalski ustawił się bezszelestnie z drugiej strony. Wielkolud miał w rękach tylko jedną broń: swój but.

I to musiało mu wystarczyć.

Painter odryglował i otworzył drzwi. Nieznany mężczyzna podniósł rękę, by pokazać, że jest pusta. W drugiej ręce trzymał dłoń dziewczynki. Miała nie więcej niż dziesięć lat, ciemne włosy i sukienkę w szaro-czarną kratkę.

Mężczyzna miał ciemną, oliwkową cerę. Mógł być Egipcjaninem albo Arabem. Jego ciemnobrązowe oczy, które w cieniu na ganku wydawały się czarne, zdradzały zaniepokojenie. Ubrany był w dżinsy i bordową wiatrówkę Windbreaker.

Obcy odwrócił głowę, nie spuszczać wzroku z otwartych drzwi. Powiedział coś do swoich ludzi. Painter nie rozpoznał języka, ale z intonacji wynikało, że kazał im pozostać w gotowości.

- To Cygan - mruknął Kowalski. Painter spojrział na ochroniarza.

- Mieszkali na mojej ulicy - dodał. - On mówi po romsku.

- To prawda - przytaknął mężczyzna. - Nazywam się Luka Hearn.

Painter otworzył szerzej drzwi i zaprosił go do środka. Nieznajomy ostrożnie przeszedł przez próg i skinął głową Grayowi i Kowalskiemu.

- Sastimos.

- Nais tuke - odpowiedział Kowalski. - Ale to wszystko, co umiem powiedzieć po romsku.

Painter poprowadził Lukę i dziecko do salonu. Dziewczynka szła na lekko drżących nogach. Jej twarz lśniła od potu.

Luka zauważył, że Gray stoi z boku z pistoletem w ręku.

Painter gestem nakazał komandorowi, by schował broń. Nie wyczuł, by mężczyzna stanowił zagrożenie.

- Wspomniał pan o moim ojcu - zaczęła Elizabeth, która weszła do pokoju.

Luka zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

- To córka Archibalda Polka - wyjaśnił Painter. Mężczyzna szerzej otworzył oczy zaskoczony. Ukłonił się jej.

- Przykro mi, że straciła pani ojca. Był wspaniałym człowiekiem.

- A co pan o nim wie? - zapytała. - I kim jest ta dziewczynka?

Dziecko puściło dłoń mężczyzny i podeszło do stołu. Usiadło obok po turecku i zaczęło się kołysać w przód i w tył.

- Ta dziewczynka? - powtórzył Luka. - Nie wiem. To tajemnica. Otrzymałem wiadomość od pani ojca. Nagrał się na automatycznej sekretarce. Był

przerażony, mówił chaotycznie, jakby w pośpiechu. Rozkazał nam kupić tuzin radiotelefonów Cobra Marine i nastawić na określoną częstotliwość. Następnie podał jakieś liczby. Chciał, żebyśmy obstawili promenadę i obserwowali przesyłkę, która uruchomi odbiorniki.

- Przesyłkę? - zdziwił się Painter. Luka spojrzął na dziewczynkę.

- Ona jest tą przesyłką.

- Dziewczynka? - Elizabeth była zszokowana. - Ale po co?

Luka pokręcił głową.

- Byliśmy coś winni pani ojcu. Zrobiliśmy to, o co nas prosił. Byliśmy nawet na promenadzie, gdy został zastrzelony, chociaż na początku nie wiedzieliśmy, że to pani ojciec. Ale za to trafiliśmy na trop tego dziecka.

Painter przyglądał się dziewczynce. Musiała mieć ukryty mikroprzełącznik.

- Poszliśmy za nią do zoo, gdzie mogliśmy ją przejąć bez zwracania szczególnej uwagi.

- Porwaliście ją? - spytał Painter. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Ostatnie słowa profesora Polka brzmiały: Ukradnijcie przesyłkę i doprowadźcie do Sigmy.

Te słowa zelektryzowały Paintera.

- Nagranie zostało nagle przerwane - powiedział Cygan. - Nie dostaliśmy już więcej żadnych wskazówek ani wyjaśnień. Gdy mieliśmy dziewczynkę, musieliśmy działać szybko. Baliśmy się, że zaczną jej szukać. Ktoś mógł ją namierzyć dokładnie w taki sposób jak my. Szczególnie że ogłoszono Pomarańczowy Alarm w całym dystrykcie. Ale nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, o co profesorowi chodziło, kiedy mówił o jakiejś Sigmie. Gdy jechaliśmy po mieście, dziewczynka zaczęła rysować jak szalona.

Wskazał na dziecko, które wstało i podeszło do pustej ściany. Wyciągnęła kawałek zwęglonego drewna z kominka i zaczęła coś gryzmolić na ścianie w zupełnie niezorganizowany sposób, zaczynając z jednego miejsca, przenosząc się do następnego...

- Rysowała bez przerwy - kontynuował Luka. - Naszkicowała park z drzewami i most nad Rock Creek. - Skinął w stronę okna. - Potem narysowała dom w tym samym lesie. Musieliśmy objechać cały park, szukając tego miejsca, bo wierzyliśmy, że to dla niej bardzo ważne. Do odnalezienia tego domu rysowała obrazek, który wsunąłem przez próg. - Luka spojrzął na ich twarze. - To był rysunek wszystkich was. Przyjaciół i rodziny doktora Polka. Dlatego muszę was teraz zapytać, czy wiecie, co to jest ta Sigma.

Painter wyciągnął czarną, matową legitymację służbową wielkości karty kredytowej. Widniała na niej jego fotografia z prezydencką pieczęcią. W powierzchni identyfikatora zatopiony był hologram z grecką literą.

Luka wziął kartę i przekrzywił na bok, by przyjrzeć się hologramowi. Otworzył szeroko oczy, gdy go rozpoznał.

Gray podszedł do dziewczynki. Kucnął na piętach i obserwował, jak dziecko rysuje. Potarł dłonią brodę. Coś przyciągnęło jego uwagę. Podniósł palec, tak jak w baseballu łapacz daje sygnał miotaczowi, i wskazał na dziewczynkę.

Jej twarz jaśniała. Głowę miała lekko przekrzywioną w jedną stronę, otwarte

oczy wcale nie śledziły ruchów ręki rysującej kawałkiem węgla. Choć zachowywała się dość dziwnie, Gray pokazywał coś innego.

Painter też to zauważył. Spomiędzy jej włosów sklejonych od potu tuż za uchem błyszcząca stal. Kształt stalowego elementu był bez wątplenia identyczny z kształtem urządzenia przytwierdzonego do dziwnej czaszki.

Tylko że teraz mieli do czynienia z żyjącym obiektem.

Co Archibald im dostarczył?

Gdy Painter zastanawiał się nad różnymi możliwościami, Elizabeth siedząca trochę bardziej z tyłu wskazała na ścianę.

- Popatrzcie - powiedziała drżącym głosem.

Painter przysunął się do niej. Wskazała palcem na obraz tworzony na ścianie. Z tej odległości to, co wydawało się tylko dziecięcą bazgraniną, zaczęło nabierać kształtów. Painter przyglądał się przez długie cztery minuty, w całkowitej ciszy, jak pojawia się efekt końcowy bazgrania.

Elizabeth zaczęła się jękać z zaskoczenia.

- To jest... to...

- ...Tadź Mahal - dokończył Painter.

Przez ciszę, która zapadła ze zdziwienia, zaczął przebijać się odległy dźwięk: Łup, łup...

Nadlatywał helikopter.

Gray wyprostował się i wyciągnął rękę do dziewczynki.

- Znaleźli nas.

06.02

Kijów, Ukraina

Nikołaj zsunął się z Eleny i położył na plecach. Wiatrak w pokoju hotelowym chłodził ich spocone ciała. Bolał go krzyż, a plecy paliły od głębokich zadrapań. Elena wstała i widok jej pośladków, gdy szła pod prysznic, niemal go znowu podniecił. Poruszył się na łóżku, ale wiedział, że za pół godziny ma następny wywiad.

Wiadomość o nieudanym zamachu rozniosła się już szeroko. Będzie powtarzana we wszystkich zagranicznych dziennikach. Dowiedział się też, że snajper został postrzelony przez milicję i zmarł w drodze do szpitala.

Teraz już nikt nie będzie podejrzewał, że to wszystko zostało ukartowane. Nawet snajper - górnik z kopalni Polewskiej, którego brat zginął w wypadku przy pracy w zeszłym roku - nie zdawał sobie sprawy, jak pięknie nim manipulowano.

Wszystko przebiegło z zegarmistrzowską precyzją. Elena w najważniejszym momencie złapała go za łokieć. Takie ma już dziewczyna zdolności. Gdy była pobudzona, potrafiła obliczyć prawdopodobieństwo do dziesiątego miejsca po przecinku. Przeprowadzała analizy statystycznych danych biznesowych znacznie lepiej niż najtęższe umysły ekonomiczne świata. A gdy przestudiowała

dane techniczne większości broni lekkiej, potrafiła przewidzieć dokładną trajektorię lotu pocisku tylko po sposobie trzymania broni i celowaniu.

Ufając jej zdolnościom, dziś rano złożył swoje życie w jej ręce.

I przeżył.

W momencie strzału, gdy stał na podium, czuł, że pierwszy raz w życiu tak nie panuje nad sytuacją, a jego los spoczywa w rękach innej osoby. Po latach całkowitego panowania nad swoim ciałem i umysłem utracenie takiej kontroli przyprawiło go o przyspieszone bicie serca. Po tym wszystkim nie umiał się szybko pozbierać i od razu wrócić do hotelu.

Elena wyszła spod prysznica i naga oparła się o futrynę. Pożądanie w jej oczach powoli przygasało - ostatnie iskierki erotycznego podniecenia rozplywały się po jej implantach i neuronach. Drapieżna lwica zamieniała się w śpiącą kotkę. Mimo to Nikołaj przyglądał się wypalaniu się ostatnich płomieni pożądania - mieszanki pragnienia i nienawiści - ale nawet to uczucie ustąpiło zimnemu poddaństwu.

Takie stymulowanie jej implantu było niezbędne - nie tylko, żeby ich stosunek był intensywny, ale także by wywołać prawidłowy odzew fizjologiczny, dzięki któremu wzrastało prawdopodobieństwo zapłodnienia. Nikołaj zapoznał się z dokumentacją. A jego matka chciała, by miał dzieci, i nawet zgodziła się na związek Nikołaja z Elena. To było doskonałe połączenie: jego silna wola i jej chłodna kalkulacja.

Dzisiejszego ranka bardzo się postarał, by matka była zadowolona.

I do tego miał siniaki i zadrapania jako dowód miłosnych uniesień.

Matka raczej nie zaaprobowałaby, by Elena przywiązała go do wezglowia i chlastała jego uda szczotką do mycia pleców. Zapamiętał, co powtarzała mu przez całe dzieciństwo: „Cel uświęca środki”.

Jak zwykle praktyczna, cała matka.

Na stoliku nocnym zadzwonił telefon. Elena odebrała i przekazała Nikołajowi słuchawkę.

- Generał major Sawina Martowa do pana senatora - usłyszał. Westchnął. Jak zwykle wybierała najlepszy moment. Musiała już usłyszeć o nieudanym zamachu na jego życie. Pewnie chciała, żeby złożył jej pełny raport, i zastanawiała się, dlaczego nie zrobił tego do tej pory. Ich plany w najbliższych dniach doprowadzą do oficjalnego zapieczerowania Czarnobyli. Wszystko musi się udać.

Nikołaj uniósł się na swoich posiniaczonych pośladkach i zamrugął.

- Nikołaju, mamy problem.

- Co się stało, mamoo? - Westchnął.

22.50

Waszyngton, D.C.

Gray wziął dziewczynkę na ręce i pobiegł przez podwórko od frontu.

Temperatura rzeźkiej wrześniowej nocy kontrastowała z rozpalonym czołem dziecka. Miała gorączkę. Po skończeniu malowania na ścianie dziewczynka zasłała z wyczerpania. Zachowała świadomość, ale jej oczy były pozbawione wyrazu, a kończyny dziwnie sztywne, niczym z drewna. Zupełnie jakby wspierały jedynie lalkę naturalnej wielkości. Porcelanowa cera małej jeszcze bardziej potęgowała to wrażenie.

Gray dotknął jej twarzy i dostrzegł, jak delikatne są jej cienkie rzęsy.

Kto był zdolny do zrobienia czegoś takiego dziecku?

Musieli znaleźć dla niej bezpieczne miejsce.

Na zewnątrz Gray spojrział na niebo. Jeden czarny helikopter - o wojskowym kształcie - leciał wolno wzdłuż drogi. Drugi był zawieszony trochę wyżej na końcu kwartału. Trzeci okrążał park za ich plecami.

Namierzali ich.

Ich służbowy sedan stał na podjeździe. Luka i jego ludzie mieli trzy jednakowe SUV-y marki Ford zaparkowane nieco dalej wzdłuż ulicy. Szef klanu Cyganów zebrał już wszystkich swoich ludzi. Wydawał rozkazy po romsku, wskazując ręką w różnych kierunkach, by się rozdzielili. Trzech mężczyzn ruszyło pieszo przez park, gdzie znowu się rozdziela. Kolejna dwójka przebiegła przez ulicę i zniknęła między domami. Jakiś pies zaszczekał, gdy uciekali.

Kowalski i Elizabeth szli do lincolna stojącego na drodze dojazdowej. Elizabeth trzymała przy uchu telefon komórkowy.

Painter ruszył w stronę toyoty yaris należącej do jednego z ludzi ochrony. Gray podążył za nim. Agent ochrony już siedział za kierownicą.

Painter otworzył tylne drzwi, odwrócił się do Graya i wyciągnął rękę. Komandor podał mu dziecko.

- Jest rozpalona - powiedział. Dyrektor kiwnął głową.

- Jak będziemy już bezpieczni, zapewnimy jej opiekę medyczną. Zadzwoniłem po Kat i Lisę, żeby stawiły się w centrum dowodzenia.

Lisa to doktor Lisa Cummings, doświadczona lekarka z doktoratem z fizjologii, a prywatnie przyjaciółka i partnerka dyrektora. Kapitan Kat Bryant to ekspert Sigmy od działań wywiadowczych i koordynacji. Będzie nadzorowała operacje terenowe.

- Ale najpierw - powiedział Painter z oczami zwróconymi w niebo, gdy siadał z tyłu z dziewczynką - musimy stąd uciec.

Jeden z SUV-ów ruszył prosto ulicą z wyłączonymi światłami; drugi zawrócił ostro i odjechał w przeciwnym kierunku, mijając toyotę, do której wsiadł Painter.

- Miejmy nadzieję, że to zadziała - rzucił Gray.

Przed odjazdem Painter poprosił, by Luka dał mu jedną krótkofalówkę, której użyli do namierzenia dziewczynki na promenadzie. Cobry mogły zarówno odbierać, jak i wysyłać sygnały radiowe. Painter pokazał Luce, w jaki sposób przełączyć radio z odbierania określonej częstotliwości na wysyłanie takiego samego sygnału. Luka rozkazał, by jego ludzie zrobili to samo. Rozbiegli się i rozjechali we wszystkie strony, wypuszczając w eter sygnał wysyłany przez dziewczynkę, tworząc dwanaście śladów do ścigania. Painter miał nadzieję, że w

takim gąszczu sygnałów uda im się uciec z dziewczynką do bunkra dowodzenia Sigmy. Tam mogliby całkowicie odizolować jej sygnał i chronić jej zdrowie i życie.

Gray ruszył do czekającego lincolna. Mieli jechać do Międzynarodowego Portu Lotniczego im. Reagana. Przypomniał sobie wykonany węglem obrazek przedstawiający Tadź Mahal. To słynne mauzoleum znajdowało się w Indiach, gdzie po raz ostatni widziano profesora Polka. Nawet zanim pojawiła się ta dziewczynka, komandor zdecydował, że rozciągnie śledztwo na Indie, żeby tam zbadać ślady Polka. Ten tajemniczy rysunek jedynie utwierdził go w decyzji. W Indiach żyła jedna osoba, która mogła rzucić światło na naukowe poczynania Archibalda Polka.

Elizabeth stała przy otwartych drzwiach samochodu, obserwując niebo. Złożyła kłapkę telefonu komórkowego akurat w momencie, gdy Gray do niej dołączył.

- Udało mi się połączyć z doktorem Mastersonem - powiedziała. - To kolega ojca z uniwersytetu w Mumbaju. Ale on nie jest w Mumbaju, tylko w Agrze.

- A gdzie to jest? - dopytywał się Gray.

- W Indiach, to tam jest Tadź Mahal. Był akurat w świątyni, gdy zadzwoniłam.

Graj spojrział na odjeżdżającą toyotę. O co w tym wszystkim chodzi?

W górze nadal krążyły helikoptery. Ptaki odlatywały w przeciwne strony zwabione wystrzelonymi wabikami.

- Elizabeth, może będzie pani bezpieczniejsza, gdy zostanie pani w Stanach? - spróbował Gray po raz ostatni.

- Nie. Jadę z panem. Jak się pan przekona, doktor Masterson nie jest zbyt wylewny. Ale przynajmniej mnie zna i już czeka. Tylko ja mogę nakłonić go do współpracy.

Popatrzyli na siebie. Pierce zobaczył na jej twarzy determinację, strach i głęboki ból.

- Tu chodzi o mojego ojca - kontynuowała. - Muszę polecieć.

- A poza tym - odezwał się Kowalski z siedzenia kierowcy - będę miał na nią oko.

Cień uśmiechu pojawił się na jej twarzy.

- To chyba nie jest zbyt dobry układ? - szepnęła do Graya.

- Na pewno nie na dłuższą metę.

Gestem nakazał, by wsiadła do samochodu. Nie starał się jej przekonywać zbyt stanowczo, by nie leciała. Podejrzewał, że przyda mu się jej wiedza w trakcie śledztwa. Poza tym Polk celowo poszedł do miejsca pracy córki w Muzeum Historii Naturalnej. I to on załatwił jej staż w muzeum w Grecji. Jakoś to wszystko łączyło się z Delfami, ale w jaki sposób?

Luka też do nich dołączył. Usłyszał ostatnią część rozmowy.

- Też lecę z wami.

Gray skinął głową. Painter wszystko załatwił, tak by zapewnić sobie współpracę Luki. Gray nie miał nic przeciwko temu. Chciał mu zadać kilka pytań dotyczących jego związków z profesorem Polkiem. Przywódca Cyganów

wydawał się czymś zafrapowany. Komandor dostrzegł to w jego ciemnych oczach.

Poczyniwszy wszystkie ustalenia, Gray wsunął się na fotel pasażera z przodu. Luka i Elizabeth siedzieli z tyłu.

- Trzymajcie się mocno! - zawołał Kowalski. Wrzucił wsteczny, nacisnął mocno pedał gazu i z piskiem opon wycofał samochód z podjazdu.

W górze łoskot wirników helikopterów rozpląnął się w mroku nocy.

Monk szedł za trójką dzieci. Za nimi podążała jeszcze jedna istota, która dołączyła do nich w pobliżu niższego wjazdu. Ale to nie było dziecko. Kokkalis czuł jej wzrok na plecach.

Wspinali się po spiralnej klatce schodowej wykutej w skale wapiennej. Ze ścian kapąła woda, co sprawiało, że stopnie były śliskie. Schody były wąskie, użytkowe, najwyraźniej wybudowane dla obsługi. To była długa wspinaczka. Monk podtrzymywał Piotra.

Wcześniej, gdy były jeszcze syreny, dzieci poprowadziły swego towarzysza ścieżką, która biegła krawędzią grotu, do małego wjazdu. Za drzwiami znajdowały się schody, którymi teraz wspinali się na górę. Jeszcze na dole Amerykaninowi przedstawiono nieznaną uciekinierkę. Miała na imię Marta.

- Jesteśmy na górze! - zawołał Konstantin idący przodem, który jako jedyny miał latarkę. Wszyscy doszli na górę i skupili się wokół dorosłego. Najstarszy chłopiec klęknął koło stosu zapakowanych ubrań. Przed nimi mały tunel kończył się kolejnym wjazdem.

Konstantin pchnął paczkę w stronę Monka, a ten zaniósł ją pod wjazd, którego dotknął. Był ciepły.

Odwrócił się, gdy ostatni członek ich wyprawy wdrapał się po schodach i dotarł do tunelu. Przy wadze czterdziestu kilogramów i wzroście dziewięćdziesięciu centymetrów szła, podpierając się dodatkowo knykциями. Jej ciało porastało miękkie, ciemne futro, poza gładką twarzą, dłońmi i stopami. Sierść wokół jej twarzy posiwiała.

Konstantin twierdził, że szympanśca miała ponad sześćdziesiąt lat.

Spotkanie dzieci i małpy przy niższym wjeździe było bardzo serdeczne. Szympanśca objęła każde dziecko i przytuliła w opiekuńczy, matczyński sposób.

Monk musiał przyznać, że jej obecność trochę uspokoiła dzieci. Nawet teraz krzątała się koło nich, dotykała ich i cicho coś pohukiwała. Najmłodszemu Piotrowi poświęciła najwięcej uwagi. Wydawało się, że ta para ma jakiś dziwny sposób porozumiewania się. To nie był język migowy, raczej język ciała obejmujący delikatne dotknięcia, strojenie min, długie spoglądanie sobie nawzajem w oczy. Chłopiec, zmęczony długą wspinaczką, nabierał sił od kontaktu z małpą.

Konstantin podeszedł do wjazdu. Wręczył Kokkalisowi małą plastikową oznakę i pokazał mu, jak się ją przypina do ogrodniczek.

- Co to jest?

Konstantin skinął głową w stronę zapieczętowanego wjazdu.

- To jest przyrząd do mierzenia... poziomu radioaktywności. Monk spojrzał na drzwi. Promieniotwórczość? Co znajdowało się za tymi drzwiami? Przypomniał

sobie ciepło, które poczuł, gdy przyłożył dłoń do włazu. W jego mózgu powstał obraz zrytego krajobrazu, terenu zamienionego w pustynię i żwirowisko.

Gdy wszyscy byli gotowi, Konstantin podszedł do włazu i pociągnął mocno za dźwignię. Drzwi zachrzęściły i otwarły się.

Powitał ich oślepiający blask światła, czuli się, jakby patrzyli w ogień pieca hutniczego. Monk zasłonił oczy przedramieniem. Dłuższą chwilę zabrało mu zorientowanie się, że widzi wschodzące słońce. Wyszedł na powierzchnię z dziećmi.

Krajobraz nie przypominał płaskowyzu wysypanego żużlem, jak się tego obawiał.

Wokoło było pięknie.

Właz otwarł się na zalesione zbocze pełne brzoź i olch. Liście na drzewach zaczęły się przebarwiać. Z boku płynął strumień omywający omszałe kamienie. W oddali rozciągały się niewysokie góry, nakrapiane jeziorkami świecącymi jak kropelki wody.

Opuścili piekło i znaleźli się w raju.

Ale piekło jeszcze z nimi nie skończyło.

Z tunelu pod nimi dotarło do nich echo dziwnego wycia. Ten sam odgłos zwierzęcy dobiegał z ogrodzonego murem kompleksu przylegającego do szpitala.

Z menażerii.

Rozległ się skowyt jeszcze dwóch zwierząt.

Nie musiał nawet słuchać Konstantina, żeby się pospieszyć.

Monk rozpoznał to, co usłyszał, pomogła mu w tym ta część jego mózgu, gdzie nadal istniały głęboko ukryte instynkty drapieżnika i ofiary.

Dotarło do nich echo kolejnego skowytu.

Głośniejsze i bliższe.

Rozpoczęło się polowanie.

6 września, 04.55
Waszyngton, D.C.

Stanowiła wielką tajemnicę w bardzo małym opakowaniu.

Painter przyglądał się dziewczynce przez szybę. Wreszcie zasnęła. Kat Bryant czuwała przy jej łóżku z egzemplarzem książki doktora Seussa Zielone jajko i szynka. Czytała dziewczynce, aż zaczęły działać środki uspokajające i mała zasnęła.

Dziecko nie powiedziało ani słowa od chwili, gdy dotarli tu około północy. Przyglądała się wszystkiemu, co się wokół niej działo, ale sama na nic nie reagowała. Większość czasu spędziła, bujając się w przód i w tył. Wystarczyło jej dotknąć, a natychmiast sztywniała. Napiała się jedynie soku z kartonu i zjadła dwa herbatniki posypane pokruszoną czekoladą. Przeszła wstępne badania medyczne: wykonano analizę krwi, badanie ogólne oraz obrazowanie rezonansem magnetycznym całego ciała. Miała tylko trochę podwyższoną

temperaturę.

Podczas badania ogólnego odnaleźli mikroprzebieżnik wstrzyknięty głęboko w ramię. Usunięcie nadajnika wymagałoby operacji chirurgicznej, więc zrezygnowali z tego pomysłu. Poza tym sygnał był tutaj całkowicie izolowany i nikt nie mógł go wykryć.

Kat poruszyła się i wstała. Ubrana była w swobodny strój, jej kasztanowe włosy kontrastowały z białą bawełnianą luźną bluzką wypuszczoną na jasnobrązowe spodnie. Została wezwana do centrum dowodzenia prosto z domu w celu nadzorowania operacji w terenie, ale skoro zespół Graya był jeszcze w powietrzu, poczuła, że będzie bardziej potrzebna tutaj. Sama miała małą córeczkę, której czytała książkę doktora Seussa. Choć dziewczynka nie reagowała na czytanie, to jednak uspokoiła się trochę przy Kat. Jej kiwanie nieco zwolniło.

Painter cieszył się, że Kat jest z powrotem w pracy. Po stracie męża, Monka, przez wiele tygodni nie mogła dojechać do siebie. Teraz wydawało się, że smutek ją powoli opuszcza i będzie mogła znowu wrócić do zajęć.

Wychodząc z pokoju, Kat zamknęła za sobą drzwi i znalazła się z Painterem w pokoju obserwacyjnym. Wygodne fotele z zagłówkami otaczały stół konferencyjny.

- Zasnęła - poinformowała z ulgą Kat, usiadła w fotelu i odprężyła się.

- Może ty też powinnaś się zdrzemnąć? Samolot Graya dopiero za kilka godzin wylądaje w Indiach.

Skinęła głową.

- Zadzwoń do opiekunki, która pilnuje Penelope, a potem faktycznie położe się na kilka godzin.

Drzwi prowadzące do holu głównego otworzyły się i stanęła w nich Lisa Cummings i tutejszy główny specjalista medycyny sądowej - Malcolm Jennings. Obydwoje ubrani byli w jednakowe niebieskie stroje chirurgiczne i białe laboratoryjne fartuchy. Rozmawiali ze sobą po cichu, lecz z ożywieniem. Lisa trzymała ręce w kieszeniach fartucha, ciągnąc go w dół, co u niej stanowiło oznakę koncentracji. Długie blond włosy miała upięte we francuski kok. Para lekarzy ostatnią godzinę analizowała wyniki badań w sali, gdzie przeprowadzano obrazowanie rezonansem magnetycznym.

Ich podekscytowana wymiana zdań - pełna medycznego żargonu, kompletnie niezrozumiałego dla laika - sugerowała, że doszli do jakichś wniosków, choć raczej nie osiągnęli pełnej zgodności.

- Neuromodulacja na taką skalę bez neuroglejowego wzmocnienia komórkowego? - powątpiewała Lisa, potrząsając głową. - Stymulacja jąder podstawy to może faktycznie być to.

- Czyżby? - odezwał się Painter, przyciągając ich uwagę. Lisa chyba dopiero teraz spostrzegła Paintera i Kat. Wyjęła ręce z kieszeni. Delikatny uśmiech wygładził jej twarz, gdy spotkały się ich spojrzenia. Przechodząc obok Paintera, lekko przeciągnęła ręką po jego plecach. Usiadła w fotelu.

- Jak się czuje nasza pacjentka? - zapytał Malcolm, siadając w ostatnim wolnym fotelu.

- Wreszcie zasnęła - odpowiedziała Kat.
- Czego się dowiedzieliśmy? - zainteresował się Painter.
- Poruszaliśmy się po obszarach medycyny zarówno nowych, jak i starych - zaczął tajemniczo Malcolm. Założył okulary z niebieskawymi soczewkami do pracy przy komputerze. Otworzył laptop, który przyniósł. - Połączyliśmy skany MRI dziecka z moją analizą czaszki. Urządzenia są identyczne, choć to wszczepione dziecku jest bardziej zaawansowane.

- Co to za urządzenia? - zapytała Kat.
- Sądźmy, że to generatory TMS - odpowiedział Malcolm.
- Transmózgowe magnetyczne stymulatory - rozwinęła skrót Lisa, choć i to niewiele pomogło słuchaczom w zrozumieniu.

Painter i Kat wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Czy możecie zacząć jeszcze raz od początku? - poprosił Painter. - I mówcie jakimś zrozumiałym dla zwykłych ludzi językiem.

- No dobrze, to zaczniemy od tego miejsca, od ludzkiego mózgu - zaczął Malcolm. - Znajduje się w nim trzydzieści miliardów neuronów. Każdy neuron komunikuje się ze swoimi sąsiadami za pomocą licznych synaps, tworząc w przybliżeniu trylion połączeń. Te połączenia dla odmiany tworzą niezliczoną liczbę obwodów nerwowych. Nie przesadzę, jeśli powiem, że jest to liczba sięgająca dziesiątki z milionem zer.

- Milion zer? - spytał z niedowierzaniem Painter.

- Dla porównania łączna liczba atomów w całym wszechświecie to zaledwie dziesiątka z osiemdziesięcioma zerami - dodał Malcolm.

Painter był bardzo zaskoczony.

- Jak widać, nasze mózgi mają olbrzymi potencjał obliczeniowy, a my dopiero zaczynamy pojmować ich pracę. - Skinął głową w kierunku okna. - Ale ktoś gdzieś zaczął zgłębiać ten problem.

- A konkretnie? - zapytała Kat, która zaczęła obawiać się o los dziewczynki.

- Z naszym obecnym poziomem technologii robiliśmy zaledwie małe przymiarki do rozpoznania tego nowego obszaru. Porównując nasze działania do wysyłania próbników w kosmos, udawało nam się zaledwie podłączać elektrody do mózgu. Wszelka komunikacja z mózgiem odbywa się na drodze wymiany impulsów elektrycznych. My nie widzimy oczyma, tylko mózgiem. To dlatego implanty ślimakowe przywracają głuchym słuch. Implant zmienia dźwięk w impulsy elektryczne, które są przesyłane do mózgu mikroelektrodami umieszczonymi w nerwie słuchowym. Po pewnym czasie kora mózgowa uczy się interpretować nowe sygnały, jakby uczyła się nowego języka, i głusi zaczynają słyszeć. - Mózg ludzki, będąc urządzeniem elektrycznym reagującym na nowe sygnały, ma wewnętrzną zdolność do łączenia się z maszynami. To sprawia, że w pewnym sensie jesteśmy naturalnymi cyborgami.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Painter, marszcząc brwi.

- Nie irytuj się. - Lisa ujęła jego dłoń. - Granica między człowiekiem a maszyną już zaczyna się rozmywać. Produkuje się tak małe mikroelektrody, że można je wsunąć do pojedynczych neuronów. W dwa tysiące szóstym roku na Uniwersytecie Browna wszczepiono mikrochip do mózgu sparaliżowanego

mężczyzny i podłączono go z setką takich mikroelektrod. Po czterech dniach ćwiczeń ten mężczyzna... jedynie siłą swoich myśli... potrafił ruszać kursorem komputerowym po ekranie, otworzyć skrzynkę e-mailową, włączyć telewizję internetową i poruszać ręką robota. O tyle właśnie przekroczyliśmy tę granicę.

- Ale ktoś posunął się jeszcze dalej? - zastanawiał się głośno Painter.

Lisa i Malcolm skinęli głowami.

- A to urządzenie? - drażył temat Painter.

- To krok dalej niż to, co do tej pory w ogóle widzieliśmy. Ma nanofilamentowe elektrody, tak niewiarygodnie cienkie, że trudno nawet powiedzieć, w którym miejscu kończy się urządzenie, a zaczyna mózg dziewczynki. Ale jego podstawowa funkcja jest doskonale znana. Z badań przeprowadzanych na Harvardzie na szczurach wiemy, że urządzenia TMS stymulują rozrost neuronów, choć, co jest dziwne, jedynie w obszarach odpowiedzialnych za uczenie się i pamięć. Nadal nie domyślamy się, dlaczego tak jest. Ale wiemy, że stymulacja magnetyczna może włączać i wyłączać te neurony. Dzieci są szczególnie podatne na takie manipulacje.

- Jeśli wszystko dobrze rozumiem, ktoś podłączył to urządzenie dziecku w celu stymulacji rozrostu neuronów w określonym obszarze mózgu i teraz może ten obszar kontrolować.

- Ogólnie mówiąc, tak to właśnie wygląda - przytaknął Malcolm. - One są podłączone bardzo głęboko do rozległej sieci nerwowej, którą wcześniej opisałem. Tyle że wykorzystując magnetyczną stymulację nowych neuronów, rozwinęli tę sieć. I jeśli mam rację, oni skupili się na rozwoju bardzo wąskiego obszaru.

- Skąd to wiesz?

- Jest takie prawo w neurologii. Prawo Hebba. Zgodnie z nim neurony, które ze sobą współpracują, wytwarzają między sobą lepsze połączenie. Stymulowanie jednego obszaru mózgu powoduje jego coraz większe wzmocnienie.

- Ale w jakim celu? - zapytał Painter.

Malcolm spojrzał na Lisę. Wolał, by ona to wyjaśniła. Lisa westchnęła.

- Rozmawiałam z psychologiem, Zachem Larsonem, który zbadał dziewczynkę, gdy ją tu przyprowadziliście. Biorąc pod uwagę brak jej reakcji na bodźce, powtarzalność zachowań i wrażliwość na stymulację, Zach wywnioskował, że jest to autystyczny sawant.

Painter też już zapoznał się z tym raportem. Został wprowadznie szybko sporządzony, ale był wyczerpujący. Larson przeprowadził kilka testów psychologicznych łącznie z badaniem typowych markerów autyzmu. Na wyniki tych ostatnich nadal czekali.

Do raportu dołączono informacje o autystycznych sawantach - ludziach, którzy choć mieli autystyczne zaburzenia, to byli geniuszami w pewnych wąskich dziedzinach. Ich umiejętności były bardzo głębokie, lecz ściśle ograniczone. Painter przypomniał sobie Dustina Hoffmana w filmie Rain Man. Bohater dokonywał obliczeń matematycznych z prędkością błyskawicy. Ale to była tylko jedna z umiejętności sawantów na liście Larsona. Inne obejmowały

obliczenia kalendarzowe, rewelacyjną pamięć, talenty muzyczne, umiejętności mechaniczne, wyjątkowe zdolności rozpoznawania zapachów, smaków, dźwięków, ale także talenty artystyczne.

Painter przypomniał sobie szkic Tadź Mahal. Powstał w ciągu kilku minut, w prawidłowych proporcjach, z doskonale zrównoważoną perspektywą. Dziewczynka była zdecydowanie utalentowana.

Ale czy miała jeszcze jakieś inne ukryte zdolności?

Ostatni na liście Larsona był rzadki i kontrowersyjny rodzaj talentu: niektórzy autystyczni sawanci przejawiali zdolności do postrzegania pozazmysłowego.

Painter nie mógł zaprzeczyć, że to właśnie rysunki dziewczynki sprowadziły Cyganów do ich bezpiecznego domu. Przypomniał sobie swoją wcześniejszą rozmowę z Elizabeth o pracach badawczych jej ojca nad intuicją i instynktem, o jego powiązaniach z supertajnym rządowym projektem dotyczącym jasnowidzenia.

Lisa kontynuowała swoje sprawozdanie.

- Sądzymy, że to urządzenie służy do stymulowania obszaru mózgu, w którym znajduje się ośrodek odpowiedzialny za dany talent. Najbardziej niezwykle uzdolnienia sawantów zlokalizowane są w prawej półkuli, a więc po stronie, gdzie właśnie wszczepiono to urządzenie dziewczynce. Wykorzystując dzisiejszą technikę, można wykryć w mózgu człowieka obszar odpowiedzialny za konkretne genialne umiejętności. I gdy taki obszar zostanie zlokalizowany, to dołączone urządzenie zarówno rozwija ten talent, jak i całkowicie go kontroluje.

Painter wstał, a na jego twarzy malowało się przerażenie. Jeśli Lisa i Malcolm mieli rację, to ktoś wpływał na umiejętności tego dziecka. Podszedł do okna w ścianie.

Kto był zdolny do zrobienia czegoś takiego dziecku?

Kat stanęła obok Paintera.

- Obudziła się.

Dziewczynka znowu rysowała.

Znalazła notatnik i czarny pisak na nocnym stoliku. Rysowała małżonkami, ale nie tak chaotycznie jak wcześniej. Skoncentrowana pochylała się nad notatnikiem.

Kat ruszyła do drzwi. Painter za nią.

Dziewczynka zupełnie nie zwracała na nich uwagi, ale gdy tylko przekroczyli próg, upuściła notatnik i pisak na pościel. I znowu zaczęła się kołysać.

Kat spojrzała na rysunek, zrobiła krok w tył i załkała. Painter zrozumiał jej reakcję. Trudno byłoby się pomylić i nie rozpoznać twarzy, która widniała na portrecie.

To był mąż Kat - Monk.

11.04

Południowy Ural Federacja Rosyjska

Monk pomógł Piotrowi przejść po powalonym pniu łączącym brzegi głębokiego strumienia, na którego dnie leżały głazy. Na drewnie wyrósł mech i kilka dużych białych grzybów. Cała okolica pachniała wilgocią.

Kiska była już na drugim brzegu, czekając tam z Martą, którą trzymała za łapę. Monk chciał jak najszybciej znaleźć się za kolejnym wzniesieniem i ukryć w sąsiedniej dolinie. Zeskoczył z drzewa i spojrzał za siebie. Przecinali gęsty brzozowy las, którego białe pnie wyglądały jak wyschnięte kości. Liście już zaczynały żółknąć.

Kokkalis podniósł jeden z opadłych liści i roztarł go w dłoni. Nadal były elastyczne, jeszcze nie wyschły. Wczesna jesień. Ale przebarwiająca się liście zapowiadały chłodną noc w górach. Przynajmniej nie będzie padał śnieg. Odrzucił na ziemię zgnieciony listek.

Skąd ja to wszystko wiem?

Pokręcił głową. Odpowiedzi na te pytania będą musiały poczekać. Czuł się jednak zaniepokojony tym, jak szybko przyzwyczajał się do istnienia rozdźwięku między brakiem pamięci a swoją rozległą wiedzą o przyrodzie. Ale teraz nie czas na rozmyślenia, przecież na nich polowano. Musieli poruszać się cicho, bo w górach dźwięk niesie się daleko. Porozumiewali się więc szeptem i na migi.

Monk obserwował odległe brzegi strumienia. Uciekali już trzy godziny. Obrali ostre tempo, próbując oddalić się od miejsca, w którym opuścili podziemny świat. Nie wiedział, po jakim czasie myśliwi zorientują się, że trzeba ich ścigać poza kompleksem.

Czekał na brzegu strumienia.

Ale gdzie jest Konstantin?

Nagle chłopiec pojawił się, zbiegał z odległego wzniesienia, jakby był żrebakiem. Gdy zbliżył się do brzegu strumienia, Monk zobaczył, że chłopiec jest wystraszony. Wchodząc na śliski pień, rozłożył ręce na boki.

- Udało mi się! - powiedział. Ciężko dysząc, zeskoczył z pnia i wylądował obok Kokkalisa. - Pana koszulę szpitalną wrzuciłem do strumienia w sąsiedniej dolinie. Za tamą zrobioną przez bobry. Tak jak pan mi kazał.

Monk skinął głową. Jego szpitalna koszula była poplamiona krwią i przepocona. Jedno z dzieci zabrało ją z jego pokoju, gdy się przebrał. To było bardzo mądre. Gdyby zostawili koszulę, to ci, którzy go przetrzymywali, od razu by się domyślili, że zmienił ubranie.

Przydała się też do pozostawienia fałszywego śladu. Jeszcze bardziej nasączył koszulę swoim zapachem, wycierając nią spocone czoło i pachy. Zrobił to samo z dziećmi i z szympansię. Im więcej intensywnych zapachów zmiesza się ze sobą, tym trudniej będzie podjąć ślad. Miał nadzieję, że zapach rozniesiony przez przepocone ubranie skieruje szukających w przeciwną stronę.

- Pomóż mi - poprosił Konstantina i pochylił się nad pniem, po którym przeszli na drugi brzeg strumienia.

Zaczęli bujać pniem, ale nie zdołali zepchnąć go do wody. Monk poczuł chuchnięcie na policzku. Odwrócił się i zobaczył, że Marta zapiera się

ramieniem o pień. Szympanicą jednym pchnięciem zsunęła kawał drewna do strumienia. Była silna. Rozległ się głośny plusk, pień wypłynął na powierzchnię i popłynął z nurtem. Im więcej sposobów zatarcia po sobie śladów, tym lepiej, pomyślał Monk.

Zadowoleni ruszyli dalej.

Konstantin utrzymywał tempo, ale Kiska i Piotr bardzo się męczyli. Droga wiodła pod górę. Monk i Marta pomagali mniejszym dzieciom, ciągnąc je za ręce w trudniejszych momentach. W końcu dotarli na szczyt wzniesienia. Przed sobą zobaczyli łańcuchy wzgórz rozchodzące się we wszystkich kierunkach. Większość była porośnięta lasami, tylko gdzieniegdzie pojawiały się łąki. Po lewej, niedaleko miejsca, w którym stali, ujrzeli rozległą srebra plamę wielkiego jeziora.

Monk zrobił krok w jego kierunku. Koło takiego jeziora powinni mieszkać jacyś ludzie, ktoś, kto mógłby im pomóc. Konstantin złapał go za łokieć.

- Nie możemy tam iść. Tam jest tylko śmierć. - Drugą ręką ścisnął przyczepiony do paska dozometr.

W takiej soczystej zielonej okolicy Monk zapomniał o tym zagrożeniu. Podniósł swój dozometr. Jego powierzchnia była biała, ale gdyby wzrastało promieniowanie, kolor zmieniłby się na różowy, potem czerwony, bordowy, a na końcu na czarny.

Fotograficzne obrazy przeskoczyły mu przed oczami.

...śmiejące się niebieskie oczy, malutkie paznokietki...

I po chwili znowu pustka.

Pękała mu głowa. Dotknął delikatnej linii szwu przez wełnianą czapkę. Konstantin, mrużąc oczy, patrzył na niego zatroskany.

Kiska, która, jak się okazało, była siostrą Konstantina, przyłożyła ręce do brzucha.

- Jestem głodna - wyszeptła, jakby bała się, że ktoś usłyszy, lub też nie chciała okazywać słabości.

Konstantin zmarszczył brwi, ale Monk wiedział, że muszą jeść, by zachować siły. Po panicznej ucieczce musieli przez chwilę zastanowić się nad dalszą strategią działania. Monk popatrzył w stronę jeziora.

Tam jest tylko śmierć.

Powinien lepiej zrozumieć sytuację, w której się znaleźli.

- Już niedługo znajdziemy kryjówkę, gdzie będziemy mogli zjeść - powiedział Monk.

Ruszył do następnej doliny. Woda spływała kaskadami do małych stawów znajdujących się na wypłaszczeniach terenu wśród pochyłości. Wokół było kilkanaście wodospadów i katarakt. Powietrze pachniało piaskiem i wilgocią. W połowie drogi ze wzgórza napotkał obrosniętą paprociami skałę, która w wyniku erozji utworzyła nawis i małą grotę. Monk zaprowadził do niej dzieci.

Schronili się i otwarli torby. Podzielili się batonami proteinowymi i butelkowaną wodą.

Monk przeszukał swoją torbę. Żadnej broni, ale za to znalazł mapę topograficzną. Rozwinął ją na ziemi. Nagłówek był napisany cyrylicą.

Konstantin przysunął się do niego; rozgryzał batonik o smaku orzeszków ziemnych. Monk zauważył, że góry na mapie są w wielu miejscach oznaczone małymi krzyżykami.

- Kopalnie - wyjaśnił Konstantin. - Kopalnie uranu. - Przesunął palcem po nagłówku i zatoczył ręką koło. - Południowy Ural. Obwód Czelabiński. Centrum fabryk starej broni. Bardzo niebezpiecznie.

Chłopiec pokazywał palcem na mapie miejsca z symbolami zagrożenia radioaktywnością.

- Dużo otwartych kopalni, stare zakłady radiochemiczne i przetwarzania plutonu, miejsca składowania odpadów radioaktywnych. Wszystkie zamknięte poza jednym lub dwoma. - Machnął ręką, by pokazać, że znajdują się daleko od nich.

Monk zamruczał i pokręcił głową, patrząc na symbole oznaczające promieniotwórczość.

- Ja chciałem się tylko dowiedzieć, gdzie teraz się znajdujemy.

- Bardzo niebezpiecznie, da - ostrzegł Konstantin i wskazał ręką w kierunku wielkiego jeziora, niewidocznego z ich kryjóWKi. - Jezioro Karaczaj. Płynne wysypisko śmieci dla starego kompleksu atomowego Majak. Stoisz przez godzinę na brzegu i tydzień później nie żyjesz. Musimy je obejść.

Konstantin pochylił się nad mapą i postukał w centralne skupisko kopalni i zakładów przetwórczych paliwa jądowego.

- Wyszliśmy stąd. To jest Warren. Podziemne miasto, Czelabińsk Osiemdziesiąt Osiem. Tu mieszkało tysiące więźniów, którzy pracowali w kopalniach. To jedno z wielu takich miejsc.

Monk wrócił pamięcią do bloków, które widział w jaskini. Oczywiście ktoś znalazł nowy sposób na wykorzystanie opuszczonego kompleksu.

Konstantin mówił dalej.

- Musimy obejść jezioro Karaczaj, ale niezbyt blisko. - Spojrzał na Amerykanina, żeby upewnić się, czy zrozumiał. - Co oznacza, że trzeba przejść przez bagna Asanow, by dotrzeć tutaj.

Chłopiec przytrzymał palec nad oznaczeniem kopalni po drugiej stronie jeziora.

Monk nie zrozumiał. Czyż nie powinni stąd uciekać, znaleźć kogoś, kto mógłby im pomóc?

- A co tam jest? - zapytał Monk, wskazując na oznaczenie kopalni.

- Musimy ich powstrzymać. - Konstantin popatrzył na Piotra, który tulił się do Marty na mchu.

- Kogo powstrzymać?

Uratuj nas, przypomniał sobie słowa malca Monk. Konstantin odwrócił się do niego.

- Dlatego właśnie zabraliśmy cię z sobą.

General-major Sawina Martowa gniewnie patrzyła na dzieci. Zebrano je w auli szkolnej. Na ścianie za jej plecami na wielkim monitorze ciekłokrystalicznym pojawiło się zdjęcie Amerykanina.

- Czy ktoś widział tego mężczyznę włóczącego się dziś wcześniej rano? Mógł być ubrany w szpitalną koszulę.

Dzieci patrzyły na nią bez wyrazu. Bardzo wcześnie wyciągnięto je z łóżek w internacie. Ponad sześćdziesięcioro dzieci siedziało w ławkach według kolorów swoich koszul. Dzieci w białych koszulach zajęły miejsca zupełnie z tyłu - miały odpowiedni genotyp, ale brakowało im jakiegokolwiek talentu. Te w szarych koszulach siedziały w środku; wykazywały pewien poziom utalentowania, ale nic szczególnego.

Zupełnie inaczej niż dzieci w przednich ławkach.

One miały na sobie czarne koszule. Dzieci Omega. Rzadko spotykane dzieci wyróżniające się niezwykłymi talentami. Najlepsza dwunastka, specjalnie wyselekcjonowana, by służyć Nikołajowi w trudnych czasach, które nadejdą. Miały być kręgiem jego najbliższych współpracowników - radą, na której czele stanie Sawina.

Nikołaj przyprowadził matkę o zgryzotę. Urodził się jako biała koszula. Genetyczna mieszanka. Sawina zapłodniła się in vitro nasieniem z pierwszej generacji. Zależało jej na tym i otrzymała odpowiednie wynagrodzenie. Zrobiła to w czasach, gdy jeszcze nie wiadomo było o dziedziczeniu. Poród przebiegał z komplikacjami i Sawina nie mogła mieć więcej dzieci. Jednakże znalazła cel dla Nikołaja - taki, jaki przyniesie prawdziwe i trwałe zmiany w rzeczywistości. Do tego właśnie dążyła w pracy po urodzeniu Nikołaja.

I byli już tak blisko.

Popatrzyła na rząd czarnych koszul.

I na dwa puste siedzenia Dzieci Omega.

Jedno z nich uciekło minionej nocy.

Piotr.

Jego siostra zniknęła w tym samym czasie w zoo w Ameryce. Jurij nie wiedział, co się stało. Zamilkł, nie odpowiadał nawet na transmitowany kod alarmowy.

Działo się coś dziwnego.

Głos Sawiny stał się ostrzejszy.

- Czy nikt nie widział Konstantina, Kiski albo Piotra, jak wychodzili z internatu? Nikt?

Napotkała pozbawione wyrazu spojrzenia.

Z tyłu sali ktoś się poruszył. Mężczyzna przypominający wyglądem ropuchę wszedł na salę i skinął jej głową. Porucznik Borsakow, jej zastępca. Miał na sobie zwykły szary mundur i wojskową czapkę. Zwróciła się do trójki nauczycieli stojących z boku.

- Proszę zaprowadzić dzieci do internatu. Mają być pilnowane aż do zakończenia postępowania.

Weszła po schodach i opuściła salę, ciągnąc za sobą Borsakowa.

Przestraszony mężczyzna ze śladami po ospie na twarzy sięgał jej jedynie do ramion, co najzupełniej odpowiadało Sawinie. Lubiła mężczyzn niższych od siebie. Czasem łapała go na tym, że spogląda na nią pożądliwie. To też jej odpowiadało.

Szedł o krok za nią, gdy zbliżali się do wyjścia ze szkoły. Już na zewnątrz zobaczyła, że stoją tam dwaj jego ludzie. Jeden z nich trzymał na smyczy mieszańca wilczarza i wilka syberyjskiego, który warczał i podwijał wargi, ukazując dwa rzędy ostrych zębów. Strażnik ściągnął smycz, przywołując zwierzę do porządku.

Sawina obesza bestię szerokim łukiem. Potężnie umięśniony pies sięgał Borsakowowi prawie do klatki piersiowej. Zwierzę zostało wyhodowane w ich ośrodku badawczym, potocznie określanym menażerią. Właśnie tam eksperymentowali z nowymi implantami i testowali różne ich zastosowania, wykorzystując wysoko rozwinięte ssaki: psy, koty, świny, owce, szympansy. Ośrodek służył także jako zoo dla wioski. Odkryli, że dzieci nawiązują kontakt ze zwierzętami i ta wzajemna więź stabilizuje je psychicznie. Może ten kontakt nie odbywał się całkowicie na płaszczyźnie człowiek-zwierzę, ale także implant-implant, na zasadzie wspólnoty.

Nawet ten wilk miał chirurgicznie wszczepione urządzenie do kontroli zachowania.

Stalowa płyta pokrywała podstawę czaszki psa i była przymocowana do niej śrubami z tytanu i połączona z mózgiem. Wystarczyło nacisnąć przycisk na radioprzełączniku, a pies natychmiast odczuwał ból albo przyjemność; można było zwiększyć jego agresję albo go uspokoić; wyostrzyć lub przytępić zmysły.

- Co znaleźliście, poruczniku?

- Dzieci opuściły grotę. Przeszukaliśmy całą wioskę, nawet opuszczone osiedle i dopiero gdy zrobiliśmy większe koło, psy podjęły trop wzdłuż muru odgradzającego ośrodek ze zwierzętami. Prowadził do jednego z wjazdów.

- Czyli są na zewnątrz?

- Sądzimy, że jest z nimi ten Amerykanin ze szpitala. Ślad dzieci prowadzi ze szpitala.

Ta informacja świadczyła, że Amerykanin nie uciekł i nie porwał dzieci. Wyglądało na to, że było zupełnie odwrotnie. To dzieci musiały mu pomóc w ucieczce.

Ale po co?

Co takiego było w tym człowieku?

To pytanie dręczyło Sawinę od pierwszego dnia, kiedy pojawił się tu ten mężczyzna. Dwa miesiące wcześniej wywiad rosyjski został poinformowany, że jakiś statek pasażerski został uprowadzony na wodach przybrzeżnych Indonezji. Szukały go służby wywiadowcze całego świata. Poproszono ją, by jej wychowankowie wykryli miejsce zakotwiczenia jednostki. To był test dla jej działań. I zdała go doskonale. Po stymulacji cała dwunastka dokładnie wskazała wyspę, u której brzegów cumował statek. Natychmiast wysłano rosyjski okręt podwodny, by zbadał to miejsce, i po wypłynięciu do laguny jego załoga odkryła, że statek właśnie tonie.

To było wielkie zwycięstwo - ale Sasza dalej rysowała z zapalem, tak że niemal spaliła swój implant. Stworzyła z tuzin rysunków przedstawiających tonącego mężczyznę ciągniętego w głąbinę przez jakąś sieć. Wierząc, że jest to istotne, Sawina powiadomiła kapitana okrętu podwodnego. Okazało się, że nurkowie już byli w wodzie.

Znaleźli jakiegoś zaplątanego w sieć i ledwie przytomnego mężczyznę. Popłynęli w jego kierunku, wcisnęli mu respirator do ust i zabrali go na pokład okrętu podwodnego.

Sawina poprosiła, by mężczyznę dostarczono do jej ośrodka. Po ocknięciu się w Czelabińsku 88 mężczyzna twierdził, że jest jednym z elektryków na statku. Podczas przesłuchania nie sprawiał wrażenia zbyt inteligentnego, zwykły przestraszony i wygolony facet z prymitywnym słownictwem i bez jednej ręki. Sasza też przestała się nim interesować. A także reszta grupy Omega.

To wszystko nie miało żadnego sensu, nieznanemu mężczyźnie sprawiał tylko kłopoty, jednego dnia złapano go, gdy wystukiwał coś w rękaw, do którego miał wcześniej podłączoną zgubioną sztuczną dłoń. Nie wiedzieli, co robi ani co to za sygnał, ale na wszelki wypadek chirurgicznie usunięto mu ten rękaw.

Po upływie kilku tygodni Sawina uznała, że intensywność reakcji Saszy była jedynie przejawem dziecięcej wrażliwości i strachu o życie tonącego. Przekazała Amerykanina pod opiekę grupie badawczej w menażerii. Właśnie zajmowali się zagadnieniem pamięci, więc żyjący człowiek jako materiał doświadczalny był dla nich jak znalazł.

Sawina przyglądała się operacjom na jego mózgu.

Co oni z nim robili...

Nadal ciarki ją przechodziły, gdy o tym pomyślała.

A teraz zniknął wraz z bratem Saszy. W co grały te dzieciaki?

Nie miała najmniejszego pojęcia, a z powodu opóźnienia w realizacji własnych planów nie zamierzała poświęcać czasu na rozmyślanie.

- Jakie rozkazy, pani generał?
- Przeszukać powierzchnię.
- Wezmę psy - odpowiedział szybko.
- Nie tylko psy.

Borsakow patrzył na nią skupiony. Zrozumiał już, co się stanie.

- Pani generał? A co z dziećmi?

Nie miała już czasu na subtelne działania. Nadal pozostawało dziesięcioro dzieci. Tyle jej wystarczy.

- Wypuść koty.

11.45

Piotr siedział między nogami Marty. Obejmowała go silnymi, ciepłymi ramionami. Nie lubił, jak ktoś go dotyka, ale jej na to pozwalał. Słyszał szum jej oddechu, czuł bicie jej serca na plecach. Znał Martę od urodzenia. Znał dotyk

łap szympanscy. Po pierwszej operacji Piotra przyprowadzono małpę do jego pokoju.

Pamiętał jej wielką dłoń. Przestraszył się prawie na cały dzień, ale ona pozostała przy nim, patrzyła na niego z głową opartą o brzeg łóżka. W końcu wyciągnął do niej rękę. Palcami dotykał bruzd na jej łapie. Patrzyła na niego z czułością wielkimi brązowymi oczami. Długie palce jej dłoni zacisnęły się na jego palcach.

Chłopiec wiedział, co to znaczy. To była obietnica.

Inne dzieci mogły się z nią bawić, wyplakiwać się w jej ramionach, przesiadywać z nią przez całe noce... ale tego ranka Piotr poznał prawdę. Ona miała sekrety, które dzieliła tylko z nim.

Objęty przez nią spoglądał w las. Czasem wyprowadzano ich na powierzchnię z nauczycielami, by posiedzieli w lesie w ciszy. Ale Piotr nadal bał się lasu. Wiatr szumiał wśród drzew, uginając gałęzie i podrywając opadające liście. Chłopiec przyglądał się liściom i wiedział, że coś się wydarzy.

Z czegoś zdawał sobie sprawę. Wtulił się bardziej w ramiona Marty, byle dalej od liści. Serce zaczęło bić mu szybciej, cały świat wyblakł, oprócz liści. Opadały, wirowały, tańczyły w powietrzu... przerażały...

Marta zahukała mu do ucha. Coś złego się stało?

Chłopiec drżał. Serce podeszło mu do gardła, uderzało ostrzegawczo; spadało coraz więcej liści. Szukał wzrokiem prześwitu między nimi. Konstantin powiedział mu kiedyś, że potrafi bardzo szybko mnożyć w pamięci.

Każda liczba ma swój kształt... nawet te największe, najdłuższe liczby mają kształt. Gdy obliczam, patrzę na puste miejsca między tymi liczbami. Przerwa też ma swój kształt, utworzony przez brzegi tych dwóch liczb. I ta pusta przestrzeń też jest liczbą. A ta liczba jest właśnie odpowiedzią.

Piotr nie rozumiał tego do końca. Nie potrafił tak liczyć jak Konstantin, nie umiał rozwiązywać zagadek jak Kiska i nie mógł widzieć tak daleko jak jego siostra. Ale Piotr nie znał nikogo, kto potrafi robić to, co on.

Potrafił czytać z serc... różnych serc.

Dużych i małych.

Coś się do nich zbliżało, coś z ciemnym i głodnym sercem. Piotr wypatrywał tego czegoś wśród opadających liści, a jego małe serce uderzało jak młot.

Na czole pojawiły mu się kropelki potu. Świat stał się opadającymi liśćmi wypełniającymi puste miejsca między tymi, które już opadły, wirującymi i zatrzymującymi się w odpowiednich miejscach. W oddali usłyszał głos Konstantina, który wołał jego imię.

Ramiona Marty objęły go mocniej - nie broniły go przed innymi, ale zapewniały mu bezpieczeństwo. Ona też знаła jego serce.

On coś widział. Coś wiedział. Coś nadchodziło.

Wypełnił przestrzeń między liśćmi czernią i cieniem, zębami i pomrukiem, odbiciem potężnych łap o twardą ziemię. Widział, co nadchodzi.

CZEŚĆ DRUGA

8

6 września, 12.05
14 630 m nad Morzem Kaspijskim

Dwie godziny do lądowania.

Gray spoglądał przez okno samolotu Bombardier Global Express XRS. Dzień szybko minął, gdy prywatny odrzutowiec przecinał niebo. Podczas podróży byli świadkami wschodu słońca, jego podróży po nieboskłonie i zachodu za ogonem samolotu. Po locie z ponaddźwiękową prędkością będą chyba lądować na oparach paliwa. Ten zmodyfikowany firmowy samolot ofiarował Sigmie

miliarder inwestujący w rozwój aeronautyki, Ryder Blunt, za udzieloną mu pomoc. Za sterami siedziało dwóch pilotów Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, którzy obiecali, że dostarczą ich do Indii wczesnym popołudniem czasu lokalnego.

Gray spojrzął na grupę zebraną wokół tekowego stołu. Pozwolił wszystkim na sześć godzin snu, ale i tak w większości wyglądali na wyczerpanych. Kowalski nadal leżał na rozłożonym fotelu i chrapał. Nie było powodu, żeby go budzić. Zresztą wszyscy mogli jeszcze pospać.

Jedyną osobą która już nie spała i w skupieniu zapoznawała się z zawartością teczki leżącej przed nią na stole, była nowa członkini ich małej grupy. Była biegła w tych samych dziedzinach naukowych co Archibald Polk, czyli w neurologii i neurochemii, i pracowała dla Sigmy. Z tych właśnie powodów Painter dołączył ją do zespołu.

Doktor Shay Rosauro była średniego wzrostu, miała cerę koloru cynamonowej mokki, a jej ciemne bursztynowe oczy błyszczały złotymi odblaskami i niezwykłą inteligencją. Czarne włosy sięgające ramion przewiązała czarną opaską. Wcześniej służyła w lotnictwie wojskowym, więc może nawet sama potrafiłaby pilotować bombardiera. Ubrana była na modłę wojskową; zieloną koszulę wpuściła w spodnie koloru khaki z szerokim czarnym pasem, a na nogi włożyła solidne buty skórzane za kostkę.

Gray nigdy z nią wcześniej nie współpracował, ale zauważył, że prawdopodobnie ona już kiedyś spotkała Kowalskiego. Gdy go zobaczyła, zrobiła zdziwioną minę. Kowalski uśmiechnął się, objął ją na powitanie i wszedł do samolotu. Wchodząc za nim, odwróciła się do Graya z wyrazem twarzy, który mówił: Chyba żartujesz!

Wreszcie wszyscy się obudzili - komandor chciał, by członkowie zespołu wiedzieli mniej więcej tyle samo, zanim koła samolotu dotkną lotniska w Indiach, szczególnie na temat osoby, którą tam mieli spotkać.

- Elizabeth, czy może pani nam opowiedzieć o doktorze Haydenie Mastersonie? Na jakiej płaszczyźnie odbywała się współpraca pani ojca z tym profesorem z Mumbaju?

Elizabeth skinęła głową, powstrzymała ziewnięcie, dotykając dłonią ust, i poprawiła okulary na nosie.

- On tak naprawdę pochodzi z Oksfordu. Studiował psychologię i fizjologię, specjalizował się w technikach medytacyjnych i funkcjonowaniu mózgu. Mieszka w Indiach od trzydziestu lat i zajmuje się badaniem joginów i mistyków.

- Czyli jest to ta sama dziedzina zainteresowań co pani ojca? Elizabeth potwierdziła skinieniem głowy.

- Słyszałam o badaniach Mastersona - oświadczyła lekko zdziwiona Rosauro.

- On jest wyjątkowo inteligentny, choć trochę ekscentryczny, a niektóre jego teorie są kontrowersyjne. Jeden z pierwszych głosił plastyczność umysłu ludzkiego. Ta teoria była na początku odrzucana, ale czasy się zmieniły i teraz wszyscy ją akceptują.

- A co to jest ta plastyczność mózgu? - zapytał Gray.

- Jeszcze kilka lat temu neurologia trzymała się starej zasady, że mózg nie jest modyfikowalny i ma stałe, przypisane obszary odpowiedzialne za dane funkcje. Czyli jedna lokalizacja, jedna funkcja. Przez ostatnie dwadzieścia lat celem badań neurologów było zmapowanie każdego obszaru mózgu i ustalenie, czym się on zajmuje. Skąd bierze się mowa, która część mózgu jest odpowiedzialna za słuch, które neurony pozwalają na czucie lewą ręką albo która część kontroluje zmysł równowagi.

Gray skinął głową.

- Teraz wiemy, że mózg jest modyfikowalny i że te mapy mózgu mogą ulegać zmianom. Innymi słowy, mózg jest plastyczny. To pozwala na wytłumaczenie, dlaczego tak wiele ofiar udarów mózgu odzyskuje kontrolę nad sparaliżowanymi kończynami po tym, jak część ich mózgu została zniszczona. Mózg sam przenosi szwankujące funkcje w inne obszary.

- Doktor Masterson rozciągnął swe badania na joginów. Rozpatrując ich zdolności do kontrolowania metabolizmu i przepływu krwi, szukał dowodów na to, że mózg nie tylko potrafi się zmieniać, ale można go także wytrenować. Chciał ukazać, że plastyczność mózgu można kształtować - dodała Elizabeth.

Rosauro rozparła się w fotelu.

- Z istniejącymi możliwościami wpływania na tę plastyczność jest to „nowy wspaniały świat” dla neurologów. Można próbować zwiększać poziom inteligencji, sprawić, by ślepi znów widzieli, a głusi odzyskali słuch.

Gray przypomniał sobie stalową kostkę znalezioną w czaszce. A głusi odzyskali słuch. To urządzenie faktycznie wyglądało jak implant ślimakowy.

- Czy doktor Masterson wspominał, kiedy ostatni raz spotkał się z pani ojcem? - zapytał Elizabeth.

- Profesor obiecał, że powie mi więcej, ale oznajmił, że najpierw chce porozmawiać z ludźmi, którzy wynajęli mojego ojca. Jego głos zdradzał strach. Nic więcej nie mogłam z niego wyciągnąć.

- Wynajęli go?

Luka Hearn, także członek zespołu, odezwał się z silnym romskim akcentem, zdradzającym przemęczenie:

- To nasz klan wynajął profesora Polka.

Gray odwrócił się w jego stronę. Przed lądowaniem chciał omówić rolę Cyganów w działaniach Polka. Wiele kwestii zostało jeszcze nierozwiązanych. Dlaczego Polk wolał skontaktować się właśnie z Luką niż z innymi ludźmi? Czy to tylko z powodu jakiejś paranoi? Czy profesor nie wierzył, że może zaufać komukolwiek innemu? Biorąc pod uwagę fakt, że po zamordowaniu go agenci rządowi dokonali bardzo podejrzanych przeszukań muzeów, może Polk miał rację.

- W jaki sposób nawiązaliście współpracę z profesorem? - zapytał Lukę.

- Skontaktował się z nami dwa lata temu. Chciał zdobyć próbki DNA pewnych członków naszego klanu. Tych, którzy zajmowali się *pen dukkerin*.

- *Pen* czym?

Kowalski odpowiedział na to pytanie, leżąc na rozłożonym fotelu. Przestał chrapać, ale nadal miał zamknięte oczy:

- *Dukkerin*. Przepowiadanie przyszłości. No wie pan, takie rzeczy jak czytanie z dłoni, patrzenie w kryształową kulę.

Luka przytaknął.

- To jest taka tradycja wśród naszych ludów, sięga setek lat wstecz, ale profesor Polk nie chciał trafić na tych, którzy zajmowali się jedynie hokkani boro, wielkim trikiem.

- Oszuści - wyjaśnił Kowalski. - Kanciarze.

- Polk wiedział, że wśród nas żyją ludzie, których my sami obdarzamy szacunkiem za ich zdolności. Jest ich niewiele. To prawdziwi wróże. Mają dar. To ich właśnie szukał.

Elizabeth wyprostowała się w fotelu.

- Ojciec robił to samo z joginami w Indiach. Też pobierał próbki DNA, szukając jakiegoś podobieństwa.

Gray przypomniał sobie dokumenty, w których opisano, że jej ojciec szukał tych nielicznych joginów i mistyków, którzy mieli uzdolnienia związane z intuicją i instynktami. Przepowiadanie przyszłości i wróżenie z kart pasuje do tematyki jego badań jak ulał. Ale genetyczne podejście było czymś nowym. To właśnie sprowokowało kolejne pytanie komandora:

- A dlaczego tak nagle zmienił zainteresowanie z joginów na Cyganów? Czy jest w tym jakiś związek?

Luka popatrzył na niego jak na jakiegoś niedouka.

- A jak pan myśli? Skąd pochodzą Romowie?

Gray faktycznie poczuł się niewyraźnie. Niewiele wiedział o wędrujących plemionach cygańskich, a już na pewno nie miał pojęcia, skąd się wywodzą.

Luka zauważył jego zakłopotanie.

- Niewiele ludzi zna naszą historię. Gdy nasze plemiona pojawiły się w Europie, myślano, że przybyliśmy z Egiptu. - Potarł dłonią swoją ogorzałą twarz. - To wszystko przez ciemną skórę i ciemne oczy. Nazywano nas aigyptoi albo Gyptians, które później przekształciło się w Gypsies. Dopiero niedawno upewniliśmy się, skąd tak naprawdę pochodzą Romowie. Dzięki językoznawcom dowiedzieliśmy się, że nasz język wywodzi się z sanskrytu.

- To przecież język dawnych Indii - wtrącił zdziwiony Gray, który właśnie teraz zaczął widzieć związek.

- Pochodzimy z Indii. To amaro baro them, ojczyzna naszych ojców. Ściśle mówiąc, region Pendżab w północnych Indiach.

- A dlaczego opuściliście Indie? - spytała Elizabeth. - Jak pamiętam z historii, to w Europie raczej nikt was nie rozpieszczał.

- Rozpieszczał? Byliśmy wręcz prześladowani, przepędzani i mordowani. - W jego głosie słychać było żar. - Hitlerowcy wymordowali setki tysięcy Romów; musieliśmy nosić czarne trójkąty na ubraniach. Bengesko niamso. - Ostatnie dwa słowa musiały być przekleństwem i odnosić się do nazistów.

Elizabeth odwróciła oczy, nie chcąc patrzeć na jego wzburzenie.

Luka potrząsnął głową, starając się uspokoić.

- Niewiele wiadomo o początkach naszych dziejów. Nawet historycy nie potrafią jednoznacznie powiedzieć, dlaczego opuściliśmy Indie. Z najstarszych

zapisów dowiedzieliśmy się, że Romowie wyemigrowali z Indii około dziesiątego wieku, najpierw do Persji, potem do Bizancjum i dalej. W tych czasach północno-zachodnie Indie były rozdarte wojnami. Poza tym w Indiach panował system kastowy. Na samym dnie tego systemu społecznego znajdowali się bezkastowi nazywani niedotykalnymi. Zaliczano do nich złodziei, muzyków, zdegradowanych wojowników, ale także magików, których zdolności wyznawcy różnych lokalnych religii uważali za herezję.

- To byli wasi wróżbici - wywnioskował Gray. Luka skinął głową.

- Życie stało się nie do zniesienia. Bezkastowi połączyli się w klany i opuścili Indie, ruszyli na zachód, szukając bardziej przyjaznych krajów. - Luka westchnął ze smutkiem. - I nadal szukamy.

- Wróćmy do profesora Polka - poprosił Gray, zmieniając temat. - Czy współpracowaliście z nim przy jego badaniach? Czy dostarczyliście mu te próbki?

- Tak. To była płatność w naturze za jego pomoc.

- A w czym wam pomógł? - Komandor przyjrzał mu się ze skupieniem. Głos Luki znowu wypełnił się emocjami.

- Pomógł odnaleźć nam coś, co nam brutalnie skradziono. Serce naszego ludu. My...

Samolot zaczął gwałtownie opadać. Szklanki podskoczyły w powietrze, a wraz z nimi leżący Kowalski. Wyskoczył spod koca z okrzykiem przerażenia. Gray zapiął pasy, poczuł, jak żołądek podjeżdża mu się do gardła. Szybko tracili wysokość.

- Przepraszam państwa. Niestety przed nami ostre turbulencje - odezwał się pilot przez interkom.

Znowu zatrzęsło całym samolotem.

- Proszę zapiąć pasy - ciągnął pilot. - Lądujemy za godzinę. Komandorze Pierce, dyrektor Crowe chce z panem mówić. Łączę.

Gray popędził wszystkich, by zapięli pasy. Kowalski uniósł oparcie fotela do pozycji pionowej i też zapiął pasy.

Gray przekreślił się w fotelu, uniósł słuchawkę telefonu z podłokietnika i przytknął ją do ucha.

- Komandor Pierce, słucham.

- Gray, pomyślałem, że powinienem ci przekazać, czego dowiedziałem się od Lisy i Malcolma o tym urządzeniu przymocowanym do czaszki.

Słuchając opowiadania o mikroelektrodach i autystycznych sawantach, wyglądał przez okno. Obserwował zachód słońca. Wyobraził sobie małą buzię dziewczynki, jej delikatność, niewinność.

Teraz przynajmniej była bezpieczna.

Ale nurtowało go jedno pytanie: Czy istnieją jeszcze inne dzieci takie jak ona?

12.22

Południowy Ural

Monk biegł wzdłuż strumienia z Piotrem na rękach. Chłopiec wtulił się w niego. Jego oczy nadal były szkliste, a twarz spocona i zapłakana. Kiska biegła z przodu za wykonującą długie susy Martą. Konstantin trzymał się blisko Monka.

- Skąd wiecie, czy Piotr widział rzeczywistość? - zapytał zadyszczanym głosem Konstantina. - Tygrysy? Może się zdrzemnął i to mu się śniło?

Chłopiec odwrócił głowę w jego stronę i podniósł brzeg czapki. Palcami zaczesał włosy do tyłu i pokazał mu lśniące zakrzywienie stalowej blaszki za uchem.

- Nie tylko na panu przeprowadzono operację. - Naciągnął czapkę z powrotem na głowę. - To, co on widział, nie było snem.

Monk miał trudności ze zrozumieniem, o co chodzi. Konstantin wyjaśnił mu, że został uratowany z tonącego statku, a dowiedział się tego z rysunków siostry Piotra. To przecież nie miało żadnego sensu.

Może jemu to wszystko się śni? Konstantin opowiadał dalej.

- W menażerii trzymają dwa tygrysy syberyjskie. Nazywają się Arkady i Zachary. Żołnierze czasem polują z nimi w tajdze. Na niedźwiedzie i łosie. One są bardzo bystre. Trudno je zmylić.

- Jak daleko są od nas? - zapytał Monk. Konstantin zwrócił się do Piotra po rosyjsku.

Piotr odpowiedział. Jego głos stawał się coraz normalniejszy; wychodził już z dziwnego transu. Konstantin skinął głową.

- On nie wie. Wie tylko tyle, że się zbliżają. Czuje ich głód. Monk przyspieszył i pociągnął dzieci do strumienia, który w tym miejscu w zasadzie zmieniał się już w rzekę. Najpierw usłyszał szum wody, zanim ją dostrzegł. Strumień wydrążył w ziemi głęboki tunel. Gdyby tak mogli przedostać się na drugą stronę...

Coś wrzasnęło w powietrzu. Wysoko nad głowami, za ich plecami w wąskiej dolinie. To coś nadal wyło niczym syrena alarmowa. Od tego dźwięku bolały zęby i wibrowały kości. Dzieci rzuciły się płasko na ziemię. Marta pohukiwała i dreptała dookoła nich, starając się je ochronić.

Odwracając się w stronę źródła ostrego dźwięku, Monk spojrzał między gałęziami. Coś unosiło się w powietrzu w dolinie. Wisiało na czerwonym spadochronie niczym zwykła flara, ale było to jakieś okrągłe metalowe urządzenie wielkości piłki do baseballu, z którego właśnie dochodziło to kłujące w uszy wycie. Pewnie to jakaś dźwiękowa flara. Monk wspiął się na skalny gład i w oddali dostrzegł więcej takich czerwonych flar.

Pewnie wystrzeliwują je na ślepo we wszystkie strony.

Nagle usłyszał przerażający trzask w górze strumienia.

Monk dojrzał zwierzęce futro. Jego serce zaczęło panicznie walić.

Tygrys.

Zamiast tygrysa w polu jego widzenia pojawiły się dwie sarny i tanecznym kłusem zniknęły w lesie. Monk starał się uspokoić i podszedł do dzieci. Dźwiękowa flara niemal wbiła je w ziemię. Myśliwi musieli wiedzieć o

nadwrażliwości dzieci i próbowali powstrzymać ich ucieczkę.

Podniósł Piotra ręką bez dłoni i przerzucił go przez plecy. Podciągnął Kiskę z ziemi i trzymając ją w pasie, próbował postawić na nogi. Tak obciążony zbliżył się do Konstantina, zamierzając zmusić go do marszu.

Dzieci nadal tkwiły w bezruchu.

Marta włączyła się do działania. Pochyliła się nad Konstantinem i zarzuciła sobie jego ramię na plecy. Podtrzymując chłopca, prowadziła go w stronę rzeki. Nogi Konstantina ciągnęły się po ziemi.

Monk szedł za nią z dwójką pozostałych dzieci. Nadal czuł, że dzieciaki są całkowicie ubezwłasnowolnione przez ogłuszające wycie dźwiękowej flary. Dotarli do rwącego potoku, który płynął głębokim korytem o stromych brzegach odległych od siebie o cztery metry. Wartki strumień tak hałasował, że częściowo zagłuszał ostre tony dźwiękowej flary.

Pomachał do Marty. Wskazał w dół biegu strumienia. Skręciła w tamtym kierunku. Szli dalej wzdłuż wijącego się brzegu. Po pewnym czasie wycie flar przycichło.

Kiska pierwsza wyrwała się z letargu. Uwolniła się z ramion Monka i stanęła. Uszy nadal zasłaniała dłońmi. Konstantin też doszedł do siebie, uwolnił od swojego ciężaru Martę, która sapała i łapała oddech, opierając się na przednich łapach.

Uciekając coraz dalej od dźwięku flary, Monk szedł z tyłu i stale się odwracał.

Spodziewał się, że za chwilę zobaczy parę oczu tygrysa biegnącego za nimi susami.

Zamyślony wpadł na Kiskę, która nagle się zatrzymała. Straciwszy równowagę, padł na kolana, upuszczając Piotra na ziemię.

Konstantin także stanął jak wryty przy siostrze. Czekają na nich coś bardziej przerażającego niż podążający ich śladami myśliwi.

Przed rodzeństwem nad brzegiem rzeki pojawił się potężny brązowy niedźwiedź. Musiał ważyć z trzysta kilogramów. Miał mokre futro i był najwyraźniej zdenerwowany dźwiękiem flar. Jego czarne oczy przyglądały się uciekinierom. Stanął na tylnych łapach, wyciągnął się na dwa i pół metra w górę, zjeżył się, zacharczał i obnażył żółte zęby.

Niedźwiedź brunatny.

Symbol Matki Rosji.

Opadł z rykiem na cztery łapy i ruszył prosto na nich.

06.03

Waszyngton, D.C.

Starzec obudził się w blasku światła; piekło go w oczy i przenikało w głęb czaszki. Zajęczał i odwrócił głowę. Mdłości spowodowały podejście palących soków trawiennych do gardła. Przełknął ślinę i gorycz się cofnęła.

Zamrugnął kilka razy i odkrył, że jest przywiązany do łóżka. Zdał sobie

sprawę, że pod kołdrą jest zupełnie nagi. Pokój był śnieżnobiały, klinicznie czysty, wręcz sterylny. Nie miał okien. W drzwiach dostrzegł małe okratowane okienko. Zamknięte.

Na krześle obok łóżka ktoś siedział. Marynarkę przewiesił przez oparcie krzesła, rękawy koszuli podwinął do łokci. Siedział z nogą założoną na nogę, dłonie trzymał na kolanach.

Pochylił się do przodu.

- Dzień dobry, Jurij. - Trent McBride uśmiechał się bez cienia ciepła.

Jurij spojrzał na swoją klatkę piersiową, pamiętając, że strzelono do niego pociskiem ze środkiem usypiającym. Rozglądał się, nadał zdziwiony sytuacją i lekko otumaniony.

- Dostałeś środek wybudzający - powiedział McBride. - Koniec spania, musimy pogadać.

- Kak... ja... - Zakrztusił się, język miał drętwy, a gardło wyschnięte.

McBride westchnął, sięgnął do stolika, na którym stała szklanka z wodą i słomką, i zaproponował Jurijowi łyk.

Jurij nie odmówił. Ciepły napój palił jak najlepsza wódka. Odepchnął czarne cienie z krawędzi jego myśli i zmył lekkość języka.

- Trent, co wy zamierzacie zrobić? - Jurij pociągnął za pasy obejmujące jego ramiona.

- Chcemy tylko uzupełnić braki w wiedzy. - McBride przycisnął guzik interkomu przy wezłowie łóżka. - Jak wspomniałem wcześniej, nie spieszyliście się z przekazywaniem nam szczegółów dotyczących wyników badań w Czelabińsku osiemdziesiąt osiem. Musimy naprawić to przeoczenie.

- O co ci chodzi? - Jurij próbował mówić niewinnym tonem, ale zupełnie mu to nie wychodziło, drżenie jego głosu było wyraźnie słyszalne. Żałował, że nie ma silniejszej osobowości.

- Hm - mruknął Trent i zerwał kołdrę przykrywającą Jurija. - Sądzę, że powinniśmy jak najszybciej przebrnąć przez ten trudny fragment, byśmy mogli zacząć rozmawiać jak koledzy.

Jurij spojrzał na swoje nagie ciało. Na bladej skórze zobaczył niewielkie przyssawki wielkości dziesięciocentówki, na których szczycie znajdował się podzespół elektroniczny wielkości groszku z wystającą cieniutką jak włókno antenką. Przyssawki pokrywały jego nogi, od palców stóp po krocze, i ręce - od palców po barki. Cała klatka piersiowa była wręcz upstrzona przyssawkami.

Zanim zdążył zapytać, co to za urządzenia, otwarły się drzwi do pokoju i stanął w nich szczupły mężczyzna. Jurij musiał wygrzebać z pamięci jego nazwisko, choć dopiero niedawno go poznał. Doktor James Chen. To jego gabinet wykorzystano na miejsce spotkania w Walter Reed.

Zatrzasnęły się dźwiękoszczelne drzwi.

Chen trzymał w rękach otwarty laptop.

- Kalibracja skończona - poinformował.

Gdy Chen siadał, położył laptop na stoliku przy łóżku. Jurijowi udało się zerknąć na monitor komputera. Dostrzegł sylwetkę człowieka z mnóstwem świecących punkcików.

- Elektroakupunktura - wyjaśnił McBride i wskazał na przyssawki. - Mikroelektrody są dołączone do miejsc na meridianach. Nawet nie próbuje zrozumieć, jak to działa. To działka doktora Chena. Fantastycznie rozwinął tę technikę w kierunku niwelowania bólu, co pozwoliło wykorzystać ją w szpitalach polowych do operacji bez konieczności podawania pełnego znieczulenia. Dzięki temu wspomniałemu osiągnięciu dołączył do Jasonów. Wtedy wciągnąłem go do swojego zespołu ze względu na jego innowacyjne zastosowanie mikroelektrod. Właśnie takich, jakie wykorzystujecie u waszych obiektów badawczych.

McBride palcem poruszył jedną z anten. Jurij poczuł kłujący ból.

- Nauczyliśmy się, że skoro można zlikwidować ból, to także można go wzmocnić.

- Trent... nie... — błagał Jurij.

McBride zignorował go i odwrócił się do Chena, pokazując na jedną z przyssawek koło kolana i na drugą koło pachwiny.

Naukowiec podniósł rysik i narysował linię na ekranie komputera.

Jurij poczuł rozdzierający ból w nodze. Z jego gardła wydobył się przeraźliwy krzyk. Czuł, jakby ktoś wbił mu skalpel aż do kości i rozciął ciało od kolana aż po krocze. Ból ustąpił tak szybko, jak się pojawił.

Sapiąc, Jurij spojrzał na swe ciało. Spodziewał się, że zobaczy krew i rozcięte ciało. Ale było nietknięte.

McBride machnął jeszcze raz ręką nad małymi przyssawkami.

- Możemy zrobić to samo pomiędzy dowolnymi punktami. Według dowolnego wzoru. Możemy pokroić cię żywcem bez uszkodzenia jednego włosa. Taka wirtualna operacja, za to z pełną dawką bólu.

- Dla... dlaczego?

McBride znowu popatrzył na niego. Choć miał miły wyraz twarzy, to z jego oczu wycierała złość.

- Chcę dostać odpowiedzi. Zaczniemy od tego, co utrzymywaliście w tajemnicy.

- Nie rozumiem...

McBride odwrócił się do Chena.

- Nie! - krzyknął Jurij. McBride pochylił się nad nim.

- Koniec z twoimi gierkami. Zbudowaliśmy repliki waszych urządzeń z implantami bez żadnego problemu. Schematy, które nam przekazaliście, były dokładne. Ale wcale nie aż takie innowacyjne. Trochę bardziej zaawansowane urządzenie TMS. Próbowaliśmy osiągnąć podobne rezultaty, wykorzystując parkę dzieci - autystycznych sawantów z Kanady. Nasze eksperymenty niestety... powiedzmy, że wyniki nie były zadowalające.

Jurij wzdygnął się w duchu. Zatem Amerykanie byli bliżej celu, niż Sawina podejrzewała. Już wiedzieli, jak niezwykle cennym materiałem dysponował ośrodek Czelabińsk 88.

- No więc? - zaczął znowu McBride. - Co jest tą wielką tajemnicą, którą przed nami ukrywacie?

Jurij wahał się zbyt długo. Ból przeszył mu klatkę piersiową. Nastąpił skurcz

mięśni i plecy wygięły się w łuk. Głośno krzyczał.

Gdy ból ustał, Jurij trząsł się i drżał. Na języku poczuł krew. Nie chciał już czekać. Co z tego, że Amerykanie się dowiedzą? Przecież i tak już jest za późno.

- DNA - wystękał. - Ich DNA. McBride przysunął się bliżej.

- Dokładniej.

Jurij przełknął ślinę i głośno oddychał.

- Tajemnica leży w genetyce obiektów. Odkryliśmy to dopiero dwanaście lat temu.

Jurij opowiadał o początkach badań; McBride często przerywał, zadając dodatkowe pytania. Zaczął od odkrycia w 1959 roku grupy szczególnie uzdolnionych sawantów wśród cygańskich dzieci. Była to genetyczna linia, która ciągnęła się przez całą historię Cyganów. Wróżbici. Plemiona trzymały to w tajemnicy i usiłowały zachować linię poprzez kojarzenie krewniacze, czego efektem były wady genetyczne. Opowiedział o tym, jak Rosjanie porwali dzieci do badań i włączyli je w swój program badawczy z parapsychologii.

- Nie ma w tym żadnego mistycyzmu - wyjaśnił Jurij. - Dzieci były tylko sawantami... choć na niezwykle wysokim poziomie. Próbowaliśmy jedynie wzmocnić ich zdolności; najpierw poprzez krzyżowanie, potem przez bioinżynierię. Po latach pracy, gdy testy genetyczne stały się precyzyjne, potrafiliśmy dokładnie wskazać, co sprawiało, że dzieci były takie wyjątkowe.

McBride nadstawił uszu.

- Autyzm jest wywoływany przez mieszankę czynników środowiskowych oraz mieszaninę dziesięciu genów. Odkryliśmy najsilniejszy rodzaj naturalnych sawantów, nazwaliśmy je obiektami Omega. Ta grupa ma trzy specyficzne geny. Trzy markery genetyczne. Gdy pojawiały się w odpowiedniej sekwencji, a do tego dziecko miało lekki lub średni autyzm, to mógł powstać niezwykle sawant.

- A wy jeszcze ulepszaliście go swoim implantem - uzupełnił McBride. - Idealnie mieszając genetykę z bioinżynierią.

Jurij skinął głową.

- Doskonałe. Naprawdę doskonałe. A my wykorzystaliśmy Archibalda, by wyciągnąć jeden z waszych obiektów Omega na powierzchnię. I teraz mamy jeszcze więcej powodów, by odszukać tę dziewczynkę.

- To nie macie Saszy?

McBride zmarszczył czoło i odchylił się na krześle.

- Nie, ale w ciągu minionej godziny ustaliliśmy prawdopodobne miejsce jej przetrzymywania. I ma ją chyba ta sama grupa, którą wysłano, by poszła tropem Archibalda. Na szczęście podjęliśmy odpowiednie kroki, by zatrzeć wszystkie jego ślady.

- Kto... kto ma Saszę?

- Chcesz wiedzieć? - McBride stanął nad Jurijem. Można było wyczuć, że jest wściekły. - Pokażę ci.

Machnął na Chena.

Nie!

Piersz Jurija zapłonęła ogniem bólu zakreślającego zygzaki i tworzącego przekrzywiony symbol greckiej litery.

- Już wkrótce przestaną być problemem - warknął McBride.

14.04

Agra, Indie

Mimo że jej ojciec fascynował się Indiami, Elizabeth nigdy tam nie była. Wyglądała przez okno taksówki, którą jechali z lotniska. Okna pootwierali, ale żar wcale nie zmalął. Temperatura przekraczała czterdzieści stopni.

Samochody wlokły się w ślimaczym tempie, przebijając się między riksami ciągniętymi przez rowery; a jedną nawet ciągnął wielbłąd. Ich taksówka jechała tak blisko drugiej, że Elizabeth czuła zapach cygaretki palonej przez kierowcę sąsiedniego samochodu. Dym przebijał się jak ostrze noża przez gęstą woń miasta będącą mieszaniną curry, brudu i tłuszczu do smażenia. Amator cygaretki wydmuchnął dym i wałnął ręką w klakson na kierownicy.

Trąbienie ledwie było słyhać w tym chaosie, zwłaszcza że gdzieś z przodu odbywał się jakiś festyn i słyhać było czynele. Chodniki były zapchane pieszymi, którzy przeciskali się pomiędzy samochodami walczącymi o miejsce na jezdni z rowerami i motocyklami.

Elizabeth poczuła, że trudniej jej oddychać, jej klatka piersiowa skurczyła się - nie od wilgoci w powietrzu i upału, ale z powodu takiego tłumu ludzi. Nigdy nie cierpiała na klaustrofobię, ale dusiły ją ten hałas, żywiołowość, handel uliczny i nawoływania tak wielu ludzi. Dłonie spoczywające na kolanach zacisnęła w pięści.

Wreszcie, dzięki roztropnemu wykorzystaniu klaksonu przez kierowcę taksówki, udało im się wcisnąć w wolne miejsce i dotrzeć do następnego skrzyżowania. Skręcili i taksówka znalazła się na szerszej ulicy wiodącej wprost do serca miasta.

Elizabeth odetchnęła z ulgą.

- No wreszcie - sapnął Kowalski siedzący obok niej. - Powinniśmy sami wynająć vana. Dowiozłbym nas na miejsce znacznie szybciej.

Wielkolud wciśnięty między dwie osoby widział, jak się czuje Elizabeth, i próbował zrobić jej trochę więcej miejsca, ale to z kolei niezbyt dobrze wpływało na wygodę pasażera siedzącego z jego drugiej strony, czyli Rosauro, która odpychając go łokciem, też starała się wywalczyć więcej miejsca. Jej twarz lśniła od potu, zdjęła czarną bandanę.

Gray siedzący na fotelu pasażera obok kierowcy vana pochylił się w jego stronę i coś mu pokazywał. Kierowca kiwnął głową.

Ostatni członek ich zespołu zajął miejsce najbardziej z tyłu. Luka Hearn miał kamienną twarz, ale jego ciemne oczy wszystko obserwowały. Przed opuszczeniem samolotu schował dwa sztylety do rękawów w ramach przygotowań do ewentualnego nieprzyjaznego powitania w starej ojczyźnie.

- Za dziesięć minut będziemy w hotelu - poinformował Gray.

Taksówka jechała szybko w stronę rzeki Jamuna, gdzie kończyła się ulica. W

ostrym słońcu rzeka pobłyskiwała kolorem szarej stali. Jej brzegi porastały palmy. Po lewej stronie wznosił się potężny, wybudowany z piaskowca fort o wysokich flankach i grubych murach. Po dojechaniu do nabrzeża skręcili w prawo i jechali dalej wzdłuż rzeki.

Ruch znowu stał się wolniejszy, ale po niespełna kilku minutach po lewej otworzył się przed nimi widok na rozciągające się wzdłuż rzeki rozległe tereny zielone - łąki, ogrody, stawy i leśne zagajniki. Jednak prawdziwy cud wznosił się ponad zielenią i wydawało się wręcz, że płynie w drgającym od żaru powietrzu niczym piękna zastawa z białego marmuru na latającym dywanie.

Tadź Mahal.

Mauzoleum było wspaniałym dziełem inżynierii i cudem architektury. Z dala było jak sen, błyszczący i unoszący się w niebiosach. Grobowiec został wybudowany ponad trzysta lat temu przez władcę Wielkich Mogołów - Szahdżahana, jako miejsce pochówku jego ukochanej żony, a dla wielu ludzi stał się symbolem wiecznej miłości.

Teraz jednak nie był ich punktem docelowym.

Taksówka skręciła na bok i zatrzymała się przed czteropiętrowym białym budynkiem, który na każdym piętrze miał wielkie zakończone łukami okna - hotel Didar-e Tadź. Tutaj mieli spotkać się z doktorem Haydenem Mastersonem.

- Restauracja jest na najwyższym piętrze - powiedziała Elizabeth, gdy wysiedli z taksówki. Spojrzała na zegarek. Mieli pół godziny spóźnienia.

Gray zapłacił kierowcy. Przeszli koło fontanny i weszli do klimatyzowanego głównego holu hotelu.

- Kowalski! - zawołał Gray i wskazał na ladę recepcyjną. - Ty i Luka weźcie klucze i skontrolujcie nasze pokoje. My jedziemy na górę. - Skinął głową na Elizabeth i Rosauro.

Kowalski westchnął ciężko i wymamrotał coś o zimnym prysznicu. Przez moment kręcił się koło Elizabeth, gdy Gray był już przy windach.

- Czy dobrze się już pani czuje? - zapytał po cichu. - Ja?

- W taksówce bałem się, że... wyglądała pani tak... - Wzruszył ramionami.

- To przez ten upał... nerwy mnie zawiodły - wymamrotała.

- Mam coś dla nas. - Pochylił się nad nią tajemniczo, rozchylił marynarkę, ukazując dwa cygara wetknięte do wewnętrznej kieszeni. - Kubańskie. Ze sklepu wolnocłowego na lotnisku.

Uśmiechnęła się do niego. Prawie mogłaby go teraz pocałować.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, przyjechała winda i Gray zawołał, by się pospieszyła.

Kowalski wyprostował się i poklepał dłonią klapę marynarki. Mrugnął do Elizabeth, gdy się odwracała. Naprawdę mrugnął. Jej uśmiech pozostał na ustach, gdy odwracała się, by dołączyć do Graya i Rosauro.

Komandor przepuścił ją i nacisnął guzik ostatniego piętra.

- Czy jest jeszcze coś, co powinniśmy wiedzieć o doktorze Mastersonie? - zapytał.

- Tylko niech pan nie wspomina nazwy Manchester United - mruknęła.

- Tej drużyny piłkarskiej?

- Proszę mi zaufać albo już nigdy nie usłyszysz pan słowa o moim ojcu czy jego badaniach. I nie wolno go popędzać. Należy pozwolić mu dojść do sedna w jego tempie.

Drzwi windy się rozchyliły i ukazały dziwny widok. Wielka restauracja zajmująca najwyższe piętro była o tej porze prawie pusta. Przykryte lnianymi obrusami stoły zastawiono delikatną porcelaną. Zapach curry i czosnku kusząco unosił się w powietrzu. Niezwykle w tej restauracji było to, że obracała się powolutku, ukazując panoramę miasta i oczywiście Tadž Mahal.

Przy stole obok okna siedział wysoki mężczyzna, który na ich widok podniósł rękę i postukał palcami w zegarek.

Elizabeth uśmiechnęła się i ruszyła w jego stronę. Musiała wejść na poruszającą się platformę. Na początku wydawało się to trochę irytujące, ale pewnie prowadziła pozostałą dwójkę między stolikami i sofami. Kilku kelnerów w złotych kamizelkach ukłoniło się im po drodze.

Minęło wiele lat od ich ostatniego spotkania. Doktor Masterson nosił swój charakterystyczny biały garnitur, o bardzo formalnym, kolonialnym kroju. Do niego miał dopasowaną białą panamę, która teraz leżała na sąsiednim stoliku. Obok niego stała laska z gałką z kości słoniowej, której nadano kształt żurawia. Jego długie włosy opadały na ramiona i nawet dopasowały się kolorem do ubioru, bo były już siwe. Twarz miał wyrazistą, szorstką, opaloną na ciemny brąz, który po tylu latach w południowym klimacie pewnie wcale nie jaśniał.

Elizabeth przedstawiła wszystkich. Doktor Shay Rosauro oświadczyła, że to spotkanie to dla niej wielki zaszczyt, co sprawiło, że poirytowana mina zniknęła. Kobiety były słabością Haydena, a szczególnie takie długonogie i gibkie jak doktor Rosauro. Ojciec Elizabeth kiedyś wspomniał, dlaczego Masterson pozostał na uniwersytecie w Mumbaju, zamiast wracać do Oksfordu albo Cambridge. Miało to chyba związek z jego oczarowaniem pewną studentką.

Hayden poprosił, by usiedli; Rosauro wskazał miejsce obok siebie. Gdy już się rozgościli, restauracja właśnie się okręciła, ukazując im zapierający dech w piersiach widok na Tadž Mahal.

Profesor zauważył ich oczarowanie.

- To mauzoleum ku czci Mumtaz Mahal, żony Szahdżahana! - powiedział, chwając się swoją wiedzą. - Wspaniała żona cesarza wymusiła na nim cztery obietnice. - Zaczął je wyliczać na palcach. - Pierwsza, żeby wybudował jej wspaniały grobowiec. Druga, żeby ożenił się po raz drugi. To dopiero wspaniała żona! Trzecia, żeby był dobry dla ich dzieci. I ostatnia, żeby odwiedzał ją raz w roku w rocznicę jej śmierci. Oczywiście on spełniał wszystkie obietnice aż do dnia, kiedy i jego pochowano w Tadž u boku ukochanej żony.

- To dopiero prawdziwa miłość - rzekła Rosauro, wpatrując się w mauzoleum.

- Ale czymże jest miłość bez odrobiny upuszczonej krwi? - powiedział Hayden, kładąc swoją dłoń na dłoni Rosauro. - Historycy twierdzą, że po ukończeniu budowy Szahdżahan nakazał odciąć dłonie wszystkim rzemieślnikom budującym mauzoleum, by nigdy w życiu nie wybudowali tak pięknego pomnika miłości jak Tadž Mahal.

Siedzący po drugiej stronie Haydena Gray wiercił się na krześle, zastanawiając się, w jaki sposób przejść do tematów, które ich tu przywiodły. Elizabeth trąciła go stopą, przypominając o ostrzeżeniu.

Nie wolno go popędzać!

Gdy odwróciła się, prawe ucho Haydena eksplodowało krwią - dokładnie w tym samym czasie, gdy rozległ się ostry dźwięk przypominający pęknięcie kryształu. Gray i Rosauro natychmiast zareagowali, ale Elizabeth siedziała jak sparaliżowana. Rosauro pociągnęła Haydena na podłogę; Gray rzucił się do Elizabeth. Dostrzegła jeszcze idealną okrągłą dziurę w szybie za głową Haydena.

Gdy padała, w szybie pojawiło się więcej dziur, których powstaniu towarzyszył identyczny dźwięk trącanego kryształu. Na podłodze Gray osłonił ją własnym ciałem.

- Nie ruszajcie się!

Rozpłaszczyła się, gdy snajper znajdujący się na dachu sąsiedniego budynku ostrzeliwał wnętrze restauracji. Kryształowe kieliszki rozbryzgiwały się w drobny mak. Jeden z kelnerów zgiął się wpół, jakby kopnięto go w brzuch, i upadł na podłogę. Trysnęła krew.

Gray przywoływał Elizabeth ruchem ręki; chciał, by się do niego podczołgała się, ale bała się ruszyć. Uważała, że snajper nie dosięgnie jej w miejscu, gdzie leży. Gray wyprowadził ją z błędu.

- On chce nas przygwoździć do ziemi! - zawołał do Elizabeth i rannego Haydena, który także nie chciał się ruszyć. - Chce nas tu zatrzymać!

Elizabeth zrozumiała, co to oznaczało. Wsparła się na rękach i kolanach. Musieli uciekać. I to od razu.

Na górę na pewno zmierzało więcej zabójców.

6 września, 13.01
Południowy Ural

Gdy niedźwiedź zaatakował, Monk popchnął Piotra. Z rozprostowanymi ramionami chłopiec padł na ziemię i poturlał się w stronę strumienia. Gałęzie ocierały się o jego ciało, coś zadrapało mu policzek. Turlał się po ziemi, przez paprocie, po śliskich igłach sosnowych. Nie umiał pływać. Woda go przerażała.

Ostrzejsze krzyki przebiły się przez ryk niedźwiedzia. Konstantin i Kiska.

Piotr uderzył kolanem o kamień. Ból przeszył mu ciało aż do kręgosłupa. Upadł na płask na samym brzegu strumienia.

Przestraszył się własnego odbicia w wodzie. Kontury jego twarzy rozplywały się, słońce błyszczało, a promienie przebijające się przez poruszone wiatrem gałęzie tańczyły po powierzchni.

Kompletnie przerażony Piotr wisiał tak nad ciemną, mieniącą się odbitym światłem taflą.

Nic nie ostrzegło go przed atakiem niedźwiedzia, dopóki zwierz nie stanął na czterech łapach. Delikatne serce Piotra przerażał głód ścigających ich stworzeń, choć jego uderzenia były tłumione dźwiękiem ostrych syren za plecami.

Jednak przerażenie Piotra osiągnęło jeszcze wyższy poziom, i to nie przez wodę czy niedźwiedzie.

Jasne i ciemne plamy mieniły się jak plamy oleju.

To nie był niedźwiedź. To nie był niedźwiedź. Chłopiec popadł w osłupienie. Niedźwiedź nie stanowił zagrożenia. To coś innego...

13.02

Gdy niedźwiedź rzucił się w jego stronę, Monk podniósł torbę, swoją jedyną broń. Zdołał pchnąć Piotra w stronę rzeki, a pozostałe dzieci w krzaki. Marta skoczyła na niską gałąź i pobiegła za Piotrem.

Monk krzyknął, przyciągając uwagę niedźwiedzia, i wysoko podrzucił torbę.

Zwierzę ruszyło prosto na niego. Cisnął w nie pakunkiem i chciał odskoczyć w bok, ale nie zdążył. Niedźwiedź uderzył go w nogi z siłą pociągu towarowego i odrzucił na bok. Torba odbiła się od grzbietu zwierzęcia.

Kokkalis uderzył bokiem w pień modrzewia i padł na ziemię jak zmięta kartka papieru. Starał się pozbierać i wstać. Podniósł ręce, by chronić twarz i głowę.

Niedźwiedź całkowicie go zignorował i ruszył ścieżką jeleni. Czterdzieści metrów dalej trafił na dwa czające się ciemne kształty. Dwa wielkie, długonogie warczące wilki. Niedźwiedź zamachnął się i jeden z nich wyleciał wysoko w powietrze. Martwy. Drugi rzucił się niedźwiedziowi prosto do gardła, ale natrafił tylko na żółte zęby i ryk wściekłości. Wilk zawył, ale walczył dalej.

Monk dostrzegł stalowe elementy doczepione do czaszek zwierząt. To myśliwi z podziemnego miasta. Zwiadowcy. Mogło ich być więcej.

Szybko podniósł Konstantina i Kiskę. Pojawiła się też Marta z Piotrem na grzbiecie. Monk odebrał chłopca i machnął ręką.

- Biegnijcie! - wyszeptał.

Ruszyli razem. Jeśli tropili ich kolejni myśliwi, to najpierw trafią na niedźwiedzia. To opóźni pogoń.

Obejrzał się za siebie i popatrzył na walkę, która nadal toczyła się wśród ryku i skowytu. Niedźwiedź natarł na wilka z niezwykle wrogością, graniczącą ze ślełą furją. Czy niedźwiedź miał już jakieś doświadczenia z tymi wilkami? A może było to coś bardziej pierwotnego, jakaś reakcja na wybryk natury? Jak wtedy gdy lwica zagryza zdeformowane po porodzie małe?

Tak czy inaczej zyskali dodatkowy czas na ucieczkę.

Ale na jak długo?

14.28

Agra, Indie

Gray prowadził wszystkich przez zniszczoną od kul karabinowych restaurację. Nie widząc określonego celu, snajper oddawał krótkie serie na ślepo, byle tylko utrzymać osaczonych przy ziemi.

Komandor podniósł się lekko i przykucnął, kierując się w stronę wyjścia ewakuacyjnego. Klatka schodowa znajdowała się obok wind. Nie ośmielili się skorzystać z windy. Ktokolwiek zorganizował zasadzkę, z pewnością rozstawił w głównym holu ludzi, którzy obserwowali główne wyjście i hol wind. Wezwanie windy tylko zaalarmowałoby czekających. Jedyną nadzieję dawało zbiegnięcie po schodach na niższe piętro, schowanie się w jakimś pokoju i zaplanowanie ucieczki.

Dotarcie do wyjścia ewakuacyjnego nie było takie proste przy obracającej się podłodze restauracji. Pamiętał, że to właśnie ocaliło życie doktorowi Mastersonowi. Kula miała trafić go w potylicę. Ruch podłogi zmylił snajpera i zmienił śmiertelny strzał w ranę postrzałową.

Podziwiał zimną krew naukowca. Po pierwszym szoku nawet nie wyglądał na przerażonego. Przycisnął do krwawiącego ucha chusteczkę, która teraz już cała była czerwona. Profesorowi udało się jeszcze złapać swój biały kapelusz i włożyć go. Rosauro była tuż przy nim; niosła jego laskę z rączką z kości słoniowej. Gray i Elizabeth dobrnęli do nieruchomego holu wejściowego restauracji. Rosauro i Masterson deptali im po piętach.

- Schody - rzucił Gray. - Ruszaj.

Rosauro dwoma susami pokonała hol i padła nisko jak gracz w baseball, który rzuca się na bazę. Płynnym ruchem odpięła swojego półautomatycznego sig sauera z kabury na kostce. Pozostając na kolanach, sięgnęła ręką do klamki, przekręciła ją i barkiem pchnęła drzwi, otwierając je na tyle, by wycelować z pistoletu i obserwować schody.

Komandor usłyszał głośnie kroki na schodach.

- Jest ich siedmiu do dziesięciu - oceniła Rosauro. Spóźnili się.

- Powstrzymaj ich - polecił i poturlał się do windy.

Widząc, dokąd komandor zmierza, Elizabeth sięgnęła do przycisku przywołującego windę, ale Gray powstrzymał ją, zanim zdążyła go nacisnąć. Podświetlony wskaźnik windy nad drzwiami wskazywał, że kabina jest nadal na parterze i na pewno znajduje się pod obserwacją.

Pobiegł do jednego z kredensów restauracji i wrócił z nożem i nareczem lnianych serwetek. Podczołgał się do windy i wsunął nóż pomiędzy jej drzwi. Rozsunął je ostrzem na tyle, że udało mu się wsunąć w szczelinę najpierw palce, a potem czubek buta. Jednym szarpnięciem je otworzył.

Gdy to zrobił, usłyszał wystrzał z pistoletu, po którym na klatce schodowej rozległ się okrzyk zdziwienia i bólu. Później znów padły strzały. Choć Rosauro zajęła dobrą pozycję, Gray nie wiedział, jak długo tam się utrzyma. Jeśli napastnicy przystąpią do zmasowanego szturm, może być po niej. Musieli działać szybko. Podał serwetki Mastersonowi i Elizabeth. Pokazał im, jak obwiązać je wokół dłoni.

- To tylko mały krok - zapewnił ich i wskazał na kable. - Chwyćcie się mocno i hamujcie butami. Gdy dotrzecie na dach kabiny, zachowajcie ciszę. Czekać tam na nas.

Elizabeth odpowiedziała mu przerażonym skinieniem głowy, a Masterson przewrócił oczami. Strzały zniechęcały do jakiegokolwiek dyskusji. Elizabeth ruszyła pierwsza. Wyciągnęła obwiązane ręce i złapała kable. Z cichym okrzykiem ześlizgnęła się w dół.

Gdy zniknęła w mroku, przyszła kolej na Mastersona. Wetknął swoją laskę za pasek spodni jak miecz do pochwy. Był wysoki i miał długie ramiona, więc bez trudu dosięgnął kabli.

Ześlizgnął się w dół.

- Jedź! - krzyknęła do Graya Rosauro. Nie odwróciła się nawet, tylko wystrzeliła dwa razy. - Zjadę tuż za tobą.

- Dźwignia drzwi windy...

- Ruszaj, Pierce!

Gray wiedział, że nie należy kłócić się z kobietami, szczególnie z uzbrojonymi. Przewiązał dłonie, wychylił się i złapał kable. Zjechał w dół i krzyknął na Rosauro.

Po chwili dostrzegł jej ciemną sylwetkę na jasnym tle otworu. Stała na krawędzi podłogi, pochyliła się do drabiny serwisowej, szarpnęła za wewnętrzną dźwignię i zamknęła drzwi. Ciemność ogarnęła Graya. Poczł, że kabel zadrzał, gdy chwyciła go Rosauro.

Oczy komandora szybko przyzwyczaiły się do mroku. Słabe światło przeziarało przez szczeliny drzwi prowadzących na pozostałe poziomy. Mijając je, zdołał policzyć piętra. Dotarł do kabiny windy. W rogu stały dwie skulone postacie.

Zapalił się mały płomyk.

Zapalniczka Elizabeth.

Przyhamował ześlizg i lekko opadł na dach kabiny.

Moment później wylądowała obok niego Rosauro.

Odnalazł właz serwisowy dachu windy, wyciągnął pistolet i uchylił pokrywę.

Kabina była pusta, a jej drzwi zamknięte. Kiwnął na resztę, by zostali na swoich miejscach.

Chwycił jedną ręką krawędź wjazdu, otworzył go i zeskokczył, trzymając broń w pogotowiu. Sięgnął do przycisku otwierającego drzwi. Z holu hotelowego dochodziły go krzyki i odgłosy paniki. Strzelanina zamieniła senny hotel w ul zdenerwowanych pszczoł.

Świetnie. Taki chaos jest zawsze na rękę uciekającym.

Nacisnął guzik i drzwi się rozsunęły. Wypadł z windy, gdy tylko szczelina była odpowiednio szeroka, rzucił się w lewo i kucnął za olbrzymią donicą z karłowatą palmą.

W holu hotelowym wrzało. Kierownictwo wykrzykiwało polecenia jednocześnie w hindi i po angielsku.

Natychmiast wypatrzył dwóch mężczyzn stojących kilka metrów dalej; wyglądali na zbyt spokojnych i nosili marynarki mimo takiego upału. Ręce trzymali w kieszeniach. Zauważył w ich uszach słuchawki.

Oni też go dostrzegli.

Mimo tłumy w holu Gray musiał działać szybko. Długa wymiana ognia mogłaby spowodować śmierć niewinnych ludzi. Wycelował przez liście palmy i nacisnął spust. Jeden z mężczyzn dostał w głowę. Gray okręcił się lekko na palcach i jeszcze dwukrotnie nacisnął spust, bo cel był w ruchu. Pierwszy pocisk trafił mężczyznę w bark, odchylając go do tyłu. Drugi uderzył w ścianę.

Ranny napastnik wystrzelił przez kieszeń marynarki, ale Gray zdążył paść na podłogę i kula wbiła się w ścianę. Leżąc na boku, wyciągnął ręce i strzelił kilkanaście centymetrów nad podłogą. Kostka napastnika dosłownie eksplodowała, mężczyzna padł twarzą na marmurową posadzkę i leżał nieruchomo.

Gray odwrócił się w stronę windy, ale zdążył tylko zobaczyć zasuwające się drzwi.

Śmiertelnie przerażeni przypadkowi obserwatorzy w holu rozbiegli się z wrzaskiem we wszystkich kierunkach.

Gray nacisnął guzik. Nic. Spojrzał na podświetloną informację o pozycji windy. Ktoś wezwał windę. Jechała na górę. Wprost do zabójców czekających w restauracji na ostatnim piętrze.

Kucając na dachu windy, Elizabeth usłyszała, że liny naciągnęły bloczki i z lekkim szarpnięciem podciągały kabinę. Ktoś wezwał windę.

- Mierda... - zakląła Rosauero. Elizabeth popatrzyła do góry w ciemny szyb.

- I co teraz zrobimy? - zapytała. Przytrzymała w powietrzu zapalniczkę, której płomyk migotał. Czuła się bezradna i ze strachu drżały jej ręce.

- Zostańcie tutaj - rozkazała Rosauero, pochyliła się i zdmuchnęła płomień. - Po ciemku. Bez słowa. Bez ruchu.

Sama usiadła na krawędzi wjazdu i zeskokczyła na podłogę kabiny.

- Zamknijcie pokrywę - zawołała cicho - ale nie blokujcie! Na wszelki wypadek.

Na jaki wypadek?

Elizabeth wykonała polecenie. Zamknęła wjazd, podtrzymując przez moment

jego krawędź opuszkami palców. Przez szczelinę zobaczyła, jak Rosauro szykuje broń do strzału.

Gdy zamknęły się drzwi windy, Gray ruszył pędem do schodów. Potrącił i przewrócił kilku ludzi, przeskoczył nad małżeństwem leżącym na ziemi i osłaniającym głowy rękami. Pokonywał po trzy stopnie naraz, zatrzymując się na moment na piętrach, by sprawdzić, czy winda nie stanęła. Gdyby zdążył przed windą i nacisnął guzik przywołania, zatrzymałaby się przed dotarciem na poziom restauracji.

Na pierwszym piętrze spóźnił się i popędził na drugie.

Z góry dochodziły go gardłowe okrzyki. Wyglądało na to, że grupa szturmowa rzuciła się na dół po schodach. Gray skoczył do drzwi drugiego piętra, by zatrzymać windę, i wpadł na ścianę - a raczej na jej ludzki odpowiednik.

Kowalski stał w holu windowym i naciskał guzik.

- Gray! - wykrzyknął, masując brzuch. - Do licha, co się dzieje, człowieku?!

Zabrzęczał dzwonek i otworzyły się drzwi. Wskoczyła z nich Rosauro z pistoletem wycelowanym w twarz Kowalskiego.

- Hej! - Wielkolud odskoczył.

- To ty wezwałeś windę? - zapytał Gray.

- Ja. Chciałem dostać się do restauracji, zobaczyć, co to za hałasy.

Gray nie wiedział, czy najlepszą cechą Kowalskiego jest tępota czy lenistwo.

- Wszyscy wychodzić! - zawołał.

Rosauro już pomagała Elizabeth i Mastersonowi zejść z dachu windy. Gray poprowadził ich do schodów. Kowalski ubezpieczał tyły.

Rosauro zrównała się z nim, gdy zbiegali.

- Słyszałam, jak rozmawiali po angielsku. To nie był brytyjski akcent. To Amerykanie.

Gray skinął głową. Gdy zobaczył ich w holu, zorientował się, że to najemnicy.

Przypomniał sobie faceta, którego widział przed Muzeum Historii Ameryki. I jego identyfikator - Mapplethorpe. DIA. Ktoś wiedział, że tu się pojawia.

Dotarli do opuszczonego holu. Komandor popędził wszystkich w stronę otwartych drzwi wyjściowych - ale zanim zdążyli do nich dojść, pojawił się w nich facet z automatycznym karabinem M4. Na pasku na plecach wisiał karabin snajperski M24 z długą lufą i celownikiem optycznym.

Lufa M4 wycelowana była w nos Mastersona.

Tym razem strzelec nie miał zamiaru chybić.

Nagle głowa zabójcy odchyliła się do tyłu. Padł na kolana jak marionetka, której ktoś obciął sznurki, po czym runął z łoskotem na twarz. Z tyłu czaszki wystawała niewielka stalowa rękojeść sztyletu.

Obok fontanny pojawił się Luka, w rękę trzymał drugi sztylet. Gray kopnął na bok leżący karabinek, który podniósł Kowalski. Luka podbiegł i wyciągnął ze zwłok swój nóż.

- Dzięki - powiedział Gray.

- Wyszedłem zapalić i usłyszałem strzały - wyjaśniał Cygan, wskazując ręką na dwór. - Strzelano z naprzeciwka. Pobiegłem tam. Kiedy wchodziłem na górę, facet właśnie zbiegał, więc schowałem się i śledziłem go aż do tego miejsca.

Gray poklepał go po plecach, dziękując za uratowanie wszystkim życia. Wskazał na drzwi.

- Wychodzimy. Musimy zniknąć z tego miasta, i to jak najszybciej.

Wybiegli na ulicę.

- Z tym najszybciej może być pewien problem - marudził Kowalski. Stał z jedną ręką opartą na biodrze, podtrzymując lufę karabinu ukrytego pod marynarką.

Gray popatrzył na ulicę i alejkę dojazdową. Wszędzie tłoczyły się taksówki, riksze, wózki, ciężarówki i samochody osobowe.

Wszystkie stały.

Słychać było jedynie chór klaksonów i muzykę, śpiewy i radosne nawoływania. Z dali dochodziły dźwięki festynu. Kakofonia dźwięków przytłumiła trochę strzelaninę w hotelu, ale nie do końca.

W oddali Gray usłyszał wycie syren radiowozów policyjnych wezwanych do hotelu. Dosłyszał też echa okrzyków dobiegających z holu. Nadciągała grupa szturmowa.

- Co teraz robi...? - odezwała się Rosauero.

Ryk motocykli przerwał jej pytanie, Gray odwrócił głowę. Po lewej, kilka przecnic dalej, trzy czarne motocykle zygzakowały w korku. Zbyt szybko, zbyt natrętnie. Przebijały się między ludźmi, spychały ich z chodnika. Pędziły wprost do hotelu. Na każdym motocyklu z tyłu siedział dodatkowy pasażer z długą bronią. Nadciągali nowi komandosi.

Gray wciągnął wszystkich w alejkę dojazdową, by zniknąć z widoku. Odwrócił się do Mastersona i ściągnął mu z głowy kapelusz.

- Marynarkę też proszę zdjąć - polecił, wkładając kapelusz.

- Co pan zamierza zrobić? - zapytał Masterson, ściągając białą marynarkę.

- Ten snajper celował najpierw w pana, doktorze Masterson. Pan jest głównym celem ich operacji.

- Pierce... - Chciała go ostrzec Rosauero. Gray wcisnął się w luźną marynarkę.

- Chcę odciągnąć od was te motocykle - wyjaśnił i wskazał na zatłoczoną ulicę. - A ty i reszta uciekajcie w przeciwną stronę. Spotkamy się koło tego fortu przy wjeździe do śródmieścia.

Rosauero zaakceptowała plan skinieniem głowy.

- Idę z Grayem - rzucił Kowalski. Wyszedł zza Elizabeth i podniósł karabin. - Przyda się panu wsparcie.

- To prawda. Mnie wystarczy opiekowanie się cywilami - zgodziła się Rosauero.

Gray nie miał czasu na dyskusje. Z pewnością przydadzą mu się mięśnie Kowalskiego i karabinek automatyczny.

- Ruszajcie! - zakomenderował.

- Panie Pierce!

Gray odwrócił się. Masterson rzucił mu swoją laskę. Gray złapał ją, uzupełniając swój strój.

- Tylko proszę jej nie zgubić. Jej główka pochodzi z osiemnastego wieku!

Gray wypadł na ulicę, za nim Kowalski. Biegł, udając, że się potyka, machał

laską i wykrzykiwał po angielsku z brytyjskim akcentem:

- Ratunku! Chcą mnie zabić!

Biegł w stronę festynu ulicznego wśród stojących samochodów i wózków. Z tyłu, przed hotelem, zahamowały motocykle, po czym zawyły, ruszając ostro z miejsca.

Za nimi.

- Połknęli przynętę - skomentował Kowalski.

06.33

Waszyngton, D.C.

Pukanie do drzwi zdziwiło Paintera. Mało się nie zdrzemnął, siedząc w fotelu i opierając się o blat biurka, na którym leżały dokumenty i wyniki testów Lisy i Malcolma. Wcześniej rozkazał Kat, by przespała się na jednym z wolnych łóżek w części medycznej. Tej nocy też nie zmrużył oka i powinien zastosować się do własnej rady.

Nacisnął pod blatem guzik zwalniający blokadę drzwi, które natychmiast się rozchyliły. Spodziewał się Lisy albo Malcolma. Painter wyprostował się w fotelu i zerwał na równe nogi.

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna o szerokich ramionach, ubrany w granatowy garnitur. Jego niegdyś rude, zaczesane elegancko do tyłu włosy były niemal siwe.

- Sean?

Sean McKnight był dyrektorem DARPA i bezpośrednim przełożonym Crowe'a. To on właśnie ściągnął Paintera do Sigmy ponad dziesięć lat temu, gdy sam jej szefował. McKnight był pierwszym dyrektorem Sigmy i wprowadził pomysł Archibalda Polka w życie. I co ważniejsze, był dobrym przyjacielem Paintera. Gestem ręki go powstrzymał.

- Nie wstawaj na mój widok, chłopie - powiedział na powitanie. - Nie mam zamiaru tu z powrotem dyrektorować.

Painter się uśmiechnął. Pierwszego dnia pracy na stanowisku dyrektora Painter otrzymał od Seana karton środków na nadkwasotę. Miał to być dowcip, ale parę lat później połowę lekarstw już zużył.

- Coś mi mówi, Sean, że twoja praca też nie jest łatwa.

- Dzisiaj na pewno nie. - McKnight zapadł się w fotelu po drugiej stronie biurka. - Sprawdziłem tego faceta, którego Pierce zobaczył przed muzeum. To John Mapplethorpe.

- Czyli to nie był fałszywy identyfikator?

- Wręcz przeciwnie. Mapplethorpe jest szefem jednego z wydziałów DIA. Nadzoruje działalność w Federacji Rosyjskiej i byłych republikach radzieckich.

Painter przypomniał sobie ustalenia Malcolma dotyczące miejsca, gdzie Polk otrzymał śmiertelną dawkę promieniowania. To był Czarnobyl. Jaka mogła być rola Mapplethorpe'a w tym wszystkim?

- Ten człowiek ma potężnych sprzymierzeńców wśród agencji wywiadowczych - ciągnął Sean. - Znany jest z bezwzględności i skłonności do manipulacji. Ale ma też opinię faceta, który osiąga oczekiwane rezultaty. Jest ceniony w Waszyngtonie.

- Jaka jest jego rola w tym wszystkim?

- Przeczytałem twój najnowszy raport. Wiesz już o odtajnionym projekcie Gwiazdne Wrota. I o tym, że zakończono go w połowie lat dziewięćdziesiątych.

- Ale to nie do końca prawda - oświadczył Painter. - Projekt został utajniony i ciągnie go DIA.

- No właśnie. Teraz jest to projekt Mapplethorpe'a. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku skontaktowała się z nim para naukowców, która prowadziła rosyjski odpowiednik projektu Gwiazdne Wrota. Obcięto im fundusze i szukali nowego sponsora. Zgodziliśmy się pomóc... dla wspólnego dobra w nowym świecie wrogów, którzy nie uznawali granic. Tak więc mała grupka naukowców z Rodziny Jasonów została oddelegowana do współpracy z Rosjanami. I to właśnie wtedy projekt został utajniony. Tylko kilka osób wiedziało, że jest dalej prowadzony.

- Do momentu gdy Archibald wybrał się do nas - uzupełnił Painter.

- Uważamy, że chciał ich wydać i coś ujawnić.

- Bestialstwo popełniane w imię nauki.

- W imię bezpieczeństwa narodowego - poprawił go Sean. - Pamiętaj o tym. To hasło jest jak smar, który pokrywa wszystkie tryby w Waszyngtonie. Nie wolno nie doceniać Mapplethorpe'a. Wie, jak rozgrywać każdą piłkę. I święcie wierzy, że jest prawdziwym patriotą. Długo nad tym pracował, żeby właśnie tak o nim myśleli przedstawiciele służb wywiadowczych tutaj i za granicą.

Painter pokręcił głową ze zdziwieniem. Sean mówił dalej.

- Mapplethorpe poruszył każdą agencję wywiadowczą w kraju, żeby szukała czaszki, którą zdobyliście. Możesz sobie wyobrazić każdą kombinację liter. CIA, FBI, NSA, NRO, ONI. Założę się, że nawet poruszył stowarzyszenie emerytowanych agentów wywiadu z AARP. - Sean próbował uśmiechnąć się ze swojego dowcipu, ale kiepsko mu to wyszło. - Nie mogę tego wszystkiego dłużej kryć. Archibald został zastrzelony na stopniach twojej siedziby. Jego związki z Jasonami, z Sigmą nie pozostaną niezauważone. A po zeszłorocznej rządowej kontroli naszej działalności wiele utajnionych śladów wiedzie prosto do was.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Painter.

- Myślę, że czas, by czaszkę wyciągnąć na powierzchnię. Wilki zacieśniają kręgi. Mógłbym przepuścić czaszkę przez inną agencję wywiadowczą, żeby bezpośrednio ślady nie wiodły do Sigmy. - Jego wzrok napotkał spojrzenie Paintera. - Ale to da ci tylko pół dnia ekstra z dziewczynką. Jeśli do tego czasu Gray i jego zespół nie dadzą nam gotowych odpowiedzi, będziemy zmuszeni oddać dziewczynkę.

- Nie zrobię tego, Sean.

- Możesz nie mieć wyboru. Painter wstał.

- Chodź ją chociaż poznać. Zobaczysz, co jej zrobiono. I wtedy mi powiesz, czy można przekazać to dziecku Mapplethorpe'owi.

Painter dostrzegł, że jego szef się wzdrygnął. Zawsze łatwiej było skazywać ludzi, których się nie znało. Ale Sean skinął głową i wstał. Nigdy nie uciekał od trudności. Za to właśnie Painter go tak szanował.

- No to chodźmy się z nią przywitać.

Wyszli razem i zjechali dwa poziomy niżej do pomieszczeń, gdzie mieszkała teraz dziewczynka.

Na dole Painter zobaczył Kat i Lisę na końcu holu koło drzwi do pokoju, w którym przebywało dziecko. Kat wyglądała na niezwykle przejętą. Painter wiedział, że zasmuciła się po tym, jak dziewczynka narysowała głowę jej męża, Monka. Ale w końcu się uspokoiła. Przyznała się, że otworzyła portfel, by pokazać małej zdjęcie własnej małej córeczki, Penelopy, mając nadzieję, że uda się jej nawiązać kontakt z dzieckiem. Wśród zdjęć w portfelu znajdowało się też zdjęcie Monka.

„Ale jestem pewna, że go nie widziała” - powiedziała później Kat.

Dziewczynka mogła też w jakiś niewyjaśniony sposób „pobrać” wygląd twarzy Monka z pamięci Kat, jako osoby bardzo jej bliskiej.

Tak czy inaczej Kat już się uspokoiła i przyznała, że najlepiej będzie, jak utnie sobie drzemkę. Wskutek wyczerpania znalazła się na krawędzi załamania nerwowego.

Widząc zbliżających się szefów, ruszyła w ich stronę.

- Dyrektorze - powiedziała w pośpiechu - właśnie miałyśmy do pana dzwonić. Temperatura dziewczynki bardzo się podniosła. Musimy coś zrobić. Lisa myśli, że... że ona umiera.

14.35

Agra, Indie

Gray biegł. Im bliżej było do następnego skrzyżowania, tym ruch uliczny stawał się wolniejszy. Przechodnie powoli przeciskali się między pelzającymi samochodami. Festyn całkowicie zatarasował jedną z głównych arterii. Pojazdy kierowano w boczne ulice.

Klaksy trąbiły, dzwonki rowerów dzwoniły, ludzie wrzeszczeli i przeklinali.

Wycie motocykli nadjeżdżających z tyłu przeszło w niskie burczenie. Ten gąszcz pojazdów i ludzi zatrzymał myśliwych. Mimo to Gray wołał nie rzucać się w oczy. Kowalski przysunął się do niego i pochylił przy wozie ciągniętym przez konia.

- Zeszli z motocykli.

Pierce się odwrócił. Trzy czarne motocykle zatrzymały się, a pasażerowie ruszyli za nimi pieszo. Dwóch trzymało się blisko krawężników, a jeden przeciskał się środkiem ulicy.

Skala zagrożenia zwiększyła się z trzech do sześciu.

- Mamy marne szanse - mruknął Gray. Przyszło mu coś do głowy i powiedział

Kowalskiemu, co ma robić i gdzie się spotkają. - Ja pójde górą. A ty dołem.

Wielkolud przykucnął przed ciężarówką. Popatrzył na odchody końskie, osłe i wielbłądzie pod stopami.

- Dlaczego to ja mam się skradać?

- Bo ja mam białe ubranie.

Kręcąc głową, Kowalski kucnął jeszcze niżej i w takiej pozycji zaczął się posuwać z powrotem w kierunku hotelu.

Podtrzymując panamę na głowie, Gray wskoczył na bagażnik taksówki, później na jej dach i ruszył w stronę festynu. Przeskoczył na następny samochód, taksówkę, wóz konny i w ten sposób poruszał się do przodu. Za nim niosły się okrzyki złości i wznosiły pięści, jednak skakanie po dachach i maskach samochodów było najszybszym sposobem przemieszczania się w takim korku.

Gray obejrzał się przez ramię. Myśliwi dostrzegli go, tak jak się spodziewał. Żeby go nie stracić z oczu, trzech z nich też zdecydowało się na pościg po dachach pojazdów. Starali się dojść do niego z trzech różnych stron, ale na szczęście nie mogli złapać równowagi, by oddać strzał.

Kucając i opierając się na lasce Mastersona, Pierce skakał jak żaba w kierunku hałaśliwego i rozkrzyczanego festynu. Musiał odciągnąć od motocykli tych trzech.

Rozdzielić i zlikwidować.

Prześlizgując się po dachu vana, Gray zlustrował morze ludzi. Tylko że teraz w tym morzu grasował jeszcze jeden rekin. Nie mógł dostrzec Kowalskiego, ale zobaczył efekty jego robótek ręcznych. Z tyłu motocykl przebijał się przez korek koło ciężarówki. Gdy dojechał do jej frontu, motocyklista nagle wyprostował się i jego ciało zaczęło dygotać. Gray usłyszał cichy dźwięk, jakby ktoś na festynie odpalił małe fajerwerki, których trzask odbił się echem aż tutaj.

Kierowca i jego motocykl zniknęli w tłumie.

Kowalski pozostawał w ukryciu. Myśliwi wypatrywali uciekającego Graya, więc wielkoludowi łatwiej było ich dopaść, poczekać, aż się zbliżą, i przytknąć lufę zdobycznego karabinu M4 do któregoś z motocyklistów. Strzał z najbliższej możliwej odległości. I do tego w pełni tłumiony.

Rekin nie zakończył jeszcze polowania.

Gray sunął dalej w stronę festynu ludowego. Ludzie śpiewali, tańczyli, krzyczeli i śmiali się, wszędzie panowała wrzawa. Brzmiały trąby i czynele. Były to obchody święta Janmasztami z okazji rocznicy urodzin Kriszny.

Z miejsca gdzie się znajdował, Gray dostrzegł ludzi tańczących Ras Lila, tradycyjny taniec mieszkańców Manipuru przedstawiający młode, grzeszne lata Kriszny, gdy romansował z dojarkami krów. Z tłumów ludzi wystawały piramidy utworzone z młodzieńców, którzy chcieli osiągnąć glinianych słoików zawieszonych na linach w poprzek ulicy. Słoje te nazywano dahi-handi; wypełnione były zsiadłym mlekiem i masłem. Ta zabawa była rozgrywana na pamiątkę Kriszny, który w młodzieńczych latach wraz ze swoimi przyjaciółmi kradł masło sąsiadom.

Wokół słychać było skandowanie zagrzewające młodzieńców do wysiłku.

- Govinda! Govinda!

To było drugie imię Kriszny.

Gray popędził po dachach samochodów w stronę festynu. W miejscu gdzie rozpoczynał się festyn, zamknięto drogę i ruch pojazdów kierowano objazdami. Komandor zakończył skakanie po dachach. Zsunął się z ostatniej taksówki i wtopił w tłum.

W ludzkiej gęstwinie zrzucił z siebie białą marynarkę i kapelusz. Przepychając się między uczestnikami zabawy, w jednej ręce trzymał laskę, a w drugiej pistolet, który przyciskał do uda. Kierował się w stronę skraju festynu, gdzie otoczone kupującymi stały stragany i wozy z przysmakami.

Planował spotkanie z Kowalskim na północno-zachodnim rogu placu. Nie odważyłby się iść w stronę fortu, nie upewniwszy się, że zgubił pościg. Trafił na budynek z opuszczoną drabiną pożarową. Na balkonikach stali ludzie oglądający zabawę. Wdrapał się na pierwsze piętro, by mieć lepszy widok na tłum i obserwować poczynania Kowalskiego.

Z góry dostrzegł jednego z goniących, który zeskoczył z dachu ciężarówki i wmieszał się w tłum. Jego dwaj towarzysze przeciskali się przez ludzką ciżbę, łatwo ich było zauważyć, bo mieli czarne kaski. Jeden z nich pochylił się i podniósł z ziemi podeptany i zabrudzony biały kapelusz. Odrzucił go na bok z frustracją.

Gray miał nadzieję, że ścigający zrozumieją wreszcie beznadziejność swojej sytuacji i zrezygnują z dalszej pogoni. Ale nigdy nic nie szło po jego myśli.

Kowalski wbił się w tłum. Jego marynarka była już do niczego. Nic nie trzymał w rękach, a policzki miał ubrudzone krwią. Niestety w tłumie wyróżniał się wzrostem. Był o ponad głowę wyższy od otaczających go ludzi. Przysłaniając oczy dłonią przed ostrym słońcem, rozglądał się po morzu głów.

Tylko że tym razem Kowalski nie był już samotnym rekinem ludojadem.

Jeden z mężczyzn w kasku motocyklowym rozpoznał go i wskazał ręką. Reszta zaczęła osaczać Kowalskiego ze wszystkich stron.

Niedobrze.

Gray odwrócił się, ale na balkonie zrobił się jeszcze większy ścisk. Pomyślał, że chyba nie zdoła znaleźć się z powrotem w tłumie na czas.

Wspiał się na balustradę balkonu, odbił i wyskoczył - prosto w górę.

Z balkonu powyżej zwiślała w poprzek ulicy naoliwiona lina. Gray wyrzucił do góry ramiona i zaczepił o nią gałkę laski Mastersona. Impet i skręt ciała spowodowały, że zaczął zsuwać się po linie obciążonej w środku wielkim kamionkowym słojem dahi-handi. Jedną ręką uczeplił się laski, a drugą trzymał opuszczoną.

Gdy jego obcasz znalazł się na wysokości głowy mężczyzny w kasku, wystrzelił z pistoletu trzymanego między nogami. Pocisk roztrzaskał kask jak łupinę orzecha i powalił ścigającego na ziemię.

Moment później Gray uderzył w szczyt ludzkiej piramidy wspinającej się do słoja. Zwalił na ziemię najwyżej stojącego młodzieńca i zajął jego miejsce. Podpierając się, by nie spaść, upuścił laskę i pistolet.

Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę.

Także dwóch pozostałych ścigających ich bandziorów.

Komandor balansował na ramionach mężczyzny pod nim. Złapał za spód wielkiego glinianego słoja, odczepił go z haka, na którym wisiał, i odmawiając po cichu modlitwę do Kriszny, wałnął nim najbliższego ścigającego.

Jego modlitwy zostały wysłuchane.

Ciężki słów wyrzwał gościa w twarz, rozbijając się i oblewając go kwaśnym mlekiem i masłem. Mężczyzna został unieszkodliwiony.

Trzeci bandzior uniósł pistolet. Tłum zaczął wrzeszczeć, a on wystrzelił dwa razy w stronę Graya - tylko że komandor już zniknął. Ludzka piramida się rozpadła. Kule świsnęły mu nad głową, gdy spadał w splecione ludzkie ciała.

Gray starał się jakoś pozbierać, próbując znaleźć solidne oparcie dla nóg. Napastnik ruszył w stronę powalonych ludzi z bronią gotową do strzału. Zanim zdążył wystrzelić, coś białego błyskawicznie pojawiło się przed jego twarzą. W ułamku sekundy jego głowa odchyliła się do tyłu, gdy otrzymał cios gałką laski Mastersona. Kowalski włożył w uderzenie tyle siły, co baseballista uderzający w piłkę.

Pojawiła się krew, a ofiara padła na asfalt jak nieżywa.

Kowalski zabrał mężczyźnie pistolet i wyciągnął laskę w stronę rozsypanej ludzkiej piramidy. Gray złapał jej koniec i Kowalski go stamtąd wyciągnął.

- Zginać od masła? - Wielkolud się uśmiechnął. - Nieźle, Pierce. To zupełnie nowe spojrzenie na zagadnienie troski o właściwy poziom cholesterolu.

Dookoła nich panował chaos. Ludzie uciekali we wszystkich kierunkach. Niezdający sobie z niczego sprawy policjanci nie wiedzieli, co zrobić z takim tłumem. Gray i Kowalski przedostali się na przylegającą do placu ulicę.

Po kilku minutach niespokojnego marszu wyrosły przed nimi potężne mury z czerwonego piaskowca rozłożone na brzegu Jamuny. Dotarli do Czerwonego Fortu Akbara Wielkiego - głównej atrakcji turystycznej miasta, ustępującej jedynie Tadź Mahal.

Taksówki, vany i limuzyny parkowały wzdłuż ulicy.

- Pierce!

Shay Rosauro stała przy białej limuzynie, wielkiej jak wieloryb, i machała do niego ręką. Gray podszedł do niej. Luka stał przy otwartych drzwiach. Masterson i Elizabeth siedzieli w środku.

- Nie jest to zdecydowanie samochód, który nie rzuca się w oczy - rzekł Gray.

- Powinniśmy się w nim jakoś wszyscy zmieścić - wyjaśniła Rosauro i uśmiechnęła się przebiegle. - A zresztą co nam szkodzi choć raz przejechać się odpicowaną bryką?

- Ta dama wie, o czym mówi - skomentował Kowalski i ruszył do przednich drzwi. - Może pozwolą mi pokierować?

- Nie! - krzyknęli jednocześnie Gray i Rosauro.

Z miną wyrażającą głębokie ubolewanie Kowalski zatrzymał się i wcisnął na siedzenie z tyłu limuzyny. Rosauro usiadła obok niego.

Zanim Gray przyłączył się do towarzystwa, rozejrzał się dokładnie po ulicy. Nikt na nich nie zwracał najmniejszej uwagi. Najprawdopodobniej udało im się zgubić ścigających. Odwrócił głowę i spojrzął na drugi brzeg rzeki.

W oddali biały marmur mauzoleum błyszczał w świetle słońca; rozłożony wśród ogrodów pałac pogrążony był w odwiecznym spokoju.

Gray odwrócił się tyłem do Tadź Mahal. Tylko martwi mogą spać tak spokojnie, pomyślał.

Gdy wsiadał do limuzyny, Masterson natychmiast wyjęczał:

- Co pan zrobił z moją laską?

Gray opadł na siedzenie. Osiemnastowieczna główka z kości słoniowej pokryta była krwią. Drobne szczegóły bogato rzeźbionej kości słoniowej zostały wygładzone przez jazdę po konopnej linie.

- Ta laska nie jest pana największym zmartwieniem, profesorze - oświadczył Pierce.

Gdy limuzyna ruszyła od krawężnika, Masterson posłał mu gniewne spojrzenie.

Gray wskazał na jego zabandażowane ucho.

- Ktoś próbuje pana zabić, Masterson. Ciekawe dlaczego?

6 września, 07.45
Waszyngton, D.C.

- Brakuje mi w tym wszystkim kilku elementów - oświadczył Trent McBride.

Jurij spostrzegł, że McBride spojrział w jego kierunku, ale nawet nie mrugnął. Niech go już lepiej zabijają. To i tak bez znaczenia. Jurij siedział na krześle. Po zdjęciu elektrod z ciała pozwolili mu się ubrać. Bolesne tortury ciągnęły się jeszcze przez dwadzieścia minut. Jurij wyznał, co chcieli wiedzieć. Opowiedział im ze szczegółami o kwestiach związanych z genotypami dzieci - o sekrecie, który on i Sawina ukryli przed Amerykanami.

Powiedział nawet, dlaczego Rosjanie nie mieli nic przeciwko przyjęciu Archibalda Polka do zespołu. Polk za bardzo zbliżył się do sedna genetycznego sekretu, to Jurij przyznał. Sawina planowała nawet zaaranżowanie wypadku, by go uciszyć raz na zawsze, gdy przebywał w Warren.

Jednak w tej gmatwaninie naukowych gier ani on, ani Sawina nie podejrzewali, że bliski współpracownik Polka i jego wieloletni przyjaciel zorganizuje mu ucieczkę, tylko po to, by wyciągnąć później jedno z ich dzieci z ośrodka.

Sawina dała się podejść. Niewiele ją obchodziło, że Polk uciekł z czaszką, którą dał mu McBride. Tylko strach przed ujawnieniem tajemnicy związanej z genotypem dzieci sprawił, że wysłała Jurija i Saszę, by zapolowali na zbiega. Wpadła prosto w pułapkę zastawioną przez Amerykanów.

- Brakujące elementy? - zdziwił się Mapplethorpe, ściągając na siebie uwagę. Pokręcił głową, jakby tym się wcale nie przejmował. - Ja widzę tylko trzy: dziewczynka, czaszka i ślad po pobycie Polka w Indiach. To ostatnie właśnie jest załatwiane. Moje kontakty w różnych organizacjach wywiadowczych doniosły mi, że nasza zagubiona czaszka znowu do nas trafi.

- Jak pan to załatwił? - zapytał McBride.

- Wystarczy dobrze zagotować wodę, a zdziwiłby się pan, ile rzeczy może wypłynąć na powierzchnię.

- A dziewczynka?

Jurij zaczął się przysłuchiwać z większym skupieniem. Mapplethorpe rzucił na niego okiem. Jurij doskonale zdawał sobie sprawę, że pozostaje przy życiu tylko ze względu na Saszę. Mapplethorpe go potrzebował, bo on znał stan jej zdrowia i wszystkie te dzieci. Stres związany z manipulacjami w mózgu nie pozostał bez wpływu na fizyczne zdrowie obiektów. W rzeczywistości niewiele

obiektów dożywało dwudziestu kilku lat, szczególnie tych obdarzonych wybitnymi talentami. Ten problem wymagał pobierania jajeczek i spermy, gdyż tylko w ten sposób można było kontynuować istnienie najsilniejszej linii genetycznej.

- Powinniśmy mieć dziewczynkę, zanim zajdzie słońce... jeśli nie wcześniej. - Mapplethorpe westchnął.

A to i tak będzie już za późno, pomyślał Jurij. Jacy ci Amerykanie są prymitywni, tak szybko uwierzyli, że zeznaniami wszystko z niego wyciągną. Jurij nie kłamał, ale nie powiedział wszystkiego. Tak naprawdę to McBride nawet nie znał właściwego pytania. Był przekonany, że zadając ból, usłyszy dokładnie to, co go interesowało.

Jurij zachował stoicki spokój. Chcieli złamać go swoimi torturami, ale on był już starym człowiekiem, przyzwyczajonym do dochowywania tajemnicy. Przesłuchujący osiągnęli tylko tyle, że Jurij jeszcze bardziej schował się w skorupę i nie zająknął się na temat przyszłych wydarzeń. W ostatnich miesiącach obudziły się w nim pewne wątpliwości co do planu Sawiny. To był taki naturalny odruch. Miliony ludzi zginie w potwornych męczarniach. I narodzi się nowy świat. Nowy renesans.

Jurij spojrział na zadowolonego z siebie Mapplethorpe'a i pewnego siebie McBride'a.

Wszelkie wahania, które miał do tej pory, całkowicie ustąpiły. Sawina miała rację. Nadszedł czas, by podpalić ziemię.

14.55

Południowy Ural

General-major Sawina Martowa wiedziała, że coś musi być nie tak. Czuła to w kościach. Nie mogła już wysiedzieć w biurze. Musiała się uspokoić.

Trzymając krótkofalówkę przy uchu, szła z dwoma żołnierzami po ciemnej ulicy opuszczonego dawnego radzieckiego osiedla mieszkaniowego, które wypełniało tylną połowę grotu Czelabińska 88. Betonowe bloki bez wyrazu wznosiły się po obu stronach ulicy, były domem dla więźniów, którzy pracowali w kopalniach i fabrykach. Ci ludzie zamienili dożywotnie wyroki w gułagach na pięć lat pracy tutaj. Żaden z nich nie dożył piątego roku. Większość zmarła na chorobę popromienną przed końcem pierwszego roku pracy. Głupi hazard, ale to rozumiałe, że nadzieja potrafi z każdego racjonalnie myślącego człowieka zrobić desperata.

Niektórzy uważali Sawinę za okrutną, ale często tego wymagały okoliczności. Dzieci były dobrze odżywione, wszystkie ich zachcianki spełniano. Ból był minimalizowany w najbardziej humanitarny sposób.

Okrucieństwo?

Ona widziała we wszystkim konieczność.

Radio zatrzeszczało i zgłosił się porucznik Borsakow. Do tej pory

otrzymywała tylko niekorzystne raporty od swojego zastępcy. Cały czas prowadził poszukiwania dzieci wśród okolicznych wzgórz i dolin. Zwiodło go wiele fałszywych śladów, także porzucona szpitalna koszula uciekiniera.

- Znaleźliśmy dwa martwe psy - poinformował Borsakow. - Koło rzeki. Zostały rozerwane na strzępy przez niedźwiedzia. Ale odkryliśmy też świeży trop.

- A co z kotami?

W słuchawce krótkofalówki zapadła cisza.

- Poruczniku - powiedziała ponaglająco.

- Nie wypuściliśmy ich, dopóki mieliśmy świeży trop. Nie chciałem ryzykować życia psów.

Jego wytłumaczenie było bardzo praktyczne, ale Sawina wyczuła pewne napięcie w głosie rozmówcy. Porucznik wcale nie przejmował się psami, tylko dziećmi.

Dlaczego to właśnie ona musiała zawsze być bezwzględna?

- Ma pan świeży trop, poruczniku?

- Tak jest, pani generał.

- Więc niech pan mnie znowu nie zawiedzie.

- Tak jest, pani generał.

Rozłączyła się. Może jej ton był ostrzejszy, niż początkowo zamierzała, ale dość już miała złych wiadomości w ciągu ostatniej godziny.

Pracownik obsługi z sąsiedniego miasteczka Ozjorsk natrafił niedaleko jeziora Karaczaj na jedną z ciężarówek służących dawniej do wywożenia odpadów z zakładów wzbogacania uranu. W środku znalazł podrobiony identyfikator ze zdjęciem Archibalda Polka.

To wyjaśniało tajemnicę ucieczki profesora. Ktoś mu pomógł.

I wcale nie trzeba było długo zastanawiać się nad tym kto. Oczywiście, że doktor Trent McBride. W co grali ci Amerykanie? Biorąc pod uwagę brak wiadomości od Jurija, mogła się tylko domyślać, że i on, i dziewczynka zostali złapani. Jeśli głównym celem pomocy w ucieczce Polkowi było przejęcie dziecka, to Sawina musiała chylić czoło przed zdolnościami McBride'a.

Patrząc wstecz, zdała sobie sprawę, że nigdy nie powinna podejmować współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Tylko że wtedy nie miała wielkiego wyboru. W zamieszeniu po upadku Związku Radzieckiego jej projekt naukowy stracił wszelkie szanse na dalsze finansowanie. Jedyne dzięki powiązaniu z mocarstwem zza oceanu mogła kontynuować pracę.

Stany Zjednoczone dostarczały fundusze na prace nad odkryciem nowych sposobów prowadzenia działań wywiadowczych. Jej projekt dawał taką nadzieję. Ale oferował coś jeszcze. Rząd amerykański mógł zawsze oznajmić, że o niczym nie wiedział, tak jak odciął się od finansowanych przez CIA więzień w Europie, w których torturowano pojmanych terrorystów. W nowej rzeczywistości granice akceptowalnego postępowania - czy to militarne, czy naukowego - były rozmazane.

„Nie na naszej ziemi” - było nowym amerykańskim kredo.

I Sawina cieszyła się, że w swoim czasie mogła je wykorzystać.

Utratę Jurija i dziecka da się przeżyć. Wymagało to tylko szybszej realizacji przyjętego harmonogramu działań. Jej operacja - o kryptonimie Saturn - miała rozpocząć się tydzień po wizycie Nikołaja w Czarnobylu. A w obecnej sytuacji będą musieli rozpocząć tego samego dnia, czyli jutro.

Obydwie operacje - Uran i Saturn - otrzymały kryptonimy od dwóch strategicznych ofensyw podczas drugiej wojny światowej, kiedy Armia Czerwona pokonała siły niemieckie pod Stalingradem w najkrwawszej bitwie w historii świata. Zginęły wtedy blisko dwa miliony ludzi łącznie z cywilami. Uważa się, że ta porażka Niemców była punktem zwrotnym w wojnie.

Wspaniałe zwycięstwo jej ojczyzny.

I tak jak w przeszłości operacje Uran i Saturn jeszcze raz wyzwolą Rosję i zmienią losy świata.

Tak jak wtedy nie obędzie się to bez strat w ludziach. Konieczność jest okrutną królową.

Sawina doszła do ściany groty. Dalej biegł tunel zamknięty pancerną bramą, będącą miniaturową wersją głównej bramy wjazdowej do miasteczka Czelabińsk 88.

Wewnątrz tunelu stał pociąg. Zelektryfikowana linia prowadziła pomiędzy Warren i sercem operacji Saturn daleko na drugim brzegu jeziora Karaczaj. Tunel wiódł pod toksycznymi wodami, pozwalając na szybki transport pomiędzy dwoma miejscami bez narażania się na kontakt z promieniotwórczą zupą ze strontem-90 i cezem-137.

Pociąg już na nią czekał.

Sawina wspięła się do jednego z wagonów pasażerskich osłoniętych ołowianymi blachami. Pociąg miał tylko dwa takie wagony, na początku i na końcu składu. Pomiędzy nimi znajdowały się otwarte wagony do przewożenia dostaw, sprzętu górniczego i urobku.

Wagony drgnęły, elektryczna lokomotywa zaszumiała i pociąg ruszył. Z tyłu zamknęły się pancerne wrota. Tunel wypełniła ciemność. Gdy rozpoczynała się pięciominutowa podróż, Sawina spojrzała z zastanowieniem w górę. Kiedy pociąg przyspieszał, wyobraziła sobie masy wody nad tunelem oddzielone czterystoma metrami litej skały.

Cały ten region był w czasach Związku Radzieckiego sercem wytwarzania plutonu oraz potrzebnego izotopu uranu. Działo tu siedem reaktorów do produkcji plutonu i trzy zakłady jego separacji. Były beznadziejnie zarządzane. Od 1948 roku z zakładów wydostało się pięć razy więcej promieniowania radioaktywnego niż suma skażenia w Czarnobylu i ze wszystkich dotychczasowych prób jądrowych na całym świecie.

A połowa tego skażenia nadal była tu zgromadzona - w wodach jeziora Karaczaj.

Poziom promieniowania na brzegu jeziora wynosił sześćset rentgenów na godzinę. Godzina ekspozycji na takie promieniowanie stanowiła śmiertelną dawkę dla każdego organizmu. Sawina przypomniała sobie, gdzie pracownik obsługi z Ozjorska znalazł porzucony samochód, którym uciekał Archibald

Polk. Na brzegu jeziora. Pokręciła głową. Nie było potrzeby ścigania Polka. On już wtedy był martwy.

Z przodu pojawiły się światła. Zwiastowały nadejście jaśniejszej przyszłości. To było serce operacji Saturn.

15.15

- Co oni planują? - zapytał Monk z przerażeniem w głosie, może trochę za głośno.

Już godzinę maszerował tak z dziećmi wzdłuż wartkiej rzeki. To nie była ta sama rzeka, przy której spotkali niedźwiedzia. W tamtym miejscu Monk wepchnął do strumienia kilka sporych głazów, tworząc spiętrzenie, i poprowadził dzieci dalej wzdłuż jego brzegów do większej rzeki płynącej przez gęsty bór jodłowy. Monk dokładnie przestudiował mapę topograficzną terenu. Wyglądało na to, że znajdowali się na obszarze zlewiska, które zbierało wody ze wschodnich stoków Uralu. Zachodnie stoki łańcucha oddawały wody opadowe i roztopowe do zlewiska Morza Kaspijskiego; a po tej stronie woda spływała do wielkiego pojezierza pełnego rzek i jezior, których wody z kolei wpływały do Oceanu Arktycznego.

- Co ci Rosjanie planują...

Konstantin spojrział na niego spod oka zdziwiony taką ostrością tonu.

- Przepraszam - powiedział po chwili znacznie ciszej, wiedząc, że głos lepiej się rozchodzi w górach. To przecież on właśnie ostrzegł dzieci i poprosił, by mówiły szeptem. Sam też zastosował się do tej zasady, choć jego głos nadal drżał.

- Nawet z tą dziurą w pamięci zdaję sobie sprawę, że planują czyste szaleństwo.

- I im się to uda - rzekł Konstantin z przekonaniem. - To wcale nie jest takie trudne. Całkiem prosta strategia. My - machnął ręką na Piotra i Kiskę i gdzieś dalej w powietrze, mając na myśli inne dzieci w podziemnym ośrodku - testowaliśmy różne scenariusze i modele działania, ocenialiśmy możliwe rezultaty, analizowaliśmy ogólnoświatowe dane statystyczne, badaliśmy wpływ na środowisko naturalne i ekstrapolowaliśmy końcowe wyniki. To jest dalekie od szaleństwa.

Monk przysłuchiwał się z uwagą chłopcu, który nie mówił jak nastolatek. Ale przypomniał sobie zimną stał za uchem Konstantina. Wszystkie dzieci miały coś takiego. Nawet Marta nosiła za uchem stalowy dodatek wielkości kciuka. Konstantin zademonstrował Monkowi swoje umiejętności matematyczne. Ćwiczenia umysłowe uspokajały go. Kiska pokazała, jak potrafi rozpoznawać i doskonale naśladować głosy ptaków.

Tylko Piotr był bardzo nieśmiały i nie chciał pokazać, co umie.

- Jest empatą - wyjaśnił Konstantin. - Potrafi odczytywać emocje innych

ludzi, nawet jeśli starają się je ukryć. Jeden z nauczycieli powiedział o nim, że jest żywym wykrywaczem kłamstw. Ze względu na te umiejętności woli towarzystwo zwierząt i spędzał dużo czasu w menażerii. To właśnie on nalegał, żebyśmy zabrali ze sobą Martę.

Monk przyglądał się chłopcu, gdy szedł ze starą szympansicą. Obserwował, w jaki sposób dochodzi między nimi do interakcji. Ciągłe się ze sobą komunikowali - spojrzeniami, gestami, mimiką twarzy, ruchem ramion.

Zauważył, że Piotr nagle zeszywniał i zatrzymał się. Marta zrobiła to samo. Piotr odwrócił się do Konstantina i zaczął szybko mówić coś po rosyjsku, potem po angielsku. Jego oczy zwróciły się na Monka, jakby szukał u niego ratunku.

- One tu są - wyszeptał chłopiec.

Nie musiał pytać, kogo Piotr miał na myśli. To było oczywiste i wynikało z przerażenia w jego głosie. Arkady i Zachary. Dwa tygrysy syberyjskie.

- Szybciej! - krzyknął Monk. Pobiegli w stronę rzeki. Konstantin przodem, za nim, jak gazela, biegła jego siostra Kiska. Konstantin prowadził ich po krzaczkach borówek, między postrzępionymi krzewami i skałami zwykle zalegającymi na brzegu rzek. Monk oglądał się za siebie. Musiał być uważny. Pod stopami ściełiły się wilgotne igły, które były śliskie jak lód.

Piotr poślizgnął się na ścieżce i wylądował twardo na plecach. Marta podała mu rękę i go podciągnęła. Monk ich popędzał. Konstantin i Kiska przecierali szlak z przodu.

Biegli przez pięć minut, aż zmęczenie dało im się we znaki i zwolnili. Przyływ adrenaliny i strachu wystarczył zaledwie na kilka minut wzmoczonego wysiłku. Po dziesięciu minutach bieg zamienił się w wolny trucht.

Znowu zbili się w grupę.

Nie było słyhać żadnego dźwięku pościgu, żadnych trzaskających gałązek ani chrzęszczącego chrustu. Ani śladu tygrysów.

Konstantin, czerwony na twarzy z wysiłku, spojrział na Piotra i powiedział coś ostro po rosyjsku, najwyraźniej dając chłopcu burę za fałszywy alarm.

Monk machnął na Konstantina.

- To nie jego wina - wysapał.

Piotr miał smutne, przerażone spojrzenie. Marta miękko pohukiwała na Konstantina. Kiska też zbesztala brata.

Piotr nie potrafił zbyt dobrze oceniać odległości, a jedynie intencje. Gdyby tygrysy były bardzo blisko...

Nagle Piotr zeszywniał, jakby kij połknął, i z przerażenia nie mógł wykrztusić ani słowa.

Słowa nie były już potrzebne.

- Biegniemy, do rzeki! - wrzasnął Monk.

Wszyscy ruszyli do brzegu rzeki, tak jak wcześniej planowali. Monk złapał Piotra, przycisnął go mocno do siebie i skoczył do wody. Zaraz usłyszał dwa pluśnięcia, to Kiska i Konstantin kilka metrów dalej skoczyli do rzeki.

Kokkalis wypłynął na powierzchnię zimnej jak lód wody z chłopcem uczeptionym jego szyi niczym bluszcz. Kątem oka dostrzegł, że Marta skoczyła na gałąź i zaczęła się wspinać na drzewo.

Głębiej w lesie... jakiś ruch... miękkie skradanie... zjeżone futro...

Machnął nogami, by znaleźć się w głębszym i szybszym nurcie.

Zobaczył, jak Marta skacze z gałęzi na gałąź między drzewami. Szympany nie potrafią pływać, dlatego musiała wybrać inną drogę.

Olbrzymi kształt wyskoczył z cienia na wolną przestrzeń, niemal szorował brzuchem po ziemi, miał rozdęte nozdrza, szeroko rozstawione łapy i sztywny, wysoko uniesiony ogon w pasy.

Tygrys skoczył z brzegu wprost na Monka, który wyrzucił ramiona do tyłu i odbił się nogami, choć obciążał go bagaż i chłopiec. Piotr mocniej zacisnął ramiona, niemalże go dusząc.

Tygrys leciał w powietrzu z szeroko rozstawionymi łapami, z wyciągniętymi pazurami, rycząc z wściekłości.

Monk nie potrafił już szybciej płynąć.

Ale nurt rzeki wyrównał ten brak.

Tygrys uderzył w wodę kilka metrów dalej, nie trafiając na ofiarę.

Kokkalis skierował się w wąski kanał pomiędzy skałami. Został głęboko wciągnięty przez mały wir, ale wydostał się na powierzchnię. Piotr zakrztusił się wodą i teraz odkasływał. Monk obrócił się i zobaczył, że tygrys popłynął w górę rzeki. Trzymał się skraju głównego nurtu. Mimo opowieści o niechęci kotów do wody tygrysy nie miały awersji do wody. Ale to zwierzę jednak płynęło w stronę brzegu. Takie polowanie nie było w kocim stylu. One zasadzały się na ofiarę.

Tygrysy najwyraźniej skradały się za nimi bezszelestnie przez las, gdy uciekali po pierwszym ostrzeżeniu Piotra. Chłopiec miał rację. Para dzikich kotów, wykorzystując instynkt łowiecki, szła ich tropem, czekając, aż ofiary się zmęczą na tyle, by je zaatakować. Tygrysy były sprinterami, nie długodystansowcami. Zawsze planowały atak w taki sposób, by uderzyć w najodpowiedniejszym momencie.

Na brzegu rzeki pojawił się drugi tygrys, chodził tam i z powrotem, powstrzymany przez rzekę. Pierwszy z kotów wyszedł na brzeg i energicznie otrząsnął się z wody.

Monk dobrze im się przyjrzał. Koty wyglądały na wychudzone i wygłodzone. Dostrzegł jednakowe stalowe puszczyki na czaszkach, zupełnie jak u wilków. Ucho jednego z tygrysów było zniekształcone, poszarpane podczas dawnego polowania. Według tego, co opowiadał Konstantin, to był Zachary. Koty były bliźniakami, więc tylko po tym można je odróżnić.

Jednakowym, płynnym ruchem, jakby zareagowały na niesłyszalny gwizdek, tygrysy odwróciły się i zniknęły w ciemności.

Monk wiedział, że to jeszcze nie koniec. Polowanie dopiero się zaczęło.

Obrócił się i zobaczył, że Konstantin i Kiska zniknęli za zakrętem rzeki. Popłynął za nimi. Piotr cały drżał. Chłopiec nie trząsał się z zimna czy ze strachu przed tygrysami. Jego wielkie, pełne przerażenia oczy nie patrzyły na brzeg rzeki, ale na jej nurt i wodę dookoła.

Co go tak wystraszyło?

15.35

Piotr uczepił się Monka. Jego ramiona mocno oplatały szyję mężczyzny, a nogi - biodra. Woda wypełniała jego świat. Czuł ją na ustach, w uszach, czuł jej słodycz i zieloną zgniliznę. Była zimna jak lód i mroziła ciało.

Nie potrafił pływać. Tak jak Marta. Przeszukiwał wzrokiem odległy brzeg rzeki, szukając przyjaciółki.

Piotr zdawał sobie sprawę z tego, że jego strach przed wodą pochodzi od szympanscy. Głęboka woda oznaczała dla niej śmierć. Czuł przyspieszone bicie jej serca, gdy przechodzili po skałach nad wodą, widział, jak zaciskała szczęki, jej rozszerzone źrenice.

Chłopiec całkowicie dzielił jej przerażenie. Przyłgnał do Monka.

Jednak prawdziwe sedno przerażenia Marty leżało głębiej, niż sięga jakakolwiek głębina morska. Piotr wiedział to już od pierwszego momentu, gdy przyszła do szpitala i położyła przyjaźnie łapę na pościeli. Większość myślała, że ona przyszła, by dać mu ukojenie, gdy dochodził do siebie po pierwszej operacji. Lecz już od pierwszej chwili, gdy spojrział w jej karmelowo-brązowe oczy, Piotr poznał sekret małpy. Ona przyszła do niego, żeby znaleźć ukojenie dla siebie, a jego wzmocnić.

Od tego momentu połączyły ich strach i miłość. I straszliwa tajemnica.

16.28

New Delhi, Indie

- Czy wiedzieliście o tym, że człowiek może widzieć przyszłość? - zapytał doktor Hayden Masterson, stukając w klawiaturę komputera.

Gray przestał wpatrywać się w swoją kawę. Grupa uciekinierów siedziała teraz w jednym z oddzielnych pokoi Delhi Internet Cafe & Video. Kowalski opierał się o przeszklone matową szybą drzwi, zapewniając im całkowitą prywatność. Zaczął skubać koniuszek plastra na brodzie. Elizabeth okleiła jego zadrapania plastrami, a teraz układała w stosik kartki wychodzące z drukarki laserowej. Byli tylko w czwórce. Rosauro i Luka poszli wynająć dla nich nowy samochód.

Gray nadal do końca nie wiedział, dokąd pojedą.

To wszystko zależało od Mastersona - a on wcale nie był w nastroju do opowiadania. Ledwie się odezwał po ucieczce z hotelu. Wszelkie próby wyciągnięcia z niego, dlaczego stał się celem zabójców, nic nie dawały.

Cały czas badawczo oglądał główkę swojej laski. Jego oczy błyszczały - ale nie z powodu szoku, tylko z głębokiej koncentracji.

Elizabeth pokręciła głową, patrząc na Graya. Nie naciskaj na niego.

Wydostali się z Agry i pojechali na północ do stolicy kraju - New Delhi. Podczas stu pięćdziesięciokilometrowej jazdy Gray zmusił ich do dwukrotnej

zmiany samochodów.

Gdy już dotarli do gęsto zamieszkanego przedmieścia, Masterson powiedział tylko jedno: „Muszę mieć dostęp do komputera”.

I tak znaleźli się w tym ciasnym pokoiku na tyłach kawiarenki internetowej. Profesor szybko zalogował się na prywatne konto witryny internetowej uniwersytetu w Mumbaju, które wymagało podania aż trzech różnych kodów dostępu.

- Badania Archibalda - wyjaśnił Masterson i zaczął wszystko drukować. Cały czas milczał, aż do czasu gdy napomknął o przewidywaniu przyszłości.

- Jak to? - zapytał Gray. Masterson odsunął klawiaturę od siebie.

- Wielu ludzi tego nie wie, ale w ciągu ostatnich kilku lat naukowo dowiedziono, że człowiek posiada umiejętność przewidywania najbliższych fragmentów przyszłości. Tak do trzech sekund.

- Trzy sekundy? Wielka mi korzyść - zakpił Kowalski.

- Właśnie, że wielka - odparł Masterson. Gray spojrzał karcąco na Kowalskiego.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że zostało to naukowo dowiedzione?

- Czy wiecie coś o projekcie Gwiazdne Wrota prowadzonym przez CIA?

Gray wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Elizabeth.

- To projekt, nad którym przez jakiś czas pracował Polk.

- Inny badacz biorący udział w tym projekcie, doktor Dean Radin, przeprowadził serię eksperymentów na ochotnikach. Podłączył ich do wykrywaczy kłamstw, zmierzył przewodnictwo skóry i zaczął pokazywać serie obrazów na ekranie. Zestawienie okropnych i uspokajających fotografii. Ostre i wulgarne zdjęcia wywoływały silne reakcje rejestrowane przez wykrywacze kłamstw, jakby takie elektroniczne grymasy. Po kilku minutach obiekty zaczęły podświadomie wzdrygać się, zanim okropna fotografia ukazała się na ekranie, reagując o trzy sekundy wcześniej. Te rezultaty stale się powtarzały. Inni naukowcy, wśród nich nawet laureaci Nagrody Nobla, powtórzyli te doświadczenia na Uniwersytecie w Edynburgu i Uniwersytecie Cornella. Z identycznymi wynikami statystycznymi.

Elizabeth pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Jak to możliwe? Masterson wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale eksperyment przeprowadzono także na hazardzistach. Obserwowano ich, gdy grają w karty. Zauważono, że powtarza się ta sama sytuacja, czyli że reagują, zanim karta zostanie odwrócona. Pozytywna reakcja występowała, gdy karta była korzystna, negatywna, gdy było odwrotnie. Te wyniki tak zaintrygowały laureata Nagrody Nobla, fizyka z Uniwersytetu Cambridge, że przeprowadził bardziej złożone badania, podczas których za pomocą obrazowania rezonansem magnetycznym zbadał aktywność ich mózgow. Odkrył, że źródło zdolności przewidywania musi znajdować się w mózgu. Ten noblista... pamiętajcie o tym, nie żaden pierwszy lepszy doktorancik... doszedł do wniosku, że zwykli ludzie potrafią przewidywać swoją najbliższą przyszłość.

- To zadziwiające! - wykrzyknęła Elizabeth.

- To właśnie zainspirowało twojego ojca do badań. Chciał się dowiedzieć, w jaki sposób i dlaczego jest to w ogóle możliwe. Skoro zwykli ludzie mogli widzieć trzy sekundy w przyszłość, to dlaczego nie można by zajrzeć dalej. Godziny, dni, tygodnie, lata. Dla fizyków taka teoria nie jest wcale nie do przyjęcia. Nawet Albert Einstein powiedział kiedyś, że różnica pomiędzy przeszłością a przyszłością jest tylko iluzją. Czas to jedynie kolejny wymiar, jak odległość. Przecież nie mamy problemów z chodzeniem po ścieżce tam i z powrotem. Dlaczego zatem nie przespacerować się po osi czasu?

Gray przypomniał sobie tę dziwną dziewczynkę i jej rysunek Tadź Mahal. Skoro człowiek może spoglądać w przyszłość, jak twierdzi Masterson, to dlaczego nie mógłby widzieć na dalekie odległości? Dyrektor Crowe opowiadał o projekcie jasnowidzenia realizowanym w CIA. Agencja miała na tym polu sukcesy.

- Wystarczyłoby znaleźć jedynie te nieliczne jednostki, które potrafią widzieć dalej w przyszłość niż zwykli ludzie, i zbadać je.

Lub wykorzystać, pomyślał Gray, nadal myśląc o dziewczynce. Elizabeth ułożyła ostatnią kartkę, która wysunęła się z drukarki. Podała stos wydruków Mastersonowi.

- Mój ojciec... właśnie szukał tych rzadkich jednostek.

- Nie, moja droga. On ich nie szukał. Elizabeth zmrużyła oczy ze zdziwienia. Masterson dotknął jej dłoni.

- On je znalazł. Gray się ożywił.

- Co?

Pukanie do drzwi uniemożliwiło profesorowi dokończenie opowiadania. Kowalski odwrócił się, sprawdził, kto puka, i otworzył.

Rosauro wsunęła głowę i rzuciła Grayowi klucze do wynajętego samochodu.

- Skończyliście?

- Nie - odpowiedział Gray.

Masterson przeszedł koło niego z wydrukami pod pachą.

- Tak, skończyliśmy - oświadczył profesor.

Gray tylko przewrócił oczami i machnął na wszystkich.

- Chodźmy - rzucił, choć w myślach dusił bezczelnego profesora.

Kowalski przysunął się do Graya.

- On tylko wyrównuje rachunki - skomentował słowa profesora i skinął głową, wskazując na laskę profesora - za to, co pan zrobił z jego laską.

Wyszli z kawiarenki internetowej i zobaczyli Lukę opierającego się o maskę SUV-a, mercedesa G55, w kolorze grafitowym. Rosauro podniosła rękę, powstrzymując komentarze.

- Okay. Możliwe, że rzuca się w oczy. Zgoda. Ale nie wiedziałam, dokąd jedziemy ani jak szybko będziemy musieli tam się znaleźć.

- Albo ile hond musielibyśmy zajeździć. - Kowalski uśmiechnął się szeroko.

- Ma napęd na cztery koła, prawie pięćset koni... i... - wzruszyła ramionami - po prostu mi się podobał.

Kowalski obejrzał samochód z podziwem.

- No dobra, od tej pory Rosauro wybiera nasze środki lokomocji!

Gray westchnął i zwrócił się do profesora.

- To dokąd teraz?

Profesor przeglądał papiery i wyraźnie czymś poirytowany wskazał tylko łaską na północ. Gray chciał usłyszeć bardziej szczegółowe informacje, ale się nie doczekał.

Ostrzeżenie Elizabeth dźwięczało mu stale w uszach. Nie naciskaj na niego...

Poddał się i wskazał ręką SUV-a. Za długo przebywali w jednym miejscu. Chciał już jechać, bez względu na to w jakim kierunku. Jeśli ktokolwiek wpuścił program szpiegujący na witrynę uniwersytetu w Mumbaju, to już ma ich dokładne zamiary.

- Wsiadać - rozkazał.

Kowalski złożył dłonie w miseczkę, oczekując kluczyków. Gray rzucił je Rosauro.

- Jesteś pan wcieleniem zła - rzekł złośliwie olbrzym.

17.06

Elizabeth miała już dosyć czekania. Odwróciła się do Mastersona.

- Hayden, dosyć już tych pana gier. Co dokładnie miał pan na myśli, mówiąc, że mój ojciec znalazł tych ludzi?

- Dokładnie to, co powiedziałem, moja droga.

Profesor siedział w środkowym rzędzie siedzeń mercedesa, po jednej stronie miał Elizabeth, po drugiej Graya. Z długopisem w ręku od dziesięciu minut studiował papiery. Rosauro spojrzała na nich. Kowalski siedział przybity obok kierowcy z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Luka zajął miejsce zupełnie z tyłu i pochylał się do przodu, by wszystko dokładnie słyszeć.

- Twój ojciec spędził ostatnie dziesięć lat, zbierając próbki DNA od najbardziej obiecujących joginów i mistyków w Indiach i je porównując. Przejechał całe Indie, wzdłuż i wszerz. Zbierał tony danych, porównywał kody genetyczne. Stworzył model statystyczny do analizowania zdolności umysłowych w zależności od rozbieżności kodu genetycznego.

- Przeprowadzał też badania plemienia Luki - dodała Elizabeth.

Cygan mruknął potakująco.

- Bo oni pochodzą z Pendżabu - wyjaśnił profesor.

- Ale dlaczego to jest takie ważne? - zapytał Gray.

- Zaraz wytłumaczę. - Profesor pogrzebał w pliku kartek. - Twój ojciec, Elizabeth, był prawdziwym geniuszem, w większości zupełnie niedocenianym przez swoich kolegów naukowców. On wskazał trzy geny, które występowały u osobników obdarzonych najsilniejszymi cechami. I jak podczas wielu przełomów naukowych takie odkrycie zależy zarówno od superinteligencji, jak i od zwykłego szczęścia. On odkrył istnienie tych genów, gdy zauważył, że wiele najbardziej utalentowanych jednostek ma większe lub mniejsze ślady autyzmu.

- Autyzmu? - zapytała zdziwiona Elizabeth. - Dlaczego właśnie autyzmu?
- Bo ta przypadłość umysłowa ograniczająca normalne funkcjonowanie w społeczeństwie często towarzyszy zdolnościom sawantów. - Hayden klepnął ją w kolano. - Czy wiedziałaś, że wiele znaczących postaci w historii wykazywało pewne autystyczne zachowania?

Elizabeth pokręciła głową.

- W sztuce byli to Michał Anioł, Jane Austen, Emily Dickinson, a także Beethoven i Mozart. W nauce Thomas Edison, Albert Einstein i Isaac Newton. W polityce Thomas Jefferson. Uważa się, że nawet Nostradamus do pewnego stopnia był autystyczny.

- Nostradamus? - zapytał Gray. - Ten francuski astrolog? Hayden skinął głową.

- Te jednostki zmieniały historię, ulepszały ludzką rasę, popychały nas cywilizacyjnie do przodu. Archibald uwielbiał cytować myśl doktor Tempie Grandin z jej szeroko znanych opracowań o autyzmie: „Jeśliby w jakiś magiczny sposób autyzm został usunięty z powierzchni ziemi, ludzie nadal nawiązywaliby znajomości przy ognisku przed jaskiniami”. I wierzcie mi, ona miała rację.

- A mój ojciec?

- Też, oczywiście. Twój ojciec twierdził, że istnieje związek pomiędzy autyzmem i jego badaniami nad intuicją i przeczuciami.

- I znalazł ten związek? - zapytał Gray.

- Wprawdzie nie znamy dokładnej przyczyny autyzmu, to jednak większość naukowców zgadza się z tym, że istnieje dziesięć genów potencjalnie odpowiedzialnych za powstanie jednostki autystycznej. Archibald zbadał te geny swoim modelem statystycznym i odkrył, że trzy z nich najczęściej występowały u wszystkich niezwykle utalentowanych jednostek. To był przełom w jego pracy, na który tak czekał. Mając te trzy genetyczne markery, zaczął wytyczać geograficzny zasięg ich występowania wśród populacji. I sporządził mapę zasięgów.

Profesor podał Elizabeth kartkę papieru, na której wydrukowano mapkę Indii z setkami małych kropek. Elizabeth obejrzała mapę i podała ją Grayowi.

- Każda kropka odpowiada jednej osobie mającej genetyczny marker. Jeśli przyjrzyście się bliżej, to zauważycie, jak wiele kropek występuje w pobliżu wielkich miast, takich jak New Delhi i Mumbai. To zrozumiałe, ponieważ w tych miastach i ich okolicach żyje dużo ludzi.

- To o co chodzi z tym rejonem tutaj? - Gray wskazał region na północy kraju.

Elizabeth wiedziała, dlaczego Gray pyta się akurat o ten obszar. W tym miejscu na mapie było o wiele więcej kropek niż gdzie indziej, a przecież nie było tam żadnego dużego miasta.

- No właśnie. Archibald też się nad tym zastanawiał. - Hayden wziął mapkę w ręce i wskazał palcem na skupisko kropek na północy kraju. - Przez ostatnie trzy lata koncentrował swoje prace badawcze na tym rejonie. Chciał się dowiedzieć, dlaczego tam występuje takie zagęszczenie markerów.

- Jak się nazywa ten region? - zapytała Elizabeth.
- Pendżab - odpowiedział głos za jej plecami. - Stamtąd wywodzą się Romowie - wyjaśnił Luka Hearn.

- Właśnie. I dlatego Archibald skontaktował się z plemionami cygańskimi w Europie i Stanach Zjednoczonych. Uważał, że z tak obfitego w historię prorocत्व regionu wyemigrowało wielu proroków i wróżbitów do Europy i za ocean. Chciał sprawdzić, czy ten genetyczny marker mają Cyganie.

- A mają? - Elizabeth skierowała to pytanie jednocześnie do Haydena i Luki.

- Tak, ale nie w skupiskach ludzkich, w których spodziewał się go znaleźć. I to zmartwiło twojego ojca - odpowiedział Hayden.

Luka sapnął na znak, że nie zgadza się z opinią profesora.

- O co chodzi? - Elizabeth zwróciła się teraz tylko do niego.

- Był pewien powód - wyznał Luka.

- Jaki? - wtrącił się Gray.

- Właśnie dlatego zatrudniliśmy pani ojca.

Elizabeth przypomniała sobie, że Luka nie zdążył szczegółowo zrelacjonować im tej historii. Zaczął opowiadać ją na pokładzie samolotu, ale coś im przerwało.

- Jak już wcześniej wam mówiłem, profesor chciał pobierać próbki krwi od naszych najbardziej uzdolnionych wróżbitów. Nie od oszustów, ale od tych prawdziwych jasnowidzów. Wśród Cyganów było jednak bardzo niewiele spełniających te kryteria.

- Dlaczego?

- Bo wykradzono nam serce naszego ludu.

Powoli, smutnym głosem Luka zaczął opowiadać o wielkim sekrecie sięgającym setek lat wstecz, przechowywanym przez pokolenia Cyganów. Dotyczył on jednej, szczególnej grupy. Nawet wspomnianie o niej przy obcych było zabronione. Ten klan żył w odosobnieniu i był chroniony przez inne rodziny. Stanowił prawdziwe źródło cygańskiego jasnowidzenia. Bardzo rzadko wróżbici z tego klanu przechodzili do innych plemion i żyli wśród nich, dzieląc się umiejętnościami i zakładając rodziny. Najczęściej mieszkali całkowicie na uboczu. Dopiero jakieś pięćdziesiąt lat temu znaleziono ten klan. Wymordowano wtedy wszystkie kobiety i mężczyźni i pochowano ich w płytkich grobach w przemarzniętej ziemi.

- Później okazało się, że w tym masowym grobie nie znaleziono kości dzieci. - Słowa Luki zabrzmiały szczególnie ponuro.

- Ktoś uprowadził dzieci - rzekła Elizabeth.

- Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kto to zrobił... ale nigdy też nie przestaliśmy szukać. Mieliśmy nadzieję, że profesor Polk, wykorzystując nowe sposoby szukania śladów: poprzez próbki DNA, odnajdzie dawno zdeptany trop.

- Udało mu się? - zapytała Elizabeth. Luka pokręcił głową.

- Nie wyjaśnił nam tego do końca. Choć kilka miesięcy temu przysłał mi dość dziwne pytanie. Chciał dowiedzieć się więcej o naszym statusie niedotykalnych w Indiach.

Elizabeth zauważyła coś dziwnego w wyrazie twarzy Haydena, w sposobie, w

jaki zmrużył oczy. On coś musiał wiedzieć.

Ale zamiast wyjaśniać, zrobił na mapce długopisem mały krzyżyk.

- Co to znaczy? - spytała Elizabeth, zobaczywszy, że krzyżyk został postawiony w samym środku skupiska kropek w Pendżabie.

- To znaczy, że tam właśnie musimy się udać, jeśli chcemy znaleźć odpowiedzi.

- A co to dokładnie za miejsce? - naciskał na wyjaśnienie Gray.

- To jest miejsce, w którym zaginął Archibald.

11

6 września, 17.38 **Prypeć, Ukraina**

Nikołaj szedł przez opuszczone wesołe miasteczko.

Stare, żółte samochodziki elektryczne stały w zielonej, zgnilej wodzie wśród wysokich do pasa chwastów. Pokrycie dachu pawilonu dawno się zawaliło, pozostawiając gołą, pordzewiałą konstrukcję zewnętrzną. Dalej, na tle popołudniowego nieba wznosiło się wysoko diabelskie koło. Wśród zardzewiałego szkieletu wisiały żółte zadaszony gondole. Park rozrywki przemienił się w ruinę od czasów Czarnobyla.

Nikołaj szedł dalej.

Wesołe miasteczko zbudowano przed uroczystościami pierwszomajowymi w 1986 roku. Zamiast tego na tydzień przed otwarciem i festynami czterdzieści tysięcy mieszkańców Prypeci zostało zabitych przez promieniowanie. Miasto wybudowano w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku i stanowiło świetny przykład radzieckiej architektury i urbanistyki: miało własny teatr, luksusowy hotel Polissia, nowoczesnie wyposażony szpital i piękne szkoły.

Teatr był zrujnowany. Przez dach hotelu wyrastały brzozy. Ze szkół zostały skorupy murów ze stosami spleśniałych podręczników, zniszczonych przez czas zabawek i drewnianych klocków. W jednej z sal Nikołaj dostrzegł stosy masek gazowych porzucanych dookoła i wyglądających jak oskałpowane twarze zmarłych. Kiedyś tętniące życiem miasto zostało dosłownie zredukowane do

powybijanych szyb, walących się murów, szkieletów łóżek i łuszczącej się farby. Chwasty i drzewa rosły wszędzie, rozrywając na części to, co kiedyś zbudował człowiek. Teraz pojawiały się tu tylko wycieczki śmiałków, chcących penetrować nawiedzone miasto za czterysta dolarów od osoby. A powodem takiego stanu była...

Nikołaj przesłonił oczy dłonią i wpatrywał się w horyzont. Ledwo dostrzegł prawie niewidoczne wzniesienie trzy kilometry dalej.

Elektrownia atomowa w Czarnobyli.

Eksplozja reaktora numer cztery wyrzuciła w górę promieniotwórczą chmurę, która opłotła cały świat. Niestety, tutaj na miejscu rozkaz o ewakuacji wydano dopiero trzydzieści godzin później. Las wokół miasta stał się wręcz czerwony od pyłu radioaktywnego. Ludzie w miasteczku zmiatali ten kurz z ganków i balkonów, a trzy kilometry dalej płonęły stopy plutonu.

Nikołaj pokręcił głową w zadumie, głównie dlatego, że za plecami miał ekipy filmowe wiadomości zbierające materiał do wieczornego wydania. Szedł dalej przez park. Ostrzeżono go, by trzymał się alejki ze świeżo położonym asfaltem, wijącej się przez opuszczone miasto. Poziom promieniowania wzrastał na wilgotnych trawnikach i w zaroślach. Najgorsze strefy oznakowano trójkątnymi znakami ostrzegawczymi. Świeży asfalt wyłożono, by służył całym sforom dygnitarzy, wysokich urzędników państwowych i dziennikarzom, którzy zjeżdżali do Czarnobyli z okazji instalacji nowego stalowego sarkofagu na niszczącej betonowej muszli.

Tego wieczoru reprezentacyjny hotel Polissia wróci do minionych dni sławy. Sala balowa hotelu została pospiesznie doprowadzona do ładu, odnowiona i posprzątana, by przyjąć ubranych na galowo gości. Nawet brzozy wyrastające przez dach zostały z tej okazji przycięte.

Czegóż się nie robi dla gości z całego świata? Na wieczorną galę przybędą przedstawiciele prawie wszystkich krajów świata, a nawet kilka gwiazd Hollywood. Prypec na tę jedną noc rozbłyśnie feerią światel w centrum promieniotwórczej pustyni.

Udział weźmie także prezydent i premier Rosji wraz z wieloma przedstawicielami niższej i wyższej izby parlamentu. Wielu z nich już tutaj było, wypowiadali się bez wielkiego przekonania o zmianach i reformach, próbując zakręcić kijem w nurcie wielkiej polityki podczas tego pamiętnego wydarzenia.

Jednak nikt nie był wymowniejszy i bardziej nie zachęcał do prawdziwych zmian niż senator Nikołaj Sołokow. A po porannej próbie zamachu na jego życie cały czas znajdował się w świetle jupiterów.

Przy włączonych kamerach Nikołaj szedł z asfaltowej ścieżki i podszedł do najbliższej ściany. Na powierzchni muru namalowano czarnym sprejem zacienione kontury sylwetek dwójki dzieci bawiących się samochodzikiem. Mówiono, że jakiś zwariowany Francuz spędził w Prypeci kilka miesięcy, ozdabiając malowidłami mury całego miasta. Pozostawione przez niego ponure i dające do myślenia cienie przedstawiały duchy zmarłych dzieci.

Elena, osobisty cień senatora, pozostała na asfaltowej alejce. To ona wybrała to malowidło jako najbardziej przemawiające do wyobraźni. Wcześniej przeszła

się po miasteczku z dozymetrem, by upewnić się, że poziom promieniowania nie zagraża zdrowiu.

Celem tego przedstawienia było zaprezentowanie się w jak najlepszym świetle.

Nikołaj dotknął dłonią ściany. Palcem obrysował kontury sylwetek dzieci. Przyłożył wierzch dłoni do oka. Elena upuściła wcześniej kilka kropel amoniaku na mankiet jego marynarki. Ostry zapach tego związku chemicznego szybko powoduje łzawienie.

Odwrócił się do kamer, trzymając jedną rękę na policzku malowidła dziecka.

- Dlatego właśnie musimy się zmienić - oświadczył i ruchem ręki objął całe miasto. - Jak można patrzeć na to zrujnowane miasto i nie zdawać sobie sprawy z tego, że nasze wspaniałe kraje muszą wejść w nową erę? Musimy to wszystko zostawić za sobą, ale nigdy o tym nie zapomnieć.

Otarł policzek i przybrał surowy wyraz twarzy - kilka łez nie zaszkodzi, ale nie chciał wyglądać na mięczaka. Skierował się w stronę mikrofonów.

- Spójrzcie na to miasto. To, co człowiek doprowadził do ruiny, pochłania przyroda. Ktoś kiedyś nazwał to miasto czarnobylskim edenem. Czyż faktycznie nie piękny las pochłania to miasto? Śpiewają ptaki, pasą się jelenie i sarny. Ale pamiętajcie o tym, że wilki też się pojawiły.

Popatrzył na ciemniejący horyzont.

- Nie dajcie się oszukać pięknem krajobrazu. To nadal radioaktywny ogród. Musieliśmy minąć dwa wojskowe posterunki, by dostać się do zamkniętej strefy ochronnej o promieniu trzydziestu kilometrów. Przejechaliśmy obok dwóch tysięcy pozostawionych pojazdów, które brały udział w odkażaniu Czarnobyla. Wozy strażackie, samoloty, karetki pogotowia nadal są zbyt mocno napromieniowane, żeby się do nich zbliżać. Wszyscy mamy przy sobie dozymetry osobiste. Dlatego nie dajmy się oszukać. Natura tu powróciła, ale niestety będzie jeszcze cierpieć przez wiele pokoleń. To, co wydaje się takie zdrowe i żywotne, nie jest takie naprawdę. To nie jest odrodzenie. To tylko fałszywa nadzieja. By przeżyć prawdziwe odrodzenie, musimy spojrzeć w nowym kierunku, realizować nowe cele, musimy wejść w epokę nowego renesansu.

Odwrócił się ponownie w stronę malowidła na ścianie. Pokręcił głową.

- Czy istnieje inna droga? - zakończył smutnym głosem. Ktoś zaklaskał.

Stojąc tyłem do kamer, Nikołaj się uśmiechnął. Gdy kamery filmowały jego zamyśloną pozę, cień jego sylwetki zakrył wizerunki dzieci. Po dłuższej chwili okręcił się i wrócił na asfaltową ścieżkę.

Ruszył w stronę hotelu. Elena szła krok za nim. Za rogiem zobaczył ruch przed hotelem Polissia. Rząd czarnych limuzyn stanął przed wejściem do hotelu, wokół nich zatrzymały się kuloodporne sedany ochrony. Wyskoczyli z nich mężczyźni w czarnych garniturach i utworzyli ciasny kordon. Dygnitarz wyszedł z limuzyny i podniósł rękę na powitanie. Światła i kamery natychmiast skierowały się na sylwetkę gościa. Nie można było go z nikim pomylić. Prezydent Stanów Zjednoczonych. Przybył, by wesprzeć realizację ważnej umowy o współpracy w dziedzinie wykorzystania energii jądrowej pomiędzy

Rosją a Stanami Zjednoczonymi.

Prypeć oczyszczano i odkażano, właśnie tacy dygnitarze mogli tu przybyć.

Nie chcąc znaleźć się na szarym końcu, Nikołaj odczekał, aż delegacja zniknie w holu hotelu. Ruszył, gdy droga była wolna. Wszystko przygotowane.

Spojrzał w stronę zatopionej w świetle zachodzącego słońca elektrowni czarnobylskiej.

Jutro o tej porze narodzi się nowy świat.

17.49

Południowy Ural

Monk stał na szczycie wzniesienia i spoglądał na rozpościerające się wokoło niskie grzbiety górskie. Zachodzące słońce zatopiło leżącą niżej dolinę w głębokim cieniu.

- Czy musimy się przez nie przedzierać? - zapytał. - Nie można ich jakoś ominąć?

Konstantin złożył mapę.

- Nie. Musielibyśmy pokonać setki kilometrów, żeby je obejść, a to zabrałoby wiele dni. Musimy dotrzeć do kopalni po drugiej stronie jeziora Karaczaj, a to zaledwie dwadzieścia kilometrów, jeśli pójdziemy właśnie tędy.

Monk przyglądał się zacienionej bagnistej dolinie. Rzeka, której prąd ich niósł, zrzucała swoje wody do rozpościerającej się poniżej szerokiej doliny. Wpadało do niej także wiele innych strumieni i rzeczek. Wodospady i katarakty błyszcząły niczym strumienie płynnego metalu w promieniach zachodzącego słońca wpadających do doliny pod ostrym kątem. Zacieniona grzbietami niskich gór dolina okazała się zalanyą wodą borem poprzetykaną rozległymi polanami czarnych mokradel i grzęzawisk otulonych trzciniami i trawami. Trudno będzie się przez nie przedzierać, a jak zrobi się ciemno, będzie łatwo się zgubić.

Westchnął ciężko. Nie mieli innego wyboru: musieli przejść przez te bagna. Odwrócił się i spojrzał na Kiskę i Piotra siedzących na powalonym pniu. Dzieciaki nadal wyglądały jak para na wpół utopionych kociaków. Spłynęli rzeką prawie pół kilometra, aż chłód zmusił ich do wyjścia na brzeg. Monk nakazał wyjście po drugiej stronie rzeki, by jej wody dzieliły ich od polujących tygrysów. W wodzie trop przypadnie, a rzeka stanie się jeszcze szersza. Tygrysy musiałyby bardzo się starać, żeby ją przepłynąć i z powrotem trafić na ich trop.

Przez ostatnie dwie godziny Piotr nie odezwał się ani słowem, najwyraźniej zmartwiony losami Marty. Ale przynajmniej nie okazywał paniki, a to znaczyło, że nie wyczuwał bliskości tygrysów.

Gdy wyszli na brzeg, Monk nakazał im zdjąć ubrania, wyjąć je dokładnie i z powrotem włożyć. Dwugodzinny marsz podczas najcieplejszej pory dnia sprawił, że ubrania prawie wyschły. Ale teraz, gdy robi się ciemno, znowu się zamoczą. A noc będzie zimna.

Konstantin miał jednak rację. Musieli iść dalej. Tutaj nadal nie było bezpiecznie, zwłaszcza że tygrysy wciąż włóczyły się po lesie. Bagno przynajmniej zapewni im schronienie.

Monk wybrał ścieżkę prowadzącą w dół dość stromym grzbietem. Pomagał schodzić Piotrowi, a Konstantin prowadził siostrę za rękę. Najmłodsze dzieci były coraz bardziej wyczerpane. Trzymając się razem, opuścili ciepłą, nasłonecznioną wyżynę i weszli na chłodny, ocieniony teren.

Drzewa rosły tu znacznie gęściej, głównie sosny i brzozy. Wzdłuż brzegów strumieni, które wpływały do bagna, tworząc prawdziwy labirynt wodny, pojawiły się wierzby o posepnych pniach i gałęziach głaszczących powierzchnię wody.

Kokkalis szedł przodem, wydeptując ścieżkę. Poszycie lasu tworzyły krzewy jałowców i borówek. W miarę znikania krzewów grunt robił się coraz bardziej grząski. Po chwili musieli przeskakiwać z jednej kępy mchu na drugą, co wcale nie było znaczącym utrudnieniem, ze względu na obfitość mchu w tej okolicy. Puszysty zielony dywan otulał kamienie i białe pnie brzoź, jakby chciał wciągnąć je pod ziemię.

Tempo marszu zaczęło maleć. Miękka ściółka dosłownie zaczęła ich wchłaniać, uginając się pod stopami i odkrywając stojącą wodę przy każdym kroku.

Przeszywający pisk przyciągnął uwagę Monka. Nad ich głowami przeleciał orzeł ze skrzydłami tak szeroko rozpostartymi jak rozłożone ramiona mężczyzny.

Drapieżnik na polowaniu.

Orzeł przypomniał Monkowi o zagrożeniach czyhających za plecami.

Zwiększył tempo marszu. Przynajmniej teraz dzieci lepiej pokonywały trudności. Ich lekkie ciała łatwo balansowały na grząskim terenie, a on musiał uważać na każdy krok, bo buty zapadały się w trzęsawisko i mógł je w każdej chwili stracić.

Przez godzinę szli dość niemrawo z prędkością około dwóch kilometrów na godzinę. Monk widział węże uciekające z ich ścieżki, świecące w półmroku oczy lisa przeskakującego z kępy na kępę. Słyszał różne odgłosy zwierząt buszujących po bagnach. W oddali ujrzał przesuwające się potężne poroże łosia.

Zanim się spostrzegli, zanurzyli się po kostki w wodzie. Szli zygzakiem od wysepki do wysepki. Chłodne powietrze pachniało wilgocią, glonami i pleśnią. Owady brzęczały w powietrzu. Wraz z zachodzącym za górami słońcem okolica stawała się coraz ciemniejsza.

Monk włókł się z trudem.

Konstantin szedł obok. Trzymał Kiskę za rękę. Dziewczynka prawie już zasypiała w marszu.

Piotr przysunął się do dorosłego opiekuna, który musiał unosić go za każdym razem, gdy trafiali na odrobinę głębszą wodę.

Nagle Piotr złapał Amerykanina mocno za rękę i ścisnął.

Coś zbliżało się do nich.

Nie...

- Uciekać! Już! - krzyknął Monk, wiedząc, co się wydarzy.

Złapał chłopca, który zaczął się rzucać i krzyczeć. Konstantin biegł po kolana w wodzie, ciągnąc za sobą siostrę. Lewa stopa Monka utkwiała w ziemi aż do połowy łydki. Ciągnął, ale nie mógł jej uwolnić z błota. Czuł się, jakby wpadł w świeży cement.

Dźwięk rozgarnianych chaszczy i łamiących się gałęzi stawał się coraz głośniejszy.

Monk odrzucił Piotra od siebie i odwrócił się, by przyjąć na siebie atak. Słyszał tylko, jak chłopiec chlapie nogami w wodzie.

Ale zamiast uciekać, on przedzierał się z powrotem do Monka.

- Nie! Piotr! Uciekaj!

Chłopiec minął Monka. Cień skoczył z drzew i wylądował z głośnym pluskiem w wodzie. Chłopiec i cień rzucili się sobie w ramiona.

To była Marta.

Monk poczuł walenie serca.

- Piotr, następnym razem... daj jakieś ostrzeżenie. - Powoli wyciągał nogę z lepkiej borowiny.

Szympanśca przytuliła chłopca i podniosła go z płytkiej wody. Konstantin i Kiska zbliżyli się do nich. Marta puściła Piotra i mocno objęła dzieci. Potem podeszła do Monka, podniosła i rozłożyła ramiona, a on pochylił się i odwzajemniał jej uścisk. Czuł, że była gorąca; słyszał jej przyspieszony oddech. Marta cała drżała z wyczerpania. Musiała się bardzo namęczyć, żeby ich dogonić.

Gdy Monk się wyprostował, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób ich odnalazła. Potrafił zrozumieć, że mogła ich wyprzedzić, bo oni grzęźli w podmokłym terenie, a ona przemykała po gałęziach. Wszystko dobrze, ale jak ich odnalazła?

Monk spojrział na ciemne trzęsawisko.

Jeśli ona potrafiła ich znaleźć, to...

- Ruszajmy dalej - zarządził i machnął w kierunku bagna.

Znowu zwartą grupą przedzierali się przez mokradła. Pojawienie się Marty wzmocniło dzieci, ale grząskie błoto, z którym musieli ostro walczyć, spowolniło ich marsz. Konstantin szedł przodem. Piotr trzymał się blisko Monka, a Marta starała się przemykać po gałęziach, choć nieraz jej stopy ocierały się o powierzchnię wody.

Słońce powoli zniknęło za górami, zostawiając ich pogrążonych w ciemnej poświacie. Monk ledwie już dostrzegał Konstantina. Gdzieś po lewej pohukiwała sowa, zapowiadając zapadnięcie całkowitych ciemności nocy.

- Izba! - dobiegł głos Konstantina z ciemniejszego zagajnika wierzb.

Monk nie wiedział, co to znaczy, ale ton chłopca sugerował, że to coś dobrego. Przepchnął się przez gęstą zasłonę z gałęzi wierzby płaczącej i zobaczył jedną z małych wysepek, które często napotykali, tylko że ta nie była pusta. Na szczycie pagórka stał mały domek usadowiony na krótkich pionowych palach. Zbudowany został ze zgrzebnie ciosanych bali, a dach miał pokryty mchem.

Jedyne okno było ciemne. Nie słyhać było żadnych oznak życia, z komina nie leciał dym.

Konstantin stał na brzegu wysepki w wysokiej trzcinie. Monk dołączył do niego.

Chłopiec wskazał na chatkę.

- To schronienie myśliwych. Takie chaty są rozsiane po całych górach.

- Sprawdź, czy jest tam bezpiecznie - powiedział Monk. - Zostań tutaj.

Wspiał się na pagórek i obszedł chatkę. Trawa sięgała mu do pasa.

Wyglądało na to, że nikt tu nie zaglądał od wieków. Domek miał jedno okno zabite deskami od wewnątrz. Monk zauważył mały pomost bez żadnej łódki. Ale dostrzegł też płaskodenną łódź z ostrym dziobem porzuconą w trzcinach obok. Jej połowa była pokryta mchem, lecz wyglądało na to, że nadaje się jeszcze do wykorzystania.

Monk wrócił na przód chaty. Drzwi nie były zamknięte na zamek, ale deski się wypaczyły i musiał mocno naprzeć, czemu towarzyszyło skrzywienie zawiasów. Wnętrze było ciemne i zatechłe, ale przynajmniej suche. Chata miała tylko jedną izbę. Podłogę stanowiły sosnowe deski, na których rozrzucono trochę siana. Zobaczył stolik i cztery krzesła, a pod ścianą stare komody z nieheblowanych desek. W chatce nie było kuchni. Posiłki najprawdopodobniej przygotowywano bezpośrednio w kominku, gdzie leżało kilka żeliwnych garnków i patelni. Monk dostrzegł stos suchego drewna.

Całkiem nieźle.

Podszedł do drzwi, wychylił się i machnął ręką na dzieci, by weszły.

Nie bardzo podobał mu się pomysł przestoju w ucieczce, ale wszyscy musieli trochę odpocząć. Zaryzykował rozpalenie ognia w kominku, by wysuszyć ubrania i buty i ogrzać nieco chatę na najzimniejszą część nocy. Po odpoczynku i wysuszeniu ubrań wyruszą przed świtem. Może nawet uda się wykorzystać łódź.

Gdy Konstantin pomagał przy rozpalaniu kominka, pozostała dwójka dzieci rozsiadła się na podłodze i przytuliła do Marty. Zapałki znaleźli w zabezpieczonym woskiem pudełku, a stare, wysuszone drewno łatwo zajęło się płomieniem. Ogień szybko zaczął buzować w kominku.

Przeszukując stare komody, Konstantin znalazł żyłkę i haczyki na ryby, zardzewiałą lampę z odrobiną nafty, duży nóż myśliwski i pół pudełka nabojów do dubeltówki. Innej broni nie znalazł. Z szafy chłopiec wyciągnął kilka pożółkłych egzemplarzy magazynów dla mężczyzn, które Monk szybko skonfiskował i użył jako rozpałki. Na górnej półce odkryli cztery złożone koce.

Konstantin rozdał koce i wskazał na pakunek należący do Monka. Na jego dozrymetrze osobistym kolor wyświetlacza zmienił się z białego na różowawy.

- Promieniowanie - mruknął Monk.

- Zakład przetwórczy, który skaził jezioro Karaczaj, zatruwał także ziemię. - Konstantin skinął głową, wskazując na północny wschód.

I skażeniu uległy też wody gruntowe, pomyślał Monk. A dokąd one spływały z okolicznych wzgórz? Spojrzał w kierunku zabitego deskami okna, wyobrażając sobie bagno za ścianą. Potrząsnął głową. A cały czas myślał, że musi się

martwić jedynie o atak tygrysów ludojadów.

19.04

Piotr siedział przed kominkiem otulony kocem. Jego buty suszyły się na progu paleniska, a ubranie wisiało na żyłce do łowienia ryb. Żyłka była tak cienka i niewidoczna, że spodnie i koszula wyglądały, jakby same unosiły się w powietrzu.

Podobały mu się trzaskające i tańczące płomienie, choć dym już nie tak bardzo. Kłębił się i unosił do komina jak żywa istota zrodzona z ognia.

Zadrżał i przysunął się do jasnych płomieni.

Wychowawczyni w szkole opowiadała im bajki o Babie Jadze, która mieszkała w ciemnym borze w drewnianej chacie na kurzej stopce. Czarownica polowała na dzieci i je zjadała. Piotr przypomniał sobie, że ten domek też stoi na słupach. A może to też jest dom jakiejś czarownicy, która zaczęła się na nich gdzieś w pobliżu?

Jeszcze bardziej podejrzliwie wpatrywał się w dym. A czy ta czarownica nie miała czasem jakichś niewidzialnych służących, którzy jej pomagali?

Rozejrzał się dookoła, ale nie dostrzegł niczego poruszającego się samodzielnie w powietrzu. Tańczące płomienie rzucały cienie na izbę, więc trudno było powiedzieć, czy coś się tu nie czaiło.

Przybliżył się jeszcze bardziej do płomieni. Cały czas wpatrywał się w kłębiący się dym.

Zaczął się bujać lekko w miejscu, by wyzbyć się obaw. Marta przysunęła się i objęła go. Wtulił się w nią plecami. Silne ramię przyciągnęło go jeszcze mocniej.

Nie bój się.

Jednak to nie był strach. Poczł swędzenie wewnątrz czaszki, jakby maszerowało w niej tysiąc pajaczków. Wpatrywał się w dym, wiedząc, że on stanowi zagrożenie, bo uchodząc przez komin, daje znak Babie Jadze, iż dzieci są w chacie. Serce Piotra mocniej zabiło. Nadchodziła czarownica. Czł to. Jeszcze szerzej otworzył oczy. Szukał w dymie oznak niebezpieczeństwa.

Marta pohukiwała cicho, starając się dodać mu otuchy, ale to nie na wiele się zdawało. Nadchodziła czarownica, by ich zjeść. Byli w niebezpieczeństwie. Dzieci w niebezpieczeństwie. Ogień wystrzelił i przestraszył chłopca, który podskoczył lekko. Wtedy poznał prawdę.

Nie chodziło o dzieci, tylko o jedno dziecko.

I nie o żadne z nich, ale o inne.

Piotr wpatrywał się w dym, przenikając wzrokiem ciemność w poszukiwaniu prawdy. Gdy dym zakłębił się, by uciec przez komin, dostrzegł, kto jest w niebezpieczeństwie.

Jego siostra. Sasza.

11.07

Waszyngton, D.C.

- To DIC - wyjaśniła Lisa, stojąc przy łóżku dziewczynki. Kat próbowała zrozumieć, co się działo. Przypatrywała się delikatnej dziewczynce niemalże ginącej wśród poduszek i pościeli na szpitalnym łóżku. Spod kołdry wynurzały się przewody do urządzeń monitorujących ciśnienie krwi i tętno. Kroplówka dostarczała dziecku sól fizjologiczną i lekarstwa wprost do krwioobiegu. Mimo to blada skóra dziewczynki w ciągu ostatnich godzin nabrała odcienia szarego, a jej usta siniały.

- DIC to rozsiane krzepnięcie śródnaczyniowe - wytłumaczyła Lisa, choć równie dobrze mogłaby mówić po łacinie.

Monk, który przeszedł szkolenie medyczne, znałby znaczenie tego skrótu. Kat odpędziła ostatnią myśl, ciągle jednak mając przed oczyma rysunek dziecka. To było oczywiste, że dziewczynka narysowała go dla Kat. Utworzyła się między nimi jakaś więź, widziała to w oczach małej, gdy jej czytała bajkę. Dziecko było wyczerpane i wyglądało na dotknięte chorobą, ale od czasu do czasu spoglądało na Kat, która dostrzegła w oczach małej zaufanie i uznanie. To chwyciło Kat za serce. Sama miała małe dziecko, więc zdawała sobie sprawę z siły instynktu macierzyńskiego, a na dodatek była poruszona niedawną stratą męża.

- Co to znaczy? - zapytał Painter.

Stał po drugiej stronie łóżka obok Lisy. Właśnie wrócił po rozmowie z Grayem dzwoniącym z Indii. Jego zespół został zaatakowany, a teraz udawał się w północne regiony kraju. Painter już zlecił zbadanie, kto mógł zorganizować zasadzkę - zamach na profesora nie był zbiegiem okoliczności, ktoś wiedział, że Gray leci do Indii. Trzeba było rozwiązać tę zagadkę, ale dyrektor znalazł czas, żeby zjechać na dół i wysłuchać wyjaśnień Lisy.

Doktor Cummings zakończyła analizę próbek krwi.

Zanim Painter uzyskał odpowiedź na swoje pytanie, do pokoju wszedł Sean McKnight. Bez marynarki i krawata. Rękawy koszuli miał podwinione do łokci. Po raporcie Graya wyszedł zadzwonić w kilka miejsc. Teraz Painter spojrział na niego i uniósł brew, czekając na jakieś informacje, ale Sean dał znak Lisie, by kontynuowała, a sam usiadł na krześle przy łóżku. Przez ostatnie kilka godzin czuwał przy dziecku. Nawet teraz położył rękę na pościeli. Kat i Sean rozmawiali przez dłuższy czas. Sean był dziadkiem i miał dwoje wnucząt.

- DIC to patologiczny proces polegający na tworzeniu przez krew drobnych skrzepów w całym układzie krwionośnym - wyjaśniała Lisa - które powodują obniżenie krzepliwości, co w konsekwencji prowadzi do wewnętrznego krwawienia. Jego przyczyny mogą być różnorodne, jednak taki stan występuje zwykle jako efekt choroby głównej spowodowanej przez ukąszenia jadowitych węży, nowotwory, rozległe oparzenia, szok. Ale jedną z głównych przyczyn jest zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, co biorąc pod uwagę gorączkę i...

Lisa wskazała na urządzenie dołączone do czaszki dziewczynki. Jej usta

zaczisnęły się z troski.

- Wszystkie testy potwierdzają tę diagnozę. Obniżona liczba płytek krwi, powiększony poziom FDP, wydłużone czasy krwawienia. Jestem pewna tej diagnozy. Staram się zwiększyć liczbę płytek krwi poprzez autotransfuzję z dodatkiem anty-trombiny i drotrecoginu alfa. Powinno to chwilowo ustabilizować jej stan, ale należałoby leczyć główną chorobę, która wywołała DIC. Jednak nie wiemy, co to jest. Dziewczynka nie ma żadnego zakażenia. Wyniki analizy krwi i składu płynu mózgowo-rdzeniowego nic nie wykazały. Może to jakiś wirus, lecz podejrzewam co innego. Czuję, że to jest coś, o czym my nie mamy najmniejszego pojęcia, coś związanego z tym implantem.

Kat głęboko odetchnęła.

- A skoro nie wiemy, co to jest...

Lisa skrzyżowała ręce na piersiach, naśladując pozę Kat.

- Ona jest w coraz gorszym stanie. Opóźniłam trochę ten proces, ale musimy wiedzieć coś więcej. Ten skrót, DIC, ma jeszcze jedno znaczenie w środowisku medycznym: Death Is Corning.

- Musimy coś zrobić. - Kat odwróciła się do Paintera, który skinął głową i spojrzał na Seana.

- Nie mamy wyboru. Trzeba poznać wszystkie odpowiedzi. Może z czasem uda nam się powstrzymać rozwój choroby; istnieją eksperci od biotechnologii, którzy dokładnie wiedzą, co zrobiono tej dziewczynce.

Sean westchnął.

- Będziemy musieli zrobić to bardzo delikatnie.

Kat wyczuła, że Sean i Painter już rozmawiali na ten temat.

- I co planujecie?

- Jeśli chcemy uratować to dziecko - Painter spojrzał na drobną sylwetkę dziewczynki - to będziemy musieli przespać się z wrogiem.

23.38

Trent McBride szedł w głąb pustego korytarza. Ta część laboratorium im. Waltera Reeda była przeznaczona do renowacji. Pokoje szpitalne po obu stronach korytarza wyglądały koszmarnie: na ścianach był grzyb i odpadał tynk. McBride miał za zadanie doprowadzić ten oddział do porządku. Tu ściany wykonano z lanego betonu, a w okna wstawiono mocne kraty, stalowe drzwi miały jedynie małe okratowane okienka.

Trent podszedł do ostatniej celi. Przed drzwiami stał ochroniarz. Woleli nie ryzykować. Strażnik odsunął się na bok i wręczył przybyszowi pęk kluczy.

McBride wziął je i spojrzał przez małe okienko. Jurij leżał w ubraniu na łóżku. Gdy Trent przekręcił klucz w zamku, Jurij poderwał się i usiadł. Jak na starego człowieka był wyjątkowo twardy i żwawy. Najwyraźniej szprycował się jakimiś koktajlami z androgenów i innych hormonów przeciwdziałających starzeniu się. Ach ci Rosjanie, oni kochają się w prochach wzmacniających

kondycję.

Trent rozchylił szeroko drzwi.

- Czas zabrać się do pracy, Jurij!

- Znaleźliście Saszę? - Mężczyzna wstał z łóżka i zamrugał.

- Może...

Jurij podszedł do drzwi. Trentowi nie podobał się śmiały wyraz jego twarzy i natychmiast stał się podejrzliwy. Jurij nie wyglądał na pokonanego ani przybitego. Raczej na wzmocnionego, jakby był ostrzem miecza, które zahartowano uderzeniami i naostrzono. Może siła starca nie pochodziła jedynie od zastrzyków w pośladki.

Bez względu na to, czy był twardy, czy nie, to teraz i tak pozostawał na jego łasce.

Mimo wszystko kiwnął na strażnika z bronią. McBride planował samodzielnie odprowadzić Jurija, nie przypuszczał, by potrzebował eskorty, przecież był znacznie wyższy i cięższy od Rosjanina. Ale tym razem nie podobało mu się spojrzenie Jurija.

Wyszli.

- Dokąd idziemy? - zapytał więzień.

Wbić ostatni gwóźdź do trumny Archibalda Polka, odpowiedział w myśli Trent. Zrealizował już plan zamordowania starego przyjaciela, a teraz planował zniszczyć projekt będący wielkim sukcesem Archibalda, tajną organizację, którą Polk wymyślił, gdy należał do Jasonów.

Zespół naukowców-zabójców.

Takich Jasonów z licencją na zabijanie.

Po zamordowaniu profesora Trent był zdecydowany zniszczyć jego dzieło. By badania mogły być kontynuowane, Sigma musi przestać istnieć.

12

6 września, 19.36

Pendżab, Indie

Po zachodzie słońca Gray musiał przyznać, że Rosauro mądrze wybrała samochód. Siedząc obok kierowcy, opierał się dłonią o sufit, żeby utrzymać się na miejscu podczas jazdy po błotnistej drodze zrytej koleinami. Ostatnie miasto zostawili za sobą godzinę temu, a teraz przedzierali się przez wyżynne tereny wiejskie.

Krajobraz pocięty był pastwiskami, plantacjami trzciny cukrowej i sadami owoców mango. Masterson wyjaśnił, że Pendżab słynie z rolnictwa i nazywany jest spichlerzem Indii, gdyż tu produkuje się większość zbieranej w kraju

pszenicy, prosa i ryżu.

- Ktoś musi uprawiać te rozległe pola - rzekł Masterson, pokazując drogę z tylnego siedzenia.

Obok niego siedzieli Kowalski i Elizabeth. Za nimi Luka czyścił swoje sztylety.

- Na następnym rozwidleniu w lewo - zakomenderował Masterson.

Rosauro objęła mocniej kierownicę, gdy SUV przeciął wypełniony wodą uskok, tworzący wręcz mały strumień. Podczas ich podróży już kilkakrotnie padało. Słowo Punjab w języku perskim oznacza „kraj pięciu rzek” i właśnie układ wodny tego rejonu sprawił, że była to najważniejsza rolnicza prowincja Indii.

Gray spojrzął na ciemniejące na zachodzie niebo, na którym nisko wisiały chmury. Zapowiadały kolejne opady w nocy.

- I teraz prosto za wzgórze - podał kierunek jazdy Masterson.

Samochód zaczął wspinać się na wzniesienie, ślizgając się w błocie. Ze szczytu wzgórza zobaczyli małą dolinę w kształcie misy otoczoną pagórkami. Na jej dnie rozłożyła się spowita ciemnościami wioska, gęsto zabudowana domkami z kamienia i gliny, z dachami krytymi liśćmi palmowymi. Na jej granicach paliło się parę ognisk, wokół których stało kilku mężczyzn z długimi żerdziami. Palili śmieci. Obok stał wóz drabiniasty po brzegi wyładowany śmieciami, zaprzężony w wołu z jednym rogiem; zwierzę zaniepokoił zjeżdżający ze wzgórza samochód.

- To druga strona Indii - wyjaśnił Masterson. - Ponad trzy czwarte populacji Indii nadal mieszka na wsi. A tutaj mamy tych, którzy żyją na samym dnie systemu kastowego. Ludność Harijan... bo tak przechrzcili ich Ghandi, co znaczy „dzieci Boga”... nadal bywa nazywana dalitami albo achuta, co można przetłumaczyć jako „niedotykalni”.

Gray spostrzegł, że Luka skończył polerowanie sztyletów, schował je do pochew i zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Niedotykalni. Oni mogli stanowić korzenie jego romskich plemion.

Pojawienie się obcych wystraszyło mieszkańców wioski, zbijali się w grupki. W rękach trzymali sierpy i kije.

- Kim są ci ludzie? - zainteresował się Gray.

- By odpowiedzieć na to pytanie - zaczął Masterson - muszę zapoznać pana z systemem kastowym Indii. Legendy głoszą, że wszystkie główne warny, czyli klasy, wywodzą się od jednego podobnego do bogów przodka człowieka. Bramini, do których wlicza się kapłanów i nauczycieli, wyszli z ust praprzodka; kszatrijowie, wojownicy i rządcy, powstali z jego ramion; wajsjowie, kupcy i rzemieślnicy, powstali z jego ud. Natomiast z jego stóp powstali robotnicy rolni, śudrowie. W każdej warnie obowiązuje jeszcze wewnętrzna hierarchia narzucona przez Prawo Manu, to jest zapis sprzed dwóch tysięcy lat, określający, co dana kasta może robić, a czego nie.

- A ci niedotykalni? - Gray obserwował grupki mężczyzn i chłopców.

- O piątej warnie mówi się, że w ogóle nie powstała z boga-człowieka. To pozakastowcy uważani za zbyt nieczystych, by mogli żyć wśród normalnych ludzi. Grupa zajmująca się obdzieraniem zwierząt ze skóry, dotykająca śliny,

krwi, nieczystości, nawet ciał zmarłych. Nie wpuszczano ich do domów ludzi z wyższych kast ani do świątyń; nie mogli jeść tymi samymi sztućcami co tamci. Nawet ich cień nie mógł paść na ludzi z wyższych kast. I jeśli taki bezkastowy złamał zakazy, mógł zostać pobity, zgwałcony lub zabity.

Elizabeth pochyliła się do przodu.

- I nikt tego nie zmienia? Masterson chrząknął.

- Hinduska konstytucja zabrania dyskryminacji, ale ten system nadal istnieje, szczególnie na wsi. Piętnaście procent populacji nadal jest klasyfikowane jako niedotykalni. Nie ma od tego ucieczki. Dziecko urodzone jako dalit na całe życie zostanie dalitem. Są ofiarami religijnych praw istniejących w Indiach od tysięcy lat, uznających ich za podludzi. Ale powiedzmy sobie szczerze, ktoś musi wykonywać brudną robotę w polu. Niedotykalni są wbudowaną w system społeczny klasą niewolniczą. I o ile w miastach zaczyna ten system zanikać, o tyle na wsi nadal potrzeba robotników do najprostszych prac, a system kastowy dobrze się temu przysługuje. Wioski takie jak ta były wielokrotnie najeżdżane i palone tylko dlatego, że ich mieszkańcy ośmielili się prosić o wyższe zarobki albo lepsze warunki pracy. Stąd też teraz widzicie ich podejrzliwość i zaniepokojenie. - Skinął głową w kierunku komitetu powitalnego z kijami i sierpami.

- Dobry Boże - westchnęła Elizabeth.

- Bóg nie ma z tym nic wspólnego - odparł Masterson gorzko. - To wszystko ekonomia. Twój ojciec wstawiał się za tymi ludźmi. Przez to miał spore kłopoty z pozyskiwaniem do współpracy joginów i bramińskich mistyków.

- Dlatego że kontaktował się z niedotykalnymi?

- Tak... i jeszcze dlatego, że szukał genetycznych markerów wśród niedotykalnych. Gdy rozeszła się o tym wieść, wiele drzwi zatrzaśnięto mu przed nosem. Tyle mamy z oświecenia ludności. Po jego zniknięciu sądziłem nawet, że został zamordowany właśnie z tego powodu.

Gray polecił Rosauro, żeby zatrzymała samochód na skraju obszaru oświetlanego płomieniami ognisk.

- A ta wioska? Czy to tutaj widziano doktora Polka po raz ostatni?

Masterson skinął głową.

- Ostatni raz słyszałem go przez telefon, gdy dzwonił podekscytowany. Właśnie coś odkrył i chciał się tym ze mną podzielić. Potem już się nie odezwał. Często tak postępował, zniknął na całe miesiące w jakichś odległych wiejskich regionach; podróżował od wioski do wioski. Bywał w miejscowościach bez nazwy, wśród ludzi pogardzanych przez innych. Aż po pewnym czasie zacząłem obawiać się najgorszego.

- A co z tymi ludźmi? - wtrącił Gray. - Czy powinniśmy się ich obawiać?

- Wręcz przeciwnie. - Masterson otworzył drzwi samochodu i podparł się łaską przy wysiadaniu.

Gray ruszył za nim, otwarły się też pozostałe drzwi.

- Zostańcie przy wozie! - ostrzegł ich Masterson. Masterson pokuśtykał w stronę ogniska, za nim szedł Gray.

Profesor wykrzyknął coś w hindi. Gray zapamiętał kilka zwrotów i słów z

własnych studiów nad religiami hinduskimi i filozofią, ale niewystarczająco wiele, by zrozumieć, co mówił profesor. Chyba o kogoś pytał.

Mężczyźni nadal stali w ścisłej grupie, tworząc mur i wyciągając prymitywną broń przed siebie. Nawet wół przy wozie wyczuł napięcie w powietrzu i poruszył się w zaprzęgu.

Masterson znalazł się między dwoma ogniskami. Powietrze śmierdziało smażoną wątrobą i palonymi oponami. Gray zmusił I się, by nie zakryć dłonią ust. Masterson machnął w kierunku samochodu i nadal coś mówił do tubylców. Gray wyłapał nazwisko Archibalda Polka i słowo w hindi oznaczające córkę - betee.

Wszyscy mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na Elizabeth. Opuścili kije i sierpy. Zaczęli między sobą szeptać i pokazywać ją palcami. Nieufność została przełamana. Dwóch chłopców ruszyło w stronę zabudowań, by wesoło oznajmić o przybyciu gości.

Masterson odwrócił się do Graya.

- Dalicy z tych okolic bardzo szanowali Archibalda. Bez wątplenia serdecznie przyjmą jego córkę. Nie mamy się czego obawiać ze strony tych ludzi.

- Oprócz dyzenterii - skomentował jego słowa Kowalski, gdy dołączył do grupy.

Elizabeth wymierzyła mu łokciem kuksańca w żebra. Gray poprowadził ich do wioski, przeczuwając, że powinni obawiać się czegoś groźniejszego niż ostra biegunka.

20.02

Elizabeth przeszła między dwoma ogniskami. W ich blasku widać było pierwsze domy wioski. Ktoś zaczął głośno uderzać w bębenek. Z cienia wyszła kobieta z twarzą do połowy przesłoniętą sari i zaprosiła ich gestem do wioski.

Gdy kobieta się odwracała, Elizabeth spostrzegła, że chusta zakrywa blizny i szramy. Masterson zauważył jej zainteresowanie.

- Co jej się stało? - zapytała, pochylając się w jego stronę.

- Twój ojciec mi o niej wspominał. Jej syna złapano na łowieniu ryb w stawie wioski z wyższej kasty. Poszła tam, by go skarcić i zabrać, ale obydwójce złapano. Wieśniacy z tamtej wioski pobili jej syna, a jej oblali twarz kwasem. Straciła oko i pół twarzy.

- To straszne - skomentowała Elizabeth.

- Ona i tak uważa, że miała szczęście, bo jej nie zgwałcono. Elizabeth była zaszokowana i podłamana, gdy usłyszała o takiej wrogości, ale jednocześnie podziwiała kobietę za jej wewnętrzną siłę i wolę przeżycia.

Kobieta prowadziła ich przez labirynt wąskich i wyboistych uliczek na centralny plac wioski, gdzie paliło się ognisko. Ludzie zebrali się wokół kilku drewnianych stolików rozstawionych przy studni. Kobiety wytarły blaty stołów i postawiły na nich jedzenie. Wokoło biegały boso małe dzieci, większość nie miała na sobie koszulek.

Gdy Elizabeth przechodziła koło grupy mężczyzn, ci ukłonili się nisko, niektórzy nawet do pasa. Zapewne z szacunku dla jej ojca. A ona nawet nie wiedziała, czym się tutaj zajmował.

Masterson wskazał swoją laską mężczyzn.

- Archibald zrobił bardzo dużo dobrego dla tych ludzi. Doprowadził do ujęcia zbirów, którzy terroryzowali wioskę, załatwił wyższe zarobki dla wieśniaków, lepszą opiekę medyczną i naukę w szkole. Ale dla nich najważniejsze było to, że ich szanował.

- Nie wiedziałam, że mój ojciec... - wymamrotała pod nosem.

- Zdobył ich zaufanie. I właśnie wśród tych wzgórz koncentrował swoje badania nad DNA.

- Dlaczego akurat tutaj? - spytał Gray, który siedł z drugiej strony profesora.

- Gdy Archibald tworzył tę mapę, którą wam pokazałem, sporządził także dokładniejsze schematy występowania markerów genetycznych w Pendżabie i te tropy przywiodły go właśnie tutaj, w te wzgórza. Ale myślę, że było coś jeszcze.

- Co? - Zmarszczyła brwi Elizabeth.

- Nie jestem do końca pewien. Zainteresował się tą prowincją dwa lata temu. Przestał zbierać próbki DNA w różnych regionach kraju i skoncentrował się na tym terenie. - Profesor spojrział w kierunku Luki. - I na Cyganach.

Elizabeth próbowała sobie przypomnieć, co działo się dwa lata temu. Kończyła właśnie studia doktoranckie na Uniwersytecie Georgetown. Miała wtedy bardzo słaby kontakt z ojcem. I brakowało jej cierpliwości do niego. Rzadkie rozmowy telefoniczne, które prowadzili, były zwykle krótkie i oschłe. Gdyby wtedy wiedziała, czym ojciec zajmuje się poza swoją główną dziedziną badawczą, może teraz wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

Gdy doszli do centrum wioski, powitały ich uśmiechy i gesty zapraszające do zastawionych stołów. Piętrzyły się na nich placki chlebowe - roti, potrawy z ryżu, gotowane warzywa, małe śliwki i spore daktyle, miski z maślanką - zwykle jedzenie, ale ofiarowane prosto z serca. Jedna z kobiet mieszała gulasz z soczewicy na palenisku w kształcie podkowy. Jej córka niosła kubek z wysuszonym krowim łajnem, by dołożyć do ognia.

Kowalski podszedł do Elizabeth i stanął przy niej bardzo blisko.

- Burger King to to nie jest - zażartował.

- Może dlatego, że oni oddają cześć krowom.

- Hej, ja też oddaję im cześć. Szczególnie gdy są lekko wysmażone prosto z grilla w towarzystwie pieczonego ziemniaka.

Uśmiechnęła się. Nie mogła uwierzyć, że ten facet potrafi ją rozśmieszyć. Nagle zdała sobie sprawę, jak blisko niego się znajduje, i odsunęła się trochę.

Gdzieś z boku jakiś grajek zaczął szarpać struny sitara, inny akompaniował mu na cymbałkach, a kolejny uderzał w table.

Nagle wśród nich pojawił się wysoki mężczyzna, którego wcześniej nie widzieli. Był po trzydziestce, miał wygoloną głowę i oliwkową karnację. Ubrany był w tradycyjną zapinaną na guziki kurtę do kolan i dhoti wykonane z prostokąta materiału zawiązanego na biodrach i sięgającego kostek. Na głowie miał bogato wyszywane kufi z dzianiny. Ukłonił się głęboko i przemówił po angielsku z poprawnym brytyjskim akcentem.

- Jestem Abhi Bhanjee, ale będzie mi miło, jeśli będziecie zwracać się do mnie Abe. My, Hindusi, mówimy: At ithi devo bhava, co znaczy: „Nasi goście są dla nas bogami”. I nikt nie jest nim bardziej od córki profesora Archibalda Polka, mojego drogiego przyjaciela. - Ruchem ręki zaprosił ich do stołów. - Zapraszam serdecznie.

Przyjęli jego zaproszenie, ale już wkrótce uśmiech na twarzy Abego ustąpił smutkowi, gdy dowiedział się o losach ojca Elizabeth.

- To straszna nowina - oświadczył przybity. - To dla nas wielka i bolesna strata. Proszę przyjąć moje kondolencje, panno Polk.

Elizabeth skłoniła głowę w podziękowaniu.

- Ostatni raz widziano go w waszej wiosce - wtrącił Gray i skinął głową w stronę Mastersona. - Dzwonił do profesora, wspominając, że właśnie tu się wybiera.

Masterson chrząknął.

- Mieliśmy nadzieję, że pan rzuci nieco światła na tę sprawę i powie nam, dokąd udał się stąd Archibald.

- Wiedziałem, że nie powinien sam tam iść - odparł mężczyzna, kręcąc głową. - Ale on nie chciał dłużej czekać.

- Dokąd chciał iść? - zapytał Gray.

- To błąd, że w ogóle go tam zaprowadziłem. To przekłete miejsce.

Elizabeth wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni mężczyzny.

— Jeśli pan coś wie... cokolwiek...

Mężczyzna przełknął ślinę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurty. Wyciągnął z niej mały woreczek, w którym coś dźwięczało.

- To wszystko się zaczęło, gdy pokazałem pani ojcu to. - Rozchylił palcami sakiewkę i wysypał jej zawartość na stół. - Czasem znajdujemy je podczas orki.

Stare, zaśniedziałe monety, prawie czarne ze starości, zakreśliły się na stole, a jedna z nich potoczyła się do Elizabeth. Zatrzymała ją dłonią i podniosła. Potarła powierzchnię kciukiem, ścierając patynę, i badawczo oglądała. Dopiero po chwili zorientowała się, co trzyma.

Na powierzchni monety, choć niemalże starty, widniał wizerunek twarzy kobiecej, na której policzkach kłębiły się małe węże. To była Meduza, najgroźniejsza z Gorgon.

- To starożytna moneta grecka - oświadczyła zdziwiona. - Znaleźliście je na swoich polach?

Abe skinął głową.

- Niesłychane. - Elizabeth odwróciła monetę pod światło. - Grecy faktycznie przez jakiś czas sprawowali rządy w Pendżabie. Ale kraina ta była także we

władaniu Persów, Arabów, Mogołów, Afgańczyków. Aleksander Wielki stoczył tu jedną ze swoich wielkich bitew.

Gray wziął do ręki jedną z monet. Jego twarz spochmurniała. Wręczył monetę Elizabeth.

- Lepiej rzuć okiem na tę, Elizabeth.

Wzięła ją do ręki i obejrzała. Jej palce zaczęły drżeć. Na awersie wybito grecką świątynię. I to nie było jakąś świątynię. Przyglądała się portykowi z trzema filarami chroniącymi ciemne wejście. Na wysokości progu świątyni widniała wypukła litera E.

- To świątynia w Delfach - szepnęła.

- Wygląda na identyczną z tą, którą pani ojciec zabrał z muzeum.

Próbowała to wszystko ogarnąć i zrozumieć, ale nie mogła się skupić. Odniosła wrażenie, jakby w jej mózgu nastąpiło jakieś zwarcie.

- Kiedy... kiedy pokazał pan mojemu ojcu te monety? Abe zmarszczył czoło.

- Nie jestem pewien. Ze dwa lata temu. Poradził mi, żebym je przechowywał w bezpiecznym miejscu, ale skoro on nie żyje, a pani jest jego córką...

Jego głos ledwie do niej dochodził. Dwa lata temu. W tym samym roku, gdy ojciec załatwił jej pracę w Muzeum Delfickim. Czowała, że trzyma w palcach monetę, która kupiła jej staż w muzeum. Zbyt zajęty badaniami tutaj, ojciec pewnie chciał, żeby ona też uczestniczyła w rozwikłaniu tajemnicy. Poczowała złość, ale była świadoma obecności mieszkańców wioski i tego, ile on dla nich znaczył. Może ojciec nie wyjeżdżał stąd, bo nie potrafił ich zostawić.

No tak, ale mógł coś zrobić.

A jeśli...? A jeśli on właśnie ją chronił?

Potrząsnęła głową, nurtowały ją liczne pytania. O co w tym wszystkim chodziło? Może rewers monety udzieli odpowiedzi? Przewróciła ją na drugą stronę. Powierzchnia była poczerniała i widniał na niej symbol, który wcale nie był typowo grecki.

Abe dostrzegł zdziwienie na jej twarzy. Wskazał palcem monetę i wyjaśnił:

- To koło czakry. Starożytny symbol hinduski.

Ale skąd się wziął na greckiej monecie? - zastanawiała się Elizabeth.

- Mogę zobaczyć? - zapytał Luka. Okrążył stół i spojrzał jej przez ramię. Nagle cały zeszywniał, a jego palce zacisnęły się na krawędzi stołu.

- To... ten symbol. On jest także na rzymskiej fladze.

- Co?! - wykrzyknęła Elizabeth.

Luka się wyprostował. Zmarszczył brwi ze zdziwienia.

- Ten znak został wybrany na flagę, bo w sanskrycie słowo czakra znaczy „koło”. To koło cygańskiego wozu, symbolizujące naszą wędrowniczą naturę, a jednocześnie szacunek dla hinduskich korzeni. Jednak pojawiały się także plotki, że ten symbol miał głębsze znaczenie i pojawił się znacznie wcześniej w naszej tradycji.

Gdy pozostali dyskutowali o znaczeniu symboli, Elizabeth jeszcze raz skoncentrowała się na monecie i doszła do pewnego wniosku.

Gray pochylił się w jej stronę.

- Co myśliłaś?

Spojrzała w jego chłodne oczy. Podniosła monetę i wskazała na stronę z widokiem świątyni.

- Mój ojciec uruchomił swoje kontakty, żeby załatwić mi staż w Muzeum Delfickim tuż po znalezieniu tej monety. - Obróciła pieniążek w palcach na stronę z wizerunkiem czakry. - I w tym samym czasie zaczął badać historię Cyganów i ich związki z Indiami. Dwie strony monety i dwa kierunki poszukiwań.

Elizabeth przekręciła monetę i spojrzała na jej krawędź.

- Ale co znajduje się pośrodku? Co łączy obydwie strony? Odwróciła głowę do Abhi Bhanjee. On jeszcze nie powiedział im wszystkiego.

- Dokąd poszedł mój ojciec? - zapytała zdecydowanym tonem.

Zamiast odpowiedzi usłyszeli krzyk wieśniaków. Jeden z nich biegł od strony zewnętrznych ognisk. Muzyka ucichła - ale jakiś odległy hałas pozostał w powietrzu, ciężkie uderzenia, które rezonowały w klatce piersiowej.

Gray zadarł głowę.

Elizabeth wstała zdziwiona i spojrzała w stronę wzgórz, próbując odkryć, skąd dochodził hałas, ale wydawało się, że on dobiega ze wszystkich stron. Wtem trzy ostre światła reflektorów wynurzyły się zza krawędzi wzgórz.

Helikoptery.

- Wszyscy z powrotem do samochodu! - wykrzyknął Gray. Abe krzyczał w hindi, wydawał ludziom rozkazy. Mężczyźni i kobiety rozbiegli się we wszystkie strony. W całym tym zamieszaniu, przedzielona uciekającymi ludźmi, Elizabeth odłączyła się od swojej grupy. Próbowała się bezskutecznie precyzyjnie przemieszczać przez biegnący tłum.

Jak polujące jastrzębie helikoptery zanurkowały w stronę wioski i rozdzieliły się, zataczając szerokie koło. Patrząc w niebo, Elizabeth potknęła się, ale czyjaś silna ręka złapała ją, powstrzymując przed upadkiem. To Kowalski zjawił się w samą porę.

- Spadamy stąd, mała!

Przebijał się przez tłum jak tocząca się skała.

Na granicach wioski helikoptery zawisły nieruchomo w powietrzu. Przez rozsunięte drzwi wyrzucono liny, po których zaczęły zsuwać się uzbrojone czarne postacie w hełmach.

Nie dostaniemy się do samochodu, pomyślała Elizabeth.

20.38

Prypeć, Ukraina

Nikołaj zatrzasnął klapkę swojego telefonu komórkowego. Czyli jedno zmartwienie mniej. Ruszył korytarzem w stronę sali balowej. W powietrzu

rozchodziła się muzyka - klasyczny rosyjski utwór z dziewiętnastego wieku - Sniegurocza - „Śnieżynka”.

Przesunął palcami wzdłuż brzegu smokingu. Choć inni woleli nowoczesne stroje wieczorowe, Nikołaj wybrał swój osobiście w Mediolanie. Wieczorowa jednorzędowa marynarka z kaszmiru z klapami w szpic pochodziła z firmy Brioni. Smoking był klasyczny i elegancki, wybrany ze względu na to, że właśnie taki nosił książę Windsoru w latach trzydziestych i czterdziestych minionego wieku. Poza tym miał dawny sznyt i pasował do Nikołaja, który jednak trochę unowocześnił swój image, zamieniając muszkę - nigdy nie wyglądał w niej dobrze przez swoją starannie przyciętą bródkę - na krawat z marszczonego jedwabiu ozdobiony diamentową szpilką osadzoną w rosyjskim srebrze.

Zdając sobie sprawę ze swojego doskonałego wyglądu, wszedł na salę balową.

Nowa marmurowa podłoga błyszczała w świetle kilkunastu kryształowych żyrandoli Baccarat, będących darowizną producenta z okazji tej uroczystości. Stoły otaczały pusty parkiet do tańca. Ale prawdziwy taniec już się rozpoczął. Ludzie mieszały się w wirach politycznych kręgów, rywalizując o łaskawe skinienie głową, o moment na osobności z potentatem, o wyszeptane dopięcie interesów.

Wokół premiera rządu rosyjskiego i prezydenta Stanów Zjednoczonych zebrały się największe grupy. Każdy z nich rywalizował o poparcie dla swoich pomysłów dotyczących sankcji nakładanych na państwa stanowiące zagrożenie atomowe. Ważny szczyt międzynarodowy miał się odbyć w Sankt Petersburgu po zakończeniu ceremonii w Prypeci. Zapiecztowanie Czarnobyli miało być symbolicznym rozpoczęciem tego ważnego spotkania.

Nikołaj przyglądał się tej parze otoczonej morzem ludzi. Miał zamiar przedrzeć się przez te wody. Przed jego rosnącą popularnością jako rzecznika reform polityki atomowej fale tego morza powinny się łatwo rozstać.

Powinien chociaż uścisnąć ręce tych dwóch ludzi, których planował zabić.

Ale zanim wpłynął na te wody, skierował swoje kroki do Eleny, która stała w jednym z wielkich zwieńczonych łukiem okien. Ciężkie jedwabne zasłony przysłaniały okno. Dziewczyna wyglądała niczym jakaś wyjątkowa osobistość, w czarnej sukni z lejącego się materiału, jakby była gwiazdą hollywoodzkiego musicalu. W jednej dłoni trzymała wysoki kieliszek do szampana. Wpatrywała się w ciemność za oknem.

Podszedł do niej.

Ponad ruinami miasta, na linii horyzontu błyszczały jasne światła. Ekipy robotników miały przez całą noc budować trybuny dla obserwatorów oraz dopilnować, by osadzenie nowego sarkofagu na skorupę osłaniającą czwarty reaktor przebiegło bez zakłóceń. Oczy całego świata skierują się w to miejsce.

Dotknął jej ramienia.

Nie była wcale tym zaskoczona, bo widziała jego odbicie w szybie okna. Ponętny Rasputin.

- Już prawie po wszystkim - powiedział, pochylając się nad jej uchem.

Według wiarygodnych informacji rozpoczęło się odliczanie do odpalenia

ładunków kruszących. Nic już nie mogło ich powstrzymać.

20.40

Pendżab, Indie

Napastnicy otworzyli ogień, zanim Gray dobiegł na skraj wioski. Rozległy się krzyki i nawoływania. Helikoptery huczały nad głowami. Komandor przylgnął do muru. Mercedes stał za dwoma ogniskami.

Żołnierze w czarnych mundurach biegli przez otwarty teren z karabinami automatycznymi gotowymi do strzału. Pozostali otaczali chaty i umacniali swoje pozycje wokół wioski. Przygotowywali się do rozpoczęcia natarcia i pacyfikacji wioski.

Gray zdawał sobie sprawę z tego, że jedynym ratunkiem dla tutejszych mieszkańców była ucieczka jego zespołu; to odciągnęłoby myśliwych. Musieli wydostać się z wioski, zanim zostanie całkowicie otoczona.

Wyciągnął rękę do Rosauro.

- Kluczyki.

- Brakuje Kowalskiego i Elizabeth - powiedziała.

Gray obejrzał się za siebie. W gorączce ucieczki krętymi uliczkami wioski zupełnie tego nie zauważył.

- Znajdź ich - rozkazał Rosauro. - Ruszaj. Skinęła głową i pobiegła.

Komandor wbił twardy wzrok w Luke.

- Pilnuj profesora. Nie wystawiajcie się na widok. Cygan skinął głową. W jego dłoniach błyszczały dwa sztylety. Gray nie mógł już dłużej czekać.

Przygięty do ziemi, wybiegł z ukrycia na otwarty teren.

Elizabeth i Kowalski uciekali krętą uliczką. Z boku dróżki płynął śmierdzący ściek.

- Trzymajmy się tego ścieku - rzuciła - on nas stąd wyprowadzi.

Kowalski skinął głową i przystanął za następnym rogiem. W dłoni wielkiej jak bochen chleba trzymał pistolet. Elizabeth schowała się za jego plecami.

- Masz drugi pistolet? - zapytała.

- Umiesz strzelać?

- Strzelałam do rzutków. Na uniwerku.

- Niewielka różnica. Tutaj cel trochę bardziej wrzeszczy. Sięgnął pod marynarkę, wyciągnął małą beretę z oksydowanej stali i podał jej.

Zacisnęła palce na rękojeści, a chłód stali dodał jej energii.

Ruszyli. Alejka była pusta. Ze skraju wsi dobiegły do nich odgłosy strzelaniny. To wieśniacy bronili swoich domostw i życia.

Nad ich głowami przeleciał helikopter. Dudniące łopaty wirnika zrywały liście z drzew i podrywały drobne śmieci. Zgięci w pół wycofali się i schronili w glinianej chacie. Elizabeth zauważyła dzieci schowane za niskim posłaniem.

Gdy helikopter odleciał, Kowalski pociągnął ją do drzwi, ale po sekundzie się cofnął. Koło chaty przebiegł żołnierz w czarnym stroju. Bitwa musiała się toczyć

w centrum wioski. Kowalski wyrzwał na zewnątrz, dał znak ręką i wyprowadził ją z chałupki.

- Przebijemy się do tych pagórków.

Zygzakami pokonali dwa kolejne zakręty i dotarli do skraju wioski, skąd mogli ruszyć w stronę wzgórz. Na uliczce przed nimi leżały ciała. Krew spływała do rynsztoka. Jeden z trupów miał na sobie czarny strój maskujący. Trzymając się blisko muru, Kowalski pobiegł, wyciągając przed siebie pistolet.

Doszedł do nich odgłos serii z broni automatycznej.

Czy uda im się przedrzeć przez taki kordon?

Kowalski przystanął przy zwłokach żołnierza. Usiłował zdjąć mu hełm.

Nadaje się na przebranie, pomyślała. Niezła zmyłka.

Gdy Kowalski ciągnął za hełm, razem z nim oderwała się od ciała głowa żołnierza. Zaszokowany i przerażony odskoczył do tyłu, wpadając na Elizabeth. Obydwoje przewrócili się na ziemię.

Za nimi pojawił się czarny cień.

Kolejny żołnierz.

Elizabeth podniosła pistolet i zaczęła strzelać raz za razem. Pociski rykoszetowały od ścian, ale przynajmniej utrzymywały żołnierza za rogiem. Za plecami usłyszała strzały z broni Kowalskiego. W wąskiej uliczce brzmiały jak armatnia kanonada. Odwróciła się i dostrzegła kolejnych dwóch żołnierzy na końcu uliczki.

Ona i Kowalski znaleźli się w krzyżowym ogniu.

Zgięty wpół Gray wybiegł z uliczki na otwarty teren. Zanurkował pod wóz stojący pomiędzy dwoma ogniskami, w których paliły się śmieci. Podczołgał się do jednego z ognisk. Jeśli strzały i helikoptery nie przestraszyły wołu, to chyba będzie musiał podłożyć mu ogień pod ogon.

Dosłownie.

By osiągnąć swój cel, złapał krawędź palącej się opony i rzucił ją na stos odpadków na wozie. Śmieci szybko zajęły się ogniem. Trzymając płonąca gałąź w drugiej ręce, przczołgał się pod wozem do wołu i zaczął go parzyć w zad.

Wół zaryczał i wierzgnął, potężnie uderzając w wóz kopytami. Gdy zwierzę ruszyło z wściekle pochyloną głową, Gray uchwycił się przedniej burty wozu, który trzęsąc się i podskakując, jechał w kierunku pobliskich wzgórz, ciągnąc za sobą płomienie i smugę dymu z palących się śmieci.

Gray trzymał się mocno burty i balansował tak, by nie wpaść pod ciężkie koła. Gdy wóz dojechał do wzgórz i przetaczał się nad kanałem odwadniającym, komandor puścił się i wskoczył do rozwodnionego blocka.

Wóz toczył się dalej w stronę wzgórz niczym świetlisty meteor podążający w nieznaną. Komandor miał nadzieję, że obserwatorzy w helikopterach przez jakąś chwilę będą obserwować ognisty pojazd.

Płynął w ciemności błotnistym kanałem biegnącym wokół wioski. Dotarł wreszcie w okolice mercedesa i odczekał, aż najbliższy lecący helikopter się oddali. Wydostał się z rowu i skulony ruszył biegiem do samochodu, starając się, by SUV znajdował się dokładnie pomiędzy nim a wioską.

Musiał szybko wskoczyć do wozu. Po otwarciu drzwi w samochodzie zapali

się lampka sufitowa. Wziął głęboki oddech. Kluczyk trzymał w pogotowiu. Nie miał czasu do stracenia.

Elizabeth i Kowalski zostali osaczeni, rozglądali się za ewentualną drogą ucieczki. Elizabeth znalazła otwarte okno o krok dalej.

Trąciła Kowalskiego i wskazała je.

- Ruszaj! - nakazał jej Kowalski.

Skoczyła w czarny otwór w ścianie, nie wypuszczając pistoletu z ręki, i na klepisku wykonała przewrót. Pomieszczenie było puste. Po chwili do środka wpadł Kowalski. Ledwie uciekł spod gradu kul. Tupot wojskowych butów dobiegł do nich z obydwu stron.

- Drzwi! - krzyknęła.

Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowało się łukowate wyjście na kolejną alejkę. Wybiegli przez nie razem...

...i niemal wpadli na czterech innych żołnierzy. Zanim zaskoczeni zdążyli przeładować broń, błysnęły stalowe klingi szabel. Elizabeth i Kowalski cofnęli się. Gdy jeden z komandosów podniósł pistolet, usłyszeli świst stali i ostrze odcięło mu rękę. Kolejny padł na ziemię z podciętym gardłem.

Po chwili cała czwórka leżała martwa, posiekana na kawałki.

Ich wybawicielami byli trzej mężczyźni. Abe i dwaj inni wieśniacy.

Używali charakterystycznej indyjskiej broni. Urumi. Słynnych i śmiertelnych szabl. Każda składała się z czterech elastycznych kling szerokich na trzy centymetry i długich na półtora metra. Były tak cienkie, że wyginały się jak pejcz. Ojciec Elizabeth pokazał jej kiedyś na wideo film z prezentacją sposobu walki tymi szablami, zwany kalaripayattu. Wystarczał jeden ruch nadgarstka, a ostrza rozwijały się i ze świstem rozcinały ciało wroga z siłą większą niż tradycyjna szabla.

- Chodźcie za mną! - zakomenderował Abe. - Wasi przyjaciele tam są!

Poprowadził ich z powrotem do wioski. Szli krętą trasą częściowo wokół wioski, częściowo przechodząc przez chaty i zagrody. Od czasu do czasu Abe rozwijał szablę i uderzał nawet zza rogu, zaskakując i ciężko raniąc przeciwnika. Później wyskakiwał ze swoimi ludźmi i kończył dzieło.

Oczy Kowalskiego błyszczały w ciemności ze zdziwienia, gdy obserwował rzeź wrogów.

- Jeśli mają taką broń, to nic dziwnego, że nazywają ich niedotykalnymi. Będę musiał sobie sprawić coś takiego.

Czając się za kolejnym rogiem, Abe rozwinął broń i uderzył, po czym błyskawicznie cofnął rękę. Usłyszeli okrzyk zdziwienia.

- Tak mi przykro! - zawołał Abe, gdy zobaczył, kogo zaatakował.

To była Rosauero. Trzymała się dłonią za policzek. Między palcami płynęła jej krew. Szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia, gdy zobaczyła, kto ją zranił.

- Dzięki Bogu, że was odnalazłam. - Ucieszyła się. - Szybko! Za mną!

Ruszyli grupą.

Wreszcie na końcu uliczki dostrzegli znajome ogniska. Pomachał do nich Luka skulony pomiędzy dwoma chałupami z gliny. Trochę głębiej, w większym mroku krył się profesor.

Ale gdzie był Gray?

W odpowiedzi usłyszeli bulgocący dźwięk silnika samochodu, dochodzący z obrzeża wioski.

- Przygotujcie się! - rzuciła Rosauro z broczącym krwią policzkiem.

Przygotować się? Ale na co?

Gdy Gray wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu, samochód wystrzelił jak z katapulty. SUV parł do przodu, gdy nagle rozprysła się jedna z tylnych szyb. Przejechał pomiędzy dwoma ogniskami.

W powietrzu wisiał helikopter. Choć nie miał zamontowanego karabinu, to jednak z uchylonych drzwi wychylał się ktoś z karabinem maszynowym.

Gray wcisnął hamulec, pociski trafiły w błoto tuż przed przednim zderzakiem. Wrzucił wsteczny bieg, nacisnął gaz i wycofał z całą mocą pięciuset koni mechanicznych.

Skręcił kierownicą i samochód wykonał tak raptowny zwrot, że przez moment dotykał podłoża tylko dwoma kołami. Po opadnięciu na cztery koła wóz ruszył do przodu w kierunku alejki. Gray pociągnął za dźwignię otwierającą tylną część. Na desce rozdzielczej zamrugała lampka, gdy kłapa opuszczała się hydraulicznie. Przejechał między dwoma ogniskami, wzbijając snopy iskier i zahamował tuż przed Rosauro, która biegła w jego stronę wraz z resztą ekipy. Gramolili się pospiesznie na siedzenia, inni wskakiwali na tył wozu przez uchyloną kłapę. Gray zauważył znajomą, ogoloną, przypominającą łeb buldoga głowę Kowalskiego. Znaleźli go.

I Elizabeth też. Ten wielkolud ją przygniatał.

- Jazda! - krzyknęła Rosauro z tyłu.

Gray wcisnął gaz i przycisk uruchamiający elektryczne zamykanie tylnej części.

W górze dwa helikoptery skierowały się prosto na samochód, lecąc z dwóch przeciwnych stron. Linie pocisków przecięły błoto po obu stronach samochodu.

Gray wykonał nagły skręt, robiąc unik, a po chwili drugi.

Helikoptery naśladowały jego ruchy.

Nagle strumienie pocisków przecięły niebo. Strzelano do śmigłowców, wyglądało to niezwykle, bo wśród pocisków były smugacze, które wzmocniły efekt. Kilku wieśniaków najwyraźniej zabrało karabinki automatyczne zabitym napastnikom.

Jeden ze snajperów w helikopterze wypadł na zewnątrz, a obsługiwany przez niego szperacz rozprysnął się w drobny mak.

Druga maszyna wykonała gwałtowny zwrot. Grayowi udało się uniknąć wystrzelonych pocisków i skierował się w stronę wzgórz. Jechał pełnym gazem, z wyłączonymi światłami. Kierował się śladami wozu ciągniętego przez wołu, mając nadzieję, że z trasą, którą przejechał zaprzęg, poradzi sobie także SUV.

Mercedes oddalał się od blasku ognisk i pograżał się coraz bardziej w mroku. Dwa helikoptery ruszyły w pościg, omiatając okolicę reflektorami. Trzeci obniżył lot na skraju wsi i spuścił liny dla komandosów.

Rosauro pochyliła się do przodu.

- To Rosjanie!

- Rosjanie?

- Tak sędę - oświadczyła. - Żołnierze mieli rosyjskie karabinki automatyczne AN-dziewięćdziesiąt cztery.

W lusterku wstecznym Gray zauważył zmartwioną twarz Mastersona. Najpierw banda amerykańskich najemników, teraz Rosjanie... Ilu ludzi chciało go zabić? To pytanie będzie musiało pozostać jeszcze jakiś czas bez odpowiedzi.

W bocznych lusterkach dostrzegł zbliżające się helikoptery. Grayowi udało się zrealizować swój plan - odciągnąć śmigłowce od wioski. Ale co dalej?

- Proszę skrócić w prawo u podnóża następnego pagórka! - zawołał jakiś głos z tyłu z brytyjskim akcentem. Gray odwrócił się i zobaczył, że mają pasażera na gapę. To był Abhi Bhanjee.

- Pomoże nam zgubić pościg! - ucieszyła się Rosauero. Rozbryzgując wielką kałużę, Gray dotarł do podnóża pagórka i ostro skręcił w prawo. Jechał środkiem błotnistej dolinki.

- Teraz w lewo wzdłuż murku! - krzyknął Abe. Jakiego murku?

Gray pochylił się do przodu. Bez zapalonych świateł było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Gdyby tylko mógł je na chwilę włączyć...

Nad samochodem przeleciał helikopter, omiatając teren szperaczem. Nie było to oświetlenie, o jakim komandor marzył, ale przynajmniej na chwilę dostrzegł okolicę. Faktycznie, po lewej stronie ciągnął się kamienny murek. Niestety, załoga helikoptera dostrzegła samochód. SUV został zalany strumieniem światła.

Salwa ognia karabinowego omiotła okolice samochodu, rozbryzgując wodę.

Nie mając czasu do stracenia i widząc zbliżający się murek, Gray szarpnął kierownicą w lewo. Mimo napędu na obie osie tył samochodu zarzuciło. Koła jednak szybko złapały przyczepność i pokonując lekkie wzniesienie, samochód wyjechał z wody.

Helikopter kołysał się nad nimi, ale szperacz utrzymywał stabilną pozycję i śledził tor ich jazdy.

Samochód wyskoczył na moment w powietrze po pokonaniu kolejnego wzgórzka i spadł twardo na ziemię, aż Gray zaszczekał zębami.

U podnóża pagórka, z którego zjeżdżali, i dalej na prawo rozciągało się czarne morze na tle szarego krajobrazu. To nie była jednak woda, tylko rozległy las.

- To drzewa mangowe! - krzyknął Abe. - Bardzo stary sad. Bardzo stare drzewa. Moja rodzina pracowała tu przez wiele pokoleń.

Gray jechał prosto na ciemny sad.

Szperacz helikoptera podążał za nimi. Padły serie z karabinów, ale Gray cały czas jechał zygżakiem, więc żadna kula w nich nie trafiła.

Wreszcie osiągnęli linię sadu i wtoczyli się z rykiem silnika między równe rzędy drzew. Gałęzie tworzące gęsty baldachim całkowicie ich zasłoniły. Zwolnił, gdy otoczyła ich ciemność. Skręcał wielokrotnie, jadąc prostopadle do początkowo obranego kursu. Dudnienie płatów nośnych helikoptera osłabło. Gray wjechał głęboko w sad jak zbiegły więzień szukający schronienia na plantacji kukurydzy.

- Jak duży jest ten sad? - zapytał, starając się skalkulować, jak dobrze mogą

się w nim schować.

- Ponad cztery tysiące hektarów. Jak wielkie pole kukurydzy.

Gdy zagrożenie zmalowało, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Rosauro pochyliła się do przodu.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego Abe nalegał, żeby z nami pojechać.

- Mianowicie?

Uniosła grecką monetę z kołem czakry na rewersie i palcem wskazała na świątynię na awersie.

- On wie, gdzie to jest.

Gray spojrział w lusterko wsteczne. Abhi Bhanjee siedział zupełnie z tyłu obok Luki. Nawet w takim mroku dostrzegł przerażenie malujące się na jego twarzy. Przypomniawszy sobie, co Hindus mówił o miejscu, do którego wybierał się Archibald Polk.

Przeklęte miejsce.

6 września, 22.26
Południowy Ural

Monk trzymał straż.

W suchym ubraniu i rozgrzany ogniem krążył po izbie. Starał się robić jak najmniej hałasu, stąpając ostrożnie, by nie trzeszczała podłoga. Włożył buty, ale ich nie zasnuował. Wszystkim dzieciom kazał się ubrać i nałożyć buty, zanim owinęły się w koce i zasnęły. Gdyby musieli szybko uciekać, nie będzie problemów z ubieraniem.

Konstantin i Kiska spali obok siebie otuleni kocami. We śnie dzieci wydawały się mniejsze, szczególnie Konstantin. Jego bystry umysł i poważny sposób wypowiedzenia się sprawiały, że można go było wziąć za starszego. Ale gdy spał, Monk zdał sobie sprawę, że chłopiec nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat.

Przechodząc kolo dzieci, ich opiekun stapał szczególnie ostrożnie. Wiedział już, które deski podłogowe trzeszczą najbardziej, i starał się ich unikać. Piotr leżał wtulony w ramiona starej szympansicy, która siedziała na podłodze z głową zwieszoną na klatkę piersiową i oddychała głęboko. Piotr bał się o swoją siostrę. Monk wierzył chłopcu, że to właśnie ją ujrzał w swojej wizji. Uspokajanie Piotra trwało całą godzinę, a jego stan dodatkowo pogorszyło wyczerpanie po całodziennym wędrowcu. W końcu poddał się zmęczeniu i zapadł w sen w bezpiecznych ramionach Marty.

Bez względu na to, jak delikatnie Monk stapał, ona i tak podnosiła głowę. Jej zamglone, ciepłe oczy spoglądały na niego, po czym głowa jej opadała, a powieki się zamykały. Pilnuj go, Marto.

Przynajmniej ktoś kocha te dzieci.

Monk wrócił na swoje miejsce przy drzwiach. Przysunął do nich stół postawiony do góry nogami i podparł go dodatkowo krzesłem. Usiadł z westchnieniem.

Wśluchiwał się w nocne odgłosy bagna: bulgotanie wody, skrzeczenie żab, cykanie świerszczy i sporadyczne pohukiwanie polującej sowy. Raz nawet przestraszył się trochę, gdy usłyszał, jak coś wielkiego przechodzi obok chaty, ale spojrzał przez szparę w okiennicy i uspokoił się. Okazało się, że był to tylko ubłocony dzik, żerujący w okolicy.

Pozwolił zwierzęciu pokreć się po wysepce, bo duże szable dzika zapewniały dodatkową ochronę.

Rytm bagna go usypiał. Po chwili broda opadła mu na klatkę piersiową. Zmrużył oczy zaledwie na kilka minut.

Monk! Znowu się spóźniłeś! Ruszaj!

Podniósł głowę, uderzając nią o nogę stołu. Ból przeszył mu czaszkę - lecz nie pochodził on z uderzenia o drewno, ale z głębi głowy. Przez moment czuł... czuł

w ustach cynamon, ostry i ciepły w smaku, a do tego słyszał szept padający z ust ocierających się o jego usta. To poruszyło nim do głębi.

Wrażenie jednak szybko uleciało.

To tylko sen...

Ale Monk wiedział, co się dzieje. Gdy prostował się, przenikliwy ból ustąpił. Opuszkami palców dotknął szwów za uchem. Kim ja jestem?

Konstantin opisał mu tonący statek wycieczkowy, obciążoną sieć i jego wyratowanie z morza. Czy pracował na statku? Czy był pasażerem? Nie potrafił na te pytania odpowiedzieć. Spojrzał przez pokój i zobaczył oczy wpatrujące się w niego. Piotr nie odwrócił wzroku. Cały czas na niego spoglądał. Malec przypuszczalnie obudził się, gdy Monk walnął głową w nogę od stołu.

A może wyrwało go ze snu coś zupełnie innego.

Spojrzał chłopcu w oczy. Dostrzegł w nich głębię smutku i to go trochę przestraszyło. To nie było zwykle zmartwienie czy chwilowy strach. Z jego dziecięcej twarzy bił brak nadziei, rozpacz, której nie widział u żadnego innego dziecka. Chłopiec zadrżał, co obudziło Martę.

Zahukała cicho i odwróciła się do Kokkalisa, a ten wstał i podszedł do nich. Twarz chłopca lśniła jasno w świetle ognia. Zbyt jasno. Dotknął jego czoła.

Było gorące. Rozpalone.

Tego mu jeszcze brakowało w obecnej sytuacji - chorego dziecka.

Czy nie mógł mieć ani chwili spokoju? Wtem blisko chatki usłyszał gardłowe mruczenie, które przerodziło się w ryk.

Drugi ryk rozległ się po przeciwnej stronie chaty. Konstantin i Kiska zerwali się na równe nogi. Nie dostali żadnego ostrzeżenia.

Monk nie odebrał żadnych znaków zwiastujących zbliżanie się kotów. Nawet Piotr był nieświadomy niebezpieczeństwa. Może to przez gorączkę lub wyczerpanie. Monk liczył, że będzie dostawał od niego ostrzeżenia.

Chatka nie była bezpiecznym schronieniem. Z tego, co widział wcześniej na brzegu rzeki, każdy tygrys ważył około trzystu kilogramów, z czego większość stanowiły mięśnie. Zwierzęta mogły sforsować drzwi albo dach w ciągu kilku sekund. Ale teraz tylko krały dookoła, oceniając sytuację.

Konstantin wspomniał o jeszcze jednym zagrożeniu. Nawet jeśli dzikim kotom nie udałoby się wtargnąć do chaty, to na pewno za nimi podążali dwunożni myśliwi. Musieli się stąd szybko wynosić.

Monk wyciągnął zza paska znaleziony nóż myśliwski i chwycił go w zęby, po czym podszedł do paleniska i wyjął z niego płonąca żagiew. Wcześniej odciął metrową gałąź z sosny rosnącej na zewnątrz. Żywica była łatwopalna i zamieniła gałąź w ognistą pochodnię.

Ruszył wokół pokoju. Dotknął pochodnią słomianego ocieplenia dachu, które było suche jak pieprz. Wylał resztki nafty z zardzewiałej lampy naftowej na szmaty i wepchnął je w dach.

Płomienie szybko ogarnęły strop.

Ryki tygrysów rozdarły nocną ciszę.

Konstantin wyjął dwie sosnowe deski z podłogi. Wcześniej Monk je poluzował, wyciągając z nich stare gwoździe. Chata była wybudowana na

palach, więc pod spodem miała niewielką przestrzeń otwartą ze wszystkich stron. Monk miał nadzieję, że kotom nie uda się wczołgać pod chatkę.

Kiska otworzyła okiennice. W tym samym czasie Monk odsunął stół blokujący drzwi.

Byli gotowi i zaczynało brakować im czasu. Dał dzieciom znak, by zaczęły schodzić pod chatę, bo dym wypełniał już górną część pomieszczenia, a żar stawał się nieznośny.

Marta pomogła Piotrowi zejść, później ruszyła Kiska. Za nimi Konstantin, który znów nie był małym chłopcem, tylko srogim młodzieńcem.

Z nożem w zębach Amerykanin odpowiedział skinieniem głowy na jego skinienie.

Konstantin zeskoczył i zniknął.

Monk miał zamiar odwrócić uwagę tygrysów. Płonący dach i wydobywający się z chaty dym powinny je zmylić. Z pochodnią w ręce policzył do dziesięciu i z całej siły kopnął w spróchniałe drzwi. Deski zatrzęszczały i drzwi otworzyły się na oścież.

Jeden z tygrysów czał się o metr dalej. Zaskoczony, rozplaszczyl się na ziemi i syknął. Machnął łapą uzbrojoną w groźne pazury.

Przez pół sekundy Monk podziwiał wielkość tygrysa - miał trzy metry długości. Oczy błyszczały mu blaskiem pożaru z płonącego dachu. Monk wściekłym ruchem zakreślił pochodnią nad głową. Serce waliło mu jakimś pierwotnym rytmem z czasów, gdy pracłowiek mieszkał jeszcze w ciemnej jaskini.

Miał nadzieję, że kopnięcie w drzwi przyciągnęło też uwagę drugiego tygrysa. I faktycznie wynurzył się on zza rogu po lewej stronie, czając się nisko przy ziemi - plama pasiastego futra i potężne pazury. Monk dźgnął go pochodnią prosto w pysk, gdy ten chciał na niego ruszyć. Wielki kot ryknął wściekle i odsunął się z przypalonym futrem.

Zniekształcone lewe ucho tygrysa wskazywało, że to Zachary.

Jego brat Arkady zaskowyczał i zaatakował, chcąc bronić brata.

Monk zdawał sobie sprawę, że wielki kot w końcu się na niego rzuci, że pochodnia go nie odstraszy. Odchylił ramię, robiąc zamach, i pchnął płonąca gałęzią niczym oszczepem. Zaimprovizowana dzida wbiła się tygrysowi prosto w otwarty pysk. Zwierzę podskoczyło, parskając.

Kokkalis chwycił rękojęść noża trzymanego w zębach, obrócił się na pięcie i rzucił z powrotem do chatki. Gdy się odwracał, zobaczył kątem oka, że Zachary rozpoczął za nim wściekły pościg.

Sapiąc z przerażenia, Monk przebiegł przez zadymione wnętrze chaty. Żar, dym i popiół działały jak gaz łzawiący i całkowicie go osłepiły. Biegł, kierując się instynktem. Otwarte okno znajdowało się naprzeciwko drzwi. Przez lzy dostrzegł ciemniejszy prostokąt w przesłoniętej dymem ścianie.

Skoczył prosto w czeluść otworu, prostując ramiona przed sobą. Dobrze mierzył, ale tygrysie pazury zahaczyły o nogawkę spodni, rozdierając materiał. Uderzenie odrobinę zmieniło trajektorię lotu, tak że uderzył barkiem w futrynę otworu okiennego, co spowodowało paraliżujący ból ramienia. Dzięki impetowi

wypadł jednak na zewnątrz. Wylądował twardo i niemal stracił przytomność. Nóż wypadł mu z ręki i poleciał w wysoką trawę.

Goniący go Zachary wyrzwał prosto w ścianę, nieprzygotowany na to, że można skakać przez tak niewielki otwór. Ryk wściekłości poderwał Monka, zrobił jeden niepewny krok, otrząsnął się i biegiem ruszył w stronę wody. Ten jeden niepewny krok przesądził o jego losie.

14.20

Waszyngton, D.C.

- Jej stan jest formą zapalenia opon mózgowych - potwierdził Jurij Rajew.

Painter siedział przy restauracyjnym stole naprzeciwko rosyjskiego naukowca. Obok doktora Rajewa miejsce zajął John Mapplethorpe, którego Painter rozpoznał dzięki lekturze dossier przygotowanego przez Seana McKnighta, a po drugiej stronie Rosjanina usadowił się doktor Trent McBride, uważany za zaginionego kolegę Archibalda Polka.

Najwyraźniej się odnalazł.

Painter miał tysiąc pytań do tego faceta, ale spotkanie w restauracji Capital Grille przy Pennsylvania Avenue zostało zaaranżowane za pośrednictwem kanałów wywiadowczych. Tematy rozmów i ich zakres były ściśle wyznaczone. Poruszenie kwestii losów doktora Polka było po prostu niemożliwe. Przynajmniej na razie. Można było tylko dyskutować o zdrowiu dziewczynki.

Do rozmów przy okrągłym stole Painter przyprowadził własnych ekspertów. Po jego stronie stołu siedzieli Lisa i Malcolm. Ta para miała wiedzę medyczną oraz wszelkie podstawy naukowe, by właściwie ocenić znaczenie uzyskanych informacji.

Rosjanin wyglądał na chorego. Nie był potworem, jak sobie Painter wyobrażał, gdy negocjował warunki spotkania. W pogniecionym garniturze mężczyzna wyglądał na przyjemnego dziadka, ale w jego oczach było coś nawiedzonego. Na twarzy Rosjanina malowała się szczerza troska, gdy rozmawiali o dziewczynce. Zmarszczki pogłębiły się, gdy czytał wyniki jej badań, które podała mu Lisa. Painter podejrzewał, że jedynym powodem, dla którego mężczyzna zgodził się na współpracę, była obawa o zdrowie dziewczynki.

- Pogorszenie jej stanu zdrowia spowodowane zostało przez implant - ciągnął Jurij. - Nie rozumiemy do końca, dlaczego tak się dzieje. Mikroelektrody tego urządzenia zostały wykonane z węglowo-platynowych nanotubuli. Sądzymy, że im bardziej obiekt wykorzystuje swój talent, tym bardziej traci na zdrowiu. Czy Sasza dużo rysowała podczas pobytu u was?

Painter przypomniał sobie jej gorączkowe rysunki: bezpieczny dom, Tadź Mahal i twarz Monka. Powoli skinał głową.

- A co dokładnie się z nią dzieje, gdy rysuje? Mapplethorpe podniósł rękę.

- Dobrze pan wie, dyrektorze Crowe, że odpowiedź na to pytanie wykracza poza zakres tematyczny tego spotkania. Stąpa pan po kruchym lodzie.

Jurij odpowiedział mimo obiekcji Mapplethorpe'a, co zastanowiło Paintera.

- Ona jest wyjątkowym sawantem - rzekł, ignorując ostre spojrzenia z obu stron. - Jej naturalne talenty łączą dynamikę przestrzeni z artystycznymi uzdolnieniami, a gdy zostają wzmocnione, te zdolności...

- Wystarczy - rzucił szorstko Mapplethorpe. - Albo kończymy rozmowę teraz i wychodzimy. A wy możecie przesłać nam ciało małej, jak już umrze.

Jurij spochmurniał, ale zamilkł.

Lisa spróbowała wyciągnąć od Rosjanina więcej informacji.

- Dlaczego wykorzystanie umiejętności Saszy pogarsza stan jej zdrowia?

Jurij wyjaśnił łagodnie, a w jego głosie pobrzmiwało poczucie winy.

- Gdy jest stymulowana, pojawia się przeciek w interfejsie pomiędzy organiczną a nieorganiczną częścią jej organizmu.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „przeciek”? - zdziwił się Malcolm.

- Nasi naukowcy uważają, że nanocząsteczki odrywają się od mikroelektrod i zanieczyszczają płyn mózgowo-rdzeniowy.

Lisa się poruszyła.

- Nic dziwnego, że nasze badania płynu rdzeniowo-mózgowego dały negatywny wynik. Czyli przyczyną zapalenia opon mózgowych nie są bakterie ani powody fizjologiczne, tylko skażenie obcymi cząsteczkami.

Jurij skinął głową.

- I by ją leczyć, należy oddziaływać na to skażenie? - zapytała.

- Tak. Wiele lat pracowaliśmy nad wynalezieniem systemu leczenia zapobiegawczego. Jako podstawę wykorzystujemy chemoterapeutyczny lek stosowany do leczenia raka pęcherzyka żółciowego. Cisplatinę. Jednoatomowa platyna działa jako spoiwo dla odpadających nanocząsteczek i pomaga je usunąć z organizmu. Przyrządzenie dokładnej mieszanki i dozowanie medykamentów niezbędne do prowadzenia leczenia wymaga przeprowadzenia badania i dostępu do najnowszych wyników analizy krwi.

Painter zauważył skrzywienie ust McBride'a. Odniósł wrażenie, że nie podoba mu się zależność od doktora Rajewa. Ale jeśli Rosjanin mówił prawdę, to był niezbędny dla ratowania życia dziewczynki.

Lisa opierała swoją dłoń na kolanie Paintera. Długi lniany obrus zakrywał całkowicie jej rękę. Byli na neutralnym gruncie w specjalizującej się w stekach restauracji Capital Grill. To miejsce znane było z tego, iż zawierano tu wiele umów i dobijano interesów przy stołach zastawionych wspaniałą porcelaną. Całą salę mieli dla siebie. Reszta restauracji była w zasadzie pusta. Najprawdopodobniej załatwił to Mapplethorpe, by zapewnić im całkowitą prywatność podczas spotkania.

Palce Lisy zacisnęły się na kolanie Paintera, sygnalizując, że wierzy Rajewowi. Painter także zauważył rozdźwięk pomiędzy Rosjaninem a towarzyszącymi mu mężczyznami. Czy istniał jakiś sposób, by wykorzystać ten fakt dla własnej korzyści?

- Jesteśmy w posiadaniu leków, o których wspomniał doktor Rajew - oświadczył McBride. - Jeśli przywieziecie dziewczynkę do szpitala, natychmiast rozpoczniemy leczenie. Może wybierzmy Wojskowe Centrum Medyczne imienia

Waltera Reeda.

Painter pokręcił głową. Niezła próba, stary.

- Ona jest w zbyt kiepskim stanie, by ją gdziekolwiek przewozić. Ledwie damy sobie radę z jej DIC. Każdy dodatkowy stres mógłby za bardzo zdestabilizować jej stan - oznajmiła Lisa.

- W takim razie ja będę musiał ją odwiedzić - rzekł Jurij. Painter zdawał sobie sprawę, że doszli do najtrudniejszej części negocjacji. Dziewczynka była polityczną i naukową bombą. Zostawił ją pod opieką Kat i Seana. Sean, jako dyrektor DARPA, starał się za kulisami zrobić wszystko, by im pomóc.

Painter nie miał innego wyboru, jak tylko zabrać Jurija do dziewczynki, łamiąc zasady bezpieczeństwa Sigmy; ale niestety Mapplethorpe też o tym wiedział. A z ich reakcji i oczywistych tarć między nimi wynikało, że Mapplethorpe nigdy nie pozwoli Jurijowi iść tam w pojedynkę.

- Pozwolę, by jedna osoba towarzyszyła doktorowi Rajewowi - oświadczył Painter.

Mapplethorpe źle zrozumiał jego intencje.

- Doskonale wiemy, gdzie znajduje się dowództwo Sigmy. Choć Painter nie powinien być zaskoczony, to mimo wszystko poczuł skurcz żołądka. Mapplethorpe miał powiązania z organizacjami wywiadowczymi zlokalizowanymi w Waszyngtonie. Sean ostrzegł go, że ten facet szybko się dowie, czym się zajmują i gdzie mają siedzibę. Mimo tych wszystkich politycznych powiązań Mapplethorpe nie uzyska dostępu do kryjówki Sigmy. Za kulisami oficjalnych działań z pewnością próbował sforsować ich bramy. Sean dokładał wszelkich starań, by okazały się one dla niego nie do pokonania.

Painter zachował stoicki spokój.

- Wybierzcie, kogo chcecie, ale ja pozwolę tylko jednej osobie na towarzyszenie doktorowi Rajewowi. - Spojrzał na obydwu mężczyzn siedzących obok Rosjanina.

McBride podniósł rękę.

- Ja pójdę. Mogę się przydać Jurijowi.

Widząc, jak Rajew przewraca oczami, Painter uznał, że ten pomysł nie bardzo mu się podoba.

Mapplethorpe spojrział hardo na Paintera i skinął wolno głową.

- Dobrze, ale później będziemy chcieli z wami współpracować - powiedział.

- To znaczy?

- Możecie zatrzymać dziewczynkę, ale chcę teraz dostać zapewnienie, że jak wyzdrowieje, zyskamy do niej wolny dostęp. Ona ma wielką wartość i nie możemy pozwolić jej zniknąć. Nasze bezpieczeństwo narodowe byłoby zagrożone.

- Proszę nie machać mi przed nosem flagą narodową - odparł Painter. - To, w czym współuczestniczyliście, by stworzyć takie dziecko, przekracza wszelkie normy przyzwoitości.

- Udostępniłszy jedynie środki finansowe i doradzaliśmy pod koniec projektu badawczego. Gdybyśmy nie współuczestniczyli, jak pan to określa, to nasz kraj byłby teraz poważnie zagrożony.

- Bzdury! Jeśli przekroczycie pewną granicę, to możecie zniszczyć nas wszystkich. Jakiego narodu bronicie, jeśli ten naród finansuje okrucieństwo potrzebne do stworzenia takiego dziecka?

- Czy pan jest faktycznie taki naiwny, panie Crowe? Tam, na zewnątrz, jest już inny, nowy świat.

- Wcale nie. Ostatnim razem, gdy sprawdzałem, dookoła słońca krążyła ta sama planeta. Zmieniło się tylko nasze reagowanie na rzeczywistość i granice, jakie chcemy jeszcze przekroczyć. I właśnie my możemy to powstrzymać.

Mapplethorpe spojrział na niego groźnie. Painter dostrzegł determinację w jego oczach. Ten człowiek naprawdę wierzył, że to, co robi, jest konieczne, i nie widział w tym nic złego. Taki fanatyzm wyklucza wszelkie porozumienie. Painter zastanawiał się, skąd bierze się pewność Mapplethorpe'a - czy wynika z patriotyzmu, czy ten człowiek po prostu zasłaniał się dogmatami, by nie dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu okrucieństw, które popełnił? Zbrodni, które były zbyt potworne, by usprawiedliwić je w jakikolwiek sposób?

Bez względu na to, jak było, i tak tkwili w impasie.

- Czy mamy umowę? - zapytał Mapplethorpe. - Bo jak nie, to każdy odchodzi w swoją stronę. Są jeszcze inne dzieci.

Painter przyglądał się swojemu przeciwnikowi z uwagą. By wyleczyć dziecko, nie miał wyboru, musiał przystać na te warunki. Painter nie mógł pozwolić dziewczynce umrzeć. Później sobie poradzi z politycznymi rozgrywkami. Powoli skinał głową.

- Kiedy będziecie gotowi?

- Potrzebuję godziny na zabranie leków doktora Rajewa - odparł McBride.

- W takim razie czekamy - powiedział Painter i wstał, kończąc spotkanie.

Mapplethorpe też wstał i wyciągnął rękę, tak jakby ubili interes i sprzedali sobie nieruchomość. A może tak właśnie było. Painter sprzedawał część swojej duszy.

Nie mając wyboru, uścisnął jego rękę.

Dłoń Mapplethorpe'a była zimna i sucha, a jego uścisk twardy i pewny siebie.

Część Paintera zazdrościła mu takiego niezachwianego przekonania o słuszności swojej sprawy. Ale czy ten człowiek na pewno dobrze śpi w nocy? Gdy szli przez pokryty boazerią hol restauracji i dalej na zewnątrz pod markizę, Painter zastanawiał się nad słowami Mapplethorpe'a, które chyba mu się wyrwały.

Są jeszcze inne dzieci.

O kim on mówił?

22.42

Południowy Ural

Musiał uciekać.

Rzucił się biegiem w stronę wody. Z tyłu dobiegł ryk tygrysa uwiecznionego w płonącym domku. Zachary. Starał się wydostać stamtąd przez okno. Monk zwiększył tempo.

Przed sobą zobaczył małą łódź płaskodenną. Wcześniej wyciągnął ją z trzciny. Zdrapał z powierzchni większość mchu i z zadowoleniem stwierdził, że utrzymuje się na powierzchni wody.

Niestety, nie miała wiosła, więc Monk ściał małe drzewko, ociosał z gałęzi i zrobił długą żerdź.

Konstantin stał z tyłu łódki znajdującej się na głębokiej wodzie i mocno odpychał się żerdzią od dna. Przynajmniej im się udało.

Tak jak uprzednio zaplanowali, w czasie gdy Monk odwracał uwagę tygrysów, dzieci przeczłgały się pod podłogą chaty na zewnątrz. Łódź czekała na nich o metr od brzegu wysepki. Mieli do niej wskoczyć i wypłynąć na głębszą wodę.

Monk miał do nich dołączyć, ale jak się okazało, ucieczka z domku nie była taka łatwa.

To opóźnienie dało czas drugiemu tygrysowi - Arkademu - na obiegnięcie płonącej chatki. Z wściekłością zaatakował człowieka.

Gdy Monk biegł w stronę brzegu, usłyszał za sobą tupot ciężkich łap kota. Bez jakiegokolwiek bronii ucieczka do wody była jego jedyną nadzieją na ratunek.

Ciężko dysząc, wydłużył krok. Krajobraz zadrgał. Niski pomruk i odgłos stapania łap drapieżnika słyhać było coraz bliżej. Monk tracił dech. W uszach mu pulsowało.

Usłyszał głośniejszy syk... tygrys gotował się do skoku.

Lśniaca woda znajdowała się za daleko.

Zrezygnowany odwrócił się i poślizgnął. Upadł na bok.

Wielki kot przygarbił się, preżąc do skoku, lecz... z wysokich trzciny wyskoczył ciemny cień i uderzył czymś tygrysa w bok. Błysnęła stał. Potem cień przeskoczył przez kota, spadł na ziemię, długim susem skoczył głową w przód w gęstwinę gałęzi wierzby i zniknął.

To była Marta.

Szympanśca nie została z dziećmi.

Arkady został uderzony podczas skoku w powietrzu, stracił równowagę i spadł na łapy. Monk wycofywał się na czworakach. Chwiejąc się na nogach, tygrys wydał z siebie chrapliwy, przyduszony skowyt.

Coś czarnego spływało z jego podgardla, barwiąc białe przestrzenie między paskami futra.

Krew.

Z przebitego pod szczęką gardła wystawała rękojeść noża myśliwskiego znalezionej w chacie.

Monk zgubił go, padając na ziemię po skoku.

Szympanśca go znalazła, użyła i uratowała ich opiekunowi życie.

Przypomniał sobie - choć nie wiedział zupełnie w jaki sposób - że szympanścy potrafią korzystać z prostych narzędzi. Gałązkami wyciągały termity z kopców. Zaostrzonymi gałęziami kłuły i wyciągały z dziupli małe lemury.

A Marta nie była takim sobie zwykłym szympansem.

Arkady dostał drgawek. Krew zalewała mu gardło. Nie był w stanie nawet wydać głośniejszego pomruku.

Za to drugi tygrys zaczął przeraźliwie ryczeć, czym przeraził Monka, który rzucił się w stronę wody. Gdy dotarł do błotnistej brzozy, skoczył i wylądował brzuchem na płyciźnie. Odbił się rękami i nogami, by wskoczyć głębiej.

Machał rękami i nogami, by jak najszybciej zanurzyć się w głębszej wodzie. Zimno ostudziło jego panikę, ale nawet pod wodą słyszał pełny wściekłości ryk tygrysa. Wstrzymując oddech, płynął żabką pod wodą.

Wynurzył się ostrożnie dopiero wtedy, gdy z braku powietrza rozboleły go płuca.

Rozgarniając wodę, spojrział w stronę leśnej chaty. Płomienie były wysoko w niebo. Na tle pożaru odbijała się sylwetka drugiego tygrysa. Zachary krążył wokół brata. Leżący kot się nie poruszał.

Monk usłyszał, jak Marta skacze między gałęziami drzew. Obrócił głowę i dostrzegł, jak szympanśca spada ciężko do łódki znajdującej się dziesięć metrów dalej. Dopłynął do łodzi i wdrapał się do środka. Położył się na plecach i ciężko dyszał.

Po jego lewej stronie przykucnęła skulona Marta. Leżąc na boku, bujała się lekko. Cicho jęknęła. Piotr przytulił się do niej, głaszcząc ją i uspokajając.

Monk podparł się na łokciu, spojrział na chatę, a potem na Martę.

Gdy Zachary nadal ryczał, Monk wyciągnął rękę i położył na grzbiecie szympanścy. Jej ciało drżało, pochylone w pozycji wyrażającej żal.

To było konieczne, przekazał jej dotykiem.

Arkady był torturowany, maltretowany i doprowadzony do szaleństwa. Ten dziki kot stał się potworem większym niż jakiegokolwiek inne stworzenie.

Śmierć była dla niego wybawieniem.

Ale Marta i tak jęczała.

Zabijanie nie jest łatwe.

Stojąc na rufie, Konstantin napał mocniej na żerdź i skierował łódź w stronę środka bagna.

Monk usiadł. Coś przyciągnęło jego uwagę. To był dozymetr wskazujący poziom promieniowania. Różowy kolor pociemniał.

Promieniowanie wzrosło, a ich nadzieje zmalowały.

16.31

Waszyngton, D.C.

Drżącymi palcami Jurij wyregulował przepływ płynu w kroplówce. Bardzo przejął się stanem Saszy. Było z nią gorzej, niż się tego spodziewał.

Przeklinał po cichu godzinę, którą stracił, czekając na McBride'a i Mapplethorpe'a. Zamknęli go w jakimś pokoju w budynku FBI i poszli załatwiać swoje sprawy. McBride w końcu wrócił z lekami, które zabrał z pokoju hotelowego Jurija. Pieszko przeszli promenadą, gdzie przywitano ich przed

główną kwaterą Sigmy i zaprowadzono do osobnej windy. Po zjechaniu do bezpiecznego pomieszczenia dokładnie ich przeszukano, prześwietlono i zasłonięto im oczy. Jurij, którego prowadzono za rękę, szybko stracił orientację w podziemnym labiryncie. W końcu znaleźli się w jakimś pokoju i zamknięto za nimi drzwi na zamek.

Dopiero tam zdjęto im opaski z oczu.

Jurij spostrzegł, że znaleźli się w małej salce szpitalnej. Jedną ścianę stanowiło lustro weneckie. Dziecka pilnowały dwie osoby: wysoka kobieta o kasztanowych włosach, która przedstawiła się jako Kat Bryant, oraz doktor Lisa Cummings, którą spotkali wcześniej w restauracji.

- Jesteśmy do panów dyspozycji - oświadczyła Lisa. - Proszę nam powiedzieć, co mamy robić.

Jurij przystąpił do pracy. Zapoznał się ze wszystkimi wynikami badań i analiz. Przez dziesięć minut obliczał konieczne dawki leku. McBride oferował swoją pomoc, ale głównie stał za jego plecami i obserwował.

Jurij spojrział na niego wściekły i powiedział:

- Zejdź mi z drogi.

Amerykanie nie mieli żadnego pojęcia, jakich zabiegów wymagały dzieci. Jurij miał nadzieję, że tak już pozostanie, a poza tym ta metoda była zbyt skomplikowana, by można ją było wydobyć z niego torturami. Jednak nie mógł pozwolić, by Sasza umarła, musiał ją ratować, niech więc McBride sobie patrzy. Ale gdy Sasza wyzdrowieje...

Stojąca za jego plecami Kat wyrwała go z zadumy.

- Da się ją uratować?

Jurij puknął w kropłówkę. Zadowolony szybkością przepływu odwrócił się i zaskoczony spostrzegł, że kobieta patrzy mu prosto w oczy. Włosy miała zaczesane do tyłu, a na jej twarzy malowała się troska. Westchnął i powiedział jej całą prawdę.

- Zrobiłem wszystko, co tylko możliwe. Co godzina trzeba przeprowadzać testy nerkowe i sprawdzać ciężar właściwy moczu. To pozwoli nam monitorować postęp, ale to, czy przeżyje, będzie wiadomo po jakichś pięciu czy sześciu godzinach.

Głos mu drżał przy wypowiedaniu ostatniego zdania. Odwrócił się zawstydzony, że okazał słabość przy obcych ludziach. McBride wpatrywał się w niego bezdusznie. Siedział na krześle przy drzwiach, zadowolony z siebie, z nogą założoną na drugą.

- Teraz pozostaje tylko czekać - wymamrotał Jurij i przysunął do łóżka krzesło, na którym leżała książka dla dzieci.

- Czytałam jej na głos. - Kat wzięła książkę.

Jurij skinął głową. Podczas podróży samolotem do Ameryki Sasza położyła głowę na jego ramieniu, a on czytał jej rosyjskie baśnie. Uśmiechnął się ciepło na wspomnienie tamtej chwili. Dzieci szkolono, by się do nikogo nie przywiązywały, ale Sasza była dla niego kimś wyjątkowym.

Jego ręka powędrowała do miejsca, gdzie jej palec wystawał spod kołdry. Do palca przyczepiono urządzenie monitorujące ciśnienie krwi. Przejechał palcem

po cyfrowym wskaźniku ukazującym niskie ciśnienie; zupełnie jak u porcelanowej laleczki.

W końcu odchylił się na oparcie krzesła. Trzeba będzie długo czekać. McBride stuknął butem o podłogę. Urządzenia medyczne szumiały i pikały. Po kilku minutach doktor Cummings wyszła z pokoju, by omówić pewne kwestie z patologiem. Kat usadowiła się na krześle po drugiej stronie łóżka.

Gdy minęła pierwsza godzina, Jurij dostrzegł kątem oka stertę papierów na stoliku przy łóżku. Kartki były zamazane czarnym pisakiem. Widząc jedynie kawałek jednego rysunku, Jurij rozpoznał w nich prace Saszy. Przejrzał różne rysunki, ale nie rozumiał ich znaczenia. Dopiero na ostatniej kartce Jurij rozpoznał znajomą twarz. Zesztywniał ze zdziwienia.

To był więzień z obiektu Czelabińsk 88.

Jurij rozprostował rysunek. McBride nie miał pojęcia o złapaniu Amerykanina. Nikt go o tym nie poinformował. Jurij jednak zbyt długo wpatrywał się w kartkę papieru.

- To mój mąż - wyznała Kat. - Sasza narysowała jego portret. Myślę, że musiała go zobaczyć na zdjęciu w moim portfelu.

Skinął powoli głową i przykrył rysunek inną kartką. Jej mąż...?

- Dlaczego Sasza go narysowała? - zapytała Kat. Spoglądała na Jurija z większym niż zwykle skupieniem.

Jurij popatrzył z powrotem na dziewczynkę. Jego serce mocniej zabiło, zmrużył oczy. To rysunki Saszy uratowały życie temu mężczyźnie. A teraz narysowała to samo jego żonie. To nie mógł być żaden zbieg okoliczności ani przypadek. O co w tym wszystkim chodziło?

- Doktorze Rajew? - nalegała na odpowiedź Kat. Przed koniecznością udzielenia odpowiedzi uratowała go Sasza, która otworzyła oczy. Jurij pochylił się nad nią. Kat wstała.

Sasza nadal była odurzona, wzrok miała trochę zamglony. Odwróciła głowę w stronę Jurija.

- Unchi Pepe...?

To imię.

Krew pulsowała mu w uszach i mroziła całe ciało. Przypomniał sobie ciemną nawę zimnego kościoła, dziecko ściskające szmacianą lalkę przed kamiennym ołtarzem, patrzące na niego tymi samymi, niebieskimi oczami.

I teraz usłyszał te same słowa. To samo oskarżenie.

Unchi Pepe... - przydomek Josefa Mengelego, Rzeźnika z Auschwitz.

Wziął Saszę za rękę, odrywając czujnik ciśnieniomierza. Nie, obiecał jej w myśli. Nigdy więcej. Łzy zamgłyły mu wzrok.

Jej drobne paluszki zacisnęły się na jego rękę. Powieki zamruwały.

- Papa... Papa Jurij...?

- Tak - wyszeptał. - Kocham cię, malutka. Nie zostawię cię.

Jej usta poruszyły się, gdy z powrotem zapadała w sen. Palce zwolniły uścisk i zsunęły się na pościel.

- Marta... Marta jest wystraszona...

23.50

Południowy Ural

Ciało było nadal ciepłe, lecz krew już nie. Zwierzę zabito około godziny temu. Porucznik Borsakow odjął swoją dłoń od boku martwego tygrysa. Złapał tygrysa za ucho i pociągnął. Pasowało do drugiego, więc to był Arkady. Puścił ucho i wstał.

W drugiej ręce Borsakow trzymał pistolet Yarygin PYa. Żałował, że nie ma większego kalibru niż 9 milimetrów. Rozejrzał się, szukając Zacharego. Nigdzie nie było znaku wielkiego kota. Za jego plecami dopalała się stara izba.

Był pod wrażeniem tej ucieczki. Wrócił do ślizgacza bagiennego. Pilot i dwóch żołnierzy siedzieli na pokładzie z karabinkami automatycznymi w rękach. Reflektor ślizgacza jak dzida przekłuwał ciemność. Olbrzymi wiatrak z tyłu obracał się powoli na wolnym biegu silnika.

Borsakow wspiął się na pokład i dał znak ręką, by jechać dalej w ciemne mokradła. Silnik zawył, wiatrak nabrał obrotów i odpłynęli od płonących resztek chatki myśliwskiej, wracając w ciemność nocy. Polowanie byłoby łatwiejsze, gdyby mieli przy sobie noktowizory, ale Borsakow odkrył, że ktoś włamał się do magazynku i uszkodził sprzęt.

Zrobił to Amerykanin albo dzieci.

Wiedzieli, że będą na nich polować.

- Czy nie powinniśmy złożyć raportu generał Martowej? - zapytał jego zastępca i sięgnął po radiotelefon.

Borsakow pokręcił głową. Generał-major źle przyjmowała takie informacje.

Ślizgacz sunął po powierzchni bagna.

Odezwie się do niej, gdy Amerykanin będzie już martwy.

Borsakow raz jeszcze spojrzął na wyspę, dopalający się dom i martwego tygrysa. Przypomniał sobie Amerykanina i wszystko, czego dokonał.

Kim był ten człowiek? Gdzie go tak wyszkolono?

18.02

Waszyngton, D.C.

Trent McBride podniósł słuchawkę. Pozwolili mu skorzystać z telefonu wiszącego na ścianie i przełączyli rozmowę do biura Mapplethorpe'a. Trent nie miał złudzeń, linia na pewno była na podsłuchu. Ale to i tak nie powstrzymałoby go od złożenia raportu o bieżącym rozwoju sytuacji. Po wymianie kilku zdawkowych zdań z Mapplethorpe'em Trent powiedział:

- Wygląda na to, że dziewczynka przeżyje. Gdyby umarła, nie byłoby sensu kontynuować akcji.

- Bardzo dobrze. Kiedy będzie wiadomo, że na pewno przeżyje? - spytał

Mapplethorpe.

- Za jakieś sześć godzin - odparł, spoglądając na zegarek. Środek nocy.

Trzeba będzie to skoordynować, ale wtedy będą mieli już wszystko.

- To faktycznie bardzo dobra wiadomość - mruknął z satysfakcją

Mapplethorpe.

14

6 września, 23.04

Pendżab, Indie

- Dalej już nie dojedziemy - oznajmił Abhi Bhanjee. Gray nie zamierzał dyskutować. Mercedes tonął w błocie pomosty. Komandor był wyczerpany prowadzeniem samochodu, a nerwy miał napięte jak postronki. Wjechał na bardziej skalisty fragment drogi.

Przez ostatnie dwie godziny deszcz lał jak z cebra. Wydawało się niemożliwe, że chmury mogą utrzymać w sobie takie ilości wody. Sad drzew mangowych zostawili już jakieś pięćdziesiąt kilometrów za sobą i jechali przez mocno zalesiony dziki teren. Pagórki ustąpiły poszarpanym krawędziom rozległych stromych wzgórz. Dzięki masom wody lejącym się z nieba strumyki zamieniły się w rwące potoki. Wyglądało, jakby cały świat płakał.

Ale przynajmniej nawałnica przegoniła helikoptery. Myśliwi zaniechali pogoni po tym, jak zgubili swoje ofiary pośród tysięcy hektarów sadów. Abe dobrze znał te tereny i prowadził ich jak po sznurku przez głębokie doliny w niezamieszkanym terenie, na których się teraz znaleźli.

- Jesteśmy już blisko - zapewnił ich Abe, gdy Gray nacisnął hamulec. - Mamy mniej niż kilometr. Ale stąd musimy ruszyć pieszo.

Gray ukrył samochód pod gęstymi gałęziami figowca bengalskiego. Wyłączył silnik, popatrzył na skały i próbował wyobrazić sobie świątynię z greckiej monety. Abe twierdził, że właśnie taka budowla została tu wzniesiona. To właśnie do niej wybierał się doktor Polk, gdy zaginał. Tylko nieliczni wieśniacy wiedzieli o tym miejscu. Uważano je za święte, choć bardzo się go obawiano. Ludzie Abego mówili, że to święta ziemia achuta.

Dlaczego Polk chciał tu przyjechać? Co go tak ekscytowało?

Woda strumieniami spływała po przedniej szybie, rozmazując widok.

- Najlepiej zaczekajmy, aż trochę poprawi się pogoda - zaproponował Masterson. - Możemy poszukać tej świątyni, jak przestanie padać.

Gray spojrzął na zegarek. Dochodziła północ. Nie chciał pozostać w tej okolicy do rana. Z nadejściem dnia znowu pojawią się helikoptery, a mercedes

wielkości czołgu na pewno nie będzie trudny do wykrycia na otwartej przestrzeni. Gray przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności i odłączył GPS, obawiając się, że to przez niego Rosjanie namierzili wóz i śledzili ich już od New Delhi.

W głowie kłębiło mu się od pytań, na które nie miał odpowiedzi, ale jednego był pewien: jeśli chcieli pójść śladami profesora Polka, musieli ruszyć teraz.

- Ja idę z Abem. Ale reszta jak chce, może pozostać w samochodzie.

- Idę z panem. Jeśli tam faktycznie jest jakaś świątynia, to możecie potrzebować mojej pomocy - odezwała się Elizabeth.

- Tam, dokąd idzie ona, ja też idę - rzucił Kowalski. Elizabeth odwróciła się do niego i posłała mu spojrzenie, które początkowo wyrażało złość, ale później złagodniało.

- Powinniśmy trzymać się razem - oświadczyła Rosauero, łapiąc plecak.

Luka skinął głową.

- Wygląda na to, że wszyscy strasznie zmokniemy - ocenił Masterson, przewracając oczami.

Po podjęciu decyzji wysiedli z mercedesa wprost na deszcz. Po kilku krokach Gray był przemoczony do suchej nitki. Jego ubranie ważyło chyba o dziesięć kilogramów więcej. Kowalski przeklął i spojrzał z tęsknotą na SUV-a, ale gdy Elizabeth ruszyła, potulnie podreptał za nią.

- Tędy! - Abe wskazał na poszarpany klif wznoszący się z zadrzewionego płaskowyżu. Błyskawica przecięła niebo. Zaraz po niej zagrzmiało. Burza pogorszyła warunki marszu.

Potwornie zmęczony Gray zaczął mieć wątpliwości, czy dobrze robią. Od opuszczenia New Delhi nie mógł się skontaktować z dowództwem Sigmy. Podczas ataku w hotelu zgubili telefon satelitarny, a komórka na kartę, którą kupili w stolicy, nie miała tu zasięgu.

Byli zdani sami na siebie. Komandor normalnie lubił działać z jak najmniejszym zespołem, ale tym razem miał pod opieką cywili.

Abe ruszył w stronę wąskiej szczeliny w klifie. Jej dnem płynął rozlewający się na boki strumyk i wiodła ścieżka. Gray szedł za nim. Gdy znaleźli się w kanionie, deszcz i wiatr osłabły dzięki stromym, pionowym ścianom, które stanowiły zasłonę. Musieli iść gęsiego, ponieważ kanion wił się zygzakami jak błyskawica, stając się coraz węższy i wyższy.

- Nasi ludzie czasem chowali się tutaj podczas prześladowań - mówił Abe. - Mój pradziad opowiadał, jak w czasie czystek palono całe wsie. Ci, którym udało się przeżyć, przybywali właśnie tutaj.

Nic dziwnego, że achuta chcieli zachować w tajemnicy dostęp do tych terenów, pomyślał Gray.

- Jednak te ściany nie gwarantują schronienia - dodał tajemniczo Abe. - Przynajmniej nie na zawsze.

Komandor spojrzał na niego podejrzliwie, ale Abe przyspieszył w stronę miejsca, gdzie kanion się rozwidłał, i przeciągnął dłonią po skalnej ścianie, jakby chciał się o czymś upewnić, po czym skręcił w lewo. Gray dotknął miejsca, na którym wcześniej Abe położył dłoń. W skale wykuto ledwie

widoczne w deszczu znaki.

Elizabeth przyjrzała się im dokładnie.

- To pismo Harappan - oznajmiła zdziwiona, rozglądając się dookoła. - Musimy być gdzieś na krańcach doliny Indusu. Kiedyś istniała tu wielka cywilizacja.

Masterson przyznał jej rację skinieniem głowy.

- Harappanie żyli w dolinie Indusu pięć tysięcy lat temu i zostawili po sobie ruiny rozwiniętych miast i świątyń. Można je znaleźć w całym regionie. Może nasz młody hinduski przyjaciel wziął ruiny jednej z nich za świątynię uwiecznioną na tej dziwnej monecie.

Gray szedł dalej.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Po dwóch zakrętach kanion nagle się rozszerzył, tworząc małą dolinę. Woda wpadała do niej z drugiej strony i tworzyła jezioro, to z niego wypływał strumień, wzdłuż którego maszerowali.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Abe.

Gray się zdziwił. Kanion był pusty - dopiero po chwili na niebie rozbłysła błyskawica i odbijając się w tafli jeziora, oświetliła dolinę.

Dookoła doliny w ścianach piaskowca wykuto kilka poziomów tarasów. Na każdym piętrze znajdowały się pomieszczenia mieszkalne wydrążone w skale. Weszli na pierwszy poziom i przyglądali się architekturze. Niektóre domostwa zawaliły się, tworząc rumowiska. Widok przypominał Grayowi osiedla Indian Anasazi.

Obszedł dolinę. Fasady domostw były wykonane z białego marmuru, znacznie gładziej i twardszej skały od ciemniejszego piaskowca. Na klify z miękkiego piaskowca przez wieki działała woda i wiatr. Erozja sprawiła, że marmurowe fasady domostw wystawały z klifu niczym skamieniałe szkielety z powierzchni ziemi.

Pomimo wieków oddziaływania atmosfery dobrze się zachowały podstawowe marmurowe elementy. Żłobione kolumny wspierały niskie trójkątne daszki. Reliefy i rzeźby wygładzone przez wieki nadal zdobiły frontony i gzymsy.

Nie było wątpliwości, skąd wzięła się ta architektura.

- Grecja! - wykrzyknęła Elizabeth kompletnie zaskoczona. Rozglądała się dookoła, a po jej twarzy spływała woda. - Grecki kompleks świątynny.

Masterson stanął obok niej. Przesiąknięty wodą kapelusz trzymał w ręce, a drugą przeczesywał mokre włosy.

- To niezwykle. Archibald, ty stary głupcze, mogłeś mi powiedzieć...

Gray też się gapił zdziwiony widokiem, zupełnie zapominając o zmęczeniu.

- Tam jest świątynia in antis... to najprostsza grecka forma architektoniczna. A tam jest prostylowa budowla reprezentująca późniejszy okres. Spójrzcie na tę zaokrągloną fasadę kolumnową. To oznacza, że za nią jest tolos, okrągła świątynia wykuta w skale - wyjaśniała Elizabeth.

Gdy opowiadała o poszczególnych budowlach, uwaga Graya skupiła się na świątyni po drugiej stronie doliny. Mocniej zabiło mu serce. Świątynia była wybudowana w połowie wysokości klifu. Przy jej wejściu leżały skalne odłamki z

górną krawędź skały, która zerodowała, oderwała się i stoczyła w dół. Woda deszczowa lała się w tym miejscu strumieniem na portal świątyni, nadając jej jeszcze bardziej iluzoryczny wygląd.

Nie mógł się mylić.

Sześć kolumn podierało tympanon i dwuspadowy dach.

- Tak jak na monecie - stwierdziła Rosauero, która zauważyła jego skupienie.

- To jeszcze nie wszystko - oznajmił Abe, kierując się w stronę wysokiej świątyni. Gray ruszył za Abem, ciągnąc za sobą całą grupę przemoczonych towarzyszy podróży.

Gdy doszli do stosu kamieni, Abe stanął po jednej stronie i gestem ręki zaprosił resztę, by do niego dołączyli. Podłożył pod stopy jeden kamień i wspął się na górę. Musiał dobrze znać to przejście. Wspinając się gęsiego, szli za Hindusem.

Elizabeth i Masterson ciągnęli rozpoczętą wcześniej rozmowę.

- Dlaczego wybudowali świątynny kompleks właśnie tutaj? Na dodatek w taki osobliwy sposób?

- Najwyraźniej musieli się ukrywać. Cholernie trudno jest to miejsce znaleźć, szczególnie że jest ukryte w skałach. Widziałem pozostałości podobnych budowli skalnych z czasów Harappan dalej w dolinie Indusu. Może przejęli jakąś opuszczoną osadę harappańską i zbudowali nowy kompleks według własnych upodobań architektonicznych.

- To prawdopodobne. Przecież kolejne cywilizacje często budowały swoje osady na ruinach wcześniejszych.

Gdy oni dyskutowali, Gray przyglądał się świątyni. Zauważył, że to, co wcześniej brał za cień na marmurowych kolumnach, w rzeczywistości było śladami po ogniu. Na całej fasadzie dostrzegł spękania i bruzdy; jeden element górnej części frontonu odpadł i roztrzaskał się na ziemi.

Komandor podejrzewał, że te zniszczenia nie były jedynie efektem upływającego czasu. Wyglądało na to, że w zamierzonych czasach musiała się tu rozegrać jakaś bitwa.

Abe zeskoczył z najwyższego bloku skalnego i przeszedł między dwoma kolumnami. Gray przecisnął się za nim. Sześć wspierających dach kolumn stało metr od ściany, tworząc niewielki ganek. Odsunął się na bok, żeby zrobić miejsce innym. Kowalski i Luka pomogli Elizabeth i Mastersonowi. Rosauero, obciążona plecakiem, weszła na końcu. Gdy wszyscy już się zebrali, komandor skierował się do wejścia, ale Abe przyklęknął na moment, by wyszeptać modlitwę. Gray zatrzymał się i poczekał, czując, że postąpienie inaczej byłoby jak naruszenie świętego miejsca.

Abe wstał i skinął głową. Gray zapalił małą latarkę. Wszedł do środka pierwszy, rozświetlając wnętrze snopem światła.

Sala była obszernym sześcianem o boku długości sześciu metrów. Wzdłuż ścian piętrzyły się kolumny, choć wiele się zważyło. W samym centrum komnaty było poczerńiałe od ognia palenisko. Po obu stronach znajdowały się łukowate przejścia do sąsiednich pomieszczeń niczym do kaplic w kościele.

Gray zauważył, że w jednej z bocznych sal coś ułożono w stos. Zrobił kilka

kroków w tamtą stronę, gdy pozostali weszli do głównej sali. Abe został z boku ze skrzyżowanymi ramionami na piersiach; nie chciał mu towarzyszyć.

Gdy Gray oświetlił zagadkowy stos, zrozumiał, dlaczego Hindus wolał pozostać na miejscu. Cały pokój wypełniały ludzkie kości, ułożone niczym stosy drewna, na których szczycie piętrzyły się czaszki. Poczerniały i pożółkły, co wskazywało, że pochodzą z pradawnych czasów.

Gray przypomniał sobie poczerniałe elementy frontonu świątyni.

- Słyszałem opowieści przekazywane z ojca na syna, z matki na córkę - przemówił Abe. - O wielkiej bitwie, która tutaj się rozegrała. Tysiąc lat temu. Nasi przodkowie odnaleźli to miejsce zasłane kośćmi. By uszanować zmarłych, zebraliśmy ich kości i złożyliśmy w świątyniach. - Ręką wskazał pozostałe budynki. - Tam jest jeszcze więcej szczątków.

Gray wyszedł z małej sali. Ktoś odkrył, że tu mieszkają, i zmasakrował wszystkich mieszkańców osady. Przypomniał sobie tajemnicze słowa wypowiedziane wcześniej przez Abego.

Te ściany nie gwarantują schronienia. Nie na zawsze.

Losy pierwotnych mieszkańców tej osady były ostrzeżeniem dla ludu Abego. To było niezłe miejsce na kryjówkę, ale nie da się uciec i schować przed całym światem na zawsze.

Gray podszedł do jedyne go elementu ozdobnego w komnacie.

Tak jak sama fasada, także i ten został wybity na greckiej monecie.

Zbliżył się do tylnej ściany i oświetlił ją latarką.

Ściana z kremowego marmuru została inkrustowana gładkim czarnym kamieniem, tworząc widziany przez nich wcześniej symbol, który tu wznosił się na wysokość sześciu metrów.

- To koło czakry - powiedziała zafrapowana Elizabeth. Wyciągnęła z kieszeni niewielki aparat cyfrowy i zaczęła robić zdjęcia. - Zupełnie jak na rewersie monety.

Luka przesunął dłonią po ścianie. Gray wiedział, o czym Cygan myśli. Czy ten antyczny symbol dał początek emblematowi Romów?

Czy Archibald Polk zastanawiał się nad tym samym?

- Co za rozczarowanie - wyjęczał Kowalski niezbyt zauroczony tym miejscem.

- O czym pan mówi? - odrzekła zdziwiona Elizabeth. - To jest archeologiczne i antropologiczne odkrycie na skalę światową.

- Tak? I co z tego? A gdzie złoto i diamenty? - Kowalski wrzucił ramionami.

Gray nie chciał się do tego oficjalnie przyznać, ale w myślach zgodził się z Kowalskim. Odszedł na bok. Poświecił latarką dookoła sali, zataczając pełne koło. Czegoś mu tu brakowało, ale na pewno nie złota i drogich kamieni.

Rosauro podeszła do niego.

- Coś nie tak? - zapytała.

- Czegoś tu brakuje - mruknął.

- Czego?

Pozostali też usłyszeli ich rozmowę i odwrócili się w ich stronę. Gray jeszcze raz obszedł komnatę dookoła.

- Na tej monecie... była wyraźna litera E. Oznaczająca grecką literę epsilon.

- Rzeczywiście - potwierdziła Elizabeth. Komandor przetarł moką od deszczu twarz.

- Wszystko, co widnieje na monecie, mamy tutaj: fasadę, koło czakry. A gdzie jest litera?

- To drobiazg - wtrącił się Masterson. - Co to ma za znaczenie?

- Wcale nie drobiazg - oburzyła się Elizabeth. - Ktoś zadał sobie wiele trudu, by odtworzyć kompleks świątynny w Delfach. To, co widzieliśmy na zewnątrz... świątynia in antis jest odwzorowaniem budynków skarbców delfickich, okrągła świątynia tolos wygląda jak jedna z delfickich świątyń Ateny. A to miejsce tutaj. Z zewnątrz i od wewnątrz prezentuje się dokładnie tak samo jak świątynia wyroczni delfickiej. A właśnie to E było jedną z najważniejszych dekoracji świątynnych.

Gray przypomniał sobie rozmowę z Painterem o tym, jak delfickie E zaczęło symbolizować kult prorocstwa i przewijało się w sztuce i architekturze.

Luka wystąpił z grupy.

- Ja też słyszałem o tej literze. Gray odwrócił się do Luki.

- Mówiłem wam, jak uprowadzono nasze dzieci. Ci, którzy pierwsi przybyli do obozu, gdzie doszło do masakry, opowiadali o kościele z kamienia. Drzwi były wyważone i potraskane, ale wśród desek odnaleziono dużą literę E z brązu. Nikt nie wiedział, co oznacza. Tych, którzy wiedzieli, pochowano w zbiorowej mogile. Sekret umarł wraz z nimi. Może to jest to samo E?

Oznaczające cygańskich wróżbitów, pomyślał Gray.

- No to pięknie - odrzekł Masterson, najwyraźniej zmęczony tym wszystkim. - Ale co to ma wspólnego z naszym brakującym E tutaj?

- Może nic - powiedział Gray, jednak bez przekonania. - Kiedy po raz pierwszy przyprowadził pan tutaj profesora Polka? - spytał Abego.

- Rok temu - odpowiedział Hindus, wzruszając ramionami. - Obejrzał wszystko i porobił notatki.

- Nic nie wspomniał mi o tym odkryciu - rzekła zaskoczona Elizabeth.

- Bo on szanował nasze tajemnice - powiedział Abe twardo. - Był dobrym człowiekiem.

Gray przyglądał się kwaśnej minie Mastersona, który początkowo był podekscytowany tym odkryciem, ale gdy stwierdził, że nijak nie wiąże się ono z jego badaniami, przestał się nim interesować. Czy Polk myślał tak samo? Rzecz jasna dla archeologa było to wspaniałe odkrycie, ale skoro nie mógł go w żaden sposób połączyć ze swoją pracą badawczą, postanowił uszanować sekret achuta i utrzymał to w tajemnicy.

Jeśli tak, to skąd ta nagła chęć przybycia tutaj tuż przed zniknięciem? Musiał odkryć coś ściśle związanego ze swoimi badaniami.

- Czy wydarzyło się coś, co mogło go tu ponownie ściągnąć? Coś niezwykłego? - zapytał Gray.

Abe potrząsnął głową.

- Przyjechał do nas z wizytą. Tak jak wielokrotnie wcześniej. Rozmawialiśmy o nadchodzących wyborach, w których kandydat achuta starał się o posadę wójta. Znalazłem nową monetę i pokazałem mu ją, ale poprosił mnie, żebym

pokazał mu jeszcze raz monetę przedstawiającą świątynię. Obejrzał ją kilka razy dokładnie ze wszystkich stron i nawet zakręcił ją po blacie stołu podczas rozmowy. Nagle jego oczy zrobiły się wielkie i aż podskoczył. Natychmiast chciał tu przyjechać, ale ja miałem obowiązki związane z wyborami. Poprosiłem go, by zaczekał, aż wrócę...

Jego głos przycichł, ale Elizabeth podchwyciła wątek.

- Mój ojciec był znany ze swojego braku cierpliwości. Masterson potakująco pokiwał głową.

- Właśnie wtedy dostałem od niego ten szalony telefon. Twierdził, że odkrył coś, co zatrzęsie naszym rozumieniem ludzkiego umysłu, gdy ujrzy światło dzienne.

Grayowi coś zaczynało świtać w głowie i poprosił Rosauro o monetę.

- Pozwól, że ja też jeszcze raz rzucę na nią okiem. Podała mu pieniążek.

Gray obejrzał go dokładnie: na jednej stronie świątynia, na drugiej koło czakry.

- Elizabeth, ojciec załatwił pani pracę w Delfach, żeby pani zbadała, w jaki sposób mógłby tę wiedzę wykorzystać w swoich badaniach. Co ciekawego powiedziała mu pani o historii Delf?

- Same podstawowe rzeczy - odrzekła. - Był mało zainteresowany historią, raczej interesowało go odkrycie pokładów etylenu w pobliżu miejsca, gdzie stała świątynia. Ojciec chciał poznać szczegóły rytuałów wyroczni, szukał w nich jakiegoś fizjologicznego argumentu mogącego wspierać proces intuicyjnego postrzegania przyszłości.

- Skoro nie interesował się historią, to kiedy dowiedział się o znaczeniu symboliki litery epsilon?

- Wysłałam mu artykuł naukowy na ten temat.

- Kiedy?

- Jakies miesiąc przed tym... - Jej oczy nagle otworzyły się szerzej.

Gray skinął głową. Uklęknął na marmurowej posadzce i położył na niej zapaloną latarkę. Opierając monetę krawędzią o podłogę, zakręcił nią i puścił, by wirowała w świetle latarki.

Pochylił się nisko, by widzieć ją z bliska.

Wirująca moneta utworzyła srebrną sferę. E znajdujące się pośrodku awersu monety było teraz w środku wirującej sfery. Painter wspomniiał, że E mogło się wywodzić z pradawnego kultu Gai. Teraz E znajdowało się właśnie w środku małego srebrzystego globu, jakby to była sama Gaja w fizycznym świecie. Ale ta litera oznaczała także moc ludzkiej intuicji, wychodzącej z rdzenia ludzkiego ciała, z mózgu.

Gray skupił myśli, szukając ukrytego znaczenia. Co odkrył wtedy Archibald Polk?

Tajemnicza moneta wirowała, kryjąc starożytny sekret.

Ale co...?

Nagle Gray zrozumiał.

Wyciągnął rękę i przydusił monetę płasko do podłogi. Oczywiście!

23.35

Prypeć, Ukraina

- Amerykanie mają Saszę - powiedział ostrym tonem Nikołaj, wychodząc z sypialni. Miał na sobie tylko rozpięty szlafrok, ale rozgrzewała go złość.

Elena leżała nago w poprzek łóżka. Jedną nogą uniosła i podtrzymywała ją ręką. Czekala na niego. Wrócili z balu do hotelu usytuowanego poza zamkniętą strefą ochronną Czarnobyli, w nim zatrzymało się także wielu dygnitarzy czekających na jutrzejszą uroczystość.

Nikołaj przez ostatnie pół godziny rozmawiał przez szyfrowany telefon satelitarny, upewniając się, czy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Rozmowa z matką w Warren dostarczyła mu najnowszych wiadomości dotyczących nieprzyjemnych wydarzeń. Dzięki swoim kontaktom z dawnymi agentami KGB dowiedziała się o działaniach agencji wywiadowczych w Waszyngtonie. Całe miasto przewrócono do góry nogami, od dwudziestu godzin szukano jakiejś dziewczynki. To musiało chodzić o Saszę. Potem nagle zrobiło się śmiertelnie cicho. Nawet Jurij ucichł. Wiedzieli, co to oznacza.

Ktoś ją znalazł.

I Nikołaj miał konkretne podejrzenia. Zacisnął pięści.

To najprawdopodobniej była ta sama organizacja, która przysporzyła mu kłopotów w Indiach i szła tropem badań profesora Polka, grzebiąc w czymś, co Nikołaj uważał za zakończone wraz ze śmiercią naukowca. Jedna próba zatrzymania ich na zawsze spaliła na panewce. Ale może to już i tak nie miało żadnego znaczenia.

Po nieudanej misji otrzymał informację o ich poczynaniach w Indiach.

Wyglądało na to, że ta grupka poszukiwaczy prawdy w Indiach zbliżała się do tajemnicy, której Polk nie chciał nikomu wyjawić. To niby miało być coś ważnego i dotyczyć tych dzieci. Ale co?

Elena poruszyła się na łóżku i uniosła na łokciu.

- I co teraz zrobisz w sprawie małej Saszki?

Czyżby w jej głosie słyszał troskę?

Nikołaj wiedział, że dzieci łączyły silne więzy. Wychowywane razem w Warren starsze dzieci nieraz opiekowały się młodszymi. Elena szczególnie lubiła Saszę i jej brata.

Ta dwójka była też ważna dla Nikołaja.

Położył się na łóżku. Elena przytuliła się do niego zmartwiona i zła. Jedną rękę wsunęła pod kołdrę i położyła mu na udzie. Była gorąca, rozpalona. Za długo kazał jej czekać.

Jej długie paznokcie nagle wbiły się głęboko w jego udo.

Elena patrzyła mu w oczy. Po udzie Nikołaja sączyła się strużka krwi, co go podniecało.

- Nic złego nie może się przydarzyć małej Saszce! - powiedziała twardo.

Nie oczekiwała żadnego sprzeciwu; żądała i wymagała. Palce ścisnęły jeszcze

raz, wysyłając ból aż do jego krocza.

- Podjąłem już odpowiednie środki. Potrzebujemy tylko... Paznokcie przesunęły się w górę uda, ciągnąc ze sobą ból.

- ...monety przetargowej.

23.45

Pendżab, Indie

Gdy uderzył kolejny piorun i błyskawica oświetliła salę świątyni, Elizabeth podeszła do olbrzymiej czakry na ścianie. Gray przyłożył dłoń do wizerunku koła.

Spoglądając do góry, zaczął mówić:

- Z moich studiów nad filozofią hinduską pamiętam, że w środku koła czakry zawsze znajduje się litera sanskrycka reprezentująca jedno z centrów energii. Muladhara zlokalizowana jest u podstawy kręgosłupa. Manipura w okolicach splotu słonecznego. Anahata w sercu. - Gray spojrział do góry. - A ta jest pusta. Nic tu nie ma.

- I tak samo jest na monecie - dodała Elizabeth nieśmiało, nie wiedząc, dokąd prowadzi jego rozumowanie.

- No właśnie. - Gray podał jej monetę. - Proszę ją odwrócić. Jeśli mogłaby pani spojrzeć przez środek okręgu czakry na drugą stronę monety, co by tam pani zobaczyła?

Elizabeth przewracała monetę i oglądała ją z obu stron. Duża litera epsilon wybita na środku świątyni była jednocześnie na osi koła czakry po drugiej stronie.

- Literę E - wymamrotała.

- Jest ona dokładnie po drugiej stronie koła. - Gray odwrócił się do Mastersona. - Czy mogę pożyczyć pańską łaskę?

Profesor podał mu ją niechętnie.

Gray zrobił krok do tyłu, wyciągnął ręce do góry i pchnął krawędź centralnego koła czarnego marmuru. Jego mięśnie się naprężyły, a małe koło okręciło się na pionowej osi, zupełnie jak zawór w rurze.

- Tajne wejście! - wykrzyknął Masterson z podniecenia. Gray machnął na Kowalskiego.

- Podnieś mnie.

Kowalski podszedł, przyklęknął i splótł dłonie. Komandor wspiał się wystarczająco wysoko, by móc szerzej odchylić płytę z czarnego marmuru. Niższa krawędź tajnego wejścia znajdowała się trzy metry nad ziemią. Dzięki Kowalskiemu Gray tam się wsunął.

- Tu są jakieś schody! - krzyknął, gdy jego nogi zniknęły w otworze. - Prowadzą na dół! Są wykute w piaskowcu!

Elizabeth nie mogła się doczekać. Podeszła do Kowalskiego i poprosiła:

- Mnie też proszę pomóc.

Weszła na jego kolano, ale on chwycił ją w talii i podniósł. Zapiszczała z zaskoczenia. Kowalski był silny. Elizabeth przytrzymała się krawędzi, żeby złapać równowagę, i na ślepo szukała jakiegoś podparcia dla stopy, by się odepchnąć.

- Hej, to mój nos! - stęknął Kowalski.

- Przepraszam.

Złapał ją za kostkę i postawił sobie na barku jej stopę. Elizabeth odepchnęła się i podciągnęła. Odnalazła Graya stojącego kilka stopni niżej. Wszystkie powierzchnie ścian były ozdobione malunkami i literami.

- Znowu pismo Harappan - powiedziała.

- A proszę spojrzeć na to! - Gray skierował światło latarki na wewnętrzną stronę czarnych marmurowych drzwi. Zdobila je wielka litera epsilon wyryta w kamieniu.

Elizabeth wyciągnęła aparat i zrobiła kilka zdjęć. Po chwili dołączyli do nich Rosauro i Luka.

Gray wychylił się na zewnątrz.

- Doktorze Masterson?!

- Taka wspinaczka to nie dla mnie - oświadczył zmęczony Masterson, opierając się na lasce. - Wystarczy, jak opowiecie, co znaleźliście.

- Ja też zostanę na dole - zdecydował Abe, ale w jego głosie bardziej było słyhać strach niż zmęczenie. Elizabeth zauważyła, że im bliżej byli celu, tym Hindus stawał się coraz bardziej nerwowy.

- Kowalski! - zawołał Gray. - Zostań na dole i pilnuj nas.

- Mnie to pasuje. Zresztą i tak bym się nie zmieścił w tę dziurę. - Oczy Kowalskiego powędrowały na Elizabeth. Skinał do niej głową, dając znak, by była ostrożna.

Na zewnątrz, gdzieś niedaleko, uderzył piorun.

- Ruszajmy - rzekł komandor.

Prowadził schodami w dół, oświetlając drogę latarką. Za nim szła Elizabeth, a za nią Rosauro i Luka. Elizabeth dotykała palcami ścian z pismem Harappan, które nigdy jeszcze nie zostało rozszyfrowane, głównie ze względu na fakt, że zachowało się niewiele jego przykładów. Archeolodzy nadal szukali kolejnego kamienia z Rosetty, na którym pismo harappańskie występowałoby obok znanego pisma, co umożliwiłoby odczytanie znaków.

Elizabeth rozejrzała się dookoła. W tym miejscu chyba występują dwa rodzaje pisma. Serce zaczęło jej mocniej bić z podniecenia i zaskoczenia. Aż dziwiła się, że nikt inny tego nie słyszy. Jednocześnie wyobrażała sobie, jak jej ojciec wcześniej szedł po tych samych schodach. Pewnie jego serce też wtedy tak głośno biło. W tym momencie poczuła jakąś dziwną z nim więź, jakiej wcześniej nigdy nie doznała i więcej nie dozna. Ścisnęło ją w gardle.

Schody nie prowadziły zbyt głęboko i kończyły się w małej komnacie wydrążonej w piaskowcu. Po przeciwnej stronie ze ściany, na wysokości kolan, tryskało naturalne źródło, z którego woda przepływała szczeliną w podłodze i znikła po drugiej stronie grotu.

- Harappańska komnata źródłana - orzekła Elizabeth, rozpoznawszy typową

konfigurację. - Ci ludzie żyli w dolinie Indusu i doskonale opanowali sztukę irygacji.

Gray poświecił latarką dookoła. Komnata była mniej więcej okrągła. W kamiennej podłodze wykuto kolejne koło czakry. Ale tym razem jego środek nie był pusty. Stała tam skała w kształcie jaja.

- To kopia omfalosa - powiedziała Elizabeth. Wszyscy zbliżyli się do kamienia. Sięgał im mniej więcej do klatki piersiowej i był dwa razy większy od tego z muzeum w Delfach. Na zewnętrznej powierzchni kopuły dostrzegli wyrzeźbione drzewa i liście.

Elizabeth przełknęła ślinę i rozglądała się dookoła.

- Ktoś odtworzył oryginalny adyton, gdzie wyrocznia ujawniała swoje proroctwa.

Elizabeth podeszła do przewróconego zydła z brązu.

- A oto trójnóg. Klasyczne krzesło wyroczni.

- Może nawet kilka wyroczni naraz snuło przepowiednie. - Gray oświetlił latarką inne przewrócone trójnogi.

Razem było ich pięć.

Elizabeth robiła zdjęcia. Co to za miejsce? Skąd się tutaj wzięło?

- Chodźcie obejrzeć to! - zawołała Rosauro spod ściany, poprawiając swój plecak.

Luka stał trochę dalej pod ścianą. Przysunął do niej dłoń, ale nie dotykał powierzchni. Mimo słabego oświetlenia Elizabeth widziała, że jego ręka drży.

Elizabeth zbliżyła się do Rosauro stojącej przed poczerniałą ze starości mozaiką. Kilka płytek odpadło i leżało na podłodze. Ktoś wytarł fragmenty mozaiki z wielowiekowego nalotu i mchu. Wyglądało, jakby ten ktoś był bardzo przejęty. Elizabeth wyobraziła sobie ojca przecierającego kawałkiem szmaty mozaikę, pragnącego jak najszybciej dowiedzieć się, co ona kryje. Oglądała odsłonięte rysunki.

Od podłogi do sufitu przedstawiono oblężenie świątyni ukrytej w górach.

- To Parnas - mruknęła pod nosem Elizabeth. - Atak Rzymian i upadek świątyni delfickiej.

Następny fragment ukazywał komnatę podobną do tej, w której się znajdowali, z omfalosem w centrum - ale kamień ukazano w przekroju. W jego środku kuciała mała dziewczynka osłonięta ramionami młodej kobiety, a rzymski żołnierz szukał ich, rozglądając się po pomieszczeniu. Elizabeth odwróciła się i spojrzała na kamień za jej plecami. To chyba niemożliwe...

Szła dalej wzdłuż ściany. Kolejny fragment mozaiki przedstawiał karawanę koni, osłów i wozów. Na czele taboru szła ta sama szczupła kobieta z dzieckiem. Karawana wspinała się na wzniesienie. Do ostatniego wozu zaprzężone były dwa ogniste ogiery - reprezentowały rumaki ciągnące słoneczny rydwan Apollina po niebie. Ale one nie ciągnęły rydwanu słonecznego. Na wozie spoczywał ten sam kamień, który ochronił kobietę i dziecko. Omfalos z Delf.

Elizabeth odwróciła się i stanęła na wprost kamienia. Cała dygotała z wrażenia.

- To nie jest kopia - powiedziała drżącym głosem. - To oryginalny omfalos.

Ten wspomniany przez Plutarcha i Sokratesa.

- A zobacz to! - rzuciła Rosauero.

Pociągnęła Elizabeth do następnej sceny przedstawionej na mozaice. To był obraz kanionu, radosna scena przedstawiająca Greków budujących świątynie w skałach. Adyton też był tu ukazany, ale zamiast jednej wyroczni siedzącej na trójnogu było ich pięć. Siedziały wokół omfalosa, z którego szczytu wydobywały się kłęby dymu. Dym ułożył się w figurę małego chłopca z rozłożonymi ramionami. W jego oczach płonął ogień, a z rozpostartych dłoni wyrastały płomienie.

Czy ten chłopiec był symbolem przepowiedni, czy też oznaczał coś bardziej konkretnego?

Elizabeth miała wrażenie, jakby te płonące oczy patrzyły wprost na nią.

Za jej plecami stał Gray i też oglądał historię przedstawioną na mozaice. Wskazał ręką na całą ścianę.

- Ostatnia wyrocznia. To dziecko musiało kryć się po upadku świątyni. Grecy, strażnicy świątyni i ich zwolennicy uciekli przed rzymskimi prześladowaniami, osiedlili się tutaj i odbudowali ruiny pozostałe po Harappanach.

Elizabeth przypomniała sobie fragmenty opowieści Abego.

- Żyli tu bezpieczni przez siedem wieków, przypuszczalnie mieszając się z lokalną ludnością. I po tak wielu pokoleniach Grecy powoli zostali wessani przez hinduską kulturę.

- A potem dosięgły ich religijne prześladowania i zniechęcił hinduski system kastowy - kontynuował Gray. - I te kości. Tu musiało dojść do masakry.

- I znowu musieli uciekać - wtrącił Luka stojący w rogu komnaty.

Podeszli do niego. Stał o krok od bijącego źródła. Tu nie było już artystycznie wykonanej mozaiki, jedynie pospiesznie zrobione malunki. Używając czarnej farby, przedstawiono atak na świątynie. Ludzie uciekali we wszystkich kierunkach, ale jedna grupa, oznaczona promieniami od niej bijącymi, uciekła w taborze wysokich wozów na wielkich kołach. Karawana stawała się coraz mniejsza, aż ginęła gdzieś daleko za horyzontem.

Luka dotknął delikatnie wozów. Jego głos zadrżał ze wzruszenia.

- To nasz lud - oświadczył. - Romowie. Stąd się wywodzimy. Tu są nasze korzenie.

Gray odsunął się na bok. Spoglądał z pewnej odległości na ścianę. Jego twarz wyrażała całkowite zaskoczenie.

Strażnicy świątyni delfickiej uciekli z dzieckiem i omfalosem, ukryli się w tej dolinie i przez siedem wieków mieszały się z lokalną społecznością, a później ta społeczność zaczęła ich prześladować i znowu musieli uciekać, tyle że teraz już inaczej się nazywali. Romowie.

- Historia opisana na tej ścianie musi odnosić się do linii genetycznej chronionej przez całe wieki. Ucieczka z Grecji, schronienie się tutaj i znowu ucieczka. To opis genetycznej linii proroków. - Gray wskazał na ścianę.

- To właśnie dlatego cały czas wędrujemy - tłumaczył Luka. - Tak jak powiedział ten Hindus, żadne miejsce nie było bezpieczne przez dłuższy czas.

Włóczyliśmy się po świecie, chroniąc sekret ukrywany w sercach naszych plemion.

- Dopóki go wam nie skradziono - ciągnął Gray.

- Sekretu, który początek miał w Delfach - dodała Elizabeth. Przed oczyma stanęła jej dziewczynka w Waszyngtonie. Czy ona naprawdę jest potomkiem ostatniej wyroczni delfickiej?

Rosauro podeszła do malowidła na ścianie i wskazała na linie wiodące we wszystkich kierunkach od innych uciekinierów.

- Ci uchodźcy. To chyba dlatego twój ojciec odkrył, że wszystkie genetyczne tropy prowadziły tutaj; to dlatego markery były tak skoncentrowane w tym regionie, szczególnie wśród przedstawicieli niższych klas. Bo uchodźcy właśnie między prostymi ludźmi znaleźli schronienie.

Gray podszedł do ściany jeszcze raz i ponownie zaczął dokładnie studiować każdy obrazek. Dotarł do ostatniej mozaiki - tej z chłopcem o płonącym wzroku.

- Tutaj jest jakieś pismo! - zawołał.

Elizabeth zbliżyła się do niego. Dostrzegła trzy linie liter. Najwyższe było pismem Harappan, środkowe sanskrytem, a najniższe greką.

- Nie potrafię odczytać harappańskich hieroglifów - wyznała. - Nikt tego nie potrafi. A z sanskrytu i greki poniżej mogę odcyfrować zaledwie kilka początkowych słów. Reszta jest wytarta. To, co mogę odczytać, brzmi następująco: Świat zapłonie... - Zrobiła kilka zdjęć, koncentrując się na figurze chłopca. - Reszty brakuje.

Gray pochylił się i dotknął koła czakry narysowanego poniżej linii liter.

- To chyba jest coś ważnego. Bo wszędzie się powtarza.

Wyprostował się i odwrócił w stronę dużego koła czakry wyrzeźbionego na podłodze. W jej centrum spoczywał omfalos. Elizabeth odgadła, o czym komandor myśli. Jeśli czakra jest taka ważna, to coś, co spoczywa w jej centrum, musi być podwójnie ważne. Gray zmrużył oczy, gdy podszedł do kamienia. Chciał mu się lepiej przyjrzeć, bo wcześniej zaledwie rzucił na niego okiem.

- Pani ojciec schował czaszkę wewnątrz kamienia w muzeum. Może był ku temu jakiś powód?

Gray wspiał się na szczyt omfalosa.

- Ostrożnie - zapiszczała Elizabeth, bojąc się zniszczenia starożytnego artefaktu. Obeszła kamień dookoła i zauważyła, że jego dolna krawędź jest zapisana harappańskimi hieroglifami, znakami sanskrytu i alfabetem greckim.

Zrobiła dużo zdjęć.

Balansując na szczycie omfalosa, Gray poświecił latarką przez szczytowy otwór do jego wydrążonego wnętrza.

- Co pan widzi? - zapytała.

- Złoto... w kształcie dwóch orłów.

- Czy są zwrócone do siebie głowami? - Głos Elizabeth zadrżał z emocji.

- Tak - odpowiedział Gray.

- To kolejny zaginiony artefakt ze świątyni delfickiej. To orły Zeusa. Według mitologii zostały wysłane w przeciwne strony, by odnalazły środek świata. Ptaki

spotkały się i założyły gniazdo w Delfach, oznaczając tym samym pępek świata.

- Pani ojciec pewnie też je znalazł. - Gray wsunął ręce do środka. - Może istnieje jakiś konkretny powód, dla którego zostały schowane właśnie tutaj. Bądź co bądź pani ojciec ukrył czaszkę w omfalosie w muzeum.

Gdy pochylał się, Elizabeth krążyła wokół kamienia, kontynuując tłumaczenie trzech linii pisma.

- Chyba uda mi się dosięgnąć... - powiedział Gray.

Elizabeth dotykała palcami każdej litery: „Chciwość i bluźnierstwo przyniosą wszystkim pożogę”, przeczytała. Nagle zrozumiała.

- Nie! - krzyknęła.

- Mam! - stęknął Gray, gdy chwycił złote orły.

- Nie ruszaj! - krzyknęła. Gray poślizgnął się zaskoczony.

Coś głośno stuknęło u podstawy kamienia, a zaraz po tym pod podłogą rozległ się rozdierający odgłos przypominający grzmot. Po nim dało się słyszeć narastający hałas, jakby zbliżał się do nich pociąg towarowy.

Wszyscy zamarli w bezruchu. Gray wskazał ręką na schody.

- Uciekajmy! - wrzasnął. Za późno.

Ze źródelka pod olbrzymim ciśnieniem, niczym z węża strażackiego, wystrzeliła woda - tyle że jej strumień miał średnicę pół metra.

Na ścianie pojawiły się pęknięcia, które od źródelka rozchodziły się promieniście na wszystkie strony. Wodna pułapka.

Strumień wody odbił się od przeciwnej ściany i ściał wszystkich z nóg.

Gray złapał Elizabeth i pociągnął w stronę schodów.

- Pułapka... - zakaszła zaszokowana. - Ojciec... próbował nas ostrzec...

- Uciekać! Uciekać! - krzyczał Gray.

Elizabeth wspierała się na schody na czworakach. Po niej Gray, który wyłowił z wody Lukę i pchnął go w stronę schodów. Woda sięgała już do bioder i jej poziom szybko się podnosił. Gray został na dole uczepiony krawędzi schodów, przeszukując wzrokiem komnatę.

Elizabeth wiedziała dlaczego.

Gdzie była Rosauero?

Gray stracił ją z oczu. Stała najbliżej źródelka, gdy strzeliła woda pod ciśnieniem. Nie widział nic pod wzburzoną wodą, która sięgała mu do pasa. Przecież Rosauero też powinna ustać jak oni, a nawet jeśli straciła równowagę, to jej ciało powinno gdzieś tu pływać, chyba że...

Gray odwrócił się do Luki i wyciągnął rękę:

- Daj sztylet!

Cygan wręczył mu błyszczący sztylet rękojeścią do przodu. W zamian dostał od Graya latarkę.

- Trzymaj ją pod wodą! - rozkazał komandor i zanurkował. Porwał go prąd i pchnął w narożnik komnaty. Dał mu się ponieść na drugą stronę pomieszczenia i dookoła komnaty, aż dopłynął do źródła, którego obecność wyczuł po sile strumienia. Przekręcił się i odbił, by znaleźć się po drugiej stronie komnaty.

Tylko jedna rzecz mogła trzymać Rosauero pod wodą. Podciśnienie.

Gray zanurkował w miejscu, gdzie woda przez szczelinę wypływała z komnaty. W słabym świetle latarki zauważył jej ciało przy szczelinie. Rosauro była przyssana do dziury, a jedna jej ręka znajdowała się w studziencie. Gray słyszał o przypadkach, gdy ludzie tonęli w basenach kąpielowych wsysani przez studzienki ściekowe. Tutaj podciśnienie było sto razy większe.

Gray złapał rękę Rosauro i przyciągnął się do niej. Zaparł się nogami po obu stronach otworu wypływowego. Rosauro patrzyła na niego. Nawet w tak słabym świetle dostrzegł panikę w jej oczach.

Już raz stracił członka swojego zespołu, który utonął - nie miał zamiaru tracić kolejnego. Zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu i przeciął pasek plecaka Rosauro, który też był w połowie wessany w odpływ wody i blokował jej ramię. Upuścił sztylet, złapał podwładną wokół klatki piersiowej i zaczął ją podnosić, odpychając się nogami od podłoża.

Przez moment nie mógł jej wyciągnąć, ale gdy plecak wpadł głębiej w studzienkę, ssanie zmniejszyło się na tyle, że Gray zdołał oderwać Rosauro od dna. Odbił się i wypłynął na powierzchnię, pozwalając, by prąd podniósł ich dookoła komnaty w stronę światła i schodów. Poziom wody niemalże sięgał już sufitu.

Usłyszał loskot. Ściana za nim poddała się naporowi wody i prąd stał się jeszcze silniejszy.

Odepchnął się od dna i rzucił się do przodu, do zalewanej klatki schodowej.

Ledwie żywy wpadł prosto w ramiona Luki, który pomógł mu wyciągnąć Rosauro na schody. Kaszlała i wypluwała wodę. Między torsjami udawało jej się nabierać głęboko powietrza.

Odzyskując kontrolę nad sobą, zaklęła po hiszpańsku tak siarczyście, że nawet Kowalskiego by zatkało.

Za ich plecami komnata była wypełniona wodą aż po sufit.

- Czas na nas - popędził ich Gray.

Machnął na Elizabeth i Luke, by ruszali do góry. Rosauro szła na miękkich nogach, ale pieniąca się z tyłu woda zmobilizowała ją do wysiłku i samodzielnej wspinaczki po schodach. Trzymała się za ramię, które ucierpiało w otworze odpływowym.

Na górze Elizabeth wysunęła się tyłem z otworu, zawisła na rękach i zeskokczyła na podłogę.

- Dalej! - krzyknął Gray do Luki, gdy ten się zawahał. Luka posłuchał go i zeskokczył.

Gray pomógł Rosauro precyzyjnie się przez czarne marmurowe drzwi. Zawisła na zdrowym ramieniu, po chwili puściła się i spadła. Woda dostała się już na ostatni stopień i fala wypchnęła Graya. Puścił się krawędzi otworu na sekundę przed tym, jak pod wpływem napływającej wody drzwi zaczęły się zamykać. Zeskoczył i spojrzał w górę. Marmurowe drzwi z brzegami wyciętymi pod kątem otwierały się tylko do wewnątrz. Teraz pod ciśnieniem wody zatrzasknęły się do końca.

Odwracając głowę, usłyszał huk wody z kanionu. Rozbłysła błyskawica. Spieniona, biała woda zalewała podłogę. Dolina też była podtopiona, ale powody tego były bardziej naturalne i nie wynikały z działań Graya.

Spojrzał na masy wody przelewające się przez kanion. To wyjaśniało, dlaczego budynki wykuto w skale. Nagle zauważył coś dziwnego. Luka też to dostrzegł i zapytał szeptem:

- A gdzie są wszyscy?

Jakby słysząc pytanie, w drzwiach pojawił się Masterson, opierając się na lasce. Pewnie był na zewnątrz i obserwował nawałnicę i powódź.

- Dzięki Bogu - powiedział profesor. - Cholernie długo tam siedzieliście. Co

znaleźliście?

- Odpowiedzi na wszystko! To niezwykle! - krzyknęła podekscytowana Elizabeth.

- Czyżby?

Za Mastersonem pojawiły się jakieś postacie, a kolejne wybiegły z bocznych sal. Wszystkie miały na sobie czarne kombinezony, a w rękach karabinki automatyczne gotowe do strzału.

Komandosi rosyjscy.

- Będziesz musiała mi więcej o tym opowiedzieć - rzekł Masterson - skoro twój ojciec mi odmówił.

Wprowadzono Kowalskiego z rękami na głowie. Miał rozbity łuk brwiowy i zakrwawioną twarz. Żołnierze rzucili go na kolana.

- Zabili Abego - warknął. - Zastrzelili go jak psa.

- A dlaczego by nie? Był achuta. W Indiach nawet psy traktuje się lepiej - odparł Masterson, wzruszając ramionami.

Żołnierze otoczyli ich ze wszystkich stron. Elizabeth patrzyła na profesora kompletnie oszołomiona, nie mogła wykrztusić słowa. Wreszcie wszystko do niej dotarło.

- To ty zdradziłeś mojego ojca!

- Nie miałem wyboru, Elizabeth. Był za blisko prawdy. Graya zamroczyło. Zrozumiał, co się tutaj wydarzyło. Mastersonowi zapłacono za to, by kontrolował postępy badawcze Polka i przekazywał dane swoim zleceniodawcom... ale gdy ojciec Elizabeth znalazł się zbyt blisko rozwiązania, został usunięty. Kto mógł za tym wszystkim stać?

Masterson chyba zauważył wściekłość w oczach Graya. Zrobił krok do tyłu, choć i tak komandor nic mu nie mógł zrobić. Masterson pomachał laską.

- Pierce, wygląda na to, że pan i pańscy towarzysze jesteście potrzebni żywi. Ale ten wielkolud niekoniecznie.

Wskazał laską na Kowalskiego.

- Zastrzelić go! Kowalski wytrzeszczył oczy.

Gray rzucił się do przodu, ale trzy lufy dotknęły jego klatki piersiowej.

- Proszę, Hayden! Nie! Błagam cię! - krzyczała Elizabeth. Gray zrozumiał po głosie Elizabeth, co się z nią dzieje, Masterson też.

Profesor spojrział na Elizabeth i Kowalskiego, po czym przewrócił oczami.

- No dobrze. Ale tylko dlatego, że jestem to winny twojemu ojcu. Ale jeśli pojawią się z wami jakieś problemy, otworzymy ogień.

Masterson przeniósł wzrok na Graya.

- Chciał pan wiedzieć, dokąd udał się Archibald? - Odwrócił się i zaczął odchodzić. - Powinien pan bardziej uważać na to, czego sobie pan życzy.

CZEŚĆ
TRZECIA

7 września, 05.05
Południowy Ural

Monk odpychał się od dna żerdzią. Bali się zrobić postój choćby na chwilę. Polowanie na nich trwało całą noc. Podtrzymując żerdź okaleczoną ręką, wyciągał ją i odpychał zdrową. Łódka bezgłośnie ślizgała się po mokradłach.

Już całkiem nieźle widział w świetle księżyca, nabrał też wprawy w manewrowaniu łodzią. Wiele razy mieli bliskie spotkania ze ślizgaczem bagiennym przeszukującym mokradła. Wycie olbrzymiego wiatraka napędzającego łódź o płaskim dnie i jej silny reflektor ostrzegały Monka wystarczająco wcześniej, by znalazł kryjówkę. Pomagała mu w tym gęsta mgła ścieląca się nad wodą.

Mimo to raz prawie dali się złapać. Monk źle wyliczył siłę ospałego prądu wodnego i ich łódka z głośnym stukiem uderzyła w drzewo. Nieprzyjaciel musiał to usłyszeć, bo natychmiast pojawił się w pobliżu. Kokkalis starał się ukryć pod wiszącymi gałęziami wierzby. Zostaliby wykryci, gdyby tylko myśliwi dokładnie przeszukali okolicę.

Wybawienie nadeszło w najmniej spodziewany sposób.

Gdy ślizgacz zwalniał i zmniejszał obroty wiatraka, Kiska złożyła dłonie w miseczkę, przytknęła do ust, wzięła głęboki wdech i zaczęła naśladować niskie, zawodzące nawoływanie klępy. Podobne hałasy słyszeli przez całą noc. Monk przypomniał sobie, jak dziewczynka prezentowała swój talent. Potrafiła po mistrzowsku naśladować odgłosy przyrody i śpiew ptaków. Myśliwi nadal przeszukiwali okolicę, ale już nie tak dokładnie i po minucie ruszyli dalej.

Uciekinierzy nie mogli jednak ciągle liczyć na takie szczęście. Monk zdał sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy: powoli spychano ich w stronę jeziora Karaczaj, gdzie promieniotwórczość była zabójcza. Ślizgacz przeszukiwał bezpieczniejsze rejony bagna, a to zmuszało ich do uciekania w kierunku jeziora. Co godzina Monk ryzykował i zapalał zapałkę, by sprawdzić kolor na dozymetrach. Różowy zmienił się w pełnokrwisty czerwony. Konstantin poinformował go rzeczowym tonem, że otrzymanie dobowej dawki takiego

promieniowania jest dla człowieka śmiertelne. Gdy Monk kierował łódkę przez kożuch rzesy wodnej i innej wodnej roślinności, podświadomie zaczynał odczuwać swędzenie skóry, jakby już promieniowanie zatruwało jego organizm.

A przecież dzieci były jeszcze bardziej narażone.

Cała trójka spała niespokojnie przytulona do Marty. Budzili się przy każdym podejrzanym dźwięku. Szympanśca w końcu wskoczyła na gałęzie. Robiła to w nocy od czasu do czasu. Raz nawet, pohukując i szeleszcząc gałęziami, odciągnęła myśliwych w drugą stronę. Jej działanie dało im pełną godzinę wytchnienia od stresu.

Inteligentna małpa.

Monk miał nadzieję, że ona jest naprawdę bystra, bo nadchodziło niebezpieczeństwo większe niż zagrożenie promieniowaniem.

Na wschodzie czarne niebo zaczęło jaśnieć przed świtem. Bez ochrony, jaką dawała im ciemność, zostaną szybko znalezieni. Żeby przeżyć, będą musieli znaleźć jakiś sposób, by uciec przed pogonią.

A to oznaczało, że trzeba będzie zostawić po sobie ślad.

Konstantin i Kiska podarli opakowania batonów proteinowych i zebrali puste butelki po wodzie. Gdy Monk maścił czysty szlak wodny, wpływając celowo na roślinność wodną, dzieci upuszczały drobiny śmieci do wody.

- Nie za dużo naraz - przestrzegł ich szeptem. - Starajcie się rozrzucić je na boki.

Ostatnią godzinę spędził, szukając idealnego miejsca w ciemnym bagnie. I w końcu je znalazł - długi zakręt otulony gęstymi gałęziami wierzby i czarnymi kępami jodły. Czas także powinien im sprzyjać. Będą mieli tylko jedną próbę. Brzeg bagna nadal znajdował się dobre trzy kilometry dalej, a wschód słońca zbliżał się szybko; jeśli teraz nie podejmą ryzyka, to mogą przegrać.

Ostatni członek ich drużyny, Piotr, siedział na środku łodzi z podciągniętymi nogami, które obejmował rękoma. Bujał się i wpatrywał w rufę łódki, jakby obserwował przyjaciół rozrzucających okruchy, ale Monk wiedział już, że jego widzenie sięga znacznie dalej.

Dopłynawszy do końca szlaku wodnego, Monk przeniósł żerdź na dziób i wbił ją w grzęzawisko. Zaparł się plecami i zatrzymał łódź. Tutaj właśnie rzuca wrogowi rękawicę.

Borsakow siedział obok pilota ślizgacza. Siedzenia były umocowane wysoko nad płaskim aluminiowym dnem. Przed nimi kucali dwaj żołnierze. Jeden obsługiwał reflektor przymocowany do dziobu, a drugi trzymał karabinek gotowy do strzału.

Po pięciu godzinach poszukiwań uszy Borsakowa pękały od hałasu. Tuż za nimi był silnik poruszający olbrzymi wiatrak. Popękana metalowa siatka ochronna wokół płatów śmigła terkotała przy każdym obrocie wiatraka. Odrzut powietrza, który popychał łódź do przodu, szarpał roślinnością wodną i gałęziami.

Pilot ślizgacza miał na uszach słuchawki, jedną rękę trzymał na drążku sterowniczym, a drugą na drążku mocy. Woń spalin i oleju napędowego maskowała smród zgnilizny dobywający się z mokradeł. Posuwali się na

jałowym biegu po płytkiej otwartej wodzie. Szperacz przeczesywał trzciny, które rosły na obrzeżach.

W nocy napotkali dziki i łosia, przegonili orły z gniazda, przepłynęli po żeremiach bobrowych i przebijali się przez całe chmary owadów. Światło ich reflektora odbijało się w tysiącach małych oczu mieszkańców bagna, ale zbiegów nie widzieli. Kończyło się im paliwo...

Przez odgłos silnika przedarł się małpi wrzask. Dochodził gdzieś z prawej strony. Żołnierze na dziobie też go usłyszeli. Szperacz i karabinek momentalnie skierowano w tamtą stronę.

Jak błyskawica przemknęło coś wielkiego w wąskiej przerwie między drzewami i zniknęło w lesie. Borsakow przypomniał sobie, że razem z dziećmi zginęło jedno zwierzę laboratoryjne. Szympans.

Pilot zwiększył moc silnika. Dziób łodzi lekko się zadarł i popędziła do przodu w stronę przerwy w drzewach. Gdy dopłynęli do brzegu, zwolnili. Trzciny były przygięte w miejscu, gdzie ktoś przebijał się do bocznego kanałku.

Nareszcie...

Borsakow wskazał ręką do przodu.

Za przewężeniem otworzył się przed nimi wąski kanał otulony wierzbami i poprzątykany wodną roślinnością. Ślizgacz przyspieszył. Szperacz omiatał całą okolicę, przebijając się przez ciemność. Żołnierz z karabinkiem sięgnął do wody i wyłowił pustą plastikową butelkę po wodzie mineralnej.

Ktoś tędy przepływał.

Borsakow kazał przyspieszyć, czuł, że zbiegowie nie mogą być daleko. Kanał zataczał tu lekki łuk. Ślizgacz pokonał go płynnie.

Reflektor ujawnił kolejne śmieci na powierzchni wody, kawałki papieru i butelki. Za dużo tego. Coś tu nie grało. Uciekinierzy nigdy nie popełniali tylu głupich błędów. Pełen podejrzeń Borsakow wyciągnął rękę i ścisnął ramię pilota. Kazał mu zwolnić.

Monk usłyszał, jak silnik ślizgacza zmniejsza obroty. Kucając z dziećmi, obserwował łódź, która pojawiła się na widoku za ostatnim zakretem kanałku, płynęła za wolno.

Niedobrze.

Szperacz przeszywał ciemność, ślizgając się po powierzchni wody i kierując wprost na nich. Za sekundę zostaną dostrzeżeni. Ich jedyna nadzieja to...

...z ciemnych gałęzi po lewej stronie wynurzył się czarny cień i spadał głową w dół. Leciał wysoko ponad śmigłami ślizgacza, ale z zaciśniętych stóp wypuścił garść ciemnych przedmiotów, które uderzyły w olbrzymi wiatrak jak ładunki wybuchowe.

Naboje śrutowe z chaty.

Płaty śmigieł przecięły plastikowe osłony nabojów, co wprawdzie nie zainicjowało wybuchu, ale spowodowało ich rozprysnięcie.

Usłyszeli krzyki zdziwienia i bólu, gdy w załogę uderzyły śruciny. Siedzący wysoko pilot pochylił się i spadł z fotela. Przypadkowo uderzył w dźwignę mocy i silnik zawył. Ślizgacz wyskoczył do przodu, zbaczając z kursu. Pilot zaczął mocować się z dźwigną, próbując odzyskać nad nim kontrolę.

Szperacz oświetlił przestrzeń, omiatając zbiegów promieniem. Monk zauważył, że jeden z mężczyzn krzyczy i wskazuje do przodu ręką.

Za późno, stary.

Obydwaj żołnierze z przodu nagle polecili do tyłu. Splątane ciała uderzyły w metalową osłonę z tyłu łodzi. Ślizgacz zadarł dziób.

Monk usłyszał wrzask bólu i chrzęst płatów wiatraka. Krew i kości wystrzeliły z tyłu wiatraka jak smuga kondensacyjna za odrzutowcem. Cała łódź odwróciła się do góry dnem, a silnik jeszcze chwilę dymił się i dławiał. Szperacz nadal świecił pod powierzchnią mętnej wody.

Monk się odwrócił. Wcześniej wspólnie z dziećmi z żyłki rybackiej upłótł linę grubości palca, potem przeciągnął ją na wysokości pleców w poprzek kanału. To ona właśnie była odpowiedzialna za całe to zamieszanie i przewrócenie mało stabilnego ślizgacza bagiennego.

Z gałęzi nad ich płaskodenną łódką zeskoczyła Marta. Piotr natychmiast rzucił się jej w ramiona. Przykucnęła, sapiąc, dysząc i łapiąc powietrze. Ale ścisnęła Piotra. Jednak jej oczy skupiły się na Monku, szkliste i błyszczące od odbitego światła księżyca. Skinął jej głową w podziękowaniu.

Sam był trochę zdenerwowany całą akcją. Myślał, że ślizgacz popłynie kanałem z dużą prędkością, zwabiony bliskością ofiar. Bombardowanie Marty miało jedynie odwrócić uwagę od przeciągniętej w poprzek kanału liny.

Doskonale wywiązała się ze swojego zadania.

Piotr tulił się do niej bez przerwy. Monk wyjaśnił mu cały plan wcześniej, a chłopiec usiadł z Martą i wyciągnął przed siebie naboje do broni myśliwskiej. Mówił do niej powoli po rosyjsku, ale Monk podejrzewał, że tak naprawdę komunikowali się na zupełnie innym poziomie. W końcu wzięła od niego naboje, zacisnęła je między palcami stóp, wdrapała się na drzewo i zniknęła w gałęziach.

Monk kierował łódkę do następnego kanałku. Wreszcie jakiś ślimaczy prąd popychał ich wolno do przodu. Do drugiego brzegu moczarów. Choć poczuł wielką ulgę, że pułapka im się udała, wiedział, iż zmierzają ku jeszcze większemu niebezpieczeństwu. Nie miał jednak wyboru - zagrożone były miliony istnień ludzkich.

Spojrzał na Martę i trójkę dzieci. Dla niego, niemającego żadnych wspomnień z innego życia, oni byli całym światem. Tylko oni coś znaczyli w jego życiu. Zrobi wszystko, by ich chronić.

Gdy tak kierował łodzią, poddając się prądowi, wróciło do niego bolesne wspomnienie, które naszło go w myśliwskiej chatce, gdy się zdrzemnął.

Smak cynamonu, miękkie usta...

Jakie życie mu odebrano?

Czy kiedykolwiek uda mu się do niego powrócić?

00.04

Waszyngton, D.C.

Tuż po północy Kat odłożyła słuchawkę telefonu i wstała od stołu. Spojrzała przez szybę do sąsiedniej sali szpitalnej. Skończyła telekonferencję z dyrektorem Crowe'em i Seanem McKnightem. Mężczyźni siedzieli w biurze Paintera i rozgrywali między agencyjną wojnę ze swojego bunkra.

Toczyła się walka o losy dziewczynki.

Kat ze swoim wykształceniem i wiedzą mogła jedynie doradzać, ale nie miała na nic większego wpływu. Wszystko zależało od tych dwóch facetów i od tego, jak poradzą sobie z Johnem Mapplethorpe'em.

Wiedziała, gdzie może przydać się najbardziej.

Podeszła do drzwi prowadzących do salki szpitalnej. Przy drzwiach stał uzbrojony strażnik. Zatrzymała się przy lustrze weneckim i spojrzała na pokój za szybą.

Sasza siedziała na łóżku, opierając się o poduszki. Na kolanach miała książeczkę do kolorowania i pudełko z kredkami. Choć nadal była podłączona do kroplówki, pochylała się nad kartką i w skupieniu rysowała.

Nagle podniosła głowę i popatrzyła na Kat. Szyba po wewnętrznej stronie była lustrem, więc nie było żadnej możliwości, żeby dziewczynka cokolwiek widziała. Jednak Kat nie potrafiła wyzbyć się uczucia, że Sasza patrzy prosto na nią i ją widzi.

Z jednej strony malej siedział Jurij. To on uratował Saszę od śmierci i tym samym udowodnił, ile potrafi. Był chyba tak samo ucieszony wyzdrowieniem Saszy jak Kat. Zadowolony z siebie i wyczerpany zapadł się w fotelu i drzemał z brodą opartą na piersi.

Kat odwróciła się i skinęła na strażnika. Otworzył drzwi. Weszła do pokoju. McBride nadal siedział na tym samym krześle. Wyszedł tylko przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych i do toalety. Zawsze pod opieką strażnika.

Po drugiej stronie łóżka stali Lisa i Malcolm z wynikami badań w rękach. Porównywali notatki i jakieś tajemnicze liczby.

Lisa uśmiechnęła się do Kat.

- Jej wyzdrowienie jest niezwykle. Mogłabym całymi latami badać procedurę jej leczenia.

- To jest jedynie tymczasowe rozwiązanie - wtrącił Jurij - a nie lekarstwo na schorzenie.

Lisa posmutniała, gdy spojrzała na dziewczynkę.

- To prawda.

Jurij poinformował ich o przewidywanej długości życia Saszy. Implant w mózgu skracał jego długość. Jak płomień świeczki, będzie wypalał jej życie do zera. Im większy talent, tym mocniejszy płomień. Odpowiedź na konkretne pytanie, ile lat życia ma przed sobą Sasza, zmroziła Kat.

- Z jej poziomem talentu w najlepszym wypadku cztery do pięciu lat - wyjaśnił Jurij.

McBride wręcz przeciwnie, czuł się uspokojony. Wyraził przypuszczenie, że amerykańska myśl naukowa z pewnością potrafi dwukrotnie zwiększyć długość życia, co oznaczało, że Sasza i tak nie dotrwa dwudziestych urodzin.

- Jedyłą nadzieją dla niej jest usunięcie implantu. Utraci swoje zdolności, ale przeżyje - ciągnęła Lisa.

McBride odezwał się za ich plecami.

- Może i przeżyje, ale w jakim stanie? Poza wzmacnianiem wrodzonych uzdolnień implant także minimalizuje objawy jej autyzmu. Jeśli się go usunie, to zostanieie z dzieckiem odłączonym od świata.

- To o wiele lepsze niż leżenie w grobie - odparła Kat.

- Czyżby? - McBride rzucił rękawicę. - A kim pani jest, by to osądzać? Dzięki implantowi ona żyje pełnią życia, bez względu na to, jak krótkie ono będzie. Wiele dzieci rodzi się skazanych na śmierć... białaczka, AIDS, wady wrodzone. Czy nie powinniśmy starać się, by ich życie było lepsze, a nie jedynie dłuższe?

- Pan chce ją tylko wykorzystać! - rzuciła Kat, patrząc na niego koso.

- Od kiedy wzajemna korzyść jest czymś złym?

Kat zrezygnowała z dyskusji, sfrustrowana jego potwornymi argumentami. Jak można było w ogóle racjonalizować takie działanie? Szczególnie jeśli w grę wchodziło życie dziecka.

Sasza rysowała ciemnozieloną kredką w książeczce do kolorowania. Szybko wypełniała przypadkowe miejsca.

- Czy ona powinna teraz kolorować? Jurij poruszył się obudzony ich rozmową.

- Taka forma skupienia jest dla niej bardzo dobra po epizodzie - mruknął, chrząkając. - To jak otwarcie zaworu bezpieczeństwa. Jeśli implant nie jest zdalnie pobudzony i nie uaktywnia jej uzdolnień, to taka spokojna praca odpręża ją psychicznie. - To prawda. Wydaje się, że jest zadowolona - przyznała.

Pracując w skupieniu, Sasza leciutko się uśmiechała. Nagle wyprostowała się i wyciągnęła drobną rączkę do Kat. Powiedziała coś po rosyjsku i podciągnęła rękaw delikatnymi palcami.

Kat spojrzała na Jurija.

- Powiedziała, że pani też powinna być szczęśliwa. - Jurij uśmiechnął się zmęczony.

Sasza popychała książeczkę do kolorowania w stronę Kat, tak jakby chciała, by Kat kolorowała razem z nią. Kat usiadła głębiej i wzięła książkę. Zamarła, gdy zobaczyła, co dziewczynka narysowała na pustej kartce. Z niezwykłą dokładnością odtworzyła pewną scenę. Jakiś mężczyzna odpychał kijem płaskodenną łódź, płynąc przez ciemny las. W tle widniały zarysy innych postaci.

Kat.

Dłonie Kat zaczęły drżeć. Rozpoznała osobę na łodzi. Próbowwała to wszystko ogarnąć rozumem. Ta osoba była podobna do Monka. Ale Kat nie pamiętała, by jej mąż kiedykolwiek płynął taką łódką. Dlaczego dziewczynka miała narysować właśnie taką scenę?

Sasza musiała wyczuć jej rozterkę. Jej uśmiech przerodził się w wyraz zakłopotania. Usta zaczęły się jej trząść, jakby przestraszyła się, że zrobiła coś niewłaściwego. Spoglądała to na Jurija, to na Kat. W jej oczach pojawiły się łzy. Wymamrotała coś po rosyjsku przestraszona, chyba przeprosiny.

Jurij przysunął się bliżej i uspokajał ją delikatnie. Dla dobra dziewczynki Kat zmusiła się do zapanowania nad emocjami. Serce mocno jej biło. Przez moment, przez ułamek sekundy, wydawało jej się, że dokładnie rozpoznała narysowaną postać, ale przecież to niemożliwe.

McBride wstał z krzesła i podszedł do łóżka zaciekawiony sytuacją.

Kat całkowicie go zignorowała. To nie była zupełnie jego sprawa. Swoje spojrzenie za to utkwiała w Juriju. Mężczyzna popatrzył jej przepraszająco w oczy.

Nagle całym obiektem wstrząsnęła eksplozja. Fala uderzeniowa przetoczyła się z góry na dół. Uruchomił się alarm. Oczy wszystkich zwróciły się na sufit, a Kat zerwała się na równe nogi. Niestety o ułamek sekundy za późno.

McBride wyskoczył i złapał Lisę Cummings za jej francuski kok. Przyciągnął ją do siebie i powoli cofnął się do ściany w kącie sali, żeby nie być widocznym od strony drzwi i okna. Kat Bryant chciała go powstrzymać, ale nie zdążyła.

Drugą ręką wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni marynarki. Nacisnął guzik z boku obudowy, odchylił górną część i ukazała się niewielka lufa. Przyłożył pistolet do krtani Lisy, kierując go do góry, w stronę czaszki.

- Nie ruszaj się - szepnął jej do ucha.

Pistolety ukryte w obudowach telefonów komórkowych stały się przekleństwem agentów ochrony. Urządzenie, które Mapplethorpe dał McBride'owi, było prawdziwym dziełem sztuki. Mógł nawet z niego zadzwonić. Swobodnie przeszedł przez bramkę wykrywacza metalu i przeszukanie skanerem ręcznym. Żałował tylko, że naboje były kalibru 22.

- Mam pięć kul! - krzyknął do zaskoczonych ludzi w pokoju. - Najpierw zabiję lekarza, a potem dziecko.

Strażnik wycelował w niego, ale McBride schował się za Lisą.

- Rzuć broń! - wrzasnął do strażnika. Strażnik stał bez ruchu z uniesionym pistoletem.

- Nikt nie musi umierać! - powiedział McBride. Kiwnął głową do góry. - My tylko chcemy dziewczynkę. Rzuć pistolet!

Kat podniosła się i wyprostowała po swojej nieudanej próbie zapobieżenia jego atakowi. Zaczęła się intensywnie przyglądać McBride'owi, wręcz przeszywała go wzrokiem. Mimo to skinęła na strażnika, by opuścił broń.

- Rzuć go na ziemię i kopnij do mnie! - rozkazał McBride. Po kolejnym skinieniu głową przez Kat strażnik wykonał jego polecenie.

Misja McBride'a była prosta: przejąć dziecko, dopóki Mapplethorpe nie dotrze tu ze swoimi ludźmi.

- Teraz zaczekamy! Więc żadnych nagłych ruchów, nie chcemy tu bohaterów!

Gdy podziemnym bunkrem wstrząsnęła eksplozja, Painter instynktownie odwrócił się do monitorów po lewej stronie. Wielki ekran pokazywał obraz na żywo z pokoju Saszy.

Painter poderwał się na nogi. Serce zaczęło mu walić jak młot, źrenice zwężyły się z wściekłości. Pogłośnił dźwięk z pomieszczenia, na ślepo uderzając w klawiaturę komputera.

Żadnych nagłych ruchów, nie chcemy tu bohaterów!

Sean zerwał się z drugiej strony biurka. Usłyszeli strzały. Painter przywołał obraz z kamery w holu głównym Sigmy i wyświetlił go na monitorze za biurkiem. Oderwał oczy od Lisy i popatrzył w drugi monitor. Dym wypełniał korytarz wejściowy. Postacie w hełmach, w kamizelkach z kevlaru i w kominiarkach na twarzach biegingo nisko pochylone z karabinkami gotowymi do strzału.

- Ten gnojek się na to odważył - rzucił Sean. Wiadomo, kogo miał na myśli. Tylko Mapplethorpe był do tego zdolny.

- Chcą przejąć dziewczynkę - warknął Sean.

Z najwyższego poziomu Sigmy usłyszeli głos wzmocniony przez megafon: **WSZYSCY NA PODŁOGĘ! JAKIKOLWIEK OPÓR BĘDZIE NATYCHMIAST ELIMINOWANY!**

Sean podszedł do Paintera.

- Nie wierzę, że to jest legalne działanie. Najpierw nakazano by nam opuścić budynek. Ten gnojek zmienił się w łajdaka.

Sean odwrócił się w stronę Paintera.

- Wiesz, co musisz zrobić.

Painter skierował swoją uwagę na Lisę. Widział, że przytknięto jej pistolet do szyi, do delikatnego miejsca, które codziennie rano całował. Powoli skinął głową. Sigma była przygotowana na atak wrogich sił. Ale najpierw musiał usunąć swoich ludzi. To była wojna pomiędzy nim a Mapplethorpe'em. Podniósł słuchawkę telefonu.

- Brant?

- Tak?

- Włącz alarm Protokołu Alfa.

- Tak jest.

W głośnikach zabrzmiał nowy dźwięk alarmu nakazujący całemu personelowi opuszczenie pomieszczeń pracy przez najbliższe wyjście ewakuacyjne. Mapplethorpe chciał uzyskać czyste przejście do dziecka. By chronić swoich ludzi, Painter postanowił mu to umożliwić.

Sean ruszył do drzwi.

- Jadę na górę. Będę negocjował, ale jeśli mi się nie uda...

- Zrozumiałem. - Painter odwrócił się, otworzył szufladę i wyciągnął z niej sigsauera P220. - Weź to.

Sean pokręcił głową.

- Broń na nic się tu nie przyda.

Gdy jego przyjaciel wyszedł, Painter złapał pistolet i spojrzał na monitor komputera. Miał jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Podszedł do klawiatury i wpisał kod awaryjny na wypadek ataku, po czym przytknął kciuk do czytnika linii papilarnych.

Na monitorze pojawił się czerwony prostokąt umieszczony na niebieskawym schemacie systemu wentylacyjnego bunkra. Odliczanie było nastawione na piętnaście minut. Painter podwoił czas i zsynchronizował go ze swoim zegarkiem, by system aktywował się dokładnie o 01.00. Spojrzał na drzwi i znowu na monitor. Tyle było jeszcze do zrobienia w tak krótkim czasie. No cóz...

Stukając pospiesznie w klawiaturę, wpisał ostateczny kod aktywacji. Licznik zaczął odliczać czas. Z pistoletem w ręce pobiegł do drzwi.

07.05

Południowy Ural

Gdy pierwsze promienie słońca zaczęły pojawiać się za otaczającymi górami, Monk wepchnął łódź głęboko w trzciny. Dziób oparł się o błotnisty brzeg. Wreszcie trafili na stały ląd, choć nadal grząski.

- Zostańcie tutaj - nakazał dzieciom.

Wbijając żerdź w ziemię, próbował grunt. Zadowolony z wyników wyszedł z łodzi i pomógł Piotrowi i Kisce przedostać się na wystającą kępę traw. Konstantin dał sobie radę sam. Raźnie wyskoczył z łodzi, ale wylądował twardo. Zmęczenie dawało mu się we znaki i objawiało się podkrążonymi oczami i drżeniem ciała. Marta ostatnia przeskoczyła na kępę.

Monk dał znak ręką, że mogą ruszać. Teren, po którym się poruszali, był podmokły jeszcze przez jakieś pół kilometra, ale twardszy grunt powoli wynurzał się z grzęzawiska. Coraz rzadziej występowały wierzby, ustępowały brzozom i świerkom. Pojawiły się zielone łąki porośnięte goryczką i szarotką.

Gdy dotarli do szczytu wzniesienia, rozpostarł się przed nimi otwarty widok.

Półtora kilometra dalej na stoku góry zobaczyli małą osadę przeciętą na pół srebrzystym strumykiem. Monk przyjrzał się jej dokładnie. Wydawała się opuszczona od dłuższego czasu. Porzucone domy z kamienia i drewna stały na stoku wzdłuż wijącej się szutrowej drogi. Nad strumieniem dostrzegł stary młyn. Drewniane koło młyńskie, które odpadło od budynku, leżało w poprzek strumienia niczym mostek. Wiele innych domów miało zapadnięte dachy i zwalone ściany. Całą osadę porastały wysokie chwasty, jałowce i jodły.

- To stare miasteczko górnicze - wyjaśnił Konstantin. Chłopiec rozpostarł mapę, by sprawdzić ich pozycję. - Nikt tu nie mieszka. Tu nie jest bezpiecznie.

- Jak daleko mamy jeszcze do tej sztolni? - zapytał Monk. Chłopiec zmierzył odległość na mapie kciukiem.

- Niecały kilometr za tym miasteczkiem. Nie tak daleko - odpowiedział, wskazując ręką kierunek.

Konstantin przeniósł wzrok na prawo i spoważniał. Nie musiał nic mówić. W połowie ukryta za grzbietem góry aż po horyzont rozciągała się zielono-czarna tafla wody.

Jeziro Karaczaj.

Monk wyciągnął swój dozymetr. Taśma wskaźnika nadal miała czerwony kolor. Jednak żeby dostać się do miasteczka, będą musieli kierować się w stronę jeziora, czyli zagłębiać się w skażony teren.

- Jak mocno skażone jest to miasteczko? - zapytał Monk.

- Nie powinniśmy zatrzymywać się w nim na piknik - odparł Konstantin, składając mapę.

Monk popatrzył na chłopca, doceniając jego poczucie humoru, choć nikomu nie było do śmiechu. Mimo to, gdy ruszyli w drogę, objął go ramieniem i uściskał serdecznie, co Konstantin skwitował szerokim uśmiechem. Rzadko mu się to zdarzało. Piotr i Kiska szli za nimi. Z tyłu kroczyła Marta.

Udało im się dotrzeć aż tutaj. Odwrót nie wchodził w grę.

Niecały kilometr dalej Borsakow obserwował, jak jego cele znikają za krawędzią wzniesienia. Cicho przeklinając mężczyznę, który prowadził dzieci, uklęknął przy porzuconej na brzegu łodzi płaskodennej i zsunął karabinek z ramienia. Zanim ruszył w dalszą drogę, postanowił wyczyścić broń. Po długim brodzeniu w wodzie i przedzieraniu się przez bagno karabinek był zabłocony i mokry. Rozebrał go na części i skrupulatnie obejrzał każdy element: lufę, zamek, magazynek. Dokładnie wypłukał i wysuszył wszystkie elementy. Zadowolony z efektu złożył karabinek. Ta rutynowa czynność uspokoiła jego nerwy i przywróciła chęć do działania.

Wstał i przewiesił broń przez ramię.

Krótkofalówka przepadła w wodzie i Borsakow był zdany tylko na siebie. Tylko on ocalał z wypadku ślizgacza bagiennej. Wiatrak poszarpał ramię pilota, inny żołnierz skrzył kark, gdy łódź się wywracała; ostatni pływał utopiony twarzą do dołu.

Został tylko Borsakow, choć i on był ciężko ranny. Koszulą zdartą z martwego żołnierza zatamował krew i przewiązał ranę uda sięgającą aż do kości. Nie obędzie się bez specjalistycznej pomocy medycznej - pomyślał. - Oby nie trzeba było amputować nogi.

Ale najpierw miał do wykonania pracę. Porzucenie obowiązku nie wchodziło w rachubę.

Kulejąc, Borsakow wyruszył za uciekinierami.

7 września, 08.11
Prypeć, Ukraina

- Obudź się!

Gray usłyszał słowa, ale jego mózg potrzebował jeszcze chwili, żeby je rozszyfrować.

Luka pochylał się nad nim i potrząsał go za ramię.

Kaszląc, Gray odepchnął go i oparł się na łokciu. Rozejrzył się po pomieszczeniu. Znajdowali się w cementowej celi z obłazącą farbą i zardzewiałymi czerwonymi drzwiami. Światło dochodziło z pojedynczego okratowanego okna wysoko usytuowanego na jednej ze ścian. Pod oknem, na zapleśniałym cienkim materacu, siedział Kowalski z głową spuszczoną między kolanami, jęcząc z mdłości.

Komandor wziął głęboki oddech, zmuszając się do odzyskania kontroli nad sobą. Przypomniawszy sobie ostatnie wydarzenia. Pamiętał wspinaczkę w górę kanionu pod lufami karabinów, lot helikopterem i samolot transportowy na zalanym deszczem pasie startowym. Na szyi wyczuł palcami opuchliznę. Na pokładzie samolotu wstrzyknięto im jakieś narkotyki.

Nie miał pojęcia, dokąd ich zabrano.

- Elizabeth... Rosauro... gdzie one są? - zapytał zachrypniętym głosem.

Luka pokręcił głową. Opierając się o ścianę, osunął się i usiadł.

- Nie mam pojęcia. Może w sąsiedniej celi.

- A gdzie my jesteśmy?

Luka wzruszył ramionami. Kowalski jęknął.

Gray wstał, poczekał chwilę, aż świat przestanie mu się kołysać, i podszedł do okna. Było jednak za wysoko, żeby sam do niego sięgnął.

Kowalski podniósł głowę i domyślił się, o co chodzi komandorowi.

- Pierce, pan chyba żartuje.

- Wstawaj! - rozkazał Gray. - Pomóż mi. Ochroniarz uniósł się, trzymając za brzuch. Splótł palce.

- Co pan myśli? Że jestem drabiną?

- Drabiny nie narzekają.

Komandor postawił nogę na splecionych dłoniach i po chwili dosięgnął parapetu. Podciągnął się do okna. Spojrzał na dziwny krajobraz. Na zewnątrz rozciągało się miasto w połowie zarośnięte lasem. Było zniszczone, jak po ostrzale artyleryjskim. Dachy pokrywał mech lub były zawalone, okna miały powybijane szyby, chwasty i krzaki wyrastały ze szczelin w asfalcie. Po drugiej stronie ulicy wyblakły plakat z diabelskim kołem i paradą reklamował festyn. Na pierwszym planie radosna, puciołowata rodzinka właśnie zmierzała na zabawę.

Ponad dachami bloków, na tle szarego nieba, Gray dostrzegł to samo koło diabelskie, które reklamował plakat. Samotny relikwiarz dawnej chwały. Nagle poczuł, że jego ciało robi się ciężkie jak ołów. Już wiedział, gdzie są.

Opuszczone wesołe miasteczko stało się symbolem tego miasta.

- Czarnobyl - wymamrotał i zeskoczył na podłogę. Ale po co przywieźli ich aż tutaj?

Gray przypomniał sobie raport z sekcji zwłok profesora Polka. Sygnatura promieniowania wskazywała, że profesor dostał śmiertelną dawkę właśnie tutaj. Choć późniejsze testy przeprowadzone przez Malcolma Jenningsa nie do końca potwierdziły tę tezę.

O co w tym wszystkim chodzi?

Przez następne dziesięć minut Gray badał cełę, centymetr po centymetrze; sprawdził też drzwi. Choć zardzewiałe, nadały były solidne. Za drzwiami zaszurały buty i ktoś zakasłał. Najprawdopodobniej strażnik. Musiał usłyszeć, jak rozmawiali, i pewnie dał znać swoim przełożonym przez krótkofalówkę, bo zaraz po tym rozległ się stukot wielu butów o podłogę.

Na dźwięk otwieranych drzwi Gray cofnął się w głąb celi. Wkroczyli żołnierze w szaro-czarnych mundurach i wycelowali w nich pistolety. Za nimi wszedł wysoki mężczyzna. Wcale nie przypominał ojca rodziny z wyblakłego plakatu za oknem. Kwadratowa twarz z przyciętą krótką bródką podkreślającą silny podbródek. Na sobie miał granatowy garnitur i czerwony jedwabny krawat; garnitur był doskonale skrojony i podkreślał sylwetkę.

- Ładne buty - zauważył Kowalski.

Mężczyzna spojrzał na swoje wypastowane Oksfordy i zmarszczył czoło na nieoczekiwany komentarz dotyczący jego stroju.

- Naprawdę - uzupełnił wypowiedź Kowalski z nutą usprawiedliwienia.

Przybysz podniósł wzrok na Graya.

- Dobroje utro, komandorze Pierce. Proszę za mną, bo mamy do omówienia

pewną sprawę, a nie za wiele czasu.

Gray nie ruszył się z miejsca.

- Najpierw muszę się dowiedzieć, gdzie są dwie kobiety.

- Chodzi panu o Elizabeth Polk i doktor Shay Rosauro. - Przybysz machnął uspokajająco ręką. - Zapewniam pana, że czują się doskonale. Muszę nawet przyznać, że ich miejsce pobytu jest nieco bardziej wyrafinowane. Nie mieliśmy zbyt dużo czasu, żeby przygotować się na państwa przyjęcie. A teraz proszę za mną.

Sześciu żołnierzy z wycelowanymi pistoletami umniejszyło trochę uprzejmość tego zaproszenia. Gray przyglądał się wnętrzom, które mijali. Po obu stronach korytarza ciągnęły się cele. To musiało być kiedyś więzienie. Przez otwarte drzwi cel zobaczył kałuże wody, przewrócone zardzewiałe łóżka i ludzkie odchody w kątach. Ich cela w porównaniu z tym, co zobaczył, była isticie komfortowa.

Korytarz kończył się przeszklonym pawilonem strażników, którego okna wychodziły na zachwaszczony spaceriak. Daleko na horyzoncie Gray dostrzegł wysoką wieżę wentylacyjną elektrowni atomowej w Czarnobylu. Tuż obok zatrzeszczało krzesło.

Gray się odwrócił. Przy stole siedział wyprostowany Masterson znowu ubrany na biało, wyglądał na wypoczętego i zadowolonego z siebie. Gray musiał się powstrzymać przed rzuceniem się przez stół i skruceniem gnojki karku. Ale potrzebne mu były odpowiedzi na pewne pytania, a współpraca wydawała się w tym momencie najlepszym sposobem ich uzyskania.

Graya zmuszono, żeby usiadł po drugiej stronie stołu. W tył jego głowy skierowano lufę pistoletu.

Była tu jeszcze jedna osoba - kobieta o czarnych włosach i ciemnej cerze. Jej twarz wyrażała stoicyzm i pełne opanowanie. Miała na sobie czarną garsonkę pasującą stylem do garnituru faceta, który przyprowadził tutaj Graya i jego towarzyszy. Nieznajomy mężczyzna podszedł do stołu i usiadł, jakby zupełnie nie zauważając Mastersona.

- Nazywam się Nikołaj Sołokow. Może pan o mnie słyisał. Gray nic nie odpowiedział, co sprawiło, że usta pytającego wygięły się w oznace niezadowolenia.

- Nie? Ale to się wkrótce zmieni. - Kiwnął na szczupłą kobietę, która poruszając się ze sztywną elegancją, podeszła do Graya. Ukłękła koło jego krzesła, przekręciła głowę i sięgnęła po jego dłoń. Zanim go dotknęła, podniosła pytająco brew.

Pierce wzruszył ramionami. Delikatnie podniosła jego dłoń i przyłożyła wewnętrzną stronę swojej dłoni pod jego. Opuszki jej palców dotykały jego nadgarstka. Jej oczy wpatrywały się głęboko w jego źrenice.

- Porozmawialiśmy już z Elizabeth Polk - wyznał Nikołaj. - Córka profesora Polka poinformowała nas o waszym odkryciu w Indiach. To naprawdę zadziwiające. Sama ta wiadomość warta była przywiezienia was tutaj. To fascynujące dowiedzieć się, że nasza spuścizna sięga starożytnej Grecji, do słynnej wyroczni delfickiej.

- Wasza spuścizna? - spytał zdziwiony Gray. Wskazał ręką na Elenę.

- I Eleny też. Jesteśmy z tego samego drzewa genealogicznego.

Gray przypomniał sobie historię Luki.

- Z zaginionych Cyganów.

- Tak. Masterson poinformował mnie, że opowiedziano panu tę smutną historię o dzieciach. Mój ojciec był jednym z tych cygańskich dzieci z górskiego obozu. I chyba pan już poznał jeszcze kogoś z naszej rozległej rodziny. Małą Saszę. Dziewczynkę o specyficznych uzdolnieniach.

Gray wiedział, o kim on mówi, ale zachował kamienny wyraz twarzy, udając, że nie ma o tym zielonego pojęcia.

Elena odwróciła się do Nikołaja i powiedziała coś łagodnie po rosyjsku.

Senator skinął głową.

- Zatem jednak poznał pan Saszę. Proszę sobie nie sprawiać kłopotu i nie próbować kłamać. - Skinął na kobietę klęczącą u jego stóp. - Elena ma uzdolnienia sensoryczne związane, powiedzmy, z wyostrzonym postrzeganiem rzeczywistości. Jej dotyk jest bardzo wrażliwy, dokonuje pomiarów ciepłoty pańskiej skóry i tętna. Skupiła się także na pańskich źrenicach i oddechu. Nic nie ujdzie jej uwagi. Jest moim osobistym wykrywaczem kłamstw.

Nikołaj wskazał palcem na swoje ucho. Elena odwróciła się i drugą ręką rozchyliła włosy za uchem. Grayowi ukazała się znajoma krzywizna stali chirurgicznej. Taki sam implant widział u tej małej dziewczynki w Waszyngtonie. Ta kobieta była dorosłą wersją Saszy, tyle że miała trochę inne wrodzone talenty.

- Jest niezwykła - kontynuował Nikołaj z nieukrywaną dumą w głosie, choć można też było wyczuć jakiś mroczniejszy wątek znaczenia jego wypowiedzi.

Gray przyglądał się temu mężczyźnie i zauważył, że czegoś mu brakuje.

- A gdzie jest pana implant?

Nikołaj zmrużył oczy. Gray odczuł satysfakcję, widząc lekkie poirytowanie na jego twarzy, najprawdopodobniej trafił w czuły punkt. Mężczyzna przeczesał palcami włosy nad prawym uchem w geście mającym wyrażać pewność siebie.

- Nie był mi przeznaczony - oświadczył.

Skoro Nikołaj nie miał implantu, to oznaczało to, że urodził się bez istotnych talentów, doszedł do wniosku Gray. Jednak ktoś chciał, by zajął w Rosji znaczącą pozycję. Dlaczego? Jaki był ostateczny cel takiego działania?

- Wracając do Saszy - ciągnął Nikołaj. - Przez to całe zamieszanie w Waszyngtonie nasze źródła wywiadowcze nie zdołały ustalić jej miejsca pobytu. Głównie z tego powodu ściągnęliśmy was tutaj z Indii. I nie ukatrupiliśmy was jak Abhiego Bhanjee.

- Jesteśmy zatroskani o zdrowie Saszy i chcemy, by do nas wróciła. Dlatego musimy się dowiedzieć, gdzie ona się znajduje i kto ją przetrzymuje.

- Nie wiem - odpowiedział, patrząc Nikołajowi prosto w oczy.

Kucająca koło niego Elena pokręciła głową.

- Czy nie chciałby pan spróbować jeszcze raz? Usiłuję uzyskać odpowiedź cywilizowanym sposobem, ale mamy tu jeszcze czworo pańskich przyjaciół.

- Nie mogę powiedzieć z całą pewnością - odparł Gray. - Ostatnio, gdy ją widziałem, była pod opieką naszej organizacji.

Nikołaj spojrział na Elenę, która kiwnęła głową. To była prawda.

- I podejrzewam, że nie pracuje pan dla Johna Mapplethorpe'a, skoro ten zdrajca próbował zamordować pana i Mastersona w hotelu w Agrze.

- Nie. I tak naprawdę to staramy się trzymać dziecko z daleka od niego.

- Bardzo mądrze. Ten mężczyzna nie zasługuje na zaufanie. Więc może faktycznie będziemy mogli rozpocząć jakieś negocjacje. Szczególnie że mamy teraz coś cennego.

- Co chcecie zrobić z tą dziewczynką? - zapytał Gray.

- Ona należy do nas. Do naszej rodziny. Będziemy się o nią troszczyć o wiele lepiej, niż robiłby to ktokolwiek w pańskim kraju.

- Całkiem możliwe. Ale po co chcecie ją z powrotem?

Nikołaj przeszył Graya chytrym spojrzeniem. Komandor wyczuł całą głębię jego przebiegłości i hardą zarozumiałość; zobaczył kogoś, kto szuka uznania i próbuje skompensować sobie brak wrodzonych nadzwyczajnych uzdolnień.

Gray postanowił uderzyć w czułą nutę.

- A może macie jakiś plan, który wybiega ponad eksploatawanie takich dzieci jak Sasza?

Oczy Nikołaja zabłyśły.

- Proszę nie przeceniać naszej inicjatywy. Ani nie robić z nas ludzi mających wrogie zamiary. Przyświecają nam jedynie czysto humanitarne cele; chcemy ulepszyć świat dla wszystkich ludzi. Poświęcenie kilkorga dzieci dla osiągnięcia tego jest nieskończenie małą ofiarą w porównaniu z okrucieństwami tego świata, które są niemal codziennie ignorowane.

Gray zrozumiał, że mężczyzna szuka usprawiedliwienia dla swoich działań.

- Jakie są te wasze cele?

- Zmiana kursu historii ludzkości. Co kilka wieków rodzi się jakaś wielka postać, która raptownie zmienia bieg historii - ktoś, kto kieruje ludzkość na nową ścieżkę rozwoju. Mam tu na myśli wielkich proroków: Budę, Mahometa, Chrystusa. Jest to postać, która myśli inaczej, widzi świat inaczej i której nowe spojrzenie kieruje ludzkość na zupełnie nowe tory. Skąd taka postać pochodzi? Skąd bierze się wyjątkowość takiego umysłu?

Gray przypomniał sobie rozmowę z Mastersonem na temat autyzmu i jego wpływu na historię ludzkości. I ten cytat, którego użył: „Jeśli w jakiś magiczny sposób autyzm został usunięty z powierzchni ziemi, ludzie nadal nawiązywaliby znajomości przy ognisku przed jaskiniami”.

- Po co czekać na łut szczęścia? - zapytał retorycznie Nikołaj. - Jeśli taka niezwykła jednostka zostanie rozpoznana, wyizolowana i wykorzystana dla dobra wszystkich, to proszę sobie wyobrazić wejście ludzkości w nową erę. Zwłaszcza jeśli wyjątkowe umiejętności takiej jednostki można było wzmocnić do niewyobrażalnych poziomów.

Wzrok Nikołaja spoczął na Elenie.

Gray zaczął rozumieć wizję tego zamierzenia. To już nie był zwykły program szpiegowski. Organizacja Nikołaja planowała ująć wodze ludzkiej historii, wykorzystując jednostki z implantami jak konie pociągowe. Gray zaczął się domyślać, dlaczego Nikołaj uzyskał taką pozycję społeczną i taką władzę. Ktoś

stworzył z niego figuranta, wspierał go i popychał do realizacji planu z pomocą „ulepszonych” dzieci, samemu chowając się za kurtyną. Komandor próbował wyobrazić sobie ogrom talentów, którymi ta osoba mogła dyrygować. Nie potrafił ukryć przerażenia i szoku.

- W jaki sposób planuje pan...?

- Wystarczy! - warknął Nikołaj. - Skoro teraz lepiej rozumie pan nasze zamierzenia, może pan także zrozumieć, dlaczego chcemy, żeby Sasza do nas wróciła. Ona jest ważna dla realizacji naszego programu... i szczególnie ważna dla mnie.

Gray wyczytał coś w jego oczach.

- A dlaczego akurat dla pana?

- Dlaczego? - Nikołaj popatrzył twardym wzrokiem na Pierce'a. - Ponieważ jest kimś więcej niż tylko obiektem doświadczalnym. Jest moją córką.

Elena z wrażenia zadrapała nadgarstek Graya. Odwróciła się nagle w stronę Nikołaja. Najprawdopodobniej także dla niej była to szokująca informacja. Nic dziwnego, że Gray i jego towarzysze zostali ściągnięci aż tutaj, do Czarnobyli.

- Zanim dzień dobiegnie końca, przekona się pan, do czego jestem zdolny. - Nikołaj pochylił się i komandor dostrzegł w jego oczach determinację. - I dostanę swoją córkę z powrotem.

08.20

Południowy Ural

Generał-major Sawina Martowa stała w sercu operacji Saturn. Za nią pozostał podziemny pociąg śmierdzący olejem napędowym i smarem. Stał sto metrów od końca torów w Kompleksie Górniczym nr 337 - opuszczonej kopalni uranu, która otaczała sąsiadujące pasma Uralu. KG 337 był właśnie miejscem, gdzie więźniowie z Czelabińska 88 spędzali po osiemnaście godzin dziennie, pracując w ciemności i ulegając napromieniowaniu.

Obecnie kompleks służył za składowisko odpadów, do którego zwożono zużyty sprzęt górniczy i skały wyrobiskowe z operacji Saturn. Przez ostatnie pięć lat niewielka grupa górników i specjalistów od rozbiórek wypełniała stare sztolnie urobkiem z serca operacji.

Operacja Saturn prowadzona była w niedużej, wykopanej przez ludzi jaskini znajdującej się w niewielkim oddaleniu od torów kolejowych. Podziemna sala była nie większa od holu hotelowego. Cała obudowana rusztowaniem z drewnianych belek zaimpregnowanych olejem, mieściła mnóstwo sprzętu górniczego: taśmociągi, podnośniki hydrauliczne, pompy, rury; wszystko to otaczało urządzenie wiertnicze z wiertłem o ostrzach wykonanych z węglika wolframu. Większość tego sprzętu pozostanie tu lub będzie wywieziona następnym pociągiem.

Sawina obserwowała, jak koparka nakłada ładunek skały i tłuczni na wagon do przewożenia rudy. Pociąg zawiezie jeszcze jeden, ostatni już transport

do KG 337.

Wszystko przebiegało zgodnie z ustalonym harmonogramem.

General-major, z rękami opartymi na biodrach, stała w lekkim rozkroku, obserwując przebieg operacji. Była nadal podenerwowana po rozmowie z Nikołajem. Zdawała sobie zawsze sprawę, że jest w gorącej wodzie kapany i podejmuje decyzje mogące mieć poważne konsekwencje. Żałowała, że powiedziała mu o Saszy. Nie sądziła, że zareaguje w tak głupi sposób. Gdzie podziało się jego zwykle beznamienne podejście do takich spraw? Nadal mieli dziesięć obiektów Omega, wystarczająco dużo, by stworzyć nowy ośrodek w Moskwie. Pozostała dziesiątka dzieci była wystarczająco utalentowana, by podać mu cały świat na dłoni, by wprowadzić ludzkość w erę nowego renesansu pod przewodnictwem odrodzonego Imperium Rosyjskiego. A przyszły car nie będzie miał jednego Rasputina do doradzania, ale dziesięciu. Dziesięciu wyjątkowo utalentowanych sawantów, którzy wspólnie, dzięki wzmocnieniu ich wrodzonych umiejętności, będą mogli naginać czas i przestrzeń, by mu służyć.

Czy on nie zdawał sobie z tego sprawy?

Czym było jedno dziecko wobec tak wspaniałej wizji?

Może dwoje dzieci, jeśli doliczyć syna Nikołaja - Piotra. Ale talent tego chłopca, choć silny, nie miał wielkiej wartości. No bo do czego można wykorzystać empatię, jeśli chce się tworzyć nowy świat? To raczej tylko stanowiłoby utrudnienie. Stracą jedynie jego potencjał genetyczny. Znacząca strata, ale do odrobienia. No i nadal istniała nadzieja, że odzyskają chłopca. Ostatni raz dostała meldunek od porucznika Borsakowa, gdy wyruszał na bagna Asanowa. Trudno będzie mu cokolwiek znaleźć w nocy, ale już zrobiło się jasno i spodziewała się wyników w każdej chwili. Tak przynajmniej powiedziała Nikołajowi.

W ostatecznym rozrachunku i tak nie miało to żadnego znaczenia. Nikołaj też to w końcu zrozumie.

Zbliżył się do niej inżynier w białym fartuchu, kasku na głowie i z maską tlenową na twarzy - były pracownik Państwowego Instytutu Górnicztwa w Sankt Petersburgu.

- Jesteśmy gotowi do przetestowania pokładu i przesłony. Skinęła głową. Po dzisiejszym rozruchu próbnym zostanie przeprowadzona ewakuacja obiektu. Przez ostatnie dwa dni musiała popędzać załogę, by sprostać skróconym terminom. Operacja Nikołaja była zaplanowana na dzisiaj, a operacja Sawiny za tydzień. Ale po ostatniej zdradzie Mapplethorpe'a zmieniła decyzję i obydwie operacje rozpoczną się tego samego dnia. Jej ruszy, gdy powiedzie się przedsięwzięcie Nikołaja.

- Jakież problemy? - zapytała inżyniera.

Jego głos był tłumiony przez maskę.

- Przeprowadziliśmy pełną diagnostykę, powtórnie sprawdziliśmy stężenie azotanu amonu w oleju napędowym. Zrobiliśmy ostateczny skan przeciążenia georadarem i usunęliśmy usterki z układów elektrycznych. Czekamy na rozkaz opuszczenia obiektu i otwarcia przesłony. Jesteśmy w pełni gotowi do ostatecznej próby.

- Bardzo dobrze.

Sawina poszła za inżynierem pod łuk rusztowania. Wiertło zamontowane na pojeździe zostało już odsunięte na bok. W ciasnej przestrzeni pracowali jeszcze robotnicy, wokół konstrukcji i wśród rozmaitego sprzętu. Sawina spojrzała na górną część ściany groty. Szeroki na dwa metry szyb wzbijał się pod ostrym kątem w górę, z boku ciągnął się unieruchomiony taśmociąg, z węży kapąca woda. Prawie pół kilometra dalej koniec szybu jaśniał światłem. Mikroskopijne cienie ludzi uwijały się w blasku jak ćmy w świetle. To zespół wierzący przeprowadzał ostatnią inspekcję.

Sawina doceniała ich dokładność.

Ponad pięćdziesiąt otworów - grubych na kciuk i głębokich na metr - zostało wywierconych na końcu szybu i wypełnionych materiałem wybuchowym na bazie azotanu amonu. Otwory przechodziły przez uskok, który znajdował się pod jeziorem Karaczaj. Ładunki zostały okablowane w taki sposób, by wybuchały w sekwencji i spowodowały powstanie dziury w dnie skażonego jeziora, przez którą wleje się wprost do szybu szlam zatruty radioaktywnym strontem i cezem.

- Tutaj, pani generał. - Inżynier pomachał do niej ręką, by zeszła ze środka groty.

W podłożu osadzony był okrągły właz o średnicy trzech metrów. Dostała go ze stoczni marynarki wojennej w Murmańsku. Była to najnowszej generacji pokrywa silosu wyrzutni raketowej zbudowana z sześciu stalowych płyt stali grubości pół metra każdy; płyty składały się jak przesłona w aparacie fotograficznym.

Zeszła z niej i podeszła do stolika, na którym stał laptop z uruchomionym oprogramowaniem diagnostycznym. Inżynier otworzył na ekranie stronę ze schematami konstrukcyjnymi. Jego koledzy też się temu przypatrywali.

Główny inżynier powiedział coś do krótkofalówki, potem słuchał, a na końcu skinął głową Sawinie.

- Jesteśmy gotowi w pokoju dyspozytorni. Dziesięć minut do odpalenia.

Sawina skrzyżowała ręce na piersiach. Dyspozytornia była w Czelabińsku 88 i mieściła się w jednym z opuszczonych bloków mieszkalnych z czasów Związku Radzieckiego. Tam jeden pokój wypełniono komputerami i monitorami. Po ewakuacji groty trzydzieści kamer będzie przekazywało stąd obraz do dyspozytorni.

Inżynier odliczał sekundy:

- Trzy... dwa... jeden... zero.

Z pokrywy silosu dał się słyszeć dźwięk załączanych obwodów elektrycznych i stalowe płyty zaczęły się rozchyłać. Gdy rozszerzyły się bardziej, Sawina usłyszała dalekie echo pomruku wody. Podeszła do przesłony i spojrzała poza jej krawędź. W litej skale wywiercono dwustumetrowy szyb.

Inżynier poświecił mocną latarką w dół szybu. Sawina dostrzegła srebrzysty ruch. Podziemna rzeka. Tutaj było wiele takich cieków wodnych osuszających Ural. Olbrzymie masy wody spływały tędy z wysoko położonych terenów. Po drugiej stronie łańcucha górskiego wody spływały do Morza Kaspijskiego, ale po

tej stronie warstwy wodonośne tworzyły podziemne rzeki, które później zasilały rzeki powierzchniowe takie jak Tecza, Ob i inne toczące wody aż do Morza Arktycznego.

Sawina odwróciła się i spojrzała w górę szybu prowadzącego ukosem przez uskoki aż do dna jeziora Karaczaj. Wody tego jeziora zawierały ponad sto razy więcej strontu i cezu, niż uwolniło się go podczas tragedii w Czarnobylu. A czarnobylska toksyczna chmura otoczyła całą kulę ziemską. Popatrzyła znowu w dół szybu prowadzącego do warstwy wodonośnej.

To było poważne zagrożenie. Geolodzy doskonale sobie zdawali sprawę z uskoków w warstwach tektonicznych pod jeziorem Karaczaj. Uważano, że tylko kwestią czasu było wystąpienie jakichś ruchów geologicznych, które udrożniłyby jeden z uskoków, prowadząc do skażenia warstw wodonośnych zlewiska Uralu. Badania i obliczenia wykonane przez geofizyków norweskich szacowały, że taka katastrofa dosłownie wysterylizowałaby sporą część basenu Morza Arktycznego, jednego z ostatnich naturalnych światowych obszarów dzikiej przyrody. Następnie skażone wody przedostałyby się do wód połowy planety, największe straty wywołując w północnej Europie. Zachowawcze obliczenia wskazywały, że liczba ofiar promieniowania pierwotnego i choroby popromiennej powodującej nowotwory sięgnęłaby stu milionów. A ta liczba mogłaby wzrosnąć dwu- lub trzykrotnie w wyniku zrujnowania gospodarek i środowiska.

Sawina przeniosła wzrok z ukośnego szybu w górze do podziemnej rzeki poniżej. Taka katastrofa stanowiła stałe zagrożenie, ale mało kto zdawał sobie z tego sprawę. W tym wypadku natura potrzebowała jedynie małego wsparcia.

I cały świat zapłonnie.

Jej oddech pogłębił się na myśl o skali wydarzeń, które miały nastąpić. Z radiologicznej pożogi powstanie nowe Imperium Rosyjskie, niczym feniks z popiołów własnej atomowej przeszłości.

Nie pozwoli, by cokolwiek ją powstrzymało.

Całe swoje życie spędziła w Warren i poświęciła się bez reszty służbie ojczyźnie. Po tylu latach i krwi przelanej w obronie kraju co zostało z Rosji? W ciągu ostatniej dekady Sawina obserwowała, jak jej ojczyzna staje się skorumpowanym, żalonym cieniem dawnej wielkości. I teraz, pod koniec swojego życia, ona da Rosji nadzieję. To będzie jej spuścizna, przekazana ludowi przez jej jedyne syna.

Wypali korupcję i stworzy nowy świat.

- Pani generał? Czy coś jeszcze?

- Wystarczy - powiedziała, panując nad głosem i kręcąc głową.

Inżynier podszedł do stalowego lewara obok stołu, wyglądającego jak ogromna dźwignia hamulca ręcznego samochodu.

Ściągnął zabezpieczenie, chwycił dźwignię i przerzucił na drugą stronę w przeciwnym położeniu. Przepona zasunęła się i szyb został szczelnie zamknięty. Pozostało jeszcze sporo do zrobienia. Górnicy, którzy przystanęli, by zobaczyć otwarte drzwi silosu, powracali do swoich zajęć, przechodząc po zamkniętej przesłonie, jak robili to przez ostatnie dwa lata od wykucia pierwszego szybu.

Operacja Saturn była gotowa do rozpoczęcia.

Sawina odwróciła się i ruszyła w stronę czekającego pociągu. Musiała jeszcze dopilnować ostatecznych przygotowań w Czelabińsku 88. Spojrzała na zegarek. Nikołaj powinien w ciągu najbliższej godziny wybierać się na ceremonię w Czarnobyli. Pomimo jego ostatnich nieprzemyślanych działań wszystko inne miał nadal pod pełną kontrolą. Z nim czy bez niego wszystkie systemy były w pełni gotowe i zadziałają po uruchomieniu. Nie mogło się już nic wydarzyć, co powstrzymałoby realizację planu.

Po wejściu do wagonu i zatrzaśnięciu drzwi Sawina jeszcze raz spojrzała na serce operacji Saturn. Próbowała sobie wyobrazić śmierć milionów ludzi, ale to była dla niej jakaś abstrakcja, zwykła liczba pojawiająca się w zimnej statystyce, zbyt wielka, by ją objąć wyobraźnią. Gdy pociąg ruszył do Czelabińska 88, pomyślała o najbliższej przyszłości. Nauczyciele i naukowcy w Warren też przygotowują się do ewakuacji. Pamięci komputerów są czyszczone, wszelkie dokumenty palone. Dzieci są także przygotowywane do drogi - ale nie do ewakuacji. One odbędą ostatnią przejażdżkę pociągiem same.

Wszystkie, oprócz dziesiątki, która z nią pozostanie.

Z pamięci wywołała twarze dzieci. Sześćdziesiąt cztery, łącznie z niemowlętami. To była liczba zbyt mała, by pojmować ją zupełnie abstrakcyjnie. Większość dzieci znała po imieniu. Gdy pociąg toczył się w ciemności do Warren, Sawina oparła się ręką o ścianę. Drżały jej kolana, przez całe ciało przeszła fala emocji. Nie próbowała jej zwalczyć. Zaciśnęła jej gardło. Kilka gorących łez spłynęło po policzkach. W tej chwili prywatności pozwoliła uczuciom wziąć górę. Zrozumiała, że jest częścią ludzkości, pozwoliła sobie na moment żalu. Ale tylko na ten jeden moment.

Do czasu gdy pociąg zaczął zwalniać, zdążyła wytrzeć twarz i znów wyglądała statecznie. Wzięła kilka głębokich oddechów. Nie było odwrotu.

Konieczność to okrutna pani.

A ona musi być równie okrutna.

09.32

Prypeć, Ukraina

Nikołaj wsiadł z Eleną do limuzyny. Kolumny samochodów wyruszały sprzed hotelu Polissia. Politycy i oficjele byli odwożeni lub też korzystali z własnych samochodów. Od północy ekipy telewizyjne z całego świata ustawiały swoje kamery, a na ulicach roilo się od vanów z wielkimi spodkami anten satelitarnych na dachach. Od świtu ściągali dygnitarze, by udzielać wywiadów, zwiedzić miasto i przez moment znaleźć się w świetle fleszy.

Przez kilka kolejnych godzin oczy całego świata będą zwrócone na proces zapieczętowania Czarnobyli, ostateczny akt mający symbolicznie kończyć erę wyścigu atomowego i rozpocząć spotkanie na szczycie poświęcone polityce nuklearnej świata.

Ale w tej chwili Nikołaj myślał o czymś zupełnie innym. Gdy tylko zatrzasnęły się drzwi limuzyny, miał wreszcie chwilę na prywatną rozmowę z Elena.

- Przepraszam cię. Powinienem być ci powiedzieć o Saszy i Piotrze.

Wściekła Elena lekko pokręciła głową. Nie powiedziała do niego ani słowa od momentu zakończenia przesłuchania Amerykanów. Nawet teraz wyglądała przez okno limuzyny. Sasza i Piotr zawsze zajmowali specjalne miejsce w jej sercu. To było coś więcej niż zwykła sympatia. Łączył ich bliski, osobisty związek. To właśnie jej starsza siostra Natasza urodziła te dzieci i sama umarła podczas porodu.

- Znasz regulamin Warren - usiłował tłumaczyć jej Nikołaj, gdy limuzyna ruszyła. - Dokumentacja urodzeń jest tajna.

Takie były zasady od samego początku w Warren. Więzy rodzinne były na ogół trzymane w tajemnicy. Dzieci znały jedynie swoje rodzeństwo. Bliskie kontakty z innymi dziećmi nie były mile widziane. Kwestie rozrodu regulowali i kontrolowali genetycy.

Jednak Nikołaj nie był zwykłym dzieckiem. Synowi założycielki stworzono całą historię życia, począwszy od Jekaterynburga, gdzie w szpitalu urodziła go matka używająca fałszywego nazwiska Sołokow. Gdyby jego matka użyła nazwiska Romanow, byłoby to zbyt wyzywające. Od samego początku przeznaczono go do specjalnych celów. W związku z tym otrzymał też pewne przywileje.

- Odwiedziłem kiedyś klinikę porodową i zajrzałem do ich archiwów - wyznał. - Byłem ciekaw, czy nie mam jakichś dzieci. I wtedy odkryłem, że Sasza i Piotr są moimi dziećmi. Ale zabroniono mi komukolwiek o tym mówić. - Wysunął rękę w stronę jej kolana, ale jego dłoń zatrzymała się w powietrzu, bał się jej dotknąć. - Tak naprawdę to właśnie dzięki przyjściu na świat tych utalentowanych dzieci matka zgodziła się na nasz związek. Chciała powtórzyć tak doskonałą krzyżówkę genetyczną.

Elena nadal nie odwróciła się do niego. Części osobowości Nikołaja ten jej chłód nawet się podobał. Chciał jej dotknąć, ale nie dostał jeszcze od niej pozwolenia.

- Proszę, miłaja maja, przebacz mi. Elena zignorowała jego przeprosiny.

Westchnął i spojrzął przed siebie - przez przednią szybę dostrzegł budowlę elektrowni Czarnobyl. Wieża wentylacyjna otulona rusztowaniami do konserwacji wzbijała się wysoko w niebo. Wznosiła się z dżungli betonowych budynków. Niemal dotykając jednego z nich, stała krypta z czarnej stali i betonu. Była mokra, jakby się pocila. Tę budowlę nazwano sarkofagiem, bo wyglądała jak czarny grobowiec, a w jej sercu spoczywały ruiny reaktora numer cztery.

Nikołaj widział zdjęcia zrobione wewnątrz budynku elektrowni: rozdarty budynek, spieczony cement i poskręcana stal. W jednym z pomieszczeń był zegar, osmolony i w połowie stopiony, wskazujący godzinę eksplozji. Pod sarkofagiem znajdowało się ponad dwieście ton uranu i plutonu zatopionych w ruinach, większość z minerałów wyglądała teraz jak zastygła lava powstała z połączenia stopionego paliwa jądrowego, betonu i dwóch tysięcy ton materiału

opałowego. Części rdzenia, który eksplodował, można było znaleźć wszędzie, nawet powbijane w zewnętrzne ściany. Woda deszczowa wmywała pył radioaktywny i na najniższych poziomach zniszczonej budowli tworzyła promieniotwórczą zupę.

Czyż to nie było oczywiste, że należało znaleźć nowe rozwiązanie?

Dalej, po lewej stronie właśnie się ono znajdowało.

Obdarzono je różnymi nazwami: Schron, Łuk Życia, Nowy Sarkofag. Łuk konstrukcji w kształcie hangaru lotniczego wznosił się na trzydzieści siedem kondygnacji. Całość ważyła ponad dwadzieścia tysięcy ton i miała wymiary kwadratu o boku dwustu pięćdziesięciu metrów. Pojemność tej budowli była olbrzymia i inżynierowie obawiali się, że w środku mogą się formować chmury i występować opady. Po wewnętrznej stronie łuku zdalnie sterowane podwieszane dźwigi czekały już na rozebranie po kawałku starego sarkofagu. Operatorzy kontrolowali dźwigi z zewnątrz hangaru.

Nasuwanie Nowego Sarkofagu już rozpoczęto.

Całe jego sklepienie opierało się na nasmarowanych stalowych szynach, dzięki którym powoli było przesuwane za pomocą dwóch potężnych podnośników hydraulicznych. To była największa ruchoma konstrukcja kiedykolwiek wybudowana przez człowieka. Do jedenastej rano schron powinien zostać naciągnięty na stary sarkofag i zapieczętowany poprzez połączenie z sąsiednimi betonowymi konstrukcjami. W ten sposób zamknięty zostanie w Nowym Sarkofagu nie tylko stary grobowiec elektrowni, atomowej, ale także przykra część historii Rosji. To wydarzenie oznajmi początek nowej ery.

Wszystkim notabdom bardzo się podobało, że takie wydarzenie symbolicznie rozpocznie spotkanie szefów państw na międzynarodowej konferencji. Tylko że ten szczyt niestety nigdy nie dojdzie do skutku.

Limuzyna jechała w kierunku trybun ustawionych po południowej stronie starego sarkofagu. Miejsca zapełniały się VIP-ami. Rozpoczęto już przemówienia na scenie stojącej przed trybunami. Najważniejszym z nich miało być wspólne amerykańsko-rosyjskie oświadczenie, celowo zaplanowane do wygłoszenia podczas ostatecznego zabezpieczenia Czarnobyla. Zasunięciu gigantycznego sarkofagu miała towarzyszyć cała seria wydarzeń.

I taki właśnie też był plan Nikołaja.

Na moment dopadł go strach. Podobny trochę do tego, jaki poczuł na podium prasowym, gdy zamachowiec przygotowywał się do oddania śmiertelnego strzału w jego kierunku. Tylko że teraz ryzyko było po tysiącokrotnie większe.

Gdy rozmyślał, odpoczywając, jego dłoń objęły palce Eleny. Wyglądała przez okno, odwrócona, nadal zła. Tym zachowaniem dawała mu do zrozumienia, że to jeszcze nie koniec dąsów. Wbiła paznokcie w jego dłoń, co stanowiło obietnicę późniejszej kary.

Rozparł się na siedzeniu. Paznokcie zagłębiały się bardziej. Uczucie bólu pozwoliło mu się skoncentrować.

Z przodu łuk hangaru zamykał się powoli nad czarnobylską elektrownią.

Wiedział, co nastąpi później.

Na pewno zasługiwał na karę.

10.04

Gray przemierzał celę, gdy usłyszał ciężkie uderzenia w drzwi. Kowalski zerwał się na równe nogi, a Luka wyprostował przy ścianie.

- Co teraz, do cholery? - mruknął Kowalski. Usłyszeli zgrzyt metalowej zasuwki i drzwi się otworzyły.

Jakaś postać przekroczyła przez nogi leżącego strażnika.

- Szybciej! - powiedział mężczyzna i pomachał laską z główką z kości słoniowej. - Musimy stąd uciekać!

Gray patrzył z niedowierzaniem. To był Hayden Masterson.

Gray był tak zaskoczony, że zamarł w bezruchu; nie wiedział, czy wdeptać go w ziemię, czy ucisnąć mu rękę. Masterson widział rozterkę na twarzy Graya.

- Komandorze, ja pracuję dla MI sześć.

- Dla wywiadu brytyjskiego? Profesor skinął głową i westchnął.

- Na wyjaśnienia będziecie musieli trochę poczekać. Musimy iść.

Natychmiast.

Masterson podążył korytarzem, ciągnąc ich za sobą. Gray zatrzymał się na moment, pochylił nad leżącym strażnikiem i zabrał jego broń, rosyjski pistolet Grach, zwany też Rook. Mężczyzna leżał nieprzytomny ze złamanym nosem. Wyglądało na to, że laska profesora nie była tylko na pokaz.

Gray przyspieszył i zrównał się z Mastersonem.

- Jest pan agentem MI sześć? - W jego głosie słychać było niedowierzenie.

- Nie wygląda na Jamesa Bonda, co? - mruknął z tyłu Kowalski.

Profesor szedł, podpierając się laską.

- Tak naprawdę to emerytowanym agentem. - Spojrzał na Graya i wzruszył ramionami. - Jeśli to można nazwać emeryturą.

Gray nadal pozostał czujny, choć nie mógł powiedzieć nic złego na Mastersona, bo przecież uwolnił ich z celi, tymczasem ten kontynuował opowieść:

- Zostałem zwerbowany zaraz po ukończeniu studiów na Oksfordzie i wysłany do Indii podczas radzieckiej okupacji Afganistanu. Przeszedłem na emeryturę dziesięć lat temu, a potem wdepnąłem w to znowu, gdy ktoś zaoferował mi niezłe pieniądze, za śledzenie Archibalda. Szybko ustaliłem, że byli to Rosjanie. Skontaktowałem się z MI sześć i o wszystkim ich poinformowałem. Działaniom przyznano niski priorytet. Nikt nie uważał pracy Archibalda za zagrożenie dla bezpieczeństwa światowego. Prawdę mówiąc, ja też nie. Tak było do jego porwania i zamordowania w Waszyngtonie. Próbowałem trochę podgrzać MI sześć, ale kto teraz słucha starszków? Nie mogłem czekać. Można to nazwać starym instynktem. Czuję, że szykuje się coś wielkiego. Dlatego po śmierci Archibalda musiałem użyć was, by na coś trafić.

- Użyć nas - skomentował Kowalski. - A oni zabili Abego. Masterson się

skrzywił.

- Próbowałem ich powstrzymać, ale wasz przyjaciel za szybko wyciągnął tę swoją świszczącą szablę. - Pokręcił smutno głową. - Może to jednak jest zabawa dla młodszych chłopców.

- Ale chwilę! - Kowalski wręcz potknął się, coś sobie przypominając. - Pan kazał mnie zabić!

- Przecież to było udawane - odparł Gray. Profesor skinął głową.

- Musiałem być przekonujący.

- Cholernie dobrze mnie pan przekonał!

- I bardzo się cieszę, że mi się udało. - Masterson zwrócił się do Graya: - Ten śmierdzący gnojek planuje rozwalić dzisiaj połowę szefów państw z całego świata.

- Co?

Masterson pociągnął ich na klatkę schodową obok dawnego posterunku strażników i ściszył głos.

- Na dole jest więcej ludzi. Mnie też tu przetrzymywali. Jestem takim samym więźniem jak wy. Idę teraz uwolnić Elizabeth i doktor Rosauro. - Machnął ręką w kierunku korytarza za strażnicą. - Gdybym tylko mógł wypożyczyć tego pańskiego bulwiastego kompana, to spróbowałibyśmy dorwać jakiś telefon i rozpocząć ewakuację.

- Proszę wziąć Lukę - zaproponował Gray. Chciał pozbyć się cywili, by ochronić ich przed zagrożeniem. No i dodatkowo obecność Luki przekona Rosauro, że Masterson jest po właściwej stronie.

Luka skinął głową, zgadzając się na takie rozwiązanie.

- Świetnie. Przyda mi się jego pomoc - przyznał profesor. Z kieszeni wyciągnął radiotelefon rosyjskiej armii i wręczył go Grayowi. - Ale na razie...

- Muszę powstrzymać senatora Sołokowa - uciął jego przemowę Gray.

Masterson skinął głową.

- To ma pan niecałą godzinę. Nie wiem, co on planuje, ale to ma coś wspólnego z ceremonią w Czarnobyli.

- Jaką ceremonią?

Masterson wyciągnął kawałek kartki z kieszeni marynarki, rozwinął go i podał Grayowi.

- Umieszczają stary sarkofag w Czarnobyli - powiedział i wskazał głową kartkę papieru - pod wielkim stalowym hangarem.

Gdy Gray przyglądał się rysunkom na kartce, Masterson wymieniał nazwiska dygnitarzy i szefów rządów, którzy wezmą udział w wydarzeniu, streścił poranne ceremonie.

- A jeśli chodzi o konkretne plany Nikołaja, to poznałem tylko nazwę operacji: Uran.

Schodząc po schodach z Kowalskim, Gray miał przed oczami wysoki komin wentylacyjny. Bez względu na to, co ten gnojek planował, musi mieć to jakiś związek z reaktorem. I ta nazwa jego działania — operacja Uran. Dlaczego akurat taka? Podczas szkolenia w rangersach Gray miał zajęcia ze strategii, podczas których dowiedział się, co to była za operacja. Była to nazwa rosyjskiej

ofensywy podczas drugiej wojny światowej, która zakończyła się najbardziej krwawą bitwą w dziejach ludzkości - bitwą pod Stalingradem.

Więc dlaczego taka nazwa?

Coś mu chodziło po głowie i nie dawało spokoju, ale nie mógł sobie przypomnieć. Z przodu zobaczył dwóch strażników pilnujących wejścia do więzienia. Stali plecami do Graya.

Podniósł ukradziony pistolet.

Obawy będą musiały poczekać.

7 września, 10.07

Południowy Ural

W rześki słoneczny poranek Monk szedł przez opuszczone miasteczko, a pod butami chrząścił mu szuter. Chwasty i krzaki sięgały mu do pasa i wydawało się, jakby drogę otaczało zielone morze. Konstantin szedł obok niego, a Piotr i Kiska ciągnęli się z tyłu. Marta przedzierała się z boku przez wysokie zarośla.

- W tych górach jest niewiele węgla - powiedział Konstantin, ziewając przeciągle. - Wydobywa się tutaj głównie rudy metali.

Kokkalis zdawał sobie sprawę z tego, że chłopiec jest wyczerpany, ale i przerażony całą tą sytuacją. Opowiadał różne rzeczy, żeby zwalczyć strach i nie popaść w odrętwienie.

- Kobalt, nikiel, wolfram, wanad, boksyty, platyna...

Monk pozwolił mu gadać cokolwiek, a sam rozglądał się na boki. Domy wyglądały na wybudowane w pośpiechu, wykończone z zewnątrz szalunkiem. Przy frontowych ścianach znajdowały się drewniane podesty dochodzące do drogi. Minęli szkołę składającą się z jednej izby, która nadal miała wszystkie okna. W środku stały rzędem drewniane ławki. W rowie rdzewiały dwie stare radzieckie ciężarówki. Jedyne ceglany budynek miał na froncie napis cyrylicą. Monk nie umiał odcyfrować treści napisu, ale widząc w środku półki, łatwo się domyślił, że był to sklep spożywczo-przemysłowy połączony z pocztą. Obok znajdował się bar, w którym zakurzone butelki nadal stały na półkach.

Całe miasteczko wyglądało, jakby pewnego dnia wszyscy nagle wyszli z domów i nigdy już do nich nie wrócili.

Monk nie musiał się domyślać, dlaczego tak się stało. Spoglądając na osadę ze wzniesienia, widział też rozciągającą się szeroko, połyskującą taflę jeziora Karaczaj z jego bagnistymi brzegami i głębią kryjącą toksyczną tajemnicę. Spojrzał na opaskę dozymetru przyczepioną do pakunku, który niósł. Czerwonawy kolor zmienił się w bordowy. Sprawdzał dozymetr co kilka minut.

Konstantin zauważył jego troskę.

- Nie powinniśmy tu pozostać dłużej niż godzinę. Tu jest bardzo niebezpiecznie. Musimy szybko zejść pod ziemię.

Kokkalis skinął głową i spojrzał w górę. Do kopalni jeszcze prawie dwa kilometry. Dostrzegł zabudowania kryte blachą i szkielet wieży wiertniczej przylegającej do zbocza góry. Na szczycie głównego szybu znajdowały się dwa wielkie koła służące do wyciągania urobku i skał. Szuter kamienny na drodze prawdopodobnie pochodził z tej kopalni.

Monk przyspieszył kroku.

Z przodu pozostał tylko jeden spory budynek, przy ostrym zakręcie, który rozpoczynał szereg serpentyn. Młyn miał dwa piętra i był najwyższym budynkiem w miasteczku. Zbudowano go z bali, a dach pokryto blachą cynkową. Drewniane koło młyńskie oderwało się od konstrukcji i całe pokryte mchem leżało w poprzek strumienia. Pewnie jakaś powódź dawno temu oderwała koło.

Gdy tak szli dalej, Kiska nagle krzyknęła z przerażenia. Monk natychmiast się odwrócił i zobaczył, że Piotr stoi jak wmurowany, a jego wielkie oczy aż świecą z przerażenia. Nie... nie tutaj.

Marta krążyła dookoła chłopca, odczuwając jego potworny niepokój. I tak jak Monk nie wiedziała, gdzie czaiło się niebezpieczeństwo albo z której strony mogło uderzyć, ale obydwójce wiedzieli, że chłopiec je wyczuł.

Kokkalis przypomniał sobie tygrysa, który ich zaatakował, tego ze zniekształconym uchem. Zachary.

Zwierz nie powinien ich wytropić, bo kawał drogi pokonali wodą. Tygrysy są jednak świetnymi pływakami. Może pokonał bagno i zaczął się na nich tutaj. Monk nawet przez chwilę nie wątpił, że Zachary zdołałby to zrobić. Rozejrzał się dookoła, obserwował chwasty i budynki. Tygrys mógł kryć się wszędzie. Już czuł na sobie spojrzenie wielkiego kota, dostał gęsiej skórki. Znajdowali się na

otwartym terenie. Bez żadnej broni. Zgubili jedyny nóż, jaki mieli, gdy Marta zaatakowała Arkadego.

- Wycofujemy się - nakazał, wskazując na budynek z cegły. - Powoli. W stronę sklepu.

Mimo tyłu okien to i tak będzie najlepsze schronienie. Może wśród pólek znajdą coś, co posłuży za broń. Przyciągnął do siebie Piotra. Wycofali się, wydeptując ścieżkę przez chwasty.

Monk oglądał się za siebie, głównie dlatego, że Piotr robił to bez przerwy. Ufał intuicji chłopca. W miejscu gdzie droga skręcała w stronę kopalni, na drugim brzegu strumienia stał młyn. Wiedział, że tygrysy zazwyczaj obierały sobie najwyższy punkt i tam czatowały na zdobycz - wysoki głąz, rozłożystą gałąź, skalną półkę, miejsce, z którego mogłyby skoczyć na ofiarę.

Jakby czując, że został wykryty, majaczący w ciemności pasiasty zwierz zsunął się z gracją z parapetu okna na najwyższym piętrze młyna. Gdyby Monk nie skoncentrował uwagi na młynie, nigdy by nie dostrzegł drapieznika. Tygrys zniknął w wysokiej trawie.

- Biegniemy! - popędził Konstantina i Kiskę i chwycił Piotra na rękę.

Dwójka dzieci pobiegła, napędzana przerażeniem i zastrzykiem adrenaliny. Za nimi podążał Monk i Marta.

Za Monkiem rozległo się ciężkie tąpnięcie, jakby coś masywnego skoczyło na koło młyńskie leżące w strumieniu, odbiło się od niego i popędziło dalej. Od otwartych drzwi sklepu dzieliło ich zaledwie trzydzieści metrów. Modlił się, by sklep miał zamykaną chłodnię albo jakieś miejsce, gdzie mogliby się zabarykadować.

Nagle usłyszał strzał z karabinu, koło jego stóp rozprysnął się szuter.

Skoczył w trawę, przytulając do siebie Piotra i osłaniając go swoim ciałem. Turlał się, dopóki nie skrył się za wrakiem zardzewiałej ciężarówki.

Snajper strzelał z dolnej części ulicy.

To musiał być jeden z tych rosyjskich żołnierzy.

Odwrócił głowę i dostrzegł Konstantina i Kiskę biegnących przez drewniany podest do otwartych drzwi sklepu. Marta pędziła za nimi. Jedno z okien rozprysło się wraz z dźwiękiem wystrzału, ale cała trójka szczęśliwie zdażyła schować się do środka.

Monk pozostał ukryty za ciężarówką. Wiedział, że nie dostanie się do sklepu bez wyjścia na otwartą przestrzeń.

Spojrzał na ulicę.

Ani śladu tygrysa. Nawet jedno źdźbło się nie poruszało. Nie było słyhać chrzęstu szutru pod ciężkimi łapami. Nagły wystrzał musiał przestraszyć Zacharego tak samo jak ich i tygrys zastygł w bezruchu nisko przy ziemi.

Monk znalazł się w kleszczach między tygrysem a snajperem. Ale to nie było jedyne niebezpieczeństwo. Jeszcze coś groziło im wszystkim. Za granicami miasta jasno świeciło jezioro Karaczaj, rozsiewając toksyczne promieniowanie. Nawet stanie tu w bezruchu groziło śmiercią.

12.30

Waszyngton, D.C.

Wył alarm. Jurij stał przy łóżku Saszy i osłaniał ją swoim ciałem przed McBride'em. Dziewczynka kulila się w pościeli, dłońmi zasłaniając uszy. Była nadwrażliwa na dźwięki. Po drugiej stronie do łóżka podeszła Kat Bryant i głaskała ją uspokajająco po głowie. Za nią stanął, niczym ochroniarz, specjalista od medycyny sądowej - Malcolm Jennings.

Jurij był teraz naprzeciwko McBride'a, a ten krył się w rogu, zasłaniając się zakładniczką Lisą Cummings, którą trzymał ręką za włosy. Telefon-pistolet wycelował w jej szyję. Impas.

Mapplethorpe z komandosami pędził już po schodach w dół. Krew Jurija gotowała się na myśl, że ten gnojek położy swoje tłuste łapy na małej Saszy. Nie mógł na to pozwolić.

Sięgnął ręką do stalowego stoliczka z instrumentami medycznymi i spośród różnych ampulek z lekami, które podał Saszy, gdy ratował jej życie, podniósł strzykawkę.

- Jurij! - krzyknął McBride ostrzegawczo.

Rosjanin odpowiedział w swoim ojczystym języku, wiedząc, że McBride go rozumie.

- Nie pozwolę, żebyście dostali Saszę - odparł i wbił igłę strzykawki w rurkę kroplówki.

Gdy popychał tłoczek, zobaczył, jak McBride kieruje lufę pistoletu w jego stronę. Strzykawka zawierała jedynie sól fizjologiczną, neutralną dla organizmu. Jurij obrócił się na pięcie i rzucił na McBride'a. W tym samym momencie Lisa wbiła obcas w śródstopie McBride'a i walnęła go tyłem głowy prosto w twarz.

Pistolet wystrzelił.

Jurij dostał w bark i cofnął się o pół kroku. Prawie nie poczuł bólu. Wpadł na McBride'a, uwalniając Lisę z jego uścisku. Jurij rzucił się do gardła McBride'owi i w okolicy żyły szyjnej wbił drugą strzykawkę, którą wziął wcześniej ze stoliczka. Strzykawka zawierała środki podane wcześniej Saszy. W takim stężeniu farmaceutyki stawały się toksyczną mieszanką chemioterapeutyków, epinefryny i steroidów.

Mocując się z Jurijem, McBride opróżnił cały magazynek w jego brzuch. Stłumione przez ciało strzały brzmiały jak głośnie kłapnięcia i z boku wyglądało to tak, jakby Jurij dostał kilka ciosów pięścią. Zdażył jednak docisnąć tłoczek do końca, wysyłając trującą zawiesinę prosto do serca przeciwnika.

McBride wrzasnął.

Obydwaj zwalili się na ziemię. Jurij zdawał sobie sprawę, że jego przeciwnik czuje ogień rozchodzący się po żyłach, ciśnienie krwi rozsadzające mózg, serce pulsujące w agonii. Czyjeś ręce odciągnęły Jurija od McBride'a i przekręciły go na plecy na podłogę. Rosjanin dostrzegł, że Kat zasłania Saszę własnym ciałem przed strzałami i powstrzymuje ją przed odwróceniem głowy w stronę

walczących.

Z boku McBride wił się w konwulsjach, ślina ciekła mu z ust, zabarwiona krwią, gdy przegryzał sobie język.

Ciało będzie żyło, ale jego mózg już nie. Leki wypała mu mózg, zostawiając totalną pustkę w środku.

Lisa pochyliła się nad Jurijem.

- Pomóżcie mi - szepnął.

Więcej rąk pojawiło się przy nim, naciskając na jego brzuch. Krew tryskała na podłogę. Kat ukłękła przy nim, podtrzymując mu głowę.

- Sasza... - jęknął.

- Będę ją chroniła - odpowiedziała Kat. Pokręcił głową. To już wiedział, nie wątpił w jej serce.

- Więcej... więcej dietiej.

Miał trudności ze skoncentrowaniem myśli i wzroku. Świat pociemniał, a ból zamienił się w chłód. Próbował powiedzieć gdzie.

- Czela... inśk... - Jego ręka opadła na podłogę i napisała dwie cyfry krwią: 88.

Przykryła swoją dłonią jego dłoń.

- Trzymaj się, Jurij.

Tak bardzo chciał, dla Saszy, dla nich wszystkich. Ciemność przesłoniła mu wzrok, głosy dochodziły jak z długiego tunelu. Wydając ostatnie tchnienie, chciał tej kobiecie coś ofiarować. Nadzieje.

Uścisnął dłoń Kat i wykrztusił:

- On żyje...

Zaskoczona Kat siedziała na podłodze z głową Jurija na kolanach. Czy dobrze go usłyszała? Patrzyła w dół na jego otwarte oczy, pozbawione już życia i matowe. Na koniec życia stał się brawurowy, jakby chciał coś odpokutować, nawet zaczął mówić po rosyjsku. Pracując dla Wywiadu Marynarki Wojennej, Kat posługiwała się rosyjskim, więc teraz też zrozumiała jego słowa.

Więcej dietiej.

Więcej dzieci.

Takich jak Sasza.

Patrzyła na dziecko w łóżku, pilnowane teraz przez Malcolma.

Po wypowiedzeniu tych słów Jurij dalej coś mamrotał, próbował pisać, bredził. Ale co to było, co powiedział na samym końcu?

Kat odwróciła się do Lisy.

Jej przyjaciółka klęczała w kałuży krwi.

- Ocalił mi życie - wymamrotała i położyła dłoń na piersiach Rosjanina. Zajęta próbami ratowania go, nie usłyszała, co powiedział na końcu.

Ciało McBride'a przestało konwulsyjnie się rzucać. Jego oczy były otwarte, w coś wpatrzone, ale tak samo bez życia i matowe; jednak jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała.

Kat usiadła, nie mogła wstać; skupiła wzrok na Saszy, na stosie kartek z jej rysunkami.

Ostatnie słowa Jurija zdominowały jej myśli.

On żyje.

Jego palce zacisnęły się na jej dłoni.

To była wiadomość tylko dla niej.

Kat wiedziała, o kim mówi, ale przecież to niemożliwe.

Mimo to jego ostatnie słowa poruszyły coś w jej wnętrzu, podsyciły ogień, który nie do końca wygasł. Zaczęła głośniejsz oddechać. Z każdym oddechem ten wewnętrzny ogień stawał się coraz większy, wypalał zwątpienie, oświetlał mroczne kąty w jej sercu. Część jej duszy nie chciała opuścić mroku, tam było tak bezpiecznie. Ale rozgorzał w niej żar.

Podniosła z podłogi upuszczony przez strażnika pistolet. Wyprostowała się i przemówiła głośno do wszystkich:

- Nie jesteśmy tutaj bezpieczni. Idziemy do wyjścia. Jeśli nam się to nie uda, znajdziemy jakieś miejsce i zabarykadujemy wejście.

Gdy Lisa odłączała dziewczynkę od kroplówek, Kat jeszcze raz rzuciła okiem na książeczkę do kolorowania podarowaną Saszy. Dostrzegła rysunek wykonany zieloną kredką, przedstawiający mężczyznę na łodzi.

Nieprawdopodobne, ale jednak Kat wiedziała już, że prawdziwe.

Monk...

On żyje.

10.20

Południowy Ural

Amerykanin powinien być martwy.

Borsakow zaklął z powodu niecelnego strzału. Leżał płasko w cieniu szopy. Karabin trzymał wyciągnięty przed siebie, policzkiem dotykał kolby.

Nie spodziewał się, że cele tak szybko się ukryją. Powinien zmienić pozycję i od nowa złożyć się do strzału. Podejrzał, że chybił z powodu rozregulowanych przyrządów celowniczych, co najprawdopodobniej było efektem zamoczenia broni w bagnie. Nie miał przecież możliwości wystrzelić z broni po jej oczyszczeniu. Odgłosy strzałów ostrzegłyby jego cele o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Ale i tak trzymał ich wszystkich w szachu.

Dwójka dzieci i szympansica schowały się w budynku z cegły. Amerykanin z chłopcem skryli się za wrakiem ciężarówki. Borsakow wycofał się w trawę. Wystarczyło tylko przedostać się na drugą stronę drogi i znowu będzie miał Amerykanina w polu rażenia.

Tym razem nie spudłuje.

Poruszał się po cichu przy samej ziemi. Przeszedł na drugą stronę i przykucnął przy przewróconej beczce. Wychylił się z bronią gotową do strzału.

Miał stąd doskonały widok na ciężarówkę. Zacisnął pięści z wściekłości i dezorientacji. Za ciężarówką nikogo już nie było. Amerykanin i chłopiec zniknęli.

Piotr skulił się w szoferce. Monk podniósł go i wcisnął do środka przez półotwarte okno, po czym zniknął między dwoma budynkami za ciężarówką. Zanim jednak odszedł, nakazał Piotrowi, by starannie się ukrył. Chłopiec kulił się, trzymając za kolana, wśród liści, które wpadły tu przez uchylone okno.

Gdzieś z kącików jego umysłu, z miejsc, gdzie bał się nawet szukać, napłynęło wspomnienie, że już ukrywał się w podobny sposób - też był skulony, wstrzymywał oddech, bo też na niego polowano. To było w innym życiu. Nie w tym. Wtedy otaczały go kamienie, nie zardzewiała stal.

Przenosząc się pomiędzy wtedy i teraz, poczuł coś jak ukłucia szpilek, zobaczył jakby promienie światła w ciemności. Gwiazdy na niebie. Jeśli wpatrywałby się w nie wystarczająco długo, to rozjaśniłyby się jeszcze bardziej i zaczęły na niego spadać. Nocne niebo zawsze go przerażało, dlatego cofnął się bojaźliwie.

Gdy tak zrobił, poczuł głód. Jednak podobnie jak w poprzednim wspomnieniu to nie on był głodny. Gdzieś niedaleko biło wielkie serce, połykające delikatne uderzenia serca Piotra. Dziwne zapachy przenikały do jego zmysłu powonienia: mokrej trawy, szeptów gorącej krwi w powietrzu, szutru pod stopami. Jakiś ciężki oddech pojawił się w pobliżu, znacznie głębszy niż wydobywający się z jego piersi. Woń polowania przeszła jego ciało.

Po chwili poczuł jeszcze jeden zupełnie nowy zapach. Kolejny łowca między nimi. Jednak ta woń niosła coś więcej niż tylko ostry odór. Niosła wspomnienie cierpienia. Wściekłość wypaliła głód.

Piotr skulił się jeszcze bardziej, a to wielkie serce przysuwało się coraz bliżej, poruszając się na poduszczykach wielkich łap.

Monk biegł z tyłu budynku stojącego przy drodze. Bolały go plecy i klatka piersiowa, otarte i podrapane, ponabijane drzazgami od przeciskania się przez szczelinę między dwoma sklepami obitymi płytą wiórową. Piotra zostawił ukrytego w ciężarówce. Tygrys nie mógł mu tam nic zrobić, choć snajper nadal pozostał groźny. Jego najważniejszym zadaniem było teraz odciągnięcie strzelca od dzieci i sprawienie, by ruszył za nim w pogoń między budynkami miasteczka.

Potem zostanie już tylko walka o przetrwanie i próba przechytrzenia żołnierza.

Monk biegł nisko przy ziemi. Trzymał się blisko zabudowań, unikając stosów wyschniętych liści i szutru wokół budynków. Poruszał się bezgłośnie, dopóki nie dotarł do końca uliczki. Gdy dotarł do rogu ostatniego budynku, znalazł się przy głównej ulicy miasteczka. Czy nie odszedł za daleko?

Powstrzymując oddech, wyrzał za róg i dokładnie zlustrował ulicę. Zobaczył sklep spożywczo-przemysłowy z cegły; zardzewiała ciężarówkę i drogę poprzerastaną chwastami i wysoką trawą. Nic się nie ruszało. Z gór wiał lekki wiatr i poruszał koniuszkami traw.

Nigdzie nie dostrzegł snajpera.

Na pewno jednak gdzieś tu był i czaił się. Monk nie mógł ryzykować, by żołnierz wziął któreś dziecko jako zakładnika. Napiął mięśnie nóg. Zamierzał przedostać się na drugą stronę ulicy do niżej leżącej części miasteczka. Chrzęst

szutru będzie niósł się daleko.

Jednak musiał być przekonujący, by odciągnąć żołnierza.

Wziął głęboki oddech, wyskoczył zza budynku i głośno pobiegł na drugą stronę ulicy.

- Dalej! - krzyknął i machał ręką na wyimaginowane dzieci. - Biegnijcie dalej!

Niech snajper pomyśli, że wszystkie dzieci są z...

Padł strzał.

Ogień przeszył udo Monka. Lewa noga odmówiła posłuszeństwa.

Wyciągnął ręce, by zamortyzować upadek. Ostry żwir podrapał mu dłoń i kikut nadgarstka. Przetoczył się w bok. Rozległ się drugi strzał i kula z gwizdem przeleciała mu tuż nad głową.

Padł płasko na ziemię i obserwował sytuację. Zobaczył, że żołnierz wstaje. Ukrywał się gdzieś w połowie drogi między Monkiem a sklepem z cegły. Z karabinem w ręku posuwał się ukradkiem prosto na swoją ofiarę.

Strzelec przewidział, że przeciwnik spróbuje zająć go od tyłu. Cierpliwie czekał w zasadzce.

Ale żołnierz nie był jedynym myśliwym na tym polowaniu.

Pięćdziesiąt metrów dalej wielka litera V utworzona przez rozchylające się trawy prula przestrzeń jak torpeda wodę, zmierzając prosto na Rosjanina.

Borsakow zachował spokój, ale czuł satysfakcję. Powalił przeciwnika, który jest teraz zupełnie bezbronny. Zakończy tu pościg i Amerykanin zapłaci za śmierć jego towarzyszy na ślizgaczu; sprawi, że winny będzie cierpieć - najpierw dostanie kulę w kolano, a drugą może w bark.

Gdy Borsakow zrobił jeszcze jeden krok, usłyszał za sobą chrzęst szutru, szum traw poruszanych przez wiatr.

Nie, to nie był wiatr.

Zdał sobie sprawę, co to jest.

Odwrócił się na pięcie. Zaczął strzelać - zanim zdążył się do końca odwrócić i przyjąć odpowiednią pozycję. Nacisnął spust, przechodząc na tryb automatyczny i rozsiewając pociski szerokim wachlarzem. Przez serię przebił się ryk wściekłości Zacharego, który wyskoczył z trawy i rzucił się prosto na Borsakowa: z rozłożonymi nogami, wysuniętymi pazurami i odsłoniętymi zakrzywionymi kłami.

Borsakow wciąż strzelał. Krew tryskała z pasiastego futra, ale zdawał sobie sprawę, że nie zdoła powstrzymać potwora.

Miał do czynienia z wściekłością i bólem, zemstą i głodem, chęcią mordy i determinacją.

W momencie największego przerażenia Borsakowowi wyrwał się z gardła pierwotny, potworny wrzask rozpacz. Tygrys przygniótł go do ziemi.

Monk wychylił się i zobaczył, jak tygrys znęca się nad ciałem żołnierza. Przypomniało mu to, jak poprzedniego dnia niedźwiedź rozprawił się z wilkami. Usłyszał ostry chrzęst miażdżonych kości i ludzki wrzask ustał. Tygrys potrząsał ciałem żołnierza jak szmacianą lalką. Trzymał go w uścisku za szyję; krew tryskała fontanną.

Kokkalis zobaczył już wystarczająco dużo i kulejąc, ruszył prosto na tygrysa.

Broń żołnierza poszybowała w powietrze, gdy powalało go trzystukilogramowe cielsko. Karabin wylądował w połowie drogi pomiędzy tygrysem i Monkiem. Bez tej broni nie pokona potwora.

Dobiegł go ostry ryk tygrysa.

Zachary skupił wzrok na Monku, który zdał sobie sprawę, że Zachary go rozpoznał jako mordercę swojego brata. Tygrys przysiadł na zmaltretowanym ciele Rosjanina, napinając mięśnie, ruszając wąsami i jeżąc sierść. Krew płynęła po futrze, zamazując pasy na klatce piersiowej i jednym boku. Wielki kot trzymał się tylko dzięki wściekłości.

Sięgając po broń, Monk padł na kolana i zdrową ręką złapał za kolbę. Jedną ręką było mu trudno ująć właściwie karabin. Zmagał się z paskiem, przesuwając dłonią w poszukiwaniu spustu.

Nigdy nie zdaży.

Zachary szykował się do śmiertelnego skoku...

...gdy nagle drugi tygrysi ryk dobiegł z głębi ulicy. Nie był tak głośny, ale doskonale było w nim słyhać wściekłość i ból umierania. Monk rozpoznał ten ryk, bo słyszał go zaledwie kilka godzin wcześniej.

Przedśmiertny ryk Arkadego, brata Zacharego.

Zachary też go rozpoznał i po wyskoku przekreślił się w powietrzu i wylądował na zgiętych łapach, z wysoko uniesionym ogonem. Syknął, ale nie z wściekłości, lecz ze zdziwienia.

Monk podniósł karabin i wycelował w metalową czapkę przykręconą śrubami do tyłu czaszki zwierzęcia. Mierzył centymetr poniżej.

Tygrysi syk rozglądającego się za bratem Zacharego przemienił się w ryk bólu, żalu i pretensji.

Amerykanin złożył się do strzału i nacisnął spust. Karabin odbił mocno w bark.

Tygrysem wstrząsnęło i padł bez ruchu w trawę.

Monk przysiadł na boku, podpierając się kikutem. Zarzucił karabin na ramię. Wiedział, że dobrze wycelował, dziki kot poniósł śmierć natychmiast, gdy pocisk trafił w podstawę czaszki. Teraz Monk sprawdził własną ranę. Udo miał pokiereszowane, ale na szczęście kula przeszła na wylot. Będzie żył. Odetchnął głęboko kilka razy i zmusił się, by wstać.

Z głębi ulicy nadchodzili Konstantin i Kiska. Zdawał sobie sprawę, że życie zawdzięczał małej Kisce i jej doskonałemu naśladowaniu odgłosów zwierząt. Gdy raz usłyszała jakiś dźwięk, potrafiła wszystko dokładnie powtórzyć. I tym razem odtworzyła ryk Arkadego wzmocniony zrobioną przez Konstantina tubą z kawałka cienkiej blachy, którą teraz odrzucił w zarośla.

Marta wyskoczyła ze sklepu prosto na ciężarówkę.

Wezmą Piotra i ruszą dalej w drogę. Monk spoglądał na kompleks górniczy ponad osadą. Czekala ich dłuższa wspinaczka, ale miał tutaj jeszcze coś do zrobienia. Kulejąc, zbliżył się do Zacharego i położył rękę na zakrwawionym grzbiecie tygrysa, życząc mu zaznania spokoju, jakiego nigdy nie miał w życiu.

- Odejdź, kolego... dołącz do brata.

12.43

Waszyngton, D.C.

Painter biegł pustym korytarzem w stronę schodów. Oprócz alarmu była jeszcze dodatkowo syrena oznaczająca uruchomienie Protokołu Alfa. Ewakuacja obiektu była prawie zakończona. Pracownicy przeszli do sąsiadującego z bunkrem parkingu podziemnego. Painter nie wątpił, że ludzie Mapplethorpe'a pilnują tych wyjść, by dziewczynka im się nie wymknęła. Przynajmniej pracownicy niskiego szczebla zdołali opuścić podziemny obiekt.

Wszyscy oprócz tych złapanych na początku ataku.

Po włączeniu trybu samozniszczenia Painter wpadł do centrali komunikacyjnej i uruchomił podgląd wideo. Okazało się, że komunikacja ze światem zewnętrznym została odcięta, a to oznaczało, że ktoś z napastników miał plany techniczne centrum dowodzenia. Ale wewnętrzne połączenia pozostały nietknięte. Obraz z kamer na najwyższym piętrze ukazywał komandosów Mapplethorpe'a gromadzących zakładników, którym ręce na plecach unieruchomiono w nadgarstkach plastikowymi taśmami zaciskowymi.

Mogło być gorzej. O tej godzinie w Sigmie przebywało niewielu pracowników. Zadowolony z sytuacji Painter zrobił to, co należało, i teraz skupił uwagę na osobie bliskiej jego sercu. Otworzył drzwi na klatkę schodową i omal nie staranował Kat Bryant, która niosła na rękach małą Saszę.

Próbował się domyślić, co się stało.

Za Kat zobaczył Malcolma Jenningsa i strażnika.

- Co? Jak? - wyjąkał pytania.

Lisa precyzyjnie się koło Malcolma i ruszyła w jego stronę. Była uwalana krwią. Serce mocniej mu zabiło ze strachu, ale na szczęście to nie była jej krew. Rzuciła mu się w ramiona i uściśniła go mocno. Na Paintera nagle spłynął spokój, na nią też - i wtedy odsunęli się od siebie - znowu musieli stać się chłodnymi profesjonalistami.

- Co się stało? - zapytał.

Kate pokrótce zrelacjonowała przebieg wydarzeń, kończąc słowami:

- I teraz próbujemy się ewakuować.

- Nie uda wam się uciec z Saszą - oznajmił. - Wszystkie wyjścia są najprawdopodobniej obstawione.

- W takim razie co robimy?

Painter spojrział na zegarek.

- No dobrze. Udało wam się uwolnić, więc już ułatwiście mi życie. - Wskazał schody w dół. - Zabierzcie Saszę do szatni przy sali gimnastycznej. Tam się schowajcie. Wszyscy.

- A pan? - zapytała Kat.

Painter pocałował Lisę w policzek, odwrócił się w stronę drzwi i ruszył.

- Mam jedną ostatnią rzecz do zrobienia. Potem do was dołączę.

- Bądź ostrożny - poprosiła Lisa.

- Panie dyrektorze! Monk żyje! - zawołała za nim Kat. Painter zatrzymał się, spojrzął za siebie, ale drzwi na schody zdażyły się już zatrzaskać. Co? Nie miał czasu na dociekanie, co miała na myśli. Wyjaśnienie tej kwestii musi poczekać. Pobiegł korytarzem do miejsca, od którego zaczął, czyli do centrum łączności. Zwolnił, czując w powietrzu charakterystyczny, słodkawy zapach, który zaczął wypełniać przestrzeń dookoła.

To był pierwszy etap programu samozniszczenia: wypełnienie powietrza gazowym przyspieszaczem. Optymalne stężenie zostanie osiągnięte w ciągu piętnastu minut. Wprawdzie takim powietrzem można oddychać przez kilka godzin, to jednak przebywający tu ludzie nie mieli aż tyle czasu. Za dziesięć minut system samozniszczenia zacznie emitować iskry w całym obiekcie i zainicjuje ognisty podmuch na wszystkich poziomach centrum dowodzenia. Wzmocniony przez przyspieszacz rozpylony w powietrzu, wszechogarniający pożar będzie trwał zaledwie kilka sekund i wypali wszystko, co znajduje się w obiekcie. Po chwili włączy się system automatycznego gaszenia i płomienie natychmiast zostaną stłumione.

Po wejściu do centrum łączności Painter spojrzął na szereg monitorów wyświetlających obraz wideo z kamer rozmieszczonych na każdym piętrze.

Przerzucał obraz z kamer, aż trafił na ten, którego szukał. Na ekranie widniał Mapplethorpe stojący za plecami Seana McKnighta. Trzymał pistolet skierowany w jego plecy. Z tyłu komandosi wbiegali na klatkę schodową prowadzącą na dół.

Painter włączył odbiór głosu z mikrofonu kamery.

- ...szaleństwo - powiedział Sean. - Nie możecie obchodzić oficjalnych dróg postępowania. Czy myślicie, że dokonacie nieusankcjonowanego napadu na inną agencję i potem zatrzecie po sobie ślady?

- Już to robiłem w przeszłości - odparł Mapplethorpe. - Liczą się efekty, a nie ofiary.

- Innymi słowy, cel uświęca środki - zakpił Sean. - Nigdy wam się to nie uda. Dwoje ludzi już nie żyje.

- I tylko tyłu? Tak jak powiedziałem, robiłem to już wiele razy. Za granicą i w kraju.

Painter wtrącił się do rozmowy. Mówił do mikrofonu, który przekazywał jego głos do głośników na górnym piętrze.

- Mapplethorpe!

Mężczyzna poruszył się, ale pistolet utrzymał w tej samej pozycji. Rozglądał się dookoła i odnalazł kamerę na ścianie. Przyjął poprzednią postawę, na jego ustach pojawił się szyderczy uśmiešek.

- Aaa, pan dyrektor. Więc jeszcze nie ewakuował się pan z resztą swoich ludzi? Bardzo dobrze. Zakończmy to szybko. Niech pan dostarczy tu dziewczynkę, a nikomu więcej nic się nie stanie.

- Pana człowiek nie żyje, Mapplethorpe, a my ukryliśmy dziewczynkę tam, gdzie jej nie znajdziecie - powiedział Painter do mikrofonu.

- Czyżby? - Mapplethorpe wyczuł jakiś zapach w powietrzu. - Widzę, że aktywował pan program samozniszczenia Sigmy.

Painter poczuł zimny dreszcz. Ten facet zdobył znacznie więcej niż tylko plany techniczne; musiał też dostać się do procedur postępowania awaryjnego. Ten gnojek miał wszędzie wtyki, pajak przebiegający po nitkach sieci wywiadu. Za lizusowską i dobrotliwą gębą krył się naprawdę groźny człowiek.

- No i załóżę się, że ustawił pan odliczanie na trzynastą - ciągnął Mapplethorpe, potwierdzając w ten sposób, że jego macki sięgały w głąb Sigmy.
- Niestety nie udało nam się odcyfrować kodu zabezpieczającego, by zatrzymać odliczanie, ale coś mi mówi, że nie będziemy musieli. Mam tu dwudziestu zakładników. Dwadzieścioro kobiet i mężczyzn, którzy mają rodziny i życie poza tymi murami. Nie podejrzewam, że ma pan takie jaja, by ich poświęcić i zamordować. Podczas gdy ja... - Mapplethorpe podniósł pistolet i wycelował w tył głowy Seana - nie mam takich skrupułów.

Nacisnął spust. Huk wystrzału spowodował nieznośny pisk przeciążonych głośników. Sean padł na podłogę.

Painter poczuł obręcz zaciskającą mu klatkę piersiową, nie mógł nabrać powietrza w płuca. To było niewiarygodne. Podświadomie liczył na to, że Sean wstanie, otrząśnie się i stawi opór. Ale jednocześnie płomień, gorący jak ognisty podmuch, który za chwilę przetoczy się przez pomieszczenia Sigmy, rozpałił mu ciało. Nie mógł wykrztusić słowa, zaskoczony brutalnością i bezwzględnością tego człowieka.

- Idziemy po dziewczynkę, panie dyrektorze, i nic nie zdoła nas powstrzymać - powiedział Mapplethorpe.

7 września, 10.38
Prypeć, Ukraina

Gray zapiął czarny skórzany pas na zdobytej rosyjskiej kurtce polowej w zielony kamuflaż. Wcisnął stopy w wysokie buty wojskowe. Kowalski rzucił mu futrzaną czapkę. Zdobywczy mundur całkiem niezłe na niego pasował, za to na Kowalskim pękał w szwach. Dwaj rosyjscy żołnierze, którzy stali na straży przed wejściem do więzienia, leżeli teraz rozebrani do bielizny. Zostali zupełnie zaskoczeni, więc wyłączenie ich z gry i zabranie mundurów nie było trudne.

- Idziemy! - zakomenderował Gray i ruszył do motocykla.

- Ale bomba! - krzyknął za nim Kowalski, patrząc na ich kolejny pojazd.

Gray obejrzał się, zdając sobie sprawę, że wielkolud nie mówi o zagrożeniu. Do samoobrony mieli już dwa rosyjskie automatyczne karabiny AN-94.

Kowalski rzucił okiem na kosz motocykla IMZ-Ural.

- Zawsze chciałem się takim czymś przejechać - powiedział i władował się do środka.

Gray zarzucił karabin na plecy i przełożył nogę nad siedzeniem motocykla.

Kilka chwil później silnik motocykla już mruczał. Ruszyli do bramy starego więzienia i dalej na poprzerastane chwastami ulice Prypeci. Gray spojrzął na zegarek.

Dwadzieścia minut.

Pochylił się niżej i przekręcając manetkę, dodał gazu. Popędzili przez wyblakłe, zrujnowane miasto. Asfalt był popękany, zbite szkło groziło przebiciem opon. Na każdym rogu ulicy spotykali niespodziewane przeszkody: porzucone zardzewiałe szkielety samochodów, pokryte mchem i pleśnią stare meble, a raz nawet natknęli się na surrealistyczny stos instrumentów muzycznych. Na każdym zakręcie Kowalski radośnie pokrzykiwał. Od czasu do czasu mijali pojedynczych żołnierzy patrolujących ulice, którzy podnosili ręce lub broń, pozdrawiając przejeżdżających; Gray dostrzegł też twarz udręczonego człowieka w oknie ze zbitymi szybami, pewnie jednego z bezdomnych zbieraczy złomu.

Przy granicach miasta drogę przebiegły im trzy jelenie. Kierowali się w stronę wieży wentylacyjnej elektrowni. Mimo głośnego silnika słyszał podniecone głosy

ludzi dochodzące z trybun. Według Mastersona senator Nikołaj Sołokow planował jakiś atak na ludzi obserwujących uszczelnienie czarnobylskiego reaktora Nowym Sarkofagiem.

Ale jaki był jego plan?

Czym była operacja Uran?

Gdy Gray pędził motocyklem po świeżo wyasfaltowanej drodze i przyglądał się widocznym z dala zabudowaniom kompleksu elektrowni, jego oczy przyciągnął widok gargantuicznego hangaru z blachy falistej. Łukowaty, stalowy hangar odbijał światło słoneczne jak lustro i poruszał się.

Światło słoneczne ślizgało się po karbowanej powierzchni. Powoli nasuwał się na uszkodzony reaktor. Większość całego kompleksu była szara i wypłowywała od słońca, ale z jednej strony wystawała z niego zwałista budowla, poczerniała jak martwy żab. To był grobowiec reaktora numer cztery - potężny czarny, betonowy sarkofag. Sunący powoli po szynach hangar miał swoją olbrzymią kopułą przykryć stary grobowiec elektrowni.

Gdy znaleźli się bliżej, Gray zaczął rozpatrywać różne możliwości. Archibald Polk został napromieniowany śmiertelną dawką prawdopodobnie w tym miejscu. Cokolwiek Nikołaj Sołokow planował, musiało to mieć jakiś związek ze starym reaktorem. Nic innego nie miałooby sensu.

Masterson ostrzegł go, że wokół trybun, na których zgromadzą się dygnitarze, będzie maksymalna ochrona. Trybuny znajdowały się pół kilometra od reaktora. Gray zastanawiał się, czy pojechać wprost do trybun, czy do reaktora. A jeśli mylił się co do reaktora? Czy bomba mogła być ulokowana gdzieś między trybunami?

Gdy motocykl sunął przez otwarty teren pomiędzy Prypecią a Czarnobyłem, dotarł do niego wzmocniony przez megafony głos, odbity echem i zmniejszony odległością, wychwalający zalety międzynarodowej współpracy w dziedzinie techniki jądrowej. Nie mógł pomylić tego głosu. Gray wielokrotnie brał udział w uroczystościach w Białym Domu.

To był prezydent Stanów Zjednoczonych.

Komandor wziął i tę okoliczność pod uwagę w swoich dalszych rozważaniach. Secret Service z pewnością wielokrotnie drobiazgowo sprawdziła cały teren i wprowadziła ścisłe protokoły postępowania. Poza tym jej agenci na pewno byli rozstawieni wokół reaktora i szukali potencjalnego zagrożenia.

Gray przyglądał się zaparkowanym samochodom i morzu anten satelitarnych. Trybuny otaczał parkan, teren patrolowali żołnierze pieszo i w jeepach. Wprawdzie przebranie działało na pewną odległość, to jednak Gray był przekonany, że nie zdołałby w nim dotrzeć na trybuny. Nie miał żadnej przepustki ani zaproszenia na tę uroczystość.

Gdy rozważał wszelkie możliwości i pędził motocyklem w stronę potężnego kompleksu elektrowni, był pod wrażeniem olbrzymiej skali tego projektu. Gigantyczny stalowy hangar powoli sunął po szynach ciągnięty przez podnośniki hydrauliczne wielkości wielorybów. Dotarł już brzegiem do nieczynnego reaktora i zaczął go powoli przykrywać olbrzymią łukowato wygiętą kopułą błyszczącą odbitymi promieniami słońca, tak wielką, że dwie Statuy

Wolności jedna na drugiej nie dotknęłyby wysklepionego dachu hangaru.

Nawet Kowalski gwizdnął, podziwiając rozmiar sunącej konstrukcji. W końcu przechylił się do Graya i zawołał:

- To jaki mamy plan, gdy dojedziemy do...

Gray uciszył go, unosząc rękę. Nowy głos przerwał przemówienie prezydenta. I tak jak głos prezydenta, ten też był znajomy. Mówił po rosyjsku, a potem tłumaczył własne słowa na angielski, chcąc imponować międzynarodowej publice.

Głos senatora Nikołaja Sołokowa grzmiał w uszach Graya.

- Protestuję przeciwko tej parodii! - krzyczał donośnie. - Jesteśmy tutaj i gratulujemy sobie wymazania wstydlivej karty z historii, a my ją tylko chowamy, jakby nigdy nic się nie stało, wmiatamy ją pod ten stalowy dywan. Ale co z tymi, którzy zginęli podczas eksplozji, co z tymi setkami tysięcy ludzi skazanych na śmierć przez raka, co z tysiącami dzieci urodzonych z wadami genetycznymi, upośledzonych umysłowo? Kto stanie po ich stronie?

Gray był już wystarczająco blisko, by dostrzec scenę, która stała przed trybunami. Postacie ludzkie były za małe, żeby je rozpoznać, ale gigantyczne ekrany wideo po obu stronach sceny przybliżyły występujących. Na jednym był prezydent Rosji, a na drugim prezydent Stanów Zjednoczonych. Obydwaj stali za podium. Na środku sceny, wśród gromady ludzi stała jeszcze jedna osoba. Nikołaj Sołokow. Strażnicy próbowali go ściągnąć, ale inni pilnowali, by mógł mówić. Nikołaj musiał wepchnąć się siłą na scenę, by wygłosić swój dramatyczny, pokazywany przez telewizję świata protest.

Z boku agenci w czarnych garniturach otaczali prezydentów, zapewniając im ochronę.

Widać było, że Nikołaj zaczął już wprowadzać swój plan w życie. Gray pochylił się i przekręcił manetkę gazu.

Głośnik zaskrzeczał piskliwie, a Nikołaj mówił dalej:

- Wy wierzycie, że taka ładna trumna oznacza koniec atomowej spuścizny, ale to wszystko oszustwo! Potwór już zdążył uciec z klatki! Bez względu na to, jak wielka będzie kłódka i jak mocna stal, to nie da się go z powrotem zamknąć za kratami. Prawdziwym końcem tego dziedzictwa może dopiero stać się przemiana w naszej świadomości i zmiana podejścia do atomu, czyli ustanowienie prawdziwej i trwałej polityki jądrowej. Ta ceremonia jest niczym innym jak tylko farsą! To jedynie pozorowane działania. Nie ma w nich żadnych treści. Powinniśmy się wstydzić!

W końcu ochrona otoczyła popleczników senatora. Wyrwano mu mikrofon z ręki i zaciągnięto siłą poza scenę.

Prezydent Rosji zaczął mówić po rosyjsku. Ton jego głosu był pełen złości i przeproszający. Prezydent Stanów Zjednoczonych gestem nakazał agentom ochrony opuszczenie sceny, gdyż nie chciał wyglądać na przestraszonego występem senatora show-mana. Uroczystość kontynuowano.

Za plecami mówców hangar polykał reaktor.

Gray zwolnił. Musiał dokonać wyboru: albo skieruje się do trybun, albo pojedzie do reaktora. Zaczął się zastanawiać nad sensem wystąpienia Nikołaja i

jego dramatycznym usunięciem ze sceny. To wszystko zostało doskonale odegrane. Senator najwyraźniej tak zaplanował wydarzenia, żeby na pewno nie być na uroczystości, by zostać wyrzuconym. Ale dokąd? Tego nie pozostawiłby przecież przypadkowi. Nie zaryzykowałby zatrzymania i uwięzienia. Ktokolwiek ściągał Nikołaja siłą ze sceny, musiał także być na jego usługach i zabierał go w jakieś bezpieczne miejsce.

Za gęstwiną vanów ekip telewizyjnych Gray dostrzegł zielonego wojskowego jeepa oddalającego się od medialnego widowiska. Jechał polną drogą, równoległą do wysokich na dwa i pół metra szyn, po których przesuwiał się olbrzymi hangar. Droga zryta koleinami zakręcała na tyły kompleksu.

Na tylnym siedzeniu jeepa Gray dostrzegł mężczyznę w garniturze.

Nikołaj.

Gray spojrzął do góry. Stalowa konstrukcja pochłonęła już połowę pocerniałego starego sarkofagu. Za piętnaście minut całkowicie zasłoni betonową kryptę. Trybuny były oddalone od sarkofagu o blisko pięćset metrów.

Gray musiał dokonać wyboru.

Przypomniał sobie Nikołaja Sołokowa, który podczas ich przesłuchania siedział za biurkiem w pokoju strażników. Oceniając go po samym kroju ubioru i doborze słownictwa, wydedukował, że Sołokow jest aroganckim i pełnym buty człowiekiem, o wybujałym ego i potężnej woli kontrolowania wszystkiego. To po prostu z niego biło.

Nikołaj z pewnością chciałby widzieć na własne oczy, co się stanie.

Dlaczego zatem uciekał za reaktor? Chyba że...

Gray zjechał motocyklem z czarnej nawierzchni na otwarte pole. Kierował się wprost ku końcowi torów, zamierzając dogonić jeepa, gdy ten wejdzie w zakręt.

- Pierce! - krzyknął Kowalski. - Dokąd pan jedzie?

- Uratować prezydenta.

- Ale trybuny są w drugą stronę! - Kowalski wskazał ręką w przeciwnym kierunku.

Ignorując go, Gray prowadził motocykl jak podczas motocrossu, co chwila podskakując na nierównościach. Kowalski trzymał się mocno uchwytu. Gray podkręcił gaz i motocykl przyspieszył. Spod kół bryzgało błoto i wyrwana trawa.

Przed nimi wzdłuż czterystumetrowego odcinka torów gnał jeep. Dojeżdżał już do końca. Gray był nadał o długość boiska futbolowego od drogi.

Zauważono ich.

Jakaś ręka wskazała na motocykl. Z tej odległości Gray i Kowalski wyglądali na rosyjskich żołnierzy, którzy wybrali się na przejażdżkę. Przez moment w jeepie zapanuje konsternacja. Muszą to wykorzystać.

- Kowalski!

- Co?

- Trafisz w ich tylne koło, gdy będą zakręcać?

- Zwariował pan?

- Trzymaj się.

Gray pokonał wiraż i wjechał na suchy, gładki, piaszczysty teren wyrównany przez deszcze.

- Strzelaj! - krzyknął do Kowalskiego.

Wielkolud zdjął już karabin z ramienia. Zaparł się ciałem w koszu i podniósł karabin. Gray słyszał, jak do niego mruczy.

- No dalej, dziecinko, spraw, by tatuś był z ciebie dumny. Na wprost przed nimi jeep dojeżdżał do zakrętu. Zwolnił, by zmieścić się w ostrym wirażu, ale i tak lekko nim zarzuciło. Kierowca starał się utrzymać samochód na drodze.

Gray usłyszał odgłosy wystrzałów. Rosyjski karabin automatyczny AN-94 strzelał podwójnie po każdym naciśnięciu spustu. W tym samym momencie jeep nagle wpadł w poślizg i kierowca stracił nad nim kontrolę. Tylne lewa opona zadymiała i rozpadła się. Samochód poleciał bokiem i uderzył w betonowy słup znajdujący się na końcu torów pomiędzy szynami.

- Dzięki, dziecinko. - Kowalski pogłaskał kolbę karabinu. Dalsze zachwyty zakończyło wjechanie z piaszczystej łachy na pofałdowany teren. Wyrzucając spod kół kamienie i ziemię, motocykl pruł w stronę drogi, do której dotarł w ciągu kilku sekund.

Rosyjski jeep stał w miejscu wypadku, z pogiętym bokiem. Jeden z żołnierzy na przednim siedzeniu nie żył. Pozostała trójka wydostała się z samochodu i uciekła w dżungłę betonowych umocnień i niskich blaszanych baraczków wypełniających przestrzeń pomiędzy szeroko rozstawionymi szynami.

Gdy motocykl wychodził z zakrętu, Gray usłyszał huczne oklaski i radosne skandowanie dochodzące z trybuny. Ceremonia osiągnęła punkt kulminacyjny. Gray ledwie usłyszał strzały. Przednie koło motocykla eksplodowało, ale komandor przewidział atak i dlatego kierował motocykl za rozbitego jeepa. Zahamował ostro z poślizgiem i wyskoczył z motocykla.

Kowalski zrobił to samo i razem schowali się za samochodem.

Kolejne kule odbiły się od maski jeepa.

Gray zaryzykował i wychylił się zza tylnego zderzaka. Dostrzegł człowieka w garniturze uciekającego środkiem między szynami.

Nikołaj Sołokow miał trzysta metrów do mety, którą był koniec przesuwającego się hangaru. Gray próbował wymierzyć do niego z karabinu, ale nagle kula odbiła się od zderzaka i świsnęła mu koło ucha. Dojrzał pistolet trzymany przez kobietę o kruczoczarnych włosach. Elena.

Przeklinając, cofnął się za samochód.

Kowalski zajęczał za jego plecami draśnięty przez inny pocisk. Ta kobieta i żołnierz z jeepa trzymali ich w szachu. Gray spojrział na zegarek. Dziesięć minut.

Nikołaj usłyszał strzały za sobą i próbował przyspieszyć, ale gdy wychodził z jeepa, skręcił lewą kostkę. Musiał zaufać Elenie, która osłaniała jego ucieczkę.

Dwóch robotników szło za sunącym hangarem. Olbrzymia konstrukcja ciągnięta przez potężne podnośniki hydrauliczne poruszała się z prędkością trzydziestu centymetrów na minutę na pokrytych teflonem łożyskach.

Właz serwisowy na tylnej ścianie kopuły miał wielkość bramy garażowej i był otwarty. To dlatego Nikołaj zostawił resztę za sobą. Nie chciał znaleźć się przed tymi drzwiami, gdy rozpocznie się ostatni etap operacji Uran.

Kuśtykał tak szybko, jak tylko ból mu na to pozwalał. Musiał dostać się do

tych drzwi, przejść całe wnętrze hangaru i wyjść z drugiej strony, zanim hangar znajdzie się na miejscu.

Nawet on nie potrafił zatrzymać operacji Uran.

Teraz mógł tylko się schronić.

Spisek zawiązano w 1999 roku, gdy powstawał Plan Budowy Sarkofagu. Celami PBS była stabilizacja i przykrycie starego sarkofagu. Inżynierowie od lat ostrzegali, że stara krypta może zawalić się w każdej chwili, uwalniając do atmosfery dwieście ton radioaktywnego uranu. Pod koniec dwudziestego wieku stara skorupa betonowa nad reaktorem zaczęła się kruszyć. Potworzyły się w niej pory i szczeliny. Wpierw należało ustabilizować sarkofag. Oznaczało to wypełnienie dziur, podparcie ściany nośnej słupami i zabezpieczenie chwiejącej się wieży wentylacyjnej. Te prace wykonywano, gdy w odległości czterystu metrów wznoszono masywny hangar.

Wstępne prace konstrukcyjne zostały ukończone w 1999 roku - ale kryły one pewne tajemnice. Po upadku Związku Radzieckiego rozszalała się korupcja. Niewiele kosztowało przekupienie kogoś, by umieścił cztery ładunki kruszące w nowych słupach podporowych. Ładunki były uszpięcone aż do wczoraj. Minionej nocy ludzie Nikołaja wysłali sygnał do zatopionych ładunków i ustawili zegary na dokładną godzinę całkowitego nasunięcia się hangaru nad sarkofag. Raz ustawionych zapalników nie można już było wyłączyć.

Ładunki eksplodują dokładnie dwie minuty przed domknięciem hangaru. Nikt ich nawet nie usłyszy. Słychać będzie jedynie trzask kruszącego się betonu, po którym odpadnie wielka część ściany sarkofagu - od strony trybun. Przez całe dwie minuty, dopóki hangar nie nakryje całości, trybuny zostaną skapane w potężnej dawce promieniowania. Ekspozycja nie spowoduje natychmiastowych zgonów. Tak naprawdę to nikt nawet nic nie poczuje. Ale przez te dwie minuty wszyscy zebrani na uroczystości otrzymają śmiertelne dawki promieniowania.

Umrą w ciągu kilku tygodni.

Obecni tu byli prezydent i premier rosyjskiego rządu oraz przywódcy z obydwu Ameryk i Unii Europejskiej. Jeśli wszystko odbędzie się zgodnie z planem, misja Nikołaja sprawi, że w wielu różnych częściach świata zapanuje chaos. Gdy operacja prowadzona przez jego matkę zakończy się zalaniem świata radioaktywną falą zrodzoną w Czelabińsku 88, to świat będzie potrzebował silnego głosu kogoś, kto poświęcił swoją karierę na ostrzeżenie przed taką katastrofą.

Zwróca się do jedynej osoby, która przeżyła operację Uran.

I w ciągu nadchodzących miesięcy - kierowany przez trzymaną w tajemnicy grupę genialnych doradców - Nikołaj zablęśnie niezwykłą zdolnością przewidywania, intuicyjną wiedzą i wspaniałą dalekowzrocznością.

Z pożaru, jaki wybuchnie, Nikołaj szybko wyłoni się jako nowy przywódca Rosji i z najwyższego stanowiska państwowego będzie rozciągał swoje wpływy na świat. Z radioaktywnych popiołów powstanie Imperium Rosyjskie, by prowadzić świat w nowym kierunku.

Takie właśnie myśli dodawały mu teraz siłę.

Dokuśtykał do dwóch robotników idących za końcową ścianą hangaru. Wyciągnął z kieszeni pistolet. Dwa strzały w głowę. Z bliska. Padli jak kaczki. Nie mógł pozwolić sobie na jakichkolwiek świadków.

Nikołaj przekroczył bramę serwisową. Musiał zrobić dwanaście kroków, by przejść przez właz, ponieważ stalowe ściany hangaru miały grubość dwunastu metrów.

Po ich pokonaniu Nikołaj znalazł się w sercu hangaru.

Mimo pośpiechu rozejrzał się po olbrzymiej przestrzeni. Stalowy łuk sklepienia wisiał sto metrów nad ziemią, u podstawy hangar miał dwieście pięćdziesiąt metrów szerokości. Żadne znane słowo nie potrafiło odpowiednio opisać ogromu tej konstrukcji. Niczym gwiazdy na niebie setki lamp, zamocowanych na zwieńczeniach stalowych rusztowań stojących po bokach, oświetlały jego wnętrze. Na suficie widniała siatka żółtych szyn, na których czekały uśpione gigantyczne zautomatyzowane dźwigi. Ich haki wielkości okrętowych kotwic i wydłużone szkieletowe chwytaki zwisały.

W środku hangaru Nikołaj zatrzymał się na chwilę, by nacisnąć wielki czerwony przycisk uruchamiający zamykanie włazu serwisowego. Skrzydła bramy toczyły się powoli poruszane olbrzymimi kołami zębatymi.

Według wstępnego planu Nikołaj i Elena mieli dotrzeć do zewnętrznej kabiny kontrolnej umieszczonej na przeciwległej ścianie. Kabina kontrolna, która służyła jako miejsce sterowania potężnymi silnikami podnośników hydraulicznych, była wyłożona płytami ołowianymi, by zapobiec przenikaniu jakiegokolwiek promieniowania. Znajdowała się z dala od miejsca, gdzie zainstalowano ładunki kruszące, a tym samym dość bezpieczna.

Nikołaj musiał dotrzeć do tej kabiny, ale jeśli Elena została na zewnątrz pomiędzy szynami, to Nikołaj chciał ją ochronić przed radioaktywnością. Choć nie znajdowała się bezpośrednio na linii jego oddziaływania, jak ludzie na trybunach, jej pozycja nadal była narażona na promieniowanie odbite wydostające się przez otwarty tylny właz - może jej to nie zabije, ale z pewnością zmarnuje szansę na posiadanie zdrowych dzieci.

Nikołaj musiał ją chronić, jeśli chciał chronić swoje przyszłe genetyczne dziedzictwo. I nie mógł całkowicie odrzucić myśli, że nic do niej nie czuje. Jego matka pewnie uznałaby coś takiego za słabość, ale Nikołaj nie potrafił zaprzeczyć własnemu sercu.

Gdy drzwi powoli się zasuwwały, ruszył w głąb hangaru.

- Elena! - zawołał Gray zza terenówki. - Musisz nam pomóc!

Brak odpowiedzi.

- Pierce, nie sądzę, żeby udało się panu wykaraskać z kłopotów samym gadaniem - rzekł Kowalski, który klęczał kilka kroków za nim. Jego kurtka była przesiąknięta krwią płynącą z rannego barku, ale na szczęście było to tylko draśnięcie. - To jakaś pokręcona dziwka. Dlaczego tak się dzieje na tym świecie, że tylko pokręcone dziwki potrafią tak dobrze strzelać?

- Wcale nie uważam, że jest pokręcona - mruknął Gray. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Widział, w jaki sposób zareagowała na informacje o tym, że Sasza jest

biologiczną córką Nikołaja. Była to mieszanka konsternacji i opiekuńczości. Musiał istnieć jakiś związek pomiędzy Elena i dziewczynką, coś więcej niż tylko wspólne dzieciństwo z implantami w mózгах.

Musiał teraz uwierzyć w swoje wywody.

- Sasza przyszła do mnie! - zawołał Gray. - Mnie szukała. I musiał istnieć jakiś powód, że nas tutaj doprowadziła.

Cisza. W końcu odezwał się miękki głos.

- Jak? W jaki sposób was ta doprowadziła? Elena najwyraźniej chciała go przetestować.

Gray wziął głęboki oddech. Podniósł broń i odrzucił ją na bok.

- Pierce... - jęknął Kowalski. - Jeśli myśli pan, że odrzucę swój karabin, to jest pan tak samo pokręcony jak ona.

Gray wstał.

Po drugiej stronie żołnierz natychmiast wymierzył w niego broń. Elena rozkazała żołnierzowi opuścić lufę. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o Saszy. Rosjanie byli schowani za betonowymi pylonami, a Elena trzymała pistolet skierowany w jego stronę.

- Jak Sasza nas tu przywiodła? Rysowała szkice. Najpierw ściągnęła Cyganów do mnie. Potem narysowała Tadź Mahal, co sprowadziło nas do Indii, gdzie odkryliśmy wasze prawdziwe dziedzictwo i historię. Powinnaś raczej zapytać dlaczego. Sasza jest kimś specjalnym, prawda?

Elena patrzyła na niego twardo.

Gray odczytał to jako potwierdzenie i opowiadał dalej, pozwalając, by sama przekonała się o prawdzie jego słów.

- Dlaczego wysłała nas do Indii? Po co w ogóle nas w to włączyła? Dlaczego właśnie teraz? Musi być jakiś powód. Myślę, że Sasza, świadomie lub podświadomie, próbuje zatrzymać to, co tu planujecie zrobić.

Elena nie wykonała żadnego gestu potwierdzającego, że wierzy w to, co usłyszała, ale Gray przynajmniej jeszcze żył.

- Wskazała nam trop, byśmy odkryli wasze korzenie: od wyroczni delfickiej, poprzez Cyganów, aż do dziś. Myślę, że istniał powód, dla którego powstał wasz ród. Możliwe, że chodzi o wypełnienie proroctwa.

- Jakiego proroctwa? - zapytała Elena.

Gray dostrzegł iskrę zrozumienia, ale też i strachu. Czy w psychice tych dzieci kryją się jakieś koszmary? Przypomniał sobie mozaikę ścienną odkrytą w świątyni greckiej w Indiach i płonąca postać wydobywająca się z dymu z omfalosa. Wykorzystał jej pytanie i szybko opowiedział, co odnaleźli, kończąc zdaniem:

- I ta postać wyglądała na chłopca z płonącymi oczami.

Pistolet w rękach Eleny zaczął lekko drżeć, lecz jeszcze nie odsunęła go na bok i wciąż był wymierzony w jego pierś. Gray usłyszał, jak Elena wymawia imię, które brzmiało podobnie do angielskiego Peter.

- Kto to jest Peter? - zapytał Gray.

- Piotr - poprawiła go Elena. - To brat Saszy. On ma czasem koszmary senne. Budzi się z wrzaskiem, mówi coś takiego, że oczy mu płoną. Ale... ale...

- Co? - naciskał komandor, zaintrygowany tą opowieścią, mimo że czas im uciekał.

- Gdy on się budzi, to my wszyscy też. I przez chwilę widzimy, że Piotr płonie. - Pokręciła głową. - Jego talentem jest empatia. Przypisywaliśmy koszmary jakiemuś wahaniu talentu, który emanował na zewnątrz. Jakby to było jakieś empatyczne echo.

- To nie jest echo od Piotra - domyślił się głośno Gray. - To jest echo sięgające samych początków.

Ale gdzie jest tego koniec? Gray spoglądał na Elenę.

- Nie możesz w głębi serca pragnąć tego, co ma nastąpić. Sasza tego nie chciała. Dlatego przywiodła mnie tutaj. Gdyby chciała, żeby Nikołaj zrealizował swój plan, to wystarczyłoby, żeby nic nie robiła. Ale postąpiła inaczej. Przyproceedziła mnie do ciebie, Eleno. Do ciebie. Masz okazję pomóc Saszy albo zniszczyć to, co ona zaczęła. Twój wybór.

Jej decyzja była natychmiastowa, odwróciła się na pięcie i strzeliła. Rosyjski żołnierz padł martwy na ziemię. Gray podbiegł do niej.

- Jak możemy zatrzymać operację Uran?

- Nie możemy - odpowiedziała lekko oszołomiona, pewnie z powodu nagłej zamiany ról albo może z przebudzenia się po długim śnie.

Elena podała mu swój pistolet, jakby wiedziała, gdzie on musi się udać. Gray minął ją i skierował się w stronę hangaru między szynami. Skoro ona nie wiedziała, jak to zrobić, to może Nikołaj wiedział.

- Musisz się pospieszyć - powiedziała. - Ale... może ja wiem, jak pomóc.

Odwróciła się i spojrzała na tyły kompleksu, na miejsce, dokąd zmierzał Nikołaj.

Gray wskazał ręką na motocykl. Chociaż opona została przestrzelona, to i tak motorem będzie szybciej niż pieszo.

- Kowalski, pomóż jej.

- Ale ona mnie postrzeliła.

Gray nie miał czasu na dyskusje. Odwrócił się i pobiegł przez las betonowych pylonów. Za nimi otwarła się pusta przestrzeń ograniczona po obu stronach szynami. Na końcu torów dostrzegł kulejącego Nikołaja wchodzącego przez szeroką bramę do ciemnego wnętrza.

Gray popędził w jego stronę.

Zostało sześć minut.

Gdy biegł, dostrzegł, że czarna dziura w stalowej ścianie zaczyna się zwązać. Wrota się zamykały.

Udało im się uciec z więzienia, ale co dalej?

Elizabeth biegła za Rosaurow; Luka z pistoletem w ręku chronił ich od tyłu. Masterson, podpierając się laską, kulał obok Elizabeth, która go podtrzymywała.

Ich priorytetem było znalezienie telefonu i wywołanie alarmu. Całe miasto było opuszczone i wyglądało jak nawiedzone przez złe duchy. Ze szczelin w asfalcie wyrastały brzozy, wszędzie pełno było chwastów, budynki pokrywał mech i porosty. Jak tu znaleźć działający telefon?

- Chodźmy do następnego skrzyżowania! - krzyknął Masterson i machnął laską w jego kierunku, opierając się na zdrowej nodze. - Tam, na lewo. Hotel Polissia jest na końcu następnego kwartału.

Masterson rozsądnie zaproponował kierunek marszu. Hotel został odremontowany na potrzeby wieczornej gali, która odbyła się poprzedniego dnia, a tego ranka był wykorzystywany jako stacja przesiadkowa dla gości zaproszonych na ceremonię.

A co z nieproszonymi gośćmi?

Elizabeth dostrzegła Graya i Kowalskiego odjeżdżających motocyklem po ucieczce z więzienia. Wierzyła, że uda im się powstrzymać tego zwariowanego gnojka. Gdy uciekała z pozostałymi, poczuła ból głowy i wzrost ciśnienia w oczach. Stres i strach zrobiły swoje.

- Przykro mi, Elizabeth - wydyszał Masterson. Spojrzał na niego. Wiedziała, że nie miał na myśli tylko wmieszania ich w tę eskapadę.

- Naprawdę, nie sądziłem, że twój ojciec jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie - wyjaśnił. - Myślałem, że pracami Archibalda interesował się rosyjski wywiad gospodarczy. Nigdy nie sądziłem, że skończy się to jego śmiercią.

Mimo że rozumiała postępowanie profesora w przeszłości i zdawała sobie sprawę z obecnego zagrożenia na skalę międzynarodową, nie mogła mu wybaczyć tego, co zrobił. I wcale nie chodziło jej o ojca czy wciągnięcie ich w to wszystko. Była zmęczona tymi wszystkimi tajemnicami - zarówno ojca, jak i Mastersona.

Gdy zbliżali się do skrzyżowania, z bloku wyszło dwóch żołnierzy. Jeden z nich rzucił na ziemię niedopałek papierosa i zgasił go butem. Drugi podniósł karabin i warknął:

- Stoj! Kto wy?!

- Ja się tym zajmę - powiedział Masterson i machnął na Rosauro i Luke, by schowali broń.

Profesor poprawił swój biały kapelusz i oparł się mocniej na swojej lasce. Podreptał do przodu i zawołał:

- Dobroje utro!

Masterson mówił płynnie po rosyjsku. Elizabeth zrozumiała jedynie dwa słowa z jego wypowiedzi: London Times. Masterson próbował przedstawić ich rosyjskim żołnierzom jako przedstawicieli prasy.

Żołnierz opuścił karabin i powiedział:

- You are Englishers.

Masterson skinął głową, uśmiechając się szeroko.

- Pan mówi po angielsku. Doskonale. Zgubiliśmy się i nie możemy trafić z powrotem do hotelu Polissia. Byliby panowie tak uprzejmi i zaprowadzili nas do hotelu.

Z podnoszących się brwi żołnierzy wynikało, że niezbyt dobrze go jednak rozumie. Masterson celowo wykorzystywał ich braki językowe, żeby stracili pewność siebie oraz chęć dociekania, kim są zatrzymani. Żołnierz z karabinem przynajmniej rozumiał nazwę hotelu.

- Gastinica Polissia? - zapytał.

- Da! Dobry z pana człowiek. Może nas pan tam zabrać?

Rosjanie szybko wymienili między sobą kilka zdań po rosyjsku.

W końcu jeden z nich wzruszył ramionami, a drugi odwrócił się i kiwnął głową.

Od strony więzienia z rykiem silnika zbliżał się do nich motocykl z koszem z boku i mrugającym niebieskim kogutem. Jechało nim dwóch żołnierzy w futrzanych czapkach. Zauważono ich. Żołnierze wykrzykiwali coś po rosyjsku.

Stojący koło nich żołnierze zeszczywniali.

- Mamy kłopoty - rzucił Masterson i pchnął Elizabeth na ulicę. - Uciekaj!

Rosauro zakreśliła się na pięcie i kopnęła z półobrotu w głowę najbliższego ze stojących żołnierzy, a ten padł nieprzytomny; drugi podniósł karabin, ale Luka szybciej wyciągnął pistolet i strzelił. Krew pojawiła się na mundurze, a siła uderzenia pocisku okręciła mężczyznę, jakby to koń go kopnął. Żołnierz zdążył jednak puścić w ich stronę serię z karabinu automatycznego.

Masterson obrócił się i zasłonił Elizabeth, Luka i Rosauro padli na ulicę. Profesor rzucił się na Elizabeth, która klęknęła. Pistolet Luki wystrzelił ponownie i karabin zamilkł.

Masterson puścił ją i osunął się na ulicę. Elizabeth czuła, jak pocisk uderzył w jego ciało. Profesor przekreślił się na wznak, spod jego pleców wypływała krew.

- Hayden!

Machnął na nią ręką, cały czas trzymając laskę.

- Uciekajcie!

Motocykl zbliżał się do nich z wściekłym wyciem. Rosauro podniosła Elizabeth.

Luka strzelał do motocykla, który chował się za wrakami samochodów i stosami śmieci. Żołnierz siedzący w koszu odpowiedział ogniem ciągłym. Pociski świstały wokół nich.

- Przepraszam, Elizabeth - powiedział Masterson i spieniona krew wypłynęła mu z ust.

- Hayden... - Elizabeth nie mogła znaleźć słów, żeby mu podziękować.

Zobaczył w jej oczach, że mu wybaczają.

- Uciekajcie... - szepnął ochryple i zamknął oczy. Rosauro pchnęła ją w stronę następnego skrzyżowania. Luka strzelał, biegnąc za nimi, aż skończyła mu się amunicja. Cały czas znajdowali się pod obstrzałem.

Rosauro kierowała ucieczką i poprowadziła tak, by między nimi a ścigającym ich motocyklem znalazł się wrak zardzewiałej ciężarówki.

- Za róg! Nie uda im się.

Motocykla nikt już nie ostrzeliwał, toteż pędził prosto na nich.

Elizabeth obejrzała się przez ramię. Gdy motor wymijał ciała leżące na ulicy, Masterson ostatkiem sił wcisnął laskę w szprychy przedniego koła. Twarde drewno zablokowało koło i spowodowało, że pojazd wyleciał w powietrze i spadł na bok. Ślizgał się po asfalcie, krzesząc iskry i zostawiając za sobą smugi krwi.

- Szybciej! - popędziła ich Rosauro.

Mieli nadzieję, że wycie motocykla zagłuszyło strzelaninę, ale i tak musieli stąd uciekać. Po dotarciu do skrzyżowania biegli wzdłuż następnej ulicy. Pół kilometra dalej stał jasno oświetlony, świeżo malowany hotel. Przy krawędzi jezdni parkowało kilka błyszczących limuzyn.

Pospieszyli w tamtym kierunku. Luka wyrzucił pistolet z pustym magazynkiem. Otrzepali ubrania z kurzu i ogarnęli się, by wyglądać choć w miarę przyzwoicie. Przed hotelem zwolnili i spokojnie szli, udając, że należą do jednej z ekip reporterskich. Nikt ich nie zatrzymał. Hotel był opustoszały, w holu kręciło się kilku szoferów. Dyżur pełnił jeden recepcjonista. Reszta była na ceremonii.

Rosauro podeszła do lady recepcyjnej.

- Czy jest tu telefon, z którego moglibyśmy skorzystać? Jesteśmy... z „New York Timesa”.

- Press room... jest tam - odpowiedział łamanym angielskim młody człowiek o zmęczonych oczach. Wskazał na drzwi prowadzące z holu.

- Spasiba - podziękowała mu Rosauro. Poprowadziła ich przez drzwi. To była kwadratowa sala z niską ladą biegnącą przez całą długość jednego boku. Na środku stał duży stół z materiałami biurowymi. Leżały tam ryzy papieru, stopy podkładek, długopisy, zszywacze. Ale uwagę Elizabeth przyciągnęło sześć czarnych aparatów telefonicznych stojących na ladzie przy ścianie.

Rosauro podniosła słuchawkę i skinęła z satysfakcją głową, gdy usłyszała sygnał.

- Dzwonię do centrali dowodzenia. Oni przekażą informacje dalej i będzie szansa na ewakuację.

Elizabeth usiadła w fotelu. W tym momencie spokoju zaczęła się trząść. Nie mogła się powstrzymać. Po śmierci Mastersona coś w niej pękło. Łzy zaczęły spływać jej po policzkach - z żalu po profesora, ale także po ojca.

Rosauro skończyła wybierać numer i czekała. Powoli marszczyła czoło, a jej brwi niemalże się złączyły.

- Co się stało? - zapytał Luka. Pokręciła głową z przerażeniem.

- Nikt nie odbiera.

12.50

Waszyngton, D.C.

Painter zastukał lekko w drzwi szatni i pchnął je delikatnie. Popatrzył prosto w lufę pistoletu. Kat opuściła broń, a w jej oczach pojawiła się ulga.

- Jak się macie? - zapytał na powitanie i wszedł do środka.

- Jak na razie nieźle.

Sanitariuszka Sigmy zajęła miejsce przy drzwiach. Painter poszedł za Kat do głównej sali, w której stały metalowe szafki na ubrania i ławki. Dalej znajdowały się prysznic i sauna.

Kat poprowadziła go do sąsiedniego pomieszczenia. Malcolm siedział na

ławce, a Lisa na podłodze, obejmując Saszę. Dziewczynka popatrzyła na niego wielkimi niebieskimi oczami i zaczęła się lekko bujać. Gdy jej spojrzenie napotkało wzrok Kat, odprężyła się.

Lisa podniosła się z podłogi. Miała na sobie nowy biały fartuch. Kat pochyliła się, podniosła Saszę i usiadła z nią na ławeczce. Szepnęła coś do ucha dziewczynki, która się lekko uśmiechnęła.

Lisa przytuliła się do Paintera, a następnie popatrzyła na niego badawczo.

- Czy stało się coś złego? - zapytała szeptem.

Painter myślał, że udało mu się zachować nieprzenikniony wyraz twarzy, ale jak można było całkowicie ukryć wściekłość i ból, które go teraz przepełniały?

- Chodzi o Seana - powiedział. Kat i Malcolm spojrzeli na niego. Painter odetchnął głęboko.

- Ten sukinsyn go zabił.

W uszach ciągle słyszał huk wystrzału, widział odskakujący pistolet i padającego przyjaciela.

- O Boże... - jęknęła Lisa i przytuliła się do niego mocniej.

- Mapplethorpe idzie na dół poszukać dziewczynki. - Painter spojrzał na zegarek.

- Samozniszczenie? - zapytała Kat, widząc jego ruch.

- Za cztery minuty. - Painter modlił się, żeby wszystko zadziało poprawnie. Powietrze było już mocno nasączone słodko pachnącym przyspieszaczem.

- Jeśli mamy bronić się tu, gdzie jesteśmy, czy nie musimy się martwić o to, że strzały zainicjują pożar? - spytała Kat.

Painter pokręcił głową.

- Ten związek działa jak C cztery w aerozolu. Tylko silny impuls elektryczny może wywołać wybuch i pożar, a nie iskra powstająca przy wystrzale.

- W takim razie co teraz robimy? - Lisa trzymała się blisko Paintera.

Painter gestem nakazał im wstać. Chciał ich ochronić, ale nie miał wiele do zaoferowania.

- Lepiej się ukryjmy.

Mapplethorpe szedł korytarzem za swoimi komandosami.

Zatrudnił tę samą grupę specjalistów, których wykorzystywał już wiele razy w przeszłości. Byli to najemnicy, dawni żołnierze brytyjskiej SAS i południowoafrykańskich Recces. Jego pięść na politycznej mapie świata. Nie odmawiali żadnych zleceń: zabójstw, porwań, tortur, gwałtów. Gdy musiał przeprowadzać tajne operacje, ci faceci gwarantowali, że wszystko zakończy się sukcesem. A najlepsze było to, że po akcji momentalnie znikali, nie zostawiając po sobie żadnych śladów, jak duchy.

To właśnie tacy twardziele jak ci zapewniali krajowi bezpieczeństwo. Tam gdzie inni bali się wejść, oni szli.

Żołnierz na szpicie dotarł na końcu korytarza do drzwi z tabliczką SZATNIA. Podniósł zaciśniętą pięść. W drugiej ręce trzymał elektroniczny wykrywacz sygnałów.

Wcześniej Trent McBride przekazał informację, że mikrochipowy nadajnik wszczepiony dziecku nadal funkcjonuje. Dziewczynka nie mogła się ukryć.

Właśnie na tym poziomie wykryli sygnał.

Komandos czekał na rozkaz.

Mapplethorpe dał mu znak, że może sforsować drzwi. Spojrzał na zegarek. System samozniszczenia miał zadziałać za trzy minuty. Gdyby Painter Crowe nie zdecydował się na wyłączenie systemu samozniszczenia, zamierzał przejąć dziewczynkę i bezpiecznie się ewakuować. Jeśli będą działać szybko, z pewnością im się uda. Wyjście ewakuacyjne znajdowało się nieopodal, na końcu korytarza, i prowadziło do podziemnego garażu.

Żołnierze wpadli przez drzwi i szybko pobiegli do następnego pomieszczenia. Mapplethorpe szedł za nimi. Zamknął za sobą drzwi. Usłyszał ciche rozkazy i zobaczył, jak najemnicy rozbiegają się między rzędami szafek.

Mapplethorpe poszedł za komandosem trzymającym wykrywacz sygnałów. Z tyłu ubezpieczało go dwóch żołnierzy. Ten z przodu biegł między szafkami z uniesioną ręką. Wreszcie dotarł do źródła sygnału, opuścił rękę i wskazał nią szafkę.

W ciszy, która nastąpiła, Mapplethorpe usłyszał ciche jęknięcie dochodzące z wnętrza szafki.

Wreszcie.

Szafkę chroniła mała kłódka. Inny żołnierz miał przy sobie nożyce, które szybko poradziły sobie z takim zabezpieczeniem. Mapplethorpe machnął ręką. Czas uciekał.

- Szybciej!

Komandos złapał za rączkę i pociągnął drzwi. Mapplethorpe zobaczył w środku cyfrowy dyktafon i przekaźnik oraz paralizator miotający ładunki elektryczne.

Pułapka.

Mapplethorpe odwrócił się i zaczął biec.

Usłyszał strzał i trzask iskry elektrycznej.

Mapplethorpe krzyknął, gdy rozległ się głośny huk towarzyszący zapaleniu przyspieszacza rozpylonego w powietrzu. Zabrzmiało to, jakby włączono gazowy grill. Nastąpił błysk i przetoczyła się kula ognia, która uniosła go w powietrze i rzuciła aż pod szafki. Ubranie spaliło się natychmiast. Wdychał płomienie do płuc, skóra na głowie spaliła się do gołej czaszki. Uderzył w ścianę, nie był już człowiekiem, a jedynie konającą płonąca pochodnią.

Na piętrze poniżej, w szatni sali gimnastycznej Painter słyszał krzyki dochodzące z szatni gabinetów medycznych. Podejrzewając, że Mapplethorpe będzie kierował się sygnałem emitowanym przez Saszę, przygotował tam pułapkę. Do jednej z szafek włożył krótkofalówkę Cobra, którą już raz wykorzystali do odciągnięcia helikopterów z okolic bezpiecznego domu. I tak jak wcześniej ustawił radio na częstotliwość sygnałów wysyłanych przez nadajnik mikrochipowy.

Gdy Painter był chłopcem, często chodził z ojcem na polowania w rezerwacie Indian Mashantucket, ziemi jego plemienia. Nauczył się konstruować pułapki i wabić zwierzyne. Dziś wykorzystał umiejętności nabyte w dzieciństwie.

Jego fałszywe tropy przyciągały wrogów jak ogień ćmy. I tak jak te ćmy ich

też spotkał koniec w płomieniach.

Painter nie odczuwał żadnych skrępowań z powodu zlikwidowania tych ludzi. Miał w pamięci obraz padającego Seana McKnighta. Zginęli też dwaj inni pracownicy Sigmy. Spojrzał na zegarek. Wskazówka minutowa minęła dwunastą i tym samym nadeszła godzina zadziałania systemu samozniszczenia.

Wstrzymał oddech, ale nic się nie stało.

Wcześniej, po włączeniu systemu samozniszczenia, pobiegł do pomieszczenia technicznego i ręcznie odłączył system elektronicznego zapłonu. Chciał, żeby poziomy bunkra wypełniły się palnym gazem, ale Mapplethorpe miał rację. Painter nie mógł pozwolić, by kosztem ratowania dziewczynki zginęli jego ludzie pojmani na górze przez komandosów. Zamiast spalić całą centralę dowodzenia, zastawił pułapkę, ograniczając ognistą burzę do jednego pomieszczenia i ściągając do niego Mapplethorpe'a i jego ludzi.

Teraz, gdy ich szef wraz z częścią komandosów zginął, pozostali najemnicy najprawdopodobniej szybko rozpląną się w mroku i znikną.

- Czy ten ogień się nie rozejdzie na inne pomieszczenia? - Lisa przytuliła się do Paintera.

Odpowiedź przyszła z góry. Zadziałał system automatycznego gaszenia pożaru i ze zraszaczy umieszczonych na suficie zaczęła lecieć woda i piana gaśnicza.

- Czy to już koniec? - zapytała. Skinął głową.

- Tutaj tak.

Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że w innych częściach świata nie wszystko się zakończyło.

10.53

Prypeć, Ukraina

Gray popędził w stronę zamykających się stalowych drzwi w tylnej ścianie potężnego hangaru. Miał ciała dwóch robotników zabitych strzałami w głowę.

Tętno dudniło mu w uszach, ale dosłyszał echa głośniejszych braw dochodzących z odległych trybun, zupełnie jakby był na torze wyścigowym i pędził do mety na dystansie czterystu metrów. Tylko że w tym biegu życie kibiców zależało od tego, czy dobiegnie do linii mety w odpowiednim czasie.

Dotarł wreszcie do wjazdu i zanurkował pod opuszczającą się bramę. Czuł się, jakby wchodził do wąskiego tunelu. Zbudowana ze stalowych płyt brama była szeroka na kilka metrów. Czołgał się do przodu, a krawędź wrót obniżala się coraz bardziej, niemal już go dotykając. Ogarnęła go panika i jeszcze przyspieszył.

Wreszcie dotarł do końca i wsunął się do środka. Między jednym uderzeniem serca a drugim objął spojrzeniem olbrzymie wnętrze, stalowe rusztowania po bokach, betonowo-stalową budowlę wysokości dziesięciu kondygnacji. To był

ten niesławny sarkofag, grobowiec reaktora numer cztery. W tej chwili hangar prawie całkowicie przykrywał już stary sarkofag. Za nim wznosił się wysoki mur, do którego miał przybić hangar, by szczelnie osłonić ruiny elektrowni.

Teraz jeszcze przez chwilę słoneczny łuk jak ognista tęcza spinał brzegi sarkofagu. Tylko tyle świata zewnętrznego było stąd widać. Gdy Gray się temu przyglądał, szczelina robiła się coraz węższa.

Z lewej strony dobiegał go głos kogoś mówiącego po rosyjsku na zewnątrz hangaru, dumny i donośny, niosący się z głośników rozmieszczonych wokół trybun. Słyszał także stałe burczenie podnośników hydraulicznych ciągnących hangar.

Nagle po prawej stronie usłyszał strzał.

Przypomniawszy sobie ciała na zewnątrz. To krwawe ślady Nikołaja.

Biegnąc w tamtym kierunku, Gray ominął stos stalowych płyt, betonowego gruzu i wózek widłowy. Powietrze śmierdziało olejem i smakowało rdzą. Gdy dotarł do narożnika starego sarkofagu, wyjął pistolet.

Wychylił się zza rogu i dostrzegł kulejącą postać zmierzającą w stronę zwiężającego się łuku światła. Była jakieś dwadzieścia metrów od wyjścia. Gray podniósł broń.

- Nikołaj! - zawołał ostro.

Senator odwrócił się kompletnie zaskoczony.

- Nie ruszaj się! - krzyknął komandor.

Nikołaj wyławił go z mroku przez sekundę, po czym odwrócił się i zaczął biec. Gray nie mógł ryzykować zabicia senatora. Przynajmniej dopóki nie dowie się, co tamten zamierzał. Dokładnie wycelował i strzelił. Trafił w zdrową nogę Nikołaja, który padł na ziemię.

Gray pobiegł do niego, ale taki człowiek jak Nikołaj, który wspinał się na wyżyny władzy, nie poddając się stresowi, i teraz nie zamierzał się poddawać. Poturlał się po podłodze i ukrył za stosem wielkich stalowych belek. Pociski poleciały w stronę Graya, zmuszając go do odskoczenia w bok. Schował się za paletą drewna.

- Czort! Rodiłsja czieriez żopu! - Nikołaj przeklinał go po rosyjsku, a jego głos wskazywał, że znajduje się na granicy hysterii. Krzyknął do Graya: - Nie możemy tu zostać, swołocz! Mamy mniej niż trzy minuty.

Gray widział coraz bardziej zwiężający się łuk słońca pomiędzy masywnym murem z betonu a przesuwającym się hangarem. Zostały już tylko cztery metry do zasunięcia. Nic dziwnego, że Nikołaj tak się spieszył.

- Powiedz mi, jak zatrzymać operację Uran! - krzyknął Gray w odpowiedzi.

- Nie da się jej zatrzymać po zainicjowaniu! Jedyne, co możemy zrobić, to stąd uciekać! I to szybko!

- Powiedz mi, co zaplanowałeś.

- Proszę bardzo! Ładunki kruszące! Są zatopione wewnątrz słupów podporowych po drugiej stronie sarkofagu. Rozedrą na kawałki mur i wszyscy po tamtej stronie dostaną śmiertelną dawkę promieniowania. Nie da się już temu zapobiec. Musimy uciekać! Już!

Gray usiłował pojąć to, co usłyszał, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie.

Nawet jakby pobiegł na zewnątrz i kazał im się wszystkim ewakuować, to i tak byłoby już za późno.

- Nie ma powodu, dla którego musielibyśmy umierać razem z nimi - ciągnął Nikołaj. - Świat potrzebuje nowej inicjatywy. Potrzebuje silnych ludzi. Takich jak ja. I ty. Naszym celem jest ulepszenie ludzkości, nadejście nowego renesansu.

Gray przypomniał sobie wcześniejszą wypowiedź senatora o nastaniu nowego proroka dziejowego. Zatem tak planował to osiągnąć — wywołać chaos na arenie międzynarodowej, po czym oferować rozwiązanie zaproponowane przez figuranta, który korzystałby z przepowiedni implantowanych dzieci.

- Nawet jeśli tu umrzemy - kontynuował swój wywód Nikołaj - nie będzie to jeszcze koniec. Zostały już wdrożone plany, których nie można zatrzymać. Nasza śmierć niczemu się nie przysłuży. Przystąp do nas. Moglibyśmy przecież współpracować.

Gray nie potrafił wymyślić żadnego sposobu na powstrzymanie tego, co miało nastąpić.

Za kryjówką Nikołaja hangar przybliżał się coraz bardziej do muru.

- Dwie minuty! - krzyknął Nikołaj do Graya. - Na zewnątrz jest obłożona ołowiem kabina. Zdażymy do niej, jeśli teraz pobiegniemy!

Nikołaj poruszył się w kryjówce, rozważając rzucenie się w tamtym kierunku. Lecz ze skrzyconą kostką i raną postrzałową drugiej nogi musiał zdawać sobie sprawę, że jest to pewna śmierć.

Ale pozostanie na miejscu też nią było.

Senator ostatecznie odrzucił na bok pistolet i wyszedł na otwartą przestrzeń. Stał, zataczając się, przed Grayem z rozłożonymi na boki rękami.

- Jeśli to jest jedyny sposób na życie, to niech tak będzie! Gray przeklął pod nosem. Nie zdoła zapobiec masowej zbrodni, ale może pojmać jej sprawcę. Wyszedł na otwartą przestrzeń z uniesionym pistoletem.

W tym samym momencie szum podnośników hydraulicznych zamienił się w przeraźliwe zgrzytanie. Potężny hangar zaczął drżeć z jękiem dwudziestu tysięcy ton.

Co to było?

Kowalski przeszedł nad zastrzelonym żołnierzem, by podejść do tablicy kontrolnej koło Eleny. Gdy Gray pobiegł do hangaru, on i Elena pojechali motocyklem, który Rosjanka prowadziła, jakby brała udział w wyścigach NASCAR. Kowalski musiał się tak mocno trzymać poręczy kosza, że jeszcze teraz trzęsły mu się dłonie. Dojechali na tyły hangaru i pobiegli do betonowego bunkra, z którego wychodziły grube przewody zasilające.

To było pomieszczenie sterowania podnośnikami hydraulicznymi.

Zanim tam weszli, doszło do krótkiej, lecz intensywnej strzelaniny.

Kowalski próbował w jakiś sposób pomóc, ale Elena poruszała się z karabinem automatycznym jak primabalerina na scenie opery. Tańczyła i wykonywała obroty, unikając trafień, jakby potrafiła przewidzieć każdy strzał. Wyłączyła z gry czterech żołnierzy. Kowalski zabił tylko jednego.

- Ludzie Nikołaja - powiedziała po zakończeniu strzelaniny.

W środku Elena przystąpiła do pracy. Pochylona nad tablicą kontrolną pchnęła potencjometry w stronę czerwonej kreski, chcąc przyspieszyć zatrzaśnięcie hangaru.

Na zewnątrz jeden z potężnych silników zaczął dymić, jakby miał za chwilę wybuchnąć. Na tablicy zamrugała czerwona kontrolka. Nie wróżyło to nic dobrego.

Kowalski odsunął się od Eleny i spoglądał na rząd monitorów, które przekazywały obraz z kamer umieszczonych wewnątrz hangaru. Na środkowym monitorze dostrzegł dwie mikroskopijne postacie.

Gray i ten Rosjanin.

Kamera pokazywała obraz pod kątem i Kowalski widział to, czego nie mógł zobaczyć Gray.

- O cholera! Elena! - zawołał. - Przyda się twoja pomoc! Odwrócił się akurat w chwili, gdy Elena padała na podłogę.

Wyciągnął rękę i złapał ją w tali. Dłonią wyczuł, że bluzka pod jej ciemną marynarką jest mokra i gorąca. Rozpiął marynarkę i zobaczył, że cały lewy bok dziewczyny jest zakrwawiony. Najwyraźniej jej taniec między kulami nie był tak bezbłędny, jak się mogło wydawać.

- Czemu nic nie powiedziałaś? - zapytał z bólem w głosie. Machnęła ręką w stronę monitorów.

- Pokaż, o co chodzi.

Gray starał się domyślić, dlaczego hangar nagle zaczął się szybciej przesuwac. Przesuwanie dwudziesta tysięcy ton nie daje się tak szybko zwiększyć, ale hangar zdecydowanie przyspieszył, czemu towarzyszyło wycie silników.

- Nie! - krzyknął Nikołaj.

Gray zrozumiał, że nuta w jego głosie oznacza strach, iż teraz ma jeszcze mniej czasu na ucieczkę, oraz przerażenie, że jego plany nie zostaną zrealizowane, jeśli hangar zamknie się za wcześnie.

- Idziemy! - zdecydował Gray, celując w niego z pistoletu. Nikołaj opuścił wyciągniętą rękę - i dopiero okazało się, co trzymał w drugiej dłoni, schowanej za stosem stalowych belek. Drugi pistolet.

Wycelował go w brzuch Graya i wystrzelił.

Grayowi udało się przekreślić bokiem, ale kula i tak go drasnęła. Wycelował i strzelił, lecz pocisk zrykoszetował o podłogę, nie czyniąc Nikołajowi żadnej krzywdy. A co gorsza, zamek pistoletu odskoczył, odsłaniając pustą komorę. Koniec amunicji.

Ale nie w pistolecie Nikołaja.

Rosjanin trzymał go na muszce.

Koncentrując się na pojedynku, Nikołaj nie zauważył ruchu pod sufitem łukowatego hangaru. Potężny, żółty wózek dźwigu przejechał po ramie nad nimi i opuścił gigantyczny hak.

Towarzyszający temu świst powietrza w końcu zwrócił uwagę Nikołaja. Spojrzał do góry w momencie, gdy zakrzywiony kawał stali, wystarczająco wielki, by kotwiczyć statki, opadł z łoskotem na stos stalowych belek obok niego. Nikołaj

próbował odsunąć się na bok, ale potężny hak rozsypał połowę belek, z których kilka przygniotło Rosjaninowi nogi.

Jego pistolet poleciał gdzieś w bok.

- Pomóż mi! - jęczał załamany, z paniką w oczach. Czas się skończył.

Za stosem belek zwięzająca się szczelina pomiędzy stalowym hangarem a betonową ścianą miała niewiele więcej niż metr szerokości. Gray przeskoczył rozsypane belki i pobiegł do wyjścia.

Gdy dotarł do szczeliny, Nikolaïj krzyknął:

- Wcale nie wygrałeś, swołocz! I tak miliony zginą! Gray nie miał czasu na wyjaśnienia. Rzucił się w szczelinę i zaczął się przeciskać między przybliżającymi się do siebie ścianami, jedną ze stali, drugą z betonu. Grubość stalowej ściany hangaru wynosiła kilkanaście metrów. Gray pędził na złamanie karku. Jednak ściana zaczęła już ścisnąć jego klatkę piersiową, niemalże go unieruchamiając. Wypuścił całe powietrze. Na bezdechu przecisnął się ostatnie kilka metrów i wyskoczył na zewnątrz, zachłystując się powietrzem i padając na ziemię.

Zupełnie jakby urodził się po raz drugi.

Nie zauważył postaci stojącej z boku hangaru. Wcisnęła się w szczelinę, gdy on z niej wyskoczył.

Odwrócił się.

- Elena! Nie! Nie zdążysz!

Przekreślił się i rzucił za nią ale ona była już głęboko, a on ze swoją okazałą posturą nie mógł się z powrotem tam wcisnąć, by ją złapać. Ruszała się szybko, była coraz dalej.

Gray modlił się, by udało się jej bezpiecznie przedostać na drugą stronę, ale tam i tak czekała na nią śmierć. Dopiero teraz dostrzegł ciągnący się za nią krwawy ślad.

- Gdzie jest Elena? - zapytał Kowalski, który się nagle pojawił.

Gray pokręcił głową, wiedząc, że zniknęła w szczelinie. Kowalski rozglądał się dookoła.

- Zostawiła mnie na górze, po tym jak spuściła hak na tego gnojka. Powiedziała, że schodzi na dół, by pomóc.

Gray odwrócił wzrok.

- I tak właśnie zrobiła.

Nikolaïj leżał na plecach, jego nogi przywaliło z pół tony stalowych belek. Choć już prawie konał, to usłyszał kroki. Elena, potykając się, zbliżyła się do niego.

- Och, miłaja maja, co tutaj robisz? Położyła się obok niego.

Bluzkę miała przesiąkniętą krwią.

- Ljubow maja - powiedział z mieszanką bólu i opiekuńczości. Otoczył ją ramieniem, w które się wtuliła. Trzymał ją w objęciach i lekko bujał. Ostatnie promienie słońca ginęły w szczelinie.

Majestatyczny szcęk stali uderzającej w beton towarzyszył całkowitemu domknięciu się hangaru. Kilka chwil później rozniósł się echem grzmot kruszącego się betonu odległej ściany starego, betonowego sarkofagu. Ładunki

burzące eksplodowały zgodnie z planem, ale Nowy Sarkofag zdążył już połączyć się z betonową ścianą, chroniąc ludzi na zewnątrz przed promieniowaniem.

Nikołaj nie miał tego szczęścia.

Spoglądał do góry na oświetlone lampami sklepienie hangaru. Stalowe elementy były pokryte grubą warstwą poliwęglanu, żeby odbijać promieniowanie.

To było już bez znaczenia, ale Nikołaj mimo wszystko uniósł klapę kieszeni marynarki, do której od spodu przymocował osobisty dozymetr. Wcześniej rano jego powierzchnia była śnieżnobiała. Teraz - czarna jak noc.

Puścił dozymetr i drugim, wolnym ramieniem objął Elenę.

- Dlaczego? - zapytał.

Tyle pytań kryło się w tym jednym słowie. Dlaczego Elena go zdradziła? Nikołaj wiedział, że tak się właśnie stało. Nie było innego wytłumaczenia. Ale dlaczego wróciła?

Nie odpowiedziała. Uniósł głowę i dostrzegł szkliste oko.

Jego ukochana nie żyła.

On też.

Tylko że on był żywym trupem.

Zdawał sobie sprawę, jaki czeka go koniec. Przez całe życie w świecie polityki wykorzystywał śmierć. A teraz sam będzie umierał w tak poniżający sposób.

Gdy mocniej przytulił Elenę, coś wypadło z jej ręki i wylądowało na jego nodze. Sięgnął i złapał ostatni od niej upominek.

Jego pistolet.

Musiała podnieść go z podłogi. To dlatego przyszła.

By się pożegnać i zaproponować sposób, by uciekł razem z nią. Przytulił ją i po raz ostatni pocałował chłodne usta.

- Ty moje słonyszko... Faktycznie była jego słońcem.

Trzymając ją w ramionach, uniósł pistolet do ust.

7 września, 11.00
Południowy Ural

Z karabinem na ramieniu Monk pokonał ostatnią serpentynę. Przed nim rozciągał się kompleks górniczy rozłożony pod granitową skałą. Metalowe obudowy baraków i stary budynek siłowni pokryte były rdzawym nalotem. Dachy i rynny łuszczyły się rdzą, okna miały powybijane szyby lub wręcz powypadały. Zardzewiały sprzęt i narzędzia - łopaty, kilofy i taczki - leżały tam, gdzie je porzucono dziesiątki lat temu.

W niewielkiej odległości od skały wznosiły się hałdy resztek i odpadów kopalnianych. Wśród stosów kamieni wyrastała wieża nadszybia z bomami ładowniczymi, podnośnikami i różnymi rękawami do wysypywania rud metali na ciężarówkę.

Kulejąc na pospiesznie zabandażowanej nodze, Monk zastanawiał się, skąd

tak dużo wiedział o górnictwie. Czy ktoś z jego rodziny może...

Nagle w jego głowie rozbłysła seria obrazów: starszy mężczyzna w kombinezonie roboczym, pobrudzonym pyłem węglowym... ten sam mężczyzna w trumnie... płacząca kobieta...

Te błyski obrazów z przeszłości zakończyły się bólem, który jak prąd elektryczny przeniknął jego ciało.

Wzdrygnął się i poprowadził dzieci oraz Martę przez labirynt taśmociągów, kopalnianych wózków i rynien załadowniczych do celu. Para szyn wiodła ich do otwartej sztolni w szczycie skały. To było główne wejście do kopalni.

Monk się odwrócił.

Poniżej rozpościerało się jezioro Karaczaj. Oszacował, że w tym miejscu osiągało szerokość około dwóch kilometrów, a jego długość wydawała się trzy razy większa od szerokości. Wpatrywał się też w krajobraz górski za jeziorem, starając się odnaleźć miejsce, z którego rozpoczęli wędrówkę.

- Musimy się pospieszyć - przypomniał mu Konstantin. Skinął głową. Starszy z chłopców szedł między młodszymi dziećmi. Marta trzymała się z boku. Monk prowadził ich do wejścia do kopalni, ale w jego pobliżu dostrzegł problem. Wjazd do sztolni był zabezpieczony grubymi deskami od dołu do samej góry.

Stan całego kompleksu wskazywał, że to miejsce nie było odwiedzane od lat, ale przy wejściu spostrzegł stos niedopałków i puste butelki po wódce. Na ziemi ujrzał świeże ślady butów. Sztolnia poniżej wcale nie była taka opuszczona, jak to mogło z zewnątrz wyglądać. Ktoś najprawdopodobniej przychodził tutaj ostatnio na przerwy w pracy.

Spojrzał za siebie. Nie dostrzegł żadnych zaparkowanych samochodów ani śladów opon przecinających kompleks górniczy, więc ten, kto tu bywał, musiał opuszczać kopalnię w zupełnie inny sposób. Konstantin już mu to wyjaśnił.

Pod jeziorem istniała podziemna linia kolejowa pomiędzy Kompleksem Górniczym nr 337 a Czelabińskim 88. Pracownicy kopalni najprawdopodobniej opuszczali jej teren z drugiej strony.

Modlił się, żeby nikt tu na nich się nie zaczął. Podeszedł do prostokąta blachy falistej przymocowanej do drewnianej zapory.

- I co teraz mamy zrobić? - zapytał. - Zapukać? Konstantin zmarszczył czoło i podeszedł do drzwi. Podniósł skobel i pchnął jedno skrzydło. Drzwi nie były zamknięte na kłódkę.

Monk ściągnął broń z ramienia i wycelował w otwór.

- Powinieneś mnie ostrzec, że coś takiego zrobisz - szepnął.

- Przecież nikt tu nie przychodzi - odparł Konstantin. - Jest tu zbyt niebezpiecznie. Więc po co komu klucze. To jest tylko ochrona przed niedźwiedziami i wilkami.

- No i przed wałęsającymi się tygrysami - mruknął pod nosem Kokkalis.

Konstantin rzucił swój pakunek na ziemię, pogrzebał w środku i wyciągnął latarkę. Podał ją Monkowi, który zarzucił karabinek na ramię, pochylił się, by precyzyjnie przejść przez drzwi, i poświecił latarką do środka. Potężne drewniane belki podtrzymywały strop głównego tunelu, który opadał do wnętrza góry. Stalowe szyny niknęły w ciemności, nieosiągalnej dla promienia latarki. W

zasięgu światła, niedaleko drewnianej bramy stały wagoniki na rudę.

W głębi dostrzegł rozchodzące się korytarze. Podejrzał, że cała góra pocięta jest labiryntami szybów i tuneli. Nic dziwnego, że niedawno przebywający tu górnicy od czasu do czasu lubili porzucić egipskie ciemności i wyskoczyć na powierzchnię, by nacieszyć się odrobiną światła, nawet jeśli oznaczało to kilka minut przebywania w okolicach skażonego jeziora.

- No to dokąd teraz? Konstantin milczał.

- Nie wiem. Wiem tylko, że na dół - odpowiedział chłopiec, wznosząc ramionami.

Monk westchnął. Zawsze to był jakiś kierunek. Z latarką w ręku wszedł w ciemność.

Sawina zauważyła uśmiechy na twarzach. Podniecony szczebiot rozchodził się wśród starszych dzieci, podczas gdy młodsze biegały dookoła, bo rozpierała je energia. Różniły się zdecydowanie od najmłodszych dzieci, tych w wieku poniżej pięciu lat, które były za małe na zaimplantowanie. Ta grupka stała w ciszy na uboczu, po zachowaniu dzieci widać było różne stopnie nie-leczonego autyzmu: niektóre siedziały bez ruchu, inne patrzyły przed siebie jakby nieobecne, bezustannie powtarzały te same gesty.

Czworo opiekunów starało się jakoś okiełznać gromadę ponad sześćdziesięciorga dzieci.

- Trzymajcie się swoich grup!

Pociąg już czekał przed otwartą pancerną bramą na tyłach podziemnego miasteczka Czelabińsk 88. Zabierze dzieci na krótką przejażdżkę. Czasem organizowano małym dzieciom taką atrakcję, ale dziś pociąg jechał tylko w jedną stronę. Już tu nie wróci, pozostanie na stacji końcowej w sercu operacji Saturn.

Za plecami Sawiny na dzieci pustymi oczodołami okien spoglądały poradzieckie bloki mieszkalne. Opiekunowie mieli to samo puste spojrzenie mimo wypowiedzianych ciepłych słów.

- Czy wszyscy wzięli lekarstwa? - zapytała donośnym głosem opiekunka o wyglądzie matrony.

Leki, które miała na myśli, składały się ze środków uspokajających połączonych z wrażliwym na promieniowanie radioaktywne związkiem chemicznym. Teraz jeszcze dzieci były podniecone, ale w ciągu godziny zasną. To zmniejszy ich strach i przerażenie, gdy odpalone zostaną ładunki po przeciwnym końcu tunelu i rozpocznie się operacja Saturn. Kiedy do tunelu doprowadzającego wpłyną pierwsze fale wody z jeziora, to wzrost promieniowania przemieni wrażliwy na radioaktywność związek znajdujący się w układzie krążenia dzieci w śmiertelną truciznę oddziałującą na układ nerwowy i spowoduje natychmiastową śmierć.

Początkowo zastanawiano się nad zwykłą eutanazją poprzez śmiertelny zastrzyk, ale taki bezpośredni akt zabójstwa wychodził już daleko poza nawet najbardziej profesjonalne podejście naukowców do dzieci. No i wtedy wszystkie martwe ciała trzeba by ręcznie przenosić, ładować i przewieźć do serca operacji Saturn. Zdecydowano, by promieniowanie radioaktywne, oddziałujące

przez wiele tygodni podczas odpływania wód jeziora, wypali ciała i zniekształci DNA poniżej poziomu umożliwiającego identyfikację - oczywiście gdyby ktokolwiek odważył się na przybycie w to miejsce. Poziomy promieniowanie w tunelu uniemożliwia penetrację podziemnych obiektów przez całe dziesięciolecie.

W końcu zatwierdzono obecnie realizowany plan jako najbardziej skuteczny, w najmniejszym stopniu okrutny i zapewniający dzieciom na koniec choć odrobinę radości.

Sawina stała z rękami z tyłu. Zaciskała mocno dłonie, żeby tylko nie rzucić się i nie odciągnąć dzieci od pociągu. Ale przynajmniej uratowała dziesiątkę. Musiała cieszyć się tym, co jej pozostało, i pogodzić się z rzeczywistością.

Najlepsza dziesiątka.

Została w bloku mieszkalnym, gdzie stworzono centrum dowodzenia operacją Saturn. Po zakończeniu działań ta na miejscu dziesiątka zostanie przewieziona do nowego ośrodka w Moskwie. Nadszedł czas, by ten naukowy projekt ujrzał światło dzienne.

To będzie jej dziedzictwo.

Ale taki dar generował duże koszty.

Jasny śmiech i wesołe nawoływania towarzyszyły ostatnim wsiadającym dzieciom, kłócącym się, które mają jechać w otwartych wagonach na rudę, a które z przodu lub z tyłu pociągu. Kilko ze starszych dzieci zastanawiało się głośno, dlaczego jadą same bez dorosłych opiekunów, ale nawet one były bardziej podniecone przejażdżką niż zmartwione.

Gdy ostatnie dzieci wsiadły, zasyczały hydrauliczne hamulce i pociąg ruszył. Śmiech i nawoływania rozchodziły się po całym tunelu. Chwilę później pancerna brama powoli się zamknęła, odcinając wesołe głosy dzieci.

Czworo opiekunów ruszyło w swoją stronę. Nie odzywali się do siebie. Nawet nie spojrzeli w kierunku Sawiny. Poza otęłą kobietą o wyglądzie matrony w fartuchu do kostek. Gdy przechodziła, podniosła rękę do Sawiny, chcąc ją pocieszyć, ale zmieniła zdanie i opuściła rękę.

- Nie musiała pani tu przychodzić - powiedziała cicho do Sawiny, a ta odwróciła się bez słowa, nie ufając swojemu głosowi.

Nie... Nie, musiałam.

11.16

Prypeć, Ukraina

Gray rozsiadł się w limuzynie. Za kierownicą zajęła miejsce Rosauro, a obok niej usiadł Luka. Szybko przejechali przez pierwszy punkt kontrolny, uciekając z miasta. Zamknięta strefa ochronna wokół Czarnobyla rozciągała się w promieniu trzydziestu kilometrów od elektrowni. Miała dwa punkty kontrolne, jeden na dziesiątym, a drugi na trzydziestym kilometrze.

Gray chciał znaleźć się za drugim punktem kontrolnym, zanim ktoś się zorientuje, że stało się coś z reaktorem. Gdy w jego pobliżu odnalezione zostaną

ciała, to cały obszar zostanie zamknięty.

Wcześniej, gdy Gray i Kowalski wracali do Prypeci z miejsca ceremonii, Gray połączył się z Rosauero przez krótkofalówki, które dał im Masterson. Rosauero przekazała mu informację, że dowództwo Sigmy nie odbiera telefonu. Powiedział, by próbowała do skutku. Gdy dotarł do hotelu, komunikacja z Waszyngtonem została nawiązana. Rosauero „wypożyczyła” jedną z limuzyn. Ukradła też telefon komórkowy jej kierowcy.

Gray trzymał teraz w dłoni ten telefon, czekając na rozmowę z dyrektorem Crowe'em, który był zajęty w Waszyngtonie. Wcześniej dowiedział się, że Mapplethorpe nigdy już nie dostanie pensji, no i że Sasza jest bezpieczna.

Gray siedział z tyłu limuzyny z Elizabeth i Kowalskim. Jego partner był bez koszuli, a Elizabeth próbowała opatrzeć jego ranę postrzałową.

- Przestań się ruszać!
- Ale to boli!
- To tylko jodyna.
- No i co z tego, szczybie jak jasna...

Elizabeth zmarszczyła brwi, ucinając dalszy ciąg wypowiedzi.

Gray był wdzięczny Kowalskiemu za uratowanie życia w hangarze poprzez upuszczenie półtonowego haka na stalowe belki. Może faktycznie Elena uruchomiła maszynę, ale to Kowalski wypatrzył zagrożenie i doprowadził do uratowania swego szefa.

Nadał jednak nie byli bezpieczni.

Gray przekręcił głowę i przyglądał się mijanym wzgórzom upstrzonym brzozywymi zagajnikami. Serce waliło mu przyspieszonym rytmem. Jego mózg przerabiał sto różnych scenariuszy. Uciekali z Czarnobyli, ale przecież musieli dokądś jechać.

Dzwoniły mu w uszach słowa Nikołaja: Wcale nie wygrałeś... miliony zginą.

Co miał na myśli? Gray zdawał sobie sprawę, że nie była to tylko czcza groźba. Sama nazwa planu Nikołaja - operacja Uran - nawiązywała do zwycięskiej ofensywy Rosjan przeciwko Niemcom podczas drugiej wojny światowej. Ale zwycięstwa nie zapewniła im tylko jedna operacja. Zostało ono osiągnięte dzięki bezbłędnej realizacji dwóch planów. Dwoch operacji - Uran i następującej po niej Saturn.

Gdy Gray uciekał z hangaru, nazwę tej drugiej operacji wyjawiał mu Nikołaj. Była już przygotowana. Ale gdzie miała być przeprowadzona i o co w niej chodziło?

W końcu telefon zadzwonił.

Gray odchylił klapkę komórki i przycisnął ją do ucha.

- Dyrektor Crowe?
- Co tam u was? - zapytał Painter.
- Tak dobrze, jak można się było spodziewać.
- Załatwiłem wam transport. Kilka kilometrów na zachód od strefy zamkniętej jest prywatne lotnisko wykorzystywane do obsługi przybyłych na ceremonię VIP-ów. Brytyjski wywiad zaoferował nam jednego z ich odrzutowców. Prawdopodobnie chcą zachować twarz i nadrobić to, że nie

posłuchali profesora Mastersona, swojego byłego agenta. A tak przy okazji, uruchomiłem alarm i nagłośniłem sprawę nieudanego zamachu w Czarnobyli. Dla zapewnienia dodatkowego bezpieczeństwa już rozpoczęto ewakuację.

- Bardzo dobrze. - Głos szefa trochę go uspokoił. Przynajmniej nie był tu sam.

- Z pewnością mieliście dzisiaj sporo przeżyć.

- Tak jak pan... ale to jeszcze nie koniec.

- Co masz na myśli?

Gray zrelacjonował mu to, co powiedział rosyjski senator, i uzupełnił o własne przypuszczenia.

- Poczekaj - powiedział Painter. - Mam tu Kat Bryant i Malcolma Jenningsa. Przełączam na głośnik.

Gray kontynuował, mówiąc o prawdopodobieństwie istnienia drugiej operacji, której celem był masowy atak i wielka liczba ofiar.

Kowalski też przysłuchiwał się rozmowie, gdy Elizabeth bandażowała mu ranę.

- Powiedz im o osiemdziesięciu ośmiu jelly beans! - zawołał, wtrącając się do rozmowy.

Gray zmarszczył czoło. Jeszcze w hangarze Elena usiłowała o czymś powiedzieć Kowalskiemu, zanim pobiegnęła do Nikołaja, ale Kowalski najprawdopodobniej źle zrozumiał jej słowa, gubiąc poprawne znaczenie.

- Jak to co? - naciskał Kowalski. - Osiemdziesiąt osiem jelly beans.

- Co on powiedział? - głos Kat zabrzmiał jak szept.

- Myślę, że on nie zrozumiał poprawnie...

- Czy on powiedział chella-bins?

- Nie, jelly beans!

Kowalski kiwnął głową, zadowolony z siebie. Gray westchnął w duchu. Nie mógł uwierzyć, że rozmawiają o czymś takim.

Przez moment po drugiej linii prowadzono rozmowę, z której Gray niewiele rozumiał. Painter, Kat i Malcolm rozmawiali o czymś, co się u nich wydarzyło. Gray usłyszał tylko, że Kat mówi coś o liczbie osiemdziesiąt osiem napisanej krwią.

Malcolm odezwał się głośniej, zarówno do Graya, jak i Kat.

- Czy to, co wy dwoje usłyszeliście, to mogło być słowo Czelabińsk?

- Czelabińsk? - zapytał Gray głośno.

- Chyba tak - odparł Kowalski.

Kat też przytaknęła.

Malcolm mówił szybko, to oczywisty znak, że był podekscytowany.

- Spotkałem się z tą nazwą. Ze względu na całe to zamieszanie tutaj nie miałem możliwości zastanowić się, o co chodzi.

- I co dalej? - naciskał Painter.

- Sygnatury promieniowania radioaktywnego z próbek z płuc profesora Polka pasowały do specyfiki izotopów uranu i plutonu wykorzystywanych w Czarnobyli. Ale kolejne testy nie potwierdzały tej tezy. To wszystko nie było tak oczywiste, jak mi się wcześniej wydawało. Wyglądało, jakby jego ciało zostało

zatrute mieszkanką radioaktywnych izotopów, choć faktycznie najsilniejsze z nich pochodziły z paliwa reaktorów Czarnobyla.

- Do czego pan zmierza? - zapytała Kat.

- Moje odkrycia oparłem na informacjach z bazy danych Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Jeden region świata jest tak skażony radioaktywnością, że trudno sporządzić jego konkretny opis. To właśnie Czelabińsk w środkowej Rosji. Związek Radziecki ukrył przemysł wydobywania uranu i produkcji plutonu w górach Ural. Przez pięćdziesiąt lat obszar ten był całkowicie zamknięty. Dopiero kilka lat temu uchylono zakaz poruszania się po okolicy. - Przerwał na moment, by zwiększyć napięcie. - To właśnie w Czelabińsku wydobywano i przechowywano paliwo jądrowe dla elektrowni w Czarnobylu.

- I sądzi pan, że to właśnie tam Polk uległ napromieniowaniu? Nie przy reaktorze, ale w miejscu, gdzie produkowano paliwo jądrowe? W Czelabińsku? - pytał Gray.

- Tak właśnie uważam. Nawet ta liczba osiemdziesiąt osiem o tym mówi. Rosjanie budowali podziemne miasteczka na Uralu i nadawali im nazwy pochodzące od kodów pocztowych. Czelabińsk czterdzieści, Czelabińsk siedemdziesiąt pięć.

I Czelabińsk 88.

Serce Graya znowu zaczęło szybciej bić. Teraz wiedział już, dokąd jechać. Miał nawet numer kodu pocztowego. Painter też to zrozumiał.

- Powiadomię wywiad brytyjski. Powiem im, że będziecie musieli udać się na małą wycieczkę. Powinni dowieźć was w góry w nieco ponad godzinę.

Gray modlił się w duszy, by wystarczyło im czasu. Miliony zginą.

Limuzyna właśnie minęła drugi punkt kontrolny. Znudzony strażnik machnął ręką, że mogą jechać dalej. Painter kontynuował:

- Ale Gray, w tak krótkim czasie nie zorganizuję żadnego wsparcia na ziemi.

- Sądzę, że jakoś sobie poradzimy - odparł komandor, gdy oddalali się od strefy zamkniętej.

Na poboczach po obu stronach drogi stały stare ciężarówki. Dobry tuzin. Mężczyźni siedzieli na polach i w szoferkach.

Luka pochylił się w stronę Rosaura i coś pospiesznie powiedział. Limuzyna zwolniła, a on wyciągnął rękę i machnął przez opuszczoną szybę od strony pasażera.

To był zrozumiały dla wszystkich sygnał.

Jedźcie za nami.

Ciężarówki po kolei ruszały. Podobnie jak dyrektor Crowe Luka Hearn włączył własny alarm, korzystając z telefonu w hotelu, gdy nie udało im się za pierwszym razem nawiązać kontaktu z centralą dowodzenia.

Gray przypomniał sobie słowa Cygana opisujące Romów: „Jesteśmy wszędzie”. Luka mówił prawdę, na jego wezwanie stawiała się mała armia.

Południowy Ural

Im dalej Monk posuwał się w głąb kopalni, tym bardziej był przekonany, że jest całkowicie opuszczona. Nie słyszał żadnych odgłosów rozmów ani szumu maszyn górniczych. Czuł się uspokojony, że przynajmniej nie zostaną wykryci, ale ta pustka zaczęła go przerażać. W tej wszechogarniającej ciszy miał wrażenie, jakby kopalnia wstrzymała oddech przed czymś, co miało nastąpić.

Posuwał się w dół kopalni stromym korytarzem. Czuł piekący ból w nodze. Bez planu kopalni musiał posuwać się śladem kogoś, kto na górze przy bramie pozostawił niedopałki i puste butelki. Nie był to trudny do wykrycia trop. Na piaszczystym podłożu tunelu widniały wyraźne ślady butów. Górnik szedł prosto, przekraczając poprzecznie biegnące strome zsuwnie urobku.

Choć kopalnia wydawała się opuszczona, Monk znalazł wiele dowodów niedawnej działalności: świeży urobek skalny był wsypany do szybów, nowe i błyszczące oprzyrządowanie przymocowane do ścian, nawet porzuconą chłodziarkę wypełniała woda, w której pływały puszki piwa.

Konstantin szedł na końcu ze swoją siostrą, a Piotr cały czas trzymał się uda Monka. Chłopca przerażały ciemne tunele. Amerykanin czuł jego strach, gdy malec się przytulał. Nie bał się ciasnych korytarzy, lecz ciemności. Od czasu do czasu Monk wyłączał latarkę, by sprawdzić, czy z jakiegoś końca korytarza nie dochodzi światło.

W takich właśnie momentach Piotr przytulał się do niego z całej siły.

Marta krążyła koło chłopca, chcąc go chronić, ale i ona w kompletnej ciemności zaczynała drżeć, jakby czuła zupełnie to samo co on.

Doszli do końca korytarza, który łączył się tutaj z innym długim korytarzem; biegły nim tory i nieczynny taśmociąg. Szukając śladów butów, Monk zauważył lekką szarość na końcu tunelu. Uklęknął, przyciągnął Piotra do siebie kikutem i zgasił latarkę.

Ciemność spadła na nich jak płachta. Jednak na końcu korytarza widać było lekki poblask.

- Nie zapalamy już światła - wyszeptał Monk i podał Konstantinowi zgaszoną latarkę. Jeśli mylił się i kopalnia nie była zupełnie opustoszała, to nie chciał, by ktoś zdał sobie sprawę, że oni tu są.

Zdjął z ramienia karabin zabrany snajperowi.

- Teraz cicho - szepnął do dzieci.

Ruszył do końca korytarza po podkładach kolejowych, by uniknąć chrzęstu szutru. Dzieci szły po jego śladach. Marta balansowała na jednej szynie. Monk nasłuchiwał odgłosów obecności ludzi. Słyszał jedynie echo spadających kropel wody. Ten hałas narastał, gdy schodzili coraz niżej. Monk był świadom bliskości jeziora Karaczaj.

Czuł także coraz silniejszy zapach oleju, smarów i spalin. Gdy dochodzili do zakrętu, pojawił się również inny odór przenikający przez zapach maszyn i urządzeń - organiczny.

Ostrożnie wynurzając się zza rogu, Monk odkrył, że korytarz kończył się

podziemną komnatą wykutą w skale. Była wielkości jednej setnej Czelabińska 88, miała trzy kondygnacje wysokości i powierzchnię połowy boiska do futbolu.

Większość podłogi pokrywał sprzęt górniczy i stopy materiałów konstrukcyjnych: zwoje przewodów elektrycznych, drewniane belki, w połowie rozebrane rusztowania, stopy kamieni. Pod jedną ze ścian stało olbrzymie wiertło zamocowane na skrzyni ciężarówki. Całe to miejsce wyglądało, jakby się stąd w pośpiechu ewakuowano. Nie było żadnego porządku w ustawieniu urządzeń na ciężarówce, wszystko zapewne wrzucono byle jak i w byle jakiej kolejności.

Ale przynajmniej zostawili włączone światło.

Kilkanaście lamp sodowych świeciło naprzeciwko wejścia.

- Ostrożnie - ostrzegł Monk. Gestem nakazał podopiecznym pozostanie na miejscach. - W razie czego się ukryjcie.

Posuwał się dalej nisko na nogach z bronią gotową do strzału. Skradał się zygzakiem, wstrzymując oddech, ostrożnie stawiając stopy. Gdy doszedł do przeciwległej ściany, dostrzegł odbijającą światło, zamkniętą pancerną bramę. Wyglądała na nowszą niż wszystko dookoła. Po jej prawej stronie stała budka wielkości szopy na narzędzia ogrodnicze. Przez otwarte drzwi dostrzegł kilka ciemnych monitorów, klawiaturę i rzędy przełączników.

Nikogo nie było w środku.

Zauważył, że karabin zaczyna drżeć mu w ręce. Był zdenerwowany i przejęty. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. Odór stał się jeszcze silniejszy. W pewnej odległości po lewej stronie za stosem porzuconych narzędzi dostrzegł wielką czarną plamę oleju. Podkradł się do narożnika i wyjrzał za róg.

To nie był olej, tylko krew.

Odnalazł źródło przeraźliwego odoru. Pod tylną ścianą pomieszczenia leżał stos ludzkich zwłok ubranych w górnicze kombinezony i laboratoryjne fartuchy. Na ścianie za zwłokami widniały ślady zastygłej krwi.

Rozstrzelani przez pluton egzekucyjny.

Ktoś robił porządki.

Za plecami Monka skradał się Konstantin. Amerykanin odwrócił się, pokręcił głową i wskazał na pomieszczenie z komputerami. Nie chciał, żeby dzieci widziały rzeź. Gestem nakazał Piotrowi i Kisce pozostanie na miejscach.

Konstantin zrównał się z Monkiem, gdy szli do pancерnej bramy.

- Byłem tu już kiedyś - powiedział chłopiec. - Czasem zabierano nas na przejażdżki pociągiem. Te komputery i przełączniki służą do kierowania sterowania.

- Pokaż mi, jak to działa.

Konstantin już wcześniej opowiedział Monkowi o planach generał-major Sawiny Martowej, o operacji Saturn. Wszystkie elementy tej operacji znajdowały się przed nimi za pancerną bramą.

Weszli do sterowni i Konstantin zaczął studiować napisy cyrylicą na konsolach wokół przełączników. Monkowi wydawało się, że niemalże widzi, jak jego mózg analizuje dane wręcz z ponadludzką prędkością. Po chwili skupienia palce chłopca zaczęły przestawiać przełączniki z olbrzymią wprawą i pewnością,

jakby robił to już tysiąc razy wcześniej.

- Jak dowiedziałeś się o operacji Saturn? - zapytał Konstantina, gdy ten pochylał się nad tablicą kontrolną.

Konstantin spojrział na niego, przewracając oczami.

- Moje umiejętności to szybkie obliczenia i analiza pochodnych. Często pracowałem w laboratorium komputerowym Warren - odparł, wzruszając ramionami.

Monk zrozumiał. Można było chłopca zmienić w sawanta, ale on nadal pozostawał chłopcem: ciekawskim, psotnym i lubiącym przekraczać granice.

- Czyli włamałeś się do danych generała? Konstantin ponownie wzruszył ramionami.

- Tydzień temu, Sasza, siostra Piotra, narysowała obrazek. I dała mi go w środku nocy. Gdy wszystkich nas obudziły koszmary senne Piotra.

- Co było na tym rysunku?

- Pociąg na tej stacji wypełniony dziećmi, martwymi i płonącymi. Na rysunku był też fragment kopalni za tą bramą. Więc... następnego dnia włamałem się do komputera i znalazłem pliki z planami operacji i terminem jej przeprowadzenia. Nie wiedziałem, co robić. Komu zaufać. Sasza pojechała z doktorem Rajewem do Ameryki, więc porozmawiałem z Piotrem. - Konstantin potrząsnął głową. - Nie wiem, skąd Piotr o tym wszystkim wiedział... może on nawet nie ma pojęcia... czasem właśnie tak z nim jest.

Konstantin spoglądał na Monka, szukając u niego zrozumienia. Choć ten nie do końca wszystko pojmował, skinął głową.

- A co Piotr o tym wiedział?

- On jest empatą. Wyczuł, że pan może nam pomóc. Nawet wiedział, jak pan się nazywa. Powiedział, że jego siostra wyszeptala mu to do ucha we śnie. Oni są bardzo dziwni, ta dwójka, razem dysponują potężną mocą.

Monk usłyszał obawę w głosie chłopca. Konstantin spojrział nawet z lekkim strachem w stronę Piotra, po czym wrócił do swojej pracy.

- I dlatego przyszliśmy po pana.

Ostatnim włącznikiem Konstantin ożywił rząd monitorów, które rozświetliły się nad konsoletą. Pokazywały czarno-białe obrazy z kamer rozmieszczonych pod różnym kątem w małej kopalnianej grocie wypełnionej rusztowaniami. Na podłodze tej sali znajdował się ogromny stalowy właz o wyglądzie przesłony. Serce operacji Saturn.

Ruch na centralnym monitorze przyciągnął uwagę Monka. Na ekranie widać było pociąg w kopalni. Otwarte wagony na rudę były pełne dzieci. Niektóre z nich wysiadły z pociągu i stały na ziemi, rozglądając się ze zdziwieniem dookoła. Inne śmiały się i bawiły.

Konstantin złapał Monka za rękaw.

- One... one już tu są.

Sawina z dwoma technikami siedziała w jasno oświetlonym centrum dowodzenia. Przeprowadzali ostateczną diagnostykę systemów na dwóch komputerach. Centrum mieściło się w przekształconym do tego celu bunkrze pod piwnicami jednego z opuszczonych bloków mieszkalnych. Ich oknami na

świat było siedem monitorów ciekłokrystalicznych powieszonych na ścianach. Przekazywały one obraz z kamer umieszczonych w tunelu i w głównej sali operacji Saturn.

Przez chwilę patrzyła na stojący na stacji pociąg, po czym wstała. Nie mogła wysiedzieć na miejscu. Poczula w krzyżu znany ból. Zbyt zajęta ostatecznymi przygotowaniami zapomniiała wziąć zastrzyk ze sterydów. Odwróciła się, nie chcąc patrzeć na pociąg, czuła lęk.

Spojrzała na zegarek. Minęło wpół do dwunastej, a ona nadal nie dostała żadnej wiadomości od Nikołaja. Wyszła z centrum kontroli, by pozostali nie widzieli, jak zaciska z niepokojem palce. To był taki mamusiny gest słabości, więc zmuszała się, by się powstrzymać. Weszła po schodach na wyższy poziom. Nie poszła tam w żadnym celu, po prostu musiała być w ruchu.

Od swoich kontaktów w służbach wywiadowczych usłyszała jakieś plotki o „wypadku” w Czarnobylu. O wycieku substancji promieniotwórczych. Znalaziono zwłoki ludzi. I ewakuowano gości. Jeśli Nikołajowi się powiodło, to ta masowa ewakuacja została przeprowadzona za późno. Może syn przez cały chaos nie zdołał jeszcze złożyć raportu. Jej operacja miała rozpocząć się za czterdzieści pięć minut, jeśli Nikołaj się z nią skontaktuje.

Gdy wchodziła po schodach, wyobrażała sobie Nikołaja chełpiącego się sukcesem, a może już jest na potajemnej schadzce z Eleną. To całkiem możliwe, że najpierw świętuje powodzenie operacji, a dopiero potem zajmie się obowiązkami. Złość przysłoniła jej niepokój.

W końcu dotarła do poziomu nad salą dowodzenia. Piętro zostało zamienione w pomieszczenia mieszkalne i przystosowane dla techników: miało sypialnie, miejsce do ćwiczeń i duży salon wypełniony sofami i stołami do wspólnego spożywania posiłków. Jedynymi gośćmi było tu dziesięcioro dzieci. Sawina знаła je wszystkie po imieniu.

Odwróciły jednocześnie głowy w jej kierunku jak ptaki zakręcające w locie i patrzyły na nią w skupieniu. Sawina poczuła dreszcz dziwnego lęku, poczuła pewną inność ich umysłów. Obiekty Omega były sawantami tak wyjątkowo utalentowanymi, że ich umiejętności wybiegały poza granice znane fizyce i wkraczały w obszar, którego inni sobie nawet nie wyobrażali.

Borys, trzynastolatek o oczach tak niebieskich, że wyglądały jak zamrożone, sprawiał wrażenie, jakby ją dokładnie badał. Jego talentami była pamięć ejdetyczna oraz zdolność przechowywania zapamiętanych obrazów przez długi czas. Chłopiec ze szczegółami pamiętał swoje narodziny.

- Dlaczego nie pozwolono nam pojechać z innymi? - zapytał. Kilka głów skinęło, zadając niemo to samo pytanie. Sawina przełknęła ślinę, zanim odpowiedziała.

- Dla was jest zaplanowana inna podróż. Czy spakowaliście swoje rzeczy?

Dzieci tylko patrzyły. Żadna odpowiedź nie była potrzebna. Oczywiście, że ich bagaże już były spakowane. To pytanie świadczyło tylko o jej zdenerwowaniu. Patrzyła na potęgę, która mogła pchnąć Matkę Rosję w nową erę. Jednak w gruncie rzeczy Sawina zdawała sobie sprawę, że ta potęga pozostawała poza jej zrozumieniem.

- Wyjeżdżamy za godzinę - oświadczyła Sawina. Patrzyło na nią dziesięć par niebieskich oczu.

Za plecami usłyszała kroki. Odwróciła się, widząc jednego z techników.

- Pani general - powiedział - mamy jakieś usterki z pancernymi drzwiami po drugiej stronie tunelu. Co robić?

Skinęła głową, zadowolona, że będzie mogła się skupić na rozwiązywaniu problemu.

Ruszyła za technikiem na klatkę schodową. Dziesięć par oczu nadal się w nią wpatrywało zimno i beznamietnie. By uniknąć oceny, pospieszyła schodami w dół.

- Otwórz bramę! - polecił Konstantinowi Monk. Chłopiec kiwnął głową z wnętrza sterowni. Ruszyły silniki elektryczne i potężne stalowe koła zębate zaczęły rozsuwać dwuskrzydłową bramę.

Konstantin podbiegł zziębnięty do opiekuna.

- Mamy pięć minut - ostrzegł.

Monk zrozumiał. Konstantin przełączył na tryb diagnostyczny system kamer cyfrowych omiatających tunel. Sprytny dzieciak zafundował im pięciominutową przerwę na wizji. Tyle czasu mieli na ewakuację dzieci z pociągu, zanim kamery przejdą ponownie w tryb on-line.

Więcej nie dało się zrobić. Główne przełączniki były na drugim końcu tunelu. Gdy podstęp Konstantina zostanie wykryty, główna stacja odetnie zasilanie sterowni podstacji.

Mieli tylko jedną próbę.

Drzwi się zaczęły rozsuwać i Monk precyzyjnie przesunął się przez szczelinę na drugą stronę. Za nim ruszył Konstantin. Marta też pobiegła. Stara szympanśka padała ze zmęczenia, ale nie zwolniła biegu i przegoniła nawet Monka. Staruszka dobrze wiedziała, że trzeba się spieszyć.

Sto metrów dalej stał pociąg.

Amerikanin biegł do niego, podskakując na rannej nodze.

Konstantin machał rękami i wołał po rosyjsku do dzieci, nakazując im wysiadanie z pociągu i ucieczkę przez pancerną bramę.

- Niech jak najszybciej opuszczają pociąg - powiedział Monk. - Muszę się spieszyć.

Biegł wzdłuż pociągu, pobrzękując dwoma karabinami automatycznymi. W każdym miał pełen magazynek wypełniony sześćdziesięcioma nabojami. Konstantin nauczył go wcześniej, jak ręcznie uruchamia się pociąg. Nie było to trudne.

Wsiądź do przedniego wagonika i podnieś dźwignię.

Gdy dotarli do pociągu, Monk biegł truchtem po jednej stronie, a Konstantin po drugiej. Monk krzyczał po angielsku:

- Wszyscy wysiadać! Wysiadać z pociągu! Konstantin powtarzał te same komendy po rosyjsku.

Przez pierwsze pół minuty wśród dzieci zapanował chaos. Zaczęły krzyczeć i płakać. Dzieci chwyciły go rękami, popychały się i kręciły w kółko. Jednak były też nauczone wykonywania rozkazów. Powoli zaczęła się ewakuacja i dzieci

ruszały w stronę bramy.

Monk dotarł do ostatniego, przykrytego wagonu. Wskoczył przez otwarte drzwi i pospieszył na przód. Po obu stronach małego fotela maszynisty zobaczył dźwignie. Zielona oznaczała JAZDA. Czerwona to hamulec. Mała deska rozdzielcza wypełniona była wskaźnikami prędkości i napięcia prądu.

Nie miał czasu na zabawę. Wyjrzał przez okno.

- Konstantin!

- Pusty! Można jechać! - krzyknął chłopiec w odpowiedzi. Świetnie.

Przesunął zieloną dźwignię do przodu. Włączyło się zasilanie, rozbłysło kilka iskier na złączach w ciemnym tunelu i pociąg ruszył.

Cztery minuty.

Musiał dojechać na drugą stronę tunelu, zanim ponownie włączą się kamery podglądu. Zadaniem Konstantina było wyprowadzenie dzieci z tunelu i zamknięcie pancernych drzwi. Monk pokazał chłopcu, w jaki sposób zablokować koła zębate, żeby bramy nie dało się otworzyć.

Konstantin miał jeszcze jedno zadanie.

Monk znalazł dwie krótkofalówki górnicze. Gdy dotrze do przeciwnej bramy, da chłopcu sygnał, by ją otworzył. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to Monk będzie miał przewagę w postaci zaskoczenia. Dwa karabiny automatyczne z pełnymi magazynkami pewnie się przydadzą. Może to i była misja samobójcza, ale czy miał inny wybór? Dzieci były teraz w miarę bezpieczne, ale jeśli operacja Saturn się powiedzie, ile milionów zginie? Nie miał wyboru - musiał zaskoczyć atakiem centrum dowodzenia.

Początkowo rozważał jakiś sabotaż w kopalni, ale Konstantin pobladł, gdy to usłyszał. Detonatory pięćdziesięciu ładunków były uruchamiane drogą radiową. Nawet gdyby zdołał się wspiąć pół kilometra w górę szybu w ciągu czterech minut, to każdy błąd mógłby doprowadzić do eksplozji ładunków.

Pozostała tylko jedna możliwość.

Ze stukotem pociąg jechał ciemnym tunelem, oświetlonym z rzadka gołymi żarówkami. Przedni wagon miał reflektor, który oświetlał tory z przodu. Gdy pociąg sunął coraz szybciej, Monk zauważył znaki na ścianach oznaczające dystans. Zgodnie z tym, co mówił Konstantin, tunel miał cztery kilometry.

Monk spostrzegł, że wstrzymuje oddech, odliczając pełną minutę w głowie. Po prawej stronie dostrzegł cyfrę 2 namalowaną na ścianie.

Półowa drogi. Jeszcze trochę mniej niż trzydzieści sekund. Nie jest źle, ale też nie najlepiej.

Nagle światła zgasły, odcięto zasilanie.

Pociąg bez dopływu prądu potoczył się jeszcze przez chwilę i stanął w ciemnym tunelu.

Za plecami, z tyłu pociągu rozległ się przerażający wrzask dziecka. Ciało Monka przeszedł dreszcz. Poznał ten głos.

To był Piotr.

Sawina spoglądała na czarne monitory w centrum dowodzenia. Kręciła głową. Kilka minut wcześniej jeden z techników ściągnął ją na dół przejęty jakąś usterką w systemie, czymś wiążącym się z pancerną bramą na końcu

tunelu. Gdy tu dotarła, okazało się, że wszystkie kamery wyłączyły się, przechodząc w tryb diagnostyczny.

Przecież nikt nie uruchamiał tego trybu.

Zaczęła ją dręczyć jakieś podejrzenie. Coś było nie tak. Zdecydowała o odcięciu zasilania w całym tunelu.

- Kopalnia trzysta trzydzieści siedem - powiedziała Sawina. - Tam jest podstacja.

Jeden z techników, inżynier elektryk, skinął głową.

- Jeśli dobrze pamiętam, to w sterowni podstacji jest kamera zapewniająca łączność z technikami po drugiej stronie.

Mężczyzna powtórnie skinął głową... i jego oczy się rozszerzyły.

- Ona jest niezależna od systemu w tunelu - oświadczył.

- Pokażcie mi obraz z tej kamery. - Sawina popukała palcem w jeden z monitorów.

Inżynier zaczął szybko wystukiwać komendy na klawiaturze komputera. Chwilę później monitor rozświetlił się czarno-białym ziarnistym obrazem. Niewielką kamerę przemysłową umieszczono nad tablicą kontrolną pod takim kątem, by obraz pokazywał operatora po tamtej stronie.

Sawina podeszła do monitora. Przez otwarte drzwi sterowni kamera złapała obraz kręcących się dzieci. Wielu dzieci. Tych, które wsiadły do pociągu.

Sawina starała się zrozumieć, co się stało, gdy w kamerze pojawił się nagle wyższy chłopiec. Był wysoki, miał ciemne włosy i długą, kanciastą twarz. Zaciśnęła palce. Znała go.

Konstantin.

Co tu się działo?

Przez poranne wydarzenia nie miała czasu zająć się poszukiwaniami porucznika Borsakowa i jego polowaniem na Amerykanina i troje zbiegłych dzieci. Obserwowała, jak Konstantin macha ręką na dzieci i woła coś do tłumu. Jak widać, Borsakowowi się nie powiodło.

Ale co oni tam robili?

Przyglądała się tłumkowi, szukając Amerykanina i pozostałej dwójki swoich podopiecznych. Szukała wzrokiem jednego, szczególnego dziecka - tego, które chciała odzyskać.

Piotr krzyczał w ciemności, która go przygniatała. Rozchylił maksymalnie powieki, by dostrzec choć odrobinę światła. Marta trzymała go w silnych ramionach. Korzystając z zamieszania na końcu tunelu, wsiedli do ostatniego wagonu i ukryli się.

Piotr czuł, że musi być przy Monku.

Ale ta ciemność...

Łapał powietrze, tonąc w morzu czerni. Bujał się tam i z powrotem. Marta próbowała go przytrzymać. Zupełnie jakby spełnił się jego senny koszmar. Ciągłe powtarzał się ten sam sen: powstały cienie i pochłonęły go, przygniotły, aż pozostała tylko ciemność. Jedynym sposobem obrony przed ciemnością było podpalenie się, płonienie jak pochodnia w ciemności... i wtedy się budził.

Inne dzieci twierdziły, że widziały go płonącego w swoich snach. Najpierw

myślał, że z niego żartują, ale gdy powtórzyło się to wiele razy, zaczęły dziwnie na niego patrzeć, rzadko z nim rozmawiały i niechętnie się z nim bawiły. Nauczyciele też się złościли. Dostawał bury, nie pozwolono mu częstować się słodkim ciastem z miodem; twierdzili, że źle wpływa na innych, do tego stopnia, że po jego koszmarach przez kilka dni wszystkie dzieci miały słabsze wyniki z testów. Winiono go, że je straszy.

Też go to przerażało, a przecież to był tylko sen. Ale ta ciemność nie była już snem.

Przepełniony paniką chciał jej uciec, ale ona znajdowała się wszędzie. Szukał światła tam, gdzie go nie było. I nawet ta droga go przerażała, ale i tak była lepsza od przytłaczającej atramentowej czerni.

Z odległej ciemności zaczęły wylaniać się punkciki światła jak gwiazdki z czarodziejskich różdżek przenikające przez czarne sukno, powołane do istnienia przez jego przerażenie. Na początku tylko kilka, później coraz więcej i więcej. Spoglądał do góry, a ten gwiazdzisty krajobraz rozszerzał się i odpychał ciemność.

On znał prawdę. To nie były gwiazdy.

Piotr wyteżał wzrok, a jego serce łopotało jak ptak pojmany w sidła. Patrzył do góry, a gwiazdy robiły się coraz jaśniejsze i puchły, zbliżając się do niego. Wiedział, że powinien się odwrócić, ale jego oczy rozwarły się jeszcze szerzej... tak jak rozszerzyła się tkwiąca w nim ciemność. Ona też szukała jasności, jęcząc w ciemnym dole, pragnąc pożywienia.

Gwiazdy zaczęły opadać coraz szybciej i szybciej, na początku tylko kilka, a potem wszystkie naraz. Ze wszystkich stron leciały wprost na niego.

Usłyszał płacz i czuł uderzenia serc. Wypełniły go swoim światłem. Osunął się do tyłu, gdy gwiazdziste niebo opadło na niego i rozświetliło wnętrze jego mózgu.

Usłyszał odległy ostrzegawczy skowyt małpy, bo Marta знаła jego sekret.

Budząc się z koszmarów z krzykiem, odczuwał nie tylko strach - ale także radosne upojenie.

Coś okropnego zaczęło dziać się z dziećmi.

Po odcięciu zasilania Sawina patrzyła w monitory przekazujące obraz z kompleksu górniczego numer trzysta trzydzieści siedem. Choć nie miała dźwięku, to i tak wiedziała, że dzieci są dziwnie pobudzone - kręciły się zdezorientowane w kółko, niektóre płakały lub stały osłupiałe. Jedyne Konstantin się kontrolował. Chodził między dziećmi, pojawiał się na monitorze i znikał.

Sawina nadal szukała w tłumie Piotra.

I choć miała dziesięć obiektów Omega, to jeśli chłopiec tam był...

Nagle jedno z dzieci upadło na podłogę. Stojące obok odwróciło się do tego leżącego i także upadło, jakby uderzone kijem baseballowym. Coraz więcej dzieci padało na ziemię. Jeden chłopiec zaczął uciekać w panice, ale też upadł.

Siedzący obok inżynier to zauważył.

- Czy to ta neurotoksyna?

Sawina patrzyła na to wszystko, ale nie była pewna, co się tak naprawdę

dzieje. Wrażliwy na radioaktywność związek uaktywniała dopiero wysoka dawka promieniowania. Czytniki promieniowania w KG 337 nie wskazywały wysokiego poziomu radiacji. Na monitorze pojawił się Konstantin. Na rękach niósł omdlałą dziewczynkę. To była jego siostra Kiska. Odwrócił się wprost do kamery. Był przerażony.

Wreszcie Sawina to dostrzegła - wyglądało to tak, jakby światło zgasło w jego oczach. Strach zmienił się w otępienie i chłopiec upadł.

To nie była neurotoksyna. Konstantin i Kiska nie przyjęli przecież tej trucizny.

Z góry doszło do niej uderzenie w podłogę. Potem jeszcze jedno i kolejne.

Sawina popatrzyła na sufit.

O, nie...

Odwróciła się i pobiegła do schodów. Pokonywała po dwa stopnie naraz. Bolały ją plecy, a serce waliło jak młot. Wpadła do pokoju na górze, gdzie dziesięcioro dzieci czekało, aż ona skończy.

Wszystkie dzieci straciły przytomność; leżały na fotelach, na podłodze, ze zwieszonymi głowami i bezwładnymi kończynami. Podbiegła do Borysa, uklękła przy nim, sprawdziła jego puls na tętnicy szyjnej. Wyczuła słabe uderzenia.

Żył.

Przewróciła go na plecy i uniosła przymknięte w połowie powieki. Źrenice były rozszerzone i nie reagowały na światło. Wstała i rozejrzała się po pokoju. Co tu się stało?

Painter szybko szedł korytarzem. Nie chciał już więcej kłopotów, ale niestety to jeszcze nie był koniec.

Po ataku wszystkie systemy bunkra dowodzenia wyłączyły się automatycznie. I tak jak podejrzewał, po śmierci Mapplethorpe'a kilku pozostałych przy życiu komandosów ulotniło się w ciemnościach nocy. Painter postanowił, że dorwie ich wszystkich i odkryje, kto stał za Mapplethorpe'em i kto przekazywał mu informacje umożliwiające przeprowadzenie ataku na Sigmę.

Na razie Painter musiał przywrócić porządek w centrum dowodzenia.

Podstawowy personel ściągnięto na miejsce. Rannych przewieziono do okolicznych szpitali. Zwłok nie ruszano. Nie chciał, żeby ktokolwiek tu się kręcił, dopóki nie zacznie działać jego własny zespół kryminalistyczny. Tego wieczoru służba była wyjątkowo przykra. Mimo że uruchomiono wentylację i włączono systemy odświeżania powietrza, by pozbyć się przyspieszacza, to odór spalonych ciał ludzkich pozostał.

Painter musiał ponownie zabezpieczyć siedzibę Sigmy, a na dodatek odbierać telefony od różnych organizacji wywiadowczych dotyczące tego, co się wydarzyło tutaj, oraz przerwane ataku terrorystycznego w Czarnobyli. Painter milczał jak grób. Nie miał czasu na przekazywanie informacji ani na rozgrywki polityczne i zgadywanie, który z dzwoniących jest ważniejszy.

Jedyną rozmowę, podczas której wyjawiał wszystkie szczegóły, przeprowadził z prezydentem. Innych ciekawskich odsyłał z kwitkiem. Istniała groźba kolejnego ataku i musiał temu zapobiec.

Skoro ostatnie problemy były związane z tą właśnie sprawą, Painter poświęcił się jej całkowicie. Gdy znalazł się na poziomie medycznym, wszedł do jednej z izolatek. Po obu stronach łóżka siedziały Kat i Lisa.

Sasza leżała na łóżku, a Lisa zmieniała ustawienie elektrod EEG na jej czole.

- Znowu jej coś dolega? - zapytał Painter.

- To coś nowego - odpowiedziała Lisa. - Teraz nie ma takiej gorączki jak wcześniej.

Kat wstała i skrzyżowała ramiona na piersi. Zmarszczyła czoło.

- Czytałam jej książkę, próbując ją ukołysać do snu. Grzecznie słuchała. Ale nagle się uniosła, popatrzyła w pusty kąt pokoju, wypowiedziała imię „Piotr” i straciła przytomność.

- Powiedziała „Piotr”? Jesteś pewna? Skinęła głową.

- Jurij wspomniał, że Sasza ma brata bliźniaka o imieniu Piotr. To musiała być halucynacja.

Gdy rozmawiali, Lisa podeszła do sprzętu diagnostycznego i zaczęła go uruchamiać. Sasza była podłączona na stałe do urządzeń monitorujących pracę serca i mózgu.

- Czy to jest aktywne? - zapytał Painter, wskazując głową na urządzenie TMS.

- Nie - odparła Lisa. - Malcolm to sprawdził. Był tu i znowu poszedł. Miał

jakieś rozmowy telefoniczne do załatwienia. Ale coś w jej mózgu jest aktywne. Odczyty EEG pokazują potężny wzrost aktywności ponad boczną wypukłością płatu skroniowego. Szczególnie po prawej stronie, gdzie umieszczono jej implant. Wygląda to tak, jakby miała napad skroniowy. A z drugiej strony, jej puls jest słaby i ciśnienie krwi spadło do najniższego z możliwych. Zupełnie jakby wszystkie zasoby jej organizmu pracowały tylko na rzecz jednego narządu.

- Mózgu - rzekł Painter.

- Właśnie. Wszystko inne jest po prostu wyłączone.

- Ale w jakim celu? Lisa pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Mam zamiar przeprowadzić dodatkowe testy, ale jeśli nie będzie żadnej reakcji, to do głowy przychodzi mi tylko jedno możliwe rozwiązanie.

- Jakie? - spytała Kat.

- Choć jej implant TMS nie jest aktywny, ten wysoki poziom aktywności zmierzony przez EEG jest skoncentrowany wokół implantu. Sądzę, że te neuroelektrody wpływają na jej stan. Aktywność elektryczna mózgu jest przerażająco wysoka w tym rejonie. To tak jakby te mikroprzewody działały jak piorunochrony. Jeśli nie zmniejszymy aktywności, ona może się po prostu spalić.

Kat pobladła, słysząc tę ekspertyzę.

- Wspomniałaś o jakimś rozwiązaniu.

Lisa westchnęła, nie wyglądała na szczęśliwą.

- Możemy być zmuszeni do usunięcia implantu. Właśnie w tej sprawie wyszedł Malcolm - zadzwonić do neurochirurga z kliniki uniwersyteckiej.

Painter podszedł do Kat i objął ją. Zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo przywiązała się do dziewczynki. Wielu ludzi zginęło, chroniąc to dziecko. A stracić ją teraz to...

- Zrobimy wszystko co możliwe - obiecał jej. Kat skinęła głową.

Zabrzącał pager Paintera. Sprawdził numer. Ambasada Rosji. Musiał zadzwonić. Gray powinien lądować w Czelabińsku za kilka minut.

Gdy podniósł głowę, Lisa pomachała mu ręką i uśmiechnęła się z wyrazem zmęczenia na twarzy.

- Zadzwonię do ciebie, jeśli jej stan ulegnie zmianie. Ruszył w stronę drzwi, gdy nagle coś mu przyszło do głowy, coś, czym nie mógł się zająć razu. Zmarszczył czoło, patrząc na Kat.

- Wcześniej coś powiedziałaś, a ja nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem.

Kat spojrzała mu w oczy.

- Co miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś, że Monk żyje?

00.20

Południowy Ural

Monk posuwał się wzdłuż pociągu w kompletnych ciemnościach. Przesuwał amputowaną ręką wzdłuż wagonów. Drugą rękę miał wysuniętą przed siebie i macał nią w powietrzu. Potykając się o podkłady kolejowe i większe kamienie wystające z szutru, szedł na tył pociągu.

Chwilę wcześniej, gdy wysiadał z pociągu, Piotr przestał wrzeszczeć. Jak nożem uciał. Tyle że ta cisza była jeszcze gorsza. Była tak absolutna jak ciemność dookoła. Serce Amerykanina biło jak szalone.

Doszedł do następnego wagonu na rudę, wskoczył na niego i wymachiwał ręką w otwartej przestrzeni.

- Piotr?!

Jego głos brzmiał wyjątkowo głośno, odbijał się echem w głębi tunelu. Monk nie wiedział, gdzie dokładnie chłopiec się znajduje ani czy w ogóle jest jeszcze w pociągu. Jedynym sposobem na przekonanie się było metodyczne sprawdzenie każdego wagonu aż do końca pociągu.

Zeskoczył z powrotem na ziemię i ruszył dalej. Znowu wyciągnął prawą rękę do przodu, badając przestrzeń przed sobą gdy nagle coś złapało go za rękę.

Wykrzyknął ze zdziwienia. Ciepłe, dziwne w dotyku palce objęły jego dłoń. Odruchowo cofnął rękę, ale palce mocno się go uczepliły. Uściskowi towarzyszyło miękkie pohukiwanie.

- Marta! - Przykucnął i przytulił ją w ciemności.

Ona odwzajemniła się tym samym, pocierając policzkiem o jego policzek, i miękko sapnęła z ulgi. Drżała. Czuł bicie jej serca. Marta odsunęła się trochę, ale nie puściła jego ręki. Lekkim szarpnięciem skłoniła go, by za nią poszedł.

Dał się poprowadzić. Wiedział, że idą do Piotra. Dotarli do ostatniego wagonu. W odróżnieniu od tych w środku składu ten był zadaszony.

Marta wskoczyła przez otwarte drzwi. Monk wspiał się za nią. Stara szympanśca, powłócząc nogami, pociągnęła go za sobą do narożnika. Znalazł tam Piotra leżącego w ciemnościach na podłodze.

- Piotr?

Brak odpowiedzi.

Czuł, jak unosi się i opada klatka piersiowa chłopca. Palcami dotknął jego twarzy. Czy był ranny? Może upadł? Miał gorącą skórą. Wtedy malutka dłoń powędrowała jak zagubione pisklę i odkryła palce Monka... i zacisnęła się na nich.

- Piotr, dzięki Bogu. - Wziął go na ręce i usiadł, trzymając chłopca na kolanach. - Mam cię. Jesteś bezpieczny.

Drobne ramiona objęły go za szyję. Czuł przez ubranie gorącą skórę chłopca.

- Idź... - wyszeptał mu Piotr do ucha.

Chłód przeniknął ciało Monka. Ton głosu dziecka był znacznie głębszy niż jego chłopięcy, delikatny falset. Może sprawiła to ciemność, a może strach. Jednak nie poczuł, by malec drżał ze strachu. Jedno słowo miało więcej mocy sprawczej niż błaganie.

To nie był zły pomysł.

Wstał i podniósł Piotra, który wydawał się cięższy niż zwykle, ale Monk był

na granicy kompletnego wyczerpania. Marta pomogła im dostać się do drzwi. Z chłopcem w ramionach pospieszył na przód pociągu. Miał ze sobą tylko jeden karabin, bo drugi zostawił w pierwszym wagonie.

- Czy możesz...?

Zanim skończył, Piotr zsunął się z jego ramion i stanął na ziemi.

- Zostań tutaj.

Monk szybko wskoczył do wagonu, złapał drugi karabin i zawiesił go na plecach.

Wrócił do Piotra, który chwycił jego dłoń.

Amerikanin westchnął głęboko. W którym kierunku ma teraz iść? Pociąg stanął dokładnie pośrodku tunelu. Albo wróć do Konstantina i pozostałych dzieci, albo pójda do przodu. Ale jeśli istnieje jakakolwiek nadzieja na powstrzymanie tej obłąkanej kobiety, to powrót nie miał najmniejszego sensu.

Prawdopodobnie chłopiec czuł to samo, bo ruszył do przodu. Do Czelabińska 88.

Z dwoma karabinami na plecach, chłopcem i szympansem z tyłu Monk maszerował w całkowitych ciemnościach. Zatoczyli pełny krąg i wracali do domu. Ale co ich tam spotka?

Lekarz pokręcił głową.

- Przykro mi, pani generał. Nie wiem, co mogło się stać dzieciom. Nigdy nie miały takiej katatonii.

Sawina stała na drugim końcu pokoju. Dwie pielęgniarki i dwóch żołnierzy ułożyli dzieci na podłodze, równo jak ścięte drzewa. Przynieśli poduszki i koce z sąsiednich sypialni. Wezwano lekarzy - doktora Pietrowa, neurologa, i doktora Rostropowicza, specjalizującego się w bioinżynierii.

Pietrow stał w kurtce obszytej kozuchem, z rękami opartymi na biodrach. Zespół medyczny właśnie się ewakuował, gdy ich tutaj wezwano. Karawana ciężarówek i samochodów osobowych czekała już na zewnątrz.

- Potrzebowałbym pełnego wyposażenia laboratorium diagnostycznego, żeby zrozumieć, co się z nimi dzieje - wyjaśnił. - A my już zdemontowaliśmy...

- Tak, wiem. Będziemy musieli z tym poczekać do przyjazdu do Moskwy. Czy dzieciom nic nie grozi podczas podróży?

- Raczej nie.

Sawina popatrzyła na niego twardym wzrokiem. Nie podobała jej się jego niepewność.

Skinał głową i pospieszył z zapewnieniem:

- Są w stabilnym stanie. Możemy je przewieźć.

- W takim razie proszę wszystko przygotować.

- Tak jest, pani generał.

Sawina wydała dodatkowe dyspozycje personelowi medycznemu i poszła z powrotem do bunkra centrum dowodzenia. Rozwiązywała problemy tutaj, ale cały czas była w kontakcie ze swoimi źródłami w rosyjskich służbach wywiadowczych i w armii. Zniesiono poufność informacji dotyczących Czarnobyli. Sprzeczne doniesienia i plotki krążyły wokół wydarzeń podczas ceremonii: mówiono o katastrofie atomowej i o nieudanym ataku terrorystycznym przeprowadzonym przez czeczeńskich bojowników. Wszyscy byli pewni co do jednego: doszło do wycieku substancji promieniotwórczych, lecz jego zakres i wielkość pozostają nieznanymi.

Ale dlaczego Nikołaj się nie odzywa?

Niepokój wpływał na jej nastrój.

A teraz jeszcze ta dziwna sprawa z dziećmi.

Sawina postanowiła zapanować nad chaosem i skoncentrować się na tym co teraz najważniejsze. Wprawdzie okoliczności zajść w Czarnobylu były niewyjaśnione, jednak operacja Saturn i tak zostanie przeprowadzona. Nawet jeśli Nikołajowi nie do końca się powiodło, jej musi się udać. Ta operacja wstrząśnie gospodarką światową, zabije miliony i rozniesie radioaktywne związki na pół kuli ziemskiej. Będzie trochę trudniej, ale z utalentowanymi dziećmi, które nadal znajdują się pod ich kontrolą, osiągną cel.

Z takim przeświadczeniem Sawina odsunęła od siebie wszelkie niepokoje i postanowiła zostać zimna i nieugięta. Wiedziała, co ma zrobić.

Gdy znalazła się w bunkrze, monitory wyświetlające obraz z tunelu nadal były czarne, poza ziarnistym obrazem z KG 337. Przyglądała się leżącym byle jak na ziemi małym ciałkom dzieci. Nadal żadne się nie poruszyło.

Odwróciła się do dwóch techników.

- Dlaczego nie działają pozostałe kamery? Główny inżynier wstał.

- Tryb diagnostyki kamer zakończył się kilka minut temu. Czekałszy, aż pani rozkaże włączyć zasilanie w tunelu.

Sawina westchnęła i przyłożyła dłoń do czoła. Czy wszystkich trzeba prowadzić za rączki jak dzieci? Machnęła w stronę pulpitów sterowniczych.

- Włączyć.

Mimo wewnętrznej chęci wydarcia się na tego faceta jej głos pozostał spokojny. Rzeczywiście, to ona rozkazała odłączyć zasilanie i nie zostawiła żadnych wytycznych dotyczących jego przywrócenia.

By uniknąć wszelkich niedomówień, Sawina wskazała palcem na obraz z KG 337.

- Zasilanie tamtej podstacji ma pozostać wyłączone. Zostawcie tylko kamerę.

Technicy przystąpili do pracy i po chwili na tablicy rozświeciły się kontrolki, a ciemne monitory wypełniły się obrazami z tunelu i serca operacji. Wszystko wydawało się w porządku... oprócz jednej rzeczy.

Na końcu toru nie było pociągu.

Sawina wskazała ręką na monitory.

- Ściągajcie obraz z kamer po kolei i znajdźcie pociąg. Wraz z uderzeniami palców w klawiaturę na ekranach zaczęły pojawiać się obrazy z kamer, aż zakręciło jej się w głowie. Pociąg odnalazł się w połowie tunelu. Stał bez ruchu na torach. Sawina podeszła bliżej monitorów i zaczęła dokładnie przyglądać się wagonom. Nie dostrzegła żadnego ruchu. Ktoś mógł się tam ukrywać, ale Sawina była innego zdania.

- Sprawdzajcie obraz z następnych kamer dalej w tunelu - rozkazała.

Na jednym z ekranów coś zobaczyła.

- Stop!

Pojedyncza lampa oświetlała tę część ciemnego tunelu. Była jakieś ćwierć kilometra od pancernych drzwi. Na monitorze pojawiły się sylwetki wychodzące z ciemności spowijających tunel.

Palce Sawiny zacisnęły się na krawędzi pulpitu sterowniczego.

To był ten Amerykanin... prowadził za rękę dziecko.

Gdy zbliżyli się do blasku lampy, Sawina rozpoznała chłopca.

Piotr.

Wyprostowała się i spojrzała na obraz z KG 337. Wszystkie dzieci nadal leżały pokotem na ziemi. To dlaczego ten chłopiec był świadomy i normalnie się poruszał?

- Pani general? - zwrócił się do niej inżynier.

Umysł Sawiny próbował znaleźć jakieś wytłumaczenie, ale nie potrafił. Pokręciła głową. Jakby czując czyjeś oczy na sobie, para w tunelu zatrzymała się obok lampy. Amerykanin spojrzał za siebie i zaniepokojony zmrużył oczy.

Gdy wróciło zasilanie i tunel rozświetlił się lampami, Monk zdał sobie sprawę, że kamery także już działają. Przeszedł kilkanaście kroków w stronę najbliższej lampy. Dopiero wtedy zorientował się, że czegoś tu brakuje.

Albo raczej kogoś.

Odwrócił się. Marty nie było za jego plecami. Wydawało mu się, że szła za nimi. Potrafiła się bezszelestnie skradać. Popatrzył głębiej w tunel. Ani śladu po niej. A może została w pociągu? Albo poszła na zwiad do przodu. Ale to niemożliwe, bo tunel kończył się dwieście metrów dalej pancernymi drzwiami.

Głośniki umieszczone koło bramy zatrzeszczały i odezwał się z nich czysty głos mówiący po angielsku.

- Idźcie dalej! Przyrowadź chłopca do drzwi, jeśli chcesz żyć.

Monk stał bez ruchu, nie wiedząc, co robić.

00.35

Kysztym, Rosja

Siedząc w starej ciężarówce, Gray prowadził kawalkadę pojazdów przez bramę lotniska na dwupasmową drogę wiodącą w góry. Ściany jodeł i świerków wyrastały po obu stronach drogi, tworząc piękny zielony korytarz.

W lusterku wstecznym widział małe górskie miasteczko Kysztym powoli znikające za ścianą lasu. Miasto leżało na wschodnich zboczach Uralu, zaledwie czternaście kilometrów od celu ich podróży - Czelabińska 88. Jak cały obszar dookoła, tak i to miasteczko miało własną przeszłość związaną z katastrofami jądrowymi i napromieniowaniem. Leżało niedaleko kompleksu atomowego Czelabińsk 40, znanego także jako Majak, co po rosyjsku znaczy „latarnia”. Jednak Majak nie był świetlistą latarnią rosyjskiego bezpieczeństwa atomowego. W 1957 roku nastąpił wybuch podziemnego zbiornika z silnie radioaktywnymi odpadami płynnymi, spowodowany nieodpowiednim chłodzeniem, i osiemdziesiąt ton radioaktywnych substancji napromieniowało okolicę, tak że trzeba było ewakuować setki tysięcy ludzi. Rosjanie utrzymywali tę katastrofę w tajemnicy aż do 1980 roku. Za zakrętem drogi miasto zniknęło z lusterka, tak jak większość dawnej historii atomowej Związku Radzieckiego.

Gray rozsiadł się na siedzeniu. Droga wiodła przez most, którego barierki pomalowano na jaskrawą czerwień. Ostrzeżenie. Most łączył brzegi głębokiej rzeki, która kiedyś stanowiła granicę terenu zamkniętego. Dalej droga zakręcała

w góry.

Za Grayem toczyła się kolumna tuzina ciężarówek różnych marek i modeli, które łączyło to, że wszystkie były sfatygowane i zabłocone. Gray jechał w szoferce z Luką i kierowcą, ci dwaj rozmawiali między sobą po romsku. Luka wskazał na drogę z przodu, a kierowca skinął głową.

- Już niedaleko - poinformował Luka, odwracając się do Graya. - Tutejsi Cyganie wysłali swoich ludzi, by obserwowali drogę dojazdową do kompleksu. Przekazują informacje o dużym ruchu. Mnóstwo samochodów i ciężarówek zjeżdża z gór.

Gray zmartwił się tymi informacjami. To wyglądało na ewakuację. Czy dotarli za późno?

Na platformie ciężarówki leżało czterech mężczyzn w połowie przykrytych kocami. Gray był pod wrażeniem arsenału ukrytego pod kocami. Były tam całe skrzynie karabinów automatycznych, pistoletów, a nawet granatników raketowych.

Luka wyjaśnił mu, że broń kupili na rosyjskim czarnym rynku, zupełnie niekontrolowanym przez władze. Mała armia złożona z rosyjskich Cyganów czekała już na nich w Kysztymie. Dołączyli do ludzi, których Luka wziął ze sobą z Ukrainy. Gray musiał oddać to Luce Hearnowi: jeśli chciało się szybko stworzyć jakiś paramilitarny oddział milicji, to wystarczyło zwrócić się do Cyganów.

W ciężarówkach z tyłu jechali Rosauro i Kowalski. Elizabeth zostawili w odrzutowcu, z dala od niebezpieczeństwa, pod opieką trzech żołnierzy z SAS.

Musieli się spieszyć. Chcieli zaatakować podziemny obiekt i powstrzymać operację Saturn, choć nadal nie wiedzieli, o co w niej chodzi. Biorąc jednak pod uwagę, że znajdowali się w sercu regionu pełnego kopalni uranu i fabryk plutonu w czasach Związku Radzieckiego, to ta operacja z natury rzeczy musiała dotyczyć materiałów promieniotwórczych.

Słowa senatora Nikołaja Sołokowa dźwięczały mu w uszach.

Miliony umrą.

Gray dowiedział się, że senator urodził się około stu pięćdziesięciu kilometrów od tego miejsca, w Jekaterynburgu. Ten region właśnie reprezentował w Radzie Federacji, a to oznaczało, że zna teren i jego tajemnice. Było to doskonale miejsce na wywołanie katastrofy atomowej.

Pogrążona w myślach Elizabeth spacerowała wzdłuż odrzutowca. Rękę złożyła na piersiach i spuściła głowę. Martwiła się o pozostałych, po tym jak usłyszała, co Gray i inni prawdopodobnie chcieli powstrzymać.

Miliony umrą.

To jakieś szaleństwo.

Podniecenie utrzymywało ją jeszcze na nogach, martwiła się o Sigmę, o miliony ludzi. Na stole stał otwarty laptop. Chciała się czymś zająć. Zaczęła ściągać zdjęcia z aparatu cyfrowego. Masterson przechował jej aparat, gdy zostali uprowadzeni przez Rosjan. Oddał go po ucieczce z więzienia w Prypeci.

Na monitorze pojawiały się po kolei zdjęcia kopiowane na twarde dyski.

Natrafiała na zdjęcie omfalosa spoczywającego w centrum koła czakry. Mimo

zmarwień jej serce do tej pory drżało na myśl, że ten kamień był prawdziwym omfalosem z Delf. Historycy od dwudziestu lat wiedzieli, że ten mniejszy kamień w muzeum jest kopią a los oryginału pozostawał tajemnicą. Niektórzy naukowcy wysuwali hipotezy, że może mimo wszystko zachowała się jakaś sekta wróży, której członkowie ukradli kamień i przechowali w swojej tajemnej świątyni.

Elizabeth podeszła do laptopa. Przyglądała się omfalosowi. To był dowód. Nagle doznała oświecenia. Pamiętała, co było wyryte na muzealnej kopii kamienia: napis w sanskrycie.

To była dawna modlitwa do Saraswati, hinduskiej bogini mądrości i wiedzy tajemnej. Nikt nie wiedział, kto i kiedy wyrył ten napis na kamieniu. W sumie nie było nic szczególnego w tym, że napis zdobił podmiot wyznawców innej religii.

Zacząła podejrzewać prawdę. Możliwe, że kopia omfalosa została tam pozostawiona jak drogowskaz. Zacząła przeglądać zdjęcia i znalazła fotografię mozaiki ściennej ukazującej dziecko i młodą kobietę, ukrywających się przed rzymskim żołnierzem wewnątrz omfalosa, gdzie właśnie widniał wiersz w sanskrycie: „Tę, która nie ma początku ani końca, ani granicy, niech bogini Saraswati chroni”. To mogło być odniesienie do ostatniej wyroczni, modlitwa o opiekę nad jej linią. W końcu to właśnie domem bogini Saraswati była święta rzeka. Wielu teologów uważało, że tą mityczną rzeką był Indus, nad którym osiedlili się wygnani Grecy.

Elizabeth podejrzewała, że ktoś pozostawił sekretny napis, by inni mogli tam trafić. Tak jak ona i jej ojciec.

Kliknęła na miniaturkę zdjęcia oryginalnego omfalosa. Zrobiła wiele fotografii, także trzech wersetów wyrytych w kamieniu, które ostrzegały o pułapce - napisanych w języku Harappan, sanskrycie i grece. Zdjęcie wyświetliło się na całym ekranie.

Miała jeszcze jeden przykład takiego potrójnego napisu na ścianie świątyni. Pod figurką chłopca z płonącymi oczami. To zdjęcie też wywołała na ekran. Linia pisma w języku Harappan pod mozaiką była czytelna, ale połowa sanskrytu i greki się starła. Pozostało tylko kilka liter.

Próbowała przeczytać tyle, ile się dało.

Świat zapłonie...

Dręczył ją ten wers, przypominając o tym, czemu Gray i pozostali uczestnicy wyprawy chcieli zaradzić. Wpatrywała się w obraz chłopca unoszącego się w dymie i płomieniach dobywających się z omfalosa i przeniknął ją chłód niepokoju. O czym mówiła reszta przekazu? Jedyne nietknięte czasem linie były napisane w nierozszyfrowanym do tej pory języku Harappan. Niezła zagadka słowna.

Chyba że...

Podskoczyła z wrażenia i przysunęła się bliżej monitora, zapominając o całym świecie. Przenosiła wzrok z jednego zdjęcia na drugie na ekranie. Zaczynała rozumieć, na co patrzy. Miała przed sobą wersety języka Harappan przetłumaczone na grekę i sanskryt. Przetłumaczone. Oddychała szybko. Na

monitorze komputera miała przysłowiowy cyfrowy „kamień z Rosetty”, który może posłużyć jej do odszyfrowania znaków dawnego języka.

Wróciła do niepełnego wersetu pod wizerunkiem chłopca w płomieniach. Studiowała go skrupulatnie, porównywała znaki, obejrzała też zdjęcia pisma na ścianie klatki schodowej. Zaczęła dostrzegać podobieństwa.

Czy poradzi sobie z tłumaczeniem?

Czując, że jest to istotne, przystąpiła do pracy.

00.45

Generał-major Sawina Martowa przyglądała się swojemu przeciwnikowi na monitorze. Stał w snopie światła lampy. Podniosła mikrofon do ust.

- Podejść do drzwi! Już! - rozkazała.

Mężczyzna prawie podskoczył na dźwięk jej słów. Głośniki koło pancernych drzwi były sprawne.

- Pani generał - zaczął inżynier. - Mamy priorytetową rozmowę z bazy raketowej w Archangielsku.

Sawina odchyliła się do tyłu i podniosła słuchawkę. Jeden z jej kontaktów pracował w tej właśnie bazie.

- Martowa, słucham.

- Pani generał, niepokojące wiadomości dochodzą nas z Ukrainy. Wynika z nich, że senator Nikołaj Sołokow nie żyje.

Sawina nabrała raptownie powietrza w płuca. Kontrolowała się, by nie zareagować gwałtowniej. Poczowała ucisk w gardle. Kontakt nie miał pojęcia, że Nikołaj to jej syn, wiedział jedynie, że wspierał jej operacje.

Kontakt kontynuował:

- Nadał krążą różne plotki. Niektórzy twierdzą, że został zabity przez terrorystów, inni uważają że musiał mieć swój udział w zajściach. Pewne jest jedno: nie żyje. Kamery z wewnątrz sarkofagu pokazują ciało Sołokowa i jego asystentki. Zginął od postrzału w głowę. Poziom promieniowania jest zbyt wysoki, by bezpiecznie wydostać ciało, ale przedsięwzięto już pewne działania. Nie mogę powiedzieć...

Mężczyzna głądził dalej, lecz Sawina już go nie słuchała. Łzy napłynęły jej do oczu. Odchyliła głowę do tyłu, by nie poleciały po policzkach. Gdy skończył mówić, Sawina podziękował mu i odłożyła słuchawkę.

Odwróciła się od technika i inżyniera przy konsoli. Nikołaj nie żył. Jej jedyny syn.

Może część jej już to wiedziała wcześniej. W ciągu ostatniej godziny cały czas czuła rozpacz. Zaczęła ciężko oddychać. Nikołaj...

- Pani generał? - odezwał się łagodnie inżynier.

Jego delikatność tylko ją rozzłościła. Skierowała uwagę na monitor. Amerykanin stał bez ruchu. Jeśli ból był oliwą, to jej frustracja ją podpałała. Narastała w niej wściekłość. Ten Amerykanin przeszkadzał jej w realizacji

planów przez cały dzień, a teraz jeszcze ją prowokował.

Ale zaraz zrobi z tym koniec.

Jej łzy natychmiast obeschły.

Może i jej syn zginął, ale ona dała życie jeszcze jednemu dziecku, marzeniu, że świat powstanie z prochu. Nie tylko potomka mogła po sobie pozostawić. Zniszczy to, co zabiło jej syna. Znajdzie innego figuranta, który zajmie jego miejsce. Może potrwa to trochę dłużej, lecz dopnie swego. Świat ukradł jej syna, ale ona ma moc, by przeprowadzić kontratak.

W jej głosie pojawiła się stanowczość, aż przestraszył się inżynier i dał krok do tyłu.

- Wystarczy! - Wskazała ręką na dwa monitory po lewej stronie. Pokazywały obraz z serca operacji Saturn. Na jednym było widać szyb, w którym umieszczono ładunki wybuchowe; drugi pokazywał właz w kształcie przesłony na podłodze. - Rozpoczynamy operację Saturn! Na mój znak!

Inżynier i technik rzucili się do swoich stanowisk. Wprowadzali komendy jak szaleni.

Sawina patrzyła na mężczyznę na ekranie. Jeśli nie przyprowadzi jej Piotra, to ona rozpali pod nim płomień. Nie będzie miał żadnej możliwości ucieczki.

- Mamy zielone światło - powiedział inżynier krótko. - Czekamy na sygnał.

- Teraz!

Wzięła głęboki oddech i zaczęła obserwować obydwa monitory. Obraz na jednym rozblysnął światłem. Sawina usłyszała odległy, przytłumiony odgłos wybuchu. Skały przeleciały przed kamerą, za nimi przepłynęły zwały błota, które zamazały obraz. Na drugim monitorze widać było otwierającą się przesłonę i przelatujące przez otwór z łoskotem skały i błoto. Chwilę później z góry chlusnęła czarna woda, tworząc sztywną kolumnę. Obliczenia inżynierów okazały się dokładne. Łuk wody spadał dokładnie w otwartą paszczę włazu.

Zaczęło się.

Świat zabił jej syna. Ale dziecko jej umysłu będzie żyło. Choć rozpoczęła operację z wściekłością wynikającą częściowo z nadziei, a częściowo z zemsty, nie mogła wyprzeć się ciemnej strony swojego charakteru. Gdy woda płynęła, ona wiedziała, że zemści się na świecie za to, co ukradł jej dzisiaj.

Teraz zwróciła swoją uwagę na Amerykanina.

Jej zaostriżony apetyt na zemstę potrzebował nowego celu.

Monk podniósł się z ziemi. Eksplozja nadal dzwoniła mu w uszach, zupełnie jakby uderzyły w nie dłonie olbrzyma. Zasłonił Piotra swoim ciałem.

W głowie cały czas mu dzwoniło, ale podniósł Piotra. Z oddali dochodził potężny ryk, odbijający się echem od sklepienia tunelu, brzmiały jak wycie jakiegoś wielkiego smoka. Jednak Monk wiedział, skąd pochodzi ten hałas.

Spływ wody z jeziora.

Ton wody.

Wiedział też, co to znaczy - wybuch, podziemny wodospad - czyli przegrał. Operacja Saturn rozpoczęła się, a z nią spuszczenie toksycznej mieszanki.

Zatrzeszczały głośniki koło pancernych drzwi.

- Rzuć broń! - zażądała kobieta. - Przyprowadź chłopca do bramy. Radzę się

pospieszyć. Poziom radioaktywności wzrasta.

Macie mniej niż pięć minut, bo inaczej pochłoniecie śmiertelną dawkę.

Nie miał wyboru. Zrzucił z ramion karabiny i upuścił je z łoskotem na tory. Piotr złapał go za rękaw amputowanej dłoni.

Razem przebiegli ostatnie dwieście metrów. Przed nimi pancerne drzwi zaczęły powoli się rozchyłać, ukazując pięciu żołnierzy z bronią gotową do strzału.

Komitet powitalny.

Piotr trącał Amerykanina, by biegł szybciej, tak jakby wiedział coś, o czym tamten nie miał pojęcia.

Rana na nodze Monka sprawiała ostry ból przy każdym kroku. Czuł ucisk w piersiach. Jego oddech świszcział. Spojrzał na brzuch. Nadal miał tam przyczepiony pasek dozymetru. Podskakiwał przy każdym kroku. Widział zmieniające się kolory. Teraz był to kolor bordowy, ale z każdym krokiem ciemniał.

Mimo bólu w nodze przyspieszył.

Gdy dobiegali do wyjścia z tunelu, potężny wybuch zabrzmiał jak uderzenie pioruna wewnątrz groty Czelabińska 88. Monk zmylił krok ze zdziwienia, ale Piotr ciągnął go do przodu.

Równie zdziwieni żołnierze odwrócili się, a jeden upadł na ziemię ze strachu.

Piotr ruszył w pozostałą po nim przerwę w kordonie. Przeskoczył przez leżącego na brzuchu żołnierza. Wyciągnął rękę i wyrwał pistolet z kabury sąsiedniego żołnierza. Odwrócił się i wcisnął broń w zdrową dłoń opiekuna.

Monk nie musiał obracać pistoletu. Piotr podał mu go ręką. Z bliska zaczął strzelać do szeregu żołnierzy, wykorzystując odruchy głęboko zagrzebane w jego pamięci.

Opróżnił cały magazynek i pięciu żołnierzy padło na ziemię.

Odrzucił pistolet na bok. Piotr podskoczył do leżącego ciała i wziął następny. Podał broń Monkowi, złapał go za rękaw i ruszyli dalej.

W potężnej jaskini dochodziło do kolejnych wybuchów. Ludzie wrzeszczeli, dymiły opuszczone bloki mieszkalne. Monk dostrzegł lecący pocisk rakietowy, który uderzył w jeden z bloków. Beton i szkło rozprysły się, zasypując żołnierzy na dole.

Ktoś prowadził atak na bazę.

Ale kto?

Gray poprowadził ciężarówkę w dół betonowej rampy, przez masywną bramę. Gdy lecieli tu samolotem, poczytał o podziemnych kompleksach mieszkalnych. Rosjanie nawet przywozili tutaj orkiestry i zespoły muzyczne, by występowały dla robotników wypełniających podziemne amfiteatry. Mimo to Gray nie zdawał sobie sprawy z wielkości tych miasteczek.

Ani z chaosu, jaki zostanie rozpętany.

Sześć ciężarówek rozpoczęło wstępny atak.

„By ich trochę zmiękczyć” - jak to powiedział Luka.

Gray nie dyskutował. To była armia Luki, nie jego.

Miał własną misję.

Strzelał przez dym. Widział granaty uderzające w czteropiętrowe bloki mieszkalne, niszczące budynki i zamieniające je w gruzowiska. Luka siedział na skrzyni ładunkowej ciężarówki z granatnikiem na ramieniu. Po ich obu stronach stały jeszcze dwie ciężarówki. Jedną kierował Kowalski, drugą Rosauero. Wcześniej, po przejechaniu tunelu wjazdowego, Cyganie zabarykadowali go dwoma ciężarówkami z balami drewna. Ponad dwadzieścia osób pozostało na tej barykadzie, pilnując wyjazdu.

Gray był pod wrażeniem strategii Cyganów - zarówno tej wcześniejszej, jak i obecnej.

Gdy zmierzali do Czelabińska 88, wszystkie ciężarówki Cyganów jechały bocznymi drogami i leśnymi duktami, jakby nic specjalnego się nie działo. Dopiero na dany sygnał całe to pokojowo wyglądające towarzystwo pojawiło się nagle przed górą i przystąpiło do zsynchronizowanego ataku. Karabiny wychyliły się z bunkrów wybudowanych z bel słomy na skrzyniach ciężarówek. Konie odłączono od wozów, a jeźdźcy uzbrojeni w strzelby łatwo przemieszczali się konno po stromym terenie. Motocykle wyskoczyły z tylnych ramp zabudowanych ciężarówek i ruszyły w boczne drogi. W ciągu zaledwie kilku minut górę zamknięto w okrążeniu.

Rosjanie, którzy opuścili podziemny kompleks, zostali zatrzymani na drogach, pojazdy pospychano do rowów, a ich rozbrojono i skrupowano. Zanim Gray dotarł do wjazdu do kompleksu, pierwsza grupa uderzeniowa przeprowadziła już atak na bramę i zostawiła po sobie kłęby dymu i zgłiszczą jako drogowaskazy.

Gray się nie wahał. Nie miał czasu do stracenia. Musiał odnaleźć miejsce operacji Saturn i powstrzymać jej przeprowadzenie.

Luka i jego ludzie doskonale mu w tym pomagali. Jak w każdej dobrej armii, Cyganie przed atakiem przeprowadzili wywiad. Na drodze do kompleksu stojący na środku drogi mężczyzna w czarnym płaszczu do kostek ruchem ręki zatrzymał ich ciężarówkę. Na poboczu pod lufami karabinów klęczało dwóch mężczyzn z rękami na plecach. Cyganie nie byli delikatni. Ale przecież to Rosjanie zmasakrowali ich górską wioskę i porwali dzieci.

Rosjanie rozpoczęli tę wojnę; Cyganie zamierzali ją zakończyć.

Przysłuchujący zatrzymanych wręczył Luce pochłapaną krwią ręcznie wykonaną mapę. Luka podał ją Grayowi. Był to odręczny plan obiektu Czelabińsk 88, na którym kółkiem zaznaczono miejsce, gdzie mieściło się centrum dowodzenia operacji Saturn - podziemny bunkier pod jednym z bloków mieszkalnych.

Znając cel, Gray pewnie prowadził ciężarówkę krętą drogą wiodącą do osiedla bloków mieszkalnych. Wstępny atak był całkowitym zaskoczeniem, ale spowodował też zasypanie drogi. Jeden cały blok runął w poprzek głównej ulicy.

Cyganie w ciężarówkach kontynuowali ostry ostrzał.

Pozostali wyskoczyli z ciężarówek i przygotowywali się do pieszego natarcia.

Gray wyskoczył z ciężarówki w miejscu, gdzie zebrali się mężczyźni, i dołączył do nich. Po chwili znaleźli się przy nim Kowalski i Rosauero. Luka wyskoczył z

ciężarówce i wykrzyknął coś po romsku. Mężczyźni odpowiedzieli powitaniem. Po krótkiej wymianie informacji Luka z Grayem przykucnęli za jedną z ciężarówek.

- Rosjanie skryli się w tych budynkach i im dalej się posuwamy, tym zażarciej się bronią - rzekł Luka.

Gray wiedział dlaczego.

- Wycofali tam swoje siły, żeby bronić centrum dowodzenia. Jeśli do tej pory nie uruchomili operacji Saturn, zrobią to wkrótce. Nie możemy zwlekać.

Luka powstrzymał go gestem i spojrzał przez ramię na swoje oddziały.

- Mam tu takiego jednego człowieka... o tam jest.

Drobna postać podbiegła do nich. Miała na sobie ubranie w kolorze cementu i czarną czapkę. Luka zamienił z nią szybko kilka zdań po romsku.

- To jest Szczur - przedstawił przybysza Luka.

- Ładne imię - mruknął Kowalski.

- Jest zwiadowcą. Umie odnajdować ścieżki, których nikt nie pilnuje. On znajdzie jakieś przejście, ale nie możecie iść dużą grupą. Możliwe, że tylko my pójdziemy, va!

- Va - zgodził się Kowalski i spojrzał na Graya, szukając potwierdzenia.

- Pozostali ludzie zajmą tutaj Rosjan - dodał Luka.

- My iść, tak? - zapytał Szczur łamanym angielskim.

- Va - odparł Gray.

Przygotowali broń - karabiny i pistolety - i ruszyli za drobnym mężczyzną w stronę gruzów. Gray nie widział żadnej ścieżki. Luka pomachał pozostałym Cyganom, gdy ich mijali. W zadymionej jaskini rozległ się ostry świst.

Szczur dał znak drużynie, wskazując na przejście pod zawalonym murem. Gray pochylił się i zobaczył, że prowadzi ono do okna piwnicy bloku mieszkalnego.

Idąc labiryntem za zwiadowcą, usłyszeli z tyłu okrzyk:

- Opre Roma!

Bojowy okrzyk ogarnął okolicę.

Wzmógł się ostrzał z granatników i karabinów. Gray przedzierał się przez ruiny i modlił, żeby nie było za późno.

Sawina pospiesznie zeszła schodami do bunkra. Zignorowała łupanie w krzyżu, rozdzierający ból w nogach i mocno bijące serce. Po pierwszych eksplozjach kazała zamknąć i zabezpieczyć pancerne drzwi broniące wejścia do tunelu.

Na wyższym poziomie czekało na nią pięciu najsilniejszych żołnierzy przysłanych przez doktora Pietrowa. Pięcioro dzieci miało uciec na plecach żołnierzy. Nie więcej. Nie ma możliwości zabrania stąd całej dziesiątki. Ucieczka się powiedzie, jeśli będą poruszać się szybko i sprawnie. Ten amerykański więzień podsunął jej pomysł, jak stąd się wydostać. On dostał się tutaj wraz z dziećmi bocznym tunelem serwisowym. A ona teraz nim ucieknie.

Sawina musiała jednak jeszcze coś zrobić.

Weszła do bunkra i zastała technika i inżyniera dewastujących sprzęt. Twarde dyski komputerów już zniszczyli magnesami. Rozbicie pulpitów

sterowniczych spowoduje, że nikt nie zatrzyma realizacji operacji Saturn.

- Czy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik?

- Naprawa zajęłaby geniuszowi elektryki kilka tygodni - odpowiedział inżynier, kiwając z przekonaniem głową.

- Bardzo dobrze. - Podniosła pistolet i strzeliła inżynierowi prosto w czoło.

Technik próbował uciekać, ale Sawina postrzeliła go w szyję, gdy był przy schodach. Mężczyzna zwinął się w agonii, dusząc się własną krwią.

Nie zaryzykuje, że tych dwóch mogłoby zostać złapanych. Gdyby ktoś przystawił im broń do głowy, pewnie naprawiliby to, co zniszczyli.

Do tego nie mogła dopuścić.

By mieć jeszcze większą satysfakcję ze swojego dzieła, Sawina złapała za siekiere wiszącą koło hydrantu i zbliżyła się do pulpity sterowniczych. Zniszczyła obydwie komputery i pulpity. Opuściła siekiere i oparła się na jej trzonku. Popatrzyła na monitory na ścianie. Zastanawiała się nad ich rozbiciem, ale plecy tak ją bolały, że bała się, iż nie zdoła jeszcze raz podnieść siekiery.

A przecież to i tak nie miało już żadnego znaczenia.

Rzuciła narzędzie zniszczenia na podłogę i popatrzyła na środkowy monitor. Ujrzała lejący się czarny skażony strumień.

Niech zobaczą, co dla nich przygotowała.

Uśmiechnęła się, czerpiąc radość z ostatniego aktu okrucieństwa, po czym odwróciła się i ruszyła do schodów.

Niech zobaczą, jak umiera świat.

Nikt już tego nie powstrzyma.

7 września, 13.03
Południowy Ural

Piotr ciągnął Monka za rękaw. Biegli wśród wrzasków żołnierzy, rozpryskującego się szkła, wystrzałów, płomieni i duszącego dymu. Dla Piotra to nie był jednak chaos.

Wciągnął Monka przez drzwi do kryjówki, a za moment w miejscu, gdzie wcześniej stali, pojawił się żołnierz, rozejrzał się i ruszył dalej. Biegli korytarzem, po schodach, przez okno, przez stertę gruzu do sąsiedniego bloku.

Po dojściu do korytarza Piotr się zatrzymał. W głowie kłębiło mu się tysiące możliwości. Serca błyszczały jak małe stosy pogrzebowe, błyskając strachem, złością, paniką, tchórzostwem i premedytacją. Rozumiał teraz każdy krok, zanim go jeszcze zrobili. To był jego talent, ale znacznie zwielokrotniony.

Przez kilka ostatnich lat, gdy budził się w nocy po swoich koszmarach, budził jednocześnie pozostałe dzieci wizjami płonących ciał. To było bezpośrednim powodem słabych wyników dzieci na testach w ciągu następnych dni. Nauczyciele uważali, że to wina Piotra, który straszył dzieci koszmarami, ale mylili się. Piotr miał talent, który polegał na czytaniu w sercach innych ludzi. Taki talent to empatia. Ale on miał także sekret, coś, o czym rozmawiał tylko z Martą. Coś, co znał ze swoich snów.

Potrafił znacznie więcej, niż tylko czytać w sercach - mógł także je kraść. To nie strach powodował słabe wyniki testów dzieci; Piotr im po prostu wykradał część talentu. Przez kilka minut po przebudzeniu potrafił mnożyć wielkie liczby jak Konstantin, potrafił stwierdzić, czy rozmówca kłamie, słuchając tylko jego głosu, jak Elena, mógł widzieć ukryte miejsca jak jego siostra. Talenty wypełniały go aż do momentu, gdy zaczynał płonąć.

Widział w umyśle spadające na niego gwiazdy, wrzeszczące, wypełniające jego pustkę. W swoich snach zawsze zdążył się obudzić, zanim wchłonął wszystkie serca. Dziś tak się nie stało. Piotr szedł przez sen, z którego nigdy się nie przebudzi. Wiedział, że przekroczył pewną granicę, ale zdawał sobie też sprawę, że nie miał wyboru. Jego przeznaczeniem było spłonąć.

Piotr patrzył na wszechogarniający chaos wzrokiem, który nie należał już tylko do niego. Setki par oczu tworzyły wzór w tym chaosie. I choć nie potrafił przewidywać przyszłości - a przynajmniej nie dalej niż na kilka sekund - to jego uszy słyszały każdy szelest, oczy interpretowały każdą iskrę lub ruch cienia, serce odczytywało to, co sprawiało, że stojący w pobliżu człowiek robił kolejny krok w tę czy w inną stronę, skręcał za róg czy się cofał, strzelał czy uciekał. Ponieważ posiadał też odrobinę umiejętności swojej siostry, widział, słyszał i czuł

na odległość kilkuset metrów.

Z tego chaosu wybrał ścieżkę.

Jedną, którą mógł iść. Szedł korytarzem, ciągnąc za sobą Monka.

Wskazał na lewo - i Monk zastrzelił żołnierza, który pokazał się w przejściu moment później. Amerykanin uczył się zawierzać instynktowi Piotra. Iść za nim, strzelać na komendę, stając się niemal jego cieniem.

Razem szli obroną ścieżką - wzorem w chaosie.

Prowadzeni czystym instynktem.

Tym właśnie był teraz Piotr: instynktem wzmocnionym setką talentów.

Doskonale to rozumiał. Instynkt był po prostu interpretacją milionów najdrobniejszych zmian w środowisku dokonywaną podświadomie przez mózg w danej chwili, a także zmian prowadzących do jakiegoś wydarzenia. Mózg pochłaniał chaotyczne informacje, tworzył wzór, a ciało reagowało na wytyczne mózgu. Wydawało się to czystą magią, ale to była zwykła biologia.

Piotr właśnie teraz czuł tak i działał - tylko że jego zdolności były stokrotnie wzmocnione.

Miał wyostrzone zmysły, czytał w sercach, odbierał motywacje, widział trajektorie, czuł odległości, słyszał hałasy, rozumiał głosy, odczytywał kierunki, czuł rytm, dym, żar... Docierały do niego miliony szczegółów, które były filtrowane przez setki pochłoniętych umysłów. Z tego chaosu tworzyły się wzory działania, a on znał każdy następny krok, jaki należy uczynić.

- Dokąd idziemy? - zapytał znowu Monk.

Tam, gdzie masz się znaleźć - odpowiedział bezgłośnie Piotr.

Piotr poprowadził go po schodach w dół i pociągnął na ziemię, zanim wystrzelił karabin i kula przeleciała nad jego głową. Schowali się pod rzędami metalowych biurków, gdy żołnierze zajrzeli do pomieszczenia, stamtąd przeczołgali się do kolejnej klatki schodowej i zeszli w dół do długiej piwnicy z odchodzącymi na boki korytarzami, do labiryntu pokoi i kolejnych przejść.

Piotr się spieszył.

Choć widział wzór, to jednak nie do końca postrzegał przyszłość. Tańczył szybciej między sznurkami czystego instynktu, czując na barkach presję wieków historii. Kończył im się czas.

Monk też się bardziej denerwował, możliwe, że czuł podobnie.

- Dokąd...?

Nowy głos rozległ się na końcu korytarza, pełen zdziwienia. Piotr odczytał bijące mocno serce obcego.

- Monk!

Gray omal go nie zastrzelił. Wychylając się zza rogu, Gray spostrzegł dwie postacie biegnące wprost na niego, jedna z nich miała broń wycelowaną do przodu. Gdyby nie obecność dziecka, to Gray instynktownie strzeliłby w stronę nadbiegających.

Zamiast tego zamarł na moment.

Przyjaciel go nie rozpoznał. Pistolet wystrzelił. Gray poczuł uderzenie w bark, które odrzuciło go do tyłu. Ból przeniknął ciało. Kowalski złapał go, gdy upadał, i wrzasnął wściekle:

- Monk, ty zasańcu! Co robisz!

Monk zatrzymał się pociągnięty za rękaw przez chłopca. Na jego twarzy pojawiło się absolutne zaskoczenie.

- Kim wy... jesteście? Kowalski prychnął z wściekłości.

- Kim jesteśmy? Jesteśmy twoimi cholernymi przyjaciółmi. Gray wstał, choć lewy bark palił go żywym ogniem.

- Monk, nie poznajesz nas?

Monk dotknął czerwonej i opuchniętej linii szwów za uchem.

- Nie... nie poznaje.

Gray zrobił krok w jego stronę, w mózgu kłębiło mu się wiele pytań, drżał. To spotkanie było niesamowite. Czy to amnezja, czy oni coś mu zrobili? Skąd Monk tu się wziął? I tak nie miało to teraz żadnego znaczenia. Mocno objął przyjaciela mimo bolącego barku. Dla niego dałby się nawet postrzelić w brzuch.

- Wiedziałem... wiedziałem o tym... - szeptał przejęty Gray. Łzy pociekły mu po policzkach. - Boże, ty żyjesz.

- Ale wkrótce może nie żyć, jeśli natychmiast się stąd nie ruszymy - warknął Kowalski.

Miał rację. Gray puścił Monka, ale trzymał rękę na ramieniu przyjaciela, by ten znowu nie zniknął. Monk popatrzył na nich.

- Słuchajcie - powiedział i wskazał ręką za siebie. - Możecie mi pomóc. Jest coś, co muszę zatrzymać.

- Operacja Saturn - rzucił Gray. Zdziwiony Monk spojrzał na niego i skinął głową.

- Tak. Ten chłopiec może... Monk się odwrócił.

- Gdzie jest Piotr?

Gray zrozumiał jego konsternację. Chłopiec zniknął.

13.15

Kysztym, Rosja

Elizabeth wpatrywała się w fotografię mozaiki ściennej ze świątyni w Indiach wyświetlonej na monitorze komputera. Pięć postaci siedziało na trójnogach wokół centralnie ustawionego omfalosa. Z dziury w kamieniu, jak z buchającego wulkanu, unosił się dym. Ognisty chłopiec wznosił się nad kamieniem, na wpół przysłonięty dymem.

Ale to nie tylko dym go unosił.

Elizabeth opierała się łokciem o kartki papieru zapisane harappańskim pismem, sanskrytem i greką. Literę spisała z fotografii ścian i z omfalosa. Nie była jednak pewna swojego tłumaczenia.

Świat zapłonął...

Studiowała w skupieniu zdjęcia mozaiki. Pięć kobiet garbiło się na trójnogach, jakby kołysały się w jakimś transie, ale każda z nich uniosła rękę w

kierunku chłopca spowitego dymem. Pierwsza myśl Elizabeth była taka, że kobiety wywołują ducha chłopca. Ale w końcu się domyśliła. One go nie wywoływały, one go wspierały.

Spojrzała na zdanie, które przed chwilą przetłumaczyła.

Świat zapłonie... jeśli wielu nie stanie się jednością.

To było ostrzeżenie. Mozaika przedstawiała wizję tego, co musi się wydarzyć, by świat nie spłonął w wielkim pożarze. Elizabeth przypomniała sobie, co mówił Gray o jakiejś operacji przeprowadzanej w górach, która może pochłonąć miliony istnień i najprawdopodobniej związana jest ze skażeniem promieniotwórczym.

Wyobraziła sobie grzyb atomowy, płonący świat, dymy i piekielną pożogę.

Zupełnie jak w kłębiącym się dymie z mozaiki. ...jeśli wielu nie stanie się jednością.

Zjechała kursorem pod zdjęcie, poniżej przetłumaczonego ostrzeżenia.

Strzałką najechała na symbol, który tam widniał.

Koło czakry.

Opuszką palca dotknęła koła. Czakra także zawierała to ostrzeżenie. Jej płatki skupiały się w centrum.

Wielu stanie się jednością.

Spojrzała na pięć kobiet unoszących chłopca.

Nabrała pewności co do swoich domysłów i nie chodziło jedynie o dokładność tłumaczenia, ale i o znaczenie słów. Ciało Elizabeth zadrżało z przejęcia.

Musiała z kimś podzielić się tą wiedzą. Podeszła do telefonu satelitarnego, który zostawił Gray, instruując ją, że gdyby wystąpiły jakieś problemy, to ma dzwonić do dyrektora Crowe'a.

Zawahała się przez moment. A jeśli się myliła? A jeśli spowoduje tylko więcej zamieszania? Zastanawiała się, czy nie zachować na razie tego odkrycia dla siebie. Ale przypomniała sobie ojca i jego tajemnice. A także Mastersona i jego sekrety. Miała już dosyć tych sekretów i półprawd, niewypowiedzianych słów. Koniec z tym. Nie będzie taka jak ojciec.

Zdając sobie sprawę ze znaczenia swojego odkrycia, sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer, który zostawił jej Gray.

03.18

Waszyngton, D.C.

Painter obserwował przygotowania dziecka do operacji. Stał obok Kat Bryant za szybą w pokoju sąsiadującym z małą salą operacyjną Sigmy. Sterylnie opakowany sprzęt czekał na wykorzystanie w bardzo delikatnej operacji: ultradźwiękowe ssaki, laserowe skalpele, stereotaktyczne lokalizatory. Na stołach czekały równo ułożone tace ze stalowymi narzędziami i wiertłami o różnych końcówkach. W sali ostateczne przygotowania prowadzili Lisa, Malcolm i neurochirurg z kliniki Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona.

Pośrodku pokoju leżała Sasza okryta cienkim chirurgicznym prześcieradłem. Widać było tylko unieruchomiony w specjalnej ramce bok jej głowy, ogolony, pokryty pomarańczowym środkiem antyseptycznym. W środku pola operacyjnego znajdował się odbijający światło lamp błyszczący implant.

Kat, blada i przejęta, stała z jedną ręką opartą o szybę.

W ciągu ostatnich kilku godzin seria testów EEG i tomografia komputerowa pokazały, że w głowie dziewczynki dochodzi do poważnego uszkodzenia mózgu. Zdecydowano o usunięciu implantu, wokół którego obserwowano neurologiczną hiperaktywność.

Lisa użyła określenia „piorunochron”.

Jedynym sposobem na uratowanie dziewczynki było usunięcie implantu. Przybyły neurochirurg przestudiował wszystkie zdjęcia rentgenowskie i skany. Sądził, że uda się bezpiecznie usunąć doczepione do czaszki urządzenie. Będzie to bardzo delikatna operacja, ale możliwa do przeprowadzenia.

To były pierwsze dobre nowiny tej nocy.

Telefon Paintera zabrzączał w kieszeni. Przez moment nie chciał nawet odbierać, ale w końcu wyjął z kieszeni i sprawdził, skąd dzwonią. Kysztym, Rosja. Odwrócił się tyłem do okna i odchylił klapkę telefonu.

- Painter Crowe, słucham.

- Panie dyrektorze - odezwała się kobieta, wydając przy tym westchnienie ulgi. Dzwoniła Elizabeth Polk. - Gray dał mi pański numer telefonu.

Painter wyczuł w jej drżącym głosie obawę.

- Co się stało, Elizabeth?

- Nie jestem do końca pewna, ale odkryłam coś... przetłumaczyłam...

Painter słuchał jej sprawozdania, obaw i wiary w treść wiadomości przekazanej w starożytnej mozaice.

- Wyrocznie siedzą przygarbione na trójnogach, pozbawione świadomości, jakby pogrążone w narkotycznym transie, opadłe z sił. Jedynym powodem ich stanu jest wspieranie tego jedyne, który może uratować świat od zniszczenia. Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale może mieć związek z tym, co się ta dzisiaj dzieje.

Podczas rozmowy Painter obrócił się z powrotem w stronę lustra i spojrzał na salę operacyjną. Słowa Elizabeth dzwoniły mu w uszach. Opadłe z sił, pozbawione świadomości, pogrążone w narkotycznym transie...

Zupełnie jak Sasza.

Kat wspominała mu, że przed utratą świadomości dziewczynka wykrzyknęła imię brata.

Jedynym powodem ich stanu jest wspieranie tego jedyne, który może uratować świat od zniszczenia.

Painter dostrzegł uniesiony skalpel w ręce chirurga.

Nie.

Rzucił się w stronę drzwi.

- Co się stało?! - wykrzyknęła za nim Kat.

Painter nie miał czasu na wyjaśnienia. Wpadł przez sterylną służbę do pokoju operacyjnego.

- Stop! Zatrzymajcie operację!

13.14

Południowy Ural

- Pani generał, powinna pani zejść na dół do bunkra - poradził żołnierz. Był od niej o głowę wyższy i potężnie zbudowany.

Inny żołnierz wciągnął do pokoju doktora Pietrowa, któremu wybuch urwał nogę w kolanie. Krew lała się strumieniem. Pozostali żołnierze wbiegli do pokoju z dziećmi na plecach. Zostali tu zepchnięci po załamaniu się obrony, cofali się przed atakiem cygańskich bojowników.

Potężny żołnierz wskazał na klatkę schodową.

- Proszę, pani generał. Będziemy bronić się do końca.

- Dzieci... - zaczęła Sawina, wiedząc już, że jej plan ucieczki diabli wzięli. Nie może pozwolić, by ktokolwiek ukradł owoce jej pracy. - Rozstrzelać je!

Mężczyzna otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, ale był żołnierzem i musiał wykonać rozkaz. Skinął głową.

Sawina zeszła na dół. Nie chciała oglądać egzekucji. Nogi plątały się jej na schodach. Dotarła do grubych na dziesięć centymetrów pancernych drzwi. Zabarykadowana od środka przeczeka tu wojnę na górze. Przed sobą za drzwiami zobaczyła migotanie monitorów. Na centralnym monitorze woda niosła truciznę do środka ziemi. Zamknie się tutaj, ale przynajmniej znajdzie pociechę w oglądaniu swego dzieła.

Z góry dochodziły odgłosy wystrzałów.

Dzieci...

Wzdrygnęła się i ruszyła do pokoju.

W drzwiach pojawiła się jakaś postać i zasłoniła wejście.

Chłopiec.

Piotr.

Piotr stał w przejściu i patrzył na kobietę. Była ciemnością i cieniem w mroku klatki schodowej. W rzeczywistości nie dostrzegał jej, po prostu wiedział, że ona tu jest. Skupił się na płomieniu w jej sercu, płonącym przy schodach.

- Piotr! - zawołała z nadzieją w głosie.

Gdy podchodziła do niego, chłopiec wyciągnął ramiona do przodu - ale nie oferował swojego ciała, tylko płonąca duszę. Złapał ogień jej serca w otwarte dłonie i trzymał go jak przestraszonego ptaka. Delikatnie zaczął go ścisnąć i zmniejszać.

Kobieta padła na kolana z krzykiem, trzymając się ręką za serce.

- Piotr, co ty ro...?!

Nadzieja zmieniła się w krzyk przerażenia.

A on dopiero zaczął.

To była druga strona empatycznego talentu Piotra. Potrafił doskonale wyczuwać czyjeś emocje, ale, z siłą setki serc stojących za nim, mógł jeszcze więcej.

Gdy setka oczu patrzyła jego wzrokiem, wyciągnął z innych dzieci wszystko, co od niej dostały: zimno skalpela, smutek samotności, chłód beztroski, cierpienie nocnego molestowania. Sięgnął jeszcze dalej w przeszłość do niebieskookiego dziecka w ciemnym kościele obserwującego zbliżających się kobietę i mężczyznę. Zebrał cały ten strach z przeszłości i wbił go jak sztylet w jej serce.

Kobieta wrzasnęła, wygięła się do tyłu, jakby łamana kołem, zamknięta w kręgu niekończącego się bólu.

Z nim było podobnie, gdy ciemna strona emocji zawładnęła jego ciałem, on też płonął ogniem. Gorące lzy polały się po jego twarzy, płakał za skradzionym dzieciństwem i utraconą niewinnością.

Nie dostrzegł chyba pistoletu, który unosił się ku niemu. Kobieta chciała zabić źródło swoich tortur, a on chciał zrobić to samo z nią.

Strzał rozerwał ciszę.

Piotr przewrócił się do tyłu, gdy płomień Sawiny zgasł nagle między jego palcami. Sawina padła na ziemię z odstrzeloną połową twarzy. Chłopiec spojrział do góry i zobaczył Monka zbiegającego po schodach z pistoletem w ręku.

Mężczyzna przeskoczył przez kobietę i złapał go w ramiona.

- Piotr!

Monk podniósł sztywnego chłopca. Jedną ręką przejechał po jego ciele. Malec chyba nie był ranny, choć jego skóra parzyła przy dotyku. Przytulił mocno Piotra.

Pozostali zbiegli po schodach.

Krótką wymianą ognia wyeliminowała obrońców ostatniego bastionu. Wyglądało na to, że Rosjanie chcieli rozstrzelać dzieci.

Gdyby spóźnili się o pół minuty...

Cyganie pozostali na górze, żeby zabezpieczyć teren i przypilnować dzieci. Były tu bezpieczne, przynajmniej na razie.

- Czy to jest to miejsce? - zapytał Gray.

Monk poprowadził ich do pokoju, trzymając chłopca na rękach. Z pulpitu sterowniczego przez głębokie wgniecenia wydobywał się dym. Klawiatury leżały potrzaskane. Szkło chrzęściło pod stopami. Wszystko było potrzaskane oprócz monitorów na ścianie.

Monk wskazał na środkowy monitor, rozpoznając to pomieszczenie. To było serce operacji Saturn. Tylko że teraz z dziury w sklepieniu spływała tamtędy czarna rzeka, która wpadała do szybu.

- To już się zaczęło - powiedział głucho. - Spóźniliśmy się.

Na sąsiednim ekranie Monk zobaczył tę część kopalni, gdzie zostawił Konstantina i pozostałe dzieci. Teraz wszystkie leżały pokotem na ziemi, jedno na drugim. Na tak ziarnistym obrazie nie można było stwierdzić, czy żyją. Czy

uległy napromieniowaniu?

Rozpacz ścisnęła go za gardło.

Gdy Gray sięgał po telefon satelitarny, Monk przyglądał się przybyłym z nim ludziom - Kowalskiemu i Rosaurowi. Szukał w pamięci iskry, która pozwoliłaby ich rozpoznać. Nie znalazł. Kim byli? Jeśli przyjaciółmi, to czy nie powinno to wywołać jakiejś reakcji z jego strony?

Gdy nad tym rozmyślał, Piotr sięgnął ręką do środkowego monitora i przyłożył do niego dłoń.

- Co on robi? - zapytał Gray z telefonem przy uchu.

- Kto, Piotr? - wyrwał się zamyślenia Monk. Chłopiec skupiał wzrok na obrazie na ekranie.

- Hej, tu jedzie jakiś pociąg! - odezwał się Kowalski. Monk zobaczył powoli ruszający pociąg, spod kół sypały się iskry. Tunel musiał mieć jednak zasilanie, choć oni nie mogli nim w żaden sposób sterować.

- Czy ten dzieciak to robi? - pytał Kowalski. - Przesuwa pociąg siłą umysłu?

Monk wstrzymał oddech i powoli wypuścił powietrze.

- Nie - odparł, patrząc na oddalający się pociąg, przypominając sobie fakty. - Tam jest ktoś jeszcze.

- Kto? - zapytał Gray.

Dotykając ekranu, Piotr wyteżył swoje zmysły do granic możliwości i skierował je do tunelu. Wzmocniony ukradzionymi talentami pokonał stał i beton. Głosy wyciszyły się za jego plecami, chłopiec wniknął w ciemny tunel i podążył do tej jednej płomiennej gwiazdy, do wielkiego serca, które kochał przez całe swoje młode życie.

Odnalazł ją skuloną ze strachu w wagoniku, bujającą się tam i z powrotem. Schowała się przed kamerami, bo ją o to poprosił. Ona była częścią wzoru. Przez ten moment nic innego nie miało znaczenia. Cierpiał bardziej niż zwykle. Bardzo jej potrzebował. Sięgając do jej starego serca, ujął delikatnie płomień i wysłał jej całą swoją miłość i prośbę.

Ona wiedziała, że on tam jest, i pohukiwała cichutko, wyciągając ręce w pustą przestrzeń. W ciemnym tunelu przytulili się do siebie, dzieląc się emocjami na głębszym poziomie, niż ktokolwiek inny to potrafił.

To był jeden z ich sekretów.

On znał prawdę od momentu, kiedy połączyli swoje dłonie. Piotr wiedział, dlaczego wszystkie dzieci kochają Martę, przychodzą do niej po pocieszenie, wypłakać się w jej ramionach albo po prostu przytulić.

Ona też miała swój talent, nieznaną jej właścicielom, silny dar empatii, zupełnie jak Piotr. Dwie pokrewne istoty. On ukrywał swoje sekrety, a ona swoje.

Ale to nie był ich jedyny sekret.

Był jeszcze jeden, ciemniejszy, owinięty w strach, objawiany w sposób, którego żadne z nich nie rozumiało, ale z którego istnienia obydwójce zdawali sobie sprawę. Od chwili kiedy się zobaczyli, wiedzieli, że umrą razem.

Gray widział, jak pociąg przyspiesza i jedzie w kierunku serca operacji Saturn. Monk powiedział mu w jakim celu.

- Ale kto tam jest? - zapytał. - Czy możemy się z nimi komunikować?

Monk trzymał chłopca, gdy jego drobne palce rozciągały się na powierzchni ekranu.

- Myślę, że Piotr już tam jest. On wie, jak steruje się tym pociągiem.

- Ale kto jest w pociągu?

- Przyjaciel.

Na ekranie ukazującym serce operacji Saturn pojawił się pociąg, który zahamował i zatrzymał się. Ciemny kształt wyskoczył z przedniego wagonu i dał susa do komory.

- Czy to małpa? - zapytał Kowalski, robiąc krok do tyłu.

- Szympanś - wyjaśniła Rosaurow.

- To jest Marta - uzupełnił Monk.

Gray wyczuł ból w jego głosie. Komora musiała już być silnie napromieniowana. Postać na monitorze poruszała się powoli, ślizgając się, opierając na knykciach. Miała objawy choroby popromiennej.

- Co ona próbuje zrobić? - zapytał Gray.

- Ocalić nas wszystkich - odparł Monk.

Piotr został z Martą. Przyciągnął jej płomień blisko swojego, nie tak blisko, żeby go wchłonać, ale wystarczająco, by mógł przekazać jej swoją siłę, by wiedziała, co ma zrobić, że nie jest sama. On także widział jej oczami, korzystał z wyostrzonych zmysłów szympansicy.

Zobaczył spadającą z rykiem wodę. Poczul żar osłabiający i wypalający Martę. Powietrze śmierdziało jak gnijące ryby i przerażało ich; widzieli płynącą czarną wodę z koszarów, które wspólnie przeżywali.

Bardziej śmiercionośną niż jakakolwiek rzeka.

Ale wspólnie jej się przeciwstawia.

Marta okrażyła dziurę, która łapczywie pochłaniała wodę. Należało to powstrzymać.

Istniał tylko jeden sposób, żeby osiągnąć cel.

Piotr wiedział, jak to zrobić, i zdradził Marcie. Konstantin wyjaśnił mu szczegółowo, jak to wszystko działało: ładunki wybuchowe, przekaźniki radiowe, gigantyczna pokrywa silosu.

Opowiedział Piotrowi także o dźwigni.

Marta nie potrzebowała wskazówek. Dostrzegła stalowy drąg za jakąś maszyną. Mogła nim zamknąć pokrywę silosu i zablokować wypływ skażonej wody do serca świata. Piotr czuł jej delikatne, bojaźliwe pohukiwanie. Czuł je we własnej klatce piersiowej.

Potrafisz to zrobić, Marto...

Walczyła z niemocą, skóra zaczęła ją palić, futro kłuło ją jak szpilki, po kontakcie z pryskającą wodą jej knykcie pokryły się pęcherzami.

Piotr trzymał jej płomień i wzmacniał jej siłę.

Sięgnęła do dźwigni znajdującej się blisko podłoża. Miała zostać przesunięta do pionu. Pochyliła się nad nią, złapała ją, zaparła się nogami.

Drąg nawet nie drgnął.

Gdy śmierć płynęła za jej plecami palącym strumieniem, Piotr czuł wysiłek w

jej plecach, nogach i sercu. Jej płomień iskrzył w jego dłoniach. Marta...

Dźwignia nie chciała się unieść.

Monk obserwował, jak Marta walczy z dźwignią. Była za słaba. Nie podniesie jej. Piotr zaczął głęboko oddychać, odczuwając strach i ból starej szympansicy.

- Dlaczego to nie chce się ruszyć? - zapytał Gray.

- No dalej, cholerna małpo! - krzyczał Kowalski. Monk zbliżył się do Piotra i położył swoją dłoń na monitorze.

Próbował przypomnieć sobie moment, kiedy spojrzał na to pomieszczenie, gdy w pośpiechu przez nie przechodził. Gdy się skupił, głowę przeszył mu ostry ból niczym wyładowanie elektryczne i pojawiły się w pamięci inne obrazy z przeszłości.

...mężczyzna pokryty pyłem węglowym... szybka jazda wagonikiem... biały uśmiech na tle zapylonej skóry twarzy... mój chłopak!... zupełnie jak ojciec...

I nagle wszystko zniknęło.

Monk starał się zachować te obrazy w pamięci, ale to było jak obudzenie się po marzeniu sennym. Pamięć przepływała mu między palcami jak woda. Ale dlaczego właśnie to wspomnienie wydostało się na powierzchnię? Musi się w nim kryć jakieś ważne przesłanie.

Gdy wspomnienie zniknęło, złapał ten jeden obraz pokrytego pyłem węglowym mężczyzny zwalniającego bieg wagonika kopalnianego za pomocą...

- Hamulec ręczny! - wykrzyknął.

Sięgnął pamięcią do krótkiego pobytu w tamtej grocie. Zobaczył w wyobraźni tę dźwignię. Na końcu miała specjalny uchwyt. Monk odwrócił się do Piotra. Pochylił się i szeptał do jego ucha.

- Marta musi złapać za koniec dźwigni. Musi ścisnąć rączkę. Wtedy zwolni się blokada dźwigni.

Piotr nadal patrzył, jakby był głuchy na słowa, a może nie próbował nawet słuchać. Monk musiał coś zrobić, żeby chłopiec go usłyszał.

Chyba rozumiejąc jego frustrację, Rosauro podeszła i stanęła przy Monku.

- Jak oni się porozumiewają? Telepatycznie?

- Nie, myślę, że empatycznie. Dzielą się swoimi emocjami. Widziałem, jak się z nią tak komunikował wcześniej, ale nie na taką dużą odległość.

- To musisz spróbować dotrzeć do niego w taki sam sposób.

Monk spojrzał na nią jak na wariatkę.

- Rosauro jest specjalistką od neurologii. Posłuchaj jej rady - powiedział Gray.

- Empatia polega na odczuwaniu i wzajemnym dotykaniu - tłumaczyła powoli kobieta. - Musisz spróbować dotrzeć do nich w ten sam sposób. Zaoferuj im coś, co da im ukojenie. To może otworzyć ścieżkę komunikacji.

Monk przywołał z pamięci obraz Piotra i Marty. Zawsze się dotykali, przytulali, ocierali o siebie. Przypomniawszy też sobie, co dawało chłopcu poczucie bezpieczeństwa i spokoju.

Przysunął się do niego od tyłu i objął go w taki sam sposób, jak robiła to często Marta. Czuł szybkie bicie serca chłopca, jak u kolibra. Bujając chłopca bardzo delikatnie, Monk pohukiwał mu cichutko do ucha i szeptał, co należy

zrobić.

Zrobił to z całej mocy swojego serca. Ściśnij hamulec ręczny...

Piotr cały czas był przy Marcie, gdy walczyła z dźwignią, i wtedy poczuł znajome ciepło na plecach. Spojrzał przez ramię i zobaczył tam dzielne serce dające mu silny płomień. Patrzył w ten ogień, wyczuł i może jednocześnie usłyszał, co należy zrobić.

Odwrócił się do Marty i też ją objął od tyłu, przekazując jej wiadomość.

Jego przyjaciółka trzęsła się i wypalała, była coraz słabsza. Proszę...

Marta pohukiwała przestraszona, ale jedno z jej długich ramion posunęło się w górę dźwigni i dłoń natrafiła na rączkę. Długie palce owinęły się wokół niej i ścisnęły. Wtedy Marta podniosła się, zgarbiła nad dźwignią i odepchnęła nogami.

Dźwignia ruszyła z miejsca, ale nadal była ciężka. Trzęsącymi się kończynami, walcząc z oporem, szympansica ciągnęła ją do góry. Coś zaskoczyło z głośnym stukiem.

Koła zębate zaczęły obracać się z chrzęstem. Wyczerpana Marta osunęła się na ziemię.

- Udało się jej! - krzyczał radośnie Gray.

Na ekranie wielka pokrywa silosu zaczynała się zamykać, odcinając spływ wody. Potężny strumień wody zalewał podziemną komnatę.

Woda porwała szympansicę i wyniosła ją z groty do tunelu. Choć Marta była wyczerpana, ostatkiem sił wskoczyła na dach wagonu. Gdy czarna woda podnosiła się dookoła, wystraszona szympansica biegała od jednego końca dachu wagonu do drugiego.

Grayowi zrobiło się smutno z powodu losu biednego stworzenia.

- Wyciągnijcie jakoś stamtąd tę biedną małpę, do licha ciężkiego! - zagrzemiał Kowalski i walnął pięścią w zniszczoną tablicę kontrolną.

Ale nic nie mogli już zrobić. Bramy pancerne były zatrzaśnięte, a woda szybko wypełniała szczelnie zamknięty tunel. Nawet gdyby mogli otworzyć bramę, to poziom promieniowania zabiłby ich wszystkich. A przecież szympansica i tak już wchłonęła kilkakrotną dawkę śmiertelną.

Rosauro odwróciła się i odeszła parę kroków, zakrywając usta dłonią.

Stara szympansica pochyliła się do przodu, opierając na knykciach, i chwyciła się za kolana. Zaczęła się kołysać. Wiedziała, co nadchodzi.

Monk tulił chłopca, pojedyncza łza spłynęła mu po policzku. Piotr także zaczął się delikatnie kołysać, dokładnie w tym samym rytmie co jego przyjaciółka w tunelu.

Piotr był z Martą, gdy podnosiła się woda. Jej serce drżało ze strachu. Wiedziała, że czarna woda ją zabije. Teraz trzymał ją Piotr, tak ja ona robiła to tyle razy w przeszłości. Otulił ją ramionami i przyciągnął mocno do siebie. Kołysali się razem, ten ostatni raz, dwa serca o wspólnym płomieniu. Marta też знаła jego sekret.

Cichutko pohukując, oparła swój policzek o jego twarz. Piotr...

Kocham cię, Marto...

Gdy woda podniosła się tak wysoko, że zaczęła pochłaniać przyjaciółkę, Piotr

spojrzał na ciemne morze dookoła, rozświetlone siedemdziesięcioma siedmioma jasnymi gwiazdami, wirującymi wokół jaśniejszego światła, jakim było jego serce. Kiedyś jeden z nauczycieli opowiadał, jak planety krążą wokół Słońca po zamkniętych orbitach.

On wszystko rozumiał.

Wiedział, że jeśli wchłonie gwiazdy, to już nigdy ich nie uwolni. To już nie był koszmar senny, gdy podkradał im cząstki umiejętności. Przekroczył granicę, zza której nie było powrotu. Gdy im się przypatrywał, zobaczył, że te ukradzione gwiazdy zaczynają blednąć. On też je wypalał, wchłaniał swoich przyjaciół, swoją siostrę.

Był tylko jeden sposób, by ich wszystkich uwolnić.

To był właśnie ten drugi powód, dla którego przyszedł do Marty.

Potrzebował jej.

Piotr... Nie...

Musisz...

Czuł, jak jej dłonie sięgają delikatnie po to jaśniejące światło wewnątrz jego ciemnego morza. Jej ciepłe długie palce owinięły się wokół jego serca.

Piotr...

Ale ona wiedziała. By pozostałe dzieci przeżyły, on musiał pójść tą jedną ścieżką. Dzieci były na zamkniętych orbitach i jeśli tam pozostaną, to on je wypali do cna. Jedynym sposobem na ich uwolnienie było usunięcie słońca, które trzymało je na orbitach. Wtedy gwiazdy powrócą na swoje miejsca.

Marta ścisnęła i ścisnęła, a czarna woda piętrzyła się wokół niej. Skupiona na Piotrze już się nie bała. Kołysząc się, ścisnęła delikatnie dłonie, choć to i tak zabolalo.

Wtedy, zanim jeszcze jego światło zupełnie zgasło, Piotr sięgnął do jednej gwiazdy w morzu ciemności, odrobinę jaśniejszej od pozostałych.

- Sasza - wyszeptał i wyznał jej swój sekret.

Chłopiec nagle zwiotczał w jego rękach. Jego drobne palce zsunęły się z monitora. Monk zobaczył, jak woda zmywa ciało Marty z dachu wagonu i wciąga w ciemność tunelu.

Monk położył chłopca na podłodze.

- Piotr?

Chłopiec wpatrywał się ślepo w sufit rozszerzonymi źrenicami. Monk sprawdził mu puls. Bardzo słaby. Klatka piersiowa chłopca podnosiła się i opuszczała.

Z wyższego poziomu dochodziły krzyki i płacz. Pozostałe dzieci budziły się w pomieszczeniu pełnym martwych ciał.

- Rosauero i Kowalski, do góry! Pomóżcie dzieciom! - rozkazał Gray.

Monk spojrział na ziarnisty obraz z drugiego końca tunelu. Dzieci budziły się, wstawały, inne już stały. Dostrzegł Konstantina, który pomagał wstać Kisce.

Dzieci były zdrowe.

- A co z chłopcem? - dopytywał się Gray.

Monk usiadł na podłodze i tulił drobne ciało. Piotr oddychał, serce pompowało krew, ale Monk wpatrywał się w jego niewidzące oczy i wiedział, że

chłopiec, którego znał, zniknął.

Piotr... dlaczego?

Gray ukucnął koło Monka i położył mu dłoń na ramieniu.

- Może to tylko szok. Może z czasem...

Monk był wdzięczny za słowa pociechy, ale znał prawdę. Gdy trzymał chłopca, poczuł, że dziecko odeszło. Wzrok Monka powrócił na ekran pełen kręcących się dzieci. Wiedział, że Piotr poświęcił swoje życie za siostry i braci.

Gray usiadł po turecku koło niego, by razem z nim czuwać przy chłopcu.

Ten obcy mężczyzna wydawał się dobry i w tej chwili skupienia Monk czuł się przy nim dobrze. Odnosił wrażenie, że przy nim mógł bez strachu zmniejszyć czujność.

Dlatego nie czuł wstydu, gdy ciężkie łzy zaczęły kapać mu po policzkach. I bujał Piotra w ramionach ostatni raz, pustą łupinę.

22

28 września, 16.21

Waszyngton, D.C.

Painter przechodził między skupiskiem namiotów, wozów i przyczep rozstawionych na promenadzie. Obóz cygański zajmował wielki trawnik w jej centrum. Namioty stanowiły mieszaną konstrukcję wykonanych z kijów leszczyny zatkniętych w ziemię i okrytych płótnem żeglarskim oraz bardziej nowoczesnych namiotów wprost ze sklepów sportowych. Przyczepy mieszkalne też pochodziły z różnych lat - od zupełnie prostych wozów do wielkich taborów z kominami na wysokich, kolorowo pomalowanych kołach.

Romowie przyjechali z różnych stron świata, by uczestniczyć w tym wielkim zgromadzeniu. Konie przebywały w zagrodach posklepanych z przywiezionych żerdzi, dookoła nich biegały dzieci, muzyka rozbrzmiewała wesoło, wybuchy radosnego śmiechu niosły się w powietrzu. Codziennie dobijali nowi przybysze.

Na koniec tygodnia prezydent Stanów Zjednoczonych zaplanował specjalną uroczystość. Gościnnie i słowem chciał osobiście podziękować Romom za ich wkład w uratowanie życia wielu ludzi, a może i całego świata.

Painter szedł ścieżką wśród tego zamieszania, wśród szczekających psów i biegających dzieci. Turyści swobodnie krążyli po alejkach, kupując na minibazarach świecidełka, słuchając wróżb i przyglądając się wesołemu harmidrowi. Painter spojrzał na obelisk Waszyngtona, żeby zorientować się, gdzie dokładnie jest, i ruszył dalej.

Gdy wyszedł za róg, ujrzał kawałek otwartej przestrzeni ograniczonej z jednej strony najbardziej misternie udekorowanym wozem. Jego drewniane drzwi były otwarte. W środku dostrzegł wysoko zawieszone podwójne łóżko, kredensy z szufladami i bielizniarki pomalowane na odcienie żółci i czerwieni. Była tam też

misternie wykonana żeliwna koza.

Na stopniach wozu siedzieli Luka i Gray pogrążeni w żywiołowej rozmowie. Komandor nadal miał rękę na temblaku. Nieopodal Shay Rosauro wraz z grupą Cyganów zabawiała się rzucając sztyletami. Jeden z rzuconych przez nią sztyletów utkwił w samym centrum tarczy, wypychając broń przeciwnika. Z zawodzących próśb o litość można było wywnioskować, że pokonała wszystkich.

Painter zdziwił się, widząc spacerującą z Kowalskim Elizabeth. Doktor Polk chyba specjalnie przyleciała z Indii, by wziąć udział w uroczystości. Współpracowała z romskimi historykami i hinduskimi archeologami, by wydobyć na światło dzienne zalany grecki kompleks świątynny.

Painter spojrzął na prawo i na fasadzie Muzeum Historii Naturalnej zobaczył wielki transparent przedstawiający greckie wzgórze świątynne z literą epsilon na samym środku. Transparent zapowiadał niedalekie otwarcie wystawy poświęconej wyroczni delfickiej. Przy rozgłosie towarzyszącym ostatniemu wielkiemu odkryciu archeologicznemu bilety na wystawę zostały wyprzedane kilka miesięcy wcześniej, wiele z nich kupili biwakujący na promenadzie Cyganie chcący bliżej poznać swoją przeszłość.

Luka dostrzegł Paintera i wstał. Cygan był ubrany w bufiaste spodnie okolone szerokim pasem i wysokie czarne buty, górę ciała zdobiła wyszywana luźna koszula z długimi rękawami i rozpięta kamizelka.

- O, dyrektor Crowe! Witamy! Painter skłonił się głowie klanu.

- Nais take - podziękował mu w języku Romów.

Gray także wstał. Podobnie jak Kowalski komandor był ubrany w dżinsy i lekką kurtkę. Przez kilka ostatnich dni często tu zachodzili. Minęły dwa ciągnące się tygodnie wypełnione pogrzebami i ponurymi spotkaniami. Painter bywał tu z Lisą prawie co wieczór. Trzymając się za ręce, spacerowali w milczeniu po obozowisku, mijali rodziny siedzące przy kolacyjnych stołach oświetlonych świecami, słuchali pieśni i śmiechu. Painter znajdował ukojenie w tej gorącej atmosferze kojarzącej mu się z pełnią życia. Pieśni i koleżeńskie swawole przypomniały mu jego dzieciństwo i plemienne świąteczne zgromadzenia w rezerwacie Mashantucket. Czuł się tu prawie jak u siebie...

Dzisiejsze zgromadzenie było jednak trochę bardziej formalne.

Podeszli razem do stojącego w pobliżu zbitego z desek stołu. Tuż obok uwiązana była para potężnych koni pociagowych.

Gdy usiedli, Gray zapytał:

- I jak poszło spotkanie?

Luka spojrzął na niego błyszczącymi oczami.

Painter właśnie wrócił ze spotkania z przedstawicielami Departamentu Stanu, ambasady Rosji i kilkoma organizacjami pomocy dzieciom. Tematem dyskusji był los siedemdziesięciorga siedmiorga dzieci. Wiele organizacji rościło sobie prawa do zaopiekowania się nimi.

- Rosjanie są zadowoleni z przyjęcia przez nas całej odpowiedzialności za dzieci - zaczął Painter. - Mają dosyć sprzątanania u siebie. Najnowsze badania radiologiczne przeprowadzone przez wspólną amerykańsko-rosyjską komisję wskazują, że częściowe spłynięcie wody z jeziora Karaczaj do wód gruntowych

nawet jeśli zagrozi okolicy, to nie spowoduje globalnej katastrofy. W odpowiednim czasie zamknięto tamy powodziowe.

Gray odetchnął z ulgą.

- A co z dziećmi?

Painter był rano w szpitalu. Całe skrzydło kliniki Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona zostało zamknięte na potrzeby hospitalizowanych dzieci, które przywieziono z Rosji. Zespół neurologów spędził ostatnie tygodnie, usuwając implanty z ich czaszek. Zgodnie z ustaleniami szefa wydziału neurologicznego wyjęcie implantu to delikatna, ale wcale nie wyjątkowo trudna operacja. Ostatniemu dziecku usunięto implant dwa dni temu. Wszystkie dzieci były w bardzo dobrej formie.

- Testy wykazały, że część talentów sawantów pozostała w dzieciach, ale na znacznie obniżonym poziomie - wyjaśnił Painter. - To dziwne połączenie wszystkich umysłów na koniec spowodowało wypalenie struktur nerwowych będących podstawą ich wybitnych uzdolnień. Ale z drugiej strony ta zmiana najprawdopodobniej osłabiła także ich autyzm. Ich stan się poprawia. Ktokolwiek jednak weźmie te dzieci pod opiekę, będzie musiał monitorować ich stan zdrowia oraz poddawać je cyklicznym badaniom psychologicznym. Trzeba będzie obserwować ich uzdolnienia oraz ogólne zdrowie psychiczne.

Painter spojrzął na Lukę, który słuchał go ze spokojem, choć jego oczy błyszczały nadzieją. W końcu Painter się uśmiechnął.

- Zgromadzenie jednomyślnie przyznało, że dzieci powinny zostać oddane na wychowanie rodzinom romskim.

Luka z radości walnął pięścią i wykrzyknął:

- Tak!

Na tę głośną reakcję jeden z koni pociagowych zarżał i uderzył kopytem w ziemię.

Przez następne pół godziny Painter zapoznawał ich ze szczegółami, które pomogły ostudzić zapał Luki, ale nie zgasiły w jego oczach błysku radości. Po wyjaśnieniach zaczęli się rozchodzić.

Elizabeth ruszyła z Kowalskim uczepionym jej ramienia.

- Jak już jesteś z powrotem w kraju - mruzczał do niej Kowalski, głaszcząc się ręką po ogolonej na łyso głowie - to może... chciałabyś... może moglibyśmy...?

- Nie będzie mu łatwo - skomentował Gray i skrzywił się, słysząc niezgrabne wysiłki podwładnego, po czym skinął na Paintera, by odeszli na bok.

- O co chodzi, Joe? - zapytała Elizabeth, podnosząc pytająco brew.

Kowalski zaczął się jąkać, przeklął pod nosem i wyprostował się.

- Czy umówisz się ze mną na randkę?

Nieźle, pomyślał Painter, powstrzymując śmiech. Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Masz na myśli już drugą randkę, tak?

Brwi Kowalskiego uniosły się wysoko ze zdziwienia.

- Przecież strzelano do nas, porywano nas, napromieniowywano i do tego uratowaliśmy świat. Czy to się nie liczy jako pierwsza randka?

Kowalski był całkiem zbity z tropu jej poczuciem humoru.

- Więc umówimy się? Elizabeth skinęła głową.
- Jeśli przyniesiesz cygara. Kowalski się uśmiechnął.
- Mam całe pudełko... o, cholera! - Zatrzymał się i spojrzał na swoje buty.

Jego lewa stopa wylądowała w samym środku końskich odchodów. - Moje nowe chukkasy.

Elizabeth wsadziła jego rękę pod swoje ramię i odciągnęła go.

- Przecież to się zmyje.
- Ale ty tego nie rozumiesz! To jest ręcznie polerowana skóra przez...

Para zniknęła w tłumie. Gray pokręcił głową.

- No i proszę. Kowalski umówił się na randkę. Piekło stało się chłodniejsze.

Painter i Gray ruszyli w stronę Smithsonian Castle. Obydwaj mieli mnóstwo pracy. W siedzibie dowództwa Sigmy nadal panował chaos. Podczas napadu stracili kilku kluczowych ludzi, a jeden poziom został całkowicie wyłączony z użytku po przejściu fali ogniowej. W dalszym ciągu trwał remont i kontrola całej infrastruktury.

Pojawiły się też komplikacje polityczne. Udało im się pojmać neurologa, doktora Jamesa Chena, jednego z Jasonów współpracującego z Mapplethorpe'em i McBride'em. W trakcie dochodzenia pomagał im oddzielić skorumpowanych Jasonów od uczciwych naukowców pracujących dla Departamentu Obrony. Pozostawała jeszcze sprawa Mapplethorpe'a. On miał powiązania z różnymi agencjami wywiadowczymi w całym Waszyngtonie. Nadal nie było jasne, czy działał sam i był nieuczciwym agentem, czy też wspierała go jakaś grupa mocodawców z waszyngtońskiego establishmentu. W śledztwie poszczególne agencje starały się bronić, ale w końcu wykryto jego wtyczki. Nawet w Sigmie.

Szakale krążyły dookoła Sigmy, ale Painter miał za sobą poparcie wdzięcznego prezydenta. Oczyszczenie środowiska pochłonie dużo pracy, ale na szczęście już było widać jej koniec. Painter miał umówione na jutro spotkanie z następcą Seana McKnighta, nowym szefem DARPA. Prezydent najpierw zaproponował to stanowisko Painterowi, ale on odmówił. Sigma potrzebowała ciągłości kierownictwa. Painter szczególnie teraz nie mógł porzucić Sigmy - wspólnego dzieła Archibalda Polka i Seana McKnighta.

Painter spojrzał na Graya.

- Podejrzewam, że jutro cały dzień spędzisz w szpitalu.
- Kat przyda się towarzystwo - odparł, kiwając głową. Operacja Monka Kokkalisa została zaplanowana na szóstą rano.

Obrazowanie rezonansem magnetycznym mózgu wykazało, co zrobiono Monkowi w rosyjskich laboratoriach badawczych, ale nadal nie było wiadomo, czy takie uszkodzenie można naprawić. Rosjanie umieścili mikrochip w ciele migdałowatym. Neurologi byli zdania, że właśnie ten mikrochip jest odpowiedzialny za jego płynną amnezję. Z techniką wywoływania amnezji eksperymentowano przy użyciu farmaceutyków, a szczególnie propranololu jako beta-blokera, w celu wymazania silnych wspomnień traumatycznych przeżyć. Rosjanie eksperymentowali na Monku, używając do tego biotechnologicznego ekwiwalentu farmaceutyków.

Operację Monka opóźniano, ponieważ musiał najpierw zakończyć kurację antyradiacyjną. Neurologzy wykorzystali ten dodatkowy czas na zbadanie go, ale nie wiedzieli, czy odzyska całą pamięć - szczególnie że obrazowanie rezonansem magnetycznym wykazało jeszcze jedną rzecz. Żeby zmieścić mikrochip, Rosjanie wycięli mu mały fragment kory mózgowej.

Painter przypomniał sobie przerażenie na twarzy Graya, gdy to usłyszał, i jego słowa: „Najpierw ręka, teraz kawałek mózgu... to tak, jakby ktoś Monka odcinał kawałek po kawałku”.

- Czy istnieją jakieś dowody, że Monk rozpoznaje Kat? - zapytał Painter.

Gray pokręcił głową.

- Lekarze trzymali ją z daleka od niego. Uważają, że dopóki ma w głowie mikrochip, to kolejny stres związany z próbami odzyskania pamięci, jak właśnie odświeżenie kontaktu emocjonalnego z Kat, mógłby zrobić więcej złego niż dobrego.

- Ale przecież go odwiedzała?

- Nie mogła się powstrzymać. Weszła do sali z grupą pielęgniarek. Monk rozmawiał z nimi, ale nie zareagował jakoś specjalnie na jej widok. Kat prawie się załamała. Ma go z powrotem, ale on jest jakby dla niej stracony.

- Pozostaje nam tylko modlitwa, by to się zmieniło.

29 września, 18.21

Klinika Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona

Monk obudził się w pokoju zbyt jasno oświetlonym. Światło kłuło go w oczy, aż poczuł ból z tyłu głowy. Do tego dołączyły się mdłości, którym towarzyszyły zaburzenia wzroku. Kilka razy przełknął ślinę i starał się skupić wzrok.

Szczupła kobieta w czarnej sukience klepała go po dłoni.

- Już dobrze, panie Kokkalis. Proszę odдыchać. - Odwróciła się. - Tym razem wybudza się poprawnie.

Uderzanie w bęben wewnątrz mózgu powoli zamieniało się w tępy ucisk. Zauważył, że znajduje się w pokoju szpitalnym, przywołał jakieś obrazy z pamięci. Miał operację. Podniósł rękę i dostrzegł wbity w nią wenflon, przez który podawano mu sól fizjologiczną i krew. Z boku pikały i warkotały urządzenia diagnostyczne i monitory.

Monk próbował odwrócić głowę, ale zaboląła go szyja. Z czapki na czubku głowy zwisała jakaś tuba.

Wielu doktorów przewinęło się przez izolatkę, świecili mu latarkami w oczy, kazali wykonywać jakieś proste testy motoryczne, oceniali jego zdolność do połknięcia okruszków lodu, przeprowadzali z nim testy neurologiczne. Po dziesięciu minutach wyszli, dyskutując o jego przypadku. W pokoju zostały dwie osoby. Stały u stóp łóżka.

Monk rozpoznał mężczyznę.

- Gray... - powiedział chropowatym głosem. Gardło nadal go piekło od

intubacji.

Oczy mężczyzny zabłysły.

Monk wiedział, na co oni czekali, na co on czekał, ale pokręcił głową. Tego mężczyznę w pokoju pamiętał jedynie z wydarzeń w Rosji. Uderzająco piękna kobieta pochyliła się nad nim, miała płomiennorude włosy do ramion. Jej szmaragdowe oczy wpatrywały się w Monka, szukając jakiejś odpowiedzi, ale on nawet nie znał pytania.

Gray położył rękę na jej ramieniu.

- Jeszcze za wcześnie, Kat. Wiesz o tym. Lekarze mówią, że to może potrwać kilka miesięcy.

Odwróciła się trochę i wytarła oczy.

- Wiem - odpowiedziała, ale brzmiało to jak jęk. Wyostrzonymi przez ustępujące mdłości zmysłami uchwycił zapach powietrza, znajomy, korzenny, z piżmowym odcieniem. Temu wrażeniu nie towarzyszył żaden obraz, ale zaczął mocniej oddychać. Coś... coś...

- Powinniśmy pozwolić mu odpocząć - oświadczył Gray i wyprowadził kobietę.

- Wrócimy rano. To był długi dzień. Powinnaś zresztą zabrać ją już do domu.

Gray skinął głową w stronę niebieskiego wózka, w którym spało dziecko owinięte koczykiem, z czapeczką na głowie, tak jak Monk.

Oczy Monka spoczęły na dziecku. Nagłe serie błysków rozświetliły pustkę.

...drobne paluszki zakrecone wokół jego palca... spacer długim, ciemnym korytarzem, zmęczenie, bujanie malej ósóbki w ramionach... kopanie małych nóżek przy zmianie pieluszki...

Same strzępy. Żadnej spójności. Ale w odróżnieniu od poprzednich przebłysków tym razem nie poczuł żadnego bólu, tylko kojącą jasność, która nie zniknęła.

W tej jasności odnalazł srebrzysty blask siebie.

- Ona... ma na imię... Penelopa.

Kobieta popatrzyła na dziecko, potem na niego. Cała zaczęła dygotać z radości.

- Monk...

Rzuciła się do niego, usiadła na łóżku i pochyliła się nisko. Pocałowała go delikatnie, jej włosy opadły, tworząc nad nim ognistorudy namiot.

Przypominał sobie.

Smak cynamonu, miękkie usta...

Nadal nie pamiętał jej imienia, ale fala miłości wypełniła jego ciało i wylała się ze łzami. Może sam by sobie nie przypomniał, nie do końca, ale na pewno wiedział jedno: jeśli ona mu pozwoli, to on spędzi resztę życia, ucząc się od początku, kim ona jest.

19.01

Gray zostawił Kat i Monka samych i szedł szpitalnym korytarzem. Chciał

odwiedzić jeszcze jednego pacjenta. Skierował się w stronę oddziału dziecięcego. Pokazał swój identyfikator uzbrojonomu strażnikowi broniącemu osobom postronnym dostępu do tego skrzydła.

W środku przeszedł kilkoma korytarzami i minął parę sal. Ściany były tu pomalowane w baloniki i postacie zwierząt z kreskówek. Minał wysokiego chłopca w szpitalnej piżamie spacerującego z niższą dziewczynką. Obydwoje mieli wygolone po bokach głowy. Rozmawiali wesoło po rosyjsku.

Wszystkie dzieci dochodziły już do siebie po traumatycznych przeżyciach. Prawie wszystkie. Oprócz jednego.

Przeszedł jeszcze jeden korytarz i dotarł do izolatki. Drzwi były otwarte. Ze środka dochodziły głosy.

Gray zapukał delikatnie i wszedł. W pokoju stało łóżko i żółty plastikowy stolik z dziecięcymi krzeselkami dookoła. Przy łóżku Lisa Cummings wypełniała kartę pacjenta. Mając medyczne wykształcenie, asystowała chirurgom i lekarzom i na bieżąco informowała Paintera o stanie zdrowia dzieci i występujących problemach.

Sasza siedziała przy stoliku, kolorując obrazki w swojej książce. Na głowie miała różowy berecik zakrywający wygoloną głowę.

- Pan Gray! - wykrzyknęła, wyskakując z krzeselka jak na sprężynach, i podbiegła do niego. Przytuliła się do jego nogi.

Poklepał ją po plecach.

Sasza przychodziła w odwiedziny do brata tak samo często jak Gray.

Piotr siedział w wózku inwalidzkim przy oknie, patrząc na zapadający mrok. Przypominał manekin. Prosty, sztywny, niereagujący na nic, co działo się wokół niego.

- Jakież zmiany? - zapytał Gray, wskazując głową na kartę pacjenta w rękach Lisy.

- Coś się dzieje. Zaczął przyjmować pokarm łyżeczką. Jedzenie dla niemowląt. Wygląda, jakby cofnął się do wczesnego dzieciństwa. Lekarze liczą na to, że z czasem jego psychika dogoni rozwój ciała.

Gray miał nadzieję, że lekarze się nie mylili. Ten chłopiec uratował świat i poświęcił siebie.

- Gray, jeśli położysz chłopca do łóżka, to pozwolimy ci samemu z nim zostać przez chwilę.

Graj skinął głową.

- Chodź, Sasza. Wracamy do twojego pokoju.

- Czeka! - Puściła nogę Graya i podbiegła do Piotra.

- Powiedz dobranoc Piotrowi i idziemy — nalegała Lisa. Sasza pocałowała brata w policzek i wróciła biegiem do Graya, wyciągając ramiona.

Gray przyklęknął i czekając na pocałunek na dobranoc, nadstawił policzek. Pocałowała go i złapała za ucho. Pochyliła się blisko i szepnęła:

- Piotra tam nie ma - oświadczyła konspiracyjnym tonem. - Ktoś inny tam jest. Ale nadal go kocham.

Gray wyczuł lekki smutek w jej głosie. Sasza musiała podsłuchać rozmawiających lekarzy. Prognozy były raczej ponure. Nawet jeśli Piotr odzyska

samodzielność, nie będzie już tym samym dzieckiem.

Gray uspokajająco pogłaskał ją po ramieniu. Nie chciał jej dawać nadziei. Najlepiej, żeby sama oswoiła się z nową rzeczywistością.

- Sasza! - zawołała Lisa.

- Chwileczkę! - Oderwała się od Graya i podbiegła do stolika. - Mam coś dla pana Graya. - Szeleściła kartkami, szukając czegoś w książeczce do kolorowania.

Gray czekał, klęcząc na jednym kolanie. Lisa się uśmiechnęła.

- Ona chyba wcale nie chce iść spać.

Dziewczynka przyleciała z kartką wyrwaną z książeczki. Wcisnęła ją Grayowi w rękę.

- To dla ciebie - powiedziała z dumą.

Gray spojrział na rysunek klauna. Doskonale go pokolorowała, nawet dodała kilka szczegółów i pocieniowała, żeby wyglądał trochę smutno, a jednocześnie przerażająco. Widać było, że zachowała odrobinę artystycznego talentu.

Sasza znowu pochyliła się nad jego uchem i szepnęła:

- Ty umrzesz.

Graya aż przeszedł dreszcz zdziwienia, ale w jej głosie nie było złości, tylko zwykłe stwierdzenie faktu, jakby komentowała prognozę pogody. Gray pomyślał, że Sasza samodzielnie, na wszelkie sposoby, próbuje zrozumieć pojęcie śmierci. Tyle jej sama widziała, a przecież i Piotr był teraz zawieszony pomiędzy światem żywych a umarłych.

Gray nie wiedział, co odpowiedzieć. I tak jak w innych sytuacjach, nie chciał kłamać. Wstał, trzymając dłoń na jej plecach.

- Wszyscy w końcu kiedyś umrzemy, Sasza. To naturalna kolej rzeczy.

Sasza westchnęła w przesadnie dramatyczny sposób.

- Nie tak, dzieciaku mały - powiedziała, wskazując na kartkę. - Musisz po prostu bardzo uważać! Dlatego to narysowałam.

Lisa wskazała ręką na drzwi.

- Dostyc już, Sasza. Czas do łóżka.

- Jeszcze chwilę!

- Nie.

Zawiedziona, pozwoliła się wyciągnąć Lisie z pokoju. Na pożegnanie pomachała Grayowi.

Gdy wyszły, Gray podszedł do Piotra. Lubił przy nim siedzieć, dawać mu odczuć, że nikt o nim nie zapomniał, że wszyscy pamiętają o jego poświęceniu. Przychodził tutaj także ze względu na Monka. Chłopiec tyle znaczył dla jego przyjaciela. Gray czuł się w obowiązku dotrzymać Piotrowi towarzystwa.

Ale tak naprawdę te wizyty działały na komandora kojąco. Przy chłopcu czuł dziwny, niewytłumaczalny spokój, jakby cały czas otaczała go jakaś empatyczna aura.

Gray usiadł i zaczął przypominać sobie wszystko, co się wydarzyło. Wspomnił, jak chłopiec ciągnął Monka za rękaw w korytarzu, by się z nim spotkał. Teraz zrozumiał zachowanie Piotra. Jego siostra uratowała Monkowi życie, wyciągając go z morza, ale jednocześnie odłączyła go od rzeczywistości, a

Piotr go przywracał, zupełnie jakby oddawał sąsiadowi pożyczoną wcześniej rzecz.

Te wszystkie wydarzenia... Gray wiedział, że nie było to szczęście ani nawet zbieg okoliczności. Patrzył na Piotra i wyobraził sobie Saszę.

To wszystko było zaplanowane.

Przyglądając mu się, przypomniał sobie także cel działania Nikołaja Sołokowa: manipulowanie sawantami w celu stworzenia nowego wielkiego proroka dla całego świata. Następnego Buddy, Mahometa albo Chrystusa. Gray rozmawiał o tym z Monkiem, gdy razem odwiedzili Piotra.

Monk skinął wtedy w kierunku chłopca.

„Może Rosjanom udało się lepiej, niż się tego spodziewali”.

Jak zawsze w przypadku wielkich ludzi Piotr zapłacił najwyższą cenę. Teraz nie zgłębia już całej prawdy, ale może to i lepiej.

Gray westchnął i odsunął od siebie te wspomnienia. Musiał zacząć się martwić innymi przerażającymi klaunami. Gdy zgniatał kartkę, zauważył, że na jej drugiej stronie dziewczynka coś samodzielnie narysowała.

Rozprostował kartkę, popatrzył na misternie naszkicowany czarną kredką kształt.

To był pięknie narysowany chiński smok.

Gray poczuł lodowate ukłucie, gdy zrozumiał przesłanie rysunku. Podniósł dłoń do szyi. Pod koszulą miał srebrny wisior z wizerunkiem identycznego smoka, upominek od zabójcy, jednocześnie obietnica życia i przekleństwo śmierci.

Gray spojrział na drzwi. Czy dziewczynka już kiedyś widziała ten magiczny wizerunek smoka? Spoglądał na rysunek, zdając sobie sprawę, że to niemożliwe.

To było ostrzeżenie - i nie dotyczyło wcale klaunów.

Symbol smoka.

Siedząc w ciszy panującej w pokoju, Gray wyczuł widmo grożące mu niebezpieczeństwa. Wyszeptał słowo, które ściśle wiązało się z groźbą.

- Seichan.

Epilog

Chłopiec siedzi przy oknie i wpatruje się w zapadający za oknem mrok. Nie jest jeszcze gotowy, by wyjść na zewnątrz. Musi przyzwyczać się do swojego nowego domu. Niezbyt mu odpowiada i przeszkadza w myśleniu.

Widzi swoje odbicie w szybie: ciemne włosy, drobna sylwetka, znajoma twarz. Ale nie czuje się dobrze w sobie. Pewnie z czasem przyzwyczą się jakoś do tego wszystkiego. Patrzy na spadające i poruszane wiatrem liście.

Nie czuje już strachu, mimo że spada coraz więcej liści. To, co jest głęboko w nim, wypełnia puste przestrzenie cieniami i kształtami wydobytymi z pamięci. To, co pojawia mu się przed oczami, jest bardziej znajome niż jego odbicie w lustrze. Wie, że była to twarz, którą kiedyś nosił.

Ciągle pamięta ciemność, czarne morze z mrugającymi światełkami. Pamięta umierające słońce w samym środku, przyduszone, by światełka mogły odlecieć i nadal świecić. Ale w tym ostatnim momencie chłopiec, który kiedyś nosił to ciało, zatrzymał jeszcze jeden sekret tylko dla siebie. Gdy opuszczał czarne morze i odchodził w zaświaty, wyciągnął jedno światełko w bezpieczne miejsce i wrzucił je w puste czarne morze.

Żeby mogło świecić na nowo.

Za oknem coraz więcej liści wirowało w powietrzu, a cienie z pamięci wypełniały puste miejsca, układając się w wizerunek jego prawdziwej twarzy.

Ta twarz zostanie niedługo zapomniana, ale nikt nie zapomni chłopca, który

oddał swoje życie, żeby mogło powstać coś nowego. Często w snach widzi chłopca, który biega po łąkach, wspina się na pagórki, macha ręką... i znika.

Jest taki szczęśliwy.

Ten nowy chłopiec, który siedzi w fotelu, patrzy przez okno. On też kiedyś znowu pobiegnie.

Prawda czy fikcja

Podobnie jak profesor Archibald Polk rozpocząłem pisanie tej powieści zafascynowany potęgą ludzkiej intuicji. Czy naprawdę istnieje? Skąd się bierze? Pomyślałem, że zakończę te przygody, pokazując czytelnikom, skąd brałem pomysły i czerpałem fakty.

Wyrocznia delficka. W prologu poświęciłem trochę miejsca mitom i rzeczywistości otaczającej wyrocznię. Czy Pytie potrafiły faktycznie przewidywać przyszłość, czy też nie, nadal pozostaje kwestią dyskusyjną, ale jednego jesteśmy pewni: przepowiednie wyroczni delfickich odgrywały olbrzymią rolę w kształtowaniu cywilizacji Zachodu. Jeśli chodzi o szczegóły - jakim jest chociażby tajemnica wielkiej litery epsilon oraz dziwnych halucynogennych gazów - to są one zgodne z faktami historycznymi. Każdemu, kto byłby zainteresowany poszerzeniem swojej wiedzy na ten temat, polecam książkę Williama J. Broada: *The Oracle: The Lost Secrets and Hidden Message of Ancient Delphi* (Wyrocznia: Zapomniane tajemnice i ukryte przesłania starożytnych Delf).

Jasonowie. Ta organizacja skupiająca naukowców pracujących dla Departamentu Obrony istniała w rzeczywistości i nadal działa. Niezwykle fascynującej lektury na temat historii i dokonań tej grupy dostarcza książka Ann Finkbeiner: *The Jasons: The Secret History of Science's Postwar Elite*

(Jasonowie: Tajemna historia powojennej elity naukowców).

Projekt Gwiazdne Wrota. To program realizowany przez Instytut Badawczy Stanforda finansowany przez CIA. Osiągnięte w badaniach sukcesy związane z jasnowidzeniem są faktyczne.

Manipulacja umysłem. W powieści pojawiły się spekulacje dotyczące plastyczności mózgu ludzkiego, wspomaganie mózgu urządzeniami do stymulacji magnetycznej oraz faktu, że ludzie są „urodzonymi cyborgami”. Co z tego jest prawdą? Wszystko! By dowiedzieć się więcej o tajemnicach ludzkiego umysłu, polecam zajmującą książkę Normana Doidge'a: *The Brain That Changes Itself: Stories of Personal Triumph from the Frontiers of Brain Science* (Mózg, który sam się zmienia: Opowieści o triumfach w poznawaniu ludzkiego mózgu). Jeśli chodzi o sztucznie wywołaną amnezję Monka, to istnieją obecnie chemiczne sposoby wymazywania wybranych wspomnień; wykorzystuje się do tego środek farmaceutyczny o nazwie propranolol.

Czy możemy przewidywać przyszłość? Wyróżnieni Nagrodą Nobla naukowcy twierdzą, że tak. Doświadczenia przeprowadzone z hazardzistami i żołnierzami przytoczone w niniejszej powieści są faktyczne i były powtarzane na wielu uniwersytetach na całym świecie. Zgodnie z tym, co twierdzą ci wybitni naukowcy, jesteśmy zdolni do przewidywania przyszłości na blisko trzy sekundy do przodu. Jak to możliwe? Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Jeśli chodzi o historie zadziwiających sawantów z Indii - jak ten chłopiec, którego zabrano do Oksfordu, albo kobieta, którą spotkał Einstein - są one oparte na faktach.

O tych i podobnych historiach można przeczytać w książce Osho: *Intuition: Knowing Beyond Logic* (Intuicja: Wiedza wykraczająca poza logikę).

Indie i Cyganie. Historia Romów i ich korzeni w Pendżabie jest oparta na faktach. Umieszczenie na fladze Romów wizerunku koła czakry jest właśnie z tym związane. Jeśli chodzi o system kastowy, ciężki los i status społeczny niedotykalnych są w Indiach dużym problemem. Niektórzy historycy uważają, że właśnie w wyniku konfliktów pomiędzy kastami przodkowie Cyganów opuścili Indie. Szerzej o problemach kastowych w Indiach można przeczytać w przejmującym artykule *India 's Untouchables* (Niedotykalni w Indiach) w „National Geographic” z wydania czerwcowego w 2003 roku. A jeśli będziecie zwiedzać Tadź Mahal, to niedaleko faktycznie znajduje się obrotowa restauracja na dachu hotelu Deedar-e-Taj. Polecam pani pani oraz golguppe.

Radioaktywny spadek po Związku Radzieckim. Opisy Prypeci i planowane osłonięcie starego sarkofagu olbrzymim hangarem grubości dwunastu metrów są zgodne z faktami. Zatrważające szczegóły dotyczące fabryk plutonu w dawnym Związku Radzieckim w górach Ural są także prawdziwe. Na Uralu istnieją podziemne miasta, w których mieszkali więźniowie pracujący w

kopalniach uranu. Większość górników umarła, nie doczekawszy wolności. Do dziś region Czelabińska w górach Ural pozostał jednym z najbardziej skażonych obszarów na kuli ziemskiej. Jezioro Karaczaj faktycznie istnieje i według Rady Ochrony Środowiska Naturalnego z siedzibą w Waszyngtonie poziom promieniowania radioaktywnego na brzegu jeziora wystarcza na dostarczenie śmiertelnej dawki promieniowania w czasie krótszym niż godzina. Czyli tak, jak ostrzegął Konstantin, nie jest to najlepsze miejsce na piknik. Co gorsza, z jeziora następuje wyciek do sąsiadującego z nim Bagna Asanowskiego. Pod powierzchnią jeziora faktycznie krzyżują się płyty tektoniczne. Trzęsienie ziemi może teoretycznie doprowadzić do tego, co pragnęła osiągnąć Sawina. Taka katastrofa spowodowałaby zanik życia w Morzu Arktycznym i zagroziłaby całej północnej Europie.

Dziwne rodzaje broni. W niniejszej książce pojawiają się dźwiękowe flary, trucizny uaktywniające się na radioaktywność, indyjskie szable-pejczy, broń strzelająca ładunkami elektrycznymi, a nawet telefon komórkowy, który zmienia się w pistolet. Jak czytelnik może się domyślić, wszystkie te rodzaje broni istnieją naprawdę.

Autyzm i syndrom autystycznego sawanta. Dokładna przyczyna autyzmu pozostaje nieznana, ale ostatnio przeprowadzone badania naukowe w ramach Projektu Genomu Autyzmu pod auspicjami Narodowego Instytutu Zdrowia ukazały, że za zaburzenia autystyczne mogą odpowiadać pewne geny oraz czynniki środowiskowe. W celu głębszego zrozumienia genialnych umysłów autystycznych polecam książkę doktor Temple Grandin: *Thinking in Pictures: My Life with Autism* (Myślenie obrazami: Moje życie z autyzmem). Kolejna pozycja, która dostarcza informacji o autyzmie i syndromie autystycznego sawanta, to pamiętniki Daniela Tammeta: *Born on a Blue Monday: Inside the Extraordinary Mind of an Autistic Savant* (Urodzony w błękitny poniedziałek: Wewnątrz wyjątkowego umysłu autystycznego sawanta).

Pomysł napisania niniejszej powieści zrodził się w mojej głowie po przeczytaniu cytatu z książki doktor Temple Grandin.

Dzięki jej uprzejmości mogę go tu wykorzystać: „Jeśli w jakiś magiczny sposób autyzm został usunięty z powierzchni ziemi, ludzie nadal nawiązywaliby znajomości przy ognisku przed jaskiniami”. W pewnym sensie ten cytat odzwierciedla słowa Sokratesa umieszczone na początku książki: „Największe błogosławieństwa darowane ludzkości przekazywane są za pośrednictwem szaleństwa, które jest boskim darem”. Często się zastanawiam nad tym, czy takie wyjątkowe umysły faktycznie mogły prowadzić ludzkość po ścieżce rozwoju cywilizacyjnego.

Odpowiedzią na tę kwestię niech będzie lista wybitnych postaci historycznych, o których mówi się, że przejawiały elementy autystycznego zachowania.

Hans Christian Andersen
Ludwig van Beethoven
Thomas Edison Henry
Ford Franz Kafka
Wolfgang Amadeus Mozart
Friedrich Nietzsche
Nikola Tesla
Henry David Thoreau
Jane Austen
Emily Dickinson
Albert Einstein
Thomas Jefferson
Michał Anioł
Isaac Newton
Nostradamus
Mark Twain
Alan Turing
Osądźcie sami.